

FAULKNER WILLIAM

REZYDENCJA

MINK

Przysięgli orzekli: — Winien — a sędzia powiedział:

Dożywotnie więzienie — ale on ich nie usłyszał. Nie słuchał. W rzeczywistości nie był zdolny słuchać od pierwszego dnia, kiedy sędzia uderzył drewnianym młoteczką w swój wysoki pulpit, i uderzał tak długo, dopóki on, Mink, nie oderwał wzroku od dalekich drzwi sali sądowej, by zobaczyć, czego chce ten człowiek, a wtedy tamten, sędzia, pochylił się nad pulpitem, krzycząc głośno: — Hej, Snopes! Zabił pan czy nie zabił Jacka Houstona? — a on, Mink, odpowiedział: — Proszę rai dać teraz spokój. Nio widzi pan, że jestem zajęty? — a potem odwrócił głowę, by znów spojrzeć na dalekie drzwi w głębi sali, wrzeszcząc poprzez mur drobnych pustych twarzy: — Sno- pes! Flem Snopes! Niech ktoś idzie poszukać Flema Snopesa, zapłacę mu. Flem zapłacił Bo nie miał czasu słuchać. Praw'dę mówiąc, cała ta pierwsza jego wyprawa, to wyciągnięcie go, skutego razem z policjantem, z celi więziennej do sądu, była — podobnie jak każda z następnych codziennych wędrówek w kajdanach — nedorzeczną, oburzającą, głupią ingerencją, przerwą i komplikacją w rozwiązaniu obydwu problemów: jego, Minka, i przekłętego prawa. Gdyby tylko zaczęli i zostawili go w spokoju, pozwolili mu dalej stać z rękami uczezionymi kraty i wyglądać przez okienko ponad ulicą, co było jego kategorię potrzeba przez długie miesiące, od dnia uwięzienia aż do otwarcia rozprawy!

7. począł ku, przez pierwsze kilka dni za okratowa- nymi okienkiem niecierpliwiła go tylko jego własna niecierpliwość, a także — owszem, przyznawał to — jego własna głupota. Na długo przedtem, nim przyszedł moment, kiedy musiał wycelować i strzelić, w jodział, że kuzyn Flem — jedyny członek jego kiami, który miał możliwość i powód, by uwolnić go od konsekwencji tego czynu — nie będzie w tym czasie obecny. Wiedział nawet, dlaczego Flema nie będzie tu co najmniej przez rok. Sadyba Francuza była za mała, wszyscy wiedzieli tu wszystko o wszystkich, wszyscy odgadliby przyczynę tej podróży do Teksasu nawet bez awantur i wrzenia, jakie wywoływała w całej okolicy ta córka Varnera, od kiedy odkryła (ona czy ktokolwiek inny) pierwsze włosy w pewnym miejscu na swoim ciele, nie mówiąc już o tych awanturach zeszłej wiosny i lata, kiedy ten zadzierzysty chłopak MacCarronów warczał i odpędzał wszystkich innych. Zupełnie jak sfora psów.

I otez na długo przedtem, nim Flem się z nią ożenił, on, Mink, i wszyscy inni w promieniu dziesięciu mil od Sadyby Francuza wiedzieli, że stary Will Varner będzie musiał ją wydać za mąż za kogokolwiek, i to jak najszybciej, jeśli nie chce mieć za kilka miesięcy nieprawego wnuka w domu. A kiedy właśnie Flem w końcu się z nią ożenił, on, Mink, bynajmniej nie był zdziwiony. Oczywiście: Flem zawsze miał szczęście. No, dobrze, może zdecydowało nie tylko szczęście: był on jedynym człowiekiem w Sadybie Francuza, który mógł kiedykolwiek stawić czoło, wytrzymać i przetrzymać starego Willa Varnera, i który wygryzł ze sklepu Jody'ego Varnera, syna Willa, a teraz sięgał po połowę tego, co zostało, jako zięć starego Willa. Żeniąc się z jego córką w porę, by ją

uchronić przed urodzeniem nieślubnego dziecka, Flem nie tylko miał zostać prawowitym mężem tej piekielnej dziewczyny, która od piętnastego roku życia rozpalala żądzę we wszystkich mężczyznach poniżej osiemdziesiątki samym swoim sposobem chodzenia — ale jeszcze mu za to zapłacono. W dodatku miał prawo, ilekroć przysłała mu ochota — i z powszechną aprobatą w Sadybie Francuza — włożyć rękę pod tę spódnicę, która doprowadzała do szału każdego mężczyznę, przez samo wyobrażenie, że czyjaś inna ręka to robi.

Wiedział więc, że Flema tu nie będzie, kiedy on go będzie potrzebował, bo rozumiał, że Flem i jego żona muszą pozostać z dala od Sadyby Francuza przynajmniej tak długo, by każdy, kto spojrzy na dziecko, które z sobą przywożą, nie pękał ze śmiechu, słysząc, że to jednomiesięczne niemowlę. Tylko że gdy ten moment wreszcie nadszedł, gdy nie można już było dłużej odkładać palącej konieczności wycelowania i naciśnięcia spustu — zapomniał o tym. Nie, to kłamstwo. Nie zapomniał. Po prostu nie mógł już czekać dłużej: sam Houston nie pozwoliłby mu dłużej czekać, i to także było jeszcze jedną krzywdą, którą wyrządził mu Jack przez sam akt swojej śmierci: zmusił jego, Minka, do zabicia go akurat w tym czasie, gdy jedyna osoba, która go mogła ocalić i musiałaby to zrobić, chcąc czy nie chcąc, przez stare i niezmiennie prawo więzów krwi, znajdowała się w odległości tysiąca mil. I tym razem była to krzywda nie do na-, prawienia, bo w tym samym momencie, gdy została wyrządzona, Houston uchylił się na zawsze od wszelkich odszkodowań. Nie zapomniał, że jego kuzyna tu nie będzie. Po prostu nie mógł czekać dłużej. Musiał I m zaufać,

I in — tym, którzy zapowiedzieli, że nawet wróbel nie padnie zastrzelony bez ich wiedzy. Oni nie ozna

czali tu tego, co ludzie nazywają Starym Panem. Nie wierzył w Starego Pana. Zbyt wiele widział w swoim życiu rzeczy, do których Stary Pan, gdyby istniał i miał oczy tak bystre i tak potężną moc, jakie mu przypisywano, nie byłby dopuścił. Zresztą on, Mink, nie był religijny. Do kościoła nie chodził od piętnastego roku życia i nie zamierzał tam powracać, bo jego zdaniem człowiek, który potrzebował zjeść i przespać się z kobietą, a nie mógł zaspokoić tych potrzeb w domu, używał, mieniąc się głosicielem słowa Bożego, takich miejsc, jak kościół, po to, by w nich gromadzić jak najwięcej kobiet zneconych obietnicą nagrody w zamian za pracę — praca polegała na wypełnieniu dziury w jego żołądku, a nagroda na wypełnieniu potrzeb żony bliźniego, skoro tylko mąż wyjdzie w pole, a ona będzie mogła wymknąć się do lasu, gdzie czekał kaznodzieja. Żony przychodziły, bo uważały to za najlepszy znany im rynek, gdzie mogły korzystnie wymienić przypaloną kurę albo nieudany placek z patatów; przychodzili także mężowie, nie po to, by przeszkodzić w transakcji, bo mąż wiedział, że nie zdoła jej przeszkodzić ani nawet jej sprostać, ale przynajmniej mógł sprawdzić, czy nazwisko jego żony jest na początku listy oczekujących dziś na swoją kolej, czy też zdąży jeszcze dokończyć swojej partii kart, zanim będzie musiał przywiązać ją do łóżka i skryć się za drzwiami, by ją obserwować. Jeśli chodzi o młodych ludzi, to nie zadawali sobie trudu chodzenia do kościoła, tylko od razu biegli do lasu parami, tak by wcześniej od innych znaleźć się za najbliższym gęstym krzakiem.

Po prostu myślał, że Oni — że Tamci, jakkolwiek ich nazwać, którzy reprezentowali podstawową sprawiedliwość i równość — bo inaczej lepiej od razu się wycofać — że oni nie będą chcieli ani mogli dręczyć człowieka wiecznie, nie dając mu pewnego dnia, w pewnym momencie szansy i możliwości dochodzenia jego własnych słusznych praw. Mogli go nękać i dręczyć, a nawet mogli po prostu siedzieć z założonymi rękami i patrzeć, jak wszystko zwraca się przeciw niemu i nie omija go ani jeden cios, tak jakby istniał na to jakiś z góry wykreślony wzór; tylko siedzieć i patrzeć; i (dobrze, czemu nie? on, mężczyzna, nie miał nic przeciw temu tak długo, jak był mężczyzną i jak długo istniała sprawiedliwość) czerpać z tego pewną radość. Wy próbo wy wali go nawet, żeby się przekonać, czy jest mężczyzną, czy nie, dość męznym, by znieść trochę gnębienia i dręczenia i w ten sposób zasłużyć na swoją własną godzinę zemsty, kiedy ta nadejdzie. Ale przynajmniej wybije ta godzina i moment, gdy nadejdzie jego kolej, gdy pozyska sobie prawo odwetu, zupełnie tak samo, jak oni zyskali sobie prawo wypróbowywania go, a nawet radowania się tą próbą; moment, kiedy będą musieli mu dowieść, że są mężczyznami, tak jak on im dowiódł tego o sobie; kiedy nie tylko będzie musiał na nich polegać, ale zyska sobie prawo polegania na nich i uznania ich lojalności, a oni nie ośmielą się sprawić mu zawodu, bo inaczej będzie im trudno zachować szacunek dla siebie samych, tak jak jemu w końcu było trudno szanować siebie i jednocześnie znosić to, co musiał znosić od Jacka Houstona.

Toteż wiedział tego ranka, że Flema tam nie będzie. Chodziło po prostu o to, że nie mógł czekać dłużej, po prostu przyszedł moment, kiedy on i Jack Houston nie mogli oddychać dłużej tyra samym powietrzem. Toteż nie mogąc liczyć na swego kuzyna musiał odwołać się do tego prawa polegania na nich, uzyskanego przez to, że nigdy dotychczas w swym życiu niczego od nich nie żądał.

Zaczęło się to tej wiosny. Nie, zaczęło się ubiegłej jesieni. Nie, zaczęło się jeszcze nawet na długo

y

przedtem. Zaczęło się w tym samym momencie, kiedy narodził się Houston, stworzony do arogancji i despotyzmu, nieznośnej buty. Nie wtedy, kiedy obaj, on, Mink Snopes, także, zaczęli oddychać tym samym powietrzem północnego Missisipi, bo on, Mink, nie był człowiekiem kłótliwym. Nigdy nikogo nie zaczepiał. Tylko takie było już jego niedobre przeznaczenie, przez całe życie prześladowające go i zmuszające do wiecznej i nieustającej obrony jego własnych praw.

Niemniej dopiero poprzedniego lata, przed tą pierwszą jesienią, przeznaczenie Houstona zderzyło się z jego, Minka, własnym przeznaczeniem, - i to było jeszcze jednym aspektem obelgi: fakt, że nic, nawet Oni — już najmniej Oni? — nie ostrzegli go w jakikolwiek sposób, czym się skończy to ich pierwsze spotkanie. Było to wtedy, gdy nowo poślubiona żona Houstona weszła do stajni poszukać gniazda kurzego i ogier ją zabił, więc każdy przyzwoity człowiek myślałby, że przyzwoity mąż nigdy już, do końca życia, nie będzie trzymał w stajni ogiera. Ale nie Houston. Houston nie tylko był dość bogaty, by mieć na własność pełnokrwistego ogiera zdolnego zabić mu żonę, ale dość butny i despotyczny, by wzgardzić wszelką przyzwoitością i po zastrzeleniu sprawcy jej śmierci natychmiast kupić sobie innego ogiera, całkiem podobnego — może na wypadek powtórnego małżeństwa — a oplakując śmierć żony zachowywać się tak, by nawet sąsiedzi nie ośmielili się zastukać do jego drzwi, a jednocześnie dwa, trzy razy w tygodniu galopować drogą tam i z powrotem, nie zsiadając ani razu, na innym morderczym koniu, z tym olbrzymim psem myśliwskim, który biegł jak chart albo jak drugi koń przy nim, aż do sklepu Varnera. Wszyscy trzej czekali tylko tu, na drodze — arogancki i nieznośny człowiek, koń o złym oku i pies szczerzący zęby i warczący, ilekroć ktoś przechodził, i Houston rozkazującym tonem polecał każdemu, kto się akurat znajdował na ganku, wejść do środka, przynieść mu to, po co przyjechał, jakby tamci byli Murzynami.

Aż do dnia, kiedy on, Mink, szedł do sklepu (nie miał konia, na którego mógłby wsiąść, ilekroć potrzebował ze sklepu puszki tytoniu albo słoiczka chininy czy kawałka mięsa); wygramolił się właśnie na niewielki pagórek, gdy usłyszał za sobą tętent konia nadjeżdżającego galopem i byłby zboczył, i ustąpił Houstonowi całą drogę, gdyby miał czas, ale koń już na niego najechał: Houston szarpnął dziko zwierzęciem, kierując je w bok, a pies omal nie olał się

0 niego, warcząc mu prosto w twarz, podczas gdy Houston obracał koniem usiłując hamować jego taniec i krzyząc: — Dlaczegoś, do diabła, nie odskoczył, kiedy usłyszałeś, że nadjeżdżam? Precz z drogi! Chcesz jeszcze, żebym ci roztrzaskał głowę, zanim go zdążę zatrzymać?

Cóż, możliwe, że w ten sposób wyrażał się smulek po zmarłej żonie, choćby się jej nie zabiło samemu 1 nawet jeśli zastrzeliło się konia, który ją zabił. Ale jeszcze był dość butny i dość bogaty, żeby pozwolić sobie na kupno drugiego konia, kubek w kubek takiego jak ten, co ją zabił. On, Mink, nie miał zresztą nic przeciwko temu, zwłaszcza że potem należało już tylko czekać, aż wcześniej czy później ten przeklęty koń zabije także Houstona, póki nie zdarzyło się coś, na co nie liczył, czego nie planował, a nawet nie przewidywał.

Chodziło o jego mleczną krowę, jedyną, jaką posiadał, bo nie był bogatym człowiekiem jak Houston, tyle tylko, że niezależnym, nie prosił nikogo o nic i radził sobie sam. Ona, krowa, nie mogła z jakiegos powodu się ocieścić i nie dość, że musiał obywać się całą zimę bez mleka i czekało go to samo przez cały

rok następny, ale jeszcze stracił cielę, za które musiał zapłacić pięćdziesiąt centów w gotówce właścicielowi byka, bo jedynym bykiem, jakim mógł dysponować za sumę mniejszą od dolara, był ten nierasowy pokurcz, należący do pewnego Murzyna, który kazał sobie zapłacić w gotówce od razu przy furcie do zagrody.

Toteż żywił krowę przez całą zimę, czekając na cielę, które nie miało się urodzić. I musiał znowu zaprowadzić krowę do zagrody Murzyna trzy mile odległej, nie żeby żądać zwrotu pięćdziesięciu centów, lecz drugiego pokrycia przez byka, na co Murzyn nie chciał się zgodzić, póki nie dostanie nowych pięćdziesięciu centów płatnych z góry; stał na podwórzu wymyślając Murzynowi, aż wreszcie tamten wszedł do domu i zamknął drzwi, a Mink pozostał na pustym podwórzu, przeklinając Murzyna i jego rodzinę znajdującą się wewnątrz niemego domu, aż opadł z sił i nie zapłodnioną wciąż krowę pognął trzy mile z powrotem do domu.

Musiał trzymać jałową i bezwartościową krowę w oborze, póki nie zjadła skromnej paszy, a potem ją żywić ze swych skąpych zapasów aż do końca tego lata i przez jesień, bo według miejscowej umowy nie wolno było wypuszczać bydła przed zebraniem wszystkich plonów z pól. Toteż nadszedł listopad, zanim mógł krowę wypuścić. A i wtedy musiał jej dawać trochę iedzenia przeznaczonego dla świń, żeby ją przyzwyczaić do mniej lub więcej regularnego wracania do domu wieczorem. Aż pewnego dnia znikła na trzy czy cztery dni i znalazł ją dopiero na pastwisku Houstona, razem z jego stadem.

Był już na ścieżce prowadzącej do domu Houstona, ze zwiniętym postronkiem w rękę, kiedy zawrócił i nie wiedząc nawet, dokąd idzie, i nie przystając ani nie zwalnając kroku ruszył z powrotem w kierunku łożora, pospiesznie wpychając zwiniętą liną za pazuchę, ^{nie} P° by wrócić do nie pomalowanej i od jawną nie reperowanej chały, w której mieszkały tylko żeby znaleźć się samemu i pomyśleć. Zatrzymał się, usiadł na kłodzie drzewa przy drodze i rozważał powoli to, co mu zaczęło świtać w głowie.

Jeśli nie upomni się jeszcze teraz o bezwartościową krowę, to nie tylko zabezpieczy ją na zimę, ale zapewni jej dwukrotnie czy dziesięciokrotnie lepszą paszę, niż sam mógłby jej dostarczyć. Należało pozwolić Houstonowi zachować ją przez zimę (Houston był człowiekiem dość bogatym nie tylko na to, by żywić i hodować bydło w ogóle, ale także dość bogatym, by trzymać Murzyna, który nie iniał nic inneyo do roboty prócz żywienia i pilnowania tego bydła, Murzyna, któremu Houston dał na mieszkanie lepszą chatę, ni* ta, w której mieszkał on, Mink, biały czk>wiek, z żoną i dwiema córkami), a gdy zażąda jej zwrotu na wiosnę, krowa, przebywając tyle czasu z wielkim bykiem Houstona, z pewnością wtóci cielna, a cielę nic tylko zapewni mu mleko, ale samo będzie coś war te, jako było rasowe, podczas gdy za cielę od tetjo murzyńskiego pokurcza nie zapłacono by mu prawie nic.

Oczywiście musi być przygotowany na nieuniknione pytania, jakie z tego wyrzną. Sadyba Francuza była za mała, żeby człowiek mógł coś zrobić w krecie i żeby zostawiono go w spokoju i nie interesowano się tym, co ma, a czego nie ma. Nie czekał nawet czterech dni. Było to w sklepie Varnera, dokąd chodził co dzień, żeby im dac okazję do wystąpienia i mieć to już za sobą. Aż wreszcie jeden z nich zagadnął, nie pamiętał który ale to nie miało znaczenia:

- Nie znalazłeś j<‘ cze swojej krowy?
- Jakiej krowy? - zapytał. Tamten rzekł:

— Jack Houston mówi, żebyś przyszedł po tego twego gnata, bo już mu się znudziło ją żywić.

— Ach, to! — odparł. — To już nie jest moja krowa. Sprzedałem ją w zeszłym roku jednemu z chłopaków od Gowrie'ch w Caledonia Chapel.

— To dobrze — powiedział tamten. — Bo gdybym ja był na twoim miejscu, a moja krowa w zagrodzie u Jacka Houstona, wziąłbym postronek i zabrał ją czym prędzej, starając się nie zauważyć, że to robię, a zwłaszcza nie pozwalając, żeby Houston mnie zauważył. Myślę, że nie odezwałbym się do niego choćby jednym słowem, nawet żeby mu powiedzieć „dziękuję”.

W całej Sadybie Francuza znano Houstona: wiecznie ponury, zgryźliwy, wiecznie sam w domu od czasu, kiedy to cztery lata temu ogier zabił mu żonę. Jakby nikt przed nim nie stracił żony, nawet jeśli dla jakiejś niezrozumiałej przyczyny mąż nie chciał się jej pozbyć. Sam, z tą ponurą twarzą w tym wielkim domu, z dwojgiem służby murzyńskiej, mężczyzną i kobietą, która mu gotowała, ze swoim ogierem i z tym olbrzymim psem myśliwskim, równie nieprzystępnym, nieznośnym i ponurym, jak sam Houston — zgryźliwy, naburmuszony drań, który nawet nie rozumiał, jakie miał szczęście: nie tylko dostatecznie bogaty, żeby sobie pozwolić na żonę, gderzącą, narzekającą, wyciągającą mu z kieszeni każdego zarobionego dolara, ale i na to, by się obyć w ogóle bez żony, jeśli chciał; dość bogaty, by sobie pozwolić na płatną kucharkę, która by mu gotowała jedzenie i której nie byłby zmuszony poślubić. Dość bogaty, by zatrudniać jeszcze jednego Murzyna, który wstawał o świcie zamiast niego i szedł w wilgotne i mokre ranki nakarmić nie tylko tuczne bydło rogate, bo stać go było na to, by je trzymać, póki się nie utuczy, ale także tego przeklętego ogiera, a nawet tego przeklętego psa, który biegł przy koniu, gdy jego pan przejeżdżał z hałasem drogą tam i z powrotem, tak że człowiek, który mógł się poruszać tylko przy pomocy swoich dwóch nóg, musiał uskakiwać w krzaki, bo inaczej ten przeklęty koń zabiłby go kopytem, a przeklęty pies zacząłby pożerać leżącego w rowie, zanim Houston by to zauważył.

Dobrze, jeśli Houston jest zbyt wyniosły i nieprzystępny, by mu można powiedzieć „dziękuję”, to on, Mink, na pewno nie pójdzie tam nie proszony. Minał tydzień, potem miesiąc, potem minęło Boże Narodzenie i nadeszła ponura, mokra zima. Każdego popołudnia w swoim ceratowym płaszczu reperowanym przy pomocy drucików do pakowania i gumy do łątar.ia opon, jedynym zimowym okryciu, które mógł włożyć na swój zniszczony bawełniany kombinezon, chodził zabloconą drogą w słotne, ponure popołudnia, by obserwować tę trzodę rasowego bydła, wśród której znajdowała się jego własna, nędzna krowa. Patrzył, jak bez pośpiechu kroczy do obory cieplejszej niż jego własne mieszkanie i lepiej zabezpieczonej przed deszczem, gdzie ją miał nakarmić wynajęty Murzyn, który nosił ubranie cieplejsze, niż on i jego rodzina, klnąc poprzez parę własnego oddechu, przeklinając Murzyna za jego czarną skórę pod ubraniami cieplejszymi niż jego, białego człowieka, przeklinając obfite jedzenie przeznaczone dla bydła zamiast dla ludzi, choćby miało zeń korzystać jego własne zwierzę, przeklinając nade wszystko nie wiedzącego o niczym białego człowieka, którego bogactwo dopuszczało taki stan rzeczy, przeklinając fakt, że nawet swego odwetu i zemsty — które sam uważał za zwykłą sprawiedliwość i swoje bezsporne prawo — nie może wyrzucić za jednym zamachem, tylko musi czekać na powolny proces przetwarzania się paszy w mięso zwierzęcia, a prócz tego na nie dającą się skontrolować ani przewidzieć dyspozycję miłosną jego własnej krowy

w

wy, plus dziewięć następnych miesięcy ciąży, przeklinając swoje położenie, w którym jedyna dostępna dla niego sprawiedliwość musi być tak powolna i bierna.

Właśnie to. Przedłużenie terminu. Nie tylko udręka czekania, aż się spełnią nadzieje, nawet nie tylko zniewaga w postaci opóźnienia zwykłej sprawiedliwości, ale świadomość, że nawet gdy cios trafi w Houstona, będzie to kosztowało jego, Minka, osiem dolarów w gotówce — osiem dolarów, które, jak będzie musiał oświadczyć, by uratować kłamstwo o sprzedaży, zapłacił mu wymaginowany nabywca krowy i które, gdy zażąda krowy na wiosnę, będzie musiał dać Houstonowi na dowód, że aż do tej chwili rzeczywiście wierzył w sprzedaż krowy — albo przynajmniej ocenił jej wartość na osiem dolarów — kiedy pójdzie do Houstona i powie mu, że nabywca przyszedł do niego, Minka, dopiero tego dnia rano z wiadomością, że krowa uciekła z zagrody tego samego wieczora, kiedy została kupiona i przyprowadzona do domu, i że zażądał zwrotu zapłaconych za nią ośmiu dolarów; w ten sposób krowa stanie się przedmiotem nie tylko aroganckiej pogardy Houstona, ale także ciekawości reszty Sadyby Francuza, jako coś, co kosztowało jego, Minka, szesnaście dolarów.

Na tym właśnie polegała zniewaga: osiem dolarów. Nie liczył się fakt, że nie mógłby wyżywić krowy przez zimę za osiem dolarów, a coś dopiero sprawić, by przybrała na wadze, osiągając tę tuszę, jaką mógł teraz oglądać na własne oczy. Liczyło się to, że Houstonowi, który tego nie potrzebował, będzie trzeba dać osiem dolarów, za które on, Mink, mógłby kupić butlę whisky na Boże Narodzenie, a pozostałego dolara czy dwa wydać na fatałachy dla żony i dwóch córek, które stale jęczały z powodu ich braku.

Ale na to nie było rady. A poza tym w grę wcho

dziła jego własna duma. Nie on będzie tym nędznym płacziwym mazgajem, który pokornie zgadza się na coś tylko dlatego, że nie widzi, jak na to poradzić. Więcej, bo to także podsycalo jego furię i oburzenie na niesprawiedliwość: będzie musiał łaścić się, a nawet trochę upokorzyć, kiedy pójdzie po krowę, będzie musiał skłamać, żeby te osiem dolarów, których sam potrzebuje i których zaoszczędzenie kosztowało go wiele wysiłku, wręczyć człowiekowi, który ich w ogóle nie potrzebuje, nie zauważyłby nawet ich braku, który nie wie jeszcze, że je otrzyma. Przyszedł wreszcie ten moment, ten dzień, przy końcu zimy, kiedy według miejscowego zwyczaju żywy inwentarz, który od jesieni swobodnie krążył po nagich i skostniałych polach kukurydzianych, właściciele musieli zebrać i zamknąć yr zagrodach, by znów można było zaorać i obsiać ziemię. Pewnego popołudnia, a raczej wieczorem, poczekał, aż jego krowa otrzyma ostatnią porcję paszy razem z bydłem Houstona, a potem zbliżył się do obory ze zwiniętym postronkiem pod pachą i z garstką zmiętoszonych banknotów dolarowych i dziesiątek, i dwudziestopięciopensówek, wepchniętych do kieszeni, nie potrzebując jeszcze przymilać się ani upokarzać, bo tylko Murzyn z widłami był teraz w zagrodzie, a sam bogacz siedział w domu, w ciepłej kuchni, i w rękę miał szklanę grogu, nie z tej cuchnącej, w domu pędzonej wódki kukurydzianej, takiej, jaką Mink musiałby kupić za swoją część tych ośmiu dolarów, gdyby je mógł zatrzymać, lecz z uczciwej whisky, kupionej w Memphis. Nie musiał jeszcze łaścić się ani płaszczyć: musiał tylko powiedzieć — on, biały człowiek — zwracający się, jakby byli równi, do Murzyna, który zatrzymał się w drzwiach karmnika i obejrzał się za nim:

— Dzień dobry. Widzę, że masz tu moją krowę. Załóż jej ten postronek, a zabiorę ją i przestanie ci za

wadzać. — Murzyn spoglądał na niego przez sekundę, a potem oddalił się idąc przez szopę w kierunku domu; nie założył postronka, czego zresztą on, Mink, bynajmniej nie oczekiwał, ale poszedł najpierw powiedzieć to białemu człowiekowi, spytać, co ma zrobić. Tego właśnie on, Mink, oczekiwał, opierając na górnej poprzeczce pomalowanego na biało płotu przeguby swych zsiniałych, zgrabiałych rąk, których nawet wystrzępione rękawy ceratowego płaszcza nie mogły przykryć. Och, tak, Houston ze szklanką dobrej, czerwonej whisky i pewnie bez butów, w skarpetkach, opierając nogi na piecu, by je ogrzać, musi się powlec znowu przez mokre błoto na podwórze.

Tak też Houston zrobił: samo trzaśnięcie drzwi kuchennych i chlupanie gumowych butów w drodze przez podwórze, a potem przez łąkę, już oznajmiało oburzenie człowieka, którego wyrwano z domowego zacisza. Potem ukazał się w drzwiach i szedł przez szopę, a za nim Murzyn w odległości jakichś dziesięciu stóp.

— Dzień dobry, Jack — powiedział Mink. — Przykro mi, że muszę pana wyciągać z domu na ten chłód i wilgoć. Ten Murzyn mógł się sam tym zająć. Dowiedziałem się właśnie dzisiaj, że przechował pan przez zimę moją krowę. Gdyby pański Murzyn założył jej ten postronek, mógłbym ją zaraz zabrać, żeby panu nie zawadzała.

— Myślałem, żeś sprzedał tę krowę Nubowi Go- wrie — powiedział Houston.

— Ja sam tak myślałem — powiedział Mink. — Aż do dzisiejszego ranka. Ale dziś właśnie Nub był u mnie i powiedział, że krowa uciekła z zagrody tego samego wieczora, kiedy ją przyprowadził do domu, i od tego czasu jej nie widział. Żądał, żebym mu zwrócił te osiem dolarów, które za nią zapłacił — i sięgnął do kieszeni po swój szczupły zwitek wystrzępionych banknotów. — A że cena tej krowy jest, jak się zdaje, osiem dolarów, uważam, że jestem panu tyle winien za utrzymanie jej przez zimę. Tak że teraz jest warta szesnaście dolarów, choć sama pewnie o tym nie wie. Niech pan weźmie te pieniądze i każe Murzynowi założyć jej postronek, a zaraz...

— Ta krowa zeszłej jesieni nie była warta osiem dolarów — powiedział Houston. — Ale teraz jest warta znacznie więcej. Zjadła mi przez zimę na pewno więcej niż za szesnaście dolarów. Nie mówiąc już o tym, że w zeszłym tygodniu pokrył ją mój byk. To było w zeszłym tygodniu, prawda, Henry? — zwrócił się do Murzyna.

— Tak, proszę pana — odpowiedział Murzyn. — W zeszły wtorek. Wpisałem do książki.

— Gdyby mnie pan zawiadomił wcześniej, oszczędziłbym trudu pańskiemu bykowi i temu Murzynowi, 1 jego widłom — powiedział Mink. I dodał zwracając się do Murzyna: — Tu masz postronek.

— Zaczekaj — Houston sięgnął także do kieszeni. — Sam ustaliłeś cenę tej krowy na osiem dolarów. Dobrze. Kupuję ją.

— Pan sam przed chwilą ustalił, że od tego czasu jej wartość znacznie wzrosła — powiedział Mink. — Teraz chcę tylko dopłacić tyle, ile brakuje do szesnastu. Toteż jasne, że nie przyjmę za nią szesnastu dolarów, a co dopiero ośmiu. Niech pan zabierze swoje pieniądze. A jeżeli pański Murzyn jest za bardzo zmęczony, żeby jej założyć ten postronek, zrobię to sam. — I zaczął wdrapywać się na płot.

— Wolnego — rzekł Houston. — Co byś powiedział, ile warta jest teraz? — spytał Murzyna.

— Można by wziąć za nią trzydzieści — odpowiedział Murzyn. — Może trzydzieści pięć.

— Słyszałeś? — zapytał Houston.

Nie - odparł Mink, nadal próbując przejść przez płot. — Nie słucham czarnych. Mówię im tylko, co mają robić. Jeżeli on nie chce założyć tego postronka mojej krowie, niech mu pan powie, żeby mi zszedł z drogi.

— Nic przelaż pr/.-ez ten płot, Snopes ostrzegł Houston.

— Dobrze, dobrze powiedział Mink, z jedną nogą na najwyższej poprzeczce bariery, z tańczącym w powietrzu końcem sznura, zwisającym z jego czerwonej, spierzchniętej ręki. — Czyżby przynosił pan z sobą pistolet za każdym razem, kiedy pan kupuje krowę? A może potrzebny jest panu nawet do wrzucenia w ziemię nasienia bawełny czy ziarenka kukurydzy? — Był to zaiste widok niezwykły: Mink z jedną nogą na najwyższej poprzeczce bariery, Houston po drugiej stronie z pistoletem w opuszczonej ręce, i Murzyn, który nie poruszał się, nie patrzył nawet na nic, lekko tylko wywracał białkami oczu. — Gdyby mnie pan uprzedził, mógłbym także przynieść z sobą broń.

— W porządku — powiedział Houston. Ostrożnie położył pistolet na słupku przy barierze. — Odlóż pan postronek. Przejdź na drugą stronę przy swoim słupku, gdzie teraz stoisz. Ja się cofnę do następnego słupka. Możesz policzyć do trzech i zobaczymy, kto używa pistoletu przy sprzedaży bydła.

— Albo może pański Murzyn policzy — powiedział Mink. — Wystarczy, jak powie: „trzy”. Bo ja nie mam z sobą nawet Murzyna. Na to, żeby kupować od pana bydło, trzeba, jak widać, mieć oswojonego czarnucha i pistolet. — Przerzucił nogę z powrotem na ziemię po drugiej stronie bariery. — Toteż chyba lepiej wstąpię teraz do sklepu i pogadam z wujem Billym. Możliwe, że powinienem był od tego zacząć, oszczędziłbym sobie drogi tutaj w to zimno. Mógłbym tu zostawić swój postronek, żeby nie taszczyć go z powrotem. tyJko że pewnie każe mi pan zapłacić trzydzieści pięć dolarów za to, żeby go odebrać, bo to zdaje się pańska najniższa cena za cudzą własność, która się znalazła w pańskiej oborze. Wobec tego do widzenia — rzekł odchodząc. — W razie gdyby pan sprzedawał jeszcze czy kupował jakieś bydło za osiem dolarów, niech pan uważa, żeby się nie nabrać.

Odszedł dość pewnym krokiem, ale miotany taką furją, że przez chwilę ciemno mu było przed oczyma, a w uszach huczało, jak gdyby ktoś strzelił z działa tuż przy jego głowie. Właściwie spodziewał się tej furii i teraz, gdy był sam i z dala od ludzi, najlepiej było ją uśmierzyć. Bo wiedział, zdał sobie sprawę, że oczekiwał właśnie czegoś takiego, jak to, co się stało, i potrzebna mu cała przytomność umysłu. Instynktownie wiedział, że jego własne podłe szczęście spleta mu takiego figla i fakt, że wizyta u Varnera, sędziego pokoju, będzie go kosztowała dwa dolary, które musi zapłacić za doręczenie Houstonowi pozwu w celu odzyskania krowy, nie był właściwie dla niego niespodzianką: to byli znowu Oni, wciąż wypróbowywali go, żeby się przekonać, jak wiele potrafi znieść i wytrzymać.

Toteż w pewnym sensie nie był nawet zdziwiony tym, co się zdarzyło następnie. W dużym stopniu była to jego własna wina: po prostu Ich nie docenił: wydawało mu się, że sprawa wzięcia z sobą ośmiu dolarów dla Houstona i odprowadzenia krowy do domu po założeniu jej postronka będzie dla Nich zbyt błahą sprawą, żeby się nią mieli zajmować. Ale pomylił się: jeszcze z nimi nie skończył. W dwa dni później, nim Varner zdążył wydać urzędowy papierek, stało ich siedmiu, licząc Murzyna — on, Houston, Varner, woźny sądowy i dwóch zawodowych handlarzy bydłem — przy barierze koło szopy Houstona: stali tam, podczas gdy Murzyn wyprowadzał

jego krowę, żeby ją pokazać dwom fachowcom do oceny.

— No i co? ■— spytał wreszcie Varner.

— Ja bym dał trzydzieści pięć — odpowiedział pierwszy ekspert.

— Jeżeli jest pokryta przez rasowego byka, mógłbym dać trzydzieści siedem i pół — rzekł drugi.

— Nie podniósłby pan do czterdziestu? — spytał Varner.

— Nie — odpowiedział drugi. — Może nie zaszła.

— Dlatego też ja bym nawet nie dał trzydziestu siedmiu i pół — oświadczył pierwszy.

— Dobrze — zgodził się Varner, wysoki, chudy mężczyzna z wielkimi wąsami, który wyglądał na to, czym był jego ojciec: żołnierz kawalerii Forresta. — Niech będzie trzydzieści siedem i pół. Podzielimy różnicę. — Patrzył teraz na Minka: — Jeżeli pan zapłaci Houstonowi osiemnaście dolarów i siedemdziesiąt pięć centów, może pan zabrać swoją krowę. Tylko że nie ma pan osiemnastu dolarów i siedemdziesięciu pięciu centów, prawda?

Stał tam, z opartymi na najwyższej poprzeczce bariery przegubami czerwonych, spierzchniętych rąk, nie zakrytymi przez rękawy płaszcza, z ciemnością w oczach i hukiem w uszach, jakby ktoś wystrzelił z armaty tuż przy jego głowie, z wyrazem twarzy nieśmiałym i łagodnym, niemal z uśmiechem.

— Nie — powiedział.

— Czy jego kuzyn Flem nie mógłby mu pożyczyć? — spytał drugi kupiec. Nikt nie zatroszczył się, by mu odpowiedzieć ani nawet przypomnieć, że Flem nie wrócił jeszcze z podróży poślubnej do Teksasu, gdzie bawił z żoną od sierpnia.

— W takim razie będzie musiał to odpracować — powiedział Varner. Zwracał się teraz do Houstona: — Jaką ma pan dla niego robotę?

— _____ Będę stawiał ogrodzenie na drugim pastwisku powiedział Houston. — Zapłacę mu po pięćdziesiąt centów dziennie. Może przepracować trzydzieści siedem dni i jeszcze jeden od świtu do południa przy wbijaniu kółków i przeciąganiu drutu. A co z krową? Czy ma być u mnie, czy u Quicka? — Było to nazwisko konstabla.

— Woli pan, żeby była u Quicka? — spytał Varner.

— Nie — powiedział Houston. — Była tu już tak długo, że mogłaby tęsknić. Zresztą jeżeli będzie tutaj, Snopes może ją widywać co dzień i mieć przed oczami krzepiący cel, dla którego pracuje.

— Dobrze, dobrze — prędko uciał Varner. — W takim razie załatwione. Nie chcę już więcej słyszeć o tej sprawie.

I to było wszystko, co miał do roboty. I dumny był z tego, że się z tym nie pogodził, że nie pogodzi się nigdy. Nawet gdyby miał stracić krowę i gdyby sama krowa zniknęła z całego równania, dając mu coś, co można by nazwać spokojem. To zresztą ■— usunięcie krowy — mógł załatwić sam. Więcej: mógł dostać o- siemnaście dolarów i siedemdziesiąt pięć centów za dokonanie tego, co wraz z ośmioma dolarami, których przyjęcia odmówił Houston, dałoby w sumie dwadzieścia siedem dolarów, a takiej sumy nie widział od niepamiętnych czasów, nawet wtedy, kiedy sprzedawał jedną czy dwie bale bawełny, gdyż wówczas, odliczywszy część przynależną Varnerowi jako właścicielowi ziemi i rachunek w sklepie Varnera, zostało mu tylko osiem czy dziesięć dolarów w gotówce, za które na próżno spodziewał się wykupić krowę.

Właściwie proponował mu to sam Houston. Zdarzyło się to drugiego czy trzeciego dnia kopania dołów i umocowywania palików. Houston nadjechał na swo

im ogierze i zatrzymał się patrząc na niego. Nie przerwał roboty i nie podniósł wzroku.

— Słuchaj — odezwał się Houston. — Spójrz na mnie. — Wtedy spojrział nie przerywając pracy. Houston wyciągnął już rękę i Mink zobaczył pieniądze. — Varner powiedział: osiemnaście i siedemdziesiąt pięć. Masz, tu są. Weź to i zapomnij o tej krowie. — Teraz znowu nie patrzył na niego i dźwignął, przerzucając go sobie przez ramię, słupek, który się wydawał cięższy i bardziej masywny od niego, stawiając go w wykopanej jamie i uklepując ziemię odwróconym trzonkiem łopaty, tak że usłyszał tylko tętent kopyt zawracającego i oddalającego się ogiera. Potem był czwarty dzień i znów ledwie zdążył, nie podnosząc wzroku, usłyszeć nadjeżdżającego ogiera.

— Snopes — nalegał Houston. — Snopes! — Potem zawołał: — Minki — a on, Mink, nie patrząc, a tym bardziej nie przestając pracować powiedział:

— Słyszę.

— Zostaw to. Musisz teraz zaorać własną ziemię. Musisz zarobić na własne utrzymanie. Idź do domu obsiać pole, a potem tu wrócisz.

— Nie mam czasu zarabiać na życie — powiedział nie przestając kopać. — Muszę mieć z powrotem w domu moją krowę.

Nazajutrz przyjechał już nie Houston na swoim ogierze, lecz Varner swoim wozem. Ale on, Mink, nie wiedział jeszcze, że to sam Varner zląkł się nagle o spokój gminy, którą trzymał żelazną ręką lichwiarza, spokój oparty na hipotekach i aktach, przechowywanych w olbrzymiej kasie ogniotrwałej w jego sklepie. I teraz on, Mink, podniósł oczy i zobaczył banknoty w zaciśniętej dłoni, spoczywającej na kolanach Varnera.

— Wpisałem to na rachunek w sklepie za ten rok — powiedział Varner. — Wracam właśnie z twego pola. Nie masz zaoranej ani jednej bruzdy. Weź te narzędzia i te pieniądze, oddaj dług Houstonowi, odprowadź do domu tę przeklętą krowę i zabierz się do orania. — Ale to był tylko Varner. On, Mink, mógł teraz przerwać robotę, a nawet oprzeć się na trzonku łopaty. — Czy słyszał pan ode mnie jaką skargę na ten wyrok pańskiego trybunału w sprawie krowy? — zapytał.

— Nie — powiedział Varner.

— W takim razie niech pan odejdzie stąd i zajmij się własnymi interesami, a ja sam dopilnuję swoich.

Wtedy Varner zeskoczył z wozu. Był dość stary, żeby wierzyciele, którzy chcieli mu się przypochlebić, nazywali go „wujem Billy m”, a zarazem dostatecznie żwawy i ruchliwy, by zeskoczyć z wozu z lejcami w jednej ręce i batem w drugiej.

— Do diaska — rzekł. — Podnieś te narzędzia i idź do domu. Wrócę tam przed wieczorem, a jeżeli nie zobaczę zaoranej bruzdy, wyrzucę na drogę wszystkie graty, jakie masz w domu, a dom jutro rano wynajmę komu innemu.

On, Mink, patrzył na niego z tym łagodnym wyrazem twarzy, prawie z uśmiechem.

— Prawdopodobnie tak akurat pan zrobi — rzekł.

— Możesz być pewien, że zrobię. No, idź stąd, ale już, w tej chwili.

— Jasne — powiedział Mink. — To drugi wyrok sądu w tej sprawie, a człowiek szanujący prawo zawsze słucha wyroków sądu. — Odwrócił się, gotów odejść.

— Weź to — rzekł Varner. — Zabierz te pieniądze.

— Innym razem — odparł odchodząc.

Do wieczora zaorał więcej niż pół akra. Kiedy zawrócił pług przy zakręcie bruzdy, zobaczył nadjeżdżający wóz. Tym razem były w nim dwie osoby, Varner i konstabl Quick: jechali dość wolno, bo z ty-

hi szła uwiązana na postronku jego krowa. Nie śpieszył się. Zaorał do końca bruzdę, potem wyprzął muła i uwiązał go do płotu i dopiero wtedy poszedł do wozu, gdzie siedzieli dwaj mężczyźni, obserwując go.

— Zapłaciłem Houstonowi osiemnaście dolarów, a tu jest pańska krowa — powiedział Varner. — I jeżeli jeszcze raz usłyszę, że pan czy coś, co do pana należy, znalazło się na ziemi Jacka Houstona, zamknę pana w więzieniu.

— I siedemdziesiąt pięć centów — powiedział. — A może centy ulotniły się w powietrze? Ta krowa podleża wyrokowi sądowemu. Nie mogę jej przyjąć, dopóki wyrok nie będzie wykonany.

— Lon — powiedział Varner do konstabla głosem cichym i niemal uprzejmym. — Zaprowadź tę krowę do jego zagrody, zdejm postronek i włącz z powrotem na wóz.

— Lon — powiedział Mink głosem równie uprzejmym i niemal tak samo zrównoważonym — jeżeli wprowadzisz tę krowę do mojej zagrody, pójdę po strzelbę i zastrzelę ją.

Nie patrzył na nich. Podszedł z powrotem do muła, odwiązał go od płotu i zaorał jeszcze jedną bruzdę, zwrócony plecami do domu tak, że dopiero gdy obrócił pług, zobaczył wóz odjeżdżający drogą w ślimaczym tempie, dostosowanym do kroków krowy. Orał bez przerwy, aż dopóki nie zapadła ciemność, po czym zjadł kolację złożoną z kawałka boczku, melasy i mąki, prawdopodobnie z robakami, mąki, która nawet po zjedzeniu nadal miała być własnością Willa Varnera, dopóki on, Mink, nie odziarni i nie sprzeda bawełny, której jeszcze nawet nie zasadził.

W godzinę później z latarnią naftową, oświetlającą powolne ruchy łopaty złońskiej i odgarniającej ziemię, był z powrotem na polu Houstona. Nie położył się ani nawet nie przestał się ruszać, pracował od świtu tego ranka, i wkrótce miały upłynąć dwadzieścia cztery nie przespane godziny. Gdy słońca znowu weszło, był z powrotem na swoim polu z mułem i pługiem, przerwał pracę tylko na obiad w południe, a potem znów wrócił i orał — tak przynajmniej myślał, dopóki nie ocknął się leżąc w bruzdzie i nic zobaczył nad sobą przechylonych rączek pługa, lemieszem jeszcze zagłębnym w ziemi, i muła między pasami, i zachodzącego słońca.

Potem kolacja, taka sama, jak wczorajsza i jak dzisiejsze śniadanie, i znów z latarnią w rękę przechodził przez pastwisko Houstona na miejsce, gdzie zostawił łopatę. Nie zobaczył Houstona siedzącego na sterwie palików, dopóki tamten nie wstał z fuzją przewieszoną przez lewe ramię.

— Odejdź — powiedział Houston. — I nie pokazuj się więcej na moim polu po zachodzie słońca. Jeżeli się chcesz zabić, to nie tutaj. Wraca. Nie mogę ci przeszkodzić w odpracowywaniu tej krowy za dnia, ale myślę, że potrafisz to zrobić w nocy.

Ale zniósł i to także. Bo wiedział, w czym tkwi sekret. Przekonał się na własnej skórze i przez prostą konieczność, że człowiek znieśli wszystko, jeżeli po prostu i spokojnie nie zgodzi się na to, jeśli się temu nie podporządkuje. Nawet sypiał teraz w nocy. I to nie tyle dlatego, że miał czas spać, lecz dlatego, że wolny od pośpiechu i gwałtu doznawał teraz czegoś w rodzaju spokoju. Zaorał resztę swego dzierżawionego pola, potem otworzył bruzdy, pracując na własnym polu, kiedy była piękna pogoda, i wykorzystując niepogodę na pracę u Houstona, skreślając każdy przepracowany dzień, który oznaczał pięćdziesiąt centów^f mniej na drodze do odzyskania krowy. Ale robił to wszystko bez pośpiechu, bez gwałtu. Kiedy nadeszła wreszcie wiosna i ziemia rozgrzała się na przyjęcie ziarna, i miał przed sobą długą przerwę w

pracy przy ogrodzeniu, bo zatrzymywały go roboty na własnym polu, wytrzymał to spokojnie, kupił ziarno kukurydzy i bawełny w sklepie Varnera i obsiewał swoje pole, lepiej i staranniej niż kiedykolwiek, bo teraz nie musiał już robić nic innego, tylko wypełnić czas aż do momentu, kiedy pójdzie znów na pole Houstona i roztopi we własnym pocie następne pół dolara. Bo cierpliwość stanowiła także punkt jego dumy: nie godzić się, skoro w ten sposób mógł ich pobić. On i mogą być chwilowo silniejsi niż on, ale nikt, żaden człowiek, nie potrafi czekać dłużej niż on, kiedy nic innego prócz czekania nie jest możliwe, nie może się udać i przydać się na coś.

Wreszcie zaszło słońce tego dnia, kiedy mógł odłożyć swoją cierpliwość razem z łopata, wiertnikiem i resztką drutu. Houston oczywiście także musiał wiedzieć, że to jest ostatni dzień. Prawdopodobnie Houston spędził cały ten dzień oczekując, aż Mink przyjdzie na łąkę, aby odebrać swoją krowę, w momencie kiedy słońce skryje się za drzewami na zachodzie; prawdopodobnie Houston spędził cały dzień od wschodu słońca w kuchni przy oknie, wypatrując kiedy on, Mink, przyjdzie odpracować ostatnie godziny i ukaże się już z postronkiem w rękę, by wziąć krowę. Rzeczywiście przez ten ostatni dzień, wykopując o- statnie doły i ugruntowując w nich nie ostatnie kołki, lecz Ich ostatnią obelgę — to użycie starego Willa Varnera jako narzędzia, by się przekonać, ile potrafi wytrzymać — wyobrażał sobie Houstona na próżno przejeżdżającego tam i z powrotem przez pastwisko, przetrząsającego wszystkie krzaki i zakątki w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógł ukryć postronek.

Tego postronka nawet z sobą nie przyniósł, pracując bez wytchnienia aż do chwili, gdy słońce zupełnie znikło z horyzontu, tak że nikt nie mógł mieć wątpliwości, czy dzień jest odpracowany do końca, i dopiero wtedy wziął łopata, wiertnik i narzędzia do rozciągania drutu, aby je zanieść z powrotem do szopy i u- stawić porządnie i starannie w rogu, tak by Houston czy Murzyn, czy ktokolwiek inny, kto by chciał na nie spojrzeć, nie mógł ich nie zobaczyć: sam nie rzucił okiem ani razu w stronę domu Houstona, ani razu nie zerknął na krowę, której nie mogło mu już odmówić żadne prawo, zanim zawrócił i przeszedł znowu przez łąkę w kierunku swojej chaty odległej o dwie mile.

Zjadł kolację spokojnie i bez pośpiechu, nie nasłuchując stapania krowy ani kogoś, kto mógłby ją tym razem przyprowadzić. Mógł to nawet być sam Houston. Ale zaraz później pomyślał, że Houston, tak jak on, niełatwo wpadał w popłoch. Z pewnością Will Varner sam zatroszczy się, by konstabl odprowadził krowę, teraz, gdy jej cena była odpracowana do o- statniego centa, a on, Mink, gryząc swój boczek i suchary i pijąc kawę z tym samym łagodnym, niemal uśmiechniętym wyrazem twarzy, wyobrażał sobie, jak Quick, potykając się i klnąc, przechodzi przez łąkę z liną w rękę, klnąc, że musi to robić po ciemku, kiedy on także wolałby być już w domu i, zrzuciwszy buty, jeść kolację. Mink obmyślał już sobie, przygotowywał zdanie, które mu powie: „Przepracowałem osiemnaście i pół dnia. Każdy z tych dni składa się z godzin światła i ciemności, więc ten jeszcze się nie skończył, aż dopiero jutro o świcie. Odprowadź tę krowę teraz tam, gdzie ty i Will Varner umieściliście ją osiemnaście i pół dnia temu, a ja przyjdę rano i wtedy ją odbiorę. I nie zapomnijcie powiedzieć Murzynowi, żeby ją wcześniej nakarmił, żeby nie musiał czekać”.

Ale nic nie usłyszał. I dopiero wtedy uświadomił sobie, że teraz oczekiwał krowy, można powiedzieć, liczył na jej powrót. Uczuł nagły dreszcz trwogi od

krywając, jak złudny był ten spokój, odzyskany, w jego mniemaniu, od czasu spotkania z Houstonera i jego strzelbą w nocy, dwa miesiące temu. Tak mało bU pewien tego, co uważał za spokój, że musiał stale czuwać nad sobą, gdyż wszystko mogło teraz cofnąć go z powrotem do momentu, kiedy Varner powiedział mu, że musi odpracować osiemnaście dolarów i siedemdziesiąt pięć centów, po pięćdziesiąt centów dziennie, by odzyskać swoją własną krowę. Teraz powinien pójść do swojej obory, by się upewnić, czy Quick nie wprowadził jej tam ukradkiem i nie uciekł. Trzeba będzie zapalić latarnię i iść szukać w ciemnościach tego, czego, jak wiedział, nie znajdzie. A na dobitkę musi jeszcze wytłumaczyć swojej żonie, dokąd idzie z tą latarnią. Oczywiście, że musiał to zrobić, krótkim i ordynarnym słowem przerywając żonie, kiedy mu powiedziała: — Dokąd idziesz? Zdawało mi się, że Jack Houston cię uprzedził — i dodając, nie dla wzmocnienia wyzwiska, lecz dlatego, że ona także nie dawała mu spokoju: — Chyba że ty zechcesz wyjść i zrobić to za mnie.

— Ty świntuchu! — zawołała. — Mówić takie rzeczy przy dziewczynkach!

— Oczywiście — powiedział. — Albo może zechcesz je tam posłać. Może obie naraz byłyby warte tyle, co jedna dorosła. Choć sądząc po tym, jak jedzą, jedna powinna wystarczyć.

Poszedł do stodoły. Krowy tam naturalnie nie było, jak dobrze wiedział. Rad był z tego. Cała ta sprawa — zważywszy, że nawet gdyby jeden z nich przyprowadził krowę do domu, musiałyby iść do stodoły, żeby się o tym upewnić — raczej wychodziła mu na dobre, ukazując zawczasu, zanim stało się coś naprawdę złego, Ich rzeczywisty zamiar: zaskoczyć go niespodziewanie, wstrząsnąć nim tak, by stracił równowagę, oszołomić i w ten sposób go pokonać. Nie mogli pobić go inaczej: nie pieniędzmi ani brakiem pieniędzy; nie mogli go przeczekać, mogli go tylko pokonać, wytrącając z równowagi i w ten sposób doprowadzić go z powrotem do tego stanu ślepej, rozjuszonej furii, która mu odbierała rozum.

Ale teraz czuł się dobrze. Wygrał. Kiedy weźmie postronek jutro rano i pójdzie po swoją krowę, nie Quick, ale sam Houston go spyta: „Dlaczegoś nie przyszedł wczoraj wieczorem? Osiemnaście i pół dnia skończyło się wczoraj o zmroku”. I samemu Houstonowi odpowie: „Na dniówkę składa się dzień i noc, to znaczy termin przypada dopiero dziś rano, byle pański Murzyn był dość uprzejmy, żeby ją nakarmić”.

Zasnął. Zjadł śniadanie — jutrzienka widziała, jak wchodził bez pośpiechu na łąkę do szopy Houstona, ze zwiniętym postronkiem pod pachą i jak oparł złożone ramiona na najwyższej poprzeczce płotu, z dyn- dającym swobodnie końcem postronka obserwując Murzyna z widłami i Houstona, zanim go ujrzeni. Powiedział:

— Dzień dobry, Jack. Przyszedłem po tę zasądzoną przez trybunał krowę, jeśli łaskawie zechce pan kazać swemu Murzynowi, żeby był tak uprzejmy i założył jej postronek. — Stał jeszcze oparty łokciami w tym samym miejscu, kiedy Houston przeszedł przez pole i zatrzymał się o jakieś dziesięć stóp od niego.

— Jeszcze nie skończyłeś — powiedział Houston. — Powinieneś odpracować jeszcze dwa dni.

— Dobrze, dobrze — powiedział spokojnie, prędko, niemal łagodnie. — Wiem, że człowiek, który ma oborę pełną rasowych byków i jałówek, nie mówiąc już

o nowym ogrodzeniu, długim na pół mili, zbudowanym całkiem za darmo, może się pomylić w rachunku tak drobnym jak parę dolarów, zwłaszcza osiemnaście i pół dolara. Ale ja mam tylko jedną krowę za osiem dolarów albo przynajmniej uważałem ją dotychczas

za wartość osiem dolarów. Nie jestem dość bogaty, żeby nie umieć policzyć do osiemnastu dolarów i siedemdziesięciu pięciu centów.

— Nie chodzi mi o osiemnaście dolarów — powiedział Houston. — Chodzi o...

— ... i siedemdziesiąt pięć centów,

— ... o dziewiętnaście dolarów. Winien mi jesteś jeszcze dolara.

Nie poruszył się, nie zmienił pozycji. Powiedział tylko:

— Jakiego dolara?

— Dolara za odszkodowanie — powiedział Houston. — Prawo mówi, że kiedy ktoś przyjął do swojej zagrody zablakane zwierzę, a właściciel nie zgłosił się po nie przed zmierzchem tego samego dnia, człowiek, który je miał u siebie, może żądać odszkodowania.

Stał zupełnie spokojnie, jego ręka nawet nie ścisnęła zwiniętej liny. — To dlatego tak skwapliwie starał się pan oszczędzić Łonowi kłopotu zabrania jej do swojej obory. Żeby dostać tego dodatkowego dolara.

— Do diabła z dodatkowym dolarem! — rzekł Houston. — Do diabła z Quickiem! Mógł ją zabrać, kiedy chciał. Zatrzymałem ją, żeby ci oszczędzić drogi do domu Quicka, gdzie musiałbyś jej szukać. Nie mówiąc już o tym, że ją karmiłem co dzień przez cały czas, czego Quick nie byłby robił. Łopata i kołek są tam w kącie, gdzieś je wczoraj zostawił wieczorem. Kiedy zechcesz...

Ale on już się odwrócił, już szedł spokojnym i pewnym krokiem, niosąc zwinięty postronek pod pachą, z powrotem przez łąkę, do drogi, nie do domu, ale w przeciwnym kierunku, do sklepu Varnera, odległego o cztery mile. Szedł w jasny pogodny ranek młodego lata, pośród okrytych pączkami drzew, gdzie derenie, osiki i dzikie śliwki od dawna już kwitły i przekwitły,

36

wśród obsadzonych pól, gdzie sterczały mocne i zdrowe łodygi bawełny i kukurydzy, niektóre nawet tak piękne jak jego własne (oczywiście ci, co je sadzili tutaj, nie mieli tyle wolnego czasu i spokoju, jakim on, według swego mniemania, rozporządzał podczas siewów). Deptał spokojnie bogatą, żyzną ziemię wiosenną, kipiącą życiem (oszalałe, iskrzące błyski, krzyki ptaków, królik, który zerwał mu się spod nóg, tak młody i szczupły, jakby miał tylko dwa wymiary, jeśli trzecim nie była jego szybkość) kierując się do sklepu Varnera.

Drewniany ganek nad drewnianymi wydeptanymi schodkami powinien być pusty o tej porze. Mężczyźni w kombinezonach, którzy po drzemce zazwyczaj cały dzień spędzali stojąc tu lub siedząc w kucki pod ścianą frontową albo w samym sklepie, teraz także musieli być w polu, zajęci oraniem bruzd lub naprawianiem płotów, czy wprowadzaniem, po raz pierwszy w tym roku, bron, łopat i kultywatorów pomiędzy łodygi. Rzeczywiście, sklep był zbyt pusty. Pomyślał: „Gdyby tylko Flem był tutaj”. Bo Flema nie było. On, Mink, wiedział, o ile ktokolwiek mógł wiedzieć, że ich miodowy miesiąc musi trwać, dopóki nie będą mogli wrócić do domu i powiedzieć w Sadybie Francuza, że dziecko, które z sobą przywieźli, urodziło się nie wcześniej niż w maju. Ale nawet gdyby nie to, znalazłoby się coś innego, nieobecność jego kuzyna wtedy, kiedy go potrzebował, była jeszcze jedną próbą, ciosem, udręczeniem. Wypróbowali go, nie po to, by się przekonać, czy przetrwa, bo co do tego nie mieli wątpliwości, lecz po prostu dla przyjemności patrzania, jak musi zrobić jeszcze coś dodatkowego, coś, czego robić właściwie nie miał żadnego powodu.

Tylko że Varnera także nie było. Mink nie spodziewał się tego. Był absolutnie przekonany, że On i nie pominą tej okazji: liczył, że zastanie sklep pełen

37

ludzi, którzy powinni być zajęci w polu — próżnujące, wyteżone uszy, które znajdują się tura przypadkiem, by wysłuchać, co Mink ma do powiedzenia Willowi Varnerowi. Ale nawet Varner wyszedł, w sklepie był tylko Jody i Lump Snopes, subiekt, którego Flem przysłał na swoje miejsce, kiedy odszedł stąd i ożenił się w zeszłym roku.

— Jeżeli pojechał do miasta, to nie wróci przed nocą — powiedział Mink.

— Nie do miasta — odparł Jody. — Pojechał obejrzeć młyn koło Punkin Creek. Powiedział, że wróci na obiad.

— Nie będzie go przed wieczorem — powiedział Mink.

— W takim razie — rzekł Jody — możesz wrócić do domu i przyjść znowu jutro rano.

Nie miał więc wyboru. Mógł zrobić pięć mil, żeby wrócić do domu i potem pięć z powrotem do sklepu, do południa było jeszcze dosyć czasu, jeżeli chciał się przespacerować. Albo mógł zostać w pobliżu sklepu aż do południa i czekać tam, póki stary Varner nie wróci akurat na kolację, czego należy się spodziewać, bo oni oczywiście nie zrezygnują z szansy zmuszenia go do straty całego dnia. Co by oznaczało, że będzie musiał spędzić pół nocy na kopaniu dołów do ogrodzenia pastwiska Houstona, jeżeli chce skończyć dwie dniówki do południa pojutrze, żeby zrobić to, co miał do zrobienia, ponieważ sam musiał także udać się do miasta.

Albo mógł iść do domu i zdążyłby akurat na obiad w południe, a potem przyszedłby tu z powrotem, skoro i tak już zmarnował cały dzień. Ale Oni z pewnością nie pominą tej szansy: ledwie zniknie z oczu, powóz ukaże się na drodze z Punkin Creek i wyskoczy zeń Varner. Toteż zaczął aż do południa, kiedy Jody wyjdzie z domu na obiad. Lump odkrajał kawałek sera i wziął garść sucharków.

— Może byś coś przegryzł? — powiedział Lump. — Varner nie zauważy.

— Nie — powiedział Mink.

— W takim razie zapiszę na twój rachunek, jeśli ci już tak chodzi o te kilka groszy Vamera — rzekł Lump.

— Nie jestem głodny — powiedział. Ale istniało coś, co mógł robić, pewne przygotowania, jakie mógł tymczasem poczynić, bo to nie było daleko. Poszedł więc tam, na miejsce, które już wybrał, i zrobił, co było trzeba, bo wiedział już, co Varner mu powie, po czym wrócił do sklepu i oto w połowie popołudnia, dokładnie tak, żeby dzień pracy można było uznać za skończony, nadjechał wóz i Varner wysiadł. Uwią- zywał lejce do zwykle wybieranego w tym celu słupa przy ganku, kiedy Mink zbliżył się do niego.

— No i co? — zapytał Varner. — Czego chcesz?

— Małej porady prawnej — rzekł Mink. — Chodzi mi o tego dolara odszkodowania.

— Co takiego?

— Ano tak — mówił Mink spokojny i beztroski, z twarzą łagodną i spokojną, tak jakby się uśmiechał. — Myślałem, że już skończyłem odpracowywać te trzydzieści siedem i pół dnia, pół dolara dziennie, wczoraj o zachodzie słońca. Ale kiedy poszedłem po krowę dziś rano, okazało się, że jeszcze nie skończyłem i że jeszcze jestem winien dwa dni pracy jako odszkodowanie.

— Do wszystkich diabłów rogatych! — zaklął Varner. Stał nad niższym od niego człowieczkiem. — Czy Houston ci to powiedział?

— Tak jest.

— Do stu rogatych diabłów! — powtórzył Varner. Wyciągnął z bocznej kieszeni ogromny portfel, zni

szczony i obwiązany rzemykiem jak walizka, i wyjął banknot dolarowy. — Masz — powiedział.

— A więc Prawo mówi, że muszę zapłacić jeszcze dolara, zanim odbiorę moją krowę?

— Tak. — oświadczył Varner. — Jeżeli Houston tego żąda. Weź tego dolara.

— Nie potrzebuję go — powiedział odwracając się, by odejść. — Ja i Houston mamy rachunki nie na pieniądze, tylko na jamy do kołków w płocie. Chciałem tylko wiedzieć, co mówi Prawo. A jeżeli to jest zgodne z Prawem, to uważam, że człowiekowi, szanującemu Prawo tak jak ja, nie zostaje nic innego, tylko się mu poddać. Bo jak ludzie nie będą się trzymać Prawa, to po co ten cały kłopot i wydatki na sądy i prawników?

— Zaczekaj — powiedział Varner. — Nie wracaj tam. Nie idź do Houstona. Idź do domu i czekaj. Przyprowadzę ci tę krowę, jak tylko złapię Quicka.

— Wszystko w porządku — odparł Mink. — Może nie dam rady wykopać tyle jam do kołków w płocie, ile Houston ma dolarów, ale na te dwa dni jeszcze mi starczy siły.

— Mink! — wołał Varner. — Mink! Wracaj tu! — Ale on już odszedł. Teraz już nie było po co się śpieszyć, dzień był i tak stracony. Aż do następnego ranka, a wtedy znów znalazł się na nowym pastwisku Houstona i pracował do zachodu słońca. Tym razem schował narzędzia pod krzakiem, tak jak robił dawniej, kiedy miał powrócić nazajutrz, i poszedł do domu, zjadł kawałek boczku z mącznym sosem i nie dopieczone placki. Mieli w domu jeden zegar, budzik, nastawił go na jedenastą i o jedenastej wstał. Zostawił sobie przedtem kawę w dzbanku i trochę zimnego mięsa zastygłego w rondlu, z dwoma plackami, tak że była niemal dokładnie północ, kiedy dzi

kie szczekanie psa myśliwskiego zwabiło Murzyna do drzwi i on, Mink, powiedział:

— Tu pan Snopes. Przychodzę się zameldować do pracy. Jest akurat północ i trzeba przestemplować kartę. — Bo musiał to zrobić, żeby odejść w południe. A Oni — Houston — śledzili go wciąż, bo kiedy w południe poszedł odnieść narzędzia w kąć szopy, jego krowa stała już uwiązana do słupa. Odwiązał ją, okręcił postronek wokół rogów i tym razem nie prowadził jej, ale biegnąc pędził krowę przed sobą, uderzając po grzbiecie końcem sznura.

Bo teraz nie starczyłoby mu czasu na to, żeby ją zagnać z powrotem do domu i wyprowadzić na pole. Nie miał także czasu zjeść obiadu, dziś zno^T.vu, skoro musiał przebyć jeszcze pięć mil, choćby nawet na przełaj, żeby złapać wóz pocztowy, zanim odjedzie do Jefferson sprzed sklepu Varnera o drugiej, bo u Varnera nie można było dostać naboju do dziesiątki. Ale jego żona i córki siedziały przy stole, co przynajmniej pozwalało uniknąć kłótni, konieczności przeklinania ich w milczeniu, a może nawet i uderzenia żony, żeby móc podejść do kominka, wyjąć luźno wsadzoną cegłę i zabrać z ukrytej za nią puszkę do tabaki jedyny pięciodolarowy banknot, który zachowali tam mimo wszystko, tak jak właściciel statku zachowuje zawsze jakąś boję czy koło ratunkowe, choćby sprzedał, zastawił czy przegrał wszystko inne. Bo miał pięć naboju do swojej starej strzelby kaliber 10, od śrutu na ptaki do numeru 2 na indyki czy gęsi. Ale miał je od lat, nie pamiętał już od jak dawna, zresztą nawet gdyby mu zagwarantowano, że wystrzela, Houston zasługiwał na coś lepszego niż to.

Złożył więc banknot starannie i schował do kieszonki na piersiach, złapał wóz pocztowy i około czwartej za ostatnią doliną ukazały się pierwsze domy Jefferson. Przez prostą ostrożność zwykłym instynktownym

gestem dotknął palcem kieszonki na piersi, polem nagie i nerwowo, choć sam pozornie trwał bez ruchu, wepchnął rękę do pustej teraz kieszonki, gdzie, jak wiedział, umieścił przedtem starannie złożony banknot; siedział obok woźnicy, podczas gdy wóz zaczął zjeżdżać z pagórka. „Muszę to zrobić — myślał — więc równie dobrze mogę to zrobić zaraz” — i wtedy powiedział spokojnie, głośno: — No tak, teraz nie mam już tego banknotu.

— Co? — spytał woźnica.

— Pięć dolarów, które były w mojej kieszeni, kiedy wsiadłem przed sklepem Varnera.

— Coś ty, łobuzie, oszalał! — rzekł woźnica. Skierował wóz na bok drogi, stanął i owinąwszy lejce wokół tulei zeskoczył i podszedł do Minka z drugiej strony wozu. — Wysiadaj — powiedział. „Teraz muszę się z nim bić — pomyślał Mink. — A nie mam noża i prawdopodobnie on mnie uderzy, zanim zdążę sięgnąć po kij. Toteż lepiej dać temu spokój.”

I wyskoczył z wozu. Woźnica zostawił mu akurat tyle czasu, żeby zdążył podnieść swoje małe i bezsilne ręce do góry. Nastąpił gwałtowny cios, którego Mink nawet nie odczuł zbyt mocno, raczej czując twardą płaszczyznę ziemi, o którą uderzyły jego plecy, i leżał tam, niemal spokojny, patrząc, jak woźnica oddala się razem z wozem.

Potem wstał. Myślał: „Nie tylko mogłem zaoszczędzić sobie tej podróży, mogłem mieć jeszcze swoje pięć dolarów.” Ale tylko przez króciutką chwilę, - już był na drodze, już szedł pewnym krokiem do miasta, jakby wiedział, co ma teraz robić. I tak było rzeczywiście; przypomniał sobie już: dwa, trzy lata temu, kiedy Solon Quick, czy Vernon Tull, czy ktokolwiek to był, zobaczył niedźwiedzia, ostatniego niedźwiedzia w tej okolicy, jak przechodził przez groblę przy młynie Varnera, a potem zniknął w kniei, urządzono polowanie i ktoś pojechał konno do Jefferson, żeby sprowadzić Ike'a MacCaslina i Waltera Ewella, najlepszych myśliwych w okolicy, a ci wyszli z nabojami na grubą zwierzynę i psami do szczucia niedźwiedzia i jelenia, rozstawili naganiaczy i przetrząsnęli całą dolinę, gdzie widziano niedźwiedzia, ale go nie znaleźli. Toteż wiedział, co robić, a przynajmniej, gdzie próbować, zanim przeciąwszy plac wszedł do sklepu z żelastwem, którego MacCaslin był współwłaścicielem. Kiedy zobaczył oczy MacCaslina, pomyślał spokojnie: „To na, nic. On spędził za wiele czasu w lesie pośród jeleni, niedźwiedzi i panter, co to albo są, albo ich nie ma, człowiek je widzi od razu albo wcale i nic mu w oczach nie migoce. Nie uwierzy w kłamstwo, nawet gdybym potrafił je przed nim wypowiedzieć”. Ale musiał spróbować.

— Po co ci dwie brenki na kozła? — spytał MacCaslin.

— Murzyn przyszedł dziś rano i powiedział, że widział ślady niedźwiedzia w błocie koło Blackwater.

— Nie — zaprotestował MacCaslin. — Po co ci brenki?

— Zapłacę panu zaraz po odziarnieniu bawełny — powiedział Mink.

— Nie — powiedział MacCaslin. — Nie dam ci ich. w Sadybie Francuza nie ma nic, do czego byś potrzebował strzelać śrutem.

Nie to, żeby był bardzo głodny, chociaż nie jadł nic od północy, ale po prostu musiał przecież spędzić gdzieś czas do rana i spytać się, czy woźnica zechce go podwieźć do sklepu Varnera, czy nie. Wiedział o małej jadalni na bocznej ulicy, jej właściciel, komiwojażer sprzedający maszyny do szycia, nazwiskiem Ratliff, znany był dobrze w Sadybie Francuza. Tam, gdyby miał pół dolara albo nawet czterdzieści

centów, mógłby zjeść dwa siekane kotlety i kilka bananów i jeszcze by mu zostało dwadzieścia pięć centów.

Za to mógłby dostać łóżko na noc w Hoteiu Handlowym (nie malowany piętrowy budynek, drewniany, także w bocznej uliczce, jego kuzyn Flem miał go kupić w dwa lata później, o czym, naturalnie, Mink także nie mógł wiedzieć. Nie zaczął jeszcze myśleć o swoim kuzynie ani razu, odkąd wszedł wczoraj rano do sklepu Varnera, gdzie, aż do wyjazdu jego i jego żony do Teksasu, w sierpniu zeszłego roku, pierwszą osobą, jaką musiałby zobaczyć wchodząc, byłby Flem), ale potrzebował tylko spędzić jakoś czas do godziny ósmej następnego ranka, a gdyby wypełnianie czasu kosztowało pieniądze w gotówce, Mink byłby już w przytułku dla biednych od wielu lat.

Zapadł już wieczór, zapalono latarnie naokoło placu, światła z drugstore'u padały ukośnie rzucając na bruk różowe i zielone smugi od wypełnionych różowym i zielonym płynem słoików w oknach; widział kontuar z wodą sodową, młodych ludzi i strojnie ubrane dziewczęta, jedzące i pijące smaczne różnokolorowe słodkości; mógł obserwować pary, młodych ludzi i dziewczęta lub starszków z dziećmi, zdążających w jednym kierunku. Potem usłyszał muzykę, ktoś grał głośno na fortepianie. Poszedł za tłumem i zobaczył nie zabudowany teren, ogrodzony wysoką palisadą i oświetlone okienko, gdzie sprzedawano bilety. Nazywało się to „Niebo”, widział to miejsce już nieraz z daleka, za dnia, kiedy jeździł w sobotę do miasta, a trzy razy także w nocy, oświetlone jak teraz. Ale nigdy nie wchodził do środka, bo poprzednio, kiedy był w Jefferson wieczorem, przyjechał na mule z Sadyby Francuza, z towarzyszami tej samej płci i wieku, żeby wsiąść na pociąg do Memphis i iść do burdelu z kilkoma dolarami w kieszeni; wyrwał je jakby żywcem ze swojej tygodniowej płacy, tak jak wyrwał te dwa dni nieobecności, które musiał później odpracować, gdyż wtedy rozpalało mu krew pragnienie potężniejsze i bardziej naglące niż chęć obejrzenia filmu.

Tym razem miał te dziesięć centów na bilet. Stał jednak na uboczu, podczas gdy rząd widzów posuwał się powoli w stronę okienka, póki nie wszedł ostatni. Potem oślepiający blask, padający zza płotu, zmienił się w zimne mrugające światło. Zbliżywszy się do ogrodzenia, zajrzał przez szparę. Zobaczył rząd ciemnych, nieruchomych głów, nad którymi tryskał wirujący snop światła rozszczepiony na migotliwe, niespokojne cienie, gdzie tańczyły i migoły nieuchwytnie nadzieje i marzenia, kuszące jak owoce Tan-tala, i ułamkowe, bo mógł tylko dojrzeć wąską pionową smugę, i po chwili głos z okienka odezwał się za jego plecami:

— Zapłać dziesiątkę i wejdź do środka. Berhiesz lepiej widział.

— Nie, dziękuję — powiedział. I odszedł. Rynek był teraz pusty do czasu zakończenia pokazu w kinie, gdy młodzi ludzie, chłopcy i dziewczęta, bez pośpiechu pójda jeść i pić rzeczy, których on nigdy na wenie skosztował, a potem spacerem wróca do swoich domów. Spodziewał się zobaczyć automobil. Było ich już dwa w Jefferson: czerwony wóz wyścigowy majora de Spain i White Steamer, własność dyrektora dawnego banku (pułkownik Sartoris, drugi bogaty dyrektor banku, nowego banku, nie tylko nie chciał mieć samochodu, ale kazał wprowadzić trzy lata temu uchwałę, zakazującą jazdy automobilem po ulicach Jefferson, po tym wypadku, kiedy domowej produkcji pojazd mechaniczny, który facet nazwiskiem Buffaioe zmajstrował sam na podwórzu, spłoszył konie pułkownika, tak że poniosły). Ale nie widział ani jednego.

ani drugiego. Plac był jeszcze pusty, kiedy przeszedł na przeciwległy chodnik. Potem hotel, Holston House, gdzie komiwojażerowie siedzieli w skórzanych fotelach wzdłuż chodnika w ten pogodny wieczór. Jeden z wagonów już podstawiono z remizy i tragarz Murzyn ładował bagaże i skrzynie z próbkami towarów do pociągu idącego na Południe.

Toteż lepiej było iść dalej, żeby zdążyć na czas, choć cztery oświetlone tarcze zegara na szczycie ratusza wskazywały zaledwie dziesięć po ósmej, a wiedział z własnego doświadczenia, że pociąg do Nowego Orleanu przez Memphis przychodził do Jefferson dopiero dwie minuty przed dziewiątą. Ale wiedział też, że pociągi towarowe mogą przejeżdżać niemal o każdej godzinie, nie mówiąc już o znanym mu drugim pociągu pasażerskim, który szedł na północ o pół do piątej. Toteż jeśli spędzi tu noc, nie ruszając się nigdzie, z pewnością zobaczy dwa, a może nawet pięć i sześć pociągów przed świtem.

Minął więc plac i szedł wzdłuż domów, gdzie starzy ludzie, którzy nie poszli do kina, kołysali się w fotelach na bieżniach w chłodnym mroku podwórek, potem dzielnicę murzyńską z elektrycznym oświetleniem, spokojny i bez troski, ponieważ nie trzeba było już wysilać się walcząc w pojedynkę, nie o prawa i sprawiedliwość dla siebie, bo to już było stracone, lecz w obronie samej zasady, swoich praw do sprawiedliwości; mógł teraz pogadać chwilę, a nawet wejść do murzyńskiego domu i przespać się, zamiast iść na stację, po to tylko, by mieć na co popatrzeć do odjazdu tego głupiego wozu pocztowego jutro rano o ósmej. Potem stacja kolejowa: czerwone i zielone oczy semaforów, omnibus hotelowy, wagony odstawiane do remizy i automobil Lucjusza Hogganbecka, oświetlone elektrycznością długie pudło, pełne mężczyzn i chłopców, którzy przyszli, żeby zobaczyć prze

jeżdżający pociąg, i byli tu już poprzednio trzy razy, kiedy on wysiadał z tego pociągu, patrząc na niego, Minka, jakby przyjechał z miejsca o wiele bardziej oddalonego niż dom publiczny w Memphis.

Wreszcie sam pociąg: cztery gwizdy od skrzyżowania torów, potem światło, ryk zbliżającej się lokomotywy, maszynista i palacz przykucnięci w kłębach pary, zwalnijące wagony bagażowe, potem pasażerskie dzienne, wagon restauracyjny i sypialny. Pociąg stanął, wysiadł Murzyn z twarzą jeszcze bezczelniejszą niż parobek Houstona, z podnóżkiem do wsiadania w rękę, potem konduktor; bogaci mężczyźni i kobiety wsiadali pod eskortą Murzyna z podnóżkiem i konduktora do wagonu, w którym inni bogacze już spali. Konduktor wychylił się, by dać znak lokomotywie, a lokomotywa odpowiedziała krótkimi urywanymi gwizdkami, zanim ruszyła.

Potem dwa czerwone światełka ostatniego wagonu znikły jednocześnie za ostatnim zakrętem, cztery stłumione gwizdy oznajmiły wjazd pociągu na tor południowy i Mink zaczął myśleć o dalekich miastach, o Nowym Orleanie, gdzie nigdy nie był i pewnie nigdy nie będzie, o miejscach jeszcze dalszych niż Nowy Orlean, o Teksasie, który gdzieś musiał być między nimi, i teraz, po raz pierwszy, zaczął myśleć o swoim nieobecny kuzynie, jedynym ze wszystkich Snopesów, który naprawdę wydzwignął się w górę, wyzwolił, bo albo urodził się już z tą zdolnością, albo posiadał ją z czasem, wyuczony przez siebie samego trafnych chwytów, które pozwalały mu zostać przy swoim i mierzyć się z N i m i, trzymać I c h z daleka, do czego on, Mink, albo nie miał dość siły, albo dość szczęścia. „Może lepiej było czekać, aż wróci” — pomyślał i przeszedł na pusty już peron, zauważwszy dopiero teraz, że nie pomyślał „lepiej zaczekać”, lecz „lepiej było czekać”, jakby już było

za późno.

4?

Poczekalnia, gdzie siały drewniane ławki i wystyg- i y żelazny piecyk opluty tytoniem, także była pusta. Wiedział, że na niektórych stacjach wiszą tabliczki z napisami zakazującymi plucia na podłogę, ale nic mu nie było wiadomo o napisach, które zabraniałyby u- siaść w poczekalni człowiekowi bez biletu. W każdym razie dowie się, jak to jest; mały, chudy człowieczek, który nie spał i nie jadł od dwudziestu dwóch godzin, w tej pustej, nagiej sali, oświetlonej jedyną zakopconą żarówką bez klosza, wydawał się tak bezbronny i żalony jak dziecko, nieletni chłopiec w spłowiałym, wylatanym kombinezonie, twardych jak żelazo butach na gołe nogi i czarnym wytłuszczo- | nyin filcowym kapeluszu. Zza okienka, gdzie sprzeda- i wano bilety, dochodził nieprzerwany klekot maszyny i telegraficznej i głosy, ilekroć telegrafista zamieniał j z kimś kilka słów od czasu do czasu; potem głosy ci- ; chły i telegrafista w zielonym daszku ochronnym nad • oczyma spoglądał na niego z okienka.

•— Pan sobie czegoś życzy? — spytał. j

— Nie, dziękuję — powiedział Mink. — Kiedy przy- j jeżdżą następny pociąg?

— Czwartą dwadzieścia dwie — odpowiedział tele- | grafista. — Pan czeka na ten pociąg?

— Tak.

— To ma pan jeszcze sześć godzin. Może pan iść do domu i przespać się, a potem wrócić.

— Mieszkam nie tu, w Sadybie Francuza.

— Ach tak — powiedział telegrafista. Jego twarz znikła z okienka i usiadł z powrotem do maszyny.

Dokoła było bardzo cicho i słyszał teraz głosy świerszczy w ciemnych drzewach za torami, nieustające monotonne cykanie, niby głos spokojnych minut i sekund ciemnej, spokojnej letniej nocy, szepczących jedna drugiej swoje tik-tak. Potem cztery ściany zatrzęsły się, wypełniły grzmotem: przejeżdżał pociąg towarowy, ale nawet wtedy nie mógł się dostatecznie rozbudzić, żeby wyjść na peron. Siedział wciąż na twardej ławce, skulony, zziębnięty, kiedy rubinowe światelka ostatniego wagonu zamigotały w oknie, a potem w otwartych drzwiach, unosząc za sobą dudnienie kół. Cztery gwizdy na skrzyżowaniu torów rozdarły powietrze i wkrótce ucichły. Tym razem telegrafista był wraz z nim w poczekalni i żarówka się nie paliła.

— Pan spał? — zapytał.

— Przegapiłem ten pociąg.

— Czemu pan się nie wyciągnie wygodnie na ławce?

— Nie ma zakazu?

— Nie — odpowiedział telegrafista. — Zawołani pana, kiedy będzie przejeżdżał następny.

— Dziękuję bardzo — powiedział i położył się na ławce. Telegrafista wszedł z powrotem do swego po-koiku, gdzie maszyna zaczęła już klekotać na nowo.

„Tak — myślał spokojnie. — Gdyby Flem był tutaj, mógłby powstrzymać to wszystko od razu pierwszego dnia, kiedy się zaczęło. Pracując tak, jak pracował dla Varnera, i żyjąc dobrze z Houstonem, Quic-kiem i całą resztą. Mógłby to zrobić teraz, gdybym tylko zaczekał. Tylko że to nie ja nie mogłem czekać. Sam Houston nie dał mi czasu." Potem błyskawicznie zrozumiał, że to też było błędne, że choćby ' nie wiem jak długo czekał, O n i sami nie dopuściliby, żeby Flem zjawił się w porę. Musi wypić jeszcze i ten puchar: musi stawić czoło, przyjąć to ostatnie, bezużyteczne i niedorzeczne ryzyko tylko po to, by okazać, ile może wytrzymać, zanim O n i pozwolą kuzynowi wrócić i go ocalić. Na dzień tego pucharu było także życie Houstona, ale nie myślał o nim. Właściwie przestał myśleć o Houstonie w tej samej chwili, gdy Varner powiedział mu, że musi zapłacić od-

szkodowanie. — W porządku — powiedział spokojnie, głośno tym razem. — Jeżeli tego chcą, to mi się tak zdaje, że i to także wytrzymam.

O pół do ósmej stał na małym podwórku za pocztą, gdzie wozy pocztowe czekały, aż zaczną do nich łądować worki z listami i paczkami. Zobaczył wóz, który miał jechać do Sadyby Francuza, i stanął obok, spokojnie, nie za blisko, w takim miejscu, że woźnica nie mógł go nie zauważyć. Wtedy człowiek, który go wypchnął z wozu poprzedniego dnia, zobaczył go i poznał od razu, zbliżył się i załadował worek zawierający pocztę. Mink nie, poruszył się, stał wciąż w tym samym miejscu, czekając, aż mu odmówią lub nie odmówią, i wreszcie woźnica wsiadł, rozwiązał lejce okręcone wokół tulei i powiedział: — No dobrze. Zdaje mi się, żeś powinien wrócić do swego żniwa. Wsiadaj. ■— Mink podszedł więc i wskoczył,

Było parę minut po jedenastej, kiedy wysiadł przed sklepem Varnera, powiedział: — Dziękuję — i ruszył w pięciomilową drogę do domu. Przyszedł tam akurat na obiad i jadł spokojnie, słuchając złorzeczeń i lamentów żony (widocznie nie zauważyła jeszcze poruszonej cegły), pytającej, gdzie spędził noc i dlaczego, aż do momentu, gdy skończył jeść i wypił ostatni łyk kawy, po czym, obrzuciwszy żonę i córki stekiem ordynarnych przekleństw, wypchnął je z trzema motykami w pole do pielienia pierwszych pędów bawełny, a sam położył się na podłodze w sieni, w świeżym podmuchu napływającym z otwartych drzwi i okna i przespał całe popołudnie.

Nadszedł ranek następnego dnia. Wyciągnął z kąta za drzwiami olbrzymią dubeltówkę należącą jeszcze do jego dziadka, z dwoma kurkami, które sterczały wysoko jak uszy królika.

— Co to znów? — krzyknęła jego żona. — Gdzie z tym chcesz iść?

— Na królika — powiedział. — Mam już dość solonej słoniny.

I z dwoma najcięższymi nabojami ze swego nędznego zapasu wyszedł, wybierając nawet nie boczne drogi i ścieżki, lecz krzaki, ploty i rowy, wszystko, cokolwiek mogło go zasłonić i pozwolić dotrzeć niepostrzeżenie do miejsca, w którym przygotował zasadzkę dwa dni temu, czekając na powrót Varnera, tam gdzie droga z domu Houstona do sklepu prowadziła przez mostek na strumieniu. Była tam kępa drzew przy drodze, kłoda, na której można było usiąść, i kilka świeżo złamanych młodych gałązek w miejscu, gdzie zrobił otwór, by móc wycelować z dubeltówki. Deski drewnianego mostku w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów miały mu dać sygnał, skoro tylko uderzą w nie kopyta ogiera, w razie gdyby zasnął. Czasem Houston przez cały tydzień nie jeździł do sklepu Varnera, ale prędzej czy później musiał tędy przejechać. A jeżeli na to, by Ich pobić, Mink potrzebował tylko czekać, O n i mogli byli zrezygnować już trzy miesiące temu i oszczędzić kłopotów sobie i innym. Toteż nie tylko pierwszego i drugiego dnia wrócił do domu bez królika, zjadał kolację w niezmaconym i nieubłaganym milczeniu wśród złorzeczeń żony, wypominającej, że nie przyniósł królika, póki nie odsunął pustego talerza i nie zaczął kłąć chłodnym, monotonnym głosem, tak że umilkła.

Może nawet nie był to trzeci dzień. Właściwie nie pamiętał, ile dni minęło, gdy wreszcie usłyszał nagle dudnienie kopyt na mostku, a potem zobaczył ich: o- giera toczącego z pyska pianę, rzucającego wyniosłą, złośliwą głową i wielkiego psa biegnącego w długich susach tuż przy nim. Odwiódł dwa kurki i wepchnął strzelbę w otwór między gałęziami, a gdy celował w klatkę piersiową Houstona, z palcem opartym już na przednim cynglu, pomyślał: „Nawet teraz Oni nie

są jeszcze zadowoleni" — i gdy pierwszy nabój szczęknął głucho nie wybuchając, a palec sunął już do tylnego kurka, pomyślał: „I nawet teraz”, i kiedy huknął strzał, pomyślał, że gdyby tylko huk strzelby i moment uderzenia kuli rozdzielała jakaś odległość w czasie, jakaś przestrzeń, on zdążyłby powiedzieć, a Houston usłyszeć: „Strzelam do ciebie nie za te trzydzieści siedem i pół dnia pracy. To jest w porządku, to już dawno zapomniałem i wybaczyłem. Will Varner też nie mógł zrobić nic innego, sam będąc bogatym człowiekiem, bo wy bogaci musicie siebie popierać nawzajem, inaczej pewnego dnia ci, co nie są bogaci, mogą się zbuntować i odebrać wam wasze bogactwo. Nie dlatego do ciebie strzeliłem. Zabiłem cię za tamtego dodatkowego dolara odszkodowania”.

Tak więc przysięgli orzekli: „Winien”, a sędzia powiedział: „Skazany dożywotnio”, ale on nawet nie słuchał. Bo coś się z nim stało. Nawet wtedy, gdy szeryf wiozł go do miasta, tego pierwszego dnia, chociaż wiedział, że jego kuzyn Flem jest jeszcze w Teksasie, wierzył wciąż, przy każdym słupie milowym doznawał wrażenia, że Flem lub jego wysłannik ukaże się na drodze, dogoni ich i zatrzyma, pieniędzmi czy słowem, i cała sprawa zostanie zatuszowana, wszystko pierzchnie jak sen.

A przez wszystkie długie tygodnie, gdy czekał w więzieniu na rozprawę, stał przy małym okienku celi, uczepony krak, przyciskając do nich twarz i patrzył na skrawek ulicy przed więzieniem i skrawek placu, który musiał przebyć jego kuzyn, żeby wejść do więzienia i rozproszyć zły sen, wyzwolić go, wydostać stąd. „Bo też niczego więcej nie chcę — mówił sobie. — Tylko wyjść stąd i wrócić do domu, na farmę. Nikt chyba nie powie, że żądam za wiele.”

I nocą także stał tam, z twarzą niewidzialną, ale jego zsiniałe ręce wydawały się prawie białe, prawie czyste w ponurym mroku celi, i patrzył na wolnych ludzi, mężczyzn, kobiety i młodzież, którzy przed sobą mieli tylko jakieś spokojne sprawy do załatwienia lub rozrywkę, kiedy śpieszyli, w świeży wieczór letni, w kierunku Rynku, żeby obejrzeć film albo zjeść

Jody w drugstorze, albo po prostu przejść się spokojnie i swobodnie, bo byli wolni. A on zaczął z czasem wołać do nich, nieśmiało z początku, potem coraz głośniejsze, coraz natarczywiej, tak że przystawali, jakby przestraszeni, by spojrzeć w jego okienko, a potem przyspieszali kroku, jakby chcieli się znaleźć tam, gdzie nie mógł ich widzieć. W końcu zaczął im proponować, obiecywać pieniądze: „Ej, proszę pana, proszę pani! Kto się podejmie wysłać dwa słowa do sklepu Varnera, dla Flema Snopesa? On państwu zapłaci. Dziesięć dolarowi Dwadzieścia dolarów!”

A kiedy wreszcie nadszedł dzień, gdy go zaprowadzono z kajdanami na rękach do sali, gdzie musiał stawić czoło swemu zagrożonemu losowi, nie spojrział nawet w stronę ławy sędziów, która mogła być jego Golgotą, bo patrzył, szukając w tłumie pośród bladych, identycznie podobnych, bezimiennych twarzy tej, która była twarzą jego kuzyna lub przynajmniej jego wysłannika; aż do momentu, kiedy sam sędzia musiał przechylić się przez wysoki pulpit i zawołać:

- Ej, Snopes, proszę spojrzeć tu! Zabił pan czy nie zabił Jacka Houstona? — A on odpowiedział:
- Dajcie mi teraz spokój! Nie widzicie, że jestem zajęty?

Następnego dnia także, podczas gdy adwokaci krzyczeli, kłócili się między sobą, nie słyszał ani jednego słowa, choćby nawet mógł je zrozumieć, bo patrzył na drzwi w głębi, przez które jego kuzyn lub ktoś przez niego wysłany będzie musiał wejść; a gdy go prowadzono z powrotem do celi, wciąż w kajdankach, jego nieugięte spojrzenie z początku niespokojne i niecierpliwe, później nieco stroskane, pytające i poważne, wędrowało szybko od twarzy do twarzy mijanej w przejściu, by zatrzymać się w końcu za okienkiem jego celi, którego kraty obejmował swoimi nie umyтыми rękami i przyciskał do nich twarz,

54

wyęzając wzrok w stronę ulicy i Rynku, którędy będzie musiał przejść jego kuzyn lub wysłannik.

Toteż kiedy trzeciego dnia, wciąż skuty jedną ręką ze strażnikiem, uświadomił sobie, że przeszedł przez Rynek nie patrząc na żadną z twarzy w tłumie pośród ludzi przyglądających mu się z otwartymi ustami, a znalazłszy się w sali sądowej nie rzucał już spojrzeń na drzwi w głębi — nie śmiał jeszcze przyznać sam przed sobą, że wie dlaczego. Siedział tylko na swoim miejscu, mały, słaby i nieszkodliwy, jak obdarte dziecko, podczas gdy przedstawiciele prawa toczyli dysputy, aż do końca tego dnia, kiedy przysięgli orzekli: „Winien”, a sędzia oświadczył: „Skazany dożywotnio”, i zaprowadzono go w kajdankach znów do celi. Drzwi zatrasnęły się za nim i teraz siedział spokojny, cichy, nieruchomy na żelaznej pryczy bez materaca, spoglądając tylko od czasu do czasu w stronę małego okratowanego okienka, przy którym wystawał całe miesiące przez szesnaście lub osiemnaście godzin dziennie w nieustającym wyczekiwaniu i nadziei.

Wtedy dopiero powiedział sobie, pomyślał, pozwolił przybrać tej myśli kształt w swoim mózgu: „On nie przyjdzie. Pewnie był w Sadybie przez cały ten czas. Na pewno słyszał o tej krowie już w Teksasie i tylko czekał, aż go zawiadomią, że jestem w więzieniu, i wrócił, żeby się upewnić, że mogą zrobić ze mną, co chcą, teraz, kiedy nie potrafię się bronić. Mógł być nawet przez cały czas ukryty gdzieś w kącie sali, żeby mieć pewność, że niczego nie zaniedbano, zanim w końcu nie uwolni się ode mnie na fest”.

Tak więc teraz odzyskał spokój. Przedtem myślał, że ma spokój od chwili, kiedy uświadomił sobie, co musi zrobić z Houstonem, i że sam Houston nie pozwoli mu czekać na powrót Flema. Ale pomylił się. Wtedy to nie był spokój, za dużo w nim było obaw,

na przykład niepewności, czy ktoś zawiadomi Flema

o jego kłopotach, a zwłaszcza, czy go zawiadomi w porę. Albo, jeśli wiadomość zostanie wysłana dość wcześnie — czy dość wcześnie dotrze do Flema. A nawet gdyby Flem dostał ją w porę, jakaś powódź albo katastrofa kolejowa mogły mu przeszkodzić w przybyciu na czas.

Ale teraz wszystko się skończyło. Nie musiał się już

o nic troszczyć ani niepokoić, skoro pozostało mu tylko czekać, a już sobie był dowiódł, że to potrafi. Po prostu czekać, nic innego nie było mu potrzebne, bo sam adwokat powiedział, że przyjdzie do niego po kolacji.

Zjadł więc kolację, gdy mu ją przyniesiono — taki sam kawałek boczku i melasa, i nie dopieczone placki kukurydziane, jakie zjadłby w domu, a nawet trochę lepsze, gdyż boczek był mniej tłusty od tego, na który mógł sobie pozwolić w domu. Tyle tylko, że ten posiłek w domu byłby zjedzony na wolności. Ale to także mógł znieść, jeśli Oni nic więcej od niego nie żądali. Potem usłyszał kroki na schodach, drzwi otworzyły się przed adwokatem i zatrzasnęły z powrotem. Adwokat był młody i gorliwy, świeżo po studiach prawniczych, jak mu powiedziano, i sędzia wybrał go — a raczej wyznaczył — z urzędu, bo nawet on, Mink, choć tak wówczas zajęty swoimi sprawami, mógł stwierdzić, że tamten człowiek bynajmniej nie odczuwa potrzeby zrozumienia ani podzielenia jego potrzeb, Mink właściwie nie wiedział dlaczego, bo myślał, że wszystko, co powinien zrobić sędzia czy ktokolwiek, by załatwić całą sprawę, to tylko posłać do Sadyby Francuza po jego kuzyna. Za młody i za bardzo gorliwy i dlatego właśnie (on, adwokat) tak pokpił sprawę. Ale teraz to także nie miało już znaczenia, chodziło tylko o to, co miało nastąpić. Toteż Mink nie tracił czasu na próżno.

— Dobrze — powiedział. — Jak długo będę tu musiał zostać?

— Czekaj pan więzienie karne w Parchman — odparł adwokat. — Czy pan tego nie rozumie?

— Dobrze — powtórzył. — Jak długo mam tam być?

— Dostał pan wyrok dożywotniego więzienia. Czy pan nie słyszał? Aż do końca pańskiego życia. Póki pan nie umrze.

— Dobrze — powiedział po raz trzeci z tą spokojną, niemal współczującą cierpliwością. — Jak długo będzie trzeba tam zostać?

Tym razem nawet ten adwokat zrozumiał: — Och, to zależy od pana i od pańskich przyjaciół, jeśli pan ich ma. To może potrwać całe życie, jak mówi sędzia Brummage. Ale za dwadzieścia czy dwadzieścia pięć lat ma pan prawo żądać skrócenia albo zwolnienia warunkowego — jeżeli posiada pan przyjaciół, którzy za pana mogą odpowiadać i poprzeć pańskie podanie, i jeżeli będzie się pan sprawował nienagannie przez cały czas pobytu w Parchman.

— Przypuśćmy, że ktoś nie ma przyjaciół.

— Ludzie, co się kryją w krzakach i strzelają do innych nie zagwizdawszy nawet, żeby ich ostrzec, na pewno nie mają — powiedział adwokat. — Toteż żeby się stąd wydostać, może pan liczyć tylko na samego siebie.

— Dobrze — stwierdził z tą niezłomną, nieskończoną cierpliwością. — To po to, żeby mi pan to powiedział, próbowałem tak długo powstrzymać pańskie gadanie? Co muszę robić, żeby wyjść za dwadzieścia czy dwadzieścia pięć lat?

— Nie próbować uciekać ani nie pomagać w ucieczce innym. Nie wdawać się w żadne bójkę ani zatargi z innymi więźniami czy strażnikami. Robić to, co każą, bez narzekań ani skarg, póki nie każą panu prze-

stać. Mówiąc innymi słowami, zacząć już od tej chwili robić to wszystko, co gdyby pan robił przez cały czas od tego dnia zeszłej jesieni — kiedy pan postanowił podrzucić pańską krowę na zimę panu Houstonowi, żeby ją żywił za darmo — nie siedziałby pan teraz w tej celi i nie pytał, jak stąd wyjść. Ale najważniejsza rzecz, to żeby pan nie próbował uciekać.

— Uciekać?

— Próbować — powiedział — wyjść stąd przemocą.

— Próbować?

— Bo pan nie może. wyjść — rzekł prawnik z jakąś wrzącą, a jednak cierpliwą wściekłością. — Bo stąd nie można uciec. Nie uda się to panu. Nigdy się nie uda. Nie może pan przygotować się do ucieczki tak, żeby inni tego nie zauważyli i nie próbowali uciec razem z panem, a wtedy złapią was wszystkich. A nawet jakby nie chcieli sami uciekać, zdradzą pana przed strażnikiem i wtedy także pana złapią. A nawet jak się panu uda utrzymać to w tajemnicy przed innymi i próbować ucieczki samemu, któryś ze strażników strzeli, zanim zdoła się pan wdrapać na płot. I wtedy, nawet jeżeli się pan nie znajdzie w trupiarni albo w szpitalu, będzie pan z powrotem w więzieniu i dodadzą panu nowe dwadzieścia pięć lat do wyroku. Rozumie pan teraz?

— A więc to jest wszystko, co mam robić, żeby wyjść za dwadzieścia czy dwadzieścia pięć lat. Nie próbować uciekać. Nie wdawać się z nikim w bójkę. Robić to, co mi każą robić, i tak długo, jak mi każą. Ale głównie nie próbować uciekać. To wszystko, co trzeba robić, żeby wyjść za dwadzieścia albo dwadzieścia pięć lat.

— Tak jest — stwierdził adwokat.

— W porządku — powiedział. — A teraz niech pan idzie i spyta tego sędziego, czy tak jest, a jeżeli on powie, że tak, to niech mi przyśle papier, gdzie to będzie napisane.

— A więc pan mi nie ufa — powiedział adwokat.

— Nie uiam nikomu. Nie mam dosyć czasu, żeby tracić dwadzieścia czy dwadzieścia pięć lat na sprawdzenie, czy pan wie, co mówi, czy nie. Mam jeszcze coś do zrobienia, kiedy stąd wyjdę. Chcę wiedzieć. Chcę mieć to napisane na papierze przez sędziego.

— Może mi pan nigdy nie ufał — rzekł adwokat. — Może pan uważa, że przez nieudolność przegrałem pańską sprawę. Może pan myśli, że gdyby nie ja, nie byłby pan teraz tutaj.

A on, Mink, wciąż z tym samym nieugiętym i cierpliwym spokojem:

— Zrobił pan najlepiej, jak pan umiał. Tyle, że pan się do tego nie nadawał. Pan jest młody i chętny, ale nie to mi było potrzebne. Mnie potrzebny był dobry człowiek z głową na karku, taki, co się umie targować. To nie pan. Niech pan teraz przyniesie ten papier od sędziego.

Teraz adwokat nawet próbował się roześmiać. — Nie ja — powtórzył. — Sąd zwolnił mnie od pańskiej sprawy zaraz po ogłoszeniu wyroku dziś po południu. Zostałem tylko, żeby się z panem pożegnać i dowiedzieć, czy mogę jeszcze coś zrobić dla pana. Ale widocznie ludzie, co nie mają przyjaciół, nie potrzebują też życzliwych.

— Ja pana jeszcze nie zwolniłem — powiedział Mink wstając bez pośpiechu. Adwokat był już na nogach, odskoczył jednym susem i stanął oparty plecami o zamknięte drzwi, spoglądając na małą figurkę posuwającą się ku niemu, tak kruchą na pozór i nieszkodliwą jak dziecko, a tak śmiertcionośną jak mała żmija — na pół wyrosła kobra albo krait. Wtedy adwokat krzyknął, ryczał jeszcze, kiedy słyhać było kroki strażnika galopującego po schodach i drzwi

otwarły się na oścież i strażnik stał w nich z rewolwerem w ręku.

— Co się dzieje? — spytał strażnik. — Co on chciał zrobić?

— Nic — powiedział adwokat. — Wszystko w porządku. Skończyłem. Proszę mnie wypuścić.

Ale w rzeczywistości jeszcze nie skończył, chciałby tylko, żeby tak było. Nie zaczął nawet do rana. W niecałe piętnaście minut później był już w pokoju hotelowym u sędziego, który przewodniczył na rozprawie i ogłosił wyrok. Adwokat nie ochłonał dotąd z wrażeń, dyszał ciężko nie wierząc w niebezpieczeństwa, które mu przed chwilą groziło i przed którym umknął.

— To wariat, mówię panu — powiedział. — Niebezpieczny dla otoczenia. Lepiej nie posyłać go do Parchman, skąd będzie mógł wyjść albo zostać zwolniony na słowo za dwadzieścia czy za dwadzieścia pięć lat, nie mówiąc o tym, że któryś z jego krewnych — a wiadomo, że ma ich pod dostatkiem — albo ktoś, kto ma w tym swój interes, albo któryś z tych dobroczyńców, co to się do wszystkiego mieszają i znajdują drogę do rządu, może go stamtąd wyciągnąć jeszcze wcześniej. Trzeba go zamknąć w więzieniu w Jackson, tam będzie zabezpieczony. Nie: my będziemy zabezpieczeni.

A w dziesięć minut później prokurator okręgowy także był w tym pokoju i mówił do adwokata:

— A więc pan żąda zawieszenia wyroku i rewizji procesu. Dlaczego pan wcześniej o tym nie pomyślał?

— Pan także go widział — powiedział, krzyknął adwokat. — Byliście panowie z nim na sali sądowej przez trzy dni.

— To prawda — rzekł prokurator. — Dlatego też pytam pana, dlaczego żąda pan tego teraz?

so
— Bo nie widzieliście go od tego czasu. Niech pan pójdzie do jego celi i spojrzysz na niego teraz, tak jak ja pół godziny temu.

Ale sędzia był stary, nie chciał iść zaraz, i dopiero nazajutrz rano strażnik otworzył przed nim celę, w której chudy, mały człowieczek w połatanym i spłowiałym kombinezonie i koszuli, i w ciężkich jak żelazo buciorach na bosych stopach podniósł się z pryczy na ich widok. Ogolono go tego ranka i włosy także miał uczesane, z równym przedziałkiem, gładko przylegające do czaszki.

— Wejdźcie, panowie — zaprosił. — Nie mam krzesła, ale prawdopodobnie nie zamierzacie tu bawić dość długo, by usiąść. Widzę, panie sędzio, że pan nie tylko mi przyniósł wypisany papier, ale przyprowadził dwóch świadków, żeby stwierdzili, że pan mi go wręczył.

— Proszę zaczekać — rzekł prędko adwokat do sędziego. — Pozwólcie, panowie, ja będę mówił. — I zwrócił się do Minka:

— Nie będzie pan potrzebował tego papieru. Ci panowie — pan sędzia — postanowili, że stanie pan jeszcze raz przed sądem.

Teraz Mink zatrzymał się. Spojrzył na adwokata. — Po co? — zapytał. — Byłem już raz sądzony i niewiele mi z tego przyszło.

— Bo tamten sąd był nieważny — wyjaśnił adwokat. — Właśnie przyszliśmy pana o tym zawiadomić.

— Jeżeli tamten był nieważny, to po co teraz tracić czas i pieniądze na drugi? Powiedzcie tylko temu facetowi, żeby mi przyniósł kapelusz i otworzył te drzwi, to wrócę do domu i zajmę się moim polem, jeżeli je jeszcze mam!

— Nie, niech pan posłucha — powiedział adwokat. — Tamten wyrok był niesłuszny, bo posyłają pana do Parchman. Nie pojedzie pan do Parchman, gdzie

by pan musiał pracować przez cały dzień w piekielnym słońcu przy zbiorach, w których nic by pan nie zebrał dla siebie.

I zdezorientowany spojrzeniem szarych wyblakłych oczu, które patrzyły na niego tak, jakby nie tylko nie były zdolne do mrugania, ale jakby nigdy, od urodzenia, tego nie potrzebowały, adwokat zaczął mówić prędko, piskliwie, niezdolny zatrzymać potoku wymowy: — Nie do Parchman. Do Jackson, gdzie będzie pan miał swój pokój, tylko dla siebie, przez cały dzień może pan nic nie robić, tylko wypoczywać, a doktorzy... — nie, nie przerwał sam, zatrzymały go u- tkwione w niego blade, nie mrugające oczy.

— Doktorzy? — powtórzył Mink. — Jackson? — patrzył badawczo na adwokata. — To tam, gdzie posyłają wariatów?

— Czy nie wolałby pan... — zaczął prokurator. Ale on także musiał na tym skończyć. W szkole był mistrzem atletyki i nadal jeszcze zachował formę. Udało mu się przytrzymać małego rozwścieczonego człowiczka, ale dopiero wtedy, gdy tamten rzucił się na adwokata i obaj tarzali się po podłodze. A nawet i wtedy trzeba było pomocy strażnika, żeby oderwać Minka od adwokata i obezwładnić go, dyszącego furią i szamoczącego się jak kot.

— Wariat, ja? Ja jestem wariatem? Niech tylko który spróbuje powtórzyć mi to jeszcze raz!

— Masz rację, ty źmijo, kanalio — powiedział zdyszany prokurator. — Pojedziesz do Parchman. Tam mają doktorów, których potrzebujesz.

Pojechał więc do Parchman, skuty kajdankami z zastępcą szeryfa, obaj przenosili się z jednego wagonu dla palących do innego wagonu dla palących w pociągach miejscowych, porzucając wzgórza, które widział przez całe swoje życie, dla delty, której nigdy nie widział przedtem — rozległe bagnisko aluwialne, gdzie rosły cyprysy i eukaliptusy, a w lasach i kniejach ukrywały się niedźwiedzie, jelenie, pantery i węże, mokradło, któremu człowiek ciosami siekiery wciąż wydzierał bogate, bujne pola, porośnię bawełną o lodygach strzelających w górę na wysokość człowieka na koniu. Mink przyglądał się temu krajobrazowi z nosem przyklejonym do szyby, jak dziecko.

— Same bagna — powiedział. — Nie wygląda, że tu jest zdrowo.

— Bo też nie jest — rzekł policjant. — Tu nie ma być zdrowo. To jest więzienie karne. Nie ma dla człowieka nic bardziej niezdrowego niż tkwić pośród drutów kolczastych przez dwadzieścia albo dwadzieścia pięć lat. Zresztą im bardziej niezdrowe miejsce, tym dla ciebie lepiej i nie będziesz musiał tam siedzieć tak długo.

Tak więc zobaczył Parchman, więzienie karne, swoje przeznaczenie, swój dożywotni wyrok, jak powiedział sędzia: do końca życia, tak długo, jak będzie żył. Ale adwokat powiedział inaczej, choćby nawet nie należało mu ufać: tylko dwadzieścia pięć, może nawet dwadzieścia lat, a nawet jeżeli człowiek nie może ufać adwokatowi, to przynajmniej można się spodziewać, że zna swój zawód, bo go tego wyuczono w specjalnej szkole, natomiast sędzia po to, by zostać sędzią, musiał tylko wygrać kampanię wyborczą. A zresztą nawet jeśli sędzia nie podpisał tego papieru z zaświadczeniem, że to będzie tylko dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat, to też nie miało znaczenia, bo sędzia był po drugiej stronie i z natury rzeczy musiał kłamać człowiekowi, który był przeciw niemu, podczas kiedy adwokat, ego własny adwokat, nie kłamał. Więcej: własny adwokat nie mógł człowiekowi kłamać, bo był jakiś taki przepis, o którym ktoś mu kiedyś mówił i według którego, jeżeli klient nie kłamał przed swoim adwokatem, to samo Prawo nie po-

zwaląco, żeby adwokat kłamał swemu własnemu klientowi.

A jeśli nawet nie było ani tak, ani tak, to także nie miało znaczenia, ponieważ on nie mógł zostać w Parchman przez całe życie, nie miał czasu, musiał wyjść stamtąd przedtem. I patrząc na wysokie ogrodzenie z drutu z jedyną bramą, której w dzień i w nocy strzegli ludzie z karabinami, i na niskie ponure budynki z okratowanymi oknami, myślał, starał się sobie przypomnieć ten czas, kiedy jedynym celem, dla którego chciał wyjść, było wrócić do domu, na farmę; przypomniał to sobie tylko na chwilę, a potem już nigdy więcej, bo teraz już musiał stąd wyjść.

Musiał wyjść. Jego własny wylatany i spłowiały kombinezon i koszula zostały wymienione teraz na nowy kombinezon i szorstki sweter w czarno-białe pasy, które, jak mówił sędzia, miały go znaczyć aż do śmierci, jeśli adwokat nie był lepszym znawcą Prawa. Pracował teraz — jak całe gromady innych — na żyznych czarnych polach bawełny pod nadzorem konnych strażników z karabinami przerzuconymi w poprzek siodła, wykonując jedyną pracę, jaką umiał robić, robił przez całe życie przy zbiorach, które nigdy, do końca życia nie będą jego własnymi, jeśli rację miał sędzia, i myślał: „To też jest w porządku. Nawet lepiej. Jeżeli człowiek tylko chce coś zrobić, może to zrobić albo nie. Ale jeśli musi coś zrobić, nic na świecie go nie powstrzyma”.

A nocą, w drewnianym baraku, na legowisku bez prześcieradeł, z szorstkim kocem i ubraniem zwiniętym w rulon zamiast poduszki, wbijając sobie to w głowę, bo trzeba mu teraz było zmienić, z dnia na dzień i na zawsze, na dwadzieścia lub dwadzieścia pięć lat, całą jego naturę i charakter, całą istotę: „Robić wszystko, co mi każą. Nie sprzeczać się z nikim. Kie wdawać się w bójkę. To wszystko, co mam robić tylko przez dwadzieścia pięć lat, może tylko dwadzieścia. Ale przede wszystkim nie próbować ucieczki”.

Nie liczył nawet upływających lat. Po prostu pograżał je w zapomnieniu, zdeptywał ciężkimi buciorami idąc za mułem, który ciągnął pług, lub schylony nad deską do wyrównywania bruzd, nad motyką i workiem, do którego zbierał bawełnę. Nie potrzebował ich liczyć, był teraz w rękach Prawa i tak długo, jak był posłuszny czterem regułom wyznaczonym przez Prawo dla niego, Prawo będzie musiało być posłuszne swojej jedynej regule dwudziestu pięciu lat, a może tylko dwudziestu.

Nie wiedział, ile lat upłynęło, kiedy nadszedł list, dwa lata czy też trzy, gdy stał w kancelarii naczelnika, obracając w rękę zaadresowaną ołówkiem, ofrankowaną kopertę.

■ — Nie umiesz czytać? — spytał naczelnik.

— Mogę czytać gazetę, ale pisanego nie bardzo.

— Chcesz, żebym otworzył kopertę?

— Dobrze — powiedział i naczelnik rozdarł kopertę, i przeczytał list.

— To od twojej żony. Pyta, czy chcesz, żeby przyjechała cię odwiedzić i żeby przywiozła z sobą córki.

Teraz sam trzymał w ręku list, kartkę wyrwaną z zeszytu szkolnego i nagryzmołoną ołówkiem: hieroglify równie trudne dla niego do odczytania, jak pismo arabskie albo sanskryt.

— Yattie nie umie nawet czytać drukowanego, a cóż dopiero pisać. Pani Tuli pewnie jej to napisała.

— No i co? — spytał naczelnik. — Co chcesz, żebym jej odpowiedział?

— Niech pan napisze, że nie warto, żeby przyjeżdżała z tak daleka, bo wkrótce będę już w domu.

— Myślisz, że wkrótce wyjdiesz? — spytał naczelnik. Patrzył na tego drobnego, kruchego człowieka wzrostu piętnastoletniego chłopaczka; miał go od trzech lat pod swoim nadzorem i nie udało mu się dotychczas zdefiniować jego osobowości w schemacie więzienia. To nie była zagadka, łamigłówka: zupełnie zero. W jego kartotece nie figurowała ani jedna nagana czy skarga ze strony funkcjonariuszy więzienia, ani jeden zatarg z którymś ze współtowarzyszy. Morderca z wyrokiem dożywotnim na podstawie doświadczeń naczelnika zawsze należał do jednej z dwóch kategorii: albo był to ktoś zasadniczo oporny, nie mający nic do stracenia, wieczny problem i źródło kłopotów dla strażników lub innych więźniów, albo hipokryta, usiłujący uzyskać od władz więziennych wszystko, co mogło złagodzić jego los. Ale ten nie: co rano podejmował wyznaczone mu zadanie i pracował niestrudzenie przy uprawie bawełny, jakby miał ją zebrać dla siebie. Więcej: pracował dla tych zbiorów, z których ani jeden cent nie miał iść do jego kieszeni, cięższej niż, według opinii naczelnika, ludzie jego pokroju pracowali przy własnych. — W jaki sposób? — spytał. Mink powiedział mu. Był to automatyczny odruch, teraz, po trzech latach więzienia, musiał tylko otworzyć usta i zaczerpnąć powietrza: ■— Robię to, co mi każą robić. Nie sprzeczam się z nikim ani się nie biję. Nie próbuję uciekać. Przede wszystkim to: nie próbuję uciekać.

— Tak że za siedemnaście albo za dwadzieścia dwa lata będziesz w domu? — powiedział naczelnik. — Spędziłeś tu już trzy.

— Trzy? — zdziwił się. — Nie liczyłem. Nie — dodał. — Nie wrócę prosto do domu. Najpierw mam jeszcze coś do załatwienia.

— Co? — spytał naczelnik.

— Sprawę prywatną. Kiedy to załatwię, wtedy wrócę do domu. Niech pan jej to napisze.
„Tak — myślał. — Widać trzeba było, żebym przejechał całą tę drogę do Parchman tylko po to, żeby wrócić i zabić Flema.”

oaoi su\ .o na poe/aiku i pr/o.-. dwa ozy tr.-y dni następane naibatdzioi iluy.'vk' Monfgomor y'ego Warda pytanie. o;iaczego l'om chciał go wysiać własnii» do Pa; k'hnu!i. t'.i'inu to r.io mogło być lakios inno spojno, odległo miejsce, jak Atlanta albo loavonworth czy nawo! Alcahaz, dokąd stary sędzia I ong wystalby •00 pierwszym pociągiem odjeżdżającym z Jottorson, nio skończywszy tvoh nieprzyzwoitych pocztówek: jednym słowem, dlaczego Ftom nio nvnal /a stosowno wysłać Montgomeryego Warda do .adin'ijo inno-00 miejsca, tyłki'» 00 Parclunan, Missisipi.

Ho nawet w pioi wszy m podniooonin Montgomery Watd ani pi".*»'-. , chwilę nio miał wątpliwości, 00 go właściwie spotyka. Kiody tylko prokurator i l tub ukazali się w drzwiach, zrozumiał, że nastąpiłi) coś, ezogo oczekiwał od obwili, gdy l'om odkrył o.-y zaczął podejrzewać, /o to, 00 się dzieje w tym zaniku, przynosi dobry zysk. Jedyna rzecz, która go dziwiła, to dlaczego Mom zadaje sobio ton dodatkowy trud

l bawi sit,' w to koiupUkucj»' po to, żeby go wygrzyć z tego intorosu z totogiatiatni gołych babok. 'Zupełnie jak historia z tym Murzynom na drzewie, co sit,' pytał

o nazwisko taoota, który w niego coin jo ze strzelby, a kiody tamton nm powiedział, mówi: - ('hołota, a więc to ty*' W takim ta/io nio warto ci tracić cza-

..u ,i marnować piochti dla umio, odsuń się, to zode

di -owa

A nio mówię iuz o biakit pt zozotnoci. ze Pleni Sno- vs odobiat mu ten inteies, to w poi .\jdku. Spodzio- wat su,' togo: jogo kolo| musiała pizyjsc w*. -osnie l o.-y po.Mnoi, uaiazouy byt na U* samo, co wszyscy, któr.y w okręgu Yoknapatawpha mieli interes dość dobizo pro";poru(>)cy, .-eby Hem postanowił położyć na nim lękę. Ale pozwolic, /oby prokurator okręgowy i szeryt dobrali sit,' do tych pocztówek, dwaj ludzie ze wszystkich ludzi w okręgu, co tio kóiyich nawot <.irovor Wiubush nio byłby dość naiwny, zęby sobie wyobrazać, że ich wypuszczą, adwokat Stevens, tak przejęty kształceniom obywatelskim i podnoszeniem poziomu moralności w okręgu, że jogo najwyi> szym poięciem obowiązku było zmuszać dwunastoletnich chłopaków do pięciomitowych wyścigów, wtedy kiody nio marzyli o niczym innym, tylko z oby zostać w domu i podpalić stodołę- i Hub Hampton, mięsożerny i nieprzejednany anabaptysta, kóiego najwyższą przyjemnością było liczenie, kto z jt'go osobistych znajomych jest już skazany na piekło.

IMaczogo właściwie Montgomery Ward musiał wynosić się dokądkolwiek, jeżeli :ogo stryj czy kuzyn chciał tylko przy w łaszczyć sobie jego zyski/ Wystarczyło zejść ludziom z. oc?,u na tydzień czy miesiąc, tak żeby zdążył* zapomnieć o tych nagich lotogra- liach, i że ktoś nazwiskiem Snopes miał cos z. tym wspólnego, bo Hem był toiaz bankietom i mustal zajmować się nie tylko pozyczamem na lichwiatski pio- ci'nt, alt' także własną dobrą opinią.

Nio. é'o naprawiłę powinno zdziw ić Montgomei yetio Wania, spiawić mu właściwie najpizN jeumiojszą niespodziankę, to właśnie to, że tak długo udawało mu się wytiwac. Nit' trzeba było Prawa ani Henia Sno- pt'sa, żeby zamknąć ten zakład, spuście zasłonę (albo

raczej podnieść) na tę fabrykę pornograficznych pocztówek w Jefferson, Missisipi. Zrobił to właśnie Grover Winbush, kiedy dał się przyłapać, wychodząc u-kradkiem z tej uliczki o drugiej w nocy. Nie: Grover Winbush pokpił już sprawę w Jefferson, kiedy odkrył, że są boczne drzwi w tej uliczce w Jefferson, a za nimi coś, co można było nazwać „suchą” spelunką. Nie, sprawa była już przegrana w Jefferson, kiedy Grover Cleveland został wyznaczony do nocnych patroli; Grover nadawał się akurat na nocnego policjanta, byleby miasto nie było większe i byle ludzie nie kładli się spać później niż w Jefferson, Missisipi, bo to było jedyne ze wszystkich płatnych zajęć — stać przez całą noc z plecami opartymi o latarnię i patrzeć na pusty plac — które mógł wykonywać w nieskończoność, byle trwał dosyć długo wpływ tego, kto się dla niego wystarał o to zajęcie, i byleby się nie potknął o coś, co mogło zaszkodzić jemu albo jego robocie, albo jakiemuś niewinnemu przechodniowi czy też może wszystkim trojgu — i wtedy naturalnie byłby złapany przez kogoś, wszystko jedno kogo, za drugim czy za trzecim razem, kiedy wymykał się z tej uliczki.

Był to więc zwyczajny, nieunikniony hazard zawodowy, prowadzenie takiego interesu w tym samym mieście, gdzie Grover Winbush był policjantem nocnym, o czym Montgomery wiedział tak samo dobrze, jak każdy, kto znał Grovera. Toteż kiedy interes szedł przeszło rok bez żadnych historii, Montgomery wyobraził sobie, że jeżeli ktoś przyłapał Grovera wchodzącego albo wychodzącego z tej uliczki po północy raz na miesiąc, przez ostatnich dziewięć miesięcy, to pewnie była jakaś znajomość handlowa, którą Grover zawarł w czasie obławy na jakąś szulernię, albo ktoś, kogo przyłapał z butelką przemyconej whisky w tylnej kieszeni. Zresztą, kto wie? Może nawet sam

Flem upewnił się w porę co do tych wszystkich ty-
pów, zawczasu broniąc nie tyle swoich przyszłych in-
teresów i planowanych inwestycji, bo może wtedy
sam nie wiedział, że przystąpi do tej spółki z „ate-
lier” (tak to nazwał Montgomery Ward, gdy kazał wy-
malować szyld z napisem „Atelier Monty”), ale po
prostu, żeby bronić umiarkowanych zysków i docho-
dów nie tylko przez lojalność rodzinną dla drugiego
Snopesa, ale dla zasady, chociaż teraz był bankierem
i musiał z natury rzeczy, do pewnego stopnia przy-
najmniej, godzić zysk z dobrą opinią, bo każde przed-
sięwzięcie dochodowe est z korzyścią publiczną, pod
warunkiem, że nie zostanie przymknięte i nawet do-
bra opinia może iść w parze z interesem publicznym,
byleby interes publiczny był dość sprytnie obmyślo-
ny, żeby działać po zmroku i nie robić przy tym ha-

IHH

IHHj

Toteż kiedy prokurator okręgowy i szeryf okręgo-
wy weszli do niego tego ranka, Montgomery Ward naturalnie
uwierzył, że zwyczajne i proste przeznacze-
nie idzie swoją naturalną drogą i jedyną zastanawia-
jącą rzeczą była dziwna zuchwałość, nie mówiąc już

o nieostrożności, tego sposobu, w jaki Flem Snopes spodziewał się wykorzystać przeznaczenie. To znaczy
wplątać w to prokuratora Stevensa i szeryfa Hampto-
na, pozwalając im wywahać i zobaczyć na chwilę jedną z
tych gołych fotografii. Ze względu na to, co można było uważać za późne godziny pracy przed-
sięwzięcia, nikt nigdy nie widział Montgomery'ego Warda na Rynku przed południem. Toteż póki proku-
rator i Hub nie powiedzieli mu o tym, nie miał czasu dowiedzieć się o tych dwóch złodziejach, co okradli drogerię wuja Willy
Christiana zeszłej nocy, i żadna z tych osób, co patrzyły na złodziei przez okno fron-
towe, nie mogła znaleźć Grovera Winbusha, żeby go uprzedzić, póki Grover nie wysliznął się chyłkiem z u-

liczki Montgomery'ego, a do tego czasu złodzieje, nie mówiąc już o tych, co ich widzieli, poszli spać do domu.

Nie chcę przez to powiedzieć, że Montgomery Ward był zdziwiony, że prokurator i Hub pierwsi tam przyszli. Musiało tak być, kiedy ta historia z atelier w końcu wyskoczyła, jakikolwiek był powód odkrycia tego. Byłby ich oczekiwał najpierwszych, choćby nawet w okręgu Yoknapatawpha nikt nie słyszał o Flemie Snopesie, - tego stukniętego prokuratora, edukowanego w Harvard i w Europie, co nawet nie potrzebował się osłaniać swoim stanowiskiem i płatną posadą, żeby się mieszać do wszystkiego, byleby to nie były jego własne sprawy i byle mu nie przyniosły szkody, i tego starego byka Hamptona, którego można było sprowadzić na każde, miejsce, nawet do morderstwa, jeśli ktoś sobie przypominał, że on jest szeryfem, i powiedział mu wszystko, o co chodzi i gdzie to jest, Nie. To, co Montgomery'ego zbiło z tropu, to obawa, że Flem Snopes musiał chyba upaść na głowę, żeby pozwolić Stevensonowi i Hubowi dobrać się do tych obrazków i przypuszczać, że potem potrafi je im odebrać.

Toteż na chwilę jego wiara i zaufanie do Flema Snopesa, można by powiedzieć, zostały zachwiane. Przez tę okropną chwilę przypuszczał, że Flem Snopes mógł paść ofiarą Grovera Winbusha jak każdy inny. Ale to trwało tylko chwilę. Jeśli ten chłopak, co widział dwóch złodziei w drugstworze wuja Willy'ego, zdecydował się iść na ostatni seans w kinie akurat tego wieczora, tego samego, kiedy Grover wpadł na pomysł, żeby jeszcze raz obejść tę uliczkę z zakładem Montgomery'ego Warda, jeśli Flem Snopes był ofiarą tego samego pecha i zbiegu okoliczności, co reszta z nas, to wszyscy równie dobrze moglibyśmy spakować manatki i prysnąć.

No więc jak Stevens i Hub opowiedzieli mu o tych dwóch złodziejach w sklepie wuja Willy'ego i o tym chłopaku, którego ojciec musiał pluć sobie w brodę, że nie był u siebie w łóżku dwie godziny wcześniej, Montgomery Ward ani chwili nie wątpił, że wszystko to była robota Flema, od początku do końca: Flem, który zawsze umiał wywahać pieniądze (tak jak ksiądz umie wywahać grzech i pieczone kurczęta), zwietrzył w mig, że w nocy za tymi bocznymi drzwiami robi się korzystne interesy: że tego jest dosyć, żeby ludzie mieszkający w promieniu trzech okręgów skradali się tą uliczką o drugiej i trzeciej w nocy.

Teraz Flem potrzebował tylko spenetrować dokładnie, co tam się na tej uliczce robi takiego dyskretnego i zyskownego, i postawił swoich szpiegów (na to, żeby przyłapać Grovera Winbusha, nie trzeba było kogoś, kto by się uważał za przyzwoitego szpicla na poziomie swojego zawodu, wystarczył dzieciak przekupiony za porcję lodów), żeby kapowali, kto wchodzi i wychodzi z tej uliczki aż do chwili, kiedy wcześniej czy później zjawi się ktoś, kogo by Flem miał w ręku. Z pewnością znacznie wcześniej niż później, nawet jeżeli interes obejmował cztery okręgi, jak w tym wypadku, z tej kategorii, z jakiej Montgomery Ward czerpał swoją klientelę, niewiele było takich, którzy by przynajmniej nie prosili o to, żeby wypisać ich nazwisko na jednym z papierków Flema na czterdzieści albo pięćdziesiąt procent za pożyczkę kilku dolarów, tak że Flem mógł im powiedzieć: „A co do pańskiego wekselka, to rad byłbym ofiarować cały bank do pańskiej dyspozycji, ale jestem tylko wicedyrektorem i nie mogę nic zrobić z Manfredem de Spain”.

A może nawet Flem nakrył samego Grovera, we własnej osobie, za drugim czy za trzecim razem —j

bo najwyżej tyle razy mógł Grover prześliznąć się przez tę uliczkę bezkarnie — na długo przedtem, nim dwaj złodzieje ze sklepu wuja Willy'ego Christiana narazili go przez obrabowanie tego biurka na oczach połowy mieszkańców Jefferson, wracających najwidoczniej z ostatniego seansu w kinie, tylko że nikt nie mógł znaleźć Grovera, żeby go o tym uprzedzić. Tak czy owak Flem złowił kogoś, kogo mógł przycisnąć dość mocno, żeby się dowiedzieć, co sprzedaje Montgomery Ward za tymi drzwiami. Toteż teraz Rem musiał tylko przystąpić do tego interesu, przepędzić Montgomery'ego Warda albo odebrać to Montgome- ry'emu, oskubać go całkiem tak samo, jak oskubał wszystkich w Jefferson, od czasu kiedy wygryzł mnie i Grovera Winbusha z tej kawiarni, która, jak się nam zdawało, należała do nas dwóch, jeszcze wtedy, kiedy byłem dosyć głupi, żeby myśleć, że mogę się zmierzyć z Flemem.

Tylko że teraz — kiedy został bankierem i wiceprzewodniczącym, już nie mówiąc o tym, że był tym trzecim, który po Murzynie od rozpalania pieca i po samym pastorze miał prawo wchodzić do kościoła baptystów w każdą niedzielę, i że do końca swojej kariery w Jefferson był nieuchronnie skazany na dbanie o szacunek i dobre imię, jak facet, który musi przedzierać się przez kolczaste krzaki w świątecznym ubraniu — Flem nie mógł oczywiście przystąpić do tego interesu, który w ogóle nie powinien mieć nic wspólnego z nazwiskiem Snopes. Toteż jeśli chodzi

o Jefferson, „Atelier Monty" musiało zostać zamknięte, uprzątnięte do czysta i skreślone na zawsze z rejestru handlowego, a przedsiębiorstwo trzeba było zainstalować na innej uliczce, gdzie by nikt nigdy o nim nie słyszał, i pod kierownictwem kogoś, kto nawet nie potrafiłby napisać nazwiska Snopes. Albo jeśli Flero miał trochę rozumu, najlepiej było je przenieść do innego miasta w dawnym okręgu Montgomery'ego Warda tak, żeby się znalazło poza terenem działania Grovera Clevelanda przynajmniej do następnego lata, kiedy ten mógł mieć swoje następne dwa tygodnie wakacji.

No więc wszystko, co miał robić Montgomery Ward, wszystko, co właściwie mógł zrobić, to tylko czekać, aż Flem uzna, że sytuacja dojrzała, żeby go wyko- psać z a-teelyer albo wykopsać a-teelyer spod niego — co JFlem uznał za najodpowiedniejsze. Prawdopodobnie Montgomery Ward miał przynajmniej jeden albo dwa momenty żalu, żałował, że jego interes nie jest z tych, w którym można szybko wyprzedać towar, zanim Flem zdąży o tym usłyszeć. Ale jego wartość w towarach była tak mglista, że istniała tylko w chwili, kiedy klient kupował i konsumował ją na miejscu, a jedyną rzeczą, jaką mógł sprzedać, był zainwestowany kapitał, co nie tylko byłoby sprzeczne z wszelkimi prawami ekonomii, ale nie było nawet żadnego zapasu towarów do sprzedania komukolwiek w tym czasie, jaki mu pozostawał, zanim go Flem nie przyskrzyni, co mogło trwać jeszcze tygodnie albo i miesiące.

No więc mógł tylko zastosować wszystkie metody i środki, żeby przyśpieszyć i zwiększyć obrót oczekując, że Flem się ruszy, i próbując oczywiście odgadnąć, jakiej metody Flem w końcu użyje, czy Flem znalazł jakiś punkt zaczepienia w jego, Montgomery'ego, przeszłości, czy też posunie się do czegoś tak pospolitego i prymitywnego, jak zaproponowanie mu za to pieniędzy.

No więc oczekiwał Flema. Ani przez chwilę natomiast nie oczekiwał Hamptona i Stevensa. Tak że przez jakiś ułamek sekundy, po wejściu Huba i Ste- vensa, Montgomery Ward wyobraził sobie, że to nowa forma dbałości o szacunek i dobre imię, jaką sto-

suje Flem: skrupulatność tak subtelna i drażliwa, żenić jej nie może zadowolić i że trzeba, żeby sarno Prawo oczyściło atelier Snopesa i zlikwidowało ten interes w Jefferson. Dlatego Flem postarał się, żeby Stevens i Hub Hampton wyciągnęli za niego kasztany z ognia. Jasne, że jeszcze jedna chwila spokojnego rozumowania nasunęłaby mu na myśl, że jeżeli facet, co się zajmuje postępowaniem społecznym i moralnym młodzieży, jak Stevens, i nieugięty mięsożerny baptysta, jak Hub Hampton, dorwą się do tych gołych fotografii, Flem nie wyniesie z tego interesu nic oprócz dobrej woli. Ale te wyblakłe twarde oczka, co na niego patrzyły ponad brzuchem Huba Hamptona, nie dały mu czasu myśleć. W samej rzeczy Montgomery Ward był teraz bardzo daleki od myślenia i w tym samym ułamku sekundy, jak łatwo odgadnąć, rzucił na swego kuzyna straszliwe podejrzenie, że Flem chciał tylko odstawić jego, Montgomery'ego Warda. i był dość naiwny, żeby wierzyć, że dostanie z powrotem te gołe fotografie z rąk Hamptona i że kocia łapka w tym wypadku to sam Flem Snopes. Ale nawet w tej ostateczności Montgomery miał za dużo zdrowego rozsądku i zastanowienia, nie mówiąc 'już o dumie rodzinnej i lojalności, żeby naprawdę wierzyć, że stu Stevensów i Hubów Hamptonów — a cóż dopiero po jednym z każdego z nich — może oszwa- bić Flema Snopesa. Raczej niż w to brudne podejrzenie uwierzyłyby, że Flem Snopes także może podlegać nieszczęśliwym przypadkom jak istota ludzka — nie dlatego, że się pomylił co do Grovera Winbusha i że Grover mógł się przez tę uliczkę przemykać dw^Ta albo trzy razy w tygodniu w ciągu siedmiu czy ośmiu miesięcy i nikt w całym okręgu Yoknapataw^{pha} nie przy- dybał go ani razu, ale dlatego, że nie potrafił z góry przewidzieć, że tamci dwaj złodzieje wybiorą na obrabowanie sklepu wuja Willy Christiana tę samą noc,

kiedy chłopak Rouncewellów opuści się na dół po rynnie, żeby pójść na ostatni seans do kina.

No więc teraz Montgomery Ward nie mógł robić nic innego, tylko siedzieć w tej celi, do której go zaprowadził Hub, i czekać spokojnie, prawie można powiedzieć z zawodowym zainteresowaniem, żeby zobaczyć, w jaki sposób Flem odbierze te fotografie z powrotem od Huba. Naturalnie, że to musi potrwać: z całą swoją rodzinną dumą i podziwem dla Flema Snopesa wiedział, że nawet dla Flema nie będzie to takie proste, jak odebrać swój kapelusz czy parasol. Toteż kiedy minął dzień i nic nowego się nie zdarzyło, nie był wcale zdziwiony, bo tak przewidywał. Jasne, że przez chwilę zabawiał się przypuszczeniem, że Flem, także zaskoczony, odwiedzi go, żeby zasięgnąć tych strzępów informacji, jakie on, Montgomery, mógł mieć, nie przypuszczając nawet, że nie ma żadnych. Ale gdy^T Flem nie pokazał się i nie przysłał mu ani słowa na piśmie, jego podziw[^] i usprawiedliwienie postępków Flema wzrosły tym bardziej, ponieważ był to oczywisty dowód, że Flem nie potrzebuje nawet tej odrobiny — już nie wskazówek, ale po prostu zachęty i moralnego poparcia, jakich mógł oczekiwać od Montgomery'ego Warda. I przez całą noc, w towarzystwie tego, co można by nazwać bratnimi pluskwami okręgu Yoknapataw^{pha}, do następnego ranka, zastanawiał się, co teraz należy przewidywać. Można więc sobie wyobrazić jego zdziwienie i zainteresowanie (to nie był jeszcze niepokój ani obawa, po prostu zdziwienie i zainteresowanie), kiedy pewien uprzejmy znajomy, strażnik więzienia, Euphus Tubbs (był on tu także stroną zainteresowaną, nie mówiąc już o tym, że większość życia spędził na dziwieniu się rzeczom niespodziewanym), przyszedł do niego po południu i powiedział, że Hub Hampton znowu zjawił się w jego zakładzie tego ranka, żeby sprawdzić na wszelki ♦

wypadek, czy on i prokurator nie przeoczyli wczoraj jakiegoś dowodu, i zarekwirował zamiast tego pięć galonów nielegalnie pędzonej whisky w butelkach stojących na półce, gdzie Montgomery Ward, według własnych zapewnień, trzymał tylko wywoływacz do fotografii.

— Teraz możesz jechać do Parchman, zamiast do Atlanty — powiedział Euphus. — To już nie tak daleko. I trzeba też liczyć, że będziesz w Missisipi, gdzie znajomy strażnik z tych samych stron może trzymać dla ciebie pieniądze na twoje utrzymanie. A ci parszywi sędziowie potrafią wysłać naszych chłopaków daleko stąd, gdzie jakieś podejrzanym typy mogą sobie przywłaszczać ich pieniądze.

To nie był niepokój ani obawa — tylko ciekawość i zdziwienie, zwłaszcza ciekawość. Bo Montgomery Ward dobrze wiedział, że w tych butelkach nie było nic oprócz wywoływacza, kiedy on, Hub i Stevens o- puścili a -1 e e l y e r poprzedniego ranka, i wiedział, że Hub i prokurator także bardzo dobrze orientują się, że tam nic więcej nie ma, bo facet, co robi zdjęcia nagusów w Jefferson, nie może komplikować sprawy szmuglowaniem whisky, bo szukałby tylko guza, tak jak właściciel ruletki albo salonu gry w kości, który by marzył o zainstalowaniu w tym samym lokalu maszyny do drukowania fałszywych banknotów.

Bo ani przez chwilę nie wątpił, że to Flem postawił whisky tam, gdzie Hub Hampton musiał ją znaleźć, i wtedy jego podziw i szacunek doszły do szczytu, ponieważ wiedział, że Flem, który był teraz bankierem i na punkcie swojej dobrej opinii musiał być równie drażliwy jak dziewczyna, która znalazłaby się nagle sama w otoczeniu komiwojazerów, nie mógł tego załatwić z żadnym miejscowym szmuglerem, ale musiał prawdopodobnie wrócić do Sadyby Francuza, a nawet zrobić całą drogę do dziewiątego sektora, do Nu-

ba Gowrie, żeby się o to wystarać, i w dodatku musiał wydać 25 do 30 dolarów gotówką z własnych pieniędzy. J przez jakiś ułamek następnej chwili mogło mu rzeczywiście przyjść na myśl, że te 25 czy 30 dolarów dowodzą, że Flem w gruncie rzeczy także nie jest nieczuły na więzy krwi. Ale to trwało tylko krótką chwilę, a może nawet i tego nie, bo jeśli Flem mógł w pewnych momentach paść ofiarą słabości i błędu, to jednak w żadnym z tych momentów nie wydałby nawet dwudziestu dolarów dla Snopesa.

Nie, te 25 czy 30 dolarów oznaczały tylko, że sprawa miała być trochę trudniejsza, niż Flem przypuszczał. Ale fakt, że nie wahał się nawet przez dwadzieścia cztery godziny przed tym wydatkiem, wskazywał, że tak czy inaczej Flem nie miał nigdy wątpliwości co do zakończenia tej sprawy. Oczywiście, że Montgomery Ward także ich nie miał, nie potrzebując niczego przewidywać, tylko czekać, bo w tej chwili połowa Jefferson przewidywała za niego, a druga połowa także czekała i obserwowała rozwój wypadków. Aż do następnego dnia, kiedy zobaczyliśmy Flema, jak idzie przez Rynek i skręca w ulicę prowadzącą do więzienia, wchodzi do gmachu, a po upływie pół godziny wychodzi z powrotem. Nazajutrz Montgomery Ward wyszedł stamtąd także, za kaucją Flema.

A następnego dnia był w mieście niejaki Clarence Snopes — senator Clarence Egglestone Snopes z ciała ustawodawczego stanu Missisipi, niegdyś konstabl z Sadyby Francuza, aż do dnia, kiedy popełnił błąd, próbując w imieniu Prawa okładać kolbą pistoletu pewnego typu, który był dosyć złośliwy i mściwy, żeby sprzeciwić się tym sankcjom Prawa, wynikającym wyłącznie z tego, że ich wykonawca był większy i silniejszy od niego i nosił odznakę policji. Tak że wuj Billy Varner musiał coś zrobić z Clarencem, więc poszedł z Flernem i obaj poszli pogadać z Manfredem

de Spain w banku, a potem wszyscy trzej pogadali z dostateczną ilością ludzi, żeby Clarence został wybrany do senatu w Jackson, gdzie nie wiedział, co ma robić, aż ktoś, do kogo wuj Bill i Manfred mieli zaufanie, powiedział mu, gdzie ma wpisać swoje nazwisko i kiedy podnieść rękę.

Ale, jak mówił prokurator Stevens, zdaje się, że znalazł swoje prawdziwe powołanie jeszcze przedtem: kiedy przeniósł się na stałe z Sadyby Francuza do miasta i odkrył, że okolica miasta ciągnie się nawet jeszcze dalej za Jefferson, na północny zachód, i obejmuje ulice Mulberry, Goyoso i Pontotoc, w Memphis (w Tennessee), tak że jak wrócił stamtąd w trzy dni później, jego zjeżone włosy na głowie i wytrzeszczone oczy zdawały się mówić: „Do stu tysięcy diabłów, czemu wcześniej ktoś mi o tym nie powiedział? Od jak dawna to wszystko już trwa?” Ale szybko nadrobił stracony czas. Można nawet powiedzieć, że z nawiązką, bo za każdym razem, kiedy jeździł tam i z powrotem z Sadyby Francuza do Jackson przez Jefferson, przejeżdżał też przez Memphis i stał się, jak to nazywał Stevens, apostołskim wysłannikiem Wenery z Alei Goyoso na całą okolicę północnego Missisipi.

„No więc, kiedy czwartego dnia rano Montgomery Ward i Clarence wsiedli do pociągu Nr 6 w kierunku północnym, wiedzieliśmy, że Clarence jedzie do Jackson albo do Sadyby Francuza przez Memphis. Ale co do Montgomery'ego Warda myśleliśmy tylko: „Co też mogło być tam w tym atelier, czego nawet Hub nie odkrył, a co było warte dwóch tysięcy dolarów kaucji, którą Flem Snopes zapłacił, żeby go wysłać do Meksyku czy dokądkolwiek, gdzie Montgomery Ward mógł się potknąć?”¹ Toteż byliśmy nie tylko zaskoczeni i zaciekawieni; zaciekawieni, owszem, ale przede wszystkim zaczął nas dręczyć niepokój i ciężkie myśli, kiedy w dwa dni później Clarence i Montgomery

ś

Ward obaj wysiedli z pociągu powrotnego Nr 6 i Clarence odprowadził Montgomery'ego do Flema, a sam pojechał do Sadyby Francuza, czy gdziekolwiek miał jechać, tak żeby wracać przez ulicę Goyoso w Memphis. A Flem odprowadził Montgomery'ego z powrotem do Euphusa Tubbsa, żeby go zamknąć z powrotem w celi w więzieniu i te dwa tysiące dolarów kaucji Flema miały być wycofane albo może tylko odłożone na czas nieokreślony, całkiem tak, jak się odkłada kapelusz do pudła aż do najbliższego wesela czy najbliższego pogrzebu, czy każdej innej okazji, kiedy znów będzie potrzebny.

A on — to znaczy Euphus — z kolei odprowadził Montgomery'ego Warda do pani Tubbs. Dowiedzieliśmy się, że nawet zawiesiła starą zasłonę w oknie jego celi, żeby światło dzienne nie budziło go za wcześnie. A za każdym razem, kiedy Stevens czy Hub Hampton, czy ktokolwiek z sądu chciał pomówić z Montgomeryem Wardem, to najkrótsza droga prowadziła teraz przez kuchnię pani Tubbs, gdzie ubrany w jeden z jej fartuchów łuskał groch albo kukurydzę do prażenia. A kiedy ktoś... no dobrze, ja — kiedy przechodziłem ulicą koło więzienia, Montgomery i pani Tubbs byli w ogrodzie i Ward wyrwał chwasty z grządy z jarzynami, a jeżeli nawet niewiele na tym polu działał, to jednak machał motyką za każdym razem, kiedy pani Tubbs pokazywała mu, gdzie raa pleć.

— Może ona wciąż jeszcze próbuje się dowiedzieć, co było na tamtych fotografiach — mówi Homer Bookwright.

— Co? — powiadam. — Pani Tubbs?

— No pewnie, że chce to wiedzieć — mówi Homer. — To przecież też człowiek, chociaż kobieta, no nie? W trzy tygodnie później Montgomery Ward zezna-

Awal przed sędzią Long i sędzia Long skazał go na dwa lata robót karnych w Parchman za trzymanie w butli zamiast wywoływacza pięciu litrów szmuglowanej whisky, z załączeniem dowodu rzeczowego.

Tak więc wszyscy się pomylili. Pleni Snopes nie zapłacił dwóch tysięcy kaucji, żeby oczyścić Wilmę z zarzutów i wysłać go za granice Stanów Zjednoczonych Ameryki i nie wydał 25 dolarów na szmuglowaną whisky po to tylko, żeby oczyścić nazwisko Snopesów aż po Atlanta (Georgia). Wydał natomiast 25 albo 30 dolarów, żeby wysłać Montgomery'ego Warda do Parchman, kiedy sąd chciał go wysłać do Georgii za darmo. Co też niewątpliwie było bardziej ciekawe niż dziwne, a jeszcze bardziej interesujące. Więc następnego dnia byłem na stacji, kiedy miał przyjechać pociąg Nr 12 na południe, i naturalnie był tam Montgomery Ward i Hunker Killegrew, inspektor.

I mówię do Huntera: — Nie chce pan wstąpić do umywalni, zanim wsiądzie pan w pociąg na taką długą podróż? Popilnuję przez ten czas Montgomery'ego Warda. Zresztą chłopak, który nie chciał uciekać trzy tygodnie temu z dwoma tysiącami kaucji, nie ma prawdopodobnie zamiaru próbować tego teraz, z niczym oprócz kajdanków. — Więc Hunter dał mi swoją połowę kajdanki i poszedł, a ja mówię do Montgomery'ego Warda:

— I co, w końcu jedziesz do Parchman? To o wiele lepiej. Nie tylko nie pozbawisz żadnego handlującego wałówką faceta rodem z Missisipi jego sławnych i legalnych zysków, ale jeszcze będą tam żyć więźnia z Missisipi. Nie będziesz sam, masz tam kuzyna czy stryja rodem z Missisipi i możesz z nim spędzać czas, kiedy nie będziesz zajęty pracą w polu albo czymś podobnym. Jak on się nazywa? Mink Snopes, ten wuj czy kuzyn, co to wpadł w tarapaty parę lat temu, bo zabił Jacka Houstona, i czekał, aż Flem wróci v. Teksasu, akurat w porę, żeby go stamtąd wydobyć, ale Pleni był zajęty i Minka, zdaje się, trochę go rozczarowało. To był twój stryj czy kuzyn?

Co? — mówi Montgomery Ward.

No, który z nich? — powiadam.

Co, który? — pyta Montgomery Ward.

- Stryj czy kuzyn? - powiadani.

..... Co? ----- powiada on.

IV. MONTGOMERY WARD SNOPEŚ

No więc ten drań sprawił ci zawód — powiadam. — Myślałeś, że go powiesz, a dali mu tylko dożywotni aka.

Nie odpowiedział. Siedział na kuchennym krześle, które sam tu przyniósł z kuchni Tubbsów. Dla mnie nie było w celi nic oprócz żelaznego łóżka, to znaczy dla mnie i dla pluskiew. Siedział tam, a cień ramy okiennej padał na jego białą koszulę z tą muszką za dziesięć centów; mówiono, że to wciąż ta sama, którą nosił szesnaście lat temu, kiedy go pierwszy raz zobaczono w Sadybie Francuza. Nie ta sama, którą wziął ze sklepu Varnera, kiedy przyjechał tu z tej farmy, żeby pracować jako subiekt u Varnerów i ożenił się z tą k... jego córką, i którą nosił w Teksasie, jak się urodziło to nie jego dziecko, i potem znowu, jak wrócił. To było wtedy, jak chodził w tej sukiennej czapce, co pasowała akurat na czternastoletniego dzieciaka. A jak mu powiedzieli, że powinien nosić czarny, filcowy kapelusz, bo taki noszą bankierzy, to także nie wyrzucił tej czapki i sprzedał ją murzyńskiemu-chłopakowi za dziesięć centów, które tamten odpracował dla niego, i włożył kapelusz pierwszy raz na głowę trzy lata temu, i mówią, że go od tego czasu nie zdjął nawet w domu, tylko w kościele, bo wygląda dotąd jak nowy. Tak wygląda, jakby nigdy do nikogo nie należał, po trzech latach noszenia nawet nie jest przepocony, i on go ma na głowie nawet, jak leży z żoną, co jej pewnie nie przeszkadza i do czego jest przyzwyczajona, bo ci, co z nią przedtem spali, nie zdejmowali nawet rękawiczek, a cóż dopiero mówić o kapeluszach, trzewikach czy paltach.

No i to żucie! Podobno jak przyjechał pierwszy raz do Sadyby Francuza jako subiekt Varnera, żuł tytoń. Ale potem odkrył coś takiego jak pieniądze. Och, słyszał o pieniądzach i widywał ich trochę od czasu do czasu. Ale wtedy przekonał się, że można mieć tego na jeden dzień więcej niż człowiek może zjeść przez jeden dzień, nawet jeżeli je dwa razy tyle smażonego boczku i śmietanowego sosu. I nie tylko to, ale jeszcze, że to jest twarde, solidne, twardsze niż kości i ciężkie jak żwir i że jak człowiek raz położy na tym rękę, to nie ma siły, która by go zmusiła do wypuszczenia tego z garści, przynajmniej nie więcej, niż się musi wypuścić, i wtedy też doszedł do wniosku, że nie może sobie pozwolić na żucie tytoniu, który go kosztował 10 centów na tydzień, bo odkrył gumę do żucia, i że gumy za 25 centów wystarczy mu na 5 tygodni, co niedziela nowe pudełeczko. Potem przyjechał do Jefferson i naprawdę zobaczył pieniądze. To znaczy wszystkie naraz, i przekonał się, że jeśli chodzi o sumę pieniędzy, na których można położyć rękę i zatrzymać je, to jedyna granica zależy tylko od tego, ile tam jest tych pieniędzy, byleby się miało jakieś bezpieczne miejsce, gdzie by można wysypać te pełne garści i napełnić je na nowo. I wtedy to odkrył, że nie może sobie pozwolić na wydawanie na gumę do żucia choćby centa tygodniowo. Kiedy nie miał nic, pozwalał sobie na tytoń, kiedy miał trochę więcej, mógł sobie pozwolić na gumę, ale kiedy się przekonał, że może zostać bogaty, jeżeli nie umrze za wcześnie — nie mógł sobie już na nic pozwolić i siedział tylko na kuchennym krześle, z pręgami cienia ramy okien-

nej tu> koszuli, żując i nie patrząc na mnie ani l<>ż nigdzie indziej.

— Dożywotnie więzienie - powiedziukun. To znaczy dwadzieścia lat, w większości wypadków, chyba że przedtem sit; coś stanie. Jak długo już lani jest? To było zdaje sic; w 1908? SLerczał wtedy cały dzień w tym samym oknie, przez które ja teraz wyglądam, i wypatrywał, czy nici wrócisz z Teksasu, żeby (jo stąd wyciągnąć, bo byłeś wtedy jedynym Snopesem, który tnia! dosyć pieniędzy i wpiywów, żeby mu pomóc, jak on to sobie wyobrażał, i krzyczał na każde- ęjo przechodnia, żeby zaniósł kartkę od niego do sklepu Vameva, żebyś tu przyjechał i ocalił go. A polem czekał w sali sądowej w ten ostaLni dzień dając ci ostatnią szansę, ale nawet i wtedy nic przyszedłeś. Od 1908 do 1923 — do dwudziestu lat brak mu jeszcze pięciu — a potem znów będzie na wolności. Do diabła, zostało ci jeszcze pięć lat życia 1 No dobrze. Co chcesz, żebym zrobił?

Wytłumaczył mi to.

— Dobrze — zgodziłem się. — Co za to dostanę?

Powiedział mi. Przez chwilę stałem oparty o ścianę śmiejąc się. Potem ja mu powiedziałem, ile chcę.

Nie poruszył się. Przystał tylko żuć na dość dług(«) chwilę, żeby powtórzyć:

— Dziesięć t ysięcy dolarów.

— Więc to za dużo? — spytałem. — Dla ciebie życie jest warte nie więcej niż pięćset dolarów, płatne głównie w towarach i na raty. — Siedział pośród pręg cienia, które rzucała krata w oknie, żując swoją porcję niczego, obserwując mnie, a przynajmniej patrząc w moim kierunku. — Nawet jeżeli się to uda, uzyskasz najwyżej podwojenie wyroku, dodanie dalszych dwudziestu lat. To znaczy, że w 1943 roku będziesz musiał na nowo zacząć się martwić tym, że zostało ci już tylko pięć lat życia. Przestań się bawić w targi. Kup od ia/ u najlepszy gatunek: może:./, sobie na to pozwolić. Daj dziesięć grubych i każ go zlikwidować. Sądząc z tego, co się słyszy, możesz za to mieć do dyspozycji wszystkich gangsterów w Chicago. Albo po co Chicago i dziesięć tysięcy: za tysiąc możesz siedzieć sobie spokojnie w Missisipi, a lam, w Parchman, dziesięcin nadzorców będzie ciągnąć losy o to, który z nich pierwszy strzeli mu w plecy.

Tym razem nie przestał nawet żuć.

Niech i tak będzie — powiedziałem. — A więc jest coś, czego nawet Snopes nie zrobi, Nie, to nie to. Stryj Mink nie zdawał się troszczyć o to przebaczenie Jacka Houstona, kiedy go trzymał na muszce, kiedy przyszła chwila, żeby strzelić. Może chcę przez to powiedzieć, że dla każdego Snopcsa istnieje coś, czego on nie zrobi ~~ dowiesz się, co to jest, zanim cię zrukuje i wykończy, Niech będzie pięć - powiedziałem. - Nie będę się targował. Co u diabła, nie jesteśmy kuzynami, czy coś w tym rodzaju?

Tym razem przestał żuć na dość długą chwilę i powiedział: — Pięć tysięcy dolarów.

Zgoda, Wiem, że nie masz w tej chwili pi< *ciu tysięcy w gotówce. Nie potrzebujesz ich zresztą zaraz. Ten adwokat powiedział, że masz dwa lata na zebranie lej sumy: zastaw, sprzedaj czy ukradnij wszystko, co masz do zastawienia, sprzedania czy ukradzenia.

To go przekonało, lak przynajmniej mi się wtedy zdawało. Czasami jakoś wolno kombinuję, a zwłaszcza teraz, lio rzeczywiście coś powiedział:

— Nie będziesz musiał tam być dwa lata. Mogę cię wyciągnąć.

- Kiedy? — zapytałem. — Kiedy będziesz zadowolony? Kiedy zmarnuję resztę jego życia przez te dwa-dziesięcia lat, jakie mu dodadzą do wyroku? Nie ja, co to, to nie. Bo nie chcę wyjść za prędko. I nie wezmę nawet pięciu tysięcy, chciałem cię tylko nabrać.

'robimy to inaczej. Pojadę tani, żeby go unieszkodliwić i postarać się dla niego o tyle dodatkowych lał, ile się da. Ale nie wyjdę zaraz potem. Najpierw odsiedzę moje dwa lala, dam ci trochę czasu, żebyś mógł się swobodnie rozejrzeć, rozumiesz? Potem wrócę do domu. Rozumiesz? Potem wrócę do domu. Rozumiesz: nowe życie, precz z haniebną przeszłością. Oczywiście, nie będę miał żadnego przedsiębiorstwa, żadnych interesów, ale ostatecznie będzie tu mój stryjeczny brat, coraz to bardziej obrastający w powszechny szacunek i obywatelskie cnoty, coraz to ważniejsza figura w banku i w kościele, i co u licha! — lerewny to krewny, choćby nawet dopiero wrócił z Parchman, gdzie przebywał za szmugiel napojów alkoholowych, nie mówiąc już o tym, że w każdej chwili może zbuntować się jego duma na myśl, że korzysta z miłosierdzia, choćby nawet swego szanownego kuzyna, bankiera, i że może zdecydować się uruchomić na nowo swoje dawne, niezbyt szanowne, lecz cieszące się diabelną popularnością przedsiębiorstwo. Bo mógłbym dostać znacznie więcej towaru i ta sama dawna życzliwość ludzka będzie tylko czekać na mój znak, w którą stronę ma się skierować, i tym razem może butelka z wywoływaczem nie będzie się poniewierać nigdzie w pobliżu. A nawet gdyby, no to co? Jeszcze jedno dwa lata i wrócę znowu, golów otworzyć nowy rozdział życia...

Włożył rękę do kieszeni i nie powiedział: — Hm — bo nie wiedział jeszcze, jak to powiedzieć, ale gdyby wiedział, to by to zrobił. No więc rzekł: — Hm, tak właśnie myślałem — i wyciągnął kopertę. Och, pewnie, że ją poznałem. Była to jedna z moich, z nadrukiem Atelier Monly, Jefferson, Missisipi w lewym rogu, z pieczęcią pocztową wyraźnie odbitą jak rycina i zaadresowana „G. G. Winbush, City”, tak że wiedziałem, co w niej jest, zanim ją wyjął: fotografia,

którą Winbush koniecznie chciał zabrać do swojej „kolekcji prywatnej”, jak mówił, u ja nie chciałem jej sprzedać, bo każdy, kto ma z nim do czynienia w jakiegokolwiek sprawie, naraża się na niebezpieczeństwo, Ale, tam do diabła, on reprezentował Prawo czy coś, co w każdym razie mogło uchodzić za Prawo w tej uliczce o godzinie pierwszej albo drugiej w nocy. O tak, La koperta przeszła przez pocztę, chociaż ja jej nie wysłałem i choć została nadana nie dalej niż w Jefferson. A przy tych tarapatach, w jakich już był Winbush, przez to, że się znajdował w moim pokoiku za sklepem zamiast podstawić do rozbicia to, co nazywał swoją głową, dwom złodziejom starego narkomana, Willa Christiana, nie trzeba było być Simonem Legree, żeby wykryć, że miał tę fotografię, i żeby mu ją odebrać, i nie trzeba było niczego, żeby mu kazać przysięgać się i odprysięgać na wszystko, czegokolwiek ktokolwiek mógł sobie życzyć w takiej sprawie, jak ta. Bo Winbush miał żonę i trzeba było mu tylko napomknąć, że ma się zamiar pokazać jej tę fotografię, ponieważ należała do tego typu żon, którym żadna siła ludzka nie dołałaby wybić z głowy przekonania, że dziewczyna na fotografii (przypadkiem była tam sama i nie robiła nic, prócz wystawiania na pokaz swojej nagości) jest nie tylko partnerką Winbusha, ale że, prawdopodobnie tylko dzięki jakiemuś rozpaczliwemu skokowi w ostatniej chwili, na fotografii obok niej nie figuruje sam Winbush bez spodni. I nie trzeba było Sherlocka Holmesa, żeby przewi dzieć, co zrobi ten stary kościotrup, ten drań z ław/ sędziowskiej, jak zobaczy tę kopertę z pieczęcią. No więc powiedziałem:

— Wygląda na to, że mnie przelicytowali i że nie mogę już zgłosić nic więcej. Prawdę mówiąc, tak jakbym musiał ustąpić. Jeżeli tam pojadę i unieszkodliwię tamtego, wyciągniesz mnie. No i co dalej?

a:i

— Bilet, kolejowy, dokąd chcesz, i sto dolarów.

— Powiedzmy pięćset — powiedziałem. I dodałem: — Dobrze, nie będę się targował. Niech będzie dwieście pięćdziesiąt.

On też się nie targował.

— Sto dolarów — powtórzył.

— Tak, ale to ja mam wyciągać kasztany z ognia — powiedziałem. — Jeżeli mam spędzić przynajmniej rok za drutami na tej przeklętej bawełnianej farmie... — Nie, nie targował się, to trzeba mu było przyznać.

— O tym też pomyślałem — powiedział. — To już ułożone. Jutro wyjdiesz za kaucją. Clarence zabierze cię po drodze do Memphis. Masz dwa dni wolności (Mój Boże, nawet o tym pomyślał!). Clarence będzie miał pieniądze. Wystarczy.

Wystarczy dla niego czy dla mnie? No więc teraz nikt już z nikogo nie drwił. Stałem tylko patrząc na niego, a on siedział na kuchennym krześle żując, nie patrząc na nic i nawet nie żując nic prócz powietrza. Wszyscy, co go znali, wiedzieli, że nigdy w życiu nie pił, a jednak nie zawahał się wydać trzydzieści albo czterdzieści dolarów na whisky, żeby mnie posłać do Parchman, gdzie mógłbym unieszkodliwić Minka, i najwidoczniej gotów był wydać jeszcze sto (albo bardziej prawdopodobnie jeszcze dwieście, jeżeli miał zamiar zapłacić także za Clarence'a) na to, żebym został w Parchman dość długo, żeby zgubić Minka i nie dopuścić do jego wyjścia za pięć lat. I nagle zrozumiałem, co mnie tak w nim zastanawiało od czasu, kiedy dorosłem na tyle, żeby zrozumieć te rzeczy i może. wyciągnąć jakiś wniosek.

— A więc jesteś prawiczkim — powiedziałem, mu. — Nigdy w życiu nie, spałeś z kobietą, co? Czekałeś nawet z ożenkiem, aż znajdziesz kobietę, która nie tylko miała już dziecko w brzuchu, ale nawet nic*. pozwoliłaby ci wsunąć ręki pod spódniczkę. I ty chcesz żyć, no nie? Pytam się, po co?

On wciąż nic nie mówił, tylko siedział, żując powietrze.

— - Ale po co wydawać jeszcze pieniądze na Clarence'a? Choćby nawet wolał domy z Murzynkami, ejdzie najwyższą ceną jest jeden dolar? Za pomoc Clarence'a będziesz musiał zapłacić. I)aj mi całą sumę i pozwól jechać samemu.

Ale ledwie to powiedziałem, wiedziałem już, co odpowie. Nie mógł ryzykować wysłania mnie jedną milę za Jefferson bez kogoś, kto by dopilnował, żebym wrócił, nawet z tą opieczętowaną kopertą w kieszeni. Wiedział, jak to będzie, ale nie mógł ryzykować, by się przekonać, że ma rację. Brakowało mu odwagi. Brakowało mu odwagi, by przekonywać siebie, w swoim wieku, że wszystko, czego trzeba na to, żeby pokierować ludźmi w dziewięciu wypadkach na dziesięć, to okazać im zaufanie.

Tubbs wiedział o kaucji, tak że był zdecydowany wypuścić mnie jeszcze tego wieczora, żeby schować do własnej kieszeni koszty mojej kolacji, z nadzieją, że w ogólnym zamieszaniu nikt tego nie zauważy, ale ja podziękowałem za dobre chęci. — Nie opowiadaj pan historii — rzekłem. — Byłem w armii amerykańskiej (albo prawie byłem). Jeżeli uważasz, twój lokal jest mało higieniczny, szkoda, że nie widziałeś niektórych miejsc, w jakich już spałem. — Tubbs stał w otwartych drzwiach z kluczami w jednej ręce, a drugą drapał się w głowę. — Ale co możesz zrobić, to ^{v>} wyjść i przynieść mi przyzwoitą kolację, ian Snopem zapłaci za to, moi bogaci krewni już nu przebaczyli, A przy oka/ji przynieś mi gazetę ?. Memphis. — Więc wyszedł i musiałem za nim krzyknąć: Wróć i zamknij drzwi! Nie mam ochoty przyjmować tu całego miasta, jeden psi syn w psiarni wystarczy.

Więc nazajutrz rano zjawił się Clarence i Flema dał mu pieniądze i wieczorem byliśmy w Memphis, w „Teaberry”. To znaczy ja. Clarence znał hotel, gdzie się stale zatrzymywał, i gdzie można było mieszkać za dolara dziennie, nawet kiedy płacono się nie własnymi pieniędzmi. Chodziło o pieniądze Flema i jasne, że każdy, kto się także nazywał Snopes, spałby chętnie na gołej ziemi, gdyby tylko to kosztowało Flema dwa razy drożej niż spanie w dobrym łóżku.

— No i co? — powiedział Clarence. To było to, co się nazywa retoryką. On już wiedział co albo myślał, że wie. Miał już wszystko wypisane na papierze. Jedno w nim było dobre: nigdy człowieka nie wystawiał do wiatru. Nie mógł. Każdy, kto go znał, wiedział, że musi być łobuzem, będąc moim przyrodnim bratem.

W zeszłym roku Wergiliusz (tak, Snopes, zgadliście — najmłodszy chłopak wuja Wesleya, przewodniczący chóru religijnego, którego przyłapano tego dnia po nabożeństwie z tą czternastoletnią dziewczyną w pustej szopie bawełnianej i wysłano go do Teksasu czy w każdym razie poza granice Yoknapatawpha, uzdolnienia Wergiliusza były więc dziedziczne) i Fonzo Winbush, zdaje się bratanek mego klienta, przyjechali do Memphis, żeby wstąpić do szkoły fryzjerskiej. Ktoś — pewnie pani Winbush, ona nie była z rodziny Snopesów — powiedział im, żeby nie wynajmowali pokoju gdzie indziej, tylko u kobiety dojrzałej i bogobojnej, a przede wszystkim o rozwiniętych uczuciach macierzyńskich.

Toteż prawdopodobnie krążąc wciąż dokoła dworca, * obładowani jeszcze walizkami, przeszli przed domem Reby Rivers o tej godzinie, o której codziennie wyprowadzała przez frontowe drzwi swoje dwa nieznośne i obrzydliwe białe pieski, które nazywała Miss Reba i Mr Binford, na cześć Lucjusza Binforda, który był jej alfonsiem aż do czasu, kiedy oboje za bardzo się zestarzelili i osiedli tutaj, i wszyscy ludzie z sąsiedztwa — blacharz, chłopak, co przynosił mleko i zbierał opłatę za gazety, i ci z ciężarówki, która przywoziła bieliznę z pralni, mówili do niego: „Panie kierowniku”, póki w końcu nie umarł.

Wydawała się dojrzała pod każdym względem, a już specjalnie w tym szlafroku, który miała na sobie tego popołudnia, i z pewnością mogła zrobić wrażenie pobożnej osoby i dobrej chrześcijanki na każdym, kto znalazł się dość blisko, żeby słyszeć, co mówiła do tych swoich piesków, kiedy wypijała o jeden kieliszek dżinu za dużo; zresztą przypominam, że każdy, kto waży dwieście funtów i ma na sobie szlafrok zapięty na agrafki, musi wydawać się macierzyński nawet w momencie wyrzucania za drzwi pijaka; a cóż dopiero dwóm osiemnastoletnim chłopakom z Missisipi.

Może i była macierzyńska, a Wergiliusz i Fonzo w swojej dziecięcej niewinności dostrzegli to, co wymknęło się nam, starym klientom i przyjacielom domu. I może właśnie okryci pancierzem tej niewinności młodzieniaszków ze wsi w Yoknapatawpha weszli ufnie tam, gdzie nawet anioł nie wszedłby nie zostawiwszy w pierw swego portfela w kasie na dworcu. Jednym słowem spytali, czy ma wolny pokój, zgodziła się go wynająć i prawdopodobnie mieli już rozpakowane walizki, zanim zrozumiała, że oni nawet nie wiedzą, że się znaleźli w burdelu.

Tak czy inaczej słowo się rzekło — a ona musiała opłacać przecież komorne i policjantów, i człowieka, który jej dostarczał piwa, i pralnię, i służącą Minnie, w sobotę wieczorem — nie mówiąc już o tych jej diamentach, które musiała utrzymać w czystości i blasku, żeby nie wyglądały zanadto jak dwa wieki kawałki szkła z rozbitej butelki od piwa — i ta niewinność z Yoknapatawpha znalazła się w pełnym

rozgard i j i szu dziewcząt biegających lam i z powro lent od pokoju do łazienki, w nocnych koszul,ich i negliżach albo nawet i bez tego,- klientów wchodzących i wychodzących i Minnie, która roznosiła po piętrach .sterLy roczników i szklaneczki dżinu, i tych wszystkich hol) wrzeszczących, kłócących sit,, wrywających jedna drugiej włosy w bójece o kochanków, klientów albo pieniądze. I do tego sama Koba, przeklinająca w korytarzu jakiegoś pijaka, którego próbowano wyrzucić, zanim sic; zjawia glnyl Ale w niecały tydzień udało jej sit; wszystko doprowadzić do ładu i dom wyglądał tak spokojnie, jak pensjonat dla młodych panienek i inocjla ulokować Wergilitisza i bonzo w pokoju na górze w nadziei, że zasną zaraz, jak tylko położą sit; do łózek.

Naturalnie to nie mogło trwać. Przede wszystkim był len kurs fryzjerski, gdzie musieli słuchać fryzjerów przez cały dzień, chociaż człowiek ma już zupełnie dość locjo słuchania przez le pół godziny, kiedy go strzygą. A jak wracali do domu, migający tu i ówdzie przez uchylone drzwi widok obnażonej nogi, koszuli nocnej, a może nawet całej nagiej kobiety musiał po jakimś czasie wydać im siej zastanawiający, choćby nawet wciąż wierzyli, że to wszystko siostrzenice albo wychowanice Reby, albo jakieś dziewczęta z miasta studiujące na jakimś żeńskim kursie w rodzaju tego, na który sami chodzili. Nie wspominając już o czystym instynkcie, który Wergiliusz i Fonzo (czy mówiłem już, że był bratankiem Grovora Win- busha?) odziedziczyli i czerpali z samych źródeł.

Nie trwało to dłużej niż dwa miesiące. A że dzielnica czerwonych łataw w Memphis nic jest bardzo rozległa, wkrótce oni i Clarence spotkali się w tym samym miejscu, zwłaszcza że Wergiliusz i J'onzo nadal obowiązani byli poświęcać większość swego czasu studiom, a poza tym nic nie zarabiali, musieli więc szukać tanieli okazji, i tutaj Wergiliusz od razu zablysł wyjątkowym talentem: mógł obsłużyć dwie dziewczyny jedna po drugiej, tak że były zadowolone« przynajmniej krzyczały: „Dość, wystarczy za dwa doiai yI", a w swym młodzieńczym entuzjzmie i niewinności robił to nie tylko z przyjemnością, ale nawet płacił za to, dopóki Clarence nie spotkał go i nie dostarczył mu pieniędzy.

On ■— Clarence włóczył się po knajpach i hotelach, które miał pod swoim nadzorem tak długo, aż spotkał frajera, który nie chciał wierzyć w przechwałki na temat możliwości jego — jakby tu powiedzieć: — protegowanego, i Clarence zakładał się z niin. 7.a pierwszym razem jego ofiara zazwyczaj traciła punkty. Oczywiście Wergiliusz czasem zawodził.

— I płacił połowę zakładu — powiedziałem.

Co? — zdziwił się Clarence. Karać chłopca

za to, że się stara najlepiej jak może? Zresztą to się zdarza najwyżej jeden raz na dziesięć, a chłopak nabiera coraz to lepszej formy. Jaką przyszłość ma przed sobą ten smarkacz, byle tylko zapewniona była dostawa kurw po dwa dolary!

W każdym razie tego wieczora to właśnie projektowaliśmy. — Pięknie dziękuję — powiedziałem, - Cześć pracy. Ja pójdę teraz odwiedzić jednego starego kumpla, a potem wracam i kładę się do łóżka. Daj mi dwadzieścia pięć — powiedzmy trzydzieści z tych pieniędzy.

—Fłem dał mi setkę.

—Trzydzieści wystarczy — powiadam.

— Diabła tam — on na to. — Weźmiesz z tego połowę. Nie chcę, żebyś po powrocie do Jefferson opowiadał Flemowi jakieś kłamstwa o mnie. Masz.

Wziąłem pieniądze.

— Zobaczmy się jutro rano na dworcu, przy pociągu.

— Jutro wracam do domu. Ty nie musisz.

— Obiecałem Flemowi, że zostanę z tobą i przywiozę cię z powrotem.

— Zostaw to — powiadam. — Czy nie masz pięćdziesięciu dolarów z jego pieniędzy?

— Tak — mówi on. — Niech piorun trzaśnie takiego, co łamie słowo, kiedy już wziął za to pieniądze.

We środy wieczór był prawie zawsze spokojny, chyba że w mieście był jakiś kongres, może dlatego że tyle kobiet (i klientów też) przyjeżdżało z małych prowincjonalnych miasteczek z Tennessee, Arkansas czy Missisipi i całe rodziny baptystów i metodystów, i to wprowadzało w knajpach, szulerniach a nawet w burdelach jakiś spokojny rytm, coś podobnego jak podczas wspólnych środowych modlitw wieczornych. Minnie otworzyła na dzwonek. Miała kapelusz na głowie. To znaczy, chciałem powiedzieć, że cała jej głowa tkwiła w tym kapeluszu, był to coś jakby hełm do gry w rugby.

— Dobry wieczór, Minnie — mówię. — Wychodzisz?

— Nie — powiada. — Wyjeżdżał pan gdzieś? Dawno tu pana nie widzieliśmy.

— Byłem zajęty — odpowiadam.

Reba też o to spytała. W domu spokój: w jadalni nikogo, tylko Reba i nowa dziewczyna, i jakiś klient pili piwo. Reba w pełnym blasku swoich żółtych diamentów, ale w szlafroku, a nie w wieczorowej sukni, którą miała na sobie, gdyby to była sobota. Szlafrok był nowy, ale już pospinany agrafkami. Jej również odpowiedziałem, że ostatnio miałem ruch w interesie.

— Chciałabym to samo o sobie powiedzieć — odparła. — Tak jakbym prowadziła szkółkę niedzielną. Niech się pan zapozna z kapitanem Strulterbuckiem — dodała. Był wysoki, dosyć tęgi, twarz dokera portowego. To znaczy, chcę powiedzieć, że starał się wyglądać na twardego faceta, ale nie był jeszcze pewien, jak zostanie to przyjęte. Błade, zimne oczy patrzyły na człowieka dość twardo, nie wiadomo czemu zdawało się, że nie może patrzeć obydwojma oczami jed* nocześnie. Miał około pięćdziesiątki.

— Kapitan Strutterbuck brał udział w obydwu woj-: nach — wyjaśniła Reba. — W tej hiszpańskiej, jakieś dwadzieścia pięć lat temu, i w tej ostatniej też, Właśnie opowiadał nam o tej ostatniej. A to jest Thel- ma, Pracuje u nas dopiero od tygodnia.

— Bardzo mi miło — powiedział Strutterbuck. — ■ Pan też był na froncie?

— Mniej więcej — powiedziałem.

— W której jednostce?

— Eskadra La Fayette — powiadam.

— Jak, Lafa? — dziwi się. — Ach, eskadra La Fayette? Lotnicy. Niewiele wiem o lotnictwie. Byłem w kawalerii, na Kubie w dziewięćdziesiątym ósmym i na granicy w szesnastym, ale już nie jako oficer, już nie byłem w armii, tylko jako prywatny obywatel, chciałem pomóc Pershingowi, bo znam okolicę. Toteż jak postanowili wysłać go do Francji, powiedział, że gdybym kiedy przyjechał go odwiedzić, postarałby się o coś dla mnie. Więc jak usłyszałem, że Rick (Eddie Ric- kenbacker, zwany As — wyjaśnił Rebie i nowej dziewczynie — szofer generała), że Rick opuścił go, żeby wstąpić do lotnictwa, powiedziałem sobie, że to moja szansa i urządziłem się tak, żeby popłynąć do Europy, do niego, ale on już miał innego szofera, jakiegoś tam sierżanta, nie pamiętam nazwiska. No, więc byłem tam bez posady. Ale cokolwiek udało mi się jeszcze zobaczyć, można powiedzieć, z miejsca w tyle samochodu — Argonne, Chaumont, Vimy, Chatiau-

■ Teoretycznie. Pan z pewnością sam oglądał z bliska to piekielka. Gdzie stacjonował pański pułk?

— Ja byłem w Y.M.C.A. — mówi*;

— Co? — mówi on. Wstał z krzesła, powoli. Był wysoki, porządnie łęgi, prawdopodobnie nie pierwszy raz jego oczom nie udało się spojrzeć w tym samym czasie na tę sarną rzecz. Może liczył na to. Tymczasem Reba leż wstała. — Czy pan czasem nie próbuje strugać ze mnie wariata? — mówi on.

— Dlaczego? — pytam. — Co się panu nie podoba?

— Dobrze już, dobrze — mówi Reba. — Idź pan z TheJmą na górę, czy nie? Jeżeli nie, jak zwykle, to niech pan jej powie.

— Nie wiem jeszcze, czy pójdę — mówił on. — Myślę w tej chwili, że...

— Tu się nie przychodzi, żeby myśleć ■ — powiada Reba. — Tu się przychodzi załatwić sprawę, a potem się wychodzi. Pan zamierza załatwić sprawę, czy nie?

— Dobrze, dobrze. — on na to. — Chodźmy — powiada do Thelmy. A do mnie: — Może się jeszcze spotkamy.

— Po następnej wojnie — odpowiedziałem. On i Thelma wyszli. — I co, pozwoli mu pani? ■ — pytam.

— On dostaje rentę po tej wojnie hiszpańskiej — powiedziała Reba. — Właśnie dzisiaj przyszła. Widziałam. Patrzałam, jak podpisywał swoje nazwisko na odwrocie, żeby móc to zdyskontować.

■ — Ile? — spytałem.

— Nie spjrzałam nawet, co tam było na pierwszej stronie. Upewniłam się tylko, czy podpisał się w tym miejscu, co trzeba. To był przekaz na pieniądze z rządu Stanów Zjednoczonych. Z rządem Stanów Zjednoczonych nie ma żartów.

— Przekazem pocztowym można wysłać nawet jednego centa, byle się opłaciło koszta przesyłki — po wiedziałem. Spojrzała na ranie. — Wypisał swoje nazwisko na odwrocie niebieskiej kartki i włożył ją do kieszeni. Przypuszczam, że od pani pożyczył pióro. Było tak?

— Dobrze, dobrze — powiedziała. — No to cześć — pan chce, co mam zrobić? Pochylić się nad łóżkiem, powiedzieć: „Jedną chwileczkę, kochanie?”

Mirmie weszła z nową butelką piwa. To miało być ■ dla mnie.

— Ja nie zamawiałem — mówię. — Może powi nieniem od razu panią uprzedzić. Dziś nie mara pieniędzy na takie wydatki.

— Więc to ja muszę za to zapłacić. Po co pan tu przyszedł w takim razie? Tylko po to, żeby się z kimś pokłócić?

— Nie z nim — powiadam. — Ten nawet nazwisko wyszperał z książki. Nie pamiętam już teraz, z jakiej, ale to na pewno była lepsza książka niż ta, z której wyłowił swoje historie z wojny.

— Ach tak — ona na to. — Po co, u diabła, było mówić mu, gdzie pan mieszka. Niech pan tylko sam pomyśli, dlaczego pan tam mieszka?

— Gdzie mieszkam?

— W Y.M.C.A. Miewam tu od czasu do czasu chłop • tasiów, którzy powinni być w tym stowarzyszeniu, czy też w nim są naprawdę, czy nie. Ale nigdy dotychczas nie słyszałam, żeby ktoś się tym chwalił!

■ — Mieszkam w „Teaberry” — powiedziałem. — Należałem do Y.M.C.A. w czasie wojny.

— Do Y.M.C.A.? W czasie wojny? Oni nie wojują. Ze mnie też pan chce zrobić głupią.

— Wiem, że nie wojują — powiedziałem. — Dlatego tam byłem. To prawda. Tam właśnie byłem, Gavin Stevens, jeden adwokat z Jefferson, może to pani poświadczyć. Następnym razem, jak tu będzie, niech go pani spyta.

Minnie ukazała się w drzwiach z tacą i dwiema szklaneczkami dzinu. Nic nie powiedziała. Stała tylko w drzwiach, tak żeby Reba ją zobaczyła. Wciąż jeszcze była w kapeluszu.

— Dobrze — powiedziała Reba. — Ale więcej już nie. Nie zapłacił jeszcze za to piwo. Ale panna Thelma jest nowa w Memphis i nie chcemy, żeby czuła się tu obco. — Minnie odeszła. — No, więc dziś nie otworzy pan portmonetki?

— Przyszedłem z prośbą do pani. — Ale ona nawet nie słuchała.

— Nigdy pan dużo nie wydawał. Och, owszem, piwo i dzin stawiał pan dosyć chętnie. Ale jeżeli chodzi o tamto, to nie. Nie z żadną z moich dziewcząt w każdym razie. — Patrzyła na mnie. — Ze mną też nie. Ja też już z tego wyrosłam. Moglibyśmy wejść w spółkę. — Patrzyła na mnie. — Słyszałam o tym pańskim przedsiębiorstwie tam na wsi. Tutaj wiele osób z branży bardzo się na to krzywi. Uważają, że to nieuczciwa konkurencja, nieety... nieetni... — jak u licha brzmi to słowo? Lekarze i sędziowie ciągle go używają!

— Nieetyczna — powiedziałem. — To znaczy sucha.

— Sucha?

— Tak jest. Moją filię pani przedsiębiorstwa można by nazwać suchą albo nieprzemakalną. Placówka na przyczółku pustyni.

— Tak, oczywiście, rozumiem, co pan chce powiedzieć. To właśnie im tłumaczyłam: że patwienie na obrazki może dobrze zrobić na krótko, w pustynnej okolicy, gdzie nie ma pod ręką nic innego, ale że prędzej czy później ktoś może dostać gorączki i będzie musiał pobiec do najbliższej studni po wiadro prawdziwej wody, i może to będzie właśnie moja stud

nia. — Patrzyła na mnie. — Niech pan to sprzeda i zainstaluje się tutaj.

— Czy to propozycja? — spytałem.

— W porządku. Niech pan tu się przeniesie i obejmie kierownictwo. Piwo i inne napoje są w domu. Nie będzie pan potrzebował wiele: tylko papierosy, ubranie i trochę monety, żeby brzęczała w kieszeni. Na to mnie jeszcze stać, a przynajmniej nie będę musiała pana pilnować co do dziewcząt, tak samo jak pana Binforda, bo jemu także zawsze mogłam ufać. — Patrzyła na mnie. Coś było w jej oczach czy w twarzy, czego nigdy nie widziałem przedtem ani się nie spodziewałem. — Potrzebny mi... Pan wie, mężczyzna może zrobić to, czego nie może kobieta. Płacić zabezpieczenie, wziąć na siebie pijaków, kontrolować tych drani komiwojażerów, co podnoszą ceny piwa i whisky i o- szukają na butelkach, jeżeli człowiek dzień i noc nie patrzy im na ręce. — Siedziała obok, patrząc wciąż na mnie, ze szklanką piwa w tłustej ręce, z tym diamentem wielkości fasoli. — Potrzebne mi... nie żadne czułości, z tego już dawno wyrosłam. Chodzi o... Umarł już trzy lata temu, a ja jeszcze nie mogę w to uwierzyć. — To nie powinno było być tutaj, ta otynkowana twarz i to ciało zniszczone ciężką, fizyczną, burdelową pracą, którą musiała zarabiać na życie, tak jak stary mistrz boksu czy piłki nożnej albo stary koń, póki ta twarz nie zaczęła wyglądać tak, że nie przypominała już ani mężczyzny, ani kobiety, pomimo li-chego różu w za dużych porcjach i tych wielkich diamentów, które się zdawały prawdziwe, choćbyś nie dowierzał ich kolorowi, i tych oczu z tym czymś, co nie powinno było się tu znaleźć, czymś, na co, jak to mówią, pies by nie zasługiwał. Minnie przeszła znów przez jadalnię do hallu. Taca już była pusta. — Przez czternaście lat żyliśmy jak gołąbki — spojrziała na mnie. Tak, nawet pies. — Jak dwa gołąbki — ryk-

”ę”a poonosząc szklankę z piwem i stawiając ją cię/
ko powrotom na stolo. - Minnio! — zawołała w
sfrotię drzwi. Minnio podeszła do nas. Przynieś
dżin - - powiedziała Koba.

- Nie, Miss Koba, ni o chce pani chyba znowu zaczynać — sprzeciwiła się Minnio. •-- Nio pamięta pa-
ni, ostatnim razem, jak oplakiwała pani pana Hinlor da, InioJismy ta policjo do czwartej rano. Nioch się pani
napije piwa i zapomni o dżinie.

Tak — powiedziała Koba. Wypiła jeszcze trochę piwa i postawiła szklankę. — Wspomniał pan o jakieś
prośbie. Nie chodzi na pewno o pieniądze: nie chcę mówić o pańskim tupocie, ale o zdrowym rozsądku. Toteż to
może być interesujące.

— Tylko że chodzi właśnie, o pieniądze — powie- działem. Wyjąłem pięćdziesiąt dolarów, odłożyłem na
bok dziesięć i posunąłem dziesiątkę ku niej przez stół. — Wyjeżdżam śląd na dwa lata. To na pamiątkę, żeby
mnie pani wspominała. — Nie dotknęła tej dziesiątki, nawet na nią nie spojrzała. Minnie i owszem. Ale ona
patrzyła tylko na mnie. — Może i Minnie mogłaby tu pomóc — powiedziałem. — Chcę podarować czterdzieści
dolarów najbiedniejszemu łajdakowi. Kto jest ten najbiedniejszy łajdak znany pani albo Minnie? — Patrzyły na
mnie obydwie, Minnie spod swego kapelusza.

—Ale co to znaczy „najbiedniejszy”? — spytała Reba.

—Taki, co ma kłopoty albo siedzi w więzieniu czy tam gdzie, i może nie z własnej winy.

—Mąż Minnie jest łajdakiem i siedzi, owszem, w więzieniu. Ale nie nazwałabym go biednym. A ty,
Minnie?

— Pewnie, że nie — powiedziała Minnie.

—Przynajmniej w tej chwili nie ma kłopotu z k<>-

m

biotami powiedziała Reba do Minnio. — To musi być dla ciebie pewną pociechą.

- Nie zna pani Ludusa — rzekła Minnie. - Chciałabym zobaczyć takie miejsce, mamer czy nie. manier,
ild/ie by I.udus nie znalazł facetki dość głupiej, żeby mu wierzyła.

— Co on zrobił? — zapytałem.

— Zeszłej zimy rzucił pracę i od tego czasu mieszkał tutaj, jadał w mojej kuchni i co noc wykradał Minnie
pieniądze z portmonetki, kiedy już poszła spać, póki go nie przyłapała, jak dawał forszę innej, a jak próbowała go
prosić, żeby przestał, wyrwał jej z ręki żelazko i poharatał jej ucho tak, że prawie je oberwał. Dlatego musi
zawsze nosić kapelusz, nawet w domu. Toteż powiedziałabym, że jeżeliby kto tu zasługiwał na te czterdzieści
dolarów, to Minnie.

Usłyszeliśmy krzyk kobiety z korytarza na piętrze. To ta nowa, Thelma, wrzeszczała i przeklinała stojąc na
szczybie Schodów, w kusym szlafroku czy w tym, co z niego zostało. Kapitan Strutterbuck był w połowie
schodów w kapeluszu na głowie, w jednej ręce trzymał palto, a drugą usiłował zapiąć rozporek. Min nie też stała
na szczycie schodów. Nie próbowała przekrzywić Thelmy ani nawet jej uciszać: Minnie po prostu miała
większą wagę i objętość, a może większą praktykę.

— Jasne, że nie miał pieniędzy. Nigdy nie miał więcej niż dwa dolary naraz, od czasu jak tu przychodzi.
Czemu pani mu pozwoliła wleźć na łóżko, zanim zapłacił, to nie rozumiem. Założę się, że nawet nie zdjął
spodni. Kiedy mężczyzna nie zdejmuje spodni, lepiej w ogóle z nim nie zaczynać, gotów jest prysnąć, cokolwiek
by opowiadał.

— Dobrze już, Minnie — powiedziała Reba. — Wystarczy. — Minnie cofnęła się, nawet Thelma ucichła.

7cb?.cxvia mnie i naciągnęła kimono, tak żeby trochę ;:akrvć przód. Strutterbuck schodził na dół, jeszcze manip^kijąc przy guzikach spodni; może ostatnią rzeczą, -akiej jeszcze pragnął, było móc spojrzeć na coś obvdv.'on:a cezami jednocześnie. Ale nie wiem. We- ciityg hennie, nie miał więcej powodów do obaw czy do zdziwienia w tej sytuacji, niż człowiek, który idzie do naprężonej linie. Oczywiście musiał być przejęty i piekielnie ostrożny, ale nie naprawdę przerażony, a iuż najmniej zdziwiony. Znalazł się wreszcie na parterze. Aie to nie był koniec. Pozostawało jeszcze do przebycia osiem czy dziesięć stóp do drzwi frontowych.

Ale Reba była damą. Trzymała tylko wyciągniętą dłoń, póki nie przestał grzebać przy rozporoku i nie wyciągnął z jakiejś kieszeni złożonego we czworo przekazu pieniężnego, żeby jej podać. Tak, to była dama. Nie podniosła nawet na niego ręki, nie wypowiedziała nawet żadnego przekleństwa pod jego adresem. Podeszła tylko do drzwi, obróciła gałkę klamki i powiedziała: — Niech się pan pozapina. Jeszcze tego nie było, żeby mężczyzna wyszedł z mego domu o jedenastej wieczorem w nie zapiętych spodniach. — Potem zamknęła za nim drzwi na klucz. Rozłożyła przekaz pocztowy. Minnie miała rację. Przekaz był na dwa dolary wysłane z Lonake, Arkansas. Nadawca: Q. Milla Strutterbuck.

— Siostra czy córka? — zapytała Reba. — Jak myślicie?

Minnie także przyglądała się papierowi. — To musi być jego żona. Siostra czy matka, czy babka wysłałaby mu pięć. Jego kobieta wysłałaby pięćdziesiąt, gdyby je miała i chciała mu przysłać. Córka przysłałaby pięćdziesiąt centów. Tylko żona mogła przysłać dwa dolary.

Przyniosła jeszcze dwie butelki piwa do jadalni.

— No dobrze — powiedziała Reba. — Chciał mnie pan o coś prosić. Co to za prośba? Wyciągnąłem znów pieniądze i podsunąłem jej dziesiątkę trzymając w rękę pozostałe czterdzieści. — To dla pani i dla Minnie, żebyście mnie wspominały, póki nie wrócę za dwa lata. Resztę chciałbym, żeby pani posłała memu stryjowi do Parchman.

— Wróci pan za dwa lata?

— Tak — powiedziałem. — Może pani być pewna. Facet, u którego mam pracować, mówi, że wrócę za rok, ale ja mu nie wierzę.

— Rozumiem. A co mam zrobić z czterdziestoma?

— Proszę je wysłać memu strijkowi Minkowi Sm> pes do Parchman.

— Za co tam siedzi?

— Zabił człowieka nazwiskiem Jack Houston w 1908 roku.

— A czy ten Houston zasługiwał na to, żeby go zabić?

— Nie wiem. Ale z tego, co słyszałem, na pewno zrobił wszystko, żeby zarobić na kulę w łeb.

— Biedak! Ile dostał pański stryj?

— Dożywotniaka.

— Dobrze. Znam to też — powiedziała, — Kiedy ma wyjść?

— Około 1948, jeżeli dożyje i jeżeli nic innego mu nie przeszkodzi.

— Więc jak mam to zrobić? — Powiedziałem jej adres i wszystko.

— Mogłaby pani napisać, że od „innego więźnia”.

— Wątpię — powiedziała. — Nie byłam nigdy w więzieniu. I nie wybieram się tam.

— Więc niech pani prześle w imieniu „przvWciela”.

— Zgoda. — Wzięła banknoty i złożyła je. — Biedny łajdak! — powiedziała.

— O którym pani teraz mówi?

o obydwóch — odparła. — O nos wszystkich.

O każdym z nas. Biedni łajdacyl Spodziewałem się zobaczyć Clarence'a dopiero na zajutrz rano. Ale był tam już, garstka zgniecionych banknotów leżała na komodzie, jak podczas partyjki gry w kości, a Clarence, nagi do pasa, patrzył na nie, ziewając i grzebiąc w kępce włosów na piersi. Tym razem znaleźli gracza na grubą grę, gorączkowego faceta, który, kiedy Wergiliusz wziął jak zwykle dwie cizie, jedną po drugiej, założył się, że trzeciej nie weźmie bez chwileczki wytchnienia, i zaproponował tym razem grubą stawkę: Clarence postawił drugą pięćdziesiątkę Flema, bo tym razem rzeczywiście było ryzyko, powiedział nawet Wergiliuszowi, że może się wycofać. „Teraz jesteśmy górą, rozumiesz, dałeś już dowody twoich zdolności”. No i co powiesz, smarkacz nawet okiem nie mrugnął „Dobra — powiada przyślijcie ją tu”.

— A teraz gryzie mnie sumienie — powiedział znowu ziewając. — To były pieniądze Flema. Sumienie mi mówi, żeby mu o tym nie wspominać: forsa została wydana, tak jak on myśli. Ale wszystko jedno, człowiek nie ma ochoty być świnią.

No więc wróciliśmy do domu. — Po co chcesz iść z powrotem do więzienia? — spytał Flem. — Jeszcze zostały trzy tygodnie.

— Powiedzmy, że chcę nabrać wprawy — odpowiedziałem. ■— Niech będzie, że to próbny bieg mojego sumienia. — No więc teraz dzieliły nas żelazne kraty, teraz byłem zabezpieczony przed wolnym światem, bezpieczny jeszcze na jakiś czas przed wolnym światem Snopesów, gdzie Flem pertraktował, żeby zrobić swoją żonę dyrektorką banku, a Clarence jako senator stanu krążył między Jackson a ulicą Goyoso, żeby rozbierać Wergiliusza, jak tylko znalazł jeszcze jednego sportowca z Arkansas, który nie chciał wierzyć własnym oczom, a Byron bawił się w Meksyku czy tam gdzie, za to, co mu jeszcze zostało z pieniędzy bankowych i z moich, i był jeszcze ojciec Clarence'a, I. O., i nasz wuj Wesley, który jedną ręką dyrygował śpiewami w kościele, a drugą trzymał pod spódnicą jedenastoletniej gąski. Nie mówię o Wałstrecie i admirał Dewey ani o ich ojcu, Ecku, bo oni nie są z naszej rodziny, wstyd nam tylko przynoszą.

I żeby też nie zapomnieć stryja — mordercy, Minka, którego ujrzałem w sześć czy siedem tygodni później (musałem poczekać, żeby go nie spłoszyć za prędko). — Flem? — powiada. — Nie myślałem, że chce, żebym stąd wyszedł. Myślałem, że on chciałby mnie tu trzymać jak najdłużej.

— Prawdopodobnie się zmienił — powiadam. Stał przede mną w swoim pasiastym ubraniu, mrugając oczami, mały, wyniszczony, wyschnięty, nie wyższy niż czternastoletni chłopak. Aż się człowiek dziwił, jak u diabła coś tak małego i kruchego mogło wpaść w taką furję, a nawet znaleźć jeszcze tyle spokoju, żeby wycelować i zastrzelić człowieka.

— Jestem mu bardzo zobowiązany — powiedział. - Tylko że gdybym wyszedł jutro, nie zmieniłbym zdania. Byłem tu już dosyć długo i od dawna nie miałem do roboty nic innego, jak tylko pracować w polu i myśleć. Ciekaw jestem, czy on wie, czym ryzykuje. Chciałoby się grać uczciwie, rozumiesz?

— On wie — wyjaśniłem. — Nie spodziewa się, żebyś zmienił zdanie w ciągu lat spędzonych tutaj, bo wie, że nie możesz. Ma nadzieję, że je zmienisz, juk wyjdiesz. Bo wie, że skoro tylko owieje cię wolny wiatr i zaświeci wolne słońce, będziesz musiał stać się innym człowiekiem, choćbyś nawet sam tego nie chciał.

— Ale przypuścmy, że nie... — przerwał i nie dodał „zmienię się w porę”.

— Bierze na siebie to ryzyko — powiedziałem. — Musi. To znaczy musi teraz. Nie mógł przeszkodzić temu, że cię wysłano tutaj. Ale wie, że ty myślisz, że nie próbował. Musi pomóc ci stąd wyjść, nie tylko po to, żeby ci dowieść, że nie przyłożył ręki do tego, że cię tu wsadzili, ale dlatego, żeby mógł przestać myśleć i pamiętać, że ty przypuszczasz, że to on. Rozumiesz?

Stał zupełnie spokojnie mrugając lekko oczami, ręce zwisały beczynne i puste, ale nawet w tej chwili wewnętrzna strona dłoni zachowała kształt rączek od pługa, a szyja była lekko naprężona, jakby miał pociągnąć postronki. — Jeszcze mi zostało pięć lat, potem będę mógł wyjść bez niczyjej łaski — powiedział. — I nikt nie będzie miał prawa niczego się ode mnie spodziewać. Nikomu nie będę musiał zawdzięczać żadnej pomocy.

— To prawda — potwierdziłem. — Jeszcze tylko pięć lat. — To prawie nic dla kogoś, kto spędził tu już piętnaście, z uzbrojonym facetem, który pilnuje go, żeby orał pod bawełnę, która nie jest jego własna, czy ma ochotę tego dnia orać, czy nie, i drugim uzbrojonym facetem, który nad nim stoi i pilnuje, żeby zjadł przyniesioną wałówkę, którą albo zje, albo nie, czy ma ochotę jeść, czy nie, a jeszcze jeden u- zbrojony facet zamyka go na klucz w nocy, żeby mógł albo spać, albo nie spać, czy ma na to ochotę, czy nie. — Jeszcze pięć lat, a potem wyjdiesz stąd tam, gdzie wolne słońce będzie nad tobą świecić i żaden cień człowieka z karabinem nie odbierze ci tego słońca. Bo będziesz wolny.

— Wolny — powtórzył niegłośnie. — Właśnie tak: wolny. — To było wszystko. Tak łatwo poszło. Oczywiście strażnik, którego wykiwałem, skłął mnie po tem. Oczekiwałem tego: to wolny kraj. Każdy więzień ma prawo próbować ucieczki, tak jak każdy strażnik i grupowy ma prawo strzelić mu w plecy, jeżeli się nie zatrzyma na pierwszy gwizdek. Ale żaden łajzowaty kapuś nie ma prawa z góry uprzedzać strażnika.

Musiałem tego też dopilnować. To także było w rachunku: obietnica oddychania w świetle, na którym byli Snopesowie. Chciałem odwrócić głowę, a w każdym razie zamknąć oczy. Ale odmówić zamknięcia oczu to było wszystko, co mi zostało, - ostatni nędzny, prawie bezwartościowy grosz — przekłete małe stworzenie, wyglądało jak mała dziewczynka, która się bawi w mamę, w perkalowej sukience i czepek od słońca, co Mink uważał za pomysł Flema (to było trudne, chciał wciąż wierzyć, że człowiekowi powinno się pozwolić wyjść na spotkanie z losem — choćby nawet los ten niósł mu zagładę — w całej godności i przyzwoitości swych spodni; niełatwo było mu wytłumaczyć, że ta spódnica i czepek, to było wszystko, co Flem mógł dostać). Iść równym krokiem! To mu usilnie zalecałem: nie biec, tylko iść; na tej pustej ogrodzonej przestrzeni więziennego podwórza wydawał się tak opuszczony, żalorny, kruchy i obcy otoczeniu jak papierowa lalka, wyrzucona przez obracające się koło młyńskie, szedł jeszcze wolno, nawet gdy przekroczył punkt, z którego już nie mógł zawrócić, i wiedział o tym; szedł nawet po upływie tej chwili, w której zrozumiał, że został zdradzony i że od początku powinien był wiedzieć, że jest zdradzony, nie mogąc zarzucić nikomu tej zdrady, bo nawet nie potrzebowano go zdradzać: czyż nie podpisał — nie u- miał czytać, ale umiał się podpisać — tej obietnicy możliwości oddychania przez chwilę, skoro jego nazwisko było Snopes?

Toteż zaczął biec, jeszcze zanim musiał to zrobić.

Siegl prosto na nich, zanim zdążyłem ich dostrzec, zanim wyszli z zasadzki. Byłem dumny, nie tylko z tego, że jestem jego krewnym, ale z tego, że należę do tego, co Reba nazywała „my wszyscy biedni łajdacy”. Bo aż pięciu ludzi musiało go walić kolbą pistoletu po głowie, a w końcu trzeba było użyć bykowca, żeby go zatrzymać i powalić na ziemię.

Naczelnik posłał po mnie. — Niech mi pan nic nie mówi — powiedział. — Chciałbym nawet wiedzieć mniej, niż podejrzewam. Prawdę mówiąc, gdyby to ode mnie zależało, posadziłbym pana razem z nim w jednej celi i raczej pana zakułbym w kajdany. Ale ja też jestem związany, dlatego umieszczę pana w areszcie samego, na tydzień albo dwa, dla pańskiego własnego bezpieczeństwa. I nie dla ochrony przed nim.

— Niech się pan nie przechwala ani nie lamentuje. Pan też musiał jedno z nich podpisać.

— Co? — spytał. — Co pan powiada?

— Powiadam, że nie potrzebuje się pan kłopotać. On nie ma nic przeciwko mnie. Jeśli mi pan nie wierzy, niech pan każe go wezwać.

Więc przyszedł tu. Blizny i sińce od uderzeń kolbą goiły się dobrze. Siadów bykowca oczywiście nie było widać.

— Jak się masz — powitał mnie. — Zobaczysz chyba Flema wcześniej niż ja?

— Tak — przyznałem.

— Powiedz mu, że nie musiał do tego używać tej sukni. Ale to nieważne. Gdyby mi się udało ją wykorzystać, może, bym się zmienił. Ale teraz już nie, tak mi się zdaje. Myślę, że teraz poczekam.

A więc Flem musiał wziąć pod uwagę moją propozycję co do tych dziesięciu tysięcy. Mógłbym do niego napisać: „Możesz łatwo zagarnąć te dziesięć tysięcy. Potrzebujesz tylko przehandlować swoją żonę Manfredowi de Spain. Nie, to by się nie dało. proponować Eulę Varner Manfredowi de Spain to tak, jakby kto próbował sprzedać konia człowiekowi, który go już karmił i jeździł na nim przez dwanaście lat. Ale jest przecież ta dziewczyna, Linda. Ma dopiero jedenaście czy dwanaście lat, ale co u diabła, każ jej nałożyć ciemne okulary i wysokie obcasy i wypchnij na bystrą wodę, może de Spain nie zauważy.”

Tylko że ja mu tego nie napiszę. Ale nie to mnie gryzło. Gryzła mnie świadomość, że tego nie zrobię, że zmarnuję tę okazję — mam na myśli te dziesięć tysięcy za skontaktowanie go z syndykatem w Chicago. Nie pamiętam dokładnie, kiedy to było, prawdopodobnie byłem jeszcze całkiem młody, jak zrozumiałem, że pochodzę z rodziny, którą można nazwać klanem, rasą, może nawet gatunkiem czystej krwi łajdaków. Więc powiedziałem sobie: „Dobra, dobra, jeżeli tak się sprawy mają, to im pokażemy. Nazywa się najlepszego adwokata adwokatem nad adwokatami i najlepszego aktora aktorem nad aktorami i najlepszego atletę bokserem nad bokserami. Dobrze, tak zrobimy: każdy Snopes postawi sobie za swój prywatny i osobisty cel, żeby cały świat musiał go uznać za łajdaka nad łajdakami.”

Ale nigdy tego nie robimy. Nigdy nie dojdziemy do tego. Wszystko, na co nas stać, to tylko być jeszcze jednym Snopesem — łajdakiem. My wszyscy, każdy z nas: Flem i stary Ab, z którym już nawet nie wiem, jakie mnie łączy pokrewieństwo, i wuj Wes, i ojciec Clarence'a i mój, I. O., a potem w prostej linii: Clarence i ja, na skutek tego, co można by nazwać równoczesną bigamią, i Wergiliusz, i Vardaman, i Bilbo, i Byron, i Mink. Nie wspominam Ecka, Wallstreta i admirała Dewey, bo oni do nas nie należą. Zawsze uważałem, że matka Ecka przepracowała jedną noc

ponad program na dziewięć miesięcy przed jego urodzeniem. Toteż jedyna i prawdziwa k... (jaką mieliśmy, nie była wcale k..., tylko świętą męczennicą, a jedyny technicznie prawdziwy, autentyczny, czystej krwi sk...syn, jakiego kiedykolwiek wydali, nie by! nawet Snopesem.

Gdy jego bratanek odszedł, naczelnik powiedział: — Proszę usiąść. — Usłuchał. Gazeta leżała na biurku, | naprzeciw niego:

i PRÓBA UCIECZKI Z WIĘZIENIA
! W PRZEBRANIU KOBIECYM

j

; Parchman, Missisipi, 8 września 1923. M. C. „Mink” i Snopes, skazany na dożywotnie ciężkie roboty za z-
mordowanie człowieka w okręgu Yoknapatawpha...

— Co znaczy to „C” po twoim imieniu? — zapytał naczelnik. Jego głos brzmiał niemal łagodnie. — My-
śleliśmy, że ci na imię Mink, nic więcej. Tak nam po-
j daleś, czy nie?

— To prawda — potwierdził. — Mink Snopes.

— Ale co znaczy to „C”? Tu piszą M. C. Snopes.

I — Och — powiedział. — To nic, po prostu M. C.

| Snopes, jak I. C. Railroad *. To ci młodzi chłopcy z gazety wtedy w szpitalu. Pytali mnie bez końca o nazwi-
{ sko, a jak mówiłem Mink Snopes, powiedzieli, że Mink j to nie jest imię, tylko przezwisko. Jakie jest pań- |
skie prawdziwe imię? Na to powiedziałem: M. C. Sno-j P^{es}-

] — Rozumiem — powiedział naczelnik. — Czy Mink,
“ to twoje jedyne imię?

— Tak jest. Mink Snopes.

■— Jak mówiła do ciebie matka?

— Nie wiem. Umarła bardzo wcześnie. Pierwsze moje imię, jakie usłyszałem, było tylko Mink. — Wstał. — Lepiej już pójde. Na pewno na mnie czekają.

— Chwileczkę — zatrzymał go naczelnik. ■— Czy nie wiedziałeś, że to się nie uda? Nie wiedziałeś, że z tym się nie ucieknie?

— Mówiono mi — powiedział. — Byłem uprzedzony. — Stał nieruchomo, odprężony, mały i kruchy, z pochyloną głową, namyślając się, spokojny, niemal uśmiechnięty. — Nie powinien robić ze mnie takiego wariata, żeby mnie złapali w tej spódnicy i czepku ■— powiedział. — Ja bym mu tego nie zrobił.

— Kto, on? ■— zapytał naczelnik. — To chyba... to chyba twój bratanek.

— Montgomery Ward? — powiedział. — To wnuk mojego stryja. Nie, to nie on. — Przerwał na chwilę, potem znów zaczął: — Czy nie lepiej, żebym...

— Miałeś stać wyjść za pięć lat — powiedział naczelnik. — Wiesz, że teraz prawdopodobnie dodadzą ci jeszcze dwadzieścia, tak czy nie?

■— O tym też byłem uprzedzony — odparł.

— W porządku — powiedział naczelnik. — Możesz odejść. j

Tym razem to on się zatrzymał, przystanął. — Zda- | je mi się, że pan nie odkrył jeszcze, kto mi przysłał j te czterdzieści dolarów? f

— Jak mogłem? — powiedział naczelnik. — Mówi- ? łem ci to w swoim czasie. Tam było tylko napisane: od przyjaciela. Z Memphis. |

— To był Flem — powiedział. I

— Kto taki? — spytał naczelnik. — Ten kuzyn, co f to odmówił ci pomocy po zabiciu człowieka? Co to, | jak mówiłeś, mógł cię uratować, gdyby chciał? Cze- | mu miałby ci posyłać czterdzieści dolarów po piętnastu latach?

— To był Flem — powiedział. — Jego stać na to. Zresztą między nami nigdy nie było kłótni o pieniądze. Wtedy obrabiał Willa Varnera i może myślał, że nie może ryzykować mieszaniem się w sprawę o zabójstwo, nawet gdyby chodziło o krewnego. Wolałbym tylko, żeby nie używał tego babskiego ubrania. Tego nie powinien był robić.

Teraz zbierali już bawełnę. Wszystkie okręgi w Missisipi, gdzie uprawiano bawełnę, przygotowywały swoich najlepszych, najszybszych pracowników przeciwko najlepszym zbieraczom z Arkansas i Missouri na rozgrywki o mistrzostwo Doliny Missisipi. Ale jego tam nie będzie. Nie będzie tu nigdy żadnych asów w żadnej dziedzinie, bo tutaj gromadzą się tylko kłęski: nieudane zabójstwo i kradzież, i kłamstwo. Przypomnił sobie, jak z początku przeklinał własnego pecha, który pozwolił im go schwytać, a teraz wiedział już coś więcej: że nie istnieje nic takiego jak szczęśliwy i nieszczęśliwy przypadek, albo urodziłeś się na asa, czempiona, albo nie; gdyby on się urodził na czempiona, to Houston nie tylko nie mógłby, ale nie ośmieliłby się potraktować go w tej historii z krową w taki sposób, że nie pozostawało mu nic innego prócz zabójstwa; że niektórzy ludzie urodzili się po to, by ponosić zawsze kłęski i dać się złapać, tak jak inni urodzili się po to, by ich okłamywano i by wierzyć kłamstwu — a on był jednym z nich.

To były piękne żniwa, jedne z najlepszych, jakie pamiętał, jak gdyby wszystko ułożyło się właśnie, jak potrzeba — pogoda, wiatr, słońce, żeby pędy mogły szybko strzelać w górę, długie upalne lato, żeby strąki rosły i dojrzewały. Jak gdyby jeszcze przedtem, na wiosnę, sama ziemia powiedziała: „Zgoda, tym razem sprzymierzmy się, zamiast walczyć”; — zie

mia, grunt, który każdy farmer i każdy dzierżawca znał jako swego zaprzysiężonego, śmiertelnego wroga — twarda, nieubłagana ziemia, która niszczyła jego zdrowie, jego narzędzia do uprawy, a nawet samo jego ciało. I nie tylko jego ciało, lecz i to drugie; miękkie i tajemnicze, którego dotknął po raz pierwszy ze zdumieniem i szacunkiem, i niewiarygodnym podnieceniem w noc swego wesela, ciało teraz tak zniszczone i stwardniałe, że przez połowę dni w roku, a jak mu się zdawało przez większość, był zanadto wyczerpany znużeniem fizycznym, żeby przypomnieć sobie, że to było ciało kobiece. I nie tylko ciała ich dwojga, ale także ich dzieci, dwóch córek, na które patrzył, jak rosną i zaczynają dostrzegać, co czeka ich delikatną, elficzną niewinność. Aż wreszcie stawało się rzeczą całkiem naturalną, że człowiek patrzył na ten wrogi, nieprzejednany kwadrat ziemi, do którego był przykuty i skazany na resztę swego życia

i mówił: „Pokonałaś mnie, wykończysz mnie, bo jesteś silniejsza ode mnie, skoro ja jestem tylko z ciała i kości. Nie mogę cię porzucić, bo nie stać mnie na to, i wiesz o tym. Ja i to, co było pasją i namiętnością mojej młodości, dopóki nie wyniszczyła mojej młodości i nie zmusiłaś do zapomnienia o pasji, będziemy tu także za rok, z dziećmi zrodzonymi z naszej namiętności, żebyś mogła nas dalej niszczyć i przybliżyć do ćfrobu... i ty wiesz o tym. I jeszcze za rok, i tak rok za rokiem, i o tym wiesz także. I nie tylko ja, ale cały mój gatunek ludzi związanych z ziemią, który swoją młodość i nadzieję oddał na pożarcie czterdziestu czy trzydziestu akrom ziemi, której nikt prócz ludzi mego gatunku nie mógłby uprawiać, bo jesteś wszystkim, co mamy. Ale nie możemy cię spalić. Co roku w końcu lutego lub w marcu możemy podłożyć ogień i patrzeć, jak cała twoja powierzchnia wypala się i zwęgla, a ty nie możesz się obronić. Możesz wyniszczać nasze ciała, tępić nasze maizenia i rujnować nasze żołądki mąką kukurydzianą, słoniną i melasą, bo to jest wszystko, co możesz nam dać do jedzenia, ale każdej wiosny my możemy podpalić cię na nowo i o tym także wiesz”.

Teraz było inaczej. Nie był właścicielem tej ziemi; dawniej oczywiście wypłacał właścicielowi należną mu część zbiorów. Teraz to, co ta ziemia z siebie dawała lub czego nie dawała, zbiory wspaniałe lub nędzne, powódź lub suszę, bawełnę po dziesięć centów za funt lub po dolarze — nie oznaczało najmniejszej różnicy w jego życiu. Bo teraz nagle coś odkrył. Lata płynęły; był już poza nim i ten rok, w którym byłby odzyskał wolność, gdyby nie dał swemu bratankowi namówić się do tego głupstwa, które, jak każdy w lot mógł przejrzeć (nawet ten głupi, młody adwokat, którego mu narzucano jako obrońcę w procesie, kiedy on, Mink, potrafiłby bronić swojej własnej sprawy dużo lepiej, i który w ogóle nie miał rozumu, ale wiedział przynajmniej tyle i powiedział mu to, a nawet uprzedził go, co z tego wyniknie), nie tylko nie mogło się udać, ale nawet nie było pomyślane po to, żeby się udać. Ludzie z jego gatunku nigdy nie posiadali, nawet czasowo, tej ziemi, za którą, jak im się zdawało, opłacili czynsz między jednym i drugim dniem Nowego Roku. To ziemia posiadała ich, nie tylko od siewów do zbiorów, ale na wieczność; nie właściciel, nie dziedzic wypędzał ich w listopadzie z jednej bezwartościowej dzierżawy na drogi publiczne w poszukiwaniu innej, równie bezwartościowej, o dwie mile dalej czy o dziesięć mil, czy o dwa okręgi dalej, czy o dziesięć przed następnym okresem siewów w marcu, ale sama ziemia gnała ich biedę i niewolnictwo od farmy do farmy, ich czyścica, tak jak rodzina czy klan wygania jakiegoś dalekiego kuzyna, beznadziejnego bankruta.

To wszystko było przeszłością. Nie należał już do ziemi, nawet na tych bezpłodnych warunkach. Należał do rządu, do stanu Missisipi. Ciągnął tumany kurzu między bruzdami na polu, rok po roku i nic z tego, co za nim wyrastało z bruzd, nie mogło mieć wpływu na jego życie. Nie trzeba było chodzić do kantyny co sobotę rano, żeby wyklócać się z właścicielem

o każdy gram ochłapów z mięsa i mąki, i melasy, i o każdą szczyptę tytoniu, jedyną orgię marnotrawną jego i jego żony. Nie trzeba było staczać bojów z właścicielem o każdy worek skąpo wydzielanego nawozu, a potem patrzeć na nędzne zbiory, które cierpiały od tego skąpstwa, i znów iść do właściciela i wyrzucać mu jego skąpy, nie wystarczający przydział. Teraz musiał tylko wciąż się poruszać, ci, co stali nad nim z karabinem, ani wiedzieli, ani dbali, czy wyrasta coś z bruzd przez niego zaoranych i obsianych, byleby stałe był w ruchu, nie więcej ich to obchodziło niż jego. Z początku wstyd mu było, żył we wstydzie i obawie, żeby inni nie dowiedzieli się, co czuje, aż do dnia, kiedy odkrył (nie mógłby powiedzieć jak), że wszyscy inni czują dokładnie tak samo, że po pewnym czasie galernicza praca w Parchman doprowadziła ich wszystkich do tego: myślał, pogrążony w medytacjach i jakby ze zdziwieniem: „Tak jest, człowiek może się przyzwyczaić do wszystkiego, nawet do tego, żeby być w Parchman, byleby dać mu na to czas”.

Ale Parchman zmieniał tylko sposób patrzenia człowieka na to, co widział, odkąd się tu dostał. Nie zmieniało tego, co się z sobą przyniosło. Ułatwiało tylko wspomnienia, bo nauczono go tu czekać. Wspominał nawet ten dzień, kiedy sędzia obwieszczał mu wyrok, kiedy jeszcze wierzył, że Flem zjawi się, żeby go ocalić, póki wreszcie nie zrozumiał, że Flem tego nie zrobi, i nawet mu to nie w głowie, i jak omal nie powiedział głośno:

„Dajcie mi tylko dość czasu,

żeby dojść do Sadyby Francuza, czy gdziekolwiek on się w tym czasie znajduje, i jeszcze dziesięć minut zwłoki, a potem wróć tu i możecie dalej robić swoje

i powiesić mnie, jeżeli tylko chcecie”. I nawet ten czas, trzy czy pięć, czy osiem, czy ile to było lat temu, kiedy Flem przysłał mu tego bratanka — jak on się nazywał? Montgomery Ward — żeby go namówić do ucieczki w kobiecym przebraniu, i dodano mu za to jeszcze dwadzieścia lat do wyroku, dokładnie tak, jak go o tym uprzedził ten młody głupi adwokat na samym początku i jak, szamocząc się z pięcioma strażnikami, powtarzał wciąż to samo: „Pozwólcie mi tylko dotrzeć do Jefferson i dajcie mi dziesięć minut czasu, a wróć tu sam i będziecie mogli mnie powiesić”.

Teraz już nie myślał o tym w ten sposób, dlatego że nauczył się czekać. I czekając odkrył, że słucha i słyszy, że jest zorientowany we wszystkim, co się tam dzieje, przez samo tylko słuchanie, słyszenie, lepiej nawet, niż gdyby był na miejscu w Jefferson, bo w ten sposób mógł ich tylko obserwować, nie musząc się także o nich martwić. A więc jego żona wróciła do swojej rodziny, jak mówiono, i umarła, a jego córki, rosłe już teraz dziewczęta, wyprowadziły się także, ktoś z Sadyby Francuza na pewno wiedziałby dokąd. A Flem był teraz bogatym człowiekiem, dyrektorem banku i mieszkał w domu, który odbudował

i który był tak wielki, jak dworzec w Memphis, ze swoją córką, nieślubnym dzieckiem córki starego Willa Varnera. Ta dziewczyna teraz już była dorosła, odjechała i wyszła za mąż, a potem ona i jej mąż byli na wojnie, co się toczyła w Hiszpanii, i wybuch pocisku czy coś innego, co wybuchło, zabiło jej męża, a ją ogłuszyło i pozbawiło słuchu na zawsze. A teraz, kiedy owdowiała, była z powrotem w domu i mieszkała z Flemem, tylko ich dwoje w tym ogromnym domu,

gdzie, jak mówią, nie mogła dosłyszeć nawet huku pioruna; ludzie z Jefferson nie mieli o niej dobrej opinii, bo już była zamieszana w jakąś historię ze szkołą niedzielną dla Murzynów, w jakieś inne sprawy z tymi, co ich nazywają komuniści, bo jej mąż należał do nich i właściwie obydwójce w tamtej wojnie walczyli po stronie komunistów.

Flem był już teraz posunięty w latach. Obydwaj się postarzelili. Kiedy wyjdzie, w 1948 roku, obaj będą już starcami. Flem nawet mógł nie dożyć chwili, kiedy on stąd wyjdzie, w 1948, i on sam mógł tego nie dożyć, i teraz przypominał sobie, że kiedyś taka myśl także doprowadzała go do furii, że Flem może umrzeć śmiercią naturalną albo może tym razem trafić na kogoś, kto nie będzie należał do drugiej kategorii, do tych, co przegrywają i dają się złapać —

i zdawało mu się, że nie mógłby tego znieść; nie żądał sprawiedliwości, skoro sprawiedliwość była tylko dla najlepszych, dla asów, ale człowiek mógł spodziewać się przynajmniej jakiejś szansy, każdy miał prawo do swojej szansy. Ale to także teraz minęło, pokonane przez zwykłe czekanie; w 1948 roku obaj, on

i Flem, będą starymi ludźmi, i powiedział nawet głośno: — Co za wstyd, że nie możemy spotkać się jako dwaj starszankowie, którzy spokojnie siedzą sobie na słońcu albo w cieniu i czekają, żeby razem umrzeć, nie myśląc nawet, żeby sobie szkodzić i zadawać ból, nie pamiętając nawet, co to znaczy ranić i zadawać ból, i mścić się — dwaj starszankowie nie tylko niezdolni szkodzić już i zadawać ból komukolwiek, ale nawet niezdolni pamiętać zła i bólu, bo każda suma pieniędzy, których Flem już nie potrzebuje, a wkrótce nie będzie już ich nigdy potrzebował, może zostać użyta na to, by przekreślić, usunąć, zatrzeć w pamięci te czterdzieści lat, których Mink już nie potrzebuje, a wkrótce, on także, nie będzie nawet od czuwał ich braku. „Ale mnie się zdaje, że nie — myślał. — Żaden z nas nic już na to nie może poradzić. Żaden z nas nie może zawrócić.”

I tak znów zostało mu już tylko pięć lat, a potem miał być wolny. I tym razem wyuczył się lekcji, której tamten młody adwokat próbował go nauczyć trzydzieści pięć lat temu. Pracowali, jedli, spali razem jako jedna ekipa i mieszkali w chacie sklejonej z desek, brezentowego płótna i drutu (było lato); skuci tym samym łańcuchem szli do kantyny na posiłki, potem w pole do pracy i skuci wracali na powrót do chaty, żeby znów zasnąć. Toteż gdy plan ucieczki był gotowy, jego dziesięciu towarzyszy musiało go wtajemniczyć, żeby nie wydał ich przypadkiem czy przez nieuwagę. Nie chcieli go do tego mieszać, dwóch nawet sprzeciwiało się temu nadal. Bo od czasu jego własnej, nieudanej próby sprzed osiemnastu czy dwudziestu laty, znany był jako coś na kształt samowy-święconego kapłana doktryny nieuciekania!

Więc gdy w końcu mu powiedzieli, po prostu dlatego, że musiał znać sekret na to, by go chronić, czy przyłączy się do nich, czy nie, w momencie kiedy powiedział, krzyknął: — Nie, czekajcie, czekajcie! Czy nie rozumiecie, że jeśli ktokolwiek z nas spróbuje wyjść, to oni zemszczą się na nas wszystkich i żaden z nas nigdy nie będzie wolny, nawet gdy się skończy jego czterdzieści lat — zdał sobie sprawę, że już powiedział za dużo. Toteż gdy rzekł sam do siebie: „Teraz muszę odczepić się od tego łańcucha i odejść od nich”, to nie miało znaczyć: „Bo jeżeli ciemność zaskoczy mnie samego w tym pokoju z nimi, i nie będzie pod ręką żadnego strażnika, to nigdy już nie ujrzę światła”, tylko po prostu: „Muszę pójść do naczelnika w porę, zanim tego spróbują, może dziś w nocy nawet, i zgubią wszystkich”.

A jednak musiał czekać na tę ciemność, której się

lękał, aż pogasną wszystkie światła i wszyscy ułożą się do snu, tak żeby jego mordercy mogli przystąpić do wykonania swego zamiaru, bo tylko podczas albo z powodu zamachu na niego mógł się spodziewać przekazać strażnikowi swoje ostrzeżenie, swoją wiadomość, tak by mu uwierzono. Co oznaczało, że musiał użyć chytrkości przeciw chytrości: leżeć sztywno na pryczy, póki nie zaczną udawać chrapania, które miało uspić jego czujność, nieruchomy, w napięciu wstrzymując własny oddech, aby w porę rozróżnić wśród chrapania jakikolwiek odgłos zapowiadający pchnięcie nożem (czy uderzenie pałką, czy cokolwiek; miało to być), aby w porę zerwać się z pryczy i jednym konwulsyjnym ruchem zwinąć się pod nią, podczas gdy tamci — nie mógł rozróżnić, ilu ich było, gdyż hałaśliwe, udane chrapanie jakby się wzmogło — rzucili się na puste legowisko, na którym sekundę przedtem leżał.

— Chwytaj go — syknął jeden z nich. — Kto ma nóż? — Potem inny głos: — Ja mam. Gdzie on, u diabła, się podział? — Bo on, Mink, nie zrobił nawet pauzy: jeszcze jedno konwulsyjne szarpnięcie i wytoczył się spod łóżka, na czworakach, pośród kopiących nóg, odpierając ciosy i usiłując znaleźć się możliwie jak najdalej od łóżka. Całą izbę wypełniał teraz głuchy, tłumiony pomruk: — Musimy zapalić światło — szepnął jakiś głos. — Choćby na sekundę. — Nagle był wolny, czuł wokół siebie pustą przestrzeń, mógł podnieść się na nogi. Wtedy zaczął krzyżeć, wrzeszczeć, nie formułując słów — był to po prostu krzyk, głośny krzyk ludzki. Natychmiast ten sam głos szepnął zziębnięty: — Teraz. Chwytajcie go — ale on już skoczył, oderwał się, przewalając się przez niewidzialne ludzkie ciała, krzycząc, rycząc bez wytchnienia, póki nie uświadomił sobie, że widzi za brezentowymi ścianami nie tylko reflektory, ale słyszy także syrenę alarmową; osaczony, okrążony przez zięjące furia, milczące twarze, które zdawały się ciskać jak ryby wewnątrz i na zewnątrz rzeki światła, które sięgało do wysokości ramion, spływając sponad desek sięgających do połowy ściany poprzez zasięki drutu kolczastego, zobaczył nawet w pewnej chwili błysk noża nad sobą, szamocząc się pośród kłębowiska nóg i usiłując dostać się z powrotem pod łóżko, jakiegokolwiek bądź łóżko, w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogło stać się barierą pomiędzy nim a nożem. Ale już było za późno, bo mogli go teraz dostrzec. Zniknął pod warstwą ciał. Ale i dla nich także było za późno: błyski wszystkich reflektorów i gwizd syreny zdawały się koncentrować na tym kruchym jak lupina baraku, pełnym przeklinających mężczyzn. Po chwili byli wśród nich strażnicy, waląc po głowach kolbami pistoletów i lufami karabinów, odpychając ich, aż w końcu znalazł się znów na odkrytej przestrzeni, leżący na ziemi, sponiewierany i krwawiący, ale tym razem wciąż przytomny. Zdołał nawet się zdobyć na ostatnie konwulsyjne szarpnięcie i zwinienie się w kłębek, tak że nóż, który miał go przygwoździć, utkwiał tylko w podłodze tuż obok jego gardła.

— Niewiele brakowało — powiedział strażnikowi — ale wygląda, jakbyśmy dali radę.

Nie ze wszystkim jednak. Znowu był w infirmerii

i później dopiero dowiedział się, że zaraz następnej nocy dwaj spośród nich — Stillwell, szuler karciany, który poderżnął gardło prostytutce z Vicksburga (ten, który miał nóż), i jeszcze jeden, to znaczy ci dwaj, którzy byli przeciwni dopuszczeniu go do sekretu i od początku uważali, że raczej należy go zamordować, podjęli nową próbę, ale tylko Stillwellowi udało się uciec, bo drugiemu strzał strażnika roztrzaskał głowę.

Potem znalazł się znów w biurze naczelnika. Tym

razem niewiele miał na sobie bandaży i żadnych plastrów, za mało mieli czasu i żadnej broni prócz pięści i nóg, nie licząc noża Stillwella. — To Stillwell miał ten nóż, prawda? — zapytał naczelnik.

Nie mógłby wytłumaczyć, dlaczego nie powiedział. Rzekł tylko: — Nie widziałem, kto go miał. Według mnie to się wszystko stało za szybko.

— Stillwell, zdaje się, myśli tak samo — powiedział naczelnik. Wziął z biurka niedużą kopertę i arkusz poliniowanego papieru, złożony pojedynczo czy też podwójnie. — To przyszło dziś rano. Ale zapomniałem, ty nie potrafisz przeczytać pisanego, prawda?

— Nie — powiedział. Naczelnik rozłożył arkusz. — List nadany wczoraj na pocztę w Texarkana. A oto, jak brzmi: „On będzie musiał wytłumaczyć śmierć Jake'a Barrona (był to drugi zbieg, zabity przez strażnika) komuś, kto się nim zaopiekuje pewnego dnia, więc strzeżcie go dobrze. Radzimy go pilnować, bo niektórzy z nas są jeszcze wewnątrz obozu”. — Naczelnik włożył list z powrotem do koperty, schował go do szuflady i zamknął biurko. — No więc rozumiesz. Nie mogę ci pozwolić chodzić wolno w obrębie obozu, gdzie któryś z nich może cię napaść. Zostało ci jeszcze tylko pięć lat. Chociaż nie udało ci się zatrzymać ich wszystkich, prawdopodobnie, na moją interwencję, gubernator zwolniłby cię już jutro. Ale nie mogę tego zrobić, bo Stillwell cię zabije.

— Gdyby kapitan Jabbo (strażnik, który strzelał) zabił Stillwella także, to mógłbym jutro iść do domu? — zapytał. — Nie mógłby pan z tego listu wyszukać, gdzie on jest, i posłać tam kapitana Jabbo?

— Chcesz, żeby Stillwella zabił ten sam człowiek, który przeszkodził Stillwellowi zabić cię dwa dni temu? — Więc niech pan pošle kogo innego. To niesprawiedliwe, żeby on tam był, kiedy ja mam być jeszcze pięć lat tutaj. — Potem dodał: — Ale wszystko jest w porządku. Może mieliśmy tutaj przynajmniej jednego asa.

— Asa? — powtórzył naczelnik. — Kogo? Tutaj? — Ale nie odpowiedział na to. Teraz po raz pierwszy zaczął liczyć dni i miesiące. Nigdy tego nie robił, ani podczas tych pierwszych dwudziestu lat, które mu dali na początku, tam w Jefferson, ani też podczas tych drugich dwudziestu, które mu dodano później, kiedy Montgomery Ward namówił go na tę kobiecą suknię

i czepek. Bo temu nikt nie był winien, tylko on sam. Kiedy wspomniał Flema w związku z tą historią, myślał o nim z niechętnym podziwem, niemal z dumą, że są jednej krwi. Miałby ochotę powiedzieć głośno, bez żadnej zawiści: „Ten Flem Snopes! Nikt mu nie dorówna. Ani w Missisipi, ani w Stanach, ani w obydwu Amerykach razem nie ma człowieka, który by mógł pobić Flema Snopesa”.

Ale to było co innego. On sam próbował uciec i nie udało mu się, i przyjął dodatkowe dwadzieścia lat ciężkich robót bez protestu. Piętnaście lat spędził nie tylko sam, nie próbując nigdy drugi raz uciec, ale naraził życie, żeby przeszkodzić w ucieczce dziesięciu innym: w nagrodę za to byłby zwolniony następnego dnia, ale doświadczony strażnik jednemu ze spiskowców pozwolił się wymknąć. Toteż te ostatnie pięć lat w ogóle mu się nie należały. On odpokutował swoje czterdzieści lojalnie i uczciwie; nie był odpowiedzialny za to, co dodano do trzydziestu pięciu, te dodatkowe pięć lat narzucono mu brutalnie, złośliwie i bezpodstawnie.

Tak więc na Boże Narodzenie w tym roku (po raz pierwszy) jego z wolna zmniejszająca się kara zaczęła w jego świadomości zmieniać oblicze. Była to kartka świąteczna ze stemplem z Meksyku, zaadresowana do niego i doręczona naczelnikowi, który mu ją odczytał;

obaj wiedzieli, kto ją wysiał. „Jeszcze cztery lata. Nie tak daleko, jak myślisz”. Na świętego Walentego kartka została wyprodukowana wewnątrz więzienia: gruby poliniowany papier, z rysunkiem wykonanym, jak się zdawało, grubą czerwoną kredką cieśli czy drwala: serce i wycelowany weń rewolwer.

— Widzisz? — powiedział naczelnik. — Nawet gdyby te pięć lat upłynęło...

— Nie pięć — sprostował. — Cztery lata i sześć miesięcy i dziewiętnaście dni. To znaczy, nawet wtedy mnie pan nie wypuści?

— Żeby cię zabito, zanim zdążysz wrócić do domu?

— Niech pan wyśle kogoś, żeby go schwytał.

— Dokąd mam wysłać? — odparł naczelnik. — Przypuśćmy, że to ty jesteś daleko stąd i nie chcesz wracać, i wiesz, że ja chcę, żebyś wrócił. Dokąd miałbym posłać człowieka, żeby cię złapać?

— Tak — powiedział. — A więc nikt nic nie może zrobić.

— Nic — potwierdził naczelnik. ■— Zostaw mu trochę czasu, a zrobi gdzieś indziej coś innego, za co policja znowu go złapie.

— Czas — powiedział. — Przypuśćmy, że człowiek nie ma czasu liczyć na czas.

— Przynajmniej masz jeszcze przed sobą swoje cztery lata, sześć miesięcy i dziewiętnaście dni, zanim będziesz musiał się tym kłopotać.

— Tak — powiedział. ■— Tyle ma czasu, żeby znowu wpaść.

Potem znów Boże Narodzenie, jeszcze jedna kartka z Meksyku: „Trzy lata. Wcale nie tak daleko, jak myślisz”. Stał tu, kruchy i drobny, wciąż ten sam w swoim pasiaku, spokojny, z twarzą lekko pochyloną. — Widać jeszcze jest w Meksyku — powiedział. — Może on go tam zabije.

— Co? — spytał naczelnik. — Co powiedziałaś?

Nie odpowiedział. Ale stał tam wciąż, spokojny, pogrążony w myślach, niewzruszony. Potem rzekł: — Zanim miałem tamto zmartwienie z krową i Jackiem Houstonem, kiedy jeszcze byłem małym chłopcem, chodziłem do kościoła na wspólne modlitwy z tą panią, co mnie wychowała, dopóki...

— Kto to był? — przerwał mu naczelnik. — Mówiłeś, że twoja matka umarła.

— On był fajdakiem. Ona to nie żadna moja krewna, tylko jego żona. W każdą niedzielę, dopóki...

■— Czy on się nie nazywał Snopes?

— To był mój ojciec. Dopóki nie stałem się dość duży, żeby się zbuntować przeciwko Bogu, jak wszyscy, kiedy uważają, że już z tego wyrosli i nie potrzebują nic od nikogo. Potem, kiedy mi pan powiedział, że przez to, że przeszkodziłem uciec dziewięciu ludziom z tamtej dziesiątki, będę musiał tu zostać jeszcze nie tylko pięć lat, pomyślałem sobie, że mnie pan stąd nie wypuści już nigdy i że muszę sobie to odebrać z powrotem.

— Co odebrać? — spytał naczelnik. — Od kogo?

— Od Boga.

— Chcesz powiedzieć, że powróciłeś na łono kościoła od czasu tamtej nocy, dwa lata temu? Przecież nie. Nie byłeś ani razu w kościele, od kiedy się tu znalazłeś jeszcze w 1908 roku.

To była prawda. Choć ani obecny naczelnik, ani jego poprzednik nie byli tym zdziwieni. Spodziewali się raczej, że przyciągnie go jedna z tych konfor- mistycznych sekt, występujących przeciw wszystkim i przeciw wszystkiemu, istniejących na marginesie religii oficjalnej prawdopodobnie we wszystkich więzieniach tego typu na Południu. Były to małe zacietrzewione kliki i grupki (członkowie tej sekty nazwali się Świadcami Jehowy) pod kierownictwem samo-

/

zwańczyb przywódców, którzy dostawali się do więzienia w sposób zadziwiająco stereotypowy, skazani za przestępstwa właściwe klasie średniej, moralności mieszczańskiej, dbałej o pozory cnót rodzinnych i małżeńskich: bigamia, kradzież funduszów sekty, popełniona dla kobiety, żony własnej lub cudzej, a w niektórych desperackich przypadkach — zawodowej prostytutki.

— Nie potrzebuję żadnego Kościoła — powiedział. — To jest sprawa zaufania.

•— Zaufania? ■— zdziwił się naczelnik.

— Tak — odpowiedział prawie z niecierpliwością. ■— Człowiek nie potrzebuje pisać listu do Boga. On widać w człowieku wszystko na długo przedtem, zanim potrzebowałby się trudzić czytaniem listu. Bo człowiek z czasem może się nauczyć trochę rozumu, nawet na wolności. Ale tutaj uczy się tego szybko. Że kiedy Sąd dosyć potężny, żeby ci pomóc, pomoże ci, a tobie pozostaje tylko odebrać to i przyjąć, głupi jesteś, jeżeli tego nie robisz.

— A więc on zajmuje się Stillwellem za ciebie?

■— Czemu nie? Co ma przeciwko mnie?

— „Nie zabijaj” — rzekł naczelnik.

•— Dlaczego On nie powiedział tego Houstonowi? Nigdy bym nie zrobił całej tej drogi do Jefferson i nie spał na ławce dworcowej tylko po to, żeby kupić te naboże, gdyby Houston mnie do tego nie zmusił.

— Niechże mnie, diabli porwą! — rzekł naczelnik. — Wszyscy diabli rogaci! Wyjdiesz stąd tak czy owak za trzy lata, ale gdyby to zależało ode mnie, wyszedłbyś w tej chwili, jeszcze dzisiaj, zanim to, co w tobie siedzi, zacznie na mnie patrzeć kosym okiem. Nie chcę spędzać reszty moich dni na myśleniu, że ktoś żywi pod moim adresem takie nadzieje, jakie ty żywisz wobec ludzi, którzy ci stanęli na drodze. O- dejdź teraz. Wracaj do roboty.

Więc kiedy naczelnik wezwał go któregoś dnia w październiku — nie w dzień św. Walentego ani w Boże Narodzenie — nie był nawet zdziwiony. Naczelnik siedział patrząc na niego przez jakie pół minuty, nie tyle z zabobonnym przestachem, co z szacunkiem w spojrzeniu, po czym rzekł: — Niech mnie diabli porwą. — Tym razem chodziło o telegram.

— To od szefa policji w San Diego w Kalifornii. W meksykańskiej dzielnicy był kościół. Już go nie używali jako kościoła, mieli jakiś nowy, czy coś. W każdym razie nie odprawiano tam nabożeństw, toteż policja nie wiedziała jeszcze dotychczas, co się tam dokładnie działo. W zeszłym tygodniu zawalił się. Nie wiadomo dlaczego: po prostu nagle się zawalił. Znaleziono w nim człowieka, to znaczy to, co z niego zostało. Oto, co piszą w tym telegramie: „Rozpoznanie Wydziału Badania Odcisków Palców FBI: wasz numer 08213 Shuford H. StillweH”. — Naczelnik włożył depeszę z powrotem do koperty i wsunął do szuflady. — Powiedz mi coś jeszcze o tym kościele, do którego chodziłeś, zanim Houston zmusił cię do zabicia go.

Nie odpowiedział nic. Odetchnął tylko bardzo głęboko. — Teraz mogę iść — oświadczył. — Mogę być wolny.

— Jeszcze nie zaraz — powiedział naczelnik. — To potrwa miesiąc albo dwa. Trzeba napisać podanie i wysłać do gubernatora. Potem on zwróci się do mnie, czy wyrażam zgodę, i dopiero wtedy podpisze zwolnienie.

— Podanie? — spytał.

■— Dostałeś się tutaj na mocy zarządzenia Prawa — powiedział naczelnik. — Musisz wyjść także na zarządzenie Prawa.

— Podanie? — powtórzył.

— Twoja rodzina musi zwrócić się do adwokata, żeby napisał do gubernatora podanie z prośbą o zwoi-

nienie. Twoja żona — ale prawda, ona nie żyje. Więc jedna z twoich córek.

— Pewnie do tego czasu obie już wyszły za mąż.

— Dobrze — powiedział naczelnik. Potem dodał: — Do diabła, człowieku, tak jakbyś już był na wolności. Twój kuzyn, jak mu tam? Jest w ustawodawstwie właśnie tu, w Jackson. Egglestone Snopes, ten, który dwa lata temu przepadł w wyborach do Kongresu.

Nie poruszył się, pochylił tylko lekko głowę. — W takim razie uważam, że zostanę tutaj. — Bo jak miał powiedzieć nieznanemu człowiekowi: „Clarence, wnuk mojego starszego brata, jest w polityce i zależy od głosów w wyborach. Kiedy wyjdę stąd, nie będę miał prawa głosu. Za co mogę kupić podpis Clarence'a Snopesa na moim podaniu?” Został więc tylko syn Ecka, Wallstreet, któremu nikt jeszcze nie powiedział, co ma robić. — Uważam, że zostanę tu z panem jeszcze te trzy lata ■ — powiedział.

— Napisz sam do twego szeryfa — zaproponował naczelnik. — Napiszę list za ciebie.

— Hub Hampton, który mnie tu przysłał, już nie żyje.

— Masz przecież jeszcze jakiegoś szeryfa, czy nie? Co z tobą? Te czterdzieści lat spędzone tutaj odstraszyły cię na zawsze od świeżego powietrza i od słońca?

— Trzydzieści osiem będzie w lecie.

— Dobrze. Trzydzieści osiem. Ile masz lat?

— Urodziłem się w osiemdziesiątym trzecim — powiedział.

— Więc jesteś tutaj od dwudziestego piątego roku życia?

— Nie wiem. Nigdy nie liczyłem.

— Dobrze — rzekł naczelnik. — Teraz odejdziesz. Jak mi dasz znać, to napiszę list do szeryfa.

— Uważam, że zostanę — powiedział. Ale mylił się.

W pięć miesięcy później podanie leżało na biurku naczelnika.

— Kto to jest Linda Snopes Kohl? — spytał naczelnik.

Stał bez najmniejszego ruchu przez dobrą chwilę.

— Jej ojciec jest bogatym bankierem w Jefferson. Jego i mój dziadek mieli kupę dzieci.

— To ona napisała w imieniu twojej rodziny podanie do gubernatora o zwolnienie.

— To znaczy, że szeryf posłał po nią, żeby to podpisała?

— W jaki sposób? Nie chciałeś przecież, żebym da niego napisał?

— Tak — powiedział. Patrzył na dokument, którego nie mógł przeczytać. Odwrócony był do góry nogami, ale to nic dla niego nie znaczyło. — Niech mi pan pokaże, gdzie oni podpisali, żeby mnie stąd nie wypuszczać?

— Co? — spytał naczelnik.

— Ci, co nie chcą, żebym wyszedł.

— Ach, myślisz o rodzinie Houstpna? Nie, oprócz niej podpisali to tylko prokurator okręgowy, który cię tu wysłał, i twój szeryf, Herbert Hampton, junior,

i V. K. Ratliff. Czy to krewny Houstona?

— Nie — powiedział. Wciągnął głęboko powietrze w płuca. — A więc jestem wolny.

— Jeszcze z czymś na dodatek — powiedział naczelnik. — Masz szczęście podwójne.

Ale zrozumiał to także następnego ranka, kiedy dano mu parę butów, koszulę, kombinezon, sweter i kapelusz, wszystko nowiuteńkie, a także banknot dziesięciodolarowy i trzy dolary i osiemdziesiąt pięć centów, resztę z tych czterdziestu dolarów, które mu Flem wysłał osiemnaście lat temu, i naczelnik powiedział: — Jest tu dziś zastępca szeryfa z jednym więźniem z Greenville. Wraca dziś wieczorem. Za jednego dola-

;a dowiezie cię do końca mostu na granicy Arkansas, jeżeli chcesz jechać w tym kierunku.

— Bardzo dziękuję — powiedział. — Najpierw muszę pojechać do Memphis. Mam tam pewien interes do załatwienia.

Prawdopodobnie będzie musiał wydać całe trzysta dolarów i osiemdziesiąt pięć centów, żeby kupić używany pistolet w sklepie w Memphis. Zamierzał odbyć tę podróż w pociągu towarowym, na buforach albo pod wagonami, jak to już wypróbował raz czy dwa razy, kiedy był młodym chłopcem. Ale zaledwie znalazł się za bramą, odkrył, że jest także przerażony. Za długo był zamknięty, zapomniał już, jak się to robi; jego mięśnie mogły utracić elastyczność i siłę, śmiałość szybkiego podejmowania fizycznego ryzyka. Pomyślał, że lepiej czekać na okazję wdrapania się bezpiecznie do pustego wagonu, i przekonał się, że na to też nie ma odwagi, że przez te trzydzieści osiem lat mógł nawet zapomnieć tych niepisanych reguł wolnomularstwa, drobnych wykroczeń przeciw kodeksowi, które człowiek uswiadamia sobie dopiero, gdy jest za późno.

Stał więc na skraju brukowanej szosy, która, gdy jej dotykały jego stopy przed trzydziestu ośmiu laty, nie była nawet zwirowaną ścieżką, lecz błotnistym ugorem, ze śladami nóg muła i żelaznych obręczy kół wozu. Teraz wydawała się na oko i w dotyku tak gładka i twarda jak posadzka, przez cały czas, gdy się na nią patrzyło lub miało się odwagę dotknąć jej stopami pośród mknących szybko samochodów i ciężarówek. Dawniej każdy przejeżdżający tędy wóz zatrzymałby się na podniesienie ręki. Ale to nie były wozy, nie wiedział, jakie reguły mogą obowiązywać teraz. W rzeczy samej, gdyby wiedział, co innego można zrobić, byłby to już robił, zamiast stać tak, kruchy, bezbronny, nie większy od dziecka, w nowym kombinezonie i swetrze świeżo zdjętym z półki sklepowej, z widocznymi śladami załamania, i nowych bułach, i kapeluszu, póki ciężarówka nie zwolniła i nie zatrzymała się, i szofer nie powiedział: — Jak daleko się pan wybiera, dziadziu?

; — Memphis — powiedział.

— Ja jadę do Clarksdale. Stamtąd ktoś pana powie! — podwiezie. Tak samo jak i stąd, w każdym razie,

i Była to jesień, prawie październik, i odkrył, że cze

goś jeszcze zapomniał w ciągu tych trzydziestu ośmiu lat: pół roku. Przychodziły i mijały w więzieniu także, ale jedynym prawem, jakie miał do nich, było * cierpienie z ich powodu: od żaru słonecznego w le-

cia, czy chciał pracować w upale dnia, czy nie, od

i deszczu i lodowatego błota w zimie, czy chciał wyjść

i na słońce, czy nie. Ale teraz znów do niego należały: j za tydzień zacznie się październik — nic ciekawego do j oglądania w płaskim kraju delty, który w zbudził jego j nieufność za pierwszym razem, gdy go oglądał z okna j pociągu, tego dnia trzydzieści osiem lat temu: nic, tylko łądygi bawełny i iglice cyprysów. Ale jak tylko)

ujrzy z powrotem rodzinne góry, cały krajobraz bę-

I dzie złoty i purpurowy od drzew hikorowych, euka-

1 liptusów, dębów i klonów, a stare pola ciepłe od szaławii i szkarłatnego sumaku; przez trzydzieści osiem lat zapomniał o tym wszystkim, j Nagle gdzieś głęboko w jego pamięci ukazało się drzewo, jedno drzewo. Jego matka nie żyła, nie pa- j miętał jej ani nawet tego, ile miał lat, kiedy ojciec ożenił się po raz drugi. Tak że ta kobieta nie była nawet jego krewną i nigdy nie dała mu o tym zapom- ! nieć, o tym, że wychowuje go i otacza opieką nie z powodu jakichkolwiek więzów czy nakazów, ani nie dlatego, że on jest słabą i bezbronną istotą ludzką, ale dlatego, że ona jest chrześcijanką. Ale poza tym ? kryło się jeszcze coś więcej. Poznał to od razu w tej

\

chudej, zmęczonej kobiecie, którą zawsze pamiętał z podbitym okiem albo przykładającą brudny gałgan do krwawiącego miejsca, gdzie ją uderzył mąż. Bo zawsze mógł na niej polegać, nie że coś dla niego zrobi, bo nigdy nic nie robiła, ale mógł liczyć na jej stałość, że zawsze będzie przy nim, świadoma jego obecności, zawsze osłaniająca go tą tarczą, która nie chroniła przed niczym, przeciwnie, zdawała się przyzywać nowe zmartwienia i troski. Po prostu była przy nim zawsze, popłakująca i umęczona, a jednak stała i wierna.

Tego dnia leżała jeszcze w łóżku, późnym rankiem — od wielu godzin powinna była poświęcać się nieustającej, żmudnej pracy pociągowego zwierzęcia, wypełniającej jej dni. Nigdy nie chorowała, toteż widocznie mąż musiał ją uderzyć tym razem silniej niż zwykle, tak że leżała w łóżku i mówiła o jedzeniu ■— boczek, gruba mąka kukurydziana i melasa, co stanowiło w jego pojęciu jedyne pożywienie, jakie ludzie jedli, chyba że złowili lub upolowali co innego; najwidoczniej nowe uderzenie wypadło gdzieś w okolicy żołądka. — Nie mogę tego jeść — jęczała. ■— Muszę skosztować czegoś innego. Może wiewiórkę. — Wiedział teraz: właśnie to drzewo. Musiał wykraść strzelbę — ojciec byłby go za to zatłukł na śmierć — i zatańczyć broń większą niż on sam do drzewa, orzecha, wpełznąć pod gałęzie i czatować w sennej wspaniałości październikowego popołudnia, póki nie ukazało się małe stworzonko. Wtedy zaczął drzeć (miał tylko jeden nabój) i pamiętał to także: straszliwy wysiłek podniesienia ciężkiej strzelby i trzymania jej dostatecznie długo, chwila, kiedy dyszał, oparty o pień drzewa: — Proszę Cię, Boże, proszę — a potem uderzenie, odrzut i chmura czarnego dymu aż do momentu, w którym mógł rzucić strzelbę i podnieść ciepłe jeszcze, okryte futerkiem małe ciało, rękami tak drżącymi, że ledwie zdołał je utrzymać. Jej ręce także trzęsły się, kiedy głąskała zabite zwierzątko: — Oprawimy ją i ugotujemy zaraz — powiedziała. — Zjemy ją razem, zaraz, teraz. — Samo drzewo oczywiście dawno już znikło, porąbane na polana i szczapy, na rozpałkę, albo przeobrażone w szprychy kół czy dysze wiele lat ternu; może nawet miejsce, gdzie rosło, zostało już wykarczowane i zaorane, tak przynajmniej myśleli prawdopodobnie ci, którzy je ścięli i zniszczyli. Ale on wiedział lepiej: pozostało nie zniszczone i niezniszczalne w pamięci, nietknięte i bezpieczne, złociste i wspaniałe w październikowym blasku. „Tak — myślał — to nie do jakiegoś miejsca człowiek pragnie wrócić, tamto miejsce może już nawet nie istnieć. Człowiek wraca, boli go tylko to, co sobie przypomina.”

Naraz wyciągnął szyję, żeby wyjrzeć przez okienko. — To wygląda jak... — i przerwał. Ale był wolny, niech cały świat o tym wie, gdzie był przez trzydzieści osiem lat. — Jak Parchman — dokończył.

— Tak — powiedział szofer. — Obóz jeńców wojennych.

— Co? — spytał.

— Jeńców z wojny.

•— Z wojny?

— Gdzieś ty był przez ostatnie pięć lat, dziadziu? Spałeś?

— Nie było mnie tu — wyjaśnił. — Wiem, że była jedna wojna z Hiszpanami, kiedy byłem mały, i potem jeszcze jedna z Niemcami. A z kim się bili teraz?

— Z wszystkimi — zaklął kierowca. — Niemcy, Japończycy, Kongres też. Potem przestali. Gdyby nam pozwolili pobić Rosjan także, mielibyśmy spokój. Ale oni tylko dali w skórę Szwabom i Japońcom, a potem zdecydowali zadusić wszystkich pieniędzmi.

Pomyślał: „Pieniądze”. Powiedział: — Gdyby pan

miał dwadzieścia pięć dolarów, a potem znalazł jeszcze trzydzieści osiem, ile by pan miał razem?

— Co? — zdumiał się kierowca. — Nie zatrzymałbym się nawet, żeby podnieść z ziemi trzydzieści osiem dolarów. O co, u licha, mnie pan pyta? Chce pan powiedzieć, że ma pan sześćdziesiąt trzy dolary i nie wie pan, co z nimi zrobić?

„Sześćdziesiąt trzy — pomyślał. — A więc tyle mam lat." Myślał spokojnie: „Nie sprawiedliwość. Tego nigdy nie żądałem. Tylko przyzwoitość. To wszystko". To było wszystko: nic dla niego, ale też nic przeciwko niemu. Niczego więcej nie żądał i na pewno teraz to miał.

VI. V. K. RATLIFF

Nie wyjdiesz na pociąg? — mówi Chick. Stevens nie podniósł nawet oczu, siedząc za biurkiem zagrzebany (a przynajmniej z nosem utkwionym) w papierach przed nim, jakby nikogo nie było w pokoju. — Nie tylko nowa dziewczyna przyjeżdża do miasta — mówi Chick ale weteran żeńskiego rodzaju, ranny na wojnie, . Może to nie nowa dziewczyna — mówi. — Może to niewłaściwe słowo. Może „nowa” z żadnego punktu widzenia tu nie pasuje. W Jefferson nie jest nowa, bo tu się urodziła i wychowała. A choćby nawet niegdyś była nowa, w Jefferson czy gdziekolwiek indziej, to było tylko niegdyś, a nie teraz, bo choćby się niegdyś było nie wiedzieć jak nowym w jakimś miejscu, nie można być już nigdzie nowym, kiedy się pojechało z Greenwich Village do Hiszpanii, żeby walczyć z Hitlerem. To znaczy zwłaszcza potem, kiedy ten poeta z Greenwich Village postarał się, żeby oboje wylecieli w powietrze podczas eksplozji. To znaczy, jeśli się jest dziewczyną. Więc można powiedzieć, że wraca do Jefferson nie tylko dawna dziewczyna, która kiedyś była nowa, ale pierwsza dziewczyna, dawna czy nowa, jaka kiedykolwiek wróciła do Jefferson ranna na wojnie. Żołnierze-mężczyźni, oczywiście. Ale to jest pierwsza kobieta-żołnierz, jaką kiedykolwiek widzieliśmy, nie wspominając już o tym, że naprawdę została raniona przez nieprzyjaciela. Nie liczymy na-

/

turalnie zgwałceń dla tej prostej przyczyny, że nie mówimy tu o gwałtach. — Jego wuj nadal się nie poruszył. — Myślałem, że całe miasto wyjdzie na stację, żeby ją powitać. Zwyczajnie, przez ciekawość i sympatię, nie mówiąc o współczuciu: dziewczyna, która pojechała aż do Hiszpanii na wojnę i tyle jej tylko z tego przyszło, że straciła męża i ogłuchła na oba uszy od wybuchu pocisku. Pani Cole — mówi.

Ale nawet i wtedy adwokat nie podniósł oczu. — Kohl — powiedział.

— Tak właśnie mówiłem — powiada Chick. ■— Pani Cole.

Tym razem adwokat przeliterował nazwisko. — Kohl — powiada. Ale jeszcze zanim to wymówił po literze, słowo miało inny dźwięk niż w ustach Chic-ka. — To był rzeźbiarz, nie poeta. I nie pocisk go zabił. Samolot.

— Ach, nic dziwnego, jeżeli był tylko rzeźbiarzem — mówi Chick. — Jasne, że rzeźbiarz nie ma, jak poeta, w nogach takiej siły, jakiej trzeba, żeby unikać kul z karabinu maszynowego. Rzeźbiarz za długo musi stać na jednym miejscu. Zresztą może to nie była sobota, więc nie miał na głowie kapelusza.

— Był w samolocie — mówi adwokat. — Zestrzelono go. Rozbił się i spłonął.

— Co? — mówi Chick. — Rzeźbiarz z Greenwich, nazwiskiem Kohl, naprawdę znalazł się w samolocie, w takim miejscu, gdzie mógł być zestrzelony? — Patrzył w nieokreślone miejsce na czubku głowy swego wuja. — Nie Cole — mówi — K-o-h-l. Ciekawe, czemu tego nie zmienił. Czyż oni zwykle tak nie robią?

Teraz adwokat pozbierał papiery bez żadnego pośpiechu, ułożył je na biurku, odsunął swój obracany fotel i usiadł na nim znowu, z rękami splecionymi z tyłu głowy. Włosy zaczęły mu już siwieć od czasu, gdy wrócił z tamtej wojny we Francji w 1919. Teraz

były już całkiem białe, a on sobie siedział, wygodnie rozparty w fotelu z tą kępką białych włosów i małym złotym kluczykiem, który dostał w Harvard, przy łańcuszku od zegarka, i z tą fajką z kaczana kukurydzy, zatknietą w kieszeni koszuli jak ołówek czy wykałaczka, spoglądając na Chicka mniej więcej przez pół minuty.

— Nie dowiedziałeś się tego w Harvard — powiada. — Myślałem, że po dwóch latach w Cambridge nawet do tego się nie przyznasz, kiedy wrócisz do Missisipi.

— Dobrze — mówi Chick. — Przepraszam. — Ale adwokat siedział spokojnie na krześle, patrząc na niego. — Niech to diabli — mówi Chick. — Powiedziałem, że żałuję.

— Ale jeszcze nie żałujesz — mówi adwokat. — Po prostu ci wstyd.

— To nie to samo? — pyta Chick.

— Nie — powiada tamten. — Kiedy ci czegoś tylko wstyd, to tego nie nienawidzisz. Po prostu zły jesteś, że cię przyłapano.

— No dobrze, przyłapałeś mnie — mówi Chick. — Wstyd mi. Czego chcesz jeszcze? — Ale adwokat nie potrzebował nawet odpowiedzieć. — Może nie mogę nic na to poradzić, nawet po dwóch latach w Harvard. Może za długo żyłem wśród białych ludzi, jak to my ich nazywamy w Missisipi, zanim tam pojechałem. Nie możesz się mnie wstydzić z powodu czegoś, o czym nawet nie wiedziałem dość wcześnie, prawda?

— Nie wstydzę się za ciebie z żadnego powodu — mówi adwokat.

— Dobrze — mówi Chick. — W takim razie ci przykra.

— Nie jest mi absolutnie przykro, to także nie.

— W takim razie o co, u diabła, chodzi?

7/
Śt
i

Jakiś obcy, który nie mieszkał w Jefferson ani w Yoknapatawpha dziesięć czy dwanaście lat temu, mógłby pomyśleć, że to Chick jest stroną zainteresowaną. Nie tylko dostatecznie zainteresowaną, żeby być zazdrosnym o swego wuja, ale dość zainteresowaną, żeby już być zazdrosnym, choć osoba, stanowiąca powód do zazdrości, nie tylko nie wróciła jeszcze do domu, ale Chick nawet jej nie widział od dziesięciu lat. A to mogło wzbudzić w nim zazdrość nie tylko

o dziewczynę, której nawet nie widział od dziesięciu lat, ale dlatego, że on miał dopiero dwanaście czy trzynaście lat wtedy, kiedy ona miała dziewiętnaście — była dorosłą kobietą, kiedy ją ostatni raz widział — nieprzebyta bariera różnicy wieku, która będzie jeszcze ich dzielić, kiedy obojgu przybędzie trzy czy cztery lata, pod warunkiem oczywiście, że dziewczyna wciąż będzie miała tych lat więcej. Rzeczywiście można było myśleć, że chłopak dwunasto- czy trzynastoletni nie może być zazdrosny jak mężczyzna, nie ma w nim jeszcze dość paliwa, żeby zazdrość mogła zapłonąć i palić się dość długo z powodu dziewczyny dziewiętnastoletniej czy w jakimkolwiek innym wieku między ósmym rokiem życia a osiemdziesiątką, ale właściwie, ile ma mieć lat, zanim ośmieli się zaryzykować, narazić na to, że paliwo może nie być zdolne rozpaścić ognia i nie zgasnąć? Jaki musi "być młody na to, żeby być bezpiecznym jeszcze przez pewien czas, zanim, jak mówią w książkach, jakiś włos Lilith opląże jego serce, tak jak każdego innego mężczyzny? Albo jaki musi być stary? Zresztą tym razem, po jej powrocie, choćby nadal była o te sześć czy siedem lat starsza, będą oboje mieli tylko o sześć czy siedem lat więcej od dwudziestu dwóch czy dwudziestu trzech, zamiast być o sześć czy siedem lat starsi od dwunasto- czy trzynastoletnich dzieci, a to nie jest już żadna bariera. Tym razem on już nie będzie niewinny, przypadkowo znajdującą się na drodze ofiarą schwytaną na to łąso, bo tym razem sam będzie walczył o prawo i przywilej, by dać się schwytać na to łąso, walcząc nie tylko o prawo i przywilej śmierci przez zaduszenie, ale o to, żeby być zaduszonym przed innymi.

Zdawało się, że to właśnie próbuje robić: popchnąć łokciem i podrażnić wuja, sięgając po pierwszy lepszy kij czy kłode, czy kamień, jaki znajdzie pod ręką — chwytając się na przykład tego, że mąż Lindy był Żydem — jakby miał wciąż dwanaście czy trzynaście lat, albo jeszcze mniej, bo nawet w dwunastym roku życia, gdyby tylko zdążył się zastanowić, wiedziałby, że to kłoda nie dość mocna na takiego przeciwnika czy rywala, jak Stevens.

Może to właśnie — ta napaść na wuja za to, że on głównie przyczynił się do wyjazdu Lindy do Nowego Jorku, gdzie rodzina nie mogła jej dopilnować i dlatego wyszła za Żyda — zdradziło Chicka. Bo jeszcze jej nawet nie widział, nie mógł wiedzieć tamtych innych rzeczy. To znaczy wiedzieć, że w dwunastym roku życia miał już w sobie całą zazdrość, jakiej by potrzebował, mając dwadzieścia dwa albo i osiemdziesiąt dwa lata. Musiałby naprawdę zobaczyć ją znowu, żeby się przekonać, że ma takie samo prawo, jak każdy inny, być uduszonym przez nową dziewczynę, co przybyła do miasta, i że nie ma mężczyzny z jednym bodaj włoskiem na głowie, który by mu zastąpił drogę, żeby go ocalić. Kiedy myślał o niej teraz, musiał sobie przypominać, co widział tamten dwunasto- czy trzynastoletni chłopak: nie dziewczynkę, ale dorosłą kobietę tej samej pulchności i tych samych kształtów, co jego własna mama, i obracającą się w kręgu tej samej rasy ludzkiej, do której należała cała reszta świata oprócz dwunastoletnich chłopców. I gdyby nie wuj, który w końcu zatrzymał się dość długo.

żeby na nią spojrzeć, a potem, można powiedzieć, chwycił Chicka za kark, zmuszając go do zwrócenia na nią uwagi i zabierając mu połowę wolnego czasu poza szkołą na doręczanie jej i przynoszenie od niej odpowiedzi na bileciki ustalające te randki, które ona i Stevens zaczęli sobie wyznaczać po szkole w lodziarni — nie byłyby dla niego ani w połowie tak interesująca.

Toteż kiedy Chick wspominał ją teraz, musiał wciąż widzieć to, co widział przedtem dwunasto- czy trzynastoletni chłopiec! Do licha, przecież ona jest taka stara jak mama! Musiałyby spojrzeć na nią znowu, żeby dostrzec to, co by dostrzegły jego dwadzieścia dwa i dwadzieścia trzy lata: „Do licha, jeżeli nawet jest o rok czy dwa starsza ode mnie, to przecież i tak z nas dwojga to ja jestem mężczyzną!” Toteż i wy, i ten obcy pomyślelibyście, że trzeba było na to dwunasto- albo trzynastoletniego chłopca; może tylko dwunasto- albo trzynastoletni chłopak zdolny jest do czystej i nieskażonej, można powiedzieć, dziewiczej zazdrości o mężczyznę powyżej trzydziestki z powodu dziewczyny dziewiętnastoletniej — czy w jakimkolwiek innym wieku, od lat ośmiu do osiemdziesięciu, jeżeli już o to chodzi — tak jak tylko chłopak dwunasto- lub trzynastoletni może znać prawdziwe męki i nadzieje, i rozpacz miłości. Wy i ten obcy myśleliście tak aż do tego ostatniego momentu, kiedy Chick się zdradził, na próżno i niepotrzebnie, czepiając się tego, że mąż Lindy był nie tylko poetą, ale i Żydem, jako argumentu przeciw swemu wujowi. Chociaż nawet ten obcy zrozumiałby, że Chick wcale nie rzuca tego w twarz Lindzie, że rzuca to w twarz wujowi; że to nie o swego wuja był zazdrosny z powodu Lindy Snopes, zazdrosny był o Lindę z powodu swego wuja. I nawet ten obcy powiedziałby do Chicka w duchu: „Może nie mogłeś mnie przeciągnąć na swoją stronę z początku, ale teraz na pewno zgadzam się z tobą”.

A przynajmniej, gdyby ten obcy pogadał chwilę ze mną. Bo pamiętam, że obserwowałam to z bliska w tym czasie, kiedy Stevens zaczął się mieszać do życia Lindy. Nie, mówię, że w tym czasie, kiedy Stevens myślał, że jej życie spletało się z jego życiem, ani nawet kiedy zaczął myśleć, że ją naprawdę zauważył. Bo wtedy ona sama już miała dwanaście albo trzynaście lat, więc Stevens znał ją przez całe życie czy coś podobnego, odkąd miała dwa czy trzy lata, czy tyle, ile. mają ludzie, kiedy ich zaczynają wozić w wózku po ulicy, czy nosić na rękę, i kiedy można zauważyć, że to zaczyna wyglądać nie tylko jak ludzkie stworzenie, ale nawet zaczyna być podobne do znajomej rodziny. A w małym mieście jak Jefferson, gdzie nie tylko każdy zna każdego, ale każdy każdego musi spotykać przynajmniej raz na dwadzieścia cztery godziny, czy chce, czy nie chce, Stevens, nie licząc tego czasu, kiedy był na wojnie, musiał ją widywać przynajmniej raz na tydzień. Nie mówiąc już o tym, że musiał wiedzieć, nawet zanim ją poznał, żeby to sobie przypomnieć, że ona jest córką Euli Varner i że wszyscy z Jefferson i z całego okręgu Yoknapataw-pha, którzy kiedykolwiek widzieli Eulę Varner, musieli patrzeć na dziecko Euli Varner ze zdumieniem, jak na miniaturowego potworka, bo nikt, żaden mężczyzna przynajmniej, który raz spojrział na Eulę Varner, nie mógł absolutnie uwierzyć, żeby ta cała kobiecość w jednym bloku — normalnych kształtów i wymiarów — mogła zostać zapłodniona przez coś tak drobnego i słabego jak jeden zwyczajny mężczyzna, że trzeba było całego pokolenia młodych ludzi, żeby zapłodnić te wspaniałe — mówią —

I nie mówię o tym czasie, kiedy Stevens dobrowol

nie zбочył ze swojej drogi i splątał kilka lat życia Lindy 7. kilkoma dodatkowymi, zaoszczędzonymi latami swego życia, jak mu się wydawało. Myślę o tym czasie, kiedy Eula Varner pierwszy raz spojrzła na adwokata — albo pierwszy raz pozwoliła mu na siebie spojrzeć, jak wolicie to określić — i złączyła resztę jego życia z życiem pierwszego dziecka, jakie będzie miała, byleby to, ma się rozumieć, była dziewczynka. To tak, jakbyś nareszcie spotkał kobietę, która powinna zawsze być twoja, tylko jest już za późno. Kobietę, która może w tej chwili powinna mieć lał szesnaście, a ty nie więcej niż dziewiętnaście (tyle też akurat miał, kiedy pierwszy raz zobaczył Eulę Varner, a Eula znajdowała się poza polem jego widzenia, mając już o rok więcej od niego) i patrzysz na nią pierwszy raz, a w chwilę później już do niej mówisz: „Jesteś piękna. Kocham cię. Nie rozłączajmy się już nigdy więcej”. A ona odpowiada: „Tak, pewnie, że tak” i obchodzi ją tylko tyle: „Pewnie, że jestem. Pewnie, że mnie kochasz. Pewnie, że się nie rozłączymy”. Tylko że już jest za późno. Ona już jest żoną kogoś innego. Ale nie było jeszcze za późno. Nigdy nie jest za późno i nigdy nie będzie, bylebyś, ilekol- wiek masz lat, był jeszcze tym dziewiętnastoletnim chłopcem, który powiedział to tej szesnastoletniej dziewczynie, w tym jednym spośród wszystkich innych momentów, który możesz nazwać swoim. Bo jak może być za późno dla tego dziewiętnastoletniego chłopca, bo jak może ta szesnastoletnia dziewczyna, której to musiałeś powiedzieć, stracić kiedykolwiek niewinność bez względu na to, ilu mężów miała w międzyczasie, byleby naprawdę była tą, która musiała ci odpowiedzieć: „Pewnie, że, tak”. A nawet, jeśli nosi oczywisty dowód w swoim brzuchu czy nawet na oczach wszystkich trzyma go w ramionach lub prowadzi za rękę, czepiający się jej spódnicy, przywrócenie jej dziewictwa nie będzie żadnym oszustwem dla Lego dziewiętnastoletniego chłopca, bo jasne, że ta szesnastoletnia dziewczyna absolutnie nie mogłaby zostać zapłodniona przez inne nasienie niż jego własne, choćby nie wiedzieć kto chciał się tym przechwalać i ogłaszać się prawdziwym sprawcą.

Tylko że Stevens tego wszystkiego także nie wiedział. Głównie dlatego, że był za bardzo zajęty. To znaczy tego dnia, kiedy Eula pierwszy raz przeszła przez plac w Jefferson, gdzie nie tylko on, ale całe miasto musiało ją widzieć. Wtedy, kiedy Flem oskubał w końcu wuja Billy Varnera i całą Sadybę Francuza i musiał przenieść się gdzie indziej, a Jefferson było takim samym dobrym miejscem, jak każde inne, bo jak mówią, każda szprycha trafi prędzej czy później do obręczy. Albo może faktycznie Jefferson było w tym momencie nieuniknione, zważywszy, że Flem wycygał ode mnie tę połowę restauracji, którą mieliśmy do spółki z Groverem Winbushem, a że nie było łatwego, szybkiego i praktycznego sposobu wykurzenia Grovera do Sadyby Francuza, Flem musiał po prostu zrobić postój na jakiś czas w Jefferson, żeby wygryźć Grovera z tej drugiej połowy.

Tak czy inaczej, Stevens zobaczył ją wreszcie. I nie tylko z gołymi rękami, ale właściwie całkiem goły przystąpił do tej rozgrywki, na którą nie mógł sobie pozwolić i musiał przegrać — on, adwokat, wychowany w mieście, niezonały facet, który potrzebował dyplomu z Harvard i tytułu doktora filozofii z Heidelbergu, żeby umocnić swoją pozycję i dać radę tutejszym ludziom urodzonym w Yoknapatawpha, którzy nigdy nie chcieli nic innego, tylko łamać tych kilka uciążliwych praw albo uszczknąć trochę gotówki ze skarbu okręgu i Eula Varner, która nie potrzebowała niczego się uczyć, bo to, co jej już dał Pan Bóg, pozwalając jej stać i oddychać, od czasu do czasu

tr

m-

przejsć kilka kroków, sprawialo już dosyć kłopotów i dostatecznie zagrażało każdemu mężczyźnie w oko licy. Dla adwokata wygrać ten mecz znaczyło skon czyć jak te pająki, dla których miodowy miesiac kończy się wtedy, kiedy ona połknie ostatnią nogę swego partnera. O czym adwokat także prawdopodobnie; wiedzial, skoro miał dziewiętnaście lat i był już rok w Harvardzie, dziewiętnastoletni chłopak powinien wiedzieć tyle o kobietach, choćby tylko przez instynkt, tak jak dziecko czy zwierzę wie, że ogień parzy, choćby nigdy nie dotknęło go ręką czy nogą. Nawet kiedy dziewiętnastoletni chłopak mówi: „Jesteś piękna, kocham cię”, nawet wtedy powinien wiedzieć, czy to szesnastoletnia dziewczyna, czy tygrys odpowiada mu: „Tak, pewnie, że tak”.

Tak czy inaczej, adwokat na łeb na szyję rzucił się do rozegrania tej partii, w której nie tylko najlepszą rzeczą, jakiej mógł oczekiwać i spodziewać się, ale także najlepszym wynikiem, jakiego mógł pragnąć, była przegrana, bo przegrywając zostawiłaby co najwyżej tu i ówdzie po kawałku oderwanej skóry. Rzucił się do walki bez żadnej innej broni, prócz tej zdolności zachowania swoich dziewiętnastu lat przez resztę życia, przeciw temu chłopakowi McCar- ronów, który nie tylko przyprawił mu rogi, zanim on poznał Eulę, ale miał nadal przyprawiać mu rogi pod tym czy innym nazwiskiem i postacią nawet wtedy, kiedy on sam w końcu skapituluje. Bo może Flem właściwie nie miał powodu wybierać Jefferson na miejsce pobytu, może jedna szprycha znaczyła dla niego tyle samo co inne, ponieważ nie chciał niczego więcej prócz obręczy. Albo może tylko nie wiedzial, że ma osiedlić się w Jefferson. A może żonaci ludzie nie potrzebują nawet takich racji, zważywszy, że mają już żony. Albo może to kobiety nie potrzebują racji, z tego prostego powodu, że nigdy nie słyszały

m

o rozumnej uic ji i mc poznał yb\ km. W-yby się z m;i zetknęły oko w oko, bo ich funkcje w ■, pływaj,= nie z .rozumu, tylko z potrzeb, których nikt nie num- prze/wy ciężyć, i tylko głupi może próbować, bo nie umie wymyślić nic lepszego; lo nie kobiety, to mężczyźni biorą głupotę na so ii o i przerażają się czegoś bez żadnej innej przyczyny prócz tej, że nie wiedzą, co lo jest..

No więc to nie Grover Winbush i nie ta zawieszona w próżni połowa mojej i jego kawiarni były powodem, który sprowadził do Jefferson panią FJemową Sno- pes, tak że mogła przejść przez plac tego któregoś tam popołudnia, kiedy adwokat musiał ją zobaczyć. To nawet nie sama Eula. To był ten chłopak McCar ronów. Widziałem sam coś z tej historii i słyszałem resztę. Bo wszyscy ludzie w promieniu pięciu mil od sklepu Varnera mówili tylko o tym tej wiosny. To był punkt centralny zainteresowania całej okolicy Sa dyby Francuza, od pewnego dnia w marcu aż do ostatecznego rozwiązania i finału, który nastąpił gdzieś za mostkiem na rzece, poniżej domu Varnera pewnej nocy w lipcu, kiedy ten młody McCarron przyjechał do Sadyby Francuza bez uprzedzenia, przybywając znikąd, wpadając jak żbik do zagrody owiec między tych Bookwrightów i Quickow, i Tullów, co od roku już jwiazrywali swoje wózki i osiodłane muły do płotu Willa Varnera. Całkiem jak dziki kozioł z lasów, któ ry przeskoczył płot warzywnika i już depcze te domowe marchewki, dynie i ogórki, co dotychczas my siały, a przynajmniej miały nadzieję, że dziewicza forteca Euli jest zagrożona, zanim tamci zdążą drgnąć, a cóż dopiero nakryć głowy. Prawdopodobnie (trzeba stwierdzić, że przechwalali się coś niecoś w okolicy na len temat) uważali się też za niezwycięzonych, póki tamten nie zjawił się tego dnia znikąd, całkiem jak dziki kozioł z lasów, jakby zwiertzył Eulę poprzez

■ f

^ odległość mil i nawet dni, i kierując się samym tylko nieomylnym zapachem przyszedł prosto tam, gdzie ona już czekała, nie specjalnie na niego, ale po prostu na jakiegoś dzikiego i silnego kozła, dość dzikiego i silnego, żeby ją wywalczyć dla siebie i żeby jej sprostać.

Tak, moi drodzy, jak to mówią, wielki byk: dziki kozioł prosto z samych gór, już z zadartym ogonem i błyszczącymi oczami. Bo te Bookwrighty i Quicki, i Tulle to były też niezłe kozły na tym domowym terenie, w tym można powiedzieć rezerwacie myśliwskim Sadyby Francuza, tak długo, póki słupów granicznych wokół tego terenu nie naruszył ten lekkono- gi, wędrujący tu i tam nieproszony przybysz. Prawdę mówiąc, byli całkiem dobrzy do kopania i uderzania rogami w takiej bójce, gdzie wszystko wolno i nikt nie chowa potem żadnej urazy w tej niewinnej przyjaźni i koleżeństwie, które nie tylko łączyło ich ze sobą, ale dawało im tę samą przyjazną skwapliwość inkasowania i wypłacania, kiedy trzeba było sprzymierzyć się i dać nauczkę każdemu obcemu, który tu przybył z odległości czterech czy pięciu mil, choć powinien siedzieć u siebie w domu, bo tu nie miał nic do roboty, nie proszony ani nie oczekiwany przez nikogo, i tylko przypadkiem widział raz Eulę albo może tylko o niej słyszał od kogoś innego, kto ją widział przechodzącą. Więc tamten obcy musiałby przywiązać swój powóz czy muła w rzędzie innych uwiązanych już u płotu Varnera w pewną niedzielę wieczór, a później niewinnie jechać drogą w kierunku kępy cyprysów i eukaliptusów, tam gdzie droga biegnie przez mosł na rzece, z głową pełną jeszcze marzeń o córce Varnera, aż do chwili, kiedy zjednoczona konfederacja wypadnie z krzaków, gdzie się przyczaili; wykapie go w strumieniu, wsadzi z powrotem do powozu czy na muła i z lejcami owiniętymi wokół

tulei odeśle go z powrotem do miejsca zamieszkania, 7. którego, gdyby miał trochę rozumu w głowie, nie powinien był nigdy wyjeżdżać, a przynajmniej nie w tym kierunku.

Ale ten nowy był ulepiony z innej gliny. Bo oni — wliczając w to przypadkowych ochotników — to były tylko kozły, według zwykłego miejscowego czy może ogólnoświatowego wzoru, jaki obowiązywał w Sadybie Francuza, podczas gdy McCarron nie był skrojony według żadnego wzoru. Nie znał wędzidła, nie dlatego, żeby się bał wędzidła, tylko dlatego, że po prostu dotychczas wolał go nie znać. Toteż nie tylko żaden z tamtych nie dałby mu rady w pojedynkę, ale cała skonfederowana banda, choć nigdy nie wahała się przyczajać w tamtej kępie i napadać na każdego intruza, który przychodził węszyć pod płot Varnera, nie ośmieliła się go zaatakować, póki nie było za późno. Och, pewnie, że mieli szansę. Mnóstwo szans. Prawdę mówiąc dawał im tyle okazji, że pod koniec maja nie wyszliby nawet na drogę do Sadyby Francuza po zmroku, nawet w pobliżu własnego domu, jeżeli nie było ich przynajmniej trzech. Bo to był kozioł z innego gatunku, przychodził bez uprzedzenia prosto z wysokich gór i jakby to nazwał adwokat, zabierał dla siebie samego coś, co było wspólną własnością całej tej części północnego Missisipi, już od roku czy dwóch. Nie porwał stąd Euli: nie galopował na dzikim rumaku unosząc ją ze sobą na końskim grzbiecie, po prostu tu przyjechał i wyparł ich z tego terenu, - nawet ich nie przegnał, tylko tak, jakby ich trzymał pod ręką, jak chór w teatrze, można by powiedzieć albo może tylko dla przyprawy, tak jakby ktoś postawił przed sobą pięć czy sześć solniczek, kiedy je melona — dopóki nie było za późno, do czasu kiedy, o ile im i wszystkim w całej Sadybie Francuza było wiadomo, Eula oczekiwała już urodzenia Lindy.

/

Tylko że mnie się nie zdaje, żeby to było zupełnie ;ak. Nie zdaje mi się, żeby to wszystko stało się dokładnie w ten sposób. Ja myślę raczej, że to stało się całkiem nagle. Ale może i ja się tu myślę. Mnie się wydaje, że właśnie tych pięciu miejscowych ogierów sprowokowało to, do czego, zbierając całą swoją desperacką odwagę, próbowali nie dopuścić. Wszyscy znajdowali się na samym brzeżku tego, co możecie nazwać twierdzą dotychczas nie tkniętego dziewictwa, wszyscy siedmioro: Eula i McCarron, i tych pięciu Tullów, i Bookwrightów, Turpinów, Binfordów i Quic- ków. Bo to, co Tullowie i Quickowie uważali za najgorsze, jeszcze się nie stało. To znaczy najgorsze nie w tym, co dotyczy czystości Euli ani splamionego honoru wuja Billy'ego Yarnera, ale co dotyczy tej dwuletniej inwestycji pojazdów i mułów, uwiązanych do płotu Varnera w czasie, kiedy zarówno one, jak ich pięciu właścicieli, którzy je tu trzymali przez pół nocy, powinni być dawno w domu i wypoczywać, zanim staną nazajutrz znowu do pługa o wschodzie słońca, zamiast żyć w ustawicznym niepokoju tej konspiracji, w której czterech spośród nich stale zapytywało siebie, czy piąty nie powinien być z niej wykluczony, nie mówiąc już o stałej potrzebie czujności w oczekiwaniu na alarm, na mogącą w każdej chwili nadejść wiadomość, kiedy wszyscy pięciu będą musieli zgodnie wystąpić przeciw obcemu natrętowi, który zjawi się tu bez uprzedzenia, z pomysłem uwiązania swego muła u tego samego płotu.

Jednym słowem wołę myśleć, że to się jeszcze nie stało. Nie wiem, na co Eula i McCarron czekali. To znaczy, na co czekał McCarron. Eula nigdy na nic nie czekała. Chyba nawet nie wiedziała, co to znaczy, tak jak ziemia, gleba czy co to jest, co każe ziarnom kiełkować we właściwym czasie, nie wie i nie potrzebuje wiedzieć, co znaczy czekanie. Bo ten, kto

wie, co znaczy czekanie, musi być OoslaU-czrnić niespokojny albo słaby, albo niepewny siebie, żeby wiedzieć, co to jest niecierpliwość i pośpiech, a Eula nigdy tego nie potrzebowała, tak jak nie potrzebuje tego ziemia. Potrzebowała tylko istnieć, tak jak ziemia czy pole, póki nie przyjdzie właściwy czas, wiatr, słońce czy deszcz, póki właśnie ten jedyny wielki kozioł z wysokich gór czy z wielkich lasów, czy z nieba nie przeskoczy przez płot tego uprawnego ogrodu i nie stanie z dumnie, podniesioną głową pośród baranów. A więc to McCarron odwlekał tak długo coś, co możecie uważać za nieuniknione. I może właśnie dlatego: żeby stać jeszcze przez jakiś czas, z dumnie podniesioną głową, pośród baranów. Może o to chodziło: może z początku za bardzo mu się podobało takie drażnienie Bookwrightów i Quicków, wystawianie ich na próbę i kuszenie, pewno tylko w tym celu, żeby się przekonać, ile muszą znieść, żeby zapomnieć na chwilę, że są baranami, albo może pamiętać, że są baranami, ale przynajmniej wiedzieć, że jest ich pięciu, dopóki w końcu nie podejmą ryzyka walki z nim, jakby to była tylko jeszcze jedna z tych zwykłych miejscowych hazardowych rozgrywek, do których Eula już ich przyzwyczaiła.

Więc może sobie potraficie wyobrazić, na co czekali. To byli ludzie kościoła. Chcę powiedzieć, że chodzili do kościoła w mnóstwo niedziel i we środy na wieczorne nabożeństwo, jeśli coś im w tym nie przeszkodziło. Bo kościół to takie samo miejsce jak każde inne, żeby w nim zakończyć jeden tydzień i zacząć drugi, zwłaszcza że nie ma żadnego innego miejsca, dokąd można by iść w niedzielę rano, nie mówiąc już o partiach gry w kości za filarem, kiedy wierni byli zajęci śpiewaniem czy modlitwą albo słuchaniem, a kto umiał się do tego wziąć, we środy można było prawie zawsze poderwać jakąś młodą dziewcz-

czynę i przekonać ją, żeby dała się zaciągnąć w kt żaki, zanim ojciec czy matka zauważą jej nieobecność. Albo może nie potrzebowali nawet o tym słyszeć, bo nie Samson i Dalila pierwsi wymyślili ten eufemizm z obcięciem włosów. Tak że cały len pomysł mógł być po prostu czymś, co byście nazwali jakimś ostaLnim desperackim, instynktownym i dziedzicznym środkiem ratunku, dostępnym dla każdego młodego chłopca (i starego też), któremu grożą przykrości i który musi drzeć o wybrankę swego serca. No więc przynajmniej wiecie, na co oni czekali. Oczywiście, że byliby woleli zachować tę Varnerowską dziewiczą twierdzę aż do czasu, kiedy jeden z nich odepchnie czterech innych, jakimś szczęśliwym trafem czy sposobem, na dość długo, żeby ją zburzyć. Ale teraz, kiedy zjawił się ten intruz i zepsuł wszystko, mogli przynajmniej uciec się do tego aktu przemocy, nie tylko żeby się zemścić, ale żeby wypłoszyć go na dobre z Sadyby Francuza.

Jasne, że nie mieli zamiaru kryć się tchórzliwie wyczekując momentu, kiedy będzie zmęczony i wyczerpany triumfami, nie upadli aż tak nisko. Ale ponieważ nie mogli przeszkodzić iego zwycięstwu, chcieli go przynajmniej zaskoczyć w chwili, kiedy nie będzie uważał, zajęty rozpamiętywaniem wspomnień niedawnej przeszłości, to jest poprzedniego wieczora, i kołysany nadziejami bezpośredniej przyszłości, to jest najbliższych minut, skoro tylko znajdzie wygodne miejsce, żeby uwiązać konia. Tak też zrobili: urządzili zasadzkę. Mylili się oczywiście; nic się dotychczas nie stało. To znaczy, mam na myśli, że ta twierdza była jeszcze nie tknięta w tym momencie. Nie: to znaczy, chcę powiedzieć, że dla mnie prostą dramatyczną prawdą jest tylko to, że wszystko stało się właśnie tam, tej nocy i nagle; że nawet ten młody McCarron, który w porównaniu z nimi był jak dziki jelen

otoczony przez stado kozłów, że nawet on nie dalby tu rady jeden, ale potrzeba było wszystkich sześciu na to, żeby zburzyć tę cytadelę, a cóż dopiero zapłodnić te łądzwie. Tej nocy lipcowej powóz zjeżdżał ze wzgórza i w chwili, gdy usłyszeli, jak dudnienie kopyt cichnie za mostem, wszyscy pięciu, zdecydowani w końcu stoczyć tę desperacką bitwę, wyskoczyli ze swej kryjówki za kępą drzew, która dotychczas decydowała o losach wszystkich miejscowych przy- błąkanych baranów, tak łatwo i prosto, że prawie nie potrzebowali myć sobie potem rąk.

Naturalnie nie przyprowadzili z sobą żadnych widzów, a w dwie czy trzy minuty nie było już ani jednego świadka, bo tamten leżał już w rowie bez czucia. A więc moje przypuszczenie jest równie dobre jak wasze, a nawet lepsze, ponieważ ja jestem stroną zainteresowaną, mając dowieść słuszności mego, jak to nazywają, matematycznego równania. Rzeczywiście to nie musiało trwać nawet trzech minut: jeden z nich skoczył, żeby chwycić konia za łeb, a czterech pozostałych rzuciło się, żeby wyciągnąć McCarrona z powozu, założywszy naturalnie, że był jeszcze do tego czasu w powozie, zamiast przedzierać się przez krzaki nad rzeką, dokonawszy szybkiego wyboru między dyskrecją a bohaterstwem, nie bacząc na świadków tej kapitulacji, jak się to zdarzyło już przedtem co najmniej jednemu intruzowi, który okazał się dość żwawy.

Nie tak było z McCarronem, sądząc po zdeptanej ziemi, jaką ludzie mogli oglądać nazajutrz, ale nie dla wyżej wymienionej przyczyny. Śledztwo nie wytłumaczyło też, co tam robiła szprycha od koła ani w jaki sposób McCarron złamał sobie ramię: wiadomo tylko, że McCarron miał tę szprychę w zdrowej ręce na drodze, podczas kiedy Eula stała w powozie trzymając oburącz bat z łowianym uchwytem, wymachu-

iąc nim jak siekierą czy motyką i waląc ołowianą rękojeścią wszystkie głowy, jakie się nawijały pod rękę.

Tak, co najwyżej trzy minuty. To nie trwało dłużej. I nie trzeba było więcej czasu. Wszystko było aż tak proste i naturalne, proste i zwykłe zdarzenie, bez złości, jak przyływ morza czy oberwanie chmury, tupanie nogami, sapanie, przekleństwa i prawie nic do oglądania, oprócz płataniny cieni wokół konia (Ten się nie poruszył. Ale bo też spędził znaczną część swego życia pośrodku tartaku wuja Willa i każdego lata stał tam na podwórzu przez cały czas, kiedy Will wykurzał Aba Snopesa z domu, za który od dwóch lat nie płacił czynszu, i to ze wszystkiego, co kiedykolwiek widziała Sadyba Francuza, najbardziej było podobne do cyklonu; opowiadano, że Will mógł pojechać na stację, wysiąść z powozu i nawet go nie uwiązać na czas przejścia pociągu, i dopiero następnego lata miał zostać uwiązany przy tym samym płocie, który rozwalili te dzikie konie przywiezione przez Flema Snopesa z Teksasu) i powozu, a od czasu do czasu śmigała w oczach ta szprycha pośród ciosów ołowianej rączki bata, spadających na głowy tych chłopców z Sadyby.

A potem tylko ten koń i pusty powóz stojące samotnie na drodze jak drzewo czy skała, czy stodoła, przez które przepływająca fala czy huragan, czy jakkolwiek inny żywioł przeszły w swoim naturalnym pochodzie bez złości i zostawiły je tam odchodząc, i jedyny pozostały tam świadek (to był Thyron Quick, jeszcze przez tydzień można było oglądać ślady tej ołowianej rączki od bata na jego czaszce; nie po raz pierwszy nazwisko Quick okazało się szyderstwem) leżący bez czucia w trawie przy drodze. I wtedy właśnie się to stało, jak przypuszczam. Nie twierdzę i nie mogę się spierać, że właściwie stało się w ten sposób.

Po prostu nie chcę tylko uważać, że stało się inaczej, bo nie ma żadnych wiarogodnych stopni między tym, co musi być prawdziwe, a tym, co tylko może być prawdziwe.

A więc nie było ani chwili przerwy w ruchu. To był jeden nieprzerwany, naturalny bieg od chwili, kiedy tamtych pięciu wyskoczyło z kępy drzew i chwyciło konia za łeb pośród przekleństw, kopania, deptania i sapania, aż do ostatniego upadku z trzaskiem łamanych gałęzi i ucichnięcia ostatnich szybkich kroków, bo tamci czterej prawdopodobnie myśleli, że Thyron nie żyje; potem tylko spokojna, cicha droga w ciemnościach i stojący pośrodku drogi koń i Thyron Quick śpiący spokojnie w trawie. I to wtedy właśnie, jak przypuszczam, się stało: nie przerwa, nawet nie zatrzymanie się ruchu, nie tylko kapitulacja i zburzenie tego dziewiczego bastionu, ale to zapłodnione łono, to dziecko, ta dziewczynka, Linda, powołana do życia, właśnie tam na drodze, kiedy Eula prawdopodobnie musiała podtrzymywać jego złamane ramię, a koń stał nad nimi pośród gwiazd niby jedna z tych głów dzika czy innej grubej zwierzyny, które zawieszają na ścianach w salonie albo w bibliotece czy (zdaje mi się, że tak to teraz nazywają) w palarni.

No więc w bardzo krótkim czasie oto Will Varner z niezamężną córką, która oczekuje nieślubnego dziecka. To znaczy: oto cała Sadyba Francuza, bo w tamtych czasach, kto mówił „Sadyba Francuza”, myślał o Willu Varnerze i na odwrót. Bo jeżeli Eula Varner była zjawiskiem przyrody jak cyklon czy sztorm, to wuj Billy był nim także, choć wtedy jeszcze miał *ie więcej niż czterdzieści lat: uprawiał lichwę, konfiskował dobra oddane na hipotekę, wygryzał dzierżawców, tak że cokolwiek by spotkało Willa Varnera, ludzie zamieszkali w Sadybie Francuza nie powinni występować przeciw niemu, jeśli nie chcieli osiedlić się

/

na pustych przestrzeniach o dwadzieścia dwie mile na południowy wschód od Jefferson.

Naturalnie młody McCarron mógłby ocalić honor rodziny Varnera od razu, z miejsca. Po pierwszym roku ludzie myśleli, że to właśnie zamierza zrobić. Był jedynym synem zamożnej wdowy i przebywał gdzieś w Tennessee, póki pewnego dnia nie znalazł się w miejscu, gdzie przeznaczenie kazało mu zobaczyć Eulę Varner, tak jak w dwa lata później kazało ją zobaczyć Stevensowi i Manfredowi de Spain. A ponieważ był jedynym dzieckiem zamożnej matki i wychowankiem jednej z tych eleganckich szkół dla dżentelmenów, moglibyście się spodziewać, że czmychnie co prędzej, nie czekając nawet, aż mu złożą złamane ramię, a cóż dopiero aż Will Varner sięgnie po swoją strzelbę.

Ale popełnilibyście błąd. Możliwe, że z katastrofy w przyrodzie człowiek nie tylko nie ucieka na własnych nogach, ale zostaje wyrzucony przez siłę odśrodkową, a jeśli ma szczyptę rozsądku, może spróbować uchylić się przed ciosem. Ale nie zmienia zdania i pomysłów pośród katastrofy. Albo też, w jego wypadku, może nawet chciał zostać pośród tej burzy, póki by nie zabrała reszty jego ramion i nóg, do czego prawdopodobnie byłby skłonni tamci inni Quic-kowie, Tullowie i Bookwrightowie. Nie mówiąc już

o tej wykwintnej szkole, gdzie nawet w tak krótkim czasie trochę tych wzniosłych zasad honoru i rycerskości mogło utkwic mu w głowie, choćby przez to, że ją tam stale nimi napychano. W każdym razie to nie on zostawił w błocie ten splamiony teraz honor rodziny Varnerów. To zrobiła sama Eula. Więc teraz możecie tylko spróbować sobie to wyobrazić. Ostatecznie może mimo wszystko ten młody McCarron ponosi odpowiedzialność. Może siła odśrodkowa, co go dosięgła tylko raz i lekko, wystarczyła, żeby się zaczął łamać. To zwykle zjawisko natury może nie spodziewało się napotkać innego zjawiska, choćby także naturalnego, ale oczekiwało przynajmniej, a może tylko miało nadzieję, że przynajmniej spotka coś dosyć mocnego, żeby odpowiedziało ciosem na cios, nie tracąc ręki czy nogi w pierwszym zderzeniu. Bo następnym razem mogła to być głowa, a więc i życie razem z nią, i wtedy cała ta siła, cała ta nieustraszona brawura i odwaga dawania i brania, i ponoszenia konsekwencji, jakie pociąga za sobą fakt, że się jest zjawiskiem natury w swoim zjawiskowym momencie, poszłaby na marne, rozproszona przez wiatr. Bo nie mówię tu o miłości. W zjawiskach przyrody nie ma miłości, tak samo jak nie ma strachu, niepewności i bezsilności, które musi się znać, jeśli się wie, co znaczy czekanie. Jeśli powiedziała wtedy do siebie (a pewno to zrobiła): „Następny taki epizod przy mostku nad rzeką może go kosztować życie” — to nie troskę

o zdrowie młodego McCarrona miała na myśli.

Tak czy inaczej, nazajutrz rano nie było go już w Sadybie Francuza. Przypuszczam, że to Eula włożyła resztkę bata do tulei i wyciągnęła powóz na górę. W każdym razie obudzili Willa; a Will w nocnej koszuli (nie było strzelby — musiało upłynąć jakieś dwadzieścia osiem dni, może trochę mniej albo więcej, zanim odkrył, że potrzebna była strzelba; ale wtedy była tylko jego mała walizeczka z narzędziami weterynarza) złożył ramię, tak żeby McCarron mógł wrócić do domu albo gdziekolwiek indziej, gdzie jakiś inny miejscowy lekarz od krów i mułów mógłby się nim zająć. Ale był w Jefferson przynajmniej raz, w jakiś miesiąc później, mniej więcej w tym czasie, kiedy Eula prawdopodobnie odkryła, że jeśli nie zmieni dość wcześnie swojej sytuacji, to sytuacja zrobi to za nią.

I opłacił nawet posłańca pocztowego, żeby osobno doręczył jego list Euli. Ale z tego także nic nie wyszło

j w końcu znikł. Pewne jest także, że w sześćdziesiąt pięć czy siedemdziesiąt dni po tym ostatnim starciu przy moście na rzece — a jeżeli spodziewaliście się hałasów i krzyków dochodzących z domu Varnera czy najbliższej okolicy, to także się pomyliliście; było to tylko krótkie zawiadomienie przed samym ślubem — Herman Bookwright i Thyron Quick wyjechali z Sadyby Francuza nagle i ukradkiem w nocy, chociaż ja myślę, że oni obaj nawet się nie przechwalali, tylko żalowali, że tego nie mogli zrobić, a Eula i Flem wzięli ślub. W tydzień później, bo tyle czasu potrzebował Will na przekonanie Flema, żeby przyjął ten opuszczony dom Starego Francuza jako posag Euli, ona i Flem wyjechali do Teksasu, co było dość daleko, żeby po powrocie to nowo narodzone dziecko Sno- pesa wyglądało jako tako legalnie czy raczej, chcę powiedzieć, ortodoksyjnie. A że, jak przypuszczano, większość swej egzystencji przed narodzeniem spędziło w Teksasie, nikt nie był zdziwiony, że w trzecim miesiącu życia miało już zęby. I kiedy wrócili z Teksasu w rok później, ci, co byli dość złośliwi, żeby zauważyć, że to bardzo duża dziewczynka jak na trzy miesiące, musieli sobie tylko przypomnieć, że te trzy miesiące także upłynęły w Teksasie.

Było to dokładnie w czternaście miesięcy po tym starciu nad rzeką, w którym załamał się młody McCarron. Ale dziecko nie czekało. Nie mogło tak być z takim zjawiskiem przyrody jak Eula. Ona po prostu istniała, oddychała, siedziała z tym dzieckiem na ręku w fotelu na biegunach na ganku frontowym Varnera, podczas kiedy Flem zamieniał banknoty na te sześćdziesiąt pięć srebrnych dolarów i zakopywał w ogrodzie koło domu Starego Francuza, tam właśnie, gdzie ja i Henry Armstid, i Odum Bookwright musieliśmy je znaleźć. I nadal tylko istniała, oddychała, siedziała z dzieckiem na wozie tego dnia, kiedy się przenieśli do Jefferson, żeby Flem mógł z kolei zająć się Groverem Winbushem i wygryźć go z drugiej połowy tej kawiarni, którą on i ja mieliśmy do spółki. I wciąż tylko istniała i oddychała, ale już nie siedziała, bo prawdopodobnie przyptyw morza nie potrzebuje informacji, czy zagarnął właściwą szprychę w drodze do jakiegokolwiek właściwej obręczy; ona, Flem i dziecko mieszkali w tym namiocie płóciennym za restauracją, gdzie mogła przechodzić plac, dopóki w końcu nie podniósł wzroku i jej nie zobaczył Manfred de Spain; mocniejszy gatunek McCarrona, który nie miał się wycofać ani załamać, kiedy doszło do ich spotkania. Ten nie miał przywilejów i korzyści, jakie daje posiadanie zamożnej matki wdowy i mieszkanie w hotelach na Florydzie w przejściowych okresach poza edukacją w eleganckich szkołach, ale musiał radzić sobie, jak mógł, będąc tylko synem oficera kawalerii w Armii Konfederatów i po skończeniu szkoły wojskowej w West Point przeszedł do armii, którą jego ojciec nazwałby wojskiem Jankesów, a potem wyruszył na Kubę w randze porucznika i wrócił z blizną na policzku po ranie zadanej bagnetem, o której ludzie, usiłujący nie dopuścić do jego wyboru na burmistrza, mówili, że wcale nie zadał mu jej bagnet hiszpański, tylko nóż jakiegoś sierżanta z Missouri przy grze w kości, co czy było prawdą, czy nie, nie przeszkodziło mu zostać burmistrzem Jefferson ani prezesem banku pułkownika Sartorisa, kiedy nadszedł czas, nie mówiąc już o pozyskaniu względów Euli Varner, także w swoim czasie.

Nie wspominam nawet o adwokacie. To nie był nawet jego pech, że dążył także do tej samej osi, bo pech czy szczęście dotyczą przyptywów morza. To było jego przeznaczenie. Po prostu został zagarnięty przypadkiem jak mrówka wążąca na ten sam patyk, który słoń uznał za przydatny lub wygodny. Nie to,

■•oby się urodził za wcześnie czy za późno, czy nawet w niewłaściwym miejscu. Urodził się akurat. we właściwym czasie, tylko w nieodpowiedniej kopercie. To •ego przeznaczenie i nieszczęście kazały mu się urodzić nie w jednej z tych osobnych kopert jak McCar- ron, ale w jednej z tych kruchych, jakby były utkane 7. nitek babiego Jata, tych kopert bezgranicznych i beznadziejnych aspiracji, jakie mu dał Stary Pan.

Więc był tam, pogrążony po uszy w tej grze, w której najlepszą rzeczą, jakiej mógł się spodziewać, było przegrać jak najszybciej, bo nawet jakiś cień zbliżenia czy najdrobniejsze zwycięstwo mogło zetrzeć go z powierzchni ziemi jak piorun, podczas gdy Flem spokojnie szczypał trawę na nowych pastwiskach w Jefferson, mieszkając wciąż z żoną i nieletnią córką w namiocie za restauracją, w której teraz sam smażył kotlety, od czasu kiedy Grover Winbush dowiedział się nagle pewnego dnia, że także nie jest już właścicielem połowy przedsiębiorstwa. Potem państwo Roun- cewell, którzy myśleli, że są wciąż właścicielami tego, co pani Rouncewell nazywała Hotelem Handlowym, na przekór reszcie mieszkańców Yoknapataw- pha, którzy to nazywali Gospodą Handlową, także odkryli, że się mylą, i państwo Flemowie Snopes mieszkali tam teraz przez miesiąc czy tyle czasu, ile było potrzebne Flemowi na wygryzienie Rouncewellów, podczas gdy następny Snopes sprowadzony z Sadyby Francuza zajął namiot za restauracją i smażył kotlety, bo Flem został teraz dyrektorem elektrowni. Manfred de Spain nie tylko widział już Eulę, ale był już burmistrzem Jefferson. A Stevens wciąż próbował, chociaż przynajmniej raz dziennie widywał swego śmiertelnego, zwycięskiego rywala i zdobywcę wchodzącego i wychodzącego z kancelarii burmistrza albo przejeżdżającego tarami i z powrotem przez Rynek w samochodzie elektrowni z

ozdobami / . czerwonej miedzi, jukiogo nigdy dotychczas nie oglądała większość ludzi z północnego Missisipi, a cóż dopiero z okręgu Yoknapetawpha, aż do dnia, kiedy w tej uliczce za Klubem Kotylion, wie czorem przed balem gwiazdkowym, próbował walczyć na pięści z Manfredem de Spain, aż mąż jego siostrv wyciągnął go z rynsztoka i przytrzymał dość długo, żeby Manfred znikł mu z oczu, a potem zaprowadzi go do domu, do łazienki i powiedział mu: — Co ty, u diabła, wyprawiasz? Czy nie wiesz, że nie mnis. walczyć? — A tamten przechylony nad umywalnią, próbując zatamować krew z nosa papierem toaletowym, odpowiedział: — Pewnie, że wiem. Ale możesz mi doradzić lepszy sposób, żeby się nauczyć?

I dalej próbował aż do tego ostatniego rozpaczliwego uderzenia, tej historii z miedzią w elektrowni. Myślę o tej stracie zużytych rur, kurków spustowych, płyt metalowych i innych starych kawałków miedzi, gromadzonych w elektrowni, póki nie znikły pewnego dnia w drugim roku dyrektorskich rządów Flema, chociaż nie było żadnego bezpośredniego dowodu przeciw nikomu, nawet kiedy miedziowe zawory bezpieczeństwa zginęły z kotłowni i okazało się, że zamiast nich wśrubowano stalowe kurki i w końcu kontrolerzy z zarządu miejskiego musieli pójść do dyrektora i zawiadomić go jak najdelikatniej, że nie ma tych zaworów, i Flem przestał żuć na dość długo, żeby spytać: — Ile? — i zapłacił im, a potem w następnym roku znów sprawdzili rachunki i odkryto, że w poprzednim roku źle obliczyli, i poszli znów do niego i napomknęli, że przedtem popełnili omyłkę, a Flem znów przestał żuć na dość długo, żeby spytać: — Ile? ■— i zapłacił to też. I przypominał sobie (on, Stevens) to wszystko, co było i minęło, chociaż Flem nie tylko już dawno zrezygnował ze stanowiska dyrektora, ale kupił dwa nowe zawory bezpieczeństwa z wła

snej kieszeni, jako dar obywatelski dla miasta; przypomniał o tym wszystkim, z dowodami, w procesie wytoczonym, żeby nie dopuścić do wyboru Manfreda na burmistrza, póki sędzia Dunkifield nie wycofał się sam i nie wyznaczył sędziego Stevensa, ojca adwokata, do przesłuchania stron spornych. Ale nie wiem, co się wtedy stało, bo sędzia Stevens kazał wszystkim opuścić salę i prowadził rozprawę przy drzwiach zamkniętych, tylko był adwokat, Manfred i sam sędzia. I to już koniec-, niedługo trwało, zaraz potem Manfred wyszedł i wrócił do swojej kancelarii, i jak głosi opowieść, legenda, raport, czy jak to chcecie nazwać, adwokat stał tam, ze spuszczoną trochę głową, przed swoim ojcem, pytając: — Co ja mam teraz zrobić, tatusiu? Co ja mam zrobić?

Ale wyglądał całkiem różnie nazajutrz rano, kiedy poszedłem go odprowadzić na pociąg. Skończył studia w Harvard i miał dyplom doktora praw z uniwersytetu w Oxfordzie, a teraz wyjeżdżał do Niemiec, jeszcze do jakiejś szkoły. Tak, moi drodzy, wydawał się różny i żwawy, jak tylko można sobie życzyć. — O, jesteś — powiada. — Chciałem cię o coś prosić przed odjazdem: oddaję pochodnię w twoje ręce. Teraz będziesz musiał sam bronić fortecy. Trzeba, żebyś wziął ciężar na swoje barki.

— Jakiej fortecy? — pytam. — Jaki ciężar?

— Jefferson — mówi. — Snopesowie. Myślisz, że potrafisz się nimi zająć sam przez dwa lata? — Oto, co wtedy myślał: że teraz już jest wyleczony. Rozczarował się wreszcie na dobre do Heleny i teraz kłopotał się tylko o to, co ci Menelausowie-Snopesowie mogą jeszcze narozrabiać w społeczeństwie Yokna-patawpha-Argos podczas jego nieobecności. Co też było w porządku, mogło mu sprawić ulgę i uspokoić. Miał mnóstwo czasu, żeby się przekonać po powrocie, że nikt jeszcze nigdy nie stracił Heleny, bo do końca nie. tylko jej, ale i jego życia nie miała się od niego uwolnić. Pewnie dlatego, że nie chciała.

Tyj.ko że l.o nie trwało dwa lata. Urosło p-iwie do pięciu. Tamto się działo wczesną wiosną w 1914, a w lecie wybuchła wojna, czego właśnie — wojny — nie życzył. Nie spodziewał się jej, nie oczekiwał, że wojna wybuchnie tylko na jego intencję, bo jak większość ludzi w/ jego kraju nie wierzył w groźbę wojny. Ale trzeba było czegoś pragnąć, wszystko jedno czego, a wojna była tak samo dobra jak wszystko inno, bo cokolwiek mówił sobie w duchu, kiedy już ta o- gromna ilość wody oddzieliła go od Euli Snopes, sam instynkt pewnie mu podszepnął, że dwa lata to o wiele za mało, i dla niego, i dla Heleny, żeby można było wierzyć w to rozczarowanie. Więc choć nie mógł przewidywać, że go uratuje wojna, gdzieś w głębi ducha ufał, że Opatrzność ześle mu coś w tym rodzaju, bo, jak mawiał, Pan Bóg jest dżentelmenem i jednemu człowiekowi nie płać dwa razy tego samego figla, przynajmniej nie w tej samej formie.

A więc miał swoją wojnę. Ale pewnie będziecie się dziwić — ja przynajmniej się dziwiłem — dlaczego nie bił się na wojnie po stronie Niemiec. Przecież nie tylko był już w Niemczech i ze wszystkich stron otaczali go Niemcy, ale już przedtem mi kiedyś powiedział, że choć to kultura angielska wysyłała ludzi tak daleko za ocean w celu stworzenia Ameryki, teraz to kultura Niemiec jest najściślej powiązana ze współczesnymi, męskimi rozgałęzieniami gałęzi nordyckiej starego pnia aryjskiego. Bo mówił, że ta więź jest mistyczna, nie to, co się widziało, ale to, o czym się słyszało, i że współczesny Aryjczyk, przynajmniej w Ameryce, nie ufa wcale temu, co widzi, ale przeciwnie, wierzy we wszystko, o czym tylko usłyszy i czego nie może dowieść; i ta współczesna niemiecka kul« tura, mówił, od rewolucji 1848 nie miała nigdy żadne

go zainteresowania, a co najwyżej trochę pogardy, ■'ia wszystkiego, co spotyka człowieka z zewnątrz, przez oczy i dotyk, jak malarstwo czy rzeźba i prawo cywilne, przynoszące korzyść społeczną - interesują ją ;ylko te rzeczy, które łączą się z człowiekiem poprzez uszy, jak muzyka i filozofia, i to wszystko, co jest zepsute w mózgu. To dlatego — mówił — niemiecki język jest taki brzydki, nie tak muzykalny, jak włoski i hiszpański, i nie ma tego, co nazywał epicejską precyzyjnością francuskiego, ale jest szorstki i okropny, nie wspominając już o tym, że się nim mówi, jakby się pluło (jak to ktoś kiedyś powiedział, do mężczyzn mówi się po włosku, do kobiet po francusku, a do koni po niemiecku), tak żeby nic człowiekowi nie przeszkadzało i nie odrywało go od tego, co słyszą jego nerwy i gruczoły; idee mistyczne, wspaniała muzyka (Stevens mówił, że to najlepsza muzyka ze wszystkich, jakie stworzyły narody, od matematycznej precyzji Mozarta poprzez niebiańską pasję Beethovena i Bacha aż do tej mieszaniny krzyków z lupanaru i ba- chanalii ulicznych, jaką stworzył Wagner), która dociera prosto do współczesnego nordyckiego i aryjskiego serca mężczyzny, nie dręcząc wcale jego umysłu.

Ale nie zaciągnął się do armii niemieckiej. Nie wiem, jakie kłamstwa naopowiadał Niemcom, żeby się wydostać z Niemiec i pojechać tam, gdzie się mógł połączyć z nieprzyjacielem, który przeciw nim walczył, ani jakie kłamstwa wymyślił dla Anglików i Francuzów, żeby wytłumaczyć im, dlaczego student niemieckiego uniwersytetu jest osobą nie budzącą podejrzeń i można go bezpiecznie trzymać tam, gdzie może usłyszeć, jaką to najbliższą niespodziankę przygotowują wrogowi. Ale tak zrobił. I nie wstąpił do armii angielskiej, tylko do francuskiej: do tych ludzi, którzy według niego spędzali czas opowiadając damom o „epicejskiej precyzyjności”. I dalej nie wiedziałem dlaczego, nawet w cztery lata później, bo kiedy się go w końcu zapytałem: — Po tym wszystkim, co opowiadałeś o niemieckiej kulturze, kiedy niemiecka armia była naokoło ciebie, a przynajmniej ty pośród niej, musiałeś jeszcze kłamać i chytryć, żeby wstąpić do francuskiej. — Bo odpowiedział mi tylko: — Pomyliłem się. — A w niecały rok później, kiedy mu powiedziałem: — Nawet pomimo tej niebiańskiej muzyki i tych wspaniałych mistycznych idei? — Odpowiedział tylko: — One są jeszcze nadal wspaniałe, niebiańskie. To tylko słowo „mistyczne” jest błędne. Zarówno muzyka, jak idee wyłaniają się z mroku, z ciemności. Nie z cienia: z zupełnej ciemności. Człowiek musi mieć światło. Musi żyć w pełnym, nieustającym blasku, tam gdzie każdy cień staje się wyraźny i ostry, jedyny i osobisty: cień jego własnej prawości albo nędzy moralnej. Całe zło ludzkie musi wychodzić z ciemności, z mroku, gdzie nic nie straszy człowieka kształtem jego własnej bez- kształtności.

Prawdę mówiąc, dopiero w dwa czy trzy lata później, kiedy on już wrócił do domu na stałe, a Eula Varner, od której w dalszym ciągu nie żądał nic prócz istnienia i oddychania, zgodziła się już przyjąć całą resztę jego życia, żeby, na tak długo, jak to będzie potrzebne, włączyć je do przyszłości tej jedenasto- czy dwunastoletniej dziewczynki, powiedziałem mu:

— Helena chodziła w świetle.

A on na to:

— Helena była światłem. Dlatego dotychczas możemy ją widzieć, nawet nie mniej wyraźnie, po pięciu tysiącach lat.

A ;a:

— A co z tymi innymi, o których mówiłeś? Te Se- miramidy i Judyty, te Franceski i Izoldy?

A cm:

— Ale nie jak Helena. Nie takie jasne, takie świetliste, wiecznotrwałe. To dlatego, że tamte wszystkie inne mówiły. Tamte zacierają się stopniowo w mrokach swego własnego głosu, gdzie znajdowały ujście ich "smięności i tragedie. Ale nie Helena. Czy wiesz, że nigdzie nie wiadomo o ani jednym słowie, jakie wypowiedziała w ciągu swej egzystencji, oprócz domniemanego: „Tak", które w swoim czasie musiała powiedzieć Parysowi.

No więc tak to było. Ta dziewczynka czternasto- i piętnastoletnia, która nie próbowała robić nic innego, tylko uwolnić się od konieczności chodzenia do szkoły przez to, że chodziła tam na czas, i uczyła się lekcji, tak żeby przejść do następnej klasy, i która na pewno ani razu nie spojrzęła na niego dość uważnie, żeby go poznać następnym razem, gdyby nie przekonała się nagle, że dla jakiejś przyczyny on stara się wprowadzać część jej życia codziennego w swoje życie albo wprowadzić część swojego życia w jej życie — jak wolicie to określić. I ten niezonaty prawnik, dwa razy starszy od niej, na którego już kierowały się spojrzenia wszystkich jako na prokuratora okręgowego, a zwłaszcza w tak małym mieście, jak Jefferson, gdzie, ile razy człowiek poszedł się ostrzyć, wszyscy mieszkańcy wiedzieli już o tym przy kolacji. Toteż najlepszą rzeczą, jaką potrafiliby wymyślić, było raz albo dwa razy w tygodniu spędzać kwadrans przy stoliku pod oknem w drugistorze Willy'ego Christiana, gdzie ona jadła lody albo krem z bananami, podczas gdy lód topniał w jego nie tkniętej szklance coca-coli. To nie tylko była rzecz najlepsza, ale jedyna, nie ze względu na jej dobrą opinię, lecz także na te głosy wyborcze, które za dwa lata mogły nie uznać fundowania lodów czternastoletniej dziewczynce za odpowiednią kwalifikację dla prokuratora okręgowego.

Spotykał ją dwa razy w tygodniu przez czysty przypadek, który wyglądał tak przypadkowo, jak tylko można się było spodziewać: adwokat czatował przy oknie swojej kancelarii na piętrze po drugiej stronie ulicy, wypatrywał chwili, kiedy pierwsze dzieci zaczną wychodzić ze szkoły, to jest z klasy wstępnej i z pierwszej, potem przez przypadkowy zbieg okoliczności znajdował się na rogu ulicy akurat w tym czasie, kiedy zaczęły wychodzić te z siódmej, ósmej czy dziesiątej klasy i ona wydawała się trochę zaskoczona i zdziwiona za pierwszym i drugim razem, nie przestraszona, tylko troszeczkę zdumiona i oszołomiona, może właśnie tego sobie życzył. Ale nie na długo: to zaraz mijało i wkrótce adwokat wypijał nawet odrobinę coca-coli, zanim zrobiła się za bardzo ciepła, żeby ją przelknąć. Aż pewnego dnia powiedziałem mu: — Zazdroszczę ci — a on spojrzął na mnie, więc mówię: — Masz szczęście.

—Jakie szczęście? — spytał.

—Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę masz czym się zajmować. Większość ludzi nie może powiedzieć tego o sobie. Prawie nikt. Ale ty — tak. Ro-

^ bisz nie tylko to, co masz zrobić, ale tę jedyną rzecz na świecie, jaką chcesz zrobić. A w dodatku jest w tym tyle samo albo i więcej interesujących komplikacji, niż byłoby, gdybyś ty tę rzecz wymyślił, zamiast być tylko przez nią odkrytym. Ze względu na jej dobre imię musisz to robić jawnie, na oczach tej samej publiczności, która by ją zniszczyła, gdyby tylko znalazła okazję, ale może by nawet nie podejrzewała, że ty i ona się znacie, gdybyś to trzymał w sekrecie. Czy to się nie nazywa być zajęтым?

Bo teraz już był odczarowany, rozumiecie, wyzwolony nareszcie od tego upadłego anioła. To sama Eula namaściła mu balsamem te gorzkie palce, które, jak mówi poeta, każdy człowiek raz w swoim życiu
m

.K\-'v 11';' s i: l<i (j'/.it'Wc/N nka trzynasto-, czternasto- po. niej piętnastoletnia siedząca naprzeciw niego \v cukierni Christiana mniej więcej ilwva razy \v t\|<><1 :iiu 7. pr/.erwa na to dwa lub trzy tygodnie, kit'ily pani Snopos wyjeżdżała z córką na wakacje, ro znw.v/.r biegało sit,' w czasie z wyjazdami wakacyjnymi Man froda dt' Spain, już nit' burmistrza do Spain, lecz pro .:esa banku, gdyż pułkownik Snrtoris zwolnił wreszcie stanowisko prt'zosa instytucji założonej przez niego, ojca di' Spoina i Willa Yarnora, pozwalając swoimi wnukowi wywrócić samochód do rowu któregoś ranka w drodze do miasta, i teraz Manfred do Spain był prozo-sem banku, zmieniwszy zajmowani' dotychczas stanowisko burmistrza na prezesurę mniej więcej w ,ym samym czasie, gdy b'loin zmienił stanowisko dy rektora elektrowni na wiceprezosa banku, zmieniając równocześnie sukienką czapki; z daszkiem, w której przyjechał do Jefferson (jak głosi legenda, sprzedał ją jakiemuś chłopcu, Murzynowi, za dziesięć cen tów. Co nie było złą eona, bo kio wie, czy jakaś Cząstka uzdolnień do spraw finansowych nie wsiąkała w tę czapkę razem z potem), na czarny filcowy ka- pelusz odpowiedni do jego nowej pozycji i powołania,

O tak, adwokat był już teraz odczarowany, nawel siedząc niekiedy samotnie, przy oknie u Christiana, podczas gdy lód rozpuszczał się w coca-coli, sam aż do czasu, gdy tamci wrócą, z końcem tych przypadko wo-równoczesnych wakacji, i szkoła otworzy się na nowo, na dwa popołudnia w tygodniu przez cały rok- jeśli, oczywiście, ta szesnasto- czy siedemnastoletnia dziewczynka nie trafi na swego własnego Manfreda de Spain czy Hoake'a McCarrona między jednym a drugim popołudniem, a wtedy adwokat będzie, mógł wam powiedzieć, jak poeta w książce: „To, co widzi cie, to nie lży. Myślicie tylko, że tak jest”.

Szesnaście, siedemnaście — i zaczynała już osiem

nasty iok vycia, a Slovens wciąż pożyczal jej książki ,Io czytania i karmił bananami, lodami i kremem ilw.i y w Iygodniu, tak więc miasto Jotteison myślało, ze wio, do czego on zmioi/.a, czy chce się do tego przyznać, czy nie. A naturalnie linia wiedziała już od pięciu czy sześciu kit, czego by dla niej chciała. l\> wiedzmy, że jest pies, nie jakiś nadzwyczajny oka/ psiej rasy, ale przynajmniej dobry i mocny, prawdziwy pit's, który zdaje się nie. należeć do nikogo i wyraźnie szukać twojego towarzystwa, i nie jesteś całkiem przekonany, nawet, po pięciu czy sześciu latach, czy nie znajdziesz innego, pożytecznego psa na pod orędziu, i po tych pięciu czy sześciu latach, a nawet jeśli dodasz do nich drugie pięć czy sześć, nie będzie ci potrzebny i nigdy nie będziesz potrzebował go, ale nic warto go odpędzać i pozwolić komuś innemu korzystać z jego uzdolnień i zalet, choćby to była tylko wierność i przywiązanie. Albo przypuścimy, ze mas/ dziewczynkę, która rośnie i im jest starsza, tym więcej musi zabierać ci czasu, tym więcej sprawiać kłopotu i krępować w sprawach osobistych; w takim wypadku ta psia wierność i przywiązanie nie tylko mogą się okazać użyteczne, ale pies może hyc wciąż zdolny do tych uczuć, choćby dawno już stracił na dzieję, że kiedyś rzucą mu bodaj kość.

Tok to sobie wyobrażali ludzie z Jeiterson. -\!e nie ja. Možo nawet, choć się uwolniła od Hoake'a .McCarrona, kiedy się okazało, że będzie miała dziecko, są momenty, kiedy nawet zjawiska fizyczne u samicy sa przede wszystkim sprawami samicy, czy chcą tego, czy nie. l lak mi się zdaje, że kobiety pod tym względem nie tak bardzo różnią się od mężczyzn: ze jeśli dla mężczyzny nie jest żadnym wstrząsem ani kłopotom wziąć na siebie ojcostwo pierwszego dziecka kobiety, którą kochał i stracił, i której nie może wygnać ze swych myśli, choćby nie wiedzieć ilu mąż

czynn mogło rościć sobie pretensje do lego ojcostwa, to kobiecie także nie jest trudno przypisać cały tuzin dzieci rozmaitych ojców temu jednemu mężczyźnie, który ją stracił i nie oczekuje od niej niczego, prócz zgody na jego przywiązanie.

A że Linda też była kobietą, prawdopodobnie nie miała wątpliwości w trzynastym czy czternastym roku życia — a może nawet ledwie zdążyła otrząsnąć się z pierwszego zdziwienia przy drugim czy trzecim kremie z bananami, że wie także, do czego on zmierza. I pewnie się pomyliła. To nie był jego styl. Tylko ją wychować i poślubić — to nie to. Do tego mu nie była potrzebna — to znaczy, jeśli chodziło o wypełnienie normalnego życia, aż do zupełnego przerwania spokojnych stosunków małżeńskich, to wystarczyłaby mu pierwsza lepsza dziewczyna, którą mógł sobie wybrać z tłumu uczennic w szkole albo w drug- storze Christiana. To nie było warte jego wysiłku. Musiał, chciał, być tym jedynym mężczyzną z jej otoczenia, zdolnym uznać, że ona ma duszę, którą można jeszcze uratować od tego, co nazwał snopizmem; siłą, dość potężną i złą, żeby ją zgubić choćby przez tę żywioną przez trzynaście czy czternaście lat wiarę w te więzy krwi, które w rzeczywistości nie istniały; i nikt z jej otoczenia, nikt prócz niego nie mógł tego ocalić — tej banieczki powietrza gdzieś istniejącej w niej, podobnej do błyszczących, kolorowych banieczek kołyszących się przed nosem foki, kruchych, a jednak wciąż nie tkniętych, stale o cal ponad brudem i śmieciem Snopesów, tak długo jak foka nie potknie się albo ktoś nie odwróci jej uwagi.

A więc dążył tylko do tego, żeby ją oddalić z Jefferson albo jeszcze lepiej, bezpieczniej, ze stanu Missisipi, z początku choćby na te dziewięć miesięcy roku szkolnego, do czasu, kiedy ktoś ją spotka i ożeni się z nią, a wtedy ona odejriiie na dobre. Czysty, zwy
czajny optymizm, najmniej skażony, jaki kiedykolwiek istniał, bo wszyscy wiedzieli, że Flem jest wiceprezesem banku de Spaina dla tej samej przyczyny, dla której był dyrektorem elektrowni; w pierwszym wypadku ludzie, którzy chcieli się uśmiechać do Euli Varner, musieli przynajmniej umieć wymówić nazwisko Flem Snopes, a w drugim de Spain musiał wziąć Flema z sobą, żeby wykorzystać głosy wyborcze trzody Willa Vamera i samemu zostać prezesem. A jedyną przyczyną, dla której Will Varner nie wykorzystał możliwości odegrania się na Flemie za tę rudę Starego Francuza, którą Will uważał za nic niewartą, póki Flem nie sprzedał jej mnie i Odumowi Book- wrightowi, i Armstidowi za połowę mojej i Grovera Winbusha restauracji, gotówkę Bookwrighta i dwieście dolarów z hipoteki na farmę Henry'ego mniej te pięć czy sześć dolarów, które żona Henry'ego ukryła przed nim i zakopała w ziemi, była ta sama przyczyna, dla której Eula nie porzuciła Flema i nie wyszła za Spaina: bo pozostanie z Flemem dawało dom i nazwisko tej dziewczynce, która by inaczej tego nie miała. Toteż gdyby ta dziewczynka sama wyszła za męża albo przynajmniej opuściła na stałe Jefferson, nie potrzebowałaby już domu i nazwiska i Flem nie miałby już nad nią żadnej władzy. Flem sam także byłby wtedy daleko i próbowałby wrócić, i Flem wiedział o tym.

Tylko adwokat o tym nie wiedział. Wierzył do ostatniej chwili, że Flem pozwoli Lindzie wyjechać z Jefferson gdzieś, gdzie ją poślubi pierwszy obcy młody człowiek, jaki się nawinie, a wtedy Eula odejdzie od niego i Flem będzie skończony. On — to znaczy adwokat — pożyczał jej książki do czytania od czasu, gdy skończyła czternaście lat, a potem urządzał coś w rodzaju egzaminu z tej lektury, podczas gdy lód topił się w szklance z coca-cola. Wreszcie

skończyła siedemnaście lat i następnej wiosny miała wstąpić na wyższe studia, więc on sprowadził prospekty i programy studiów najlepszych szkół dla dziewcząt w pobliżu Harvard.

Teraz następuje rozdział, którego nikt nie zna, o- prócz samego Stevensa, a on naturalnie nigdy tego nie opowiadał. A więc jakby on sam powiedział, można wyciągnąć wnioski wyłącznie z faktów oczywistych: nie tylko kształcące lektury i programy szkolne, gromadzone i pokrywające się kurzem w jego kancelarii, ale także spotkania przy lodach należały już do przeszłości. Bo teraz chodziła do szkoły i wracała bocznymi uliczkami. Dopóki w końcu, może po tygodniu, adwokat nie zrozumiał, że ona go unika. Za niecałe dwa miesiące miała zdać końcowe egzaminy w szkole i nie było już czasu do stracenia. To Leż tego samego ranka Stevens poszedł rozmówić się z jej matką, a że

o tym też nigdy nikomu nie opowiadał, musimy posunąć się w naszych supozycjach trochę dalej, niż nam pozwalają nagie fakty. Bo moje dzieciństwo też upłynęło w tym samym otoczeniu, na tle takiej samej dekoracji, to jest Sadyby Francuza, ponad którą Flem Snopes wzniósł się o własnych siłach, bez niczyjej pomocy, jeśli nie liczyć Hoake'a McCarrona. A więc mogę tylko wyobrazić sobie, że moje nazwisko jest Flem Snopes i że jedyna droga, jaka doprowadzi mnie do pieniędzy Willa Varnera, to ożenek z jego córką, a gdyby zostały zerwane te luźne więzy, jakie łączą ze mną jego -wnuczkę, to córka by odeszła. A oto płacze się jakiś przybłęda z planem oddalenia tej wnuczki gdzieś, gdzie nigdy już jej nie zobaczę, jeśli ona ma trochę rozumu. A że córka zносиła mnie przez osiemnaście lat tylko dla dobra wnuczki, wniosek jest prosty: jedyne, co mogę zrobić, to iść do żony i powiedzieć jej: — Jeżeli pozwolisz tej dziewczynie wyjechać stąd do szkoły, rozrobię tę całą historię z Manfredem de Spain, tak że nie będzie miała żadnego domu, skąd by mogła wyjechać, a cóż dopiero wracać na Boże Narodzenie i na ferie.

A że przez pierwsze osiemnaście lat swego życia Eula oddychała tym samym co i ja powietrzem Sadyby Francuza, muszę tylko wyobrazić sobie, że się nazywam Eula Varner, żeby wiedzieć, co Eula odpowiedziała Stevensowi: — Nie, ona nie może wyjechać do szkoły, ale pan się może z nią ożenić. To rozwiąże cały problem. — Rozumiecie? Bo ta wierność i przywiązanie, które mogły przetrwać tak długo, nie żądając już nawet ochłapy czy kości, nie tylko były zbyt cenne, żeby je odtrącić, ale nawet zasługiwały na nagrodę! Bo może satysfakcja i poczucie pełni, jaką daje fakt, że się jest Heleną, jest czymś więcej, niż mogą dać tysiące Parysów, McCarronów i de Spainów. Nie myślę tu o niewyczerpanej namiętności, ale o sile, władzy, nie tylko przyciągania, czarowania i konsumowania, ale o władzy dawania i nagradzania; przyciągnąć do siebie nie więcej, niż można utrzymać, bo słowa „nie można" i „Heleną" nie należą do tego samego języka, ale przyciągnąć do siebie o tyle więcej, niż się samemu potrzebuje, żeby móc rozdzielać tę nadwyżkę, być szczodłą — tylko że się jest Heleną i nie można oddać tego, co się raz posiadało, można tylko rozdzielić to i wynagrodzić wierność, i może nawet na chwilę ukoić, osłodzić ból. I trzeba być o- krutnym, nie szczędzić tego także, bo jest się Heleną i można sobie na to pozwolić; trzeba być Heleną, żeby być do tego stopnia okrutną, szczodłą w okrucieństwie, a jednak wciąż sobą, nietykalną i nieskalaną, i pewnie zwrócić się także do niego, pierwszy raz w życiu, po imieniu: — Ożeń się z nią, Gavin.

I wtedy zobaczyła w jego twarzy nie tylko trochę zdumienia, jak on niegdyś w twarzy Lindy, ale trwo

gę, przestrasz, nie dlatego, że tak prędko trzeba było odpowiedzieć: „Nie”, ani nie dlatego, że go o to pytano, bo myślał, że już pytał o to sam siebie i zdecydował raz na zawsze, już dość dawno temu. Rzecz w tym, że propozycja wyszła od niej. Tak jakby — ponieważ nie mógł mieć żadnej nadziei od chwili, gdy uświadomił sobie, że Manfred de Spain także już na nią spojrział — odkrył, że można żyć w spokoju, bo był jedyną żyjącą istotą, która wiedziała, że nigdy nie miał żadnej nadziei. Aie teraz, kiedy ona mu to powiedziała głośno, prosto w twarz, to tak, jakby powiedziała publicznie, że nie miałby żadnej nadziei, nawet gdyby Manfred de Spain nigdy na nią nie spojrział. A gdyby mógł wydobyć z siebie to „Nie” dość prędko, może byłoby tak, jak gdyby ona nie powiedziała tego nigdy, a on nie byłby jeszcze zmiażdżony.

Przynajmniej nie było nikogo, nikogo z zewnątrz, kto by to słyszał, tak że może nawet do następnego stycznia mógł wierzyć, że nic z tego nie zostało powiedziane, — zupełnie jak z cudami: w co się nie wierzy, tego się nie widzi. Cud, zupełny cud w każdym razie, jak niewiele potrzebuje człowiek, żeby przeżyć jakąś rzecz. I na cud wygląda też to, co się stało w następnym styczniu: Linda zdała tej wiosny egzaminy na wyższe studia i w jesieni wstąpiła do seminarium, gdzie mogła studiować, wracając do domu na noc i spędzać w domu całą sobotę i niedzielę, tak samo jak przedtem, tak że Flem nadal mógł mieć ją pod ręką. Aż tu, zaraz po Bożym Narodzeniu, dowiedzieliśmy się, że wystąpiła z seminarium i wyjeżdża do Oxfordu na uniwersytet. Tak, moi drodzy, przeszło pięćdziesiąt mil odległości od Flema w dzień i w nocy, pośród pięciu- czy sześciuset młodych ludzi poniżej lat dwudziestu pięciu, z których każdy mógł się z nią ożenić, byle miał dwa dolary na opłacenie kosztów ślubu. Zupełny cud, zwłaszcza po tym, czego

się dowiedziałem od Euli, kiedy ją przypadkiem spotkałem na ulicy.

j — Jak się to pani udało? — pytam.

I — Co mi się udało?

j — Przekonać Flema, żeby jej pozwolił pójść na uniwersytet.

— Wcale nie próbowałam. To był jego pomysł. Dał jej pozwolenie, nie pytając mnie nawet o radę. Ja też nie wiedziałam, że on to zrobi.

Tylko że życie w Sadybie Francuza, nawet bez dodatku tych szesnastu czy siedemnastu lat spędzonych w Jefferson, wystarczyłoby, żeby przekonać nawet ślepych, że Flem Snopes nie handluje cudami: że woli gotówkę albo przynajmniej podpisany papier. I kiedy już wszystko było skończone, Eula nie żyła i de Spain wyniósł się z Jefferson na zawsze, a Flem był już prezesem banku i nawet mieszkał w odnowionej siedzibie przodków de Spain, a Linda pojechała ze swoim nowym mężem walczyć na wojnie hiszpańskiej, kiedy adwokat powiedział mi w końcu, jak mało wie naprawdę — to były tylko fakty naoczne, na których już dawno zbudowałem moją teorię. Bo oczywiście wszystkie dzieci Heleny musiały odziedziczyć coś z jej szczodrości, nawet jeśli nie mogły odziedziczyć więcej niż jedną milionową część darów swej matki, żeby je szczerze rozdawać. Nie mówiąc już o tym chłopcu McCarronów, który jeśli nawet nie okazał się dość mocny, żeby wytrzymać to pierwsze starcie przy moście nad rzeką, to przynajmniej był dość odważny i czupurny, żeby tego próbować. Więc Flem prawdopodobnie wiedział z góry, że nie będzie musiał się z nią targować. Że potrzebuje tylko zrobić to, co prawdopodobnie zrobił: kiedy się podda, przytrzymać ją przez trzy miesiące, żeby się przyzwyczaiła do swojej kapitulacji, a potem powiedzieć jej: „Zawrzyjmy układ: jeżeli zrezygnujesz z tych szkół na wschodzie,

może będziesz mogła pojechać do Oxfordu". Rozumiecie. Zaproponować jej coś, o czym nigdy nie marzyła przez całe te czternaście czy piętnaście lat, odkąd go, mogła pamiętać.

Potem ten dzień w kwietniu; ona była już na uniwersytecie w Oxfordzie, dokąd pojechała zaraz po Nowym Roku. Wybierałem się akurat do Rockyford z nową maszyną do szycia dla pani Ledbetter, kiedy Flem zatrzymał mnie na rynku i zaproponował pięćdziesiąt centów za to, żeby go zaraz zawieźć do sklepu Varnera. Musiało to być bardzo pilne, jeżeli chciał mi zapłacić pięćdziesiąt centów, kiedy wóz pocztowy zabrałby go za darmo. I dość dyskretne, jeżeli nie chciał ryzykować publicznego środka lokomocji: wozu pocztowego, który by go zawiózł darmo, ale włókłby się pół dnia, ani wynajętego samochodu, który by go odstawił do bramy Varnera w niecałą godzinę.

A więc było to dość dyskretne i dość pilne i nazajutrz przed świtem Will Varner dobijał się do domu swej córki i zięcia z Jeffersonem dość głośno, by pobudzić całe sąsiedztwo, póki ktoś (Eula naturalnie) go nie uciszył. Zatem znowu musimy budować teorię na podstawie kilku faktów. Posiadłość Starego Francuza, którą Will darował Flemowi, bo uważał ją za bezwartościową, póki Flem nie sprzedał jej mnie, Bookwrightowi i Armstidowi, od ją wszy oczywiście prawdziwe srebrne dolary, które Flem razem z łopata zainwestował w stary ogród różany, gdzie my (albo jakikolwiek inny Ratliff, Bookwright i Armstid, który by się znalazł pod ręką) musieliśmy je znaleźć. I fotel prezesa banku, w którego stronę, jak wszyscy wie-; dzieliśmy, patrzył teraz Flem, od czasu jak Manfred j de Spain przejął go po pułkowniku Sartorisie. I dziewczyna, która już odziedziczyła szczodrość po swojej j matce, i nagle otrzymała jeszcze jeden dar, którego > nie tylko nie oczekiwała, ale nawet prawdopodobnie j nie wiedziała, jak bardzo go potrzebuje, póki go jej nagle nie ofiarowano.

Tego dnia Flem wiózł do Sadyby Francuza testament. Eula oczywiście powiedziała to adwokatowi. Może Flem sam podsunął tę myśl Lindzie, to nie byłoby trudne. Ale ja tak nie. myślę. Nie potrzebował tego robić. Znał ją dosyć dobrze, żeby wyciągnąć wnioski, tak jak ona znała go na tyle, żeby wyciągnąć swoje. To sama Linda wpadła na ten pomysł, kiedy zrozumiała, że dopóki on żyje jako Flem Snopes, nie pozwoli jej nigdy, z żadnego powodu opuścić Jeffersona. I bezsilna, zrozpaczona, zadawała sobie pytanie: „Dlaczego? Dlaczego?”. Póki w końcu nie znalazła odpowiedzi. Odpowiedź może nie była bardzo mądra, ale Linda miała wtedy szesnaście, siedemnaście lat i przez te szesnaście, siedemnaście lat odkryła, że jedyną rzeczą, jaką on kocha, są pieniądze. Bo w każdym razie musiała coś wiedzieć o Manfredzie de Spain. Jefferson nie było dość dużym miastem, jeśli w ogóle może być miasto dość na to duże. Nie mówiąc już

o tych dwóch czy trzech tygodniach letnich wakacji nad morzem czy w górach, czy gdziekolwiek, gdzie nagle zjawiał się przypadkiem dobrze znany sąsiad z Jeffersona, żeby także wypocząć po trudach pracy w banku, w tym samym czasie i w tym samym miejscu. No więc, co innego miała powiedzieć: „To pieniądze mego dziadka, i jedyną możliwością, żeby położyć na nich rękę, jest zachować mamę i mnie, i dlatego myśli, że kiedy ja stąd odjadę, nie będzie już nas miał w ręku, i mama też odejdzie, i wyjdzie za Manfreda, a wszelka nadzieja na pieniądze mego dziadka zniknie na zawsze”.

A jednak oto ten człowiek, który przez szesnaście czy siedemnaście lat uczył ją, że nie kocha nic prócz pieniędzy i zrobi wszystko, co mu zaproponują, byle zyskać jeszcze jednego dolara, przychodzi do niej

sam, nie przynaglany przez nikogo, i nie prosząc o nic w zamian, mówi: — Możesz jechać do szkoły, ale ten pierwszy raz przynajmniej nie wyjeżdżaj nigdzie dalej niż do Oxfordu. — I dodaje jeszcze: — Nie miałem racji. Nie chcę dłużej siał między tobą i twoim życiem, choćbym nawet był pewien, że pożegnani się z wszelką nadzieją na pieniądze twego dziadka.

No więc cóż innego mogła zrobić, jeśli nie to, co zrobiła, to znaczy odpowiedzieć mu: — Jeśli dopiero teraz zrozumiałeś, że pieniądze dziadka nie są tak ważne, jak moje życie, mogłam ci to powiedzieć już dawno — gdybyś mi powiedział dwa lata temu, że po prostu się boisz, uspokoiłabym cię już wtedy. — I poszła (to mi powiedział sam Stevens) do notariusza w Oxfordzie, zaraz' po przyjeździe, i sporządziła testament, zapisując wszystko, co odziedziczy po dziadku albo matce, swemu ojcu, Flemowi Snopesowi. Pewnie, to także nie było bardzo mądre, ale miała dopiero o- siemnaście lat i to było wszystko, co mogła dać, i czego, jak myślała, można było od niej chcieć i potrzebować.

No, więc zaraz po dziesiątej tego rana zatrzymałem się nie przed sklepem, gdzie Will pewnie był o tej porze, ale przed frontowym wejściem do domu akurat dość długo, żeby Flem wysiadł i wszedł w drzwi równocześnie z . panią Varner, jak mi się zdaje, a potem wyszedł i wsiał z powrotem na wóz; prawdopodobnie dopiero przy rodzinnym pierwszym śniadaniu

o godzinie drugiej rano pani Varner przyszło do głowy pokazać Willowi papier, który przyniósł dla niego zięć poprzedniego dnia. O wschodzie słońca Will obudził całą ulicę Snopesów krzyżąc w domu Flema, póki Eula go nie uciszyła. A w normalnej porze śniadaniowej, obowiązującej w Jefferson, Manfred de Spain zjawił się tam także. I tego już było zanadto. Will Varner, którego Flem już wykantował z tą ru derą Starego Francuza, a potem wykorzystał go znowu, żeby zapewnić sobie i Manfredowi de Spain stanowisko wiceprezesa banku pułkownika Sartorisa, a teraz wykołował po raz trzeci i w jakiś sposób nabral jego wnuczkę tak, że mu dała akt zrzeczenia się połowy jego pieniędzy w gotówce, do której dotychczas sam Flem nie miał dostępu. A Flem, który tylko chciał, żeby Manfred zrezygnował z banku, żeby on mógł zostać prezesem, i chciałby to załatwić po cichu, dyskretnie, w gronie rodzinnym, jak się to mówi, przez przyjacielską propozycję Willa Vamera, żeby Manfred złożył dymisję w zamian za ten dokument Lindy, co powinno było się udać i pewnie byłoby się udało z każdym innym, ale nie z Manfredem. Z nim było gorzej. Prawdopodobnie Eula dałaby radę im wszystkim, gdyby nie on. Może miał tę bliznę na twarzy naprawdę dlatego, że wdarł się z chorągwią na jakieś wzgórze na Kubie albo zdobył armatę czy fortecę, a może od ciosu siekiery podczas gry w kości, jak mówiono w czasie kampanii do wyborów municypalnych. Tak czy inaczej, miał ją na twarzy, a nie na plecach, więc może jakiś facet uderzył go kawałkiem ołowianej rury i wyjął mu portfel z kieszeni, kiedy leżał na ziemi, ale ani Snopes, ani nikt nie mógł mu wyjąć portfela z kieszeni, grożąc mu tylko czymś, co uważał za pistolet.

I pomiędzy nimi Eula, która mogłaby prawdopodobnie to wszystko załatwić, gdyby nie Manfred, bo mogła uciszyć Willa Vamera, ale nie Manfreda. Eula, która przez dziewiętnaście lat potrafiła zachować dom, gdzie Linda mogła rosnąć i żyć, i nie potrzebowała mówić: „Inne dzieci mają to, czego ja nigdy nie miałam”; i teraz Eula musiała zdecydować natychmiast: „Gdybym była osiemnastoletnią dziewczyną, co bym wolała: żeby moja matka była publicznie znana jako samobójczyni, czy publicznie potępiona jako ladacz

nica?" A nazajutrz w południe całe Jefferson wiedziało, że poprzedniego dnia po południu pojechała do miasta i poszła do salonu piękności, gdzie nigdy nie bywała przedtem, bo nigdy tego nie potrzebowała, kazała sobie ufrizować włosy i polakierować paznokcie, a potem wróciła do domu i zjadła kolację, a w każdym razie była obecna przy kolacji, bo jak przypuszczano, dopiero około jedenastej wzięła pistolet i przekreśliła bezpiecznik.

Następnego ranka adwokat i jego siostra pojechali do Oxfordu i przywieźli Lindę. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności wszystko to stało się akurat na tydzień przed jej dziewiętnastą rocznicą urodzin. Ale skoro tylko Flem otrzymał od niej ten zapis, pomyślał oczywiście, że Will Varner, będąc stroną zainteresowaną, zechce go zobaczyć jak najprędzej; to Will, bez żadnego powodu, wybrał akurat ten dzień, żeby przyjechać z furią do miasta, w dwie godziny po zobaczeniu dokumentu. Mógł przecie równie dobrze poczekać z tym dwa tygodnie albo i miesiąc, skoro go nikt nie naglił. Flem z pewnością zaczekałby, aż tam- -emu będzie wygodnie.

Stevens wziął także na siebie całą resztę: zajął się pogrzebem i posłał do Sadyby Francuza po panią Varner i starego pastora metodystów, który chrzczył Eulę, a później odprowadził ją do grobu. Bo co do osieroconego małżonka, to nie można było oczekiwać, że wybuchnie szlochem tylko dlatego, żeby spełnić obowiązek. Nie mówiąc już o tym, że po przerwie, jakiej wymagała przyzwoitość, musiał objąć kierownictwo banku, bo Manfred de Spain spakował manatki i wyjechał z Jefferson natychmiast po pogrzebie. A potem, po odczekaniu następnego okresu zgodnie z zasadami przyzwoitości, nieco dłuższego tym razem, zważywszy, że bank to nie dom, bo bank ma do czynienia z żywą gotówką i nie może czekać, musiał się przygotować do przeprowadzki do domu de Spaina, ponieważ de Spain jasno okazał, że nie zamierza wrócić kiedykolwiek do Jefferson, i nie warto było zostawiać pustym wygodnego, porządnego domu. Ten dom de Spaina także stanowił część transakcji handlowo-wymiennych między Flemem a Willem Varnerem, które obejmowały głosy wyborcze akcjonariuszy banku i tę finansową feerię, tę maskaradę ze „Snu nocy letniej”, którą ułożyli Linda i ten notariusz z Oxfordu, i która była zaopatrzona w podpis Lindy. Nie wspominając już o tym, że Stevens na życzenie starego Willa objął kuratelę nad majątkiem Lindy, wreszcie zabezpieczonym przed Flemem, dopóki ten nie wymyśli czegoś, w co tym razem i Stevens także uwierzy. Will wyznaczył do tej funkcji Stevensa prawdopodobnie dlatego, że nie mógł go pominąć i zwrócić się do kogo innego, bo Stevens nie tylko był zamieszany w ten kryzys monetarny i żałobny, ale we wszystko, co go dotyczyło, jak jeden z tych oszalałych owadów, które ślizgają się i fruwią nie tknięte i nie zamoczone na powierzchni stawu.

To znaczy, że Stevens zajmował się teraz nagrobkiem, który zdecydował postawić Flem. Miał on być wykonany we Włoszech, co wymagało czasu, wielu też wysiłków ze strony adwokata, wymagało, by Linda także mogła spakować swoje rzeczy i opuścić Jefferson, ponieważ zdaniem Flema ta sama rodzinna przyzwoitość wymagała, żeby Linda zaczekała z odjazdem, dopóki pomnik nie będzie skończony i postawiony. Bo to nie miała być tylko płyta nagrobkowa, ale i pomnik: adwokat biegał i przetrząsał nie tylko Jefferson i Sadybę Francuza, ale większość okręgu Yoknapatawpha w poszukiwaniu fotografii Euli, które wysyłał do Italii, żeby mogli wyrzeźbić w kamie-

n.ii jo| I vvv11 ■/, VVII'il y też josc/.o ra/. mogłem .stwierdzić, /.(' nikt ni»* wykazuje tyI»* śmiałości co leu, bądź ci» bądź, nieśmiały lacel, który odkrył, /o jego moraine zasady żądają oil niego, żeby i obil coś, czego iu|ily by nie mia! odwagi /robić dla własnej satysfak- C|i i ciekawości. Chodził do wszystkich ludzi, tycl), co tnoęiti /nać Mułę, i lycli, co po prostu mieli aparat iotografic/.n y, szperał w albumach i ■/.biurach lotogra- iiii rodzinnych, uprzejmy i gładki oczywiście, ah' z mi- na człowieka, który nic /? .niesie, /.oby mu powiedziano: „ Ni ii\"", a tym bardziej: „Niech pan lego nit\ dotyka".

Miał sic.' nareszcie czym zajmować. Ho lora/, był s -częśliwy i zadowolony, rozumiecie. Nie poir/.ebował iuz. o nic sii,' martwić. Hula odeszła bezpiecznie i teraz on także był zabezpieczony na zawsze i nie musiał gryźć palców i łamać sobie głowy rozmyślając, kto będzie następnym McCarronem lub do Spoinom. A Linda była teraz nie tylko całkowicie zabezpieczona przed l'leniom, ale on, Stevens, sprawował pełną kontrolę nad jej pieniędzmi po matce i dziadku, tak że mogła jechać teraz, dokąd chciała, byłoby on, oczywiście, /.dolał przynaglic i popędzić tamtych ludzi po drugiej stronie oceanu, żeby skończyli rzeźbić tę lw nr/, zanim nadejdzie tysięcletni jubileusz albo dzień są- du. Gromadzi! wciąż wszystkie telegrafio Muli, jakie mógł znaleźć, i wysyłał je do Wioch, a potem czekał, aż przyślą mu jakiś szkic, czy zdjęcie ukazujące postępy w robocie, żeby stwierdzić, jak jost nieudana. Posyłał wtedy po mnie, żebym przyszedł o wymienionej godzinie do jego biura na konferencję; ostatnie /.djęcia czy szkice przysłane z Wioch leżały wtedy na biurku, w specjalnym oświetleniu, a on tłumaczył:

To jest ucho albo linie szczęki, albo usta — o tutaj, widzisz? — A ja mówiłem:

- Mnie się to wydaje, w porządku. Ja uważam, że \o ładne, ---i A on:

Nie. Tu j<*sl źle, widzisz? Podaj mi ołówek.

Ale on już miał ołówek', u zioszła nie. umiał rysować, lak że musiał wszysU- o ścierać i próbować na nowo. Ale czas mijał i trzeba było odsyłać tamto z powrotem, l 'lom i Linda mieszkali teraz w domu de Spoina i Mieni kupił samochód, a choć nie umiał go prowadzić, miał córki;, która umiała i mogła go używać, przynajmniej od czasu do czasu. Nareszcie wszystko było już skończono. Myl to październik i Stevens przysłał mi wiadomość, że odsłonięcie pomnika ma nastąpić tego popołudnia. Ale ja już uprzedziłem Chicka, bo w tym stanie spokoju i zadowolenia, w jakim znalazł się teraz adwokat, mógł potrzebować nas obu. Więc pojećmliiimy wszyscy trzej na cmentarz samochodom Stovenssa. Linda i Ulem przyjechali tom także, samochodem Pienia z szoferem Murzynem, który miał prosto stamtąd odwieźć ją do Memphis, żeby wsiadła w pociąg do Nowego Jorku, bo miała już bagaż spa- kowany w samochodzie; l-lem siedział z tyłu, żując tytoń, w łym swoim czarnym kapeluszu, który nawet po pięciu latach jeszcze nie wyglądał jak jego własny, a Linda obok niego w czarnej sukni podróżnej i w kapeluszu, z lekko pochyloną głową i ściskając w łęku białe rękawiczki, które leżały na kolanach. I polom zobaczyliśmy len biały posąg, z tą twarzą, która nawet wyrzeźbiona w martwym kamieniu była wciąż ta sama i patrząc na nią każdy miody człowiek, choćby nie wiem jak się zestarzał, ani na chwilę nie prze- sławał mieć nadziei i wierzyć, że kiedyś, zanim umrze, będzie w końcu godzien zostać przez nią zniszczony i unicestwiony, a powyżej napis, wybrany przez samego Mleina:

CNOTLIWA ZONA JEST KORONĄ SWEC SO MEŻA, BŁOGOSŁAWI ENSTWKM SWYCH DZIECI,

w /

Jf

Aż wreszcie Flem wyjrzał przez okienko i splunął, a potem oparł się znów na poduszkach samochodu i powiedział do Lindy: — W porządku. Teraz możesz jechać.

Tak, moi drodzy, adwokat był teraz wolny. Nie miał już czym niepokoić się i martwić. On, Chick i ja pojechaliśmy z powrotem do jego biura i wykladał nam, w jaki sposób gra w piłkę nożną mogłaby iść z duchem postępu, gdyby każdemu dano piłkę i każdy mógł uczestniczyć w grze; albo jeszcze lepiej zachować jedną piłkę, ale usunąć granice terenu, tak żeby jakiś sprytny facet mógł schować piłkę pod koszulką, prysnąć w krzaki, okrążyć całe miasto i wrócić boczną uliczką, żeby przejść przez bramkę, zanim ktokolwiek zauważyłby jego nieobecność. Tak rozprawiał siedząc w swojej kancelarii za biurkiem; i wziął jedną ze swoich fajek z kaczana kukurydzy i próbował ją zapalić, zużywając jedną zapalną po drugiej, póki Chick nie zabrał mu fajki, nie napelnił tytoniem i nie podał mu z powrotem; Stevens powiedział: „Dziękuję” — i wyrzucił napelnioną fajkę do kosza na śmieci i położył splecione ręce na biurku, wciąż gadając. Powiedziałem Chickowi: — Uważaj na niego, zaraz wrócę — i wyszedłem na ulicę. Nie miałem dużo czasu, więc to, co przyniosłem w butelce, smakowało dość szkaradnie, ale chwilami przynajmniej przypominało alkohol. Wziąłem z szafki cukierniczkę, szklankę i łyżeczkę, i spreparowałem grog, i postawiłem przed nim na biurku. A on mówi:

— Bardzo dziękuję — nie dotykając nawet szklanki, siedząc tylko z rękami splecionymi przed sobą, mrugając oczyma, jakby miał w nich piasek, i mówi:

— My wszyscy, ludzie cywilizowani, zawdzięczamy naszą cywilizację odkryciu zasady destylacji. I choćby reszta świata, a przynajmniej ta jego część, którą zajmują Stany Zjednoczone, umieszczała nas, mieszkańców Missisipi, na najniższym szczeblu kultury, któż może zaprzeczyć, nawet jeśli jest tak źle, jak ja myślę, że będzie, że my także idziemy po omacku ku gwiazdom? Dlaczego ona to zrobiła, V. K.? To przecież — to wszystko — w czym żyła, oddychała, chodziła, było jej tylko użyczone. Nie miała prawa niszczyć tego i odrzucać. To należało do zbyt wielu ludzi. Do nas wszystkich. Dlaczego, V. K.? — mówi. — Dlaczego?

— Może miała dość — powiedziałem. A on:

— Tak, miała dość. Znudzilo jej się. — I wtedy zaczął płakać. — Kochała, umiała kochać, dawać i brać miłość. Ale próbowała dwa razy, i dwa razy na próżno, znaleźć kogoś nie tylko dość silnego, kto by na to zasługiwał, ale dość odważnego, żeby to przyjąć. Tak — powiada, siedząc wyprostowany za biurkiem, i tylko łzy spływają mu po twarzy, spokojny już teraz, bo nic na świecie nie mogło go już boleć ani przerażać. — Naturalnie, że miała dosyć.

-VII. V. K. RATLIFF

No więc był wolny. Nie tylko się uwolnił od swojej syreny, ale i od anioła stróża, którego, jak mniemał, zostawiła mu, żeby nad nim czuwał. Bo mówię do niego: „Greenich Village”, a on mówi:

— Tak. Mała miejscowość, bez wyraźnych granic, położona w obrębie miasta Nowy Jork, dokąd młodzi ludzie w każdym wieku poniżej dziewięćdziesiątki jadą szukać marzeń.

Ale ja mówię:

— Tylko że ona nie musiała wyjeżdżać z Missisipi, żeby wynaleźć to miejsce. — A potem powiedziałem mu to, co sama Eula prawdopodobnie powiedziała mu tego dnia: — Dlaczego się z nią nie ożeniłeś?

— Bo miała dopiero dziewiętnaście lat — odpowiedział.

— A ty masz dopiero trzydzieści pięć — mówię. — Kiedy wszystkie gazety pełne są historii o dziewczętach, które jeszcze się bawią lalkami i wychodzą za sześćdziesięcio- i siedemdziesięciolatek, pod warunkiem, oczywiście, że ci mają trochę pieniędzy do wydania.

— Chcę powiedzieć, że miała jeszcze przed sobą za dużo czasu, zanim natrafiłaby na coś takiego, w czym mógłbym jej być potrzebny. Ile gazet pisze o ludziach, którzy się pobierają dlatego, że pewnego dnia mogą być sobie nawzajem potrzebni!

— Och i — powiadam. — W takim razie musisz tylko stale być gdzieś w pobliżu, żeby usłyszeć telefon zamiejscowy albo żeby chłopak z telegramem mógł cię znaleźć. Bo chyba nie spodziewasz się, że ona kiedykolwiek wróci do Missisipi. A może się spodziewasz?

— Naturalnie, że nie —■ mówi. — Po cóż by miała wracać?

— Chwała Bogu! — mówię. Nie odpowiedział. — Bo kto wie — mówię — może już znalazła to marzenie, nawet w ciągu tych... dwóch dni, co? Trzech? Może on już tam mieszkał, kiedy ona przyjechała. To przecież możliwe w Greenich Village, nie?

Wtedy on to powiedział. — Tak — powiada. —* Chwała Bogu.

A więc był wolny. Bo rzeczywiście, gdyby się tak rozejrzeć trochę wokół siebie, to on nie musiał nigdy nic robić, tylko odpoczywać w spokoju i zadowoleniu. Bo nie tylko on, ale i całe Jefferson było wolne od Snopesów. Pierwszy raz od dwudziestu lat w Jefferson i w okręgu Yoknapatawpha także zapanowała, że się tak wyrażę, posucha na Snopesów. Bo nawet Flem wydawał się zadowolony, siedząc nareszcie na tym samym fotelu, w którym siadywali wszyscy prezesowie Banku Rolniczo-Handlowego, odkąd pierwszy z nich, pułkownik Sartoris, założył go dwadzieścia lat temu, i mieszkając w tym samym domu, w którym się urodził drugi prezes, tak że teraz, po zamknięciu wszystkich kas, wracał do domu spokojny i zadowolony, uwolniwszy się nie tylko od córki — która utrzymywała go stale w stanie alarmu, bo się bał, że w każdej chwili może uciec tam, gdzie nie będzie mógł jej upilnować, i wyjdzie za mąż za pierwszego faceta, który się nawinie, a on wtedy straci należną jej część pieniędzy Varnera — ale także od żony, którą w każdej chwili mógł ktoś przyłapać z Manfredem de Spain,

co by go kosztowało ulratq reszty Varnei ow skiej scle- dy i glosów wyborczych banku.

W samej rzeczy FJem byl jedynym Snopesem, jaki zostal w Jefferson. Stary Ab nigdy nie wyjezdzał u a lej niż do tego wzgórza, o dwie mile od miasta, skąd widać było cysternę z wodą i dokąd prowadził ogiery do kłaczy tego dnia w 1910 i od tego czasu dalej się nie ruszył. A cztery Jata temu Flem osiedlił I. O. Snopesa z powrotem i na stale w Sadybie Francuza. A przedtem jeszcze Flem wysiał Montgome- ry'ego Warda do Parchman, gdzie już był Mink (Mink właściwie nigdy nie mieszkał w Jefferson, nie licząc tych kilku miesięcy spędzonych w więzieniu w oczekiwaniu na wyrok). A w zeszłym miesiącu ci czterej półkrwi Snopesowie, mali Indianie, których Byron Sno- pes (urzędnik w banku pułkownika Sartorisa, ten, co zrezygnował z posady w sposób prosty i praktyczny, to znaczy zabierając wszystkie pieniądze, na których mógł położyć rękę, i uciekając do najbliższej granicy) przysłał tu z Meksyku z karteczką: „Opłata przy dostawie”, którą później ktoś zamienił na: „Koszta przesyłki opłacone”, zanim ten, który miał ją na plecach, zdążył wyciągnąć składany nóż. A co do synów Ecka, Wallstreet Panic i Admirala Dewey, to właściwie nie można ich zaliczać do Snopesów, zważywszy, że zainteresowania życiowe Wallstreeta najwidoczniej ograniczały się do przedsiębiorstwa hurtowej sprzedaży towarów korzennych według jaskrawo anty-snope- sowskiej metody sprzedawania każdemu dokładnie tego, co w swoim mniemaniu kupował, po dokładnie tych cenach, które, według swoich przypuszczeń, powinien za to zapłacić.

Albo, powiedzmy, prawie zadowolony. Mówię o Fle- mie i jego nowym domu. To był po prostu dom: piętrowy, z gankiem, żeby major de Spain, ojciec Manfreda, miał gdzie siedzieć, kiedy nie był na polowaniu albo na rybach i nie zajmował się pracą prawnika; i całkiem wystarczający dla tego drugiego prezesa Banku Rolniczo-Handlowego, zwłaszcza że się w nim urodził. Ale ten prezes był zupełnie inny. Jego droga do tego fotela i do tego domu była znacznie dłuższa niż tamtych dwóch. Prawdopodobnie wiedział, że musiał przyjść ze zbyt daleka, żeby się znaleźć tu, gdzie był, i ponieść zbyt wiele trudów, żeby tu dojść w tyra czasie, w jakim to zrobił. Bo pułkownik Sartoris urodził się z pieniędzmi i nazwiskiem budzącym szacunek, a Manfred de Spain przynajmniej z nazwiskiem, choćby nawet od tego czasu zrobił mnóstwo pieniędzy. Ale on, Flem Snopes, jedno i drugie musiał sobie wypracować, wygrzebać jedno i drugie z twardego, opornego kamienia, nie tylko że gołymi rękami, ale jedną gołą ręką, bo drugą musiał się bronić, podczas gdy ta pierwsza drapała skałę. Toteż dom, do którego Manfred de Spain wracał co wieczór po zamknięciu na klucz pieniędzy, nie mógł wystarczyć Flemowi Snopes. Dom, do którego wchodził co wieczór i miał w nim pozostać aż do otwarcia kas następnego ranka, musiał być symbolem tych wszystkich pokoleń arystokracji i dostojności, które nie tylko byłyby za dumne, żeby obracać cudzymi pieniędzmi, ale na pewno nigdy by tego nie potrzebowały.

Chociaż i owszem, był jeszcze jeden Snopes w Jefferson. Nie przesiedlony z Sadyby Francuza, po prostu importowany na użytek czasowy. Był to Wat Snopes, stolarz. „Zakłady Meblarskie Watkins Snopes”, jak głosił napis wymalowany po obu stronach na szyldzie i z tyłu na ciężarówce transportującej wyroby farmaceutyczne doktora Meeksa. Najwidoczniej bywał gdzieś czasem jakiś Snopes, który umiał czytać drukowane litery, choćby nie umiał czytać pisanych. Toteż w ciągu następnych dziewięciu czy dziesięciu miesięcy każdy, kto znalazł okazję, mógł przejść

ulicą i obserwować Wata i jego roboczy zespół krewniaków i powinowatych, jak zrywali ganek frontowy majora de Spain, mierzyli ekierką tył domu, budowali te kolumny, żeby sięgały do dachu piętra, tak że kiedy skończyli malowanie, pewnie, że to nie było jeszcze tak wysokie jak Mount Vernon, ale ostatecznie Mount Vernon leżało o tysiąc mil stąd, więc istniały możliwości zawistnych i złośliwych porównań.

Toteż kiedy zamknął bank na klucz i wracał wieczorem do siebie, mógł wejść do domu i zamknąć za sobą drzwi, których mogli mu czasem zazdrościć niektórzy właściciele pieniędzy powierzonych jego pieczy, ale wszyscy, nawet ci zazdrośni, musieli być dumni i wszyscy aprobowali dzieło Flema mogąc spać spokojnie w nocy, kiedy ich pieniądze były tak zabezpieczone, tak nieskalane i nietykalne. W celu uwieńczenia i skompletowania tego dzieła Flem przyjął kucharkę Murzynkę i chłopca podwórzowego, umięjącego nawet prowadzić ten automobil, bo nie miał już córki-jedynaczki, która by nim jeździła raz na miesiąc, żeby utrzymać w dobrym stanie akumulator, co mu zalecił sprzedawca ostrzegając, że w przeciwnym razie będzie trzeba kupić nowy.

Ale to tylko dom był zmieniony i przeobrażony jako symbol, nie on sam. Dom, w którym zniknął każdego popołudnia, około godziny czwartej, aż do ósmej następnego ranka, mógł być symbolem solidnej starej arystokracji, nazwisk takich, jak Aleksander Hamilton i Aaron Burr, Astor i Morgan, Harriman i Hill, i wszystkich innych złotoustych obrońców i strażników szybko zrobionych fortun, ale człowiek, którego właściciele tych strzeżonych pieniędzy widzieli wchodzącego tam i wychodzącego, był ten sam, do którego przywykli od lat dwudziestu: ten sam krawat-muszka, z którym wysiadł z zaprzęzonego w muły wozu w Sadybie Francuza, i tylko kapelusz nowy i trochę in-

ny, i nawet ta stara sukienka czapka, może dość dobra dla subiekta w sklepie Varner a, ale nie do przyjęcia na głowie wiceprezesa banku w Jefferson, nawet ta czapka nie została wyrzucona czy darowana, lecz sprzedana, choćby tylko za dziesiątkę, bo dziesięć centów to także pieniąż bankowy, tak że właściciele tych pieniędzy, których on był już wice-kustoszem, mogli, patrząc na ten kapelusz, myśleć, że choćby nie wiedzieć jak tanio zapłacili za podobny, jego kapelusz kosztował go o dziesięć centów mniej. To nie to, żeby się zbuntował przeciwko zmianie Flema Snopesa: nie zmienił się umyślnie, przez świadomą kalkulację, bo człowiek, któremu się zaufało, nic musi koniecznie być tym, o którym nigdy się nie słyszało, że nadużył czyjś zaufania; to jest człowiek,

o którym się wie z doświadczenia, że potrafi ściśle rozróżnić, kiedy nadużycie zaufania przyniesie czysty zysk, a kiedy stratę.

I mówię tylko o domu widzianym z zewnątrz, od momentu, kiedy wszedł i zamknął za sobą frontowe drzwi, aż do ósmej godziny następnego ranka. Nigdy nie zaprosił nikogo do wnętrza i dotychczas nigdy nikt nie wymyślił sposobu, żeby tam wejść, tak że jedynymi ludźmi, którzy wiedzieli, jak wygląda w środku, była kucharka i chłopak podwórzowy. Więc opowiadał mi to ten chłopak: wszystkie pokoje były umeblowane tak, jak je zostawił de Spain, nie licząc tych drobnych dekoracji, które, jak powiedział Euli pewien ekspert z Memphis, powinny się znajdować w domu wiceprezesa banku, - Flem nigdy do nich nie wchodził, tylko do jadalni na posiłki i do tego pokoju w głębi domu, gdzie, jeśli nie leżał na łóżku śpiąc, to siedział na takim samym obracanym krześle jak w banku, z nogami opartymi na ścianie kominka nie czytając, nie robiąc nic: tylko siedząc, w kapeluszu na głowie i żując te małe hausty powietrza, które żuł stale, odkąd

rzucił tytoń, kiedy to przyjechał do Jefferson i usłyszał o gumie do żucia, a potem rzucił także gumę, kiedy się dowiedział, że ludzie uważają wiceprezesa banku za dość bogatego, żeby się obył bez żucia czegośkolwiek. I jeszcze powiedział mi tamten chłopak, że Wat Snopes znalazł w jakimś piśmie ilustrowanym obrazek, jak przyozdobić kominki starymi rzeźbami, gzymsami i kolumnami, i że z początku Flem opierał tam nogi i zostawiał w białej farbie co dzień to głębsze ślady obcasów. Aż pewnego dnia, mniej więcej w rok po skończeniu robót w domu, Wat był tam na obiedzie, a kiedy Wat poszedł, chłopak opowiadał mi, że wszedł i widział to. Nie, było to wyzwanie, nie zwykłe wspomnienie miejsca, skąd pochodził, ale raczej, jak to powiadają w książkach, afirmacja samego siebie i może ostrzeżenie także: mała listwa z drzewa, nawet nie pomalowana, na froncie tego ręcznie rzeźbionego i ręcznie malowanego kominka a la Mount Vernon, przybita gwoździem dokładnie na tej wysokości, żeby Flem mógł na niej oprzeć nogi.

Był czas, kiedy pierwszy prezes banku, pułkownik Sartoris, przejeżdżał te cztery mile między siedzibą swoich przodków a swoim bankiem w powozie zaprzężonym w parę dobranych maścią koni ze stangretem, Murzynem w płóciennym płaszczu od kurzu i starym cylindrze pułkownika; a potem czas, nie tak bardzo jeszcze odległy, kiedy drugi prezes przyjeżdżał jeszcze i odjeżdżał w tym wyścigowym samochodzie, podobnym do wozu straży pożarnej, póki sobie nie zafundował tego czarnego Packarda i Murzyna w białej kurtce i czapce szoferskiej. Ten trzeci prezes także miał automobil, choć nie Packarda, i miał Murzyna, który go umiał prowadzić, choć jeszcze nie w białej kurtce i czapce szoferskiej, i choć sam prezes nie jeździł nim do banku i z powrotem, a przynajmniej dotychczas nie. Tamci dwaj poprzedni prezesowie jeździli po okolicy wieczorem, po zamknięciu banku, i w niedzielę tym powozem albo czarnym Packardem, oglądać farmy bawełniane, zapisane w ich banku na hipotekę, ale ten nowy prezes jeszcze tego też nie zaczął. Pewnie nie dlatego tylko, żeby nie wierzył w te hipoteki. Co do tego nie miał wątpliwości. Nie bał się w to wierzyć ani nie był na to zbyt miękki czy niezdecydowany. To dlatego, że nadal obserwował i liczył się. I nie to, żeby się uczył dwóch rzeczy, myśląc, że się uczy tylko jednej, tego, jak mu jest potrzebny cudzy szacunek, bo tamtej drugiej lekcji wyuczył się jeszcze przedtem w Sadybie Francuza. To była pokora, jedyny rodzaj pokory, który jest coś wart: wiedzieć, że jest mnóstwo rzeczy, których człowiek nie wie, ale się ich dowie, jeśli ma cierpliwość dość długo być pokornym, czujnym, a zwłaszcza nie tracić z oczu drogi, jaką przebył. Więc teraz wieczorami i w niedzielę był tylko ten dom, dokąd nikt nie był zapraszany, żeby go zobaczyć siedzącego na tym obracającym krześle, w tym jedynym pokoju, którego używał, żującego powietrze, w kapeluszu na głowie i z nogami opartymi na małym drewnianym gzymsie, przybitym jak nagi paradoks na tym ręcznie rzeźbionym i ręcznie malowanym kominku niby jedno z oprawnych w ramki zawieszonych na ścianie hasel życiowych, które człowiek ma przed sobą, kiedy pracuje albo myśli, jak: „Pamiętaj o śmierci”, „Uśmiechnij się” albo „Módl się i pracuj”, żeby przypominały nie tylko jemu, ale i obcym ludziom, którzy to widzą, że przynajmniej w słowach znany mu jest fakt, że może trzeba było czegoś więcej, niż tylko jego osoby, żeby znalazł się tam, gdzie się znajduje.

Ale to wszystko, ten podnóżek i wszystko, przyjdzie później. Teraz adwokat był wolny. I wtedy (to nie było w trzy dni po przyjeździe Lindy do Nowego Jorku, ale i nie w trzysta) poczuł się. w samej rzeczy

wolny. Sta! oparty o stół w urzędzie pocztowym z otwartym listem w ręku, kiedy tam, wszedłem; i to nie by ta jego wina, że w tej chwili na poczcie było pusto.

— Nazywa się Barton Kohl — powiada.

— Tak — mówię. — Ale kto się tak nazywa?

— No, to marzenie.

— Cole ■ — mówię.

— Nie — poprawia mnie. — Wymawiasz to Cole. To się pisze K-o-h-1.

— q_cli — mówię — „Kohl”. To nie brzmi zanadto po amerykańsku.

— A czy Władimir Kiryłycz brzmi bardzo po amerykańsku?

Ale na poczcie było pusto. Co, jak powiedziałem, nie było jego winą. — Pomyśl tylko ■ — mówię — że jeden Ratliff w każdym pokoleniu przez te sto pięćdziesiąt lat, od kiedy wasz dumny kongres Jankesów wygnał nas w góry Wirginii, musiał poświęcić pół życia na ukrywanie swego pierwszego imienia, póki go ktoś nie wymówi dość głośno, żeby inni usłyszeli. To pewnie Eula ci powiedziała.

— W porządku — mówi. — Pomogę ci pogrzebać tę hańbę rodzinną. Tak — powiada. — To Żyd. Rzeźbiarz i pewnie diabelsko dobry rzeźbiarz.

— Czy właśnie dlatego? — pytam.

— Prawdopodobnie, ale nie wyłącznie. Dlatego, że chodzi o nią.

— Linda zrobi z niego dobrego rzeźbiarza, jakkolwiek był przedtem, dlatego że za niego wyszła?

— Nie. On musiał być asem, czymkolwiek się zajmował, na to, żeby ona go wybrała.

— A więc wyszła za męża? — powiadam.

— Co? — mówi. — Nie. Dopiero go spotkała, mówiłem ci.

— A więc jeszcze nie jesteś — już miałem na koniu

cu języka „bezpieczny”, ale się poprawiłem: — pewien. To znaczy, że jeszcze się nie zdecydowała.

— Przecież to ci przez cały czas kładę w głowę! Nie pamiętasz, co ci powiedziałem zeszłej jesieni? Że ona będzie kochać tylko raz w życiu i to już na dobre.

— Tylko że wtedy powiedziałaś: „Będzie skazana”.

— W porządku — zgodził się.

— „Skazana na wierność i cierpienie”, tak powiedziałaś. Pokocha raz w życiu i straci go prędko, a przez resztę życia musi cierpieć i dochowywać wierności. Ale teraz przynajmniej jeszcze go nie straciła. Właściwie nawet go jeszcze nie dostała. To jest ściśle prawda?

— Czy nie powiedziałem: „w porządku”?

To było mniej więcej w ciągu tych pierwszych sześciu miesięcy. W rok później ten mały gzyms do opierania nóg był tam wciąż na tym ręcznie malowanym kominku z Mount Vernon — ten mały podnózek z nagiego drewna, jakby wyciągnięty ze sterty rupieci, przybity przez wiejskiego stolarza do tego niedostępnego górskiego szczytu dostojeństwa, na który miał się wspiąć alpinista, uczeplić się go i odetchnąć, zbierając siły do tego ostatniego rozmachu w marszu do ostatniego najwyższego punktu, by go poniżyć, naznaczyć własnymi inicjałami zwycięzcy. Ale nie tak, i w tym znów była jego pokora: nie publicznie, co byłoby obelgą dla wszystkich czcicieli alpejskiej wspinaczki na szczyt Banku Rolniczo-Handlowego, ale w prywatnym zaciszu, niby ukryta kaplica czy ołtarz, nie żeby mógł się go uczeplić zziębnięty, doprowadzony do rozpaczki i niepokonany, ale żeby wygodnie oprzeć na nim nogi.

Tym razem przechodziłem koło jego biura, kiedy zbiegł pędem, jak zwykle, po schodach, z plikiem papierów urzędowych, wystających z kieszeni, a kilka z nich trzymał jeszcze w ręku, jak zwykle. To zna

czy, chcę powiedzieć, on znał tylko dwa sposoby bycia: jeden mniej więcej spokojny, drugi taki, jakby mu się zaczęła palić pola od płaszcza. — Biegnij do domu — woła — i pakuj walizki! Wyjeżdżamy dziś w nocy z Memphis do Nowego Jorku.

Weszliśmy więc na schody i ledwie znaleźliśmy się w biurze, zmienił od razu sposób bycia na ten drugi: rzuca papiery na biurko, bierze fajkę i siada, ale grzebiąc w kieszeni, żeby znaleźć zapalki, tytoń czy tam co, znajduje resztę papierów i znów je rzuca na biurko i siada z powrotem, jakby miał przed sobą mnóstwo czasu i nie spodziewał się żadnych nowych zdarzeń w ciągu następnego stulecia. — Na oblewanie nowego domu — mówi.

— To znaczy na ucztę weselną? — pytam. ■ — Czy nie to się wyprawia, kiedy już pastor dostał swoje dwa dolary? — Nic nie powiedział, tylko dalej mozolił się nad zapaleniem tej fajki, jak jubiler, który wytapia dokładnie jedną kropelkę platyny, na przykład do zegarka. — Więc nie biorą ślubu — mówię. — Tylko łączą się w parę, zawierają układ. Słyszałem o tym: dlatego to nazywają „próbne marzenia z Greenich Village”. Można się obudzić rano i nie wyskakiwać od razu z łóżka, żeby pędzić do najbliższego rejenta.

Nie ruszył się, ale się najeżył tak prędko i nagle, że nawet nie miał czasu zmienić pozycji. Siedział najeżony i nastroszony jak sowa, nie poruszając się, oczywiście mówiąc spokojnym, chłodnym głosem, bo nawet sowa, kiedy już nastroszyła wszystkie pióra, może sobie pozwolić na spokojny i chłodny głos. — Dobrze, w takim razie przykleję etykietę „małżeństwo”. Czy masz coś przeciwko temu? Może zaproponujesz jakąś lepszą? Bo już niewiele zostało czasu — powiada. — Niewiele? Nie ma już nic. Młodzi dzisiaj nie mają wcale czasu przed sobą, bo tylko głupcy poniżej dwudziestu pięciu lat mogą wierzyć albo przy - najmniej mieć nadzieję, że został w ogóle jakikolwiek czas dla kogokolwiek z nas, kogokolwiek żyjącego dzisiaj.

— Nie trzeba wiele czasu, żeby odpowiedzieć „tak” pastorowi i zapłacić mu te trzy dolary, których, według nich trojga, wart jest ten interes.

— Czy nie powiedziałem przed chwilą, że nawet na to nie ma już czasu, kiedy się ma dwadzieścia pięć, trzydzieści lat.

— A więc on tyle ma lat. Zatrzymałeś się przedtem przy dwudziestu pięciu.

Teraz nie zatrzymał się nigdzie.

— Ledwie dziesięć lat temu ich ojcowie, wujowie i bracia skończyli tę wojnę, która miała na zawsze uwolnić instytucję rządu od pasożytów: dziedzicznych właścicieli, Dzierżawców Generalnych dylematu ludzkiego, którzy dopiero co uśmiercili osiem milionów ludzi i zdewastowali pas ziemi szerokości czterdziestu tysięcy mil, biegnący przez środek Zachodniej Europy. A jednak w niecałe dwanaście lat później ci sami cyniczni spekulanci, nie trudząc się nawet, żeby zmienić imiona i twarze, wybierając tylko serię nowych nazw ze starych doktryn słownika demokratycznego i jego mitologii, nie zmieniając nawet kroku w marszu, jednoczą się znowu, żeby zniszczyć jedyną rozpaczliwą nadzieję.

„Teraz powie o tych, którzy złamali serce prezydenta Wilsona i zabili Ligę Narodów” — pomyślałem, ale on nie zatrzymał się ani na sekundę.

— Ten jeden we Włoszech i ten drugi stokroć bardziej niebezpieczny, w Niemczech, bo Mussolini ma do czynienia tylko z Włochami, a ten drugi ma Niemców. I ten jeszcze jeden w Hiszpanii, któremu nie trzeba nic więcej, tylko żebyśmy zostawili go trochę w spokoju, to znaczy wszyscy spośród nas, którzy uważają, że wystarczy zamknąć oczy na dość długo,

żeby to wszystko samo znikło. Nio mówiąc już o...

— Nie mówiąc o tym, co jest. w Rosji! — powiedziałem.

— ... o tych, co sć\ lu, na miejscu. Organizacje o pięknych nazwach, zjednoczone w imieniu Boga przeciw ludziom nieczystym w moralności i polityce i tym wszystkim, których rasa, religia i kolor skóry nie są takie, jak trzeba, Ku-Klux-Klany i Srebrne Koszule, nie licząc miejscowych czempionów, tubylców, jak Long w Luizjanie i nasz Bilbo w Missisipi, nie licząc naszego senatora Clarence'a Egglestona Snopesa tu, w samym okręgu Yoknapatawpha,

— Nie licząc tego w Rosji ■— powtórzyłem.

— Co? — mówi.

— Więc to dlatego — mówię. — On jest nie tylko rzeźbiarzem. On jest komunistą.

— Jak? — pyta Stevens.

— Barton Kohl. Nie pobrali się dotychczas dlatego, że Barton Kohl jest komunistą. Nie może wierzyć w kościoły i małżeństwa. Nie pozwoli mu.

— On chciał, żeby się pobrali — mówi Stevens. ■— To Linda nie chciała.

Więc teraz ja mówię: — Co? — A on patrzy na mnie gniewny i nieprzystępny jak jeź. — Nie wierzysz?

■— pyta.

■— Owszem — mówię. ■— Wierzę.

— Po co by miała tego chcieć? Co w tym związku, na który patrzyła przez dziewiętnaście lat, mogła takiego zobaczyć, żeby go teraz pragnąć?

— W porządku — powiadam. — W porządku. Tylko że ja w to nie wierzę. Wierzę w to pierwsze, że nie ma dosyć czasu. Że kiedy się jest młodym, można wierzyć. Kiedy się jest dość młodym, a zarazem dość odważnym, można nienawidzić nietolerancji i wierzyć w nadzieję, i jeśli ma się naprawdę dość odwagi, działać w tym kierunku. — Wciąż jeszcze patrzył na mnie. — Żałuję, że to nie ja — mówię.

— Nie tylko poślubić kogoś, ale poślubić wszystko jedno kogo, byleby to było małżeństwo. Byleby nie było cudzołóstwo. Nawet ty.

— Nie to — mówię. — Chciałbym być na miejscu któregoś z nich dwojga. Wierzyć w nietolerancję i nadzieję i działać opierając się na tej wierze. Za wszelką cenę. Nawet za tę, żeby nie mieć jeszcze dwudziestu pięciu lat, jak ona. Nawet, żeby być trzydziestoletnim rzeźbiarzem z Greenwich Village, jak on.

— Więc rzeczywiście nie wierzysz, że ona nie chce nic więcej, tylko być razem z nim i mieć trochę tego, co się nazywa szczęściem?

— Tak — mówię. — Oczywiście.

No więc nie pojechałem z nim tym razem, nawet kiedy powiedział:

— Nonsens. Jedźmy. Potem wstąpimy do Saratogi i obejrzymy ten rów czy ten pagórek, czy to, co tam było, gdzie twój protoplasta, pierwszy imigrant Władimir Kiryłycz Ratliff postawił stopę na twojej ziemi rodzinnej.

— To jeszcze wtedy nie był Ratliff — powiadam. — Nie wiemy nawet, jak się nazywał. Nelly Ratliff nie potrafiła nawet napisać tego nazwiska, a cóż dopiero wymówić. Może w samej rzeczy i on nie potrafił. Zresztą to nawet nie był jeszcze Ratliff. To był Ratcliffe. Nie — mówię. — Wystarczy, jak sam pojedziesz. Możesz załatwić to taniej niż ktoś, kto potrzebuje nie tylko biletu tam i z powrotem, ale i trzech posiłków dziennie.

— Co załatwić? — pyta.

— W tym doniosłym momencie jej życia, kiedy ona postanawia oficjalnie lub przynajmniej formalnie sprzymierzyć się czy zamieszkać" z przyjacielem płci odmiennej, czyż celem tej podróży nie jest powie-

dzieć jej i jemu wreszcie, kim ona jest? Albo przynajmniej, kim nie jest?

Potem mówię: — Oczywiście. Ona to już wie.

A on mówi:

— Jak mogłaby nie wiedzieć? Jak mogłaby mieszkać w tym samym domu co FLEM przez dziewiętnaście lat i wierzyć, że on może być ojcem, nawet gdyby miała niezbita dowody na to?

— A ty jej nigdy nie powiedziałaś — mówię. I potem: — To nawet jeszcze gorzej. Ilekroć jej się zdarzy pomedytować trochę nad tym i przychodzi do ciebie, i mówi: „Powiedz mi prawdę teraz. On nie jest moim ojcem”, może zawsze liczyć na ciebie, że jej odpowiesz: „Mylisz się, on jest twoim ojcem”. Czy to jest ta zależność i konieczność, o jakiej mówiłaś? — Teraz nie patrzył na mnie. — Co byś zrobił, gdyby wróciła do tego i spytała: „Kto jest moim ojcem?” — Nie, nie patrzył na mnie. — To prawda — mówię. — Ona o to nigdy nie spyta. Zdaje mi się, że patrzyła na Gavina Stevensa dość długo, żeby wiedzieć, że są kłamstwa, których nawet on nie powinien brać na swoje barki. — Nie patrzył na mnie wcale. — No więc ta zależność także oparta jest na bilecie tam

i z powrotem — mówię.

Wrócił po dziesięciu dniach. I myślałem sobie, że gdyby ten rzeźbiarz mógł zaskoczyć ją niespodziewanie, może śpiącą, i wyciągnąć ją z łóżka i zawlec do ołtarza albo przynajmniej do sędziego pokoju, zanim- by się zorientowała, gdzie jest, to wtedy może on, Stevens, byłby wolny. Potem zrozumiałem, że to nawet nie jest pobożne życzenie, ale w ogóle absurd. Bo kiedy się otrząsałem z tych mrzonek, spostrzegłem, że od lat już musiałem wiedzieć to, co Eula prawdopodobnie wiedziała, od kiedy pierwszy raz go zobaczyła: że on nigdy nie będzie wolny, bo nie chce być wolny, bo to jest jego życie, i gdyby to stracił, to nic by mu nie zostało. To znaczy prawo i przywilej, i sposobność poświęcenia na zawsze swojej rzetelności czemuś, co nigdy nie mogło nasycić swoich apetytów i nie groziło nawet, że w nagrodę rzucą mu kości. I przypomniałem sobie, co mówił o tym, że ona skazana jest na wierność i na monogamię, że będzie kochać tylko raz i straci go, i będzie cierpiała, a ja powiedziałem mu, że być córką Heleny Trojańskiej to coś podobnego jak być ekspapieżem czy eks- cesarzem Japonii: niewiele w tym przyszłości. I wiedziałem teraz, że on prawie ma rację, że tylko słowo „skazać” postawił w niewłaściwym miejscu; że to nie ona jest skazana, bo ona się z tego wywinie, tylko ten, kto będzie odbiorcą tej wierności i monogamii, i miłości, a także ten, kto wziął na siebie odpowiedzialność i nawet nie żądał, a tym mniej spodziewał się kości w nagrodę; i że z nich dwojga więcej szczęścia będzie miał ten, któremu dach spadnie na głowę, kiedy będzie wchodził lub wychodził z łóżka.

Naturalnie oberwałbym solidnie, gdybym próbował mu to powiedzieć, toteż zdrowy rozsądek kazał mi nie próbować. A więc częściowo tylko przez to, że starałem się trzymać od niego z daleka, a głównie przez to, że walczyłem jak demon, jak Jakub ze swoim aniołem, oparłem się w końcu pokusie podzielenia się z nim tą myślą — najsilniejszej z pokus, jakiej człowiek musi stawić czoło, wyrzekając się wszelkiej możliwości powiedzenia później: „A nie mówiłem ci”. I tak czas mijał. Ten mały dodatkowy podnóżek przybity nad kominkiem, którego nikt nie widział oprócz tego chłopaka podwórzowego, Murzyna, stał się legendą Jefferson po tym, jak on mi to opowiedział, a ja i on (prawdopodobnie) wspomnieliśmy o tym przypadkiem najbliższym przyjaciółom; częścią legendy Snopesów i jeszcze jednym pomnikiem Flema Snope-

sa w tej serii gromadzącej się stopniowo od czasu tego zbiornika, z którego nie wiemy dotąd, czy wyciągnięto całą skradzioną za Snopesowskich rządów w elektrowni miedź, którą tam ukryli dwaj przerażeni palacze murzyńscy.

Potem przyszedł rok 1936 i było już tego czasu coraz mniej. Mussolini we Włoszech i Hitler w Niemczech, a pewnie, jak mówił adwokat, tamten w Hiszpanii też. Stevens powiedział: — Pakuj walizkę. Jutro rano wsiądziemy w samolot w Memphis. Nie, nie — powiada — tym razem nie potrzebujesz się obawiać zarażenia przez asocjację. Mają się pobrać. Wyjeżdżają do Hiszpanii, żeby wstąpić do armii republikańskiej, i prawdopodobnie musiał ją nudzić i molestować, aż wreszcie powiedziała: „Och, dobrze, niech już będzie, jak chcesz”.

— No więc, mimo wszystko, nie był tak liberalny, postępowo myślący artysta — powiedziałem. ■— Wi- dać był takim sobie zwyczajnym człowiekiem, który uważał, że jeśli dziewczyna warta jest tego, żeby z nią spać, to zasługuje też na to, żeby mieć dach nad głową i coś do jedzenia, i trochę pieniędzy w kieszeni do końca życia.

— W porządku — mówi. — W porządku.

— Tylko że pojedziemy pociągiem — mówię. — Nie to, żeby się bał lecieć samolotem, ale że jak będziemy przejeżdżać przez Wirginię, to mogę zobaczyć miejsce, gdzie pierwszy imigrant Władimir Kiryłycz osiedlił się w Stanach Zjednoczonych.

Więc czekałem już na rogu ulicy z walizką, kiedy zajechał i przystanął, otworzył drzwiczki, spojrzął na mnie i mówi:

— O, psiakrew!

— To mój ■— powiadam. ■— Kupiłem.

— Ty w krawacie! — nie mógł wyjść z podziwu. —

Nigdy w życiu nie widziałem na tobie krawata, a cóż dopiero własnego!

— Powiedziałeś przecież, że jedziemy na wesele?.

— Zdejm to ■— powiada.

— Nie — odpowiadam ja.

— Nie pojedę z tobą. Nie chcę, żeby mnie z lob« widziano.

— Nie — oparłem się. — Może to nie tylko wesele. Wracam do gniazda moich przodków, żeby wszyscy pierwsi V. K. Ratliffowie obejrżeli mnie po raz pierwszy. Może to im staram się przypodobać. Albo przynajmniej nie zrobić im wstydu.

No więc w Memphis wsiedliśmy w pociąg wieczorem, a nazajutrz byliśmy w Wirginii — Bristol, polem Roanoke i Lynchburg, a potem pojechaliśmy na północny wschód wzdłuż Gór Błękitnych i jeszcze trochę dalej, nie wiedzieliśmy dokładnie, gdzie było to miejsce, które pierwszy Władimir Kiryłycz znalazł, żeby się wreszcie tam zatrzymać. Nie znaliśmy jego nazwiska, a może nie miał nawet żadnego, dopóki nie spotkała go Nelly Ratliff, która się wtedy pisała Ratcliffe; nie wiedzieliśmy, co robił w jednym z tych zaciężnych pułków niemieckich w armii generała Burgoyne, która została pobita pod Saratogą, tylko że Kongres nie uznał warunków kapitulacji i wygnał ich wszystkich do Wirginii, gdzie pętali się przez sześć lat bez jedzenia i pieniędzy, a tacy, jak pierwszy V. K., także bez możliwości dogadania się. Ale nie potrzebował żadnej z tych trzech rzeczy, żeby trafić nie tylko do przytulnego zakątka, ale dokładnie do tej szopy z sianem, gdzie znalazła go Nelly Ratcliffe szukająca tam może jajek czy czegoś innego. I nie potrzebował znać języka, żeby zjadać wałówkę, jaką mu przynosiła, i może nawet nie miał żadnego pojęcia o rolnictwie aż do tego dnia, kiedy go w końcu wyprowadziła z szopy i zapoznała ze swoją rodziną. Niepotrzebna mu też

syjsku, a Stevens mówi: — Niech pani na to spojrzy. Tylko raz, jeżeli potrafi pani wytrzymać.

A ja:

— Nie jest aż taki zły. Pewnie, że wolałbym, żeby to było żółte z czerwonym, zamiast zielone z różowym. Ale ostatecznie...

A ona pyta:

— Pan lubi kolor żółty i czerwony?

— Owszem. — mówię. I potem jeszcze: — Rzeczywiście — zanim zdołałem się powstrzymać, a ona znowu:

— Tak, proszę mi powiedzieć.

— Myślałem tylko, że gdybym miał sobie wyobrazić krawat, a potem wybrać go od razu i włożyć na siebie, wyobraziłbym sobie czerwony z bukietem słoneczników albo może, tylko z jednym słonecznikiem pośrodku.

A ona mówi:

— Słonecznik? —A Stevens:

— Heliantum. — Potem mówi: — Nie, to nie to: Tournesol. Sonnenblume.

A ona powiedziała: — Proszę zaczekać — i znów wyszła, a wtedy ja też powiedziałem: „Zaczekaj”, sam do siebie.

— Nawet krawat za pięć dolarów nie mógłby opłacić tych złotych foteli!

— Już za późno — powiedział. — Zdejm to. — Ale kiedy wróciła, nie tylko nie było słonecznika, ale krawat nie był nawet czerwonego koloru. Po prostu był zakurzony, popielaty. Nie, to też nie, to. Kiedy się przyjrzeć dobrze, wyglądało to jak skórka brzoskwini, tak jakbyś był pewien, że za chwilę, bylebyś się powstrzymał od mrugania oczami, zobaczysz, jak to się zaczyna zmieniać w brzoskwinię. Ale nie zrobiła się z tego brzoskwinia. Y/ciąż miało taki zakurzony

kolor, puszysty, ze złotym odcieniem, jak plecy opalonej dziewczyny.

— Tak — mówi adwokat. — A teraz niech pani pośle po białą koszulę dla niego. Białej koszuli także nigdy przedtem nie nosił.

— Nie, nigdy — mówi ona. — Zawsze niebieskie, prawda? I zawsze ten sam odcień niebieski? Ten sam, co kolor oczu?

— Tak jest ■— powiadam.

— Ale jak — pyta ■— odbarwia je pan? Czy tylko przez pranie?

— Tak jest — powiadam — tylko przez pranie.

— Ale jak? — pyta. — Sam pan je pierze?

— Nawet je sam szyje — mówi adwokat.

— To prawda — mówię. — Sprzedaję maszyny do szycia. I pierwsza rzecz, jakiej się nauczyłem, to ich używać.

— Naturalnie — mówi. — Proszę wziąć ten na razie. Jutro dostanie pan inny, czerwony, ze słonecznikiem.

— I potem już wyszliśmy. Wciąż jeszcze próbowałem sobie mówić: „Zaczekaj”.

— Teraz muszę kupić obydwa — mówię. — Próbuję to traktować poważnie. To znaczy, proszę cię, żebyś próbował wierzyć, że jestem tak poważny, jak każdy inny z twoich znajomych. Jaka dokładnie, według ciebie, może być cena tego w oknie?

A on nawet się nie zatrzymał, mówiąc od niechcienia, w tłumie ludzi, którzy nas popychali w obydwóch kierunkach: — Nie wiem. Jej krawaty kosztują do stu pięćdziesięciu dolarów. Powiedzmy siedemdziesiąt pięć. Tak jakby mnie kto zdzielił brzegiem pięści w tył głowy. Zachwiałem się i oparłem o mur, z dala od naporu ludzi, w ataku lekkiej drżączki.

— No, już ci lepiej? — pyta adwokat, który przez cały czas mniej lub więcej mnie podtrzymywał. —

Masz czterdzieści lal — ■ powiada. Powinieneś był kupować przynajmniej jeden krawat rocznie od czasu, kiedy się pierwszy raz zakochałeś. Kiedy to było? Jak miałeś jedenaście lal? Dwanaście? Albo może osiem czy dziewięć, kiedy pierwszy raz poszedłeś do szkoły — jeże! Twój pierwszy nauczyciel był rodzaju żeńskiego, oczywiście. Ale załóżmy nawet, że to było w dwudziestym roku życia. To znaczy przez dwadzieścia lat po jednym krawacie rocznie, czyli dwadzieścia dolarów. Ponieważ nie jesteś żonaty i nigdy nie będziesz, i nie masz dość bliskich krewnych, którzy by cię wykończyli swoją troskliwością albo nadzieją wyciśnięcia z ciebie czegoś, możesz przeżyć jeszcze następne czterdzieści pięć. To razem sześćdziesiąt pięć dolarów. Czyli że możesz mieć krawat od Allanovny za jedyne dziesięć dolarów. Nikt inny na świecie nie mógłby kupić krawatu ? tej firmy za dziesięć dolarów.

— Nie — mówię. — Nie.

— Dobrze. W takim razie robię ci z niego prezent.

— Nie mogę tego przyjąć.

— Dobrze. Chcesz zawrócić i powiedzieć jej, że nie weźmiesz tego krawatu?

— Czy nie widzisz, że nie mogę tego zrobić?

— Dobrze — mówi. — Chodźmy. Już i tak spóźniliśmy się trochę.

Więc wróciliśmy do hotelu i poszliśmy prosto do baru.

— Prawie już jesteśmy u celu — mówię. — Nie możesz mi jeszcze powiedzieć, jaki będzie następny numer?

— Nie — powiada. — To jest Nowy Jork. Chcę, żebyśmy się także trochę zabawili i użyli przyjemności.

I w chwilę później, kiedy pomyślałem, że adwokat nigdy przedtem nie widział go na oczy, powinienem był zrozumieć, czemu tak należało, żebym z nim pojechał na tę wycieczkę. Ale przypomniałem sobie, że w tym wypadku Stevens nie potrzebowałby żadnej pomocy, bo istnieją jakieś więzy, które stwarza krzywda, musisz rozpoznać człowieka, który przez dwadzieścia pięć lat stanowił część — i to tak ogromną jak ten człowiek — część twojej naturalnej, normalnej udreki, wynikającej z samego faktu, że musisz obudzić się znowu. Więc mówię:

— Niechże mnie diabli porwą, jeśli to nie on. Jak się masz, Hoake?

Bo to był on, trochę posiwiały na skroniach, opalony słońcem i wolnym powietrzem, z bogatą opalenizną, która nie potrzebuje kosztownego ubrania wieczorowego ani dwóch kelnerów skaczących wokół stołu, gdzie już siedział, i dokąd ściągnął go Stevens z nie wiem jakiego miejsca na zachodzie, gdzie go odnalazł, tak samo jak ściągnął i mnie z odległości tysiąca mil i tych kilku tysięcy, które nas dzieliły od siebie, żebyśmy się wszyscy trzej spotkali o tej godzinie w tym nowojorskim barze — to ta dziewczyna, która nigdy nie, widziała jednego z nas, a o ile wiadomo, dwóch pozostałych widywała tylko przez czas potrzebny do powiedzenia „dzień dobry”, ta dziewczyna, która ani wiedziała, ani dbała o to, że odziedziczyła po matce fatalną siłę, i wciągnęła czterech mężczyzn w tę pajęczynę, złapała ich na ten jeden włos, który mógł udusić, oplątała nim nas wszystkich czterech nie kiwnąwszy nawet palcem (swego męża, swego ojca, człowieka, który wciąż był gotów oddać swoje życie dla jej matki, gdyby tylko się znalazł ktoś, kto by tego chciał — i jeszcze kogoś, kogo możecie nazwać stojącym na uboczu przyjacielem rodziny), żeby byli świadkami, kiedy ona powie „tak” w tej wytwórni małżeństw Urzędu Miejskiego, zanim wsiądzie na okręt do Europy, żeby robić to, co sobie wyobraza-

la, że będzie robie na tej wojnie. Więc to ja powiedziałem: — Oto jest mecenas Stevens, Iloake ■— kiedy teraz już trzech kelnerzy (najwidoczniej był aż lak bogaty) kręcili się przy naszym stole.

— Co pan zamawia? — spytał adwokata. - - Wiem, czego by chciał Rat 1 iif: irlandzką Bushmill. Proszę przynieść butelkę — mówi do kelnera. A do mnie: — Będzie się panu zdawało, że jest pan z powrotem w^f domu — mówi. — Smakuje całkiem jak to, co fabrykował Calvin Bookwright, pamięta pan? ■— Teraz on też patrzył na krawat. — To od Allanovny, prawda? — mówi. — Pan toż rozwinął swoje interesy od czasów Sadyby Francuza, co? — Teraz patrzył na adwokata. Połknął swego drinka jednym haustem, chociaż kelner stał już nad nim z butelką, zanim zdążył na niego kiwnąć. — Niech pan będzie spokojny — powiedział. — Ma pan moje słowo. Dotrzymam go.

— Ty też możesz być spokojny — mówię. — Adwokat ma już Lindę w rękę. Uwierzy najpierw jemu, mimo wszystko, co kto inny próbowałby jej wmówić.

Moglibyśmy byli zjeść tam obiad, ale, Stevens mówi:

— To jest Nowy Jork. Możemy zjeść obiad u wuja Bookwrighta, w domku letnim, jak wrócimy. — Więc poszliśmy do jadalni w hotelu. A potem już była pora iść. Pojechalśmy taksówką do Urzędu Miejskiego. Kiedy wysiadaliśmy, zajechała inna taksówka i wysiedli oni. On nie był wysoki, tylko tak wyglądał, jak gracz w piłkę nożną. Nie, jak zawodowy bokser. Nie wydawał się twardy ani bezwzględny, to nie byłoby właściwe słowo. Wyglądał, jakby cię chciał uderzyć albo jakbyś ty jego chciał uderzyć, tylko że prawdopodobnie byś tego nie zrobił, bo mógłby cię zabić albo ty jego mógłbyś zabić, tylko że prawdopodobnie byś nie chciał. Ale on by się z tobą nie targował, pa trząc na ciebie tymi oczyma, któu> były blade jak oczy 1 tuba Ilamptona, ale nie były twardo. Patrzył tylko na ciebie, jakby mu się ani trochę nie śpieszyło ani nic nie brakowało i jakby już z góry bardzo dobrze wiedział, co zobaczy.

Weszliśmy do śtodka. To była długa sala, korytarz., i rząd ludzi, stojących parami, ale nie było ostatniej pary, bo ten rząd nie miał końca, po ostatniej zaraz szła następna aż do drzwi z napisem: „Biuro Stanu Cywilnego” i wchodziłi do środka. Tamto też nie trwało długo: dwie taksówki jeszcze czekały. A więc to jest Green nich Village - powiedziałem. Drzwi do domu prowadziły prosto z ulicy, ale jeszcze pr/odtem był wąziutki pasek ziemi, który wyglądał jak podwórko, chociaż może ludzie z miasta mówili na to ogród. Rosło tam nawet drzewko z trzema wisiorkami, które niewątpliwie na wiosnę albo w^f locie były liśćmi. Ale wewnątrz było przyjemnie. Pełno ludzi naturalnie i dwaj kelnerzy uwijali się z tacami z szampanem, a trzy czy cztery osoby spośród gości pomagały kelnerom, że nie wspomnę już o tych, którzy mieli tu zamieszkać przez ten czas, kiedy Linda i jej nowo poślubiony mąż będą na wojnie w Hiszpanii — o młodej parze, mniej więcej w tym samym wieku, co oni.

— Czy on też jest rzeźbiarzem? - zapytałem Ste- vensa.

— Och, nie — powiada. On jest dziennikarzem

— Och — mówię. - To pewnie pobrali się jos/.cze na początku.

Bardzo mi się to podobało: pokój z mnóstwem okien. Pełno gratów, naturalnie, ale wyglądał, jakby go używano: ściana pokryta książkami i fortepian, i wiedziałem, że to były obrazy, bo wisiały na ścianach, i wiedziałem, że niektóre inne przedmioty to rzeźby, ale co do reszty to nie miałom pojęcia, co to jest, różne, rzeczy zrobione z drzewa albo z żelaza, z kawałków

blachy i drutów. Tylko że nie mogłem się zapytać z powodu tamtych innych poetów i malarzy, i rzeźbiarzy, bo on musiał pełnić rolę gospodarza, dopóki my — on i Linda, i adwokat, i Hoake, i ja — nie mogliśmy się wymknąć i iść tam, gdzie stał okręt. Widać wielu ludzi znalazło swoje marzenia w Greenwich Village, ale wesele było tam okazją wyjątkową. A jeden z nich nie był nawet poetą ani malarzem, ani rzeźbiarzem, ani muzykiem, ani choćby zwyczajnym dziennikarzem, tylko najwidoczniej handlował galanterią męską i przyszedł się zabawić w sobotę wieczorem. Bo ledwie weszliśmy do pokoju, nie tylko patrzył na mój krawat, ale dotknął i potarł między palcami.

— Allanovna — mówi.

— Tak jest — mówię ja.

— Oklahoma? — pyta. — Nafta?

— Słucham pana?

— Och — powiada — Teksas. Więc bydło. W Teksasie można wybierać, czy się robi miliony w bydło, czy w naftę.

— Nie, proszę pana — powiadam. — Missisipi. Sprzedają maszyny do szycia.

Więc minęła dobra chwila, zanim Kohl nareszcie przyszedł do mnie, żeby znów napęłnić mój kieliszek.

— Słyszałem, że pan znał od dawna matkę Lin- dy.

— Tak — mówię. — Czy to pan zrobił te rzeczy?

— Jakie rzeczy?

— W tym pokoju.

— Och — powiada. — Chciałby pan zobaczyć inne? Dlaczego?

— Nie wiem jeszcze — powiadam. — Czy to ma znaczenie?

Więc przepchnęliśmy się przez ludzi (do tego czasu nagromadziło się już ich tyle, że trzeba się było przepychać) do hallu, a potem na górę po schodach. I to było najlepsze ze wszystkiego: strych z oszkloną jedną stroną dachu — pokój, którego ludzie nie tylko używali, ale dokąd nawet ktoś przychodził sam i pracował. On tylko stał koło mnie, nie torując mi drogi i dając czas, i dosyć miejsca, żeby się mógł przyjrzeć.

Wreszcie powiedział:

— Jest pan zgorzony? Zły?

A ja na to:

— Czy muszę być zgorzony i zły na coś tylko dlatego, że przedtem takich rzeczy nie widziałem?

— W pańskim wieku, tak — mówi. — Tylko dzieci znoszą niespodziankę dla samej przyjemności zdziwienia. Dorośli ludzie nie zniosą niespodzianki, jeśli im się z góry nie przyrzeknie, że będą chcieli mieć to na własność.

— Może jeszcze nie miałem dość czasu — powiadam.

— Więc niech pan teraz korzysta z czasu — i oparł się o ścianę, z rękami skrzyżowanymi na piersiach jak gracz w piłkę nożną. I podczas gdy z dołu dobiegał gwar przyjęcia, na którym on miał występować w roli gospodarza, ja korzystałem z czasu, żeby się przyglądać: niektóre rzeczy poznawałem, inne prawie mogłem rozpoznać i byłbym to zrobił, gdyby mi dano czas, a o niektórych wiedziałem, że nigdy ich nie rozpoznam, póki wreszcie nie pojąłem nagle, że to by też nie miało żadnego znaczenia, nie tylko dla niego, ale i dla mnie. Bo każdy może widzieć i słyszeć, i wąchać, i smakować, i dotykać tego, co spodziewał się widzieć, słyszeć, wąchać, smakować i dotykać, i nie zauważy twojej obecności ani nie odczuje twego braku. Więc może, jeśli potrafisz widzieć i słyszeć, i wąchać, i smakować, i dotykać, czego nigdy aż do tego momentu nie mogłeś sobie nawet wyobrazić, to

może dlatego Stary Pan wybrał cię, żebyś był jednym z tych, którzy naprawdę żyją.

No więc teraz już była pora na to spotkanie, to znaczy to, które ustalili Stevens i Hoake, i Hoake zapytał:

— Ale co ja mogę powiedzieć jej? Jej mężowi, jej przyjacielom?

A Stevens mówi:

— Dlaczego ma pan komukolwiek coś mówić? Ja się już tym zająłem. Kiedy już dosyć ludzi wypije za jej zdrowie, weź ją pan tylko za rękę i uciekajcie. Nie zapomnijcie tylko być na pokładzie okrętu przed jedenastą trzydzieści.

Ale Hoake jeszcze dalej próbował, kiedy stali w drzwiach, gotowi do odejścia, Hoake w tym ciemnym wieczorowym ubraniu i z melonikiem w rękę, a Linda w wieczorowej sukni pod płaszczem. I nie to, żeby byli do siebie podobni, bo nie byli. Ona była wysoka, jak na kobietę, tak wysoka, że niewiele miała kształtu (jedna z tych, na których widok ludzie gwizdzą, kiedy koło niej przechodzą), a on niezbyt wysoki, właściwie dosyć przysadkowaty. Ale ich oczy były jednakowe. W każdym razie zdawało mi się, że każdy, kto ich widział, musiał od razu poznać, że to krewni. Więc on musiał wciąż próbować: — Dawny przyjaciel rodziny matki. Jej dziadek i mój ojciec byli z sobą spokrewnieni... — a Stevens mu przerwał.

— Dobrze, dobrze, idźcie już. Pamiętajcie wrócić na czas.

— Tak, tak — mówi Hoake. — Będziemy w „Dwadzieścia Jeden” na obiedzie, a potem w „Klubie Bociana”, jakbyście musieli telefonować.

Więc poszli, a reszta towarzystwa także wyszła, oprócz trzech ludzi, którzy, jak się dowiedziałem, też pracowali w gazecie, jako korespondenci zagraniczni, Kohl pomógł żonie swego nowego lokatora ugotować makaron, zjedliśmy go i wypiliśmy jeszcze trochę wina, czerwonego tym razem, i wszyscy mówili o wojnie, o Hiszpanii i Etiopii, i że to jest początek: światła gasną nad Europą, a może nad naszym krajem też: potem już był czas iść do portu. I jeszcze trochę szampana w ich pokoju sypialnym, tylko że adwokat nie zdążył nawet otworzyć pierwszej butelki, kiedy weszła Linda i Hoake.

— Już? — mówi Stevens. — Spodziewaliśmy się was dopiero za godzinę.

— Zrezygnowaliśmy z „Klubu Bociana” — powiedział Hoake. — Zamiast tego przejechaliśmy się do rożką do parku. A teraz...

— Niech pan zostanie i wypije z nami szampana — mówi adwokat, i Kohl też coś powiedział. Ale Linda już wyciągnęła rękę na pożegnanie:

— Do widzenia, panie McCarron — mówi. — Dziękuję za miły wieczór, i za to, że pan przyjechał na moje wesele.

— Nie może pani jeszcze powiedzieć Hoake? — pyta.

— Do widzenia, Hoake — mówi.

— Więc niech pan zaczeka w taksówce — mówi Stevens. — Zaraz do pana zejdziemy.

— Nie — mówi Hoake. — Wezmę inną taksówkę, a tę wam zostawię.

I wyszedł. Zamknęła za nim drzwi i podeszła do adwokata, wyciągając coś z kieszeni.

— Proszę to wziąć — powiedziała. To była złota zapalniczka do papierosów. — Wiem, że nigdy nie będziesz tego używał, bo mówisz, że wyczuwasz fluid, kiedy zapalasz fajkę.

— Nie — poprawił adwokat. — Mówiłem, że wiem, że go mogę wyczuć.

— Dobrze — powiedziała. — Przyjmij to w każdym

razie na pamiętkę. — Stevens wziął zapalniczkę. — Są tu wygrawerowane inicjały, widzisz?

— G. L. S. — przeczytał adwokat. — To nie moje inicjały. Moje są tylko „G. S.”

— Wiem. Ale tamten jubiler powiedział, że monogram powinien się składać z trzech liter, więc pożycyłam ci jedną z moich. — Stała tak chwilę naprzeciw niego, prawie równie wysoka jak on, patrząc mu w oczy. — To był mój ojciec — powiedziała.

— Nie — powiedział adwokat.

— Tak.

— Nie powiesz mi chyba, że to on ci powiedział.

— Wiesz dobrze, że nie. Kazałeś mu przysiąc, że nie powie.

— Nie — mówi adwokat.

— Więc ty sam przysięgnij.

— Dobrze — zgodził się. — Przysięgam.

— Kocham cię — powiedziała. — Wiesz, dlaczego?

— Proszę mi powiedzieć.

— Dlatego, że ile razy przede mną skłamiesz, zawsze wiem, że będziesz się przy tym upierał.

Potem jeszcze jedna sentymentalna pielgrzymka. Nie, przedtem jeszcze coś innego. Popołudnie następnego dnia.

— Teraz pójdziemy odebrać krawat — mówi Stevens.

— Nie — mówię.

— Chcesz iść sam?

— Tak — mówię.

Więc poszedłem bez niego: znów ten sam mały kantor i ona w tej samej sukni, która nie pasowałaby na nikogo, i patrzy już na mój pusty kołnierzyk, zanim jeszcze zdążyłem położyć na stole krawat i sto pięćdziesiąt dolarów za ten nowy, którego nawet nie dotknąłem, bo nie miałem odwagi. Był tylko trochę czerwony, mniej więcej tego koloru co liść czarnego euka

liptusa, i nie było na nim jednego słonecznika ani nawet bukietu, tylko małe słoneczniki rozsiane wszędzie niby mozaika i w każdym niebieski środek, prawie tego samego koloru, co moje koszule po pewnym czasie. Nie śmiałem go dotknąć.

— Przepraszam panią — powiedziałem. — Ale pani rozumie, że ja po prostu nie mogę. Sprzedaję maszyny do szycia w Missisipi. Nie mogę dopuścić, żeby tam ludzie wiedzieli, że płaciłem po siedemdziesiąt pięć dolarów za krawaty. Ale tak; jak ja sprzedaję maszyny do szycia tam, w Missisipi, i nie mogę sobie pozwolić na noszenie krawatów po siedemdziesiąt pięć dolarów, tak samo pani sprzedaje krawaty tu, w Nowym Jorku, i nie może pani pozwolić sobie na to, żeby ludzie nosili albo zamawiali te krawaty i nie płacili za nie. Więc proszę to wziąć — mówię. — I bardzo proszę mi wybaczyć.

Ale ona nawet nie spojrzała na pieniądze. — Dlaczego on do pana powiedział Władimir Kiryłycz? — spytała. Wy tłumaczyłem jej.

— Ale teraz mieszkamy w Missisipi i musimy tam mieszkać. Proszę — powiedziałem. — I jeszcze raz bardzo proszę...

— Niech pan to zabierze ze stołu — powiedziała. — Podarowałam panu te krawaty. Nie może pan za nie płacić.

— Czy nie rozumie pani, że tego też nie mogę zrobić? — mówię. — Tak jak nie mogę pozwolić komuś tam w Missisipi, żeby zamówił u mnie maszynę do szycia, a potem, kiedy mu ją już dostarczyłem, powiedział mi, że zmienił zdanie.

— A więc — mówi ona — pan nie może przyjąć krawatów, a ja pieniędzy. Dobrze. Zrobimy tak. — Na stole było coś, co wyglądało jak słoiczek kremu, ale kiedy nacisnęła sprężynkę, okazało się zapalniczką do

papierosów. — Spalimy to, połowę dla pana, połowę dla mnie.

— Proszę zaczekać! — zawołałem i zatrzymała się. — Nie, nie. Proszę nie palić pieniędzy. — Ale ona spytała:

— Dlaczego nie? — i patrzyliśmy na siebie: ona z zapalniczką w rękę, a oboje z ręką położoną na pieniądzach.

— Bo to są pieniądze! — powiedziałem. — Ktoś gdzieś o pewnej godzinie musiał może... musiał znieść... Chcę powiedzieć, że gdzieś dla kogoś pieniądze oznaczają zbyt wiele cierpienia i bólu, więcej niż są warte... To znaczy... To nie to chciałem powiedzieć...

— Wiem dokładnie, co chciał pan powiedzieć. Tylko tchórze, głupcy i niezdary, i ludzie bez przeszłości niszczą pieniądze. Więc niech je pan zatrzyma. Weźmie je pan do... jak pan powiedział?

— Missisipi.

— Missisipi. Gdzie jest ktoś, kto potrzebuje... nie, ktoś by dbał o coś tak niskiego jak potrzeba? Ktoś, kto pragnie czegoś, co kosztuje około stu pięćdziesięciu dolarów: kapelusza, obrazu, książki, kolczyka do uszu, czegoś, co nigdy, nigdy nie służy do jedzenia, ale on — ona — myśli, że nigdy tego nie będzie miała, od dawna wyrzekła się już nie tylko pragnienia, ale nadziei. Tym razem wie pan, co chciałam powiedzieć.

— Wiem dokładnie, co chciała pani powiedzieć, bo właśnie to pani powiedziała.

— Więc niech mnie pan uściska • — rzekła. I tego samego wieczora ja i Stevens pojechaliśmy do Saratogi.

— Czy to ty przekonałeś Hoake'a, żeby nie próbował jej dawać wielkich pieniędzy, czy on sam się szczęśliwie tego domyślił? — zapytałem.

— Tak — odrzekł.

— Ale co, tak?

— Może jedno i drugie — powiedział.

Po południu oglądaliśmy konie, a następnego dnia rano poszliśmy na Bemis Heights, i na Freeman's Farm.

* Ale nie było tam żadnego pomnika dla najemnego żołnierza z Hesji, który może nawet nie u- miał po niemiecku, a cóż dopiero po amerykańsku, i naturalnie nie było żadnego wzgórza ani rowu, ani skały, która powiedziałaby głośno: Na tym miejscu twój przodek, pierwszy V. K., wyparł się Europy na zawsze i postanowił zostać w Stanach Zjednoczonych. A w dwa dni później byliśmy z powrotem w domu przebywając w dwa dni tę odległość, którą musiały przebyć cztery pokolenia V. K. I teraz patrzyliśmy, jak światła gasną w Hiszpanii i w Etiopii, i ciemność pełznie przez całą Europę i Azję, póki jej sieć nie dosięgnie wysp na Pacyfiku i nie wkradnie się nawet do Ameryki. Ale do tego było jeszcze dość daleko, kiedy Stevens powiedział:

— Chodź na górę do mojej kancelarii. — A potem rzekł: — Barton Kohl nie żyje. Samolot — był to zużyty samolot pasażerski, uzbrojony w karabiny maszynowe z roku 1918 z ręcznie przebitymi otworami, przez które amatorska załoga ręcznie zrzuciła domowej produkcji bomby. Z tym walczyli przeciwko Luftwaffe Hitlera — został zestrzelony i spłonął, tak że ona nie zdołałaby go nawet rozpoznać, nawet gdyby mogła przyjechać na miejsce katastrofy. Nie, nie mówi, co zamierza robić.

— Wróci tutaj — powiedziałem.

— Tutaj? Z powrotem do Jefferson? — A potem

dodał: — Dlaczego, u diabła, nie miałaby wrócić? Tu jest jej dom.

VIII CHARLES MALLISON

— To prawda — powiedziałem. — Była na to skazana.

— Co? — spytał. — Co powiedziałeś?

— Nic. Mówiłem tylko, że zgadzam się z tobą.

Linda Kohl (onegdaj Snopes, jakby powiedział Thackeray, a Kohl też onegdaj, skoro on już nie żył) nie była pierwszym rannym na wojnie bohaterem, który wreszcie powrócił do Jefferson. Była tylko pierwszym bohaterem, którego mój wuj zadał sobie trud przywitać na dworcu. Nie mówię tu o stacji kolejowej. W roku 1937 minął już rok albo więcej, odkąd przez Jefferson przeszedł pociąg, z którego mógł wysiąść płatny pasażer. I nawet nie o dworcu autobusowym, bo nie myślę nawet o Jefferson. Pojechaliliśmy po nią na lotnisko w Memphis, bo mój wuj tego rana w ostatniej chwili doszedł do wniosku, że nie może sam swoim samochodem odbyć tej osiemdziesięciomilowej podróży tam i z powrotem.

Nie była nawet pierwszym bohaterem rodzaju żeńskiego. W roku 1919 przez dwa tygodnie mieliśmy tu pielęgniarkę w stopniu porucznika — nie autentyczną obywatelkę Jefferson, ale przynajmniej spokrewnioną z pewną rodziną w Jefferson (albo może tylko zainteresowaną jednym z jej członków); należała do personelu szpitala wojskowego we Francji i według jej oświadczeń rzeczywiście spędziła dwa dni w ośrodku ewakuacyjnym rannych, gdzie słychać było armaty z Montdidier.

Prawdę mówiąc wtedy, w 1919, nawet pięcioletni obywatele Jefferson, do których i ja się podówczas

zaliczałem, byli już trochę zblazowani, jeśli chodzi

0 bohaterów wojennych, nie tylko całych i zdrowych, ale także i rannych, wysiadających z pociągów na przestrzeni od Memphis aż po Nowy Orlean. Nie chcę przez to powiedzieć, że nawet ci nie drażnięci nazywali siebie bohaterami, czy myśleli, że nimi są, czy że w ogóle w jakiś inny sposób o tym myśleli, zanim wrócili do domu, z uszami tak przepelnionymi tym ze wszystkich stron rozbrzmiewającym epitetem, że niektórzy z nich, nieliczni, uwierzyli w końcu w jego prawdziwość. To znaczy, kładli im to w uszy ci wszyscy, którzy organizowali i koordynowali całą tę wrzawę, ci, którzy sami nie poszli na wojnę, a więc byli na miejscu najwcześniej, żeby organizować wielkie parady powitalne w porcie, i mniejsze, miejscowe festyny, z obfitymi posiłkami na świeżym powietrzu

1 piwem; ci, którzy nie brali udziału w tej wojnie i nie mieli zamiaru uczestniczyć w następnej tak długo, jak po to, żeby trzymać się z daleka, wystarczyło kupować wolne od podatku obligacje funduszu obrony i organizować festyny na cześć bohaterów, tak żeby następne 'pokolenie chłopców ośmio-, dziewięcio-, dziesięcioletnich mogło oglądać naszywki na epoletach, odznaczenia za rany i lata służby i orderzy na wstążeczkach.

Wreszcie — niektórzy spośród nich, w każdym razie — zaczęli wierzyć, że tyle głosów wysławiających ich czyny nie może się mylić i że w istocie są bohaterami. Bo według zdania wuja Gavina, który także był żołnierzem na swój sposób (w amerykańskiej służbie polowej armii francuskiej w roku 1916 i 17, dopóki nie przystąpiliśmy do wojny, a potem nadal we Francji, jako sekretarz YMCA, czy jak się to nazywało), nie pozostawało im nic innego: Młodzi ludzie, a nawet chłopcy, z których większość miała tylko niejasne albo zupełnie błędne pojęcie o tym, gdzie

jest i czym jest Europa, i żadnego pojęcia o wojsku, a cóż dopiero o wojnie, wybrani drogą losowania, nagło oderwani od tego, co było ich dotychczasowym życiem, i wcieleni do oddziałów ekspedycyjnych, by przeżyć (jeśli im się uda) przed ukończeniem dwudziestu pięciu lat coś, czego by w owym czasie nawet nie rozpoznali jako swego najważniejszego doświadczenia. A potem rzuceni chcąc nie chcąc i znów z dnia na dzień z powrotem w to, co uważali za swój dotychczasowy świat, świat, którego kazano im bronić za cenę życia, ryzykując kalectwem i śmiercią po to, by go zastać na miejscu i bez zmian, i którego odnaleźć już nie zdołali. Tak że parady i festyny, i wysławianie bohaterstwa nie tylko miały zdarzyć się ten jeden raz i ucichnąć, zanim zdążyli się do nich przystosować, ale były już bliskie pełnego końca, zanim ostatni, powracający najpóźniej, mogli dotrzeć do domu, gdzie mówiono im już, nad talerzami stygnącego mięsa i kuflami zwietrzałego piwa, podczas gdy cichły ostatnie echa zniecierpliwionych fanfar: „W porządku, chłopcy, zjadajcie wasz befsztyk z kartoflami, wypijajcie piwo i schodźcie nam z drogi, bo jesteśmy teraz pogrążeni po uszy w lym nowym świecie, gdzie jedynym i głównym zajęciem jest pokój, nie tylko likwidujący długi, ale przynoszący zawrotne zyski”.

A więc, zdaniem Gavina, musieli wierzyć, że są bohaterami, choćby nawet sami dokładnie nie pamiętali, w jakim punkcie albo dzięki jakiej akcji osiągnęli, weszli na minutę lub na sekundę w to stadium heroizmu. Bo inaczej nic by im już nie pozostało: wiedzieć, mając za sobą ledwie trzecią część życia, że przeżyli swoje największe doświadczenie, i odkryć, że ten świat, dla którego tak się narażali i tyle wycierpieli, został w czasie ich nieobecności zmieniony nie do poznania przez tych, co zostali w domu, tak że

nie było w nim już dla nich miejsca. Musieli więc wierzyć, że przynajmniej cząstka tego wszystkiego jest prawdziwa. I to (zdaniem Gavina) było przyczyną powstawania klubów byłych kombatantów i legionistów — jedynych azylów, gdzie przynajmniej raz na tydzień mogli znaleźć schronienie pośród innych zdradzonych i wydziedziczonych, utwierdzając się wzajemnie w przekonaniu, że przynajmniej ta jedna nieskończenie drobna cząsteczka istniała naprawdę.

Rzeczywiście (w Jefferson w każdym razie) nawet ci, którzy wrócili bez jednej ręki czy nogi, wrócili zupełnie tacy sami, jak wyjechali, tylko jakby podkreśleni, wyróżnieni. Na przykład taki Tug Nightingale. Jego ojciec był szewcem, łątaczem obuwia, i miał warsztat wielkości psiej budy na rogu ulicy za rynkiem — mały rudy człowieczek, który razem ze swoim kopytem, zydłem i wszystkimi narzędziami na kolanach nie ważył nawet stu funtów, z sumiastym wąsem, który mu zakrywał większą część podbródka, i z dzikim, nieujarzmionym i nieprzejednanym błyskiem w oku; zakamieniały baptysta, który nie musiał nawet wierzyć, bo wiedział, że jest tak a nie inaczej: że ziemia jest płaska i że generał Lee zdradził Południe, poddając się pod Appomatox. Był wdowcem i Tug jego jedynym pozostałym przy życiu dzieckiem. Tug miał już za sobą cztery lata w szkole, kiedy sam dyrektor powiedział panu Nightingale, że lepiej byłoby, gdyby Tug rzucił naukę. Co też Tug zrobił i mógł teraz krążyć przez całe dni po łące za stajnią handlarza końmi Dila Zucka, gdzie przedtem już spędzał cały wolny czas, a teraz mógł prowadzić interesy na własną rękę, zawierając znajomość najpierw z Lonzo Haitem, naszym miejscowym handlarzem koni i mułów, a potem z samym Patem Stamperem, który w kołach tej branży nie tylko w Yoknapatawpha czy północnym Missisipi, ale także w Alabama, Tennessee i Arkansas by) w porówna¹; ; - Lonzo tvm. czym byłby Fritz Kreisler pr/.y wiejskim skopku, tak że poznawał genialny talent, skoro się z nim ?.etknął.

Bo Tug nie miał żadnej szczególnej skłonności do handlu mułami: był ich homme laiol i każdy muł, koń czy klacz stawały się woskiem w jego rękę, mógł z nimi zrobić wszystko, oprócz kupowania i sprzedawania ich z zyskiem. Dlatego też nie wzniósł się nigdy ponad stopień zwykłego masztalera, chłopca stajennego, i w końcu musiał zostać malarzem pokojowym, żeby zarobić na życie. Nie był malarzem pierwszej kategorii, ale ostatecznie potrafił zeskrobać farbę i powlec nią ścianę czy płot, kiedy ktoś mu wskazał, gdzie się ma zatrzymać.

Tym się też trudził w roku 1916, kiedy miał około trzydziestu lat, a może i więcej, i wtedy coś zaczęło się z nim dziać. A może to się działo już dawniej, tylko my — Jefferson — zauważyliśmy to dopiero teraz.

Dotychczas był, można by tak powiedzieć, standardowym typem prowincjonalnego malarza pokojowego: kawaler, mieszkał z ojcem w małym domku na peryferiach, kąpał się co sobota w zakładzie fryzjerskim, wieczorem wypijał trochę ponad miarę, nie bardzo jednak, zaledwie raz na dwa albo trzy lata w niedzielę rano budził się w areszcie, skąd zwalniano go za własnym poręczeniem; i to nie za pijaństwo, ale za bójkę, mimo że bójka wynikała z nadużycia whisky, kiedy jakiś nieunikniony przeciwnik w tym samym stadium pijaństwa (nigdy nie ten sam, nie potrzebował być tym samym) podał w wątpliwość dwa niezbite przekonania Tuga odziedziczone po ojcu: że generał Lee był tchórzem i zdrajcą, że ziemia jest płaska z brzegami takimi jak brzegi dachów szop, które malował; potem w niedzielę po południu partyjka kości w wielkim rowie za cmentarzem, kiedy trzeźwiał, żeby wrócić do swojej terpentyny i farby

w poniedziałek rano — nie licząc może czterech w ! roku wycieczek do burdeli w Memphis. j

Potem go to spotkało. W dalszym ciągu chodził w ' każdą sobotę kapać się do fryzjera i popijał whisky, | choć o ile w Jefferson było wiadomo, nigdy nie tyle, żeby być zmuszonym do bitwy z powodu generała i Lee, Ptolomeusza i Isaaka Newtona, więc nie tylko strażnicy w areszcie, ale także znużony policjant nocny, który stukał do łaźni u fryzjera albo do drzwi domu gry w niedzielę o drugiej rano mówiąc: „Uspokójcie się, chłopcy, i wracajcie do domu”, nie widy- ■ wali go teraz. Nie grywał też w kości w rowie za i cmentarzem. Teraz w niedzielę rano widywano go, | jak szedł ze swoim miniaturowym wąsatym ojcem w kierunku kościoła baptystów w bocznej uliczce, a po południu siedział na miniaturowym ganku ich małego domlca (on, któremu pierwsze trzy klasy w szkole zadawały klęskę po klęsce, a czwarta rozgromiła go doszczętnie) pogrążony w lekturze pism, które przynosiły nam wiadomości o wojnie w Europie.

Zmienił się. My w Jefferson (ja miałem dopiero trzy lata) nie wiedzieliśmy, jak dalece, aż do kwietnia 1917, do historii z „Lusitanią” i deklaracji prezy- denta, kiedy to kapitan (przedtem tylko „pan”, póki ' nie został wybrany kapitanem) McLendon zorganizował w Jefferson kompanię strzelców zwanych strzelcami Sartorisów, na cześć starego pułkownika (nie było w niej ani jednego Sartorisa, bo Bayard i jego . brat John znajdowali się już w Anglii w lotnictwie brytyjskim), a potem dowiedzieliśmy się reszty: jak Tug Nightingale, który miał już przeszło trzydzieści lat i który mógł uniknąć nakazu powołania do woj- j ska, gdyby go dostał, zaciągnął się jako jeden z pierwszych i my — oni — odkryli, jaki był jego dylemat: po prostu nie śmiał powiedzieć ojcu, że zamierza

wstąpić do armii Jankesów, bo gdyby jego ojciec się

o tym dowiedział, on, Tug, zostałby wydziedziczony

i wyklęty. Toteż nie tylko kapitan McLendon zapytał wtedy: ■— Co? A cóż to za historia? — a McLendon i jeszcze jeden, który miał być wybrany jego adiutantem, poszli z Tugiem do jego domu i przyszły adiutant opowiedział, co się tam stało:

— To było tak, jakbyśmy byli zamknięci w szafie ściennej z piłą elektryczną, która nagle zeskoczyła z przewodnicy na pełnym obrocie, albo z ładunkiem dynamitu, którego zapalony lont wije się po podłodze jak wąż, tak że nie tylko nie możesz podejść dość blisko, żeby na to nastąpić, ale i nie masz ochoty, wszystko, czego byś sobie życzył, to wydostać się stąd. Mack mówi: — Niech pan zaczeka, panie Nightingale, to nie jest wojsko Jankesów, to jest armia Stanów Zjednoczonych, pańskiego własnego kraju. — A ten mały furiał trzęsie się i ziejie furią, z wąsami, które wyglądają, jakby też się paliły, i wrzeszczy: — Rozstrzelać tych sk...synów! Rozstrzelać! Rozstrzelać! — i sam Tug próbuje go uspokoić: — Tato, kapitan McLendon i ten tu Crack obaj do nich należą — a stary Nightingale ryczy: — To niech ich też rozstrzelają! Rozstrzelać tych wszystkich draniów jeszcze dzisiaj! — A Tug jeszcze próbuje: — Tato, jak nie pójdę teraz, to jak przyjdzie nakaz, oni tak czy owak mnie zabiorą. — I znowu mały furiał ryczy: — Rozstrzelać was wszystkich! Rozstrzelać wszystkich sk...- synów! — Tak, proszę a kogo. Tug mógłby pewnie wstąpić do armii niemieckiej albo może nawet francuskiej czy brytyjskiej. Ale nie do tej, której się poddał generał Lee tego dnia w 1865 roku. No więc wypędził Tuga. Wszyscy trzej wybiegliśmy z tego domu co sił w nogach, ale zanim znaleźliśmy się na ulicy, on już był w tym pokoju, który widocznie zajmował Tug. Nie zadał sobie nawet trudu, żeby otworzyć

drzwi, kopniakiem rozwarł okno, zdarł storę i zaczął wyrzucać rzeczy Tuga na ulicę.

Tak więc Tug przekroczył swój Rubikon i mógł teraz być bezpieczny. To znaczy kapitan McLendon wziął go do siebie. On — kapitan McLendon — mieszkał w ogromnym domu z ogromną rodziną, mnóstwem braci i ogromną matką, która ważyła około dwustu funtów, i lubiła gotować i jeść, tak że jedna osoba więcej nie miała znaczenia; może nawet wcale nie zauważyła Tuga. Tak że teraz mógł być bezpieczny, podczas kiedy kompania czekała na rozkaz wymarszu. Ale inni nie dawali mu spokoju; okoliczności, w jakich zaciągnął się pod sztandary, były trochę zbyt niezwykle, żeby nie powiedzieć jak z powieści „East Lynne” *. Zawsze znalazł się ktoś, co go zagadywał:

— Tug, czy to prawda, że generał Lee nie musiał się poddawać wtedy, kiedy to zrobił?

— Tak mówi mój tata — odpowiadał Tug. — On tam był i widział, choć miał wtedy dopiero siedemnaście lat.

A tamten wtedy mówił:

— Więc musiałeś sprzeciwić się temu własnemu ojcu, żeby wstąpić do strzelców?

A Tug siedział teraz zupełnie spokojny, i jego ręce, które nigdy nie potrafiły wymalować nic więcej prócz ścian najędźniejszych szop i najprostszych płotów, ale mogły z najbardziej zdradzieckim i nieobliczalnym mułem robić rzeczy, na które niewiele innych rąk się ośmielało, złożone były spokojnie na kolanach, bo teraz już wiedział, co będzie dalej. A tamten i wszyscy inni obok niego spoglądali na Tuga połową oka, bo trzy pozostałe były zwrócone na kapitana McLendona, który szedł przez pokój; najczęściej czekali, aż kapitan McLendon odejdzie i zniknie z oczu.

— To prawda — odpowiadał Tug. A tamten:

— Dlaczegoś to zrobił, Tug, masz już przeszło trzydziestkę, nie musisz się bać rozkazu, a twój ojciec jest już stary i nie ma nikogo, kto się nim zajmie.

— Nie możemy pozwolić Niemcom na takie traktowanie ludzi. Ktoś musi ich przepędzić.

— A więc musiałeś zadać ból twemu ojcu, żeby wstąpić do armii, która przepędzi Niemców. A teraz będziesz musiał znowu sprawić mu ból, żeby okrążyć kulę ziemską i dotrzeć na drugi koniec świata, gdzie ich możesz spotkać.

— Jadę do Francji — mówił Tug.

— To właśnie powiedziałem: naokoło świata. W którą stronę Na wschód czy na zachód? Możesz wybierać, tak czy tak dojedziesz na miejsce. Albo jeszcze lepiej: załóż się z tobą. Jedź na wschód, coraz dalej, póki nie znajdziesz się na wojnie, zrób to, co zamierzasz zrobić Niemcom, a potem wciąż wól dalej na wschód, a załóż się z tobą o sto dolarów, że kiedy zobaczysz Jefferson następnym razem, to dostrzeżesz je z przeciwnej strony, spoza skrzynki pocztowej Miss Joanny Burden o milę na zachód od ratusza.

AJe w tej chwili kapitan McLendon wrócił, prawdopodobnie ktoś po niego poszedł. Może był bardzo złym dowódcą kompanii, bo został usunięty z dowództwa na długo przedtem, nim jego żołnierze zobaczyli front, a w kilka lat później miał zostać tutaj w Jefferson szefem czegoś, czego ja w każdym razie nie chciałbym mieć przed oczyma, kiedy zasypiam. Ale przynajmniej trzymał swoją kompanią mocną ręką (i nie dzięki naszywkom na ramieniu, bo gdyby

to było wszystko, co miał, to nie zostałby mu ani jeden żołnierz do pierwszej soboty wieczorem, ale przez zwyczajny ludzki instynkt, którego miał trochę nawet on, nawet pośród tej afery, w którą miał zostać później zamieszany, tak samo jak teraz) dopóki nie zastąpił go lepszy dowódca. Tamten był już w mundurze. Był to handlarz bawelny, którą kupował dla jednej z firm eksportowych w Memphis i wydał większą część swoich dochodów na spekulację, grając za niższą lub wyższą cen rynkowych, ale nigdy nie wyglądał na farmera, póki nie przywdział munduru.

— Co tu się dzieje? — spytał kapitan. — Co sobie wyobrażacie, czym jest Tug? Mrówką, która okrąży pomarańczę, czy co? On nie będzie, niczego objeżdżał naokoło, on jedzie prosto przez coś, przez wodę, do Francji, walczyć za swój kraj, a kiedy we Francji nie będą go już potrzebowali, przepłynie z powrotem tę samą wodę, wróci tu, do Jefferson, tą samą drogą, którą odjechał, tak jak wszyscy radzi byśmy byli wrócić. Więc przestańcie się go czepiać, żebym nie słyszał tego więcej.

Czy Tug potrzebował nadal kapitana McLendona, czy nie, faktem jest, że niedługo już miał go przy sobie. W tydzień później kompania została wysłana na przeszkolenie do Teksasu, a ponieważ Tug był kompetentny, jeśli chodzi o powleczenie farbą każdej powierzchni płaskiej, byłoby to było dość proste, z brzegami, a nie granicami teoretycznymi, i miał ten dar do koni i mułów, rozpoznany od razu przez takiego fachowca, jak Pat Stamper, jako część tej niewytłumaczalnej zdolności, którą nazywamy geniuszem, o- czywiście w wojsku kazano mu być kucharzem i wysłano tego samego dnia na front, tak że był nie tylko pierwszym żołnierzem z Yoknapatawpha (młodzi Sartorisowie nie liczyli się, bo oficjalnie należeli do armii brytyjskiej), który przepłynął ocean, ale jednym z ostatnich żołnierzy amerykańskich, repatriowanych z końcem 1919 roku, bo najwidoczniej te same władze wojskowe, które mianowały go kucharzem, nie wiedziały już, dokąd został wysłany (nie straciły go: moje własne doświadczenie w latach 1942—1945 nauczyło mnie, że władza wojskowa nigdy nic nie traci — grzebie tylko w ziemi).

A więc był już z powrotem w domu i mieszkał teraz sam (stary pan Nightingale zmarł latem tego samego roku 1917, zdaniem wuja Gavina zabiła go jego własna nieustępliwość; pogardliwy i upór przeciw wobec marszu historii i władzy, od tego dnia w kwietniu 1865), nadal zajmując się malowaniem ścian i płotów, kąpiąc się u fryzjera w każdą sobotę wieczorem, pijąc i grywając w kości od czasu do czasu, ale jak to określał V. K. Ratliff, z takim wyrazem twarzy, jakby przez całe życie wierzył w niewidzialność czwartego wymiaru, a potem nagle go zobaczył. I teraz już nie miał kapitana McLendona. To znaczy kapitan McLendon także wrócił, ale on i Tug nie byli już zwierzchnikiem i podwładnym. Albo może ta naturalna ludzka wyrozumiałość kapitana McLendona — z której musiał wtedy obficie czerpać i zabrakło mu jej całkowicie w jego późniejszych kryzysach humanitarnych, od czasu gdy osłaniał Tuga przed twardymi faktami kosmogonii — nie byłaby wystarczająca w tym wypadku.

To także zdarzyło się u fryzjera (nie, mnie tam nie było, jeszcze byłem nie dość dorosły, żeby tolerowano moją obecność u fryzjera o dziesiątej wieczorem w sobotę, nawet gdybym mógł się wymknąć matce; doszło to do mnie przez Ratliffa i wuja Gavina). Tym razem zaczął go Skeets McGowan, pomocnik w drugstorze wuja Willy Christiana — młody człowiek z rozmachem i temperamentem, który pachniał ra

czej wodą kolońską niż zwykłą, zawsze otoczony gromadą czternasto- i piętnastoletnich dziewcząt przy kontuarze z wodą sodową u wuja Willy, który, jak to później zrozumieliśmy, był znacznie starszy, niż się nam zawsze wydawało, i jak mawiał Ratliff, nawet za dziesięć lat później nie wiedziałby tego wszystkiego, o czym on, Skeets, zapomniał, według swego mniemania, przed dziesięciu laty. Był już ogolony i wyperfumowany, a Tag wyszedł właśnie z kąpieli i siedział dość spokojnie, po wypiciu jednego czy dwóch kieliszków,

— Więc z Teksasu wyruszyłeś na północ? pyta Skeets.

— Tak — odpowiedział Tug.

— Opowiedzże nam o tym — nalegał Skeets. - Wyjechałeś z Teksasu na północ, do Nowego Jorku. Potem wsiadłeś na okręt i znów płynąłeś na północ.

— Tak — powiedział Tug.

— Ale przypuśćmy, że cię trochę oszukano. Przypuśćmy, że okręt zboczył trochę na wschód albo na zachód, a może po prostu na południe.

— Cholera jasna — mówi Tug. — Myślisz, że nic wiem, gdzie jest północ? Możesz mnie obudzić w nocy, a wskazać ci ręką północ, nie zapalając nawet światła.

— O co się założymy? Pięć dolarów? Dziesięć?

— Założyłbym się o dziesięć dolarów, tylko że ty wszystkie dolary, jakie miałeś, wydałeś już na ten szampon i tę jedwabną koszulę.

— Dobrze, dobrze — upierał się Skeets, — No więc okręt płynął prosto na północ, do Francji. Więc byłeś we Francji dwa lata, a potem wsiadłeś znowu na okręt i znów płynąłeś prosto na północ. Potem wysiadłeś na ląd i wsiadłeś do pociągu, i..,

— Zamknij się — powiedział Tug.

- ...jechałeś znów prosto na północ. I kiedy wróciłeś, byłeś z powrotem w Jefferson.

Odczep się ode mnie wreszcie!

No więc rozumiesz, co to znaczy? Jedno z dwóch: albo przenieśli Jefferson — teraz już Tug był na nogach, ale Skeets widać jeszcze tego nie zauważył — co, jak mogą zaświadczyć wszyscy ludzie, którzy zostali i nie poszli na tę wojnę, nie zgadza się z prawdą. Albo też wyjechałeś z Jefferson, adąc prosto na północ przez Teksas, i wróciłeś do Jefferson, wciąż kierując się na północ i nie zważając o Teksas...

Trzeba było wszystkich pomocników fryzjera i klientów, i ludzi z ulicy, którzy się znajdowali w pobliżu, a wreszcie samego inspektora nocnego, żeby w końcu unieszkodliwić Tuga. Ale zanim to nastąpiło, Skeets znajdował się już w karetce pogotowia, w drodze do szpitala.

Albo taki Bayard Sartoris. Wrócił wiosną w 1919 i kupił najszybszy samochód, jaki mógł znaleźć, i cały czas rozbijał się nim po okolicy albo tam i z powrotem do Memphis (jak wszyscy myśleliśmy); póki jego ciotka, pani du Pré, nie rozejrzała się po Jefferson, i wybrawszy jedną ręką Narcissę Benbow, drugą ręką złapała Bayarda między dwoma rajdami i przytrzymała dość długo, żeby ich ożenić, w nadziei, że to ocali Bayarda przed złamaniem karku, ponieważ był już teraz ostatnim Mohikaninem Sartorisów (John zginął w lipcu 1918), tylko że i to chyba się nie udało. To znaczy, jak tylko postarał się, żeby Narcissa zaszła w ciążę, co prawdopodobnie nastąpiło bardzo szybko, znowu zaczął rozbijać się samochodem, aż wreszcie wmieszał się w to sam pułkownik Sartoris

i, choć nienawidził samochodów, zrezygnował ze swego powozu i koni, i kazał Bayardowi wozić się tarami z powrotem do banku, żeby przynajmniej na przestrzeni tych czterech mil zwolnił tempo jazdy. Tylko

że pułkownik Sartoris był chory na sercu i to on przypłacił życiem katastrofę. Bayard tylko wysiadł z samochodu i znikł, opuścił żonę, która oczekiwała dziecka, i wszystko inne i aż do następnej wiosny nadal usiłował uleczyć się z nudy próbując, o ile szybciej potrafi prowadzić maszynę niż wymyślić jej cel przeznaczenia; tym razem był to znów samolot., nowy typ do wypróbowania na lotnisku Daytona, tylko że ten spłatał mu figła, gdy wszystkie cztery skrzydła odpadły w powietrzu.

7'ak, to było to: nuda. Wuj Gavin mówił, że wojna jest jedynym cywilizowanym sianem, w którym może znaleźć ujście wrodzone draństwo, nieodłączne od natury ludzkiej, że wojna nie tylko chroni je i sankcjonuje, ale nagradza, że Bayard po prostu się nudził, nie mógł przebaczyć Niemcom nie tego, że rozpoczęli wojnę, lecz że ją skończyli. Ale matka mówiła, że to nieprawda. Mówiła, że Bayard był przerażony i zawstydzony: nie dlatego było mu wstyd, że się bał, ale ogarnęła go groza, gdy odkrył, że jest do tego zdolny, że potrafi się wstydzić. Mówiła, że Sartorisowie różnią się od wszystkich innych ludzi. Większość ludzi, prawie wszyscy, kochają przede wszystkim siebie, ale wiedzą o tym w głębi duszy, i nawet w sekrecie to przyznają, tak że nie muszą się tego wstydzić, albo jeśli się wstydzą, nie muszą się bać tego wstydu. Ale Sartorisowie z wyjątkiem Bayarda nie wiedzieli nawet, że kochają przede wszystkim samych siebie. To mu jednak nie przeszkadzało i nie wstydził się tego, póki on i jego brat nie pojechali do Anglii i nie zaczęli szkolić się w lataniu bez spadochronów na samolotach zrobionych z drutu i posklejanej płótna do pakowania; albo może nawet póki się nie znaleźli na froncie, gdzie nawet ci, którzy dotychczas wyżyli, nie mieli żadnych szans przeciwko pilotom zwiadowcom, którzy przeżyli pierwsze trzy tygodnie czynnej służby. I wtedy Bayard nagle /rozumiał, że tylko on jeden w eskadrze czy nawet całym lotnictwie brytyjskim nie jest jedynym, indywidualnie stworzonym człowiekiem, ale podwójnym, bo ma brata bliźniaka, zaangażowanego w to samo ryzyko i posiadającego te same szanse. A zatem on jeden ze wszystkich lotników uczestniczących w tej wojnie miał podwójne szanse ocalenia, podobnie jak jego brat bliźniak oczywiście — i w następnej sekundzie ze zgrozą odkrył, że wstyd mu tej myśli, tej świadomości, samej zdolności pomyślenia tego.

I to, zdaniem matki, było tym robakiem, co go gryzło,

i dlatego — na pozór — wrócił do Jefferson wyłącznie po to, żeby przekonać się, zgodnie ze swą posępną, pozbawioną wszelkiej radości naturą, ile znajdzie rozmaitych sposobów złamania karku, aby jak najwięcej ludzi przerazić, przygnębić lub po prostu zirytować. Była to zupełnie niesartorisowska zdolność odczuwania wstydu, z którą ani nie mógł żyć, ani się jej wyzbyć, ani jej znieść, ani z pogardą odrzucić. Stąd to ryzykanctwo, wyzywanie losu, fatalizm. Najwidoczniej ta sama myśl — podwójne zabezpieczenie bliźniaków przed zestrzeleniem — musiała w tym samym momencie przyjść do głowy drugiemu z braci, ponieważ byli bliźniakami. Ale prawdopodobnie myśl ta nie wzbudziła niepokoju Johna, tak samo jak czyny dokonane na wojnie (wuj Gavin mówił — i w pięć lat później ja sam miałem sposobność o tym się przekonać — że każdy, ktokolwiek był na wojnie, nawet w YMCA, przywiózł z sobą po powrocie wspomnienie czegoś, czego wolałby nie robić, a przynajmniej o czym chciałby już więcej nie myśleć) nie spędzały snu z powiek tego starego oryginała, pułkownika Sartorisa, który był ich pradziadkiem; tylko on, Bayard, z całej rodziny był tak słaby i niegodny Sartorisów.

Teraz więc (jeśli matka miała słusność) musiał dźwigać podwójny ciężar. Jednym był niepokój, obawa tych przyziemnych głębin wyobraźni i samolubnej nadziei, w jakich się znajdował i wiedział o tym, nie tyle zdolny do odczuwania wstydu, ile na to skazany; drugim — fakt, że jeśli to podwójne zabezpieczenie bliźniactwa podziałało na jego korzyść i John pierwszy został zestrzelony, to on, Bayard, bez względu na to, jak długo go przeżyje, będzie musiał pewnego dnia stanąć przed swoim bratem — we wszechwidzy łączącej ich obydwu nieśmiertelności ■— z plamą słabości na czole, teraz już nie do ukrycia. Tą hańbiącą plamą była nie myśl o tym — bo ta sama myśl musiała nawiedzić jego brata w tej samej chwili, co jego, mimo że byli w dwóch różnych eskadrach — lecz to, że z nich dwóch John nie był tą myślą zawstydzony. A myśl była po prostu ta: John zdołał zestrzelić trzech Niemców, zanim zginął (prawdopodobnie był lepszym strzelcem niż Bayard albo może jego dowódca lubił go i wskazywał mu cele), a sam Bayard miał dosyć strąceń, o ile ktoś nie był dość wielkim niedowiarkiem, żeby powiedzieć: „Nie ja! Ja byłem za bardzo przerażony, żeby pamiętać o liczeniu”. Teraz, kiedy Johna nie było i nie potrzebował już swoich punktów na tablicy, przypuścimy, tylko przypuścimy, że mógł poszachrować, sfalszować rejestry czy oszukać tego, kto je prowadził, i skłonić go, żeby zapisał wszystkie punkty Sartorisów na jedno imię i nazwisko, tak żeby przynajmniej jeden z nich mógł wrócić w aureoli sławy — myśl sama w sobie nie nikiemna, bo John nie tylko pomyślałby tak samo, ale gdyby on żył, a Bayard zginął, byłby postarał się jakoś to zrealizować, stała się nią dopiero wtedy, kiedy Bayard upodlił ją i zbrukał przez to, że się jej wstydził. I nie mógł dobrowolnie odpędzić tej myśli, bo gdyby kiedyś spotkał się z duchem Johna, John śmiałyby się tylko pogardliwie, a gdyby ją odpędził sam wkładając sobie lufę pistoletu w usta, duch nie byłby już pełen ironii i pogardy, lecz, nieprzejednanie wrogi na zawsze.

Ale Linda Snopes:> — przepraszam — Snopes-Kohl — była naszym pierwszym bohaterem rodzaju żeńskiego. Można by więc myśleć, że całe miasto wyjdzie ją powitać lub przynajmniej będzie reprezentowane przez delegatów organizacji społecznych i religijnych, nie mówiąc już o Legionie Amerykańskim i o klubach byłych kombatantów, co by się niewątpliwie stało, gdyby została wybrana na Miss America, zamiast paść ofiarą pocisku generała Franco czy miny, czy cokolwiek to było, co wysadziło w powietrze karetkę sanitarną, którą prowadziła, i przyprawiło ją

o głuchotę. Toteż powiedziałem: — Po co ona tu wraca? Nie ma do czego się zapisać. Cóż będzie robiła w Klubie Pań Dobroczynnych, dostarczającym na loterie fantowe konfitur i abażurów własnej roboty? Nawet gdyby umiała robić konfitury, przypuszczenie mało prawdopodobne, bo gotowanie niewątpliwie jest ostatnią rzeczą, jakiej może żądać od swej ukochanej rzeźbiarz, który usiłował tylko zabić jakoś czas między mityngami komunistów, póki ktoś nie rozpętał faszystowskiej wojny, na którą mógł wyruszyć. Nie mówiąc już o tej niekoszternej kuchni, której musiała się wyuczyć w Jeffersoft, Missisipi, Zwłaszcza jeśli uczyła się gotowania w tej obskurnej knajpie, z której jej papa wygryzł Ratliffa, kiedy przyjechali do miasta. — Ale pomyliłem się. To nie miało być na płaszczyźnie municypalnej, lecz ściśle prywatnej. Miały przyjść tylko trzy osoby i tylko przypadkiem z Jefferson, ponieważ były związane z pamięcią jej matki: mój wuj, jej ojciec i Ratliff. Potem zobaczyłem, że jest nas tylko dwóch — Ratliff nie chciał nawet wsiąść do samochodu.

— Chodź — powiedział wuj Gavin. — Po idziesz z nami.

— Lepiej zaczekam tutaj • - odparł Ratliff. — Będę reprezentował komitet lokalny. Do następnego razu — dodał, zwracając się do mnie.

— Co? — spytał wuj Gavin.

— Nic — powiedział Ratliff. — To tylko żarcik, który mi Chick kiedyś opowiadał i teraz mi się przypomniał.

Potem zobaczyłem, że nie będzie nawet dwóch osób związanych z pamięcią jej matki. Nie tylko nie wstąpiliśmy do banku, ale nawet nie przejeżdżaliśmy tamtędy. Powiedziałem: — Pan Snopes nie będzie przecież, u licha, tracił co najmniej sześciu godzin uczciwej roboty lichwiarskiej na wycieczkę do Memphis po to, żeby spotkać swoją córkę, po wszystkich wydatkach, jakie musiał ponieść, żeby wyjechała z Jefferson, nie tylko na przebudowę domu De Spaina, ale na cały len marmur na grób jej matki importowany z Włoch, tylko po to, żeby miała od czego odjechać albo, jeśli wolicie, do czego nie wracać.

Powiedziałem: — Więc to jest moja wina. Nie urodziłem się dość wcześnie, żeby bronić Das Democra- cie w twojej wojnie, albo Das Kapitał w jej wojnie. To znaczy, że mam jeszcze przed sobą mnóstwo czasu. Albo może chcesz powiedzieć, że Hitler, Mussolini

i Franco, wszyscy trzej razem, nie mogą sprawić poważnych kłopotów militarnych autentycznemu, płatnemu i nietykalnemu członkowi Ośrodka Szkoleniowego Oficerów Rezerwy przy uniwersytecie Harvard. Bo nie mam zamiaru należeć do elitarnego klubu studentów. Franklin Roosevelt także nie należał.

Powiedziałem: — To właśnie to. Dlatego nalegałeś, żebym pojechał z tobą razem; chociaż ona teraz jest głucha i nie może słyszeć, jak mówisz: „Nie” albo: „Nie, proszę!” ani nawet: „Nie, na miłość Boską!”, a przynajmniej nie może wyjść za ciebie, zanim przy- jedziemy do Jefferson, jeżeli i ja także będę w samochodzie. Ale jest cała reszta popołudnia, kiedy będziesz mógł się mnie pozbyć, nie mówiąc już o ośmiu godzinach nocy, które, jak chciałaby wierzyć matka, spędzam śpiąc w moim pokoju na górze. I nie mówiąc o tym, że powinienem w przyszłym miesiącu wracać do Cambridge, jeśli nie sądzisz, że twoje... dziewictwo czy też tylko celibat?... warte są nawet tego poświęcenia. Ale ostatecznie czemu nie, skoro to ty wpadłeś na pomysł wysłania mnie do Cambridge, Massachusetts, żebym tam otrzymał to, co ze śmiechem nazywaliśmy edukacją. Zważywszy, że jak mówi matka, ona była w tobie zakochana przez całe życie, tylko była za młoda, żeby to wiedzieć, a ty byłeś zanadto dżentelmenem, żeby jej to powiedzieć. A może matka rzeczywiście ma rację?

Tymczasem przyjechaliśmy na lotnisko, to znaczy lotnisko w Memphis. Wuj Gavin powiedział: — Zaparkuj wóz i chodźmy napić się kawy. Mamy jeszcze co najmniej pół godziny czasu. — Poszliśmy na kawę do restauracji, naprawdę nie wiem, czemu tutaj także to nazywają „Skyroom”, tak jak gdzie indziej. Może Memphis jest jeszcze nadal poza kwotą. Ratliff powiedział, że ona musi wyjść za kogoś prędzej czy później i każdy mijający dzień przybliża ten moment. Nie, nie tak to określił: że on, wuj Gavin, nie będzie mógł zawsze przed tym uciekać, że teraz już niemal każdego dnia jakaś kobieta może uznać go za dość dojrzałego i solidnego do objęcia stałej posady zamiast robót dorywczych, a im wcześniej się to stanie, tym lepiej, bo dopiero wtedy będzie bezpieczny. Zapytałem:

— Jak to, bezpieczny? Zdaje mi się, że dobrze mu tak, jak jest. Nigdy nie widziałem kogoś tak zabezpieczonego.

— Nie mówię o nim — rzekł Ratliff. — Mówię o nns w Yoknapatawplia. Że można z nim będzie wtedy żyć bezpiecznie, bo nie będzie miał tyle czasu na zajmowanie się sprawami innych.

W takim wypadku zabezpieczenie nas będzie kosztowało nieco trudu. Bo on, Gavin, miał jedną wadę charakteru, która go zawsze ratowała, niezależnie od tego, jakie szkody mogła wyrządzić osobom z jego otoczenia. Mam na myśli fakt, że ludzie się starzeją, zwłaszcza młode dziewczęta, piętnasto- i szesnastoletnie, które zdają się starzeć nagle, w ciągu sześciu miesięcy czy roku, bardziej niż ktokolwiek inny mógłby się zestarzeć w ciągu dziesięciu lat. To znaczy, że on zawsze wybierał dzieci albo był specjalnie wrażliwy na punkcie małych dziewczynek i dlatego one zawsze go wybierały, jak wolicie. I to wybieranie, czy też padanie ofiarą, odbywało się w wieku, kiedy przysięga wierności po grób przestaje istnieć, zanim zdąży przebrzmieć. Myślę teraz o Melisandrze Backus, naturalnie sprzed moich czasów i sprzed czasów Lindy Snopes. To znaczy Melisandra miała dwanaście, trzynaście albo czternaście lat, na kilka lat przedtem, nim zwolniła miejsce, które z kolei mogła zająć Linda. Gavin wybierał i zamawiał tomy poezji do czytania dla Melisandry, a przynajmniej kontrolował je

i sprawdzał, i może w ten sposób, właśnie przez tekst prawdziwy, próby i błędy, wiedział, co może rozwinąć albo przynajmniej zmienić umysł i charakter Lindy, kiedy przyszła jej kolej.

Ale wkrótce Melisandra popełniła nieodwracalny błąd postarzenia się o jeden rok, porzucając przez to na zawsze nierealny i feeryczny świat Spencera i młodego Milтона, przeznaczony dla rasy ludzkiej, gdzie nawet dziewczyna, którą mężczyzna wybierał albo która wybierała jego, gdy mówił o wierności i przywiązaniu, mogła mu powiedzieć, żeby zaczekał albo

zamilknęła. Tak czy inaczej, tym razem był uratowany. Ale nie było mnie jeszcze wtedy na świecie i nie mogę pamiętać dokładnie rozwoju wydarzeń: czy najpierw" Gavin pojechał do Harvard, czy to było w okresie między Harvard i Heidelbergiem, czy też najpierw ona wyszła za mąż. W każdym razie, kiedy wrócił z wojny, ona była mężatką, żoną bogatego kupca z Nowego Orleanu, nazwiskiem Harriss, przez dwa „s”. Nie wiadomo też, w jaki sposób zdołała się z nim spotkać na tym świecie nieśmiała dziewczynka, jedynaczka, bez matki, mieszkająca o kilka mil od miasta, na wielkiej plantacji, która niegdyś była jedną z największych w okolicy, ale od lat stopniowo podupadała, z ojcem wdowcem, który w lecie spędzał cały czas na werandzie, a zimą w bibliotece z butelką whisky i tomem Horacego. Melisandra, o ile nam było wiadomo, nigdy nie wyjeżdżała z domu, jeśli nie liczyć codziennych przejazdów do miasta w powoziku ze stangretem Murzynem, w czasie gdy zdawała egzamin, w klasach wstępnych i wyższych, a potem uczyła się w Akademii dla dziewcząt. I ten człowiek, o którym wiedzieliśmy tylko to, co on sam mówił, że nazywa się Harriss, przez dwa „s”, co może było prawdą, i że jest kupcem, importerem, w Nowym Orleanie. Wiedzieliśmy, że tak jest, ponieważ (było to na początku roku 1919, zanim wuj Gavin wrócił do domu) nawet mieszkańcy Jefferson umieli na pierwszy rzut oka rozpoznać opancerzonego Cadilla- ka, który potrzebował aż dwóch kierowców, obydwóch w dwurzędówkach, nieco wyдутych pod lewą pachą.

Nie mówiąc już o pieniądzach. Pan Backus umarł mniej więcej w tym czasie i oczywiście niektórzy twierdzili, że zrobił to z rozpacz, że jego jedyna córka wyszła za cara kontrabandy alkoholowej. Jednakże czekał, jak się zdawało, dość długo, by się u

pewnić, że jego zięć rzeczywiście jest carem, a w każdym razie, że imperium prosperuje i jest wypłacalne, bo pieniądze zaczęły się już ukazywać tu i ówdzie, jeszcze, przed jego śmiercią — naprawione dachy i ganki (choć pan Backus najwidoczniej wzdrygał się jeszcze przed pomalowaniem domu) i świeżo zwirowane ścieżki, tak że gdy Melisandra przyjechała do domu na to pierwsze Boże Narodzenie, ona, niańka

i carewicz mogli jeździć tam i z powrotem do miasta samochodem, a nie w starej wiktorii, zaprzężonej w konie od pług. Wtedy pan Backus umarł, a dom i zabudowania zostały na nowo pomalowane. I teraz Harriss ze swymi obydwojma „s” zaczął się pojawiać w Jefferson i z czasem zyskał sobie nawet przyjaciół, mimo że większość mieszkańców Yoknapatawpha zachowała jeszcze rezerwę; jeździł skromnym Fordem, model T, albo wierchem na koniach czy mułach, przystając od czasu do czasu na drodze, by podziwiać, jak to, co dotychczas było zwyczajną, niezbyt rentowną plantacją bawełny w północnym Missisipi, zmienia się w farmę hodowlaną w typie farm Wirginii czy Long Island, z ciągnącym się milami ogrodzeniem z białych sztachet, kiedy my, wszyscy inni, nie byliśmy ani trochę za dumni, by używać do tego drutu

i kółków z młodych drzewek, z białymi stajniami z elektrycznym oświetleniem, parowym ogrzewaniem, wodą bieżącą, masztalerzami i ujeżdżaczami koni> podczas gdy my musieliśmy nadal używać lamp naftowych w charakterze oświetlenia, a nasze żony nosiły drzewo na opał i wodę z najbliższego lasku czy źródła lub studni. Potem było dwoje dzieci, następcą tronu i księżniczką, kiedy Harriss wyzionął ducha, ze swymi dwoma „s”, na krześle w zakładzie fryzjerskim w Nowym Orleanie, na skutek normalnej choroby zawodowej kaliber 38. W związku z czym konie, razem z rosztalierzami i stajniami, zostały sprzedane, a dom zamknięty, nie licząc kogoś, kto go miał pilnować, podczas gdy pani Harriss, ze swymi dwoma „s”, z dwojgiem dzieci i pięcioma służącymi, niańkami i sekretarzem, podróżowała po świecie, i teraz matka i inne jej koleżanki ze szkoły zaczęły dostawać widokówki z modnych uzdrowisk w Europie, z początku zawierające wiadomości o klimacie, a z czasem stwierdzające, że zarówno klimat, jak i szkoły służą tam dzieciom lepiej, i wyrażające nadzieję (jeśli chodzi o listy do matki, oczywiście), że Gavin ma się dobrze i że na pewno się już ożenił.

— No więc wreszcie jest bezpieczny od tej strony — powiedziałem do Ratliffa.

— Bezpieczny? — zdziwił się.

— A dlaczego, u diabła, nie? Ona nie tylko za duża już jest na baśnie czarodziejskie, ale ma dwoje dzieci i te wszystkie pieniądze: Po co miałyby za kogokolwiek wychodzić za mąż. A w każdym razie nie za Gavina. On nie chce pieniędzy, on chce tylko kształtować cudze umysły i dokonywać zmian. Dlaczego nie miałyby teraz być bezpieczny?

— To prawda — rzekł Ratliff. — Wygląda na to, że prawie musi tak być. Przynajmniej do następnego razu.

Żart. I wart jeszcze powtórzenia dzisiaj, dwie godziny temu, kiedy odmówił towarzyszenia nam na lotnisko. Gavin siedział przy stole, pijąc to, co obsługa restauracji na lotnisku nazywała kawą, nieprzeniknioną, arogancką, nietykalną, jak wesz na pośladku królowej. Bo może Linda Kohl (przepraszam Snopes-Kohl) także miała mnóstwo pieniędzy, nie tylko to, co jej zostawiła matka, ale to, co wuj Gavin, jako jej opiekun, zdołał wycisnąć ze starego Willa Varnera. Nie z jej ojca, bo może stary Snopes rad byłby coś odpalić, choćby tylko po to, żeby to, co Gavin albo

Ratliff nazwaliby tą nieskazitelną prawością dziewicy, przestało patrzeć mu w oczy. Ale nie miała dwojga dzieci, a więc wszystkim, na co ja i Ratliff mogliśmy tym razem liczyć, był ten dawny stan pierwotny, oparty na zwykłym zjawisku przemijania, to znaczy, że z każdym mijającym momentem one były

o ten moment starsze; musiały być żywe na to, by je zauważył, i musiały być w ruchu, żeby żyć, a jedynym momentem ruchu, przyciągającym jego uwagę, jego spojrzenie, był ten, w którym wchodziły w okres dojrzewania; szelest spódnicy, linia, kontur nogi w chwili przechodzenia przez drzwi, uchwycony dzięki sztuce kamery, ale wciąż ruch, wciąż nieodwołalny moment.

To właśnie ratowało go za każdym razem; to, że moment musiał być ruchem. Nie mogły zatrzymać się w drzwiach, a przekroczywszy próg, także nie przystawały. Czasem zatrzymywały się nawet dość długo, żeby zamknąć drzwi za sobą, zanim poszły w kierunku następnych i przekroczyły je także, - to znaczy stadium małżeństwa; od okresu dojrzewania do macierzyństwa, w ciągu jednej łatwej lekcji, można by powiedzieć. Co zresztą było bardzo dobre. Wuj Gavin nie stał przy tych następnych drzwiach. Wciąż jeszcze patrzył na pierwsze. A że życie jest nie tyle ruchem, co monotonnym powtarzaniem ruchu, nigdy przy tych następnych drzwiach nie musiał czekać długo, by ukazała się inna spódnica w ruchu, inna nie ukształtowana jeszcze, znikająca, młodzieńcza noga. Powinien był pomyśleć o tym, żeby to powiedzieć Ratliff owi; podczas gdy byłem w Memphis, pomagając mu pożegnać się z tą jedną, on mógł już rozglądać się wokół siebie, szukając wzrokiem następnej, gdyż Linda zajęła już miejsce Melisandry Backus, zanim Melisandra dowiedziała się, że została wydziedziczona. Potem, w następnym momencie, zrozumiałem, że to nie będzie potrzebne; najwidoczniej wuj Gavin wybrał już ją sam i dlatego mógł siedzieć tu, spokojny i opanowany, popijając kawę, podczas gdy czekaliśmy, aż ogłoszą przybycie samolotu.

Wreszcie oznajmiono go. Wyszliśmy na teren lądowania. Zatrzymałem się przy ogrodzeniu z drutu. — Zaczekam tutaj — powiedziałem. — Na pewno będziesz chciał być z nią chwilę na osobności, póki jeszcze możesz, choćby to był tylko anonimowy tłum, a nie prawdziwe odosobnienie. Masz już przygotowany blok do pisania? A może ona nosi go stale w mankiecie albo przywiązany do nogi, tak jak lotnicy noszą mapy. — Ale on już poszedł dalej. Potem samolot zaczął się toczyć po ziemi; był to nowy typ DC 3, i w następnej chwili ukazała się ona. Nie mogłem widzieć jej oczu z tej odległości, ale przecież to nie oczy, tylko uszy okaleczyła jej ta bomba czy pocisk, czy cokolwiek wtedy wybuchło — ta sama wysoka dziewczyna, za wysoka, żeby być dobrze zbudowana, ale ostatecznie nie wiem. Z takimi kobietami bywają niespodzianki, kiedy się z nich zdejmie suknie, choćby miały już dwadzieścia dziewięć lat, jak ona. Potem zobaczyłem jej oczy, tak ciemnoniebieskie, że z początku myślało się, że są czarne. Nie wiem zupełnie, skąd je wzięła, tak samo jak te czarne włosy, bo stary Snopes miał oczy koloru stojącej wody w stawie, a włosy w ogóle bez żadnego koloru, a jej matka miała wprawdzie także niebieskie oczy, ale włosy jasne. Toteż ilekroć starałem się wywołać w pamięci jej obraz, zawsze wyglądała, jakby ją w tej chwili wyciągnięto z domu publicznego w skandynawskiej Walhalii i policjanci zdołali narzucić na nią trochę ubrania, zanim ją wepchnęli na wóz. Piękne oczy zresztą, i gdyby się było tym człowiekiem, który by w końcu zdjął z niej suknie, może uznałoby się je za bardzo piękne. I miała nawet w ręku mały blok i o-

łówek, kiedy całowała Gavina. Powiedziałem: całowała go. On jednak najwidoczniej potrzebował trochę czasu, żeby się przyzwyczać do używania ołówka

i papieru, bo powiedział głośno, jak do każdej innej osoby:

— A to jest Chick — i wtedy przypomniała sobie mnie. Była tak wysoka jak Gavin, prawie tego samego wzrostu co ja, i miała króciuteńko obcięte paznokcie, ale może to też był skutek eksplozji albo żałoba po mężu. A gdy się uściśnięło jej rękę, można było wyczuć, że naprawdę prowadziła ten wóz sanitarny i prawdopodobnie zmieniała w nim także opony; mówiła nie głośno, ale tym suchym, szorstkim, gdaczącym głosem ludzi głuchych, pytając mnie nawet o ojca

i matkę, jakby ją to rzeczywiście obchodziło, jakby była zwyczajną kobietą z Jefferson, której się nigdy nie śniło iść na wojnę i padać ofiarą eksplozji. Ale wuj Gavin przypomniał sobie albo w każdym razie prędko się uczył, bo wziął bloczek i ołówek i napisał coś na kartce, coś o bagażu zdaje się, ponieważ odpowiedziała: — Ach, tak — jakby normalnie słyszała i wyjęła kwity z torebki.

Podprowadziłem wóz, podczas gdy oni poszli po bagaż. A więc żyła z tym facetem przez kilka lat, zanim się pobraли, ale nie było tego po niej widać. I pojechała do Hiszpanii na wojnę, i wpadła na minę na froncie, i tego także nie było po niej widać. Powiedziałem:

— Może dasz jej prowadzić wóz? Będzie mniej zmieszana tym, że nie może z tobą rozmawiać.

— Lepiej, żebyś ty prowadził — powiedział.

Więc oni dwoje siedli z tyłu, odjechaliśmy i zawieźli bohaterkę do domu. Możliwe, że ktoś powiedział: „Czemu wszyscy nie siądziemy z przodu? Jest dosyć miejsca”. Ale tego nie pamiętam. A może nikt tego nie powiedział. W każdym razie oboje usiedli z tyłu. I tego też nie zapamiętałem, tylko słowa wuja Gavina: — Możesz, teraz odetchnąć. Nic ci nie grozi. Ja trzymam ją za rękę.

Tak, byli bezpieczni. Ona trzymała jego rękę w obydwu dłoniach, na kolanach, i mniej więcej przy każdym słupie milowym jej głuchy głos wymawiał „Gavin”, a po przebyciu następnej mili znowu „Gavin”. Widocznie używała bloku i ołówka za krótko, żeby się przyzwyczać, albo może kiedy człowiek traci słuch i wkracza w prawdziwe milczenie, zapomina, że nie wszystko odbywa się w takiej atmosferze intymności i odosobnienia. Albo może kiedy on wziął od niej ołówek, żeby odpowiedzieć na papierze, nie miała cierpliwości czekać, aż dostanie ołówek z powrotem, tak że oboje powinni mieć bloczki do pisania. — Tak, słyszę. Czuję to gdzieś pod czaszką albo w gardle. To okropny dźwięk, prawda? — Ale widocznie Gavin coś pisał, bo znów dał się słyszeć gdaczący głos: — Tak, to prawda. Czuję to, mówię ci. — I jeszcze: — W jaki sposób? Jeżeli spróbuję się wprawić, skąd mogę wiedzieć, czy to dobrze, czy źle? — A ja mówiłem do niego w duchu: „Jeżeli będziesz poświęcał swój czas wolny od zajęć prokuratora okręgowego i pracy w kancelarii na to, żeby przywrócić twojej głuchej przyjaciółce utraconą słodycz jej głosu, jak z tego wybrniesz? A jednak, co za szansa dla małżonka: uczyć swoją głuchą jak pień żonę, że jeżeli chce, żeby ton jej głosu stał się przyjemny, to musi tylko wstrzymać oddech przy mówieniu. Albo może to, co wuj Gavin napisał potem, było wzięte z Johnsona (albo coś ze starego Donne'a czy Harricka, czy nawet po prostu z Sucklinga — każdy z nich czy wszyscy trzej z przypiskami starego Stevensa dla tego głuchego ucha — teraz oka). Nie ukrywaj twych malinowych ust za pustymi słowami. Lepiej daj mi pić słodycz z twego czulego „tak”. Albo może napisał

jeszcze prościej: Nie mów nic, póki nie przyjedziemy do domu. To nie jest miejsce, żeby przywracać ci głos. Zresztą to niewinne dziecko musi wracać do Cambridge w przyszłym miesiącu, i wtedy będziemy mieli mnóstwo czasu, bez żadnego skrepowania.

Tak więc odwieźliśmy naszą heroinę do domu. Teraz już było widać Jefferson i zegar na ratuszu, nie mówiąc już o zbiorniku wody jej ojca, i w tej chwili gładzący głos mówił o Ratliffie: — Bart lubił go. Mówił, że nie wierzy, żeby mógł polubić kogoś z Missisipi, ale się mylił. — To, co napisał tym razem Gavin, nie budziło wątpliwości, bo głos powiedział: — Nawet nie ty. Kazał mi przyrzec, że oddam Ratliffowi jedną z jego rzeźb. Pamiętasz tego małego chłopca włoskiego, którego ty oglądałeś i nie mogłeś rozpoznać, co to jest, chociaż widziałeś już przedtem rzeźby, a Ratliff, choć nie widział nigdy małego Włocha ani nic oprócz pomnika Konfederata przed ratuszem, od razu poznał, co to jest, a nawet co on robi? — Miałem ochotę zabrać od nich bloczek, żeby napisać: Co robił ten włoski chłopiec?, ale już dojechaliśmy na miejsce. Wtedy Gavin powiedział:

— Stań najpierw przed bankiem. Powinno się go jakoś uprzedzić. Prosta przyzwoitość to nakazuje. Chyba że już jest uprzedzony i po prostu opuścił miasto na krótki czas, żeby stoczyć walkę z własną duszą i przygotować ją do tego momentu, który ją czeka. Przypuściwszy oczywiście, że nawet on do tego czasu zrozumiał, że nie może jej po prostu anulować, jak weksel czy hipotekę.

— Chcesz narazić ją na powitanie publiczne tutaj, na ulicy, zanim zdąży dokończyć makijażu przed tym występem? — zapytałem.

— Odetchnij — powiedział znowu. — Kiedy będziesz trochę starszy, zrozumiesz, że ludzie w rzeczy wistosci są dużo uprzejmiejsi, łagodniejsi i bardziej rozważni, niż ci się zdaje teraz.

Podjechałem pod bank. Ale gdybym był na jej miejscu, nie sięgnąłbym nawet po ołówek i nie dbałbym o gładzący głos, żeby powiedzieć: „Co, u diabła? Zawieź mnie do domu”. Nie zrobiła tego. Siedziała w aucie trzymając jego rękę w obydwóch swoich, nie na kolanach nawet, ale wręcz przyciskała ją do brzucha, rozglądając się wokół rynku i mówiąc gładzącym głosem: — Gavin, Gavin. — A potem: — Wuj Willy wraca z obiadu. — Tylko że to nie był stary Christian: ten już nie żył. Ale teraz już nie miało znaczenia, czy ktoś pisze w tym bloczku, czy nie. I Gavin miał rację. Nikt się nie zatrzymał na ulicy. Obserwowałem kilka osób, które ją poznały. Nie, chcę powiedzieć, że poznały konfigurację: Samochód Gavina Stevensa na zakręcie przed bankiem, dwadzieścia dwie minuty po pierwszej w południe, ja przy kierownicy, a Gavin z kobietą na tylnym siedzeniu. Wszyscy oni słyszeli o Lindzie ICohl, to jest Snopes-Kohl, że jest kobietą, i że jest z Jefferson, i że była na wojnie dość blisko frontu, żeby ogłuchnąć od wybuchu. Bo on ma rację: ludzie są uprzejmi i łagodni, i rozważni. Nie to, żebyś się tego od nich nie spodziewał, tylko że już się nastawiłeś, że tacy nie są, i wtedy zbijają cię z tropu i zaskakują. Nawet nie przystanęli w drodze, jeden z nich tylko powiedział: — Jak się masz, Gavin — i poszedł dalej.

Wysiadłem i wszedłem do banku. Bo cóż bym ja sam zrobił, gdybym miał jedyną córkę i gdyby jej dziadek miał mnóstwo pieniędzy, i gdybym mając wszelkie środki, żeby ją posłać na uniwersytet w innym mieście, nie zrobił tego i nikt by nie wiedział, dlaczego, i nagle pewnego dnia pozwoliłbym jej wyjechać, ale tylko na uniwersytet odległy o pięćdziesiąt mil od mego domu, i znów nikt nie wiedziałby,

dlaczego to zrobiłem. Tylko że chciałem zostać prezesem banku, którego ówczesny prezes był człowiekiem znanym całemu miastu jako kochanek mojej żony od dnia, kiedy zamieszkaliśmy w tym mieście. To znaczy, wszyscy dowiedzieliby się, dlaczego dopiero w trzy miesiące później, kiedy moja żona poszła do gabinetu kosmetycznego po raz pierwszy w życiu

i tej samej nocy strzeliła sobie w skroń, celując starannie, żeby nie uszkodzić świeżo zrobionej ondulacji; a ten cudzołózca, prezes banku, opuścił miasto i ślad po nim zaginął, a ja nie tylko zostałem prezesem jego banku, ale zamieszkałem w jego domu — w takim wypadku łatwo zrozumieć, że nie potrzebowałbym już tej córki i mogłaby sobie jechać dokąd, u diabła, zechce, byleby nigdy nie wracała do Jefferson, Missisipi. Tylko że nie pozwoliłbym jej tego zrobić, dopóki nie siedzielibyśmy oboje w samochodzie patrząc na odsłonięcie pomnika na grobie jej matki, i dopiero gdy tam siedziała bezbronna patrząc na wyrzeźbioną twarz i wygrawerowane, równie bezbronne szyderstwo:

CNOTLIWA ŻONA JEST KORONĄ SWEGO MĘŻA, BŁOGOSŁAWIENSTWEM SWYCH DZIECI, powiedziałbym: „W porządku. Teraz możesz jechać”. Więc wyszedłem z powrotem na ulicę.

— Pan Snopes zwolnił się na popołudnie — powiedziałem — żeby oczekiwać na córkę w domu.

Pojechaliśmy więc dalej, do tej kolonialnej maskary, która była drugim szyderstwem. Miał teraz w Jefferson trzy pomniki: zbiornik na wodę, grobowiec i swoją rezydencję. I kto wie, w którym z okien stał na czatach czekając lub czekał stojąc na czatach, jak wolicie.

— Może ja też powinienem wejść do środka — powiedziałem.

— Może każdy z nas powinno mieć blok i ołówek — rzekł wuj Gavin. — Wtedy byśmy się wszyscy mogli porozumieć.

Oczekiwano nas. Niemal natychmiast szofer-służący, Murzyn, wyszedł z drzwi frontowych. Postawiłem walizki na chodniku, kiedy oni jeszcze tam stali, ona równie wysoka jak on, objęci ramionami, całując się na ulicy w pełnym świetle dnia. Gdaczący głos powtarzał: — Gavin, Gavin — nie jak gdyby nie mogła dotychczas uwierzyć, że to nareszcie on, ale jak gdyby jeszcze się nie przyzwyczaiła do nowego brzmienia swego głosu. Potem puściła go i powiedziała do służącego: — Chodźmy — a my wsiedliśmy z powrotem do samochodu i to było wszystko. Heroina była w domu. Wziąłem zakręt między blokami domów i nie obejrzałem się za siebie — chciałem powiedzieć, gdyby to było prawdą. Służący szedł już aleją z walizkami i ona stała tam jeszcze, patrząc na nas, za wysoka jak na mój gust, niepokonana w swej ciszy, nietykalna, pogodna.

Właśnie to: cisza. Gdyby nie istniało coś takiego jak dźwięk! Gdyby tylko wszystko odbywało się wśród ciszy, żadne zło wymyślone przez człowieka nie mogłoby go zranić: eksplozja, zdrada, głos ludzki.

Właśnie to: głuchota. Ratliff i ja byliśmy wobec tego bezsilni. Z innymi, kiedy indziej, było kołysanie spódnicą, kontur nogi, krążenie wokół okresu dojrzewania; zaraz po tym były inne drzwi, a bezpośrednia za nimi był ołtarz i długi rząd suszących się pieluszek, i spełnienie, finał. Ale ona go pokonała. Nie w ruchu częstotliwym, przechodzeniu przez drzwi, lecz unieruchomiona w ciszy przez uderzenie pioruna; to ona trwała bez ruchu, podczas gdy uciekały drzwi

i ściany otwarte uderzeniem pioruna. Nie była dzieckiem momentu, lecz niepokalaną oblubienicą ciszy.

nietykalną, niezmienną, na zawsze bezpieczną od zmian i przeobrażeń. W końcu wytropiłem Ratliffa w jego norze po trzech dniach szukania.

— Jej mąż przysłał ci prezent — powiedziałem. — To ta rzeźba, która ci się podobała; ten chłopak, Włoch, który robi coś, czego nie mógł rozpoznać nawet sam Gavin, choć nie tylko widywał przedtem włoskich chłopców, ale może nawet widział takiego, który robił to samo, co ten. Ale nie szkodzi. Nie masz żony ani niewinnych córek, więc możesz to trzymać po prostu u siebie w domu. Ona wyjdzie za niego ■— powiedziałem.

— Czemu nie? ■— rzekł. — Zdaje mi się, że on to potrafi wytrzymać. Zresztą, jeśli któraś tylko za niego wyjdzie, może reszta z nas będzie bezpieczna.

■— Reszta z nich, chcesz powiedzieć?

— Chcę powiedzieć dokładnie to, co powiedziałem: reszta z nas wszystkich.

IX. CHARLES MALLISON

Gavin miał rację. Działo się to pod koniec sierpnia. W trzy tygodnie później byłem już z powrotem w Cambridge, spodziewając się, że... to jest usiłując... albo może, chcę powiedzieć, że należałem do klasy, która miała, a w każdym razie powinna, zdać egzaminy w następnym czerwcu. Ale w Jefferson spędziłem jeszcze trzy tygodnie, to jest dosyć długi okres, nawet gdyby zależało im na ogłoszeniu zapowiedzi: rzeczy zupełnie niepotrzebnej dla wdowy, która nie tylko była wdową, ale także bohaterem wojennym. Więc myślałem, że może oni czekają, aż się mnie pozbędą. Znacze teri stary trik komediowy teatrów wędrownych: przerażone, dziecko, które czepia się poły surduta pana młodego i woła z płaczem: „Tato, tato (w tym wypadku: „Wuju! wuju!") nie żeńmy się z panią Smith!"

Potem myślałem (było już Święto Dziękczynienia, wkrótce miałem pojechać do domu na Boże Narodzenie): „Oczywiście nikomu z nich nie przyjdzie na myśl zatroszczyć się o to, żeby mnie zawiadomić tutaj, w Massachusetts". Więc myślałem nawet, żeby napisać

i zapytać, nie matki oczywiście, i z pewnością nie wuja Gavina, bo gdyby to się stało, byłby zbyt zajęty, żeby odpisać, a gdyby się nie stało, także byłby zbyt zajęty, bądź ratowaniem własnego życia, gdyby to on nadal mówił: „Nie", bądź ulepszaniem jej

słuchu na tyle, żeby mogła usłyszeć słowo: „Proszę”, gdyby mówił teraz: „Tak”. Ale chciałem napisać do Ratliffa, który byłby zainteresowanym świadkiem, nawet jeśli nie można było tego nazwać zwyczajną skłonnością do wtykania nosa w cudze sprawy, co posiadał w bardzo niewinnej mierze; może nawet wysłać telegram: „Czy sypiają już razem oficjalnie, czy nie? To znaczy, czy to już wiadome publicznie, czy wciąż sekret, przypuściwszy, że przypuszczasz to samo, czego nas uczą w Harvard, to jest, że kiedy rozbierasz te wysokie i szczupłe kobiety, odkrywasz, że wcale nie są takie szczupłe”.

Potem było Boże Narodzenie i myślałem: „Może ich źle sądziłem. Może czekali na mnie przez cały ten czas, żeby nie przerywać mi nauki -nagłym wezwaniem, tylko czekali na okres dobrej woli i pokoju, żebym mógł im przywieźć pierścionek czy bukiet, czy cokolwiek”. Ale jej nawet nie widziałem. Wuj Gavin i ja spędziliśmy razem prawie cały dzień. Pojechałem do Sartorisów na polowanie na przepiórki z Benbowem (miał zaledwie siedemnaście lat, ale uchodził za jednego z najlepszych strzelców w okolicy w polowaniu na ptaki; lepszy od niego był tylko Luther Biglin, farmer, który prócz tego zajmował się tresurą psów i kłusownictwem na handel i strzelał lewą ręką, właściwie niewiele starszy niż Benbow, mniej więcej w moim wieku i mieszkał nad rzeką koło Rozdroża Wyotta). Wuj Gavin wprosił się sam do towarzystwa. Nie był nadzwyczajnym myśliwym, nawet gdyby potrafił na dość długo powstrzymać się od gadania, ale od czasu do czasu chodził ze mną do lasu.

I przez cały ten dzień — nic; to ja wreszcie zagadnąłem:

— Jak tam idą lekcje wymowy?

— Z panią Kohl? Dobrze. Ale twoje świeże ucho mogłoby to ocenić lepiej. — Więc spytałem:

— Kiedy?

— Kiedykolwiek znajdziesz się dość blisko, żeby usłyszeć.

A w dzień Bożego Narodzenia to znów ja zrobiłem pierwszy krok: Ratliff zwykle w to święto bywał u nas na obiedzie. Był gościem wuja Gavina, ale matka lubiła go także, może dlatego, że była siostrą bliźniaczką wuja Gavina. Albo czasem wuj Gavin szedł na obiad do Ratliffa i wtedy zabierał mnie z sobą, bo Ratliff był bajecznie dobrym kucharzem. Mieszkał sam w najczystszej małym domku, jaki można sobie wyobrazić, sam sprzątał i zajmował się gospodarstwem

i nawet sam szył te niebieskie koszule, które zawsze nosił. Więc tym razem to znów byłem ja.

— A gdybyśmy zaprosili także panią Kohl na obiad? — spytałem matki, a wuj Gavin powiedział:

— Mój Boże, czyżbyś przyjechał tu z Cambridge po to, żeby spędzić Boże Narodzenie patrząc na tego starego... — przerwał w porę i rzekł: — Przepraszam cię, Maggie — a matka powiedziała:

— Na pewno będzie musiała w to pierwsze Boże Narodzenie zjeść obiad w domu, ze swoim ojcem.

A następnego dnia wyjechałem. Spoad (jego ojciec był w Harvardzie w 1909, razem z wujem Gavinem) zaprosił mnie do Charleston, na bal w dzień św. Cecylii. Bo tego dnia tak czy owak zawsześmy się rozstawali. W drugie święto ojciec zawsze wyjeżdżał na tydzień do Miami, żeby popatrzeć na konie, a matka także z nim wyjeżdżała, nie żeby interesowały ją wyścigi konne, ale wręcz przeciwnie: była przekonana, że jej obecność, a przynajmniej bliskość, powstrzyma ojca od kupna konia.

Potem nadszedł rok 1938 i znalazłem się z powrotem w Cambridge. Potem wrzesień 1938, a ja byłem nadal — albo raczej znowu — w Cambridge, studiując teraz na wydziale prawa. Obserwowano z uwagą Mo

nachium czy błogosławiono je, czy świętowano na cześć pokoju, i wuj Gavin powiedział: — Teraz już niedługo poczekamy. — Ale to samo mówił już poprzedniej wiosny. — Więc powiedziałem:

— W takim razie po co mam marnować jeszcze dwa albo trzy lata na studiowanie prawa, kiedy, jeżeli ty masz rację, nikt nie będzie już miał czasu na procesy i sprawy cywilne, nawet gdybym był tu, na miejscu, żeby bronić czy oskarżać podsądnych?

— Bo kiedy ta wojna się skończy, wszystko, co zostanie ' dla ludzkości i dla sprawiedliwości, to prawo.

— A teraz do czego ono służy? — zapytałem.

— Teraz są dobre czasy dobrobytu i spokoju. Po cóż ci potrzebna sprawiedliwość, kiedy masz dobrobyt. Teraz prawo jest ostatnim środkiem, żeby włożyć rękę do kieszeni, która dotychczas ci się opierała albo cię obrażała.

To było poprzedniej wiosny, w czerwcu, kiedy on i matka (ojca zostawili w Saratoga, ale obiecał, że zdąży do Cambridge na uroczystość promocji) przyjechali do mnie na rozdanie dyplomów w Akademii. Zapytałem: — No i co? Jeszcze nie biją dzwony weselne?

— Nie moje w każdym razie.

— A jak tam wykłady dykcji? Jestem już dużym chłopcem — powiedziałem. — Absolwentem Harvard, choćbym nawet nie wybierał się do Heidelbergu. Powiedz mi. Czy rzeczywiście nie robicie nic więcej, kiedy jesteście sami? Tylko wykłady dykcji i ćwiczenia dialogu?

— Cicho bądź — rzekł. — I daj mi teraz mówić. Latem pojedziesz do Europy, to mój prezent z okazji twego dyplomu. Mam już dla ciebie bilety i podanie o paszport. Wszystko, co musisz tylko jeszcze zrobić, to pójść sfotografować swoją głowę u urzędowego fotografa.

— Dlaczego do Europy? I dlaczego teraz? A jeżeli ja nie chcę jechać?

— Dlatego, że do następnego lata może już nie być Europy. Więc to musi być w tym roku. Pojedź obejrzyć miejsce, gdzie będziesz musiał złożyć swoje kości.

— Więc czemu nie poczekać aż do tego czasu?

— Wtedy będziesz musiał tam występować w roli gospodarza — powiedział. — Tego lata możesz jeszcze jechać jako gość.

Byliśmy tam wszyscy troje. Załatwiwszy pośpiesznie wszystkie formalności i pociągnawszy wszystkie sznurki, jakich mogliśmy osiągnąć, zdołaliśmy nawet wsiąść na ten sam statek. I tego lata zobaczyłem — tamci dwoje w ostatniej chwili nie zdecydowali się wytknąć nosa poza Paryż — trochę Europy, objeżdżając kilka krajów na rowerze. To znaczy tę część dostępną: ten domniemany korytarz, gdzie miałem może wypełnić prorocstwo wuja Gavina i złożyć moje kości: Anglia, Francja, Włochy — ta Europa, która, jak powiedział wuj Gavin, później mogła już nie istnieć, bo ci, którzy by wyszli cało z walki i uchwali się przed Hitlerem, Mussolinim i Franco, byliby zbyt wyczerpani, a ci, którzy by ich po prostu przeżyli, przestaliby się już troszczyć o cokolwiek.

Próbowałem więc ją oglądać, zobaczyć jak najwięcej, bo nawet w dwudziestym czwartym roku życia wierzyłem dotychczas, jak się zdawało, w to, co on mówił, tak samo, jak wierzyłem, mając lat czternaście albo (tak mi się zdaje: nie mogę spamiętać) cztery. Rzeczywiście, Europa, którą on pamiętał, czy myślał, że pamięta, już przestała istnieć. To, co zobaczyłem, było czymś w rodzaju zbiorowej hysterii: o- błąkane wakacje, w których każdy był turystą, zarówno człowiek tutejszy, jak przybysz. Za dużo tam było żołnierzy. To znaczy za dużo ludzi ubranych

i zachowujących się jak wojsko, jak gdyby stosując, zwykłe środki policyjne czy w celach tymczasowej użyteczności publicznej musieli urządzać tę maskaradę i przedłużać linię Maginota (tak, jakby chcieli powiedzieć, Francuzi w każdym razie: „Odwagi! Nie opowiadajcie nam historii! Zresztą i tak w to nie wierzymy”) akurat w trakcie walki o czterdziestogodzinny tydzień pracy. Głośne debaty parlamentarne, po której stronie Piccadilly czy Pól Elizejskich lepiej będą wyglądały worki z piaskiem, jakby chodziło o to, na której ścianie pokoju zawiesić obraz. Wspaniała postać Gamelina, który ocierał jeszcze wąsy z zupy, mówiąc: „Bądźcie spokojni”. Ja tu jestem — jak gdyby cała Europa (Och, tak, my także: pełno tam było Amerykanów) mówiła: „Jeśli Zło jest nie tylko de rigueur, ale triumfuje, przyłączmy się doń wszyscy, a stanie się Dobrem”.

Potem ja też znalazłem się w Paryżu na ostatnie dwa tygodnie, żeby się przekonać, czy Paryż Hemingwaya i Paryż Scotta Fitzgeralda (nie były do siebie podobne, zajmowały tylko to samo miejsce) znikł już zupełnie, czy nie. Potem znów Cambridge, i tylko jeden dzień spóźnienia — wszystko to, to znaczy nic 7. tego, nie ma nic do rzeczy, tylko tłumaczy, dlaczego zobaczyłem ją dopiero w półtora roku później. A więc mieliśmy Monachium; ten moment pełnego szacunku milczenia, a potem znów wróciliśmy do naszych spraw. I przyszedł list od wuja Gavina, który pisał: „Teraz to już nie potrwa długo”. Tylko że dla mnie to już było prawdopodobnie za późno. Kiedy musiałem jechać — nie, nie to chcę powiedzieć — kiedy przyszedł dla mnie czas odjazdu — chciałem być pilotem myśliwskim. Ale już miałem dwadzieścia cztery lata, za sześć lat miałbym trzydzieści, a nawet i teraz mogło już być za późno. Bayard i John Sartorisowie mieli dwadzieścia, kiedy pojechali do Anglii ■w 1916, a wuj Gavin opowiadał mi o jednym chłopcu z RFC (to znaczy obecnie RAF), który był kapitanem z laką książeczką zasług, że rząd brytyjski odesłał go do domu i odebrał mu prawo latania na dobre, żeby mógł być przynajmniej obecny w dniu, kiedy osiągnie pełnoletność. Tak że musiałbym prawdopodobnie skończyć jako pilot albo mechanik na bombowcu, a może w trzydziestym roku życia w ogóle by mi już nie pozwolono latać.

Ale dotychczas nie było weselnych dzwonów. Może przyczyną był jej głos. Moi wywiadowcy — potrzebowałem tylko jednego oczywiście: mojej matki — donosili, że lekcje prywatne trwają w dalszym ciągu, może uważała, że „tak” będzie jeszcze brzmiało nie dość łagodnie, żeby mieć znaczenie legalne. A na legalności będzie jej oczywiście zależało, zważywszy, że próbowała już za pierwszym razem współzycia au naturel i nie wyszło jej to na zdrowie. Nie, to nieściste. Współzycie nawaliło dopiero wtedy, kiedy stało się legalne, kiedy któreś z nich powiedziało wreszcie: „Och, do diabła, więc idź po licencję i pastora, ale proszę cię na wszystko, przestań już nudzić”. Więc teraz na pewno boi się pastora albo sędziego pokoju jak szatana czy kata, bo stanąć przed którymś z nich w towarzystwie osobnika płci odmiennej mogło równać się dla niej wyrokowi śmierci. Czego z pewnością nie życzyła wujowi Gavinowi, bo nie tylko dla jego uszu „tak” musiałoby być dość czułe, skoro przebyła całą tę drogę do Jefferson po to, żeby je wypowiedzieć, ale on nie zostawiłby jej dość pieniędzy, żeby warto było być wdową po nim, w wypadku gdyby to „tak” nie było tak bardzo czułe.

Nie, to też nie było ściste. Jeśli musiała przez pięć lat spać z tym człowiekiem, zanim się zgodził z nią ożenić, to znaczy z rzeźbiarzem tak postępowym i liberalnym, że nawet Gavin nie mógł rozpoznać, co on

y

rzeźbi, to y/oczywiście był on daleko posunięty w swoim liberalizmie. A jeśli porzucił coś tak bezpiecznego i przyjemnego jak profesja rzeźbiarza z Greenwich Village, żyjącego na kocio łapą z dziewczyną, która może i chce opłacać komorne, wikt i opieninok bez względu na to, czy on się z nią ożeni, czy nie, jeśli porzucił to wszystko, żeby jechać do Hiszpanii i walczyć po stronie» która, jako każdy mógł mu powiedzieć, była stroną skazaną na porażkę, to musiał posunąć się nawet dalej, wyjść poza zwykły liberalizm. A jeśli ona kochała go dostatecznie, żeby czekać pięć lat, aż on powie: „Ach, dobrze, zawołaj więc pastora”, a potem pojechała do Hiszpanii i dała się wysadzić w powietrze tylko po to, żeby być z nim razem — to musiała także do nich należeć, bo nie można być umiarkowanym, jeśli chodzi o komunizm: albo się jest gwałtownie za, albo gwałtownie, przeciw. (Zapytałem go, wuję Gavina, oczywiście: — Przypuśćmy, że tak jest ■ — powiedział. — W porządku — odrzekłem. — No więc co z tego? — zirytował się. — W porządku, w porządku — próbowałem go uspokoić. — Czy to twój za... interes? — Dobrze już, dobrze, w porządku.) A samo wyleczenie w powietrze tego nie uleczy. A więc nie miało być dzwonów weselnych: tamte pierwsze były tylko błędem młodości, który nie miał się więcej powtórzyć, tylko przez moment była wrogiem ludu i zapłaciła za to dość prędko.

Więc nie miało być księdza. Mieli zamiar tu, w Jefferson, praktykować zasady demokracji ludów, według których wszyscy byli równi, bez względu na to, jak ona wyglądała, kiedy się z niej wreszcie zdjęło ubranie. Więc można sobie wyobrazić, jak łatwo im się to uda, w mieście nie większym niż Jefferson. Albo nie oni: on, Gavin, to będzie jego kłopot, problem, może konieczność. Nie jej. Ona jest wolna, zwolniona od konwencji towarzyskich. I któż wie, kto nie jest, jak ona, wyzuty / . dźwięków, pozbawiony możliwości i pot r/e by słyszenia. Ona posiada ciszę: ta chwila grzmotu na zawsze uczyniła ją nietykalną i nie- dostępną w samotności; niech reszta świata błądzi po Srr? omacku we wszystkich kierunkach dźwięku, szukając stopą mocnego gruntu nad brzegiem przepaści, jak w jednym ze starych filmów Chaplina.

To on będzie musiał znaleźć sposoby i środki, ona da mu tylko zgodę i coś, co można nazwać precedensem rodzinnym. Tylko że ona nie jest swoją matką, nie mówiąc już o tym, że Gavin mało przypomina Manfreda de Spain. Chcę powiedzieć — miałem zaledwie trzynaście lat, kiedy pani Snopes zastrzeliła się owej nocy, tak że dotychczas nie wiem, ile widziałem i zapamiętałem, a ile pozostało mi narzucone czy zaszczepione przez wuję Gavina, wzięwszy pod uwagę, że, jak mówił Ratliff, spędziłem pierwsze jedenaście czy dwanaście lat mojej egzystencji w cieniu wuję Gavina, myśląc to, co on myślał, i widząc to, co on widział, nie dlatego żeby mnie tego uczył, ale może tylko dlatego, że mi na to pozwalał, nie zabraniał. Chcę powiedzieć, że Linda i Gavin nie mieliby tej niedościgłej, naturalnej przewagi, z której korzystali jej matka i Manfred de Spain, i którą był ten stan łaski, ta aura, ten nimb, jakimkolwiek słowem to określić, w których pani Snopes nie tylko istniała, żyła, oddychała, ale które stwarzała, roztaczała wokół siebie przez samo swoje istnienie, życie, oddychanie. Nie wiem, jakie słowo jest mi tu potrzebne; aura nie swobody, nie czystości, bo (to może mówił Ratliff, nie pamiętam już) niskie względy moralne, jak wstrzemięźliwość lub cnota, z kobietą taką jak pani Snopes miały nie więcej wspólnego — albo raczej kobieta jak pani Snopes zważała na nie nie więcej, niż się zważa na konwencje dotyczące siły, jakiej się używa, czasu, sposobu lub miejsca, gdy się ma do czynienia

z wojną lub cyklonem. To znaczy, kiedy społeczeństwo nagle odkrywa, że jest jedynym posiadaczem Wenus, na jakikolwiek okres, to nie może ona być, nie powinna być, cnotliwą żoną ani nawet wierną kochanką, czy jest nią, czy nie jest, czy chce nią być, czy nie chce. To byłoby nie tylko czymś nie do przyjęcia, ale nawet występny marnotrawstwem: i w społeczeństwie tak zaszczyconym tolerować, a cóż dopiero chronić czystość i wstrzeźliwość, byłoby zniewagą dla ofiarodawców, zasługującą na prawdziwą zemstę bogów. To tak jak mieć całą cudowną, niezrównaną porę roku ■— wiatr, słońce, deszcz, upał i przymrozek — skoncentrowaną w jednym cudownym momencie nad całą okolicą i próbować przyswoić sobie nędzne prawo wybierania i selekcji, zamiast zdecydować, że każdy mężczyzna, kobieta i dziecko, które umie chodzić, ma uprawiać całą ziemię, zająć się każdym ziarnem, jakie ziemia może pomieścić. A więc my — to znaczy zarówno mężczyźni, jak kobiety — nawet tego nie żądaliśmy, żeby uniknąć zamieszania i skandali, jakie mogłaby wywołać ta kobieta, oddychając i istniejąc pośród nas, ani zazdrości, której sądzilibyśmy się niegodni, tak długo, póki mielibyśmy kogoś, kto by mógł się z nią zmierzyć w uczciwej walce, i być naszą dumą i czempionem, tak jak najszybszy koń wyścigowy jest dumą swoich właścicieli. Wszyscy bylibyśmy po stronie jej i de Spaina, ułatwilibyśmy nawet i ochraniali ich schadzki; tylko kaznodzieje w kościołach nienawidziliby jej, boby się jej bali, gdyż bóg, który ją zesłał, który sprawił, że mężczyźni dyszą na jej widok, a nawet kobiety dumne są, że przynajmniej jedna z ich płci może być jej ambasadorem — jest mocniejszy niż błąd i zrozpa- ' czony Galilejczyk, który był wszystkim, co mu mogli przeciwstawić.

Bo Linda nie miała tej władzy, to było nie do prze-

kazania. A więc jej i Gavinowi pozostawała tylko powściągliwość. Żeby powiedzieć to wręcz: moralność. Bo dokądże mogli iść? Nie do jej domu, bo z nich dwojga głuchy był nie ten, kto powinien. Ani clo jego domu, bo dom, gdzie mieszkaliśmy, był nie jego domem, lecz mojej matki, a jedną z pierwszych zasad, jakich mnie nauczył (oczywiście, gdy przyszedł po temu odpowiedni czas), było to, że dżentelmen nie wprowadza przyjaciół rodzaju żeńskiego do domu: 1) swojej żony 2) swojej matki 3) swojej siostry i 4) swojej kochanki. A nie mogli robić wspólnych wycieczek do przeznaczonych na te cele miejsc w Memphis czy w Nowym Orleanie, czy nawet miejscowościach tak odległych, jak St. Louis lub Chicago, co jak przypuszczaliśmy, praktykowali de Spain i jej matka, bo nawet moralność policyjna, nie mówiąc już o moralności tego podejrzanego środowiska, z którym mieliby do czynienia, zbuntowałaby się przeciw odbieraniu spokoju i niewinności głuchej jak pień kobiecie i wywożeniu jej w takich celach z jej rodzinnego prowincjonalnego miasteczka. Więc pozostawał im tylko jego samochód, pośpiesznie i rozpaczliwie ukryty za krzakiem: Gavin Stevens lat pięćdziesiąt, absolwent uniwersytetu Harvard, doktor filozofii uniwersytetu w Heidelbergu, były oficer armii amerykańskiej w kampanii francuskiej 1915—1918; prokurator okręgowy w stanie Missisipi; i Linda Kohl, lat trzydzieści, wdowa, ranna w czasie akcji sił komunistycznych w Hiszpanii, obejmujący się i dyszący w zaparkowanym samochodzie, jakby mieli po siedemnaście lat.

Zwłaszcza gdyby policja wykryła (to znaczy oczywiście, gdyby ktoś przyszedł i powiedział im), że ona jest komunistką. Albo gdyby się o tym dowiedziało miasto Jefferson. Mieliśmy tu dwóch Finów, którzy cudem uciekli z Rosji w 1917 i z Europy w 1919 i wylądowali w Jefferson, w dwudziestym którymś roku,

nikt nie wiedział dlaczego. Jeden był szewcem, ten, który przejął warsztat po panu Nightingale, a drugi blacharzem. Nie byli to ani wyznawcy, ani prorocy komunizmu, bo za mało znali angielski w czasie, kiedy NRA (National Recovery Administration) pana Roosevelta i związki zawodowe robotników zrobili ze słowa „komunistyczny” uciążliwy epitet kierowany zazwyczaj pod adresem CIO * Johna L. Levisa. Istotnie, jak szybko się przekonali, nie było potrzeby ani zaprzysięgania, ani wyznania wiary. Po prostu uznali, że rzecz oczywista, że w Jefferson istnieje proletariatusz tak specyficzny i rozpoznawalny, jak pogoda danego dnia i że odnajdą go, skoro tylko nauczą się po angielsku, a że wszyscy są proletariuszami, wszyscy będą też komunistami, co nie tylko jest ich prawem i obowiązkiem, ale nieuniknioną koniecznością. To było piętnaście lat temu, ale ten grubszy z nich dwóch, szewc, ten, któremu nauka angielskiego szła bardziej opornie, dotychczas był zdumiony i oszołomiony i uważał, że tylko bariera języka jest przeszkodą w porozumieniu, a nie sytuacja proletariuszy w Jefferson, którzy nie tylko nie chcieli uznać się za proletariatusz, ale nawet byli zadowoleni, jako klasa średnia, wierząc, że jest to tylko etap przejściowy w drodze do objęcia banku pana Snopesa albo przedsiębiorstwa hurtowego handlu towarami korzennymi Wallstreeta Snopesa, albo (kto wie?) może rezydencji gubernatora w Jackson czy nawet Białego Domu w Waszyngtonie.

Młodszy, blacharz, był trochę sprytniejszy. Może dlatego, że w przeciwieństwie do szewca, którego siedząca praca bardziej sprzyjała medytacji, mógł więcej krążyć po mieście. W każdym razie stwierdził już od pewnego czasu, że musi najpierw wyprodukować w Jefferson jakiś proletariatusz, którego mógłby być członkiem. Zabrał się więc do dzieła. Jedynymi środkami, jakimi rozporządzał, było nawracanie - komunistów, a jedynym materiałem — Murzyni. Bo my wszyscy biali mężczyźni w Jefferson jednym zgodnym chórem nie mniej silnym, a nawet w gruncie rzeczy głośniejszym — począwszy od tych, którzy w sobotę wieczorem uruchamiali maszyny do prażenia ziemnych orzeszków i kukurydzy, poprzez sklepikarzy korzennych na bocznych uliczkach aż do właścicieli wielkich magazynów, agencji sprzedaży samochodów i firm benzynowych — występowaliśmy przeciwko tym, których nazywano komunistami: Harry Hopkins, Hugh Johnson i wszyscy inni sojusznicy NRA; Eugene Debs*, I. W. W.*, CIO — każdy i ktokolwiek, kto choćby tylko mógł być podejrzany o kwestionowanie naszego rdzennego jeffersonskiego prawa do sprzedaży, uprawiania, kopania, wynajdowania i kupowania jakiegokolwiek towaru możliwe najtaniej, łagodnością czy siłą, drogą wyłudzenia, pochlebstwa czy groźby, i odprzedawania go potem możliwie najdrożej, w zależności od potrzeb, ignorancji czy nieśmiałości kupującego. I to było wszystko, co miała Linda, wszystko, co miała na naszej obcej, kapitalistycznej pustyni, tak dalekiej od jej ojczyzny z wyboru, jeśli była rzeczywiście komunistką, i jeśli komunizm jest nie tylko ideologią polityczną, ale religią, która, żeby istnieć, musi być praktykowana — dwóch emigrantów ze strefy podbiegunowej: jeden właściwie nie władający żadnym ludzkim językiem, troglodyta, drugi — mały, złośliwy, nieznośny szerszeń,

przez którego obaj zostali już wydaleny poza granice społeczne Jefferson nie jako zdeklarowani komuniści {nikt by nie dbał o to, jak dalece komunistyczne są deklaracje tego mniejszego, tak długo, dopóki nie wtrącałyby się do miejscowej skali płac, i obydwaj mogliby być republikanami, byleby nie próbowali się wtrącać do naszych demokratycznych wyborów municypalnych i okręgowych, albo katolikami, tak długo, jak długo nie pikietowaliby kościołów i nie przerywali wspólnych modłów), ale jako przyjaciele Murzynów, wspólnicy, związani sojuszem politycznym z Murzynami. Nie sojuszem społeczno-towarzyskim,- tego nie znieslibyśmy nawet od nich i ten mniejszy w każdym razie znał wystarczająco angielski, jakim mówiono w Jefferson, żeby o tym wiedzieć. Ale sojusz z nimi jakiegokolwiek natury był już czymś podejrzanym: miejscowa policja patrzyła na nich złym okiem, chociaż nie wierzyliśmy naprawdę, żeby cudzoziemiec zdołał wyrządzić jakieś prawdziwe szkody pośród naszych własnych lojalnych czarnoskórych.

A więc, jak widać, jedynym wyjściem, jakie im teraz — Gavinowi i Lindzie — pozostało, było małżeństwo. Potem przyszło Boże Narodzenie roku 1938, ostatnie, nim zaczęły gasnąć światła, i przyjechałem do domu na święta, a ona pewnego wieczora przyszła do nas na kolację. Nie na obiad świąteczny. Nie wiem, jak z tym było: czy matka i Gavin zdecydowali, że delikatniej będzie ją zaprosić i pozwolić odmówić, czy też nie prosić jej w ogóle. Nie, to nie tak. Założę się, że matka zaprosiła ich oboje — ją i starego Snopesa także. Bo kobiety są godne podziwu. Spokojnie i pogodnie przechodzą obok problemu, nad którym mężczyźni głowili się od lat, i wtedy spostrzegamy, że ten problem nie tylko nie miał znaczenia, ale wcale nie istniał. Zaprosiła ich oboje, zupełnie tak, jakby to robiła co najmniej raz na miesiąc przez ostatnie sto lat, ilekroć chciała im sprawić przyjemność, zapraszając ich do swego stołu, albo sprawić sobie przyjemność zaproszenia ich bez względu na to, czy oni myślą podobnie, czy nie. I Linda odmówiła w imieniu ich obojga, zupełnie w ten sam sposób.

Możecie więc sobie wyobrazić ten świąteczny o- biad w tamtym domu, którego nie widział w środku nikt ze znanych mi ludzi oprócz matki (och, na pewno musiała go widzieć od czasu, kiedy Linda była znów w domu) i wuja Gavina: jadalnia — stół, krzesła, bufet, żyrandol i reszta — wyglądająca zupełnie tak samo, jak wyglądała w sklepie meblowym w Memphis, kiedy on, Shopes, przehandlował w nim meble matki majora de Spain; on na jednym końcu stołu, a Linda na drugim i podający im służący w białej kurtce; zimnokrwisty łajdak, którego słownik składał się z dwóch wyrazów: „Nie" i „Pozbawione prawa wykupu”, i oblubienica ciszy, bardziej nieskalana w tej czystości niż żona Cezara, ponieważ była także nietykalna, na zawsze bezpieczna w tej czystości wieczyste nieskalanej; nie mogłaby go usłyszeć, nawet gdyby miał jej coś do powiedzenia, tak jak on nie mógł jej usłyszeć, bo nie rozpoznałby nawet języka, w jakim mówiła. Oboje siedzieli naprzeciw siebie podczas długiego okrutnego rytuału, obowiązującego w ten dzień, inny od wszystkich innych dni; i nikt nie wiedział, dlaczego to robili, dlaczego to znosi, dlaczego ona cierpi i znosi, jakiemu rytuałowi służy i jaką wypełnia pokutę, albo — kto wie — jakim złowróbnym znakiem ma być dla niego jej obecność. Może to. właśnie dlatego. To znaczy, może po to wróciła do Jefferson. Oczywiście nie po to, żeby wyjść za Gavina Stevensa. Przynajmniej jeszcze nie.

Była to więc tylko zwyczajna kolacja, choć matka powiedziała (i niezłomnie w to wierzyła), że to dla uczczenia mojego przyjazdu do domu. I czyż nie po-

■ wiedziałem przed chwilą, że kobiety są niezrównane? Ona (Linda: podarunek Zgadnijcie-od-Kogo) miała małeńki bloczek z cieniutkimi listeczkami z kości słoniowej. takiej wielkości, żeby zmieścić trzy słowa naraz, re złoconymi brzegami, na złotych kółeczkach do przewracania kartek, ze złotym sprężynowym ołówecz-kiem- tak że można było na tym pisać, a potem wycierać chusteczką czy jakąkolwiek szmatką albo ■— gestem całkowicie męskim ■— napluć trochę na duży palec i potem używać bloczku na nowo (z pewnością podarował jej to w zamian za złotą zapalniczkę z inicjałami GLS — chociaż w jego inicjałach nie było „L” ani żadnej innej litery pośrodku — którą ona podarowała mu jakieś pięć lat temu i której nigdy nie używał, bo nikt nie mógł odebrać mu przekonania, że czuje smak tytoniu w swojej fajce z kaczana kukurydzy). I chociaż matka używała bloczka tak jak my wszyscy, było to tylko przypadkowe, jak każdy inny gest ręki w czasie rozmowy. Bo jednocześnie mówiła do Lindy, nie patrząc nawet na swoją rękę, ale patrząc na Lindę, tak że ta nie mogła odcyfrować znaczków stawianych przez nią, założywszy, że matka stawiała te znaki, po prostu zwracając się do Lindy tak, jak do reszty z nas. I słowo daję, że Linda zdawała się ją rozumieć, obydwie kobiety paplały między sobą jak wszystkie inne kobiety, może zresztą żadna kobieta nie słucha drugiej, nie potrzebuje słuchać, bo porozumiały się już z sobą, zanim którakolwiek z nich zaczęła mówić.

Bo wtedy Linda dużo mówiła. Och tak, lekcje Gavina wywarły pewien skutek, bo musiały, za wiele ich było, a w każdym razie dostatecznie dużo, przypuściwszy, że istotnie część tego czasu, który spędzali razem, poświęcali na zmięczenie jej głosu. Ale to był wciąż ten sam gładzący głos; suchy, martwy, nie- żywy, tak, właśnie tak: nieżywy. Nie było w nim radnego uczucia, żadnego ciepła i co gorsze — nie było nadziei. To to samo, co być razem w łóżku w ciemnościach i odczuwać więcej miłości, pasji, ekstazy, niż może się w człowieku zmieścić, tak że trzeba s?ię tym podzielić; szeptać — i mieć do szepciania tylko ten suchy, martwy, kaczy głos. Tym razem (następnego lata były inne prozowane kolacje) zaczęła mówić

o Hiszpanii. \ie o wojnie. To znaczy nie o przegranej wojnie. To było dziwne. Wspominała o tym od czasu do czasu, nie jakby tej wojny nie było, ale jakby oni nie zostali pobici. Niektórzy z nich, jak Kohl, zginęli, a mnóstwo innych straciło rękę czy nogę albo bębenki w uszach, jak ona, a inni rozproszyli się (a wkrótce mieli być prześladowani, badani przez FBI lub dręczeni i ścigani przez grupy policyjne amatorów, choć tymczasem jeszcze do tego nie doszło), ale nie zostali pobici i niczego nie przegrali. Mówiła o ludziach tej wojny, takich jak Kohl. Opowiadała nam

o Ernieście Hemingwayu i o Malraux, i o pewnym Rosjaninie, poecie., który byłby zaćmił sławą Puszkina, gdyby nie poległ w bitwie. A matka pisała coś na bloczku, ale nie więcej zważała na to, co pisze, niż Linda, mówiąc:

— Och, Lindo, nie! Rozumiecie, jakie to tragiczne odejść tak wcześnie nie dokończywszy swego dzieła. — A Gavin zabrał bloczek od matki, ale już mówił, on także:

— Nonsens, Nie może istnieć nic takiego jak Milton niemy i nieznany. Gdyby nawet zginął w wieku lat dwóch, ktoś zawsze napisałby jego dzieło za niego.

Ja nie zajmowałem się bloczkiem. Wątpię, czy udałoby się im go zabrać.

— Nazwiskiem Bacon albo Marlowe — powiedziałem.

— Albo może porządne, solidne nazwisko fachowca, jak Szekspir — rzekł wuj Gavin. Ale. Linda nie

spojrzała nawet na bloczek. Ręczę, że ona i matka wcale go nie potrzebowały.

— Dlaczego? — spytała. — Jaka linijkę czy paragraf, czy nawet stronicę można by stworzyć i napisać tak, żeby zrównoważyła oddanie życia za to, by powiedzieć „Nie” Hitlerowi i Mussoliniemu?

A Gavin, nie troszcząc się już teraz o bloczek:

— Ona ma rację. Ona ma absolutną rację. I dziękujemy za to Bogu. Nigdy nic nie jest stracone. Nic. Nic.

Oprócz Lindy, oczywiście. Gavin mówił, jak pełnym człowiekiem był Kohl. Nie chcę przez to powiedzieć, że był tylko potężnej budowy i tuszy, ale męskim, żywym człowiekiem, który kochał to, co starożytni Grecy rozumieli przez śmiech, i który potrafiłby zadowolić, wypełnić życie emocjonalne i fizyczne każdej kobiety. A Linda miała teraz dopiero trzydzieści lat i — och, tak — jej oczy były piękne i nie tylko oczy; może dla Kohla nie miało znaczenia to, co się kryło pod ubraniem, i nie miałyby znaczenia dla dość szczęśliwych, by po nim nastąpić, nie wyłączając wuja Gavina. A więc teraz zrozumiałem wreszcie, na co patrzę, - ani matka, ani Linda nie potrzebowały patrzeć na to, co matka pisała na tych durnych tabliczkach z kości słoniowej, bo niewątpliwie, od następnego dnia po powrocie Lindy do domu matka była tak zaafierowana, bezlitosna i przejęta swoim zadaniem, jak jedna z matek-łowczyń głów z epoki wiktoriańskiej, podczas otwarcia sezonu łowieckiego w Bath czy Tunbridge Wells, w powieściach Fieldinga, Dickensa czy Smolletta. Potem odkryłem jeszcze coś innego. Przypomniałem sobie, jak mniej więcej rok temu byliśmy sami w biurze wuja i Ratliff powiedział:

— Słuchaj no, czy musisz marnować tę piękną pogodę na medytację i zazdrość o wuja? Ktoś musi wyjść za niego prędzej czy później. Kiedyś będziesz starszy niż on i zanadto zajęty sam sobą, żeby płatać się koło niego i chronić go. Więc równie dobrze może to być Linda.

Rozumiecie, co chcę powiedzieć? Ze najwidoczniej to jednak było dziedziczne. To znaczy to, co posiadała jej matka. Gavin ją widział niegdyś, kiedy miała trzynaście lat, i spójrzcie, co się z nim stało. Potem Barton Kohl zobaczył ją raz, kiedy miała dziewiętnaście lat, i patrzcie, gdzie jest teraz. A ja widziałem ją dwa razy, to znaczy od czasu gdy byłem dość dorosły, by wiedzieć, na co patrzę; raz na lotnisku w Memphis zeszłego lata i dziś wieczór, przy stole, i teraz wiedziałem, że to ja będę musiał odprowadzić mego wuja na bok, do biblioteki czy palarni, czy gdziekolwiek odbywają się takie rozmowy, i powiedzieć:

„Słuchaj no, młodzieńcze: wiem, jak nieuczciwe są twoje zamiary. Chciałbym natomiast wiedzieć, jak dalece są poważne”. A jeśli nie z nim, to muszę pomówić z kimkolwiek innym. Bo to nie będzie on. Wiem od Ratliffa, co powiedział kiedyś Gavin, że jej przeznaczeniem będzie kochać raz, i stracić tego, kogo kochała, i oplakiwać go do końca życia, i może dlatego wróciła do Jefferson; jeśli nie chce się nic więcej, tylko oplakiwać ukochanego, nie ma znaczenia miejsce, w jakim się to robi. A więc była stracona; straciła nawet tego pozostałego, który powinien by się z nią ożenić choćby tylko dlatego, że zrobił dla niej więcej niż ktokolwiek inny, kiedy była dzieckiem, i uczynił z niej to, czym jest teraz. Ale to nie będzie on, on musiał bronić swej własnej prognozy, dowieść racji swoich słów, ktokolwiek miałby przez to cierpieć.

Tak, była stracona. Prowadziła ten czarny samochód baptystowskiego bankiera z prowincji od dnia, kiedy wróciła do domu. Najpierw prawdopodobnie myślała, że będzie jeździła nim sama, póki nie sprze-

ci wił się temu stary Snopes z powodu jej głuchoty. Więc każdego popołudnia czekała w samochodzie do zamknięcia banku i kiedy oboje objeżdżali najbliższe okolice miasta, on nasłuchiwał odgłosu klaksonów. Te objazdy zgadzały się z jego programem, ponieważ cały okręg był jego domeną, jego lennem — akry ziemi, farmy, zbiory — bo nawet jeśli nie miał ich jeszcze na hipotecę, jeśli nie były nawet na drodze do utraty prawa wykupu, to mógł przynajmniej zmierzyć, ocenić własnym okiem, ile dotychczas jeszcze wymyka się jego władzy.

To znaczy, oprócz jednego popołudnia w tygodniu, zazwyczaj we środy. Stary Snopes nie palił ani nie pił, nie żuł nawet tytoniu, - tym, co nieustannie przeżuwały jego szczęki, był, jak to powiedział Ratliff, ten sam mały haust powietrza z Sadyby Francuza, który przywiózł w ustach, kiedy przeniósł się stamtąd do Jefferson, trzydzieści lat temu. Tak, zgubiona; tego popołudnia przyszła nawet nie do wuja Gavina, tylko do Ratliffa i powiedziała: — Nie wiem, gdzie się teraz sprzedaje whisky. — Nie, nie była zgubiona, po prostu za długo nie było jej w kraju. Tłumaczyła Ratliffowi, czemu nie poszła do wuja Gavina: — On jest prokuratorem okręgowym, myślałam, że... — A Ratliff, klepiąc ją po ramieniu, pośrodku ulicy, powiedział tak głośno, żeby wszyscy usłyszeli, skoro ona nie mogła:

— Za długo nie było pani w mieście. Chodźmy. Poszukamy go.

Więc pojechali we troje, samochodem Gavina, na Rozdroże Wyotta do tak zwanego sklepu wędkarskiego, którego właścicielem był niejaki Jakeleg Wattman, żeby wiedziała, gdzie to jest, i następnym razem mogła trafić sama. To znaczy podjechać pod mały nie pomalowany budynek (Jakeleg wolał go nie malować, bo w ten sposób — ilekroć aktualny szeryf

nowej administracji wprowadzającej w życie reformy zawiadamał go o następnej obławie policji — nie był zmuszony do zdrapywania mnóstwa farby, wyciągania gwoździ i demontowania ściany baraku, żeby go przenieść o milę dalej, do czasu gdy fala reformacyj- na zacznie opadać, a on będzie mógł powrócić na dawne, wygodniejsze miejsce w pobliżu brukowanej drogi i samochodów), wysiąść z samochodu i wejść do środka sklepu, gdzie na nie pomalowanych półkach tłoczyły się haczyki, wędkę, pływaki, paczki tytoniu, baterie do latarek, puszki z kawą i konserwami, i naboje do strzelb, z rzędem równiutko przyczepionych pluskiewkami do ściany licencji na sprzedaż trunków Departamentu Dochodu Narodowego Stanów Zjednoczonych i Jakelegiem za kontuarem zabarykadowanym drucianą kratą, w sięgających do bioder gumowych butach, które nosił zimą i latem, z wetkniętym w jeden z nich nabitym pistoletem. Wtedy trzeba było powiedzieć: „Dzień dobry, Jake. Co pan ma dzisiaj?”, a on wymieniał zawsze ten sam jedyny gatunek, jakby mało go obchodziło, czy komuś to smakuje, czy nie, i zawsze tę samą cenę, równie mało zainteresowany opinią klienta na ten temat. I jak tylko wymieniało się żadaną liczbę butelek, Murzyn (również w wysokich gumowych butach, które Jakeleg nosił w zeszłym roku) zniknął gdzieś chyłkiem, a po chwili objawiał się ponownie z butelkami i stał, trzymając je w rękach tak długo, dopóki nie wręczyło się Jakelegowi należności i nie otrzymało reszty (jeśli była jakaś reszta do wydania), a wtedy Jakeleg otwierał okienko w drucianej kratce i wystawiał butelki, wracało się do samochodu i na tym był koniec. Wuj Gavin wprowadził więc z sobą Lindę do sklepiku i powiedział prawdopodobnie: „Dzień dobry, Jake. Oto pani Kohl. Ona nie słyszy, ale ze smakiem i łykaniem wszystko jest w porządku”. A Linda może zapytała:

„Co tu można dostać?” i wuj Gavin napisał prawdopodobnie na bloczku: „Tutaj się nie dyskutuje. Tu się bierze albo nie bierze. Daj mu tylko osiem dolarów albo szesnaście, jeśli chcesz dwie”.

Możliwe że następnym razem przyszła tu sama. Albo może Gavin wszedł do banku, do tego małego pokoiku w głębi, i powiedział: „Słuchaj, ty stary zatwardziały draniu, czy masz zamiar tu siedzieć i pozwalać, żeby twoja jedyna córka, która nie usłyszała by nawet trąb Sądu Ostatecznego, sama jeździła do tej zakazanej budy Jakelega Wattmana kupować whisky?” Albo może to wszystko był prosty zbieg okoliczności. Pewnej środy po południu — on — stary Snopes — nie mógł jej powiedzieć: „Stop, dokąd u diabła jeździsz? To nie ta droga”. Bo ona by nie usłyszała i naprawdę nie wiem, jak on do niej mówił, bo nie mogę sobie wyobrazić jego ręki piszącej cokolwiek oprócz dodawania procentów albo daty upłynięcia terminu. Może po prostu używali mapy drogowej okręgu i mógł jej wskazywać wszystko palcem. Toteż teraz miał już nie jeden dylemat, ale trzy: nie tylko łatwy do rozpoznania samochód prezesa banku, jadący do jaskini nielegalnej sprzedaży alkoholu, ale z samym prezesem w środku, i jeszcze jeden dylemat: czy podać do wiadomości wszystkich przyszłych dłużników hipotecznych w Yoknapatawpha, że on siedzi tu w samochodzie i pozwala swemu jednemu dziecku płci żeńskiej wchodzić do osławionej jaskini w dolinie rzeki i kupować whisky, czy też wejść tam samemu i swoją własną ręką dziekana baptystów wypłacić sklepikarzowi szesnaście spod serca wyrwanych dolarów. Zgubiona. Gavin opowiedział mi, że przeszło rok temu dwaj Finowie komunści zaczęli ją odwiedzać wieczorami (oczywiście na jej zaproszenie) i możecie sobie wyobrazić te wizyty. Było to w salonie. Gavin opowiadał, że urządzili dla siebie rodzaj saloniku na piętrze, ale to było w salonie po drugiej stronie hallu, naprzeciw tego pokoju, w którym stary Snopes, jak wiadomo, spędzał całe swoje życie poza- bankowe. Kapitalistyczny salon i ich troje, dwaj robotnicy emigranci, Finowie, i córka bankiera. Dwie osoby, z których jedna nie umiała po angielsku, a druga nie mogła słyszeć żadnego języka, próbują się porozumieć za pośrednictwem trzeciej, która nie nauczyła się jeszcze ortografii, rozmowa o nadziei, tysiącletnim marzeniu ludzkości; o emancypacji człowieka i wydzwignięciu go z jego tragedii, wyzwoleniu go nareszcie i na zawsze z cierpień, głodu i niesprawiedliwości doli człowieczej. Podczas gdy oddzielony dwojgiem drzwi, w pokoju, gdzie spędzał cały czas poza jedzeniem i gdzie trzymał gotówkę bankową, z nogami opartymi o małą, nie pomalowaną listwę przybitą do stylowego kominka, żując nieprzerwanie to, co Ratliff nazywał łykiem powietrza z Sadyby Francuza, siedział kapitalista, właściciel salonu tego domu, gdzie snuli swoje marzenia, człowiek, który zaczął swoje życie jako nihilista, potem złagodniał do zwykłego anarchizmu, a teraz nie był nawet konserwatystą, lecz torysem, filarem, bastionem istniejącego stanu rzeczy.

Zgubiona. Wkrótce potem zaczęło się to, co w Jefferson nazywa się brataniami z Murzynami. Bez żadnego zaproszenia ani uprzedzenia zaczęła odwiedzać szkoły murzyńskie i zostawała na lekcjach. Nie była zdolna usłyszeć nawet grzmotu, więc mogła tylko obserwować: wyraz twarzy, gesty uczniów i nauczycieli, wystraszonych, a w każdym razie zaniepokojonych nagłą i niewytłumaczoną obecnością białej kobiety, która mówiła coś do nauczyciela twardym, gdaczącym głosem ludzi głuchych, a potem podawała mu blok i ołówek, żeby opowiedział. Az do chwili, kie-

dy — przypuszczalnie tak prędko, jak tylko go zdołał znaleźć wystraszony goniec — zjawił się dyrektor szkoły, człowiek z uniwersyteckim wykształceniem, jak opowiadał wuj Gavin, inteligentny i oddany swemu zawodowi, a potem ona, dyrektor i najstarsza z nauczycielek przechodzili do gabinetu dyrektora, gdzie ona, biała kobieta, prawdopodobnie niepotrzebnie usiłowała wytłumaczyć to, co dwoje Murzynów odgadło już i może zrozumiało, nawet jeśli się z nią nie zgadzali. Bo oni, Murzyni, jeśli nie chodzi o problemy wynikające z palących potrzeb, ignorancji lub strachu, ale o zwykłe problemy ludzkie, są ludźmi łagodnymi i wyrozumiałymi, nawet trochę bardziej niż biali, bo muszą być tacy. Wykazują więcej mądrości w swoich stosunkach z białymi niż biali w stosunkach z nimi, bo musieli przetrwać, stanowiąc mniejszość. Jak gdyby wiedzieli już, że ignorancja i przesady, z którymi będzie musiała walczyć (ignorancja i przesady, które będą przeciwdziałać i niszczyć jej marzenia, a jeśli okaże się dość uparta, mogą zniszczyć ją samą), zaatakują nie od strony rasy czarnej, którą ona usiłowała podnieść, ale białej, którą reprezentowała.

A więc wreszcie stało się to, co przewidywali wszyscy, tylko nie ona zapewne, może przez swoją głuchotę, odosobnienie, życie bez dźwięków, pośród samych tylko gestów. Albo może i ona to przewidywała, ale przeżywszy wojnę, mało o to dbała. Tak czy inaczej wystąpiła zdecydowanie ze swoim pomysłem. Chodziło jej o wprowadzenie w szkole czegoś w rodzaju czterotygodniowej próby, współzawodnictwa, i wygrywający, ci, którzy w danym tygodniu wykażą najlepsze postępy w nauce, mieli spędzić następny tydzień w projektowanej przez nią pewnego rodzaju akademii. Szczegóły organizacji proponowała ustalić później, ale na razie mieli korzystać z małego sa

lonu w domu jej ojca, gdzie będą ;->.ę odbywały wykłady z zakresu wychowania ogólnego. Najlepsi uczniowie z danego tygodnia będą zastępowani przez najlepszych z tygodnia następnego i współzawodnictwo miało objąć całą szkołę, od klas wstępnych do najwyższych, bo podług jej teorii, jeśli się było dość dojrzałym do odbierania nauki w osiemnastym roku życia, to było się nim także w ósmym, kiedy przyswajanie sobie nowych rzeczy przychodzi z większą łatwością. Nie mogła słyszeć, rozumiecie, nie tylko słów, ale tonów i półtonów niepokoju, przerażenia i grozy w głosie Murzyna, który jej dziękował. Toteż sam dyrektor przyszedł w końcu do wuja Gavina — inte- z ligitntny, sumienny człowiek ze spokojną i tragiczną twarzą.

— Czekałem na pana — powiedział wuj Gavin. — Wiem, z czym pan do mnie przychodzi.

— Dziękuję — odpowiedział dyrektor. — W takim razie pan wie, że nic z tego nie wyjdzie, że nie jesteście jeszcze do tego przygotowani i my także nie.

— Niewielu ludzi z pańskiej rasy zgodziłoby się z panem — zauważył wuj Gavin.

— Prawdopodobnie nikt. Tak jak nikt się nie zgodził z panem Washingtonem *, kiedy on to powiedział.

— Pan Washington?

— Booker T. — powiedział dyrektor. — Pan Carver także.

— Ach, tak? — zdziwił się wuj Gavin.

— Ich zdaniem musimy najpierw zrobić tak, żeby biali ludzie nas potrzebowali. Dawniej byliśmy wam potrzebni w dziedzinie ekonomii, jeśli nie kultury, żeby uprawiać waszą bawełnę, tytoń, indygo. Ale to

było błędne, złe i niesłuszne samo w sobie. A więc nie mogło trwać. Musiało się skończyć. I teraz nas nie potrzebujecie. Nie ma dla nas miejsca ani w waszej kulturze, ani w ekonomii. Wy i my kupujemy te same automobile na raty, żeby spalać w nich tę samą benzynę, i te same radia, żeby słuchać tej samej muzyki, i te same lodówki, żeby w nich trzymać to samo piwo — ale to wszystko. A więc musimy sobie stworzyć własne miejsce w waszej kulturze i ekonomii. Nie wy musicie zrobić miejsce dla nas, tylko po to, żebyśmy się wam nie plątali pod nogami, jak tu, na Południu, ani po to, żeby zyskać nasze głosy w celu zwiększenia waszych korzyści politycznych, jak na Północy, ale my sami musimy sobie zrobić miejsce, zmuszając was do tego, żebyśmy wam byli potrzebni. Nie możecie się bez nas obejść, bo nikt inny prócz nas nie może wypełnić tego miejsca w waszej ekonomii i kulturze, które tylko my możemy zająć, a więc to miejsce musi być nasze. Tak, żebyście nie tylko mówili do nas: „Proszę”, ale żebyście potrzebowali nas prosić, żebyście chcieli nas prosić. Zechce pan jej to powtórzyć? Powiedzieć jej, że dziękujemy i nie zapomnimy tego. Ale niech zostawi nas w spokoju. Chcielibyśmy zachować waszą przyjaźń i moc korzystać z waszej pomocy, ilekroć będziemy tego potrzebować. Ale proszę odłożyć swój patronat aż do czasu, kiedy o to poprosimy.

— To nie jest patronat — rzekł wuj Gavin. — Pan także o tym wie.

— Tak — powiedział dyrektor. — Ja także wiem. Żałuję bardzo. Wstyd mi, że... — potem dodał: — Proszę jej tylko powiedzieć, że dziękujemy i będziemy pamiętać, ale żeby zostawiła nas samych.

. — Jak można to powiedzieć komuś, kto podejmuje tak wielkie ryzyko tylko dla sprawiedliwości, dla usunięcia ciemnoty?

— Wiem — powiedział dyrektor. — To trudne. Może nie będziemy mogli obejść się bez waszej pomocy jeszcze przez jakiś czas, jeśli ja już dziś o nią proszę. Do widzenia panu — powiedział i odszedł.

Więc jak mógł wuj Gavin jej o tym powiedzieć? Albo jak mógł jej powiedzieć ktokolwiek inny, czarny czy biały? Bo nie chodzi o to, że nie mogłaby usłyszeć: nie słuchałaby nawet tego jednogłośnie „Nie” w samej szkole murzyńskiej — tej masowej nie oporności, ale bezruchu zwierzęcia, któremu instynkt każe leżeć absolutnie nieruchomo, nie oddychając, nie myśląc nawet. A może jednak usłyszała to, bo natychmiast zmieniła metodę i prosto ze szkoły udała się do rady nadzorczej szkół: skoro nie mogła usuwać ciemnoty stopniowo, w indywidualnych przypadkach, postanowiła spróbować to zrobić jednym zamachem, w skali ogólnej, przez wprowadzenie odpowiednio wykształconych białych nauczycieli do szkół murzyńskich, nie prosząc nikogo o pomoc, nawet Gavina, nachodząc radę nadzorczą szkół, a potem, wobec ich niesławnej rejterady, samą radę nadzorczą okręgu, w jej własnej świętej jaskini, uzbrojona nie w maleńkie tabliczki z kości słoniowej i złoty ołówek, ale w ogromny blok żółtego szkolnego papieru i dostateczną ilość ołówków dla całego personelu. I jak mi opowiadał wuj Gavin, odbyło się to mniej więcej w ten sposób:

Przewodniczący (ołówkiem na papierze): — Przypuśćmy, dla przykładu, że damy białych nauczycieli na miejsce czarnych w szkołach murzyńskich. Co się stanie z nauczycielami-Murzynami? Czy pani zamierza sama wypłacać im rentę?

Gdaczący głos: — Nie. Wyślę ich na Północ do szkół białych, gdzie będą przyjmowani i kształceni tak samo, jak biali nauczyciele.

Ołówek: — Przypuśćmy, znów tylko dla przykładu

du, że wycofamy wszystkich wykładowców-Murzynów. Gdzie pani znajdzie białych nauczycieli, żeby obsadzić katedry opuszczone przez Murzynów w stanie Missisipi? I jak długo, pani zdaniem, pozwoli im się zapelniać wakaty w szkołach murzyńskich w Missisipi?

Gdaczący głos: — Znajdę ich, jeżeli im zapewnicie ochronę.

Ołówek: — Ochronę przed kim, pani Kohl?

Ale na to nie potrzebowała już odpowiadać. Bo to się już zaczęło: słowa „Przyjaciółka Murzynów”, wypisane kredą ogromnymi literami na chodniku przed frontowym wejściem do rezydencji jej ojca, który następnego ranka miał przejść po nich, w swoim czarnym bankierskim kapeluszu, w krawacie związanym w muszkę, żując swój łyk powietrza z Sadyby Francuza. Z pewnością zobaczył napis, Gavin mówił, że nikt nie mógł go nie zauważyć, a do południa zdążyło go obejrzeć całe Jefferson, przechodząc tędy przypadkiem. Ale cóż innego mógł zrobić bankier, ten bankier? Napluć na chusteczkę, uklęknąć i zetrzeć kredę? A później wysłała Linda, kierując się do ratusza, żeby poruszyć resztę władz okręgu, kryjących się za drzwiami zamkniętymi na klucz. I możliwe, bardzo- prawdopodobne, że wcale tego nie zauważyła. W każdym razie to nie żadne z nich, i nie kucharka ani chłopak podwórzowy, tylko jakaś kobieta, sąsiadka, przyszła ze szmatką i zatarła przynajmniej częściowo napis, ze złością, ze złośliwym zapamiętaniem, nie dlatego żeby bronić mrzonek Lindy ani nawet nie przez instynktowną solidarność kobiecą, tylko dlatego, że sama mieszkała na tej ulicy. Gdyby chodziło o ordynarne i nieprzyzwoite słowa, od czasu do czasu wypisywane na trotuarach w bocznych uliczkach w tej części miasta, przeszłaby kolo nich obojętnie, bo przystanąć znaczyło publicznie przyznać, że zna się słowa, których dama znać nie powinna. Ale nikomu nie wolno było pisać „przyjaciółka” czy „nieprzyjaciółka Murzynów” ■— w obelżywy sposób podkreślając ten głuchy, atawistyczny, etniczny lęk — kredą na chodniku ulicy, gdzie ona (i jej mąż oczywiście) mieszkali i mieli swój sklep.

Aż wreszcie prezes rady nadzorczej szkół poszedł przez Rynek do banku i dotarł do tego pokoju w głębi domu, gdzie stary Snopes siedział z nogami opartymi na kominku pośród stert weksli. Chciałbym to usłyszeć, interesant wchodzi i mówi mniej więcej tak: „Nie mógłby pan, na miłość Boską, trzymać swojej córki w domu albo przynajmniej z daleka od zarządu miejskiego?” Z rozpaczą, oczywiście, bo jakiejże mógł spodziewać się reakcji, skoro ona miała trzydzieści lat, była osobą niezależną i wdową, a w dodatku byłym kombatantem z wojny, z wszelkimi tego naocznymi dowodami. Bo nie zaprzestała swojej akcji; przeniosła ją teraz na teren rady nadzorczej, której nieszczęśni członkowie nie ośmielali się otwierać drzwi z klucza w czasie obrad, nie wychodzili nawet w południe do domu na obiad, tylko posyłali po sandwiche do kawiarni „Dixie” i kazali je sobie podawać przez okno. I nagle zaczęli myśleć, że może ona jest łagodna i potulna i mogłaby go usłuchać, ale to on, stary Snopes, nie miał odwagi prosić jej, a cóż dopiero rozkazać, żeby dała spokój. Oczywiście nie wiedzieliście dlaczego, można się było tylko domyślać, jaki weksel czy obligację z jego podpisem mogła reprezentować Linda z tej przeszłości, która zaprowadziła go do tego pokoju w banku, gdzie mógł siedzieć spokojnie i patrzeć, jak się bogaci, pożyczając innym pieniądze i skupując ich długi.

Bo wkrótce musiał oglądać już nie tylko ten anonimowy napis, ilekroć wychodził przez frontowe drzwi swego domu. Pewnej nocy (było to podczas mojej

podróży po Europie) wyraźnie nakreślony i podlany benzyną krzyż zabłysnął na trawniku przed jego rezydencją i płonął, póki nie przyszli go usunąć policjanci, obrażeni i wściekli; oni też zresztą (policjanci) byłiby bezsilni, gdyby nawet nie byli policjantami. Rozumiecie: gdyby ona mieszkała sama albo była córką zwykłego doktora czy adwokata, czy nawet pastora, byłaby jej się przydała taka nauczka, jej i staremu. Jak na złość musiała być córką nie tylko bankiera, ale właśnie tego bankiera, tak że ten płonący krzyż ukazał w jasnym świetle przede wszystkim fakt, że organizacja, która go tam umieściła, składała się z naiwnych imbecylów: jeżeli jedyna obrona i gwarancja czystości białej rasy znajdowała się w rękach, które nie znały, a co gorsza nie potrafiły rozpoznać frontowego podwórze bankiera, to biada tej nieszczęsnej rasie!

W miesiąc później było Monachium. Potem pakt Hitlera ze Stalinem i teraz, kiedy wychodził rano ze swego domu w czarnym kapeluszu bankierskim, z krawatem związanym w muszkę i ze swoim łykiem powietrza z Sadyby Francuza, to, po czym musiał stąpać, nie było już zarzutem anonimowym i niesprecyzowanym, lecz nie budzącym żadnych wątpliwości, złożonym z trzech słów wypisanych w różnych odmianach i kolejności ogromnymi literami na całą szerokość chodnika:

KOHL

Komunista

Żyd

Żyd

Kohl

KOMUNISTA

Komunista

KOHL

2YD

i on, bankier, konserwatysta, torys, który więcej wysiłku niż ktokolwiek inny w Jefferson czy całej Yoknapatawpha poświęcił na to, by cofnąć czas do roku co najmniej 1910, musiał przejść po tych słowach, jak gdyby ich tam nie było albo jakby pochodziły z innej epoki i języka, którego znać nie mógł, pod ostrzałem oczu wszystkich mieszkańców Jefferson, obserwujących przynajmniej przez swych zastępców, czy jego władza nad samym sobą nie załame się bodaj na chwilę. Cóż innego mógł zrobić? Bo teraz już wiecie, odgadliście trafnie, rzeczywiście nie śmiał przy tej przeszłości pełnej zwycięstw i sukcesów, obejmującej już dwa wypadki śmierci; nie tylko samobójstwo, które odebrało jej matkę, bo gdyby był każdym innym człowiekiem, nie tym, którego żona musiała w końcu się zastrzelić, mógłby wychować inną córkę, której Bartonem Kohlem nie byłby żydowski artysta z tą hiszpańską wojną w swoim horoskopie. A potem, w następnej sekundzie, odkrylibyście, że myślicie coś wręcz przeciwnego: że słowa na chodniku, po których musiał deptać, ilekroć wychodził z domu, nie były dla niego złowróżbne i nie groziły mu ruiną i zagładą, tak jak błąd popełniony przy udzielaniu pożyczki nie byłby nieodwracalną klęską, dopóki istniały same pieniądze. Że ostatnią myślą, jaka mogłaby go nawiedzić, byłoby: „To jest mój krzyż. Muszę go znosić”. Bo myślał zupełnie co innego: „Teraz muszę tylko nie dopuścić, żeby ludzie myśleli, że to jest krzyż, nie gambit”.

Potem była Polska. Powiedziałem: — Teraz jadę — a Gavin rzekł: — Jesteś za stary. Niemożliwe, żeby cię teraz wzięli do szkolenia w lotnictwie, jeszcze nie. — Zapytałem: — Jeszcze nie? — a on powiedział: — Skończ jeszcze jeden rok prawa. Nie wiesz, co się wtedy stanie, ale to nie będzie to, co myślisz. — Więc pojechałem do Cambridge i napisał mi,

że teraz zajęło się jego sprawą FBI. „Boję się — pisał. — Nie o nią. Nie o to, czego się dowiedzą, bo to wszystko powiedziałyby im sama, gdyby przyszło im na myśl, że najprostszą rzeczą będzie iść do niej i spytać”. I opowiedział mi resztę: że przestała już wreszcie kołatać do zamkniętych drzwi, za którymi członkowie rady nadzorczej szkół wstrzymywali z przerażenia oddech i teraz już tylko w każdą niedzielę po nabożeństwie zbierała grupę małych Murzyniąt w jednym z murzyńskich kościołów i czytała im głośno, tym suchym, pozbawionym infleksji gładzącym głosem, nie- ortodoksyjne historie biblijne, ale co najmniej opowiadki z folkloru afrykańskiego i baśnie czarodziejские północne, z których coś przyswoiła sobie religia chrześcijańska w swoich sezonowych obrzędach, bez przeszkód już teraz, -bo nawet biali kapłani nie mogli się sprzeciwić temu paradoksowi. A więc nie było już teraz na chodniku napisów „Zyd-Komunista-Kohl” ani nawet „Przyjaciółka Murzynów” (miałoby się o- choćę myśleć, że ze wstydu), przez które musiałyby przechodzić idąc na Rynek, gdzie ją widywano codziennie: oblubienica ciszy, izolowana od świata barierą głuchoty, krocząca śmiało tym samym krokiem, jaki ją charakteryzował, kiedy miała czternaście, piętnaście i szesnaście lat; zupełnie jak młody wyżeł wystawiający kuropatwy.

Więc jak przyjechałem do domu na Boże Narodzenie, powiedziałem do Gavina: — Każ jej podrzeć tę przekłątą legitymację partyjną, jeżeli ją ma. Zrób to. Powiedz jej, że nie może pomóc ludziom. Nie są tego warci. Nie chcą pomocy, tak samo, jak nie chcą rady ani pracy. Chcą ciasta i igrzysk, jednego i drugiego za darmo. Człowiek to cuchnące bydło. Jakim sposobem nie nauczył jej tego rok spędzony na wojnie, która nie tylko zabiła jej męża i rozwalila jej bębni w uszach, ale nawet za tę cenę nie przyniosła zwycięstwa stronie, po której walczyli. Och, wiem, wiem, ty i Ratliff powtarzaliście rai to dość często, słyszałem, jak Ratliff mówił nie raz, ale sto razy: „Człowiek nie jest naprawdę zły, tylko po prostu nie ma rozumu”. Ale to jeszcze jeden powód więcej, bo czyni jego sprawę beznadziejną, niewartą niczyjego cierpienia, wysiłku i fadygi. — Potem przerwałem, bo położył rękę na mojej głowie. Musiał ją wyciągnąć, żeby to zrobić, ale zrobił to zupełnie tak samo jak wtedy, kiedy byłem o połowę niższy i trzy razy młodszy niż teraz, łagodnie i tkliwie, głaszcząc mnie po włosach i mówiąc, także łagodnie i spokojnie:

— Dlaczego sam jej nie powiesz? — Bo to jest dobry człowiek i mądry też, nie licząc tych wypadków, kiedy się myli, bo w tej chwili staje okoniem i bierze zły kierunek, tak że nawet ja to mogę zauważyć, a potem brnie dalej, uparcie, nie odstępując ani na jotę od logiki i wskazań rozumu, dopóki nas nie wciągnie w taką matnię i nie narobi takiego bigo* su, że nawet ja znalazłbym dość rozsądku, żeby tego uniknąć. Ale to dobry człowiek. Może nieraz pomyliłem się ufając mu i idąc za nim, ale nigdy się nie pomyliłem w tym, że go kochałem.

— Przepraszam cię — powiedziałem.

— Nie ma za co. Zapamiętaj to tylko. Nigdy nie trać czasu na żalowanie błędów. Po prostu o nich nie zapominaj.

A więc znów wytropiłem Ratliffa w jego norze. Nie, po prostu go wyzyskałem. Była to tradycyjna doroczna kolacja w okresie Bożego Narodzenia, którą Ratliff sam przyrządzał u siebie w domu i zapraszał wuja Gavina i mnie. Ale tym razem Gavin musiał akurat pojechać do Jackson w sprawie jakichś podatków nałożonych na cały okręg, więc poszedłem sam i siedziałem w czystej, małej kuchence Ratliffa ze szklaneczką zimnego grogu z żytniówki starego pana

Calvina Bookwrighta, którą Ratliff, jak się zdaje, dostawał od niego bez trudu — choć każdemu innemu pan Cal, teraz kiedy już był taki stary, mógł sprzedać swoje wyroby albo darować, albo kazać mu się wynosić za drzwi i nigdy nie było wiadomo, na jaki humor się natrafi — popijając zimny grog przyrządzony według niezmiennej recepty Ratliffa: najpierw cukier rozpuszczony w małej ilości wody, potem whisky, którą trzeba wlewać łyżeczką, wciąż lekko mieszając, potem woda deszczowa ze zbiornika aż do napelnienia szklanki — podczas gdy Ratliff w nieskazitelnie białym fartuchu na niebieskiej spłowiej koszuli, bez krawata, własnoręcznie przez niego uszytej krzątał się przy gotowaniu kolacji. Był diabelnie dobrym kucharzem, nie dlatego, żeby lubił jeść, ale lubił samo gotowanie, mieszanie ingrediencji aż do osiągnięcia perfekcji. Potem zdjął fartuch i zasiedliśmy do kuchennego stołu nad jego specjałami i butelką klawretu, który zawsze Gavin i ja przynosiliśmy mu w prezencie. Potem z karafką whisky przeszliśmy na kawę (jak zawsze) do małego czystoiteńkiego pokoiku, który nazywał salonem, z nieskazitelnie wypolituwaną szafką grającą w rogu, wypolituowanymi krzesłami i kominkiem, w lecie wypełnionym zieloną karbowaną bibułą, ale ze sztucznym polanem w zimie, teraz, gdy postępowanie wreszcie nas dosięgnął i zatopił, i zasiedliśmy przy wypolituowanym stole pośrodku pokoju, gdzie wyciągnięty na ramce pod szklanym kloszem spoczywał krawat z firmy Allanovna — na tle niepełnie szkarłatnym, niepełnie koloru burgunda maleńkie słoneczniki, każdy z niebieskim środkiem, dokładnie w odcieniu jego koszul — który przywiózł z Nowego Jorku trzy czy cztery lata temu, wtedy kiedy on i Gavin pojechali na wesele do Lindy i żeby ją odprowadzić na okręt do Hiszpanii. Prędzej odciąłbym sobie język, niżbym mu powiedział, że ten krawat, ktokolwiek za niego zapłacił (Gavin przypuszczalnie), kosztował prawdopodobnie około 75 dolarów, ale tego dnia, kiedy coś nieopatrznie napomknąłem na ten temat, Ratliff powiedział: — Wiera ile. Sam za to zapłaciłem. Ni mniej, ni więcej tylko sto pięćdziesiąt dolarów.

— Co? — zdumiałem się. — Sto pięćdziesiąt?

— Były dwa — rzekł Ratliff.

— Nigdy nie widziałem tego drugiego.

— Wątpię, żebyś go kiedy zobaczył. Ten drugi to sekret. — Obok stała ta rzeźba, którą mu podarował Barton Kohl i jeśli Gavin próbował dotychczas szukać jej treści, to ja już ją odkryłem, bo nie wiedziałem nawet, po to jest, a cóż dopiero, co robi ów domniemany Wioski chłopiec.

— Brakuje już tylko tej złotej zapalniczki, którą mu ofiarowała Linda — powiedziałem. — Pokój Lindy Snopes.

— Nie — powiedział. — Pokój Euli Varner. Powinno być w nim jeszcze więcej rzeczy, ale może to wystarczy. To już w każdym razie coś. Kiedy miasto ma szczęście być tym, które raz na tysiąc lat, czy coś koło tego, wybiera Eula Varner, żeby w nim oddychać, to przynajmniej trzeba zbudować jakiś... pomnik... nie, to nie jest słowo, którego szukam.

— Sanktuarium — poddałem mu.

— Właśnie to — powiedział. — Sanktuarium dla uczczenia i zachowania w pamięci ludzi, którzy nie mieli do tego szczęścia, którzy z góry zostali skazani na to, żeby być za młodzi...

Przerwał. Stał przede mną, zupełnie nieruchomy. Jednakże wyglądał jakoś dziwnie, jakby pogrążony w medytacjach, ale nie stropiony. Wtedy powiedziałem:

— Mylisz się. Oni tego nie robią.

— Co? — zapytał. — O czym mówisz?

— Ona nie wyjdzie za Gavina.

— To prawda — rzekł. — Będzie jeszcze gorzej. Teraz to ja spytałem: — Co? O czym ty mówisz? Ale on znów był sobą, spokojny, pogodny, nieprzenikniony.

— Ale ja myślę, że on i to przetrzyma — powiedział.

X. GAVIN STEVENS

Mogłem jej to podsunąć, powiedzieć, żeby to zrobiła i usłuchała: podrzec tę legitymację od razu, prędko, bez namysłu, z pasją i triumfem. Była podobna do swojej matki w jednym przynajmniej, musiała nieodzownie, skazana na to przez samo przeznaczenie, znaleźć coś dość pełnego, mocnego i odpornego (w jej przypadku, w tym przypadku nie dość mocnego; Kohl był dość odporny, ale zrobiony tylko z ciała i kości, a więc nie dość trwałe), żeby wziąć to, co ona mogła dać; a jednocześnie skazana była na to, żeby przegrać, w tym przypadku nie dlatego, żeby Barton ją zawiódł, ale dlatego, że on także miał klęskę w swoim horoskopie. A więc jeżeli partia komunistyczna, która już dowiodła swej odporności na kule, a więc nieśmiertelności, zastąpiła go i nie miała uczynić jej wdową po raz drugi, oczywiście podarłaby tę legitymację z pasją, radością i triumfem. Bo jakiego pełniejszego poświęcenia może żądać miłość niż pokory, wyrzeczenia się, zwłaszcza za cenę tego, co ten materialistyczny, niewiedzący świat w swej nieczulej, tępej ignorancji nazwałby tchórzostwem i hańbą? Zawsze w skrytości ducha myślałem, że dawny męczennik chrześcijański lubił, może nawet kochał, swego tura czy swego lwa.

Ale poradziłem coś innego. Był to rok 1940. Ten obłąkany Nibelung zniszczył Polskę i zwrócił się na zachód, gdzie Paryż, odwieczna i wspaniała kurtyzana

cywilizowanego świata, sprzedał mu się jak zwykła prostytutka, i tylko charakter narodowy Anglików zmusił go do nowego zwrotu na Wschód; jeszcze jeden rok i leninowski Frankenstein miałby się stać naszym aliantem, ale za późno dla niej; za późno dla nas także, za późno dla pokoju całego świata zachodniego na przestrzeni następnego stulecia, jak mówił już w sekrecie mały, brzuchaty olbrzym w Anglii, ale konieczność nie ma praw etc.

Zaczął się to w moim biurze. Był to spokojny, schludny, prawie niezauważalny człowieczek, w nieokreślonym wieku między trzydziestką a pięćdziesiątką, z wyglądu taki sam, ak oni wszyscy. Pokazał mi swoją odznakę pod klapą marynarki (nazywał się Gihon), usiadł na moje zaproszenie, powiedział dziękuję i przystąpił do sprawy spokojnie i bezosobowo, jak to oni zawsze robią, jakby powtarzali tylko jakieś błahe zlecenie. Och, tak, ja byłem ostatni, na samym końcu jego listy, bo odfajkował już wszystkie nazwiska przed moim, bez mojej wiedzy, jakby już od wielu dni albo miesięcy przeniknął i zbadał, i przefiltrował wszystko, czego się można było o niej dowiedzieć.

— Wiemy, że wszystko, co robiła lub próbowała robić, było robione zupełnie jawnie, tak by każdy miał możliwość usłyszeć o tym, dowiedzieć się.

— Myślę, że to pan może stwierdzić z całą pewnością! — powiedziałem.

— Tak — odparł — zupełnie jawnie. Zupełnie nieszkodliwie. W najlepszych intencjach, tylko niezupełnie... praktycznie. Nic, czego nie mogłaby zrobić dama, tylko trochę...

— Lekko myślę ■ — odpowiedziałem.

— Dziękuję. Ale w tym sęk. Mogę powiedzieć panu w zaufaniu, że ma legitymację partii komunistycznej. Oczywiście nic pan o tym nie wiedział.

Tym razem to ja powiedziałem: — Dziękuję.

— A gdy ktoś już raz był komunistą... Ręczę panu, że to tak jak ze starym przysłowiem (to nie żadna aluzja oczywiście, jestem pewien, że mnie pan zrozumie), które mówi, że kiedy raz w życiu się zeszło na złą drogę... Co każdy, po chwili spokojnej refleksji, uzna za fałszywe. Ale w tym sęk. To nie jest czas spokoju i refleksji; żądać i oczekiwać tego, a cóż dopiero spodziewać się od rządu i od ludzi, w obliczu tego, czemu będziemy musieli stawić czoło, prawdopodobnie wcześniej, niż się spodziewamy...

— Tak — powiedziałem. — Co chce pan, żebym zrobił? Co, według pańskich przypuszczeń, mogę zrobić?

— Ona... O ile mi wiadomo... jak zostałem poinformowany, jest pan jej najdawniejszym i najbliższym przyjacielem...

— To nie żadna aluzja oczywiście — odparłem. Ale nie powiedział mi „dziękuję”, choć teraz wypadała jego kolej. Nie powiedział nic w ogóle, absolutnie nic. Patrzył na mnie tylko przez swoje okulary, szary, bezbarwny jak kameleon, przerażający jak ślady stóp na wybrzeżu Robinsona Crusoe, zbyt neutralny, zbyt bezbarwny, zbyt kruchy, by udźwignąć ten straszliwy płaszcz, który go okrywał.

— A więc chce pan, żebym użył swego wpływu?

— ... jako obywatel-patriota, dość śmiały, by wiedzieć, że będziemy prowadzić wojnę, my także, w ciągu niecałych pięciu lat (wymieniam tę liczbę jako maksymalną, bo Niemcom wystarczyło tylko trzy lata na to, żeby stracić rozum i sprowokować nas do tej wojny) przeciwko nieprzyjacielowi jeszcze nie znanemu i którego imienia możemy dowiedzieć się za późno...

— ... żebym ją skłonił do oddania panu spokoju nie tej legitymacji i złożenia przysięgi, jakiej jest pan

upoważniony od niej zażądać - powiedziałem. — Ale czyż pani nie wspomniała, że skoro raz już weszło się na złą drogę (bez żadnych aluzji), to już nie można wrócić na dobrą?

— Zgadza się z panem zupełnie — rzeki — w tym przypadku, nie w tym, do którego odnosiło się aluzja.

— A więc czego pan chce ode mnie? Od nrej? - Wyjął z kieszeni mały notes i otworzył go; były w nim wynotowane nawet dni tygodnia i godziny. — Ona i jej mąż byli w Hiszpanii w brygadach komunistycznych armii republikańskiej, przez sześć miesięcy i dwadzieścia dziewięć dni, dopóki on nie zginął w akcji. Ona pozostała jako sanitariuszka w szpitalu jeszcze po swoim wypadku, dopóki republikanie nie ewakuowali jej poza granicę francuską.

— Co figuruje w kartotece nawet tutaj, w Jefferson.

— Tak — powiedział. — Przedtem mieszkała przez siedem lat w Nowym Jorku, żyjąc w nielegalnym związku...

— ... co ją skazuje na potępienie nie tylko w Jefferson, Missisipi, ale w samym Waszyngtonie. — On jednak nie przerwał nawet na chwilę.

— ... ze znanym i zarejestrowanym członkiem partii komunistycznej, utrzymującym bliskie stosunki z innymi znanymi członkami partii komunistycznej, co może nie być zanotowane w pańskich rejestrach w Jefferson.

— Tak — powiedziałem. — A więc?

Zamknął notes i włożył go z powrotem do kieszeni płaszcza i siedział znowu patrząc na mnie, zupełnie chłodny, bezosobowy, jakby dzieliła nas tylko odległość soczewki mikroskopu.

— Znała więc, nie tylko w Hiszpanii, ale, także w Stanach Zjednoczonych, ludzi, którzy nie figurują dotychczas w naszych rejestrach, członków partii i agentów komunistycznych, ludzi ważnych, nie rzucających się tak w oczy, jak żydowscy rzeźbiarze i profesorowie uniwersytetu Columbia i inni, równie inteligentni, Amatorzy... — tutaj dopiero wreszcie zrozumiałem.

— Rozumiem - rzekłem. — Proponuje mi pan wymianę. Zostawi ją pan w spokoju w zamian za nazwiska. Pańskie biuro oczyści ją z zarzutów i zamiast wroga stanie się zwykłą konfidentką. Czy ma pan jakiś mandat na to?

— Nie — powiedział. Wstałem.

— W takim razie żegnaj pana. — Ale on się jeszcze nie ruszył.

— Nie chce pan jej podsunąć tej myśli?

— Nie — powiedziałem.

— Pański kraj jest w niebezpieczeństwie, nawet grozi mu wielkie niebezpieczeństwo.

— Nie z jej strony — odpowiedziałem. Wtedy on także wstał i wziął kapelusz leżący na biurku.

— Mam nadzieję, że pan tego nie pożałuje, panie Stevens.

— Do widzenia panu — powiedziałem.

To znaczy napisałem to. Bo to już było trzy lata temu i naprawdę próbowała uczyć się czytać z warg, Ale nie wiem. Może żyć poza ludzkimi dźwiękami, to znaczy żyć także poza ludzkim czasem, i nie miała czasu się nauczyć, zatroszczyć o to, żeby się nauczyć. Ale i tego nie wiem. Może nie trzeba jej było nawet trzech lat wolności, braku kontaktów słownych, żeby zrozumieć, że cały problem doli człowieka wynika z tej nieustającej gadaniny, jaką się otoczył, odgradził, uciekając od kar za własną głupotę, które w przeciwnym razie — kary, zwykły czerwony atrament — mogłyby z czasem uzdolnić go do rozwiązania problemu jego doli, uczynić ją znośną i opłacalną. A więc napisałem to.

Odejdź stąd. Przenieś się gdzie indziej.

— To znaczy, że mam się wyprowadzić, znaleźć sobie własny dom czy mieszkanie?

To znaczy opuścić Jefferson — napisałem. — Wy-jechać gdzieś indziej. Oddaj mi tę przeklętą legitymację i wyjedź z Jefferson.

— Mówiłeś mi to już przedtem.

— Nie, nie mówiłem — powiedziałem tak głośno, jednocześnie pisząc i planując już, ile miejsca to zabierze: Nie mówiliśmy też nigdy o tej legitymacji partyjnej. Nawet wtedy, trzy lata temu, kiedy pierwszy raz próbowałaś mi powiedzieć, że ją masz, i pokazać mi, a ja nie chciałem nic o tym wiedzieć, nie chciałem cię słuchać. Nie pamiętasz? Ale ona już znowu mówiła:

— Ja myślę o tych czasach, kiedy miałam piętnaście czy szesnaście lat i powiedziałeś, że muszę wyjechać z Jefferson.

Nawet nie napisałem tamtego zdania. Napisałem: Ale wtedy nie mogłaś. Teraz możesz. Oddaj mi legitymację i wyjedź. Stała spokojnie przez chwilę, przez jakiś czas. Nie próbowaliśmy nawet posługiwać się bloczkiem z kości słoniowej w momentach wyjątkowych i krytycznych, jak ten. Tamto było cacko, amulet, kobieca błyskotka, niemal bezużyteczna; cienkie listeczki kości słoniowej obramowane złotem i połączone kółeczkami, każdy listek mniej więcej formatu karty do gry, tak że nie mogło się na nim zmieścić więcej niż trzy słowa na raz — anagram, rebus na poziomie dzieciennym, czy może jakaś historyjka przepisana z elementarza. Znajdowaliśmy się w jej saloniku urządzonym przez nią na piętrze, stojąc przy kominku. Półka nad kominkiem miała akurat odpowiednią szerokość i umieszczona była dokładnie na tej wysokości, żeby kłaść tam blok papieru szkolnego, kiedy mieliśmy dyskutować o czymś, co wymagało ścisłego porozumienia, jak sprawy pieniężne, i ona

mogła czytać słowa w miarę, jak je kreśliła moja ręka, jakbyśmy rozmawiali, prawie tak, jakby słyszała.

— Dokąd? — zapytała. — Dokąd mogłabym wyjechać?

Dokądkolwiek. Nowy Jork. Z powrotem do Europy, oczywiście, ale w Nowym Jorku są jeszcze ludzie, których ty i Barton znaliście, przyjaciele-ró-wieśnicy. Patrzyła na mnie. Ze źrenicami rozszerzonymi tak, jak w tej chwili, jej oczy wydawały się prawie czarne; ślepe także.

— Boję się ■ — powiedziała.

Teraz mówiłem. Mogła odczytać poszczególne słowa z ruchu warg, jeśli mówiło się powoli.

— Ty? Boisz się?

— Tak. Nie chcę być bezradna. Nie chcę być od nikogo zależna.

Moja myśl pracowała szybko, jak w tej sekundzie, kiedy trzeba wyciągnąć kartę albo zrezygnować, kiedy każdy ułamek sekundy oznacza stratę punktu w grze. Napisałem spokojnie, podczas gdy ona obserwowała: W takim razie, od czego ja jestem? — i cofnąłem rękę, żeby mogła odczytać. Potem rzekła tym suchym, martwym głosem, który Chick nazywa gdakaniem.

— Gavin. — Nie poruszyłem się. Powtórzyła znowu: — Gavin. — Nie poruszyłem się. Powiedziała: — Dobrze. Skłamałam. Tu nie chodzi o zależność. Nie będę zależna od nikogo. Po prostu muszę być tam, gdzie ty jesteś. — Nie dodała nawet: „Bo teraz już tylko ty mi zostałeś”. Stała tylko przede mną oko w oko, patrząc na mnie jakby przez coś, co nas dzieliło — przepaść, ciemność. Jej spojrzenie nie było pytające, nie wyrażało niepokoju ani nadziei; za chwilę miałem się dowiedzieć. Powiedziała znowu gdczącym głosem: — Gavin.

Pisałem pośpiesznie łącząc słowa, skracając, opu-

f S' s >>'

szcząc wyrazy zbyt czyste, tak żeby mogła czytać w miarę pisania: W porządku, nie bój się, odmawiam małżeństwa z tobą, 20 lat za duża różnica, zresztą nie chcę.

— Gavin — powiedziała.

Znowu napisałem wyrывая żółte kartki z bloku i kładąc je na bok, na górze. Sie chcę.

— Kocham cię — powiedziała. — Choćbym musiała wymyślić kłamstwo, wymyśliłabym je już za mnie.

Napisałem: Nikt nie skłamał, nie wspomniałem o Bartonie Kohlu.

— Tak — powiedziała.

Napisałem: Nie.

— Ale możesz runie... — powiedziała. Tak jest. U-żyła tego słowa wymawiając je twardym, gardłowym, gładzącym głosem. To był nasz problem od początku, od kiedy zaczęliśmy lekcje dykcji; ton, zmiękczenie głosu, którego ona nie mogła słyszeć.

— To dokładnie na odwrót — powiedziała mi któregoś dnia. — Kiedy twierdzisz, że mówię cichuteczko, to rozbrzmiewa jak grzmot w mojej głowie. Kiedy mówię tak jak teraz, nawet tego nie czuję. — Musiało być tak prawdopodobnie i tyra razem i zapewne zdawało jej się, że zniżyła głos. Stałem przed nią, podczas gdy milkły echa tego, co dla mnie zabrzmiało jak grzmot.

— Zarumieniłaś się — powiedziała.

Napisałem: To słowo.

— Jakie słowo?

Którego przed, chwilą użyłaś.

— Podaj mi jakieś inne, którego mogłabym użyć. Napisz na papierze, żeby mogła zobaczyć i zapamiętać.

Napisałem: Nie ma innego, to jest słowo właściwie jedyne. Ale ja jestem staroświecki i to słowo trochę mnie razi. Nie razi mnie, kiedy go używa kobieta.

i jej te me razi aż do chwili, kiedy zrozumie, że taki jestem. Potem napisałem: To też nie jest prawda, razi to, że cała magiczna pasja namiętności jest streszczona i znika w tym nagim, nieładnym dźwięku.

— Dobrze — powiedziała. — Więc dajmy spokój słowom.

Napisałem: Chciałem powiedzieć, że chcesz...

— Naturalnie, że możesz — powiedziała. — Zawsze. Wiesz o tym.

Napisałem: Nie o to cię prosiłem. Przeczytała. Nie poruszyła się. Napisałem: Spójrz na mnie. Patrzyła na mnie tym spojrzeniem, które za chwilę miałem zrozumieć.

— Tak — powiedziała.

Napisałem: Czyż nie powiedziałem ci przed chwilą że nie masz czego się bać? i tym razem musiałem poruszyć lekko blokiem, żeby przyciągnąć jej uwagę. Powiedziała, nie patrząc:

— I nie muszę wyjeżdżać?

Napisałem: Nie, podsuwając jej blok pod oczy, potem spojrzała na mnie i wiedziałem już, przez co patrzy czy ponad czym: niepewetowana strata, niepocieszony smutek, wierność i wytrwałość. Suchy, gładzący głos mówił: — Gavin. Gavin. Gavin, podczas gdy pisałem:

bo tylko nas dwoje na świecie może się kochać wzajemnie bez... zdanie zostało gwałtownie przerwane, bo uczepiła się mojej ręki, ściskając ją aż do bólu. Twardy, gładzący głos powtarzał: — Gavin. Gavin. Kocham cię. Kocham cię. Kocham cię. — Musiałem wyrwać rękę z uścisku, żeby sięgnąć po blok i napisać: Oddaj mi legitymację. Patrzyła na napisane słowa, odsuwając się lekko,

— Legitymację? — powtórzyła. Potem dodała: — Zgubiłam ją.

Wtedy już wiedziałem: olśnienie, błyskawica. Na

pisałem: Twój ojciec — mówiąc głośno: Och, podły drań, łajdak — mówiąc sobie w duchu: „Zaczekaj. Zaczekaj. Musiał to zrobić. Wejdz w jego położenie. Co mógł zrobić innego, jaką bronią może bronić swojej egzystencji, póki ona jej nie zniszczy — tej pozycji, dla której wszystko poświęcił: żonę, dom, przyjaciół, pokój, żeby uzyskać jedyną nagrodę, jaką znał, bo tylko tę jedną mógł zrozumieć, skoro sam świat, taki jak on go pojmował, zapewnił go, że on sam tego chce, bo to jedyna rzecz warta posiadania”. Oczywiście: jego jedyna możliwa broń: wejść w posiadanie tej legitymacji, zagrozić przesłaniem jej do FBI i powstrzymać ją, zanim ona go zniszczy. A jednak przez cały czas mówiłem do siebie: „Nie bądź naiwny. On tego użyje po to, żeby ją zniszczyć. To prawdopodobnie on sam pisał: Żyd, Komunista, Kohl przed swoim własnym domem, w nocy, żeby zjednać sobie ludzi w mieście tego dnia, kiedy będzie zmuszony odesłać swoje jedyne dziecko do szpitala dla obłąkanych”. Napisałem: Przeszukaj wszystko, twoje biurko, szuflady.

— Ktoś to zabrał — powiedziała. — To było w zeszłym roku. Myślałam...

Napisałem: To twój ojciec.

— Naprawdę? — tak, powiedziała to tym tonem. Napisałem:

Nie wiedziałaś o tym?

— Cóż to ma za znaczenie? Przyślą mi drugą, przypuszczam. Ale to też nie ma znaczenia. Ja się nie zmieniałam. Nie potrzebuję świstka zadrukowanego papieru, żeby tego dowieść.

Tym razem napisałem powoli i starannie: Nie musisz odjeżdżać. Nie będę cię więcej prosił, ale jeśli poproszę znowu, żebyś wyjechała, czy uwierzysz mi i wyjedziesz natychmiast? Przygotuję ci wszystko, zgodzisz się?

— Tak — powiedziała.

Napisałem: Przysięgnij.

— Tak — powiedziała. — Wtedy będziesz się mógł ożenić.

Nie mogłem pisać, ujęła mnie za obie ręce, przyciskając je do piersi. — Musisz to zrobić. Chcę, żebyś to zrobił. Nie możesz się tego wyrzekać. Każdy człowiek powinien to mieć chociaż raz w życiu. Każdy. Każdy. — Patrzyła na mnie: — To słowo, które ci się nie podobało. Moja matka powiedziała tak kiedyś do ciebie, prawda? — To nie było nawet pytanie. — Zrobiłeś to? — Uwolniłem ręce i napisałem: Wiesz, że nie.

— Dlaczego nie?

Napisałem: Bo ona się nade mną litowała. Kiedy się coś robi dla kogoś z litości, to prawdopodobnie nie przywiązuje się do tego wielkiej wagi.

— Ja się nad tobą nie lituję. Wiesz o tym. Czy nie wiesz, że dla mnie to będzie ważne?

Napisałem: W takim razie może nie byłam jej wart i oboje wiedzieliśmy o tym, ale jeśli tego nie zrobimy, może ona przynajmniej pomyśli, że ja mogłem... przedarłem papier, zgmiotłem i wsadziłem do kieszeni. Napisałem: Muszę już iść.

— Nie idź — powiedziała. Potem dodała: — ■ Tak, idź. Widzisz, że już wszystko jest dobrze. Nawet się już nie boję.

Napisałem: Czemu kiedykolwiek miałabyś się bać? Potem na tej samej kartce: Mój kapelusz. Poszła po kapelusz, a ja tymczasem zebrałam resztę zapisanych kartek i włożyłam do kieszeni. Wziąłem od niej kapelusz. Twardy, gdaczący głos mówił: — Gavin — póki się nie odwróciłem. — Jak to powiedziałaś: dwoje jedynych ludzi na świecie, którzy się kocha- ja i nie muszą? Kocham cię, Gavin — mówiła tym głosem, tonem, który był dla niej szeptem, ledwie

dosłyszalnym szmerem, ale dla kogoś, kto miał nieszczęście jeszcze mieć uszy, był tak przenikliwy i szokujący, jak klakson dawniej fabrykowanych pierwszych samochodów.

Wyszedłem prędko, jak najprędzej z jego domu, jego rezydencji, jego pałacu, prosto do banku, do tego pokoiku w głębi, żeby go zaskoczyć, przerazić, stracić nogi oparte o kominek, od razu wyciągając rękę: „Proszę łaskawie oddać mi tę legitymację”. Ale to byłoby zmarnowaniem szansy, odrzuceniem okazji z ogromną korzyścią dla niego. Po co dawać mu możliwość wyboru momentu kapitulacji, pozwolić mu wykazać lojalność wobec FBI? Czemu nie uderzyć pierwszemu z góry, napuścić na niego FBI, zanim zdąży mrugnąć okiem: łagodny, neutralny człowieczek nagle ukazuje mu odznakę tajnej policji i mówi: „Wiadomo z autorytatywnych źródeł, panie Snopes, że jest pan w posiadaniu legitymacji członkowskiej partii komunistycznej. Czy zechciałby pan złożyć oświadczenie w tej sprawie?”

Ale nie wiedziałem, gdzie może być teraz Gihon, a poza tym, jako zdeklarowanemu wrogowi, mógłby mi nie uwierzyć. A więc FBI reprezentowane przez niego odpadało. Musiałem odwołać się bezpośrednio do wszechmocy instytucji zwanej rządem federalnym; sam donos musiał być nieposzlakowany, musiał pochodzić ze środowiska zawodowego i trzymać się u- tartej formy. Oczywiście zwykła kartka pocztowa, zwyczajna groszowa pocztówka. Myślałem najpierw zaadresować ją do prezydenta Stanów Zjednoczonych, ale w powodzi podobnych listów, jakie otrzymywał pan Roosevelt, mój byłby prawdopodobnie zatonał. Pozostawała zwykła policja wojskowa. Ale choć policja wojskowa nigdy nie gubi kawałka papieru, skoro raz już został napisany i podpisany (wszystko inne, owszem, może zginąć, zostać porzucone albo zniszczone, ale podpisany papier nigdy, choćby trzeba było płacić żołd i umundurowanie tysiąca ludzi po to tylko, żeby go pilnować) i mój list odnalazłby się pewnego dnia, choćby po stu latach, to jednak ten okres także był za długi. I w tej chwili nagle usłyszałem sam siebie, zadającego sobie pytanie: — Co jest błędnego w twojej pierwszej koncepcji zwrócenia się do FBI? — Na co jedyną odpowiedzią było: — Nic. A więc widziałem już oczyma duszy cały list. Nadawca musiał być człowiekiem poinformowanym, wiedzieć, że istnieje dwóch Hooverów, jeden zajmował się odświeżaniem dywanów, drugi był niegdyś prezydentem, i że szef biura śledczego nazywa się Hoover. Więc widziałem to już napisane:

HERBERT HOOVER FEDERALNE BIURO ŚLEDTCZE

Potem zatrzymałem się, bo to nie w Waszyngtonie. Nadawca nie tylko musiał być poinformowany, ale kierujący się logiką, toteż pomyślałem najpierw o Więzieniu Stanowym w Parchman, Missisipi, ale tamtejszy dystrybutor poczty musiał być zapewne więźniem dożywotnim, cóż więc znaczył dla niego czas mierzony na dni, nie na lata, zwłaszcza gdy chodziło o zwykłą przesyłkę pocztową. I znów mój list byłby zgubiony. Po chwili miałem już gotową odpowiedź: Jackson, stolica. To było idealne: miasto niezbyt duże, tak że tamtejsi agenci zapewne nie są przepracowani, a nawet mogą nudzić się dostatecznie, żeby w lot pochwycić okazję. Nie mówiąc już o niewielkiej odległości stąd do tego miasta. A więc napiszę tak:

HERBERT HOOVER FEDERALNE BIURO ŚLEDICZE JACKSON, MISSISSIPPI

Jeśli zechce się pan pofatygować do Jefferson, Missisipi, i pszeprowadzić refizję w domu i w banku pana Flema Snopesa, znajdzie pan tam legitymację przynależności do partii komunistycznej. Patriota.

Gdyby ortografia niektórych słów, a zwłaszcza słów „pszeprowadzić refizję” wydała się komuś wytworem zbyt wybujałej wyobraźni, to mogę odpowiedzieć, że autor listu wie dobrze, o czym mówi, i w słowach takich, jak „przeprowadzać rewizję” lub „przynależność do partii”, nie pomyli się nigdy, jakiegokolwiek używałby ortografii.

Gdybym tylko się na to odważył. Rozumiecie? Gdybym nawet włamał się do jego domu i znalazł tę legitymację, i wymazał jej nazwisko, a wpisał nazwisko jej ojca, ona pierwsza przyskoczyłaby do nich z oburzeniem, zaprzeczyłaby, oświadczyła wobec wszystkich, że legitymacja jest jej własnością. Prawdopodobnie byłaby jeszcze przedtem poszła do Gi-hona czy kogokolwiek innego i zadeklarowałaby swoje poglądy, gdyby przyszło jej na myśl, że ich to może interesować. I odtąd aż do czasu, kiedy nawet silniejszy jeszcze sojusznik kosmicznych szaleńców wyczerpie się w końcu, przynosząc pokój i zapomnienie, byłaby stale prześladowana, nagabywana, szpiegowana w dzień i w nocy. Tak że w końcu musiałem powrócić nie do jej naiwnego przekonania, że to nie ma żadnego znaczenia, ale do mojej własnej, bardziej drapieżnej albo bardziej prawniczej koncepcji, że to jest jego jedyne narzędzie obrony i że go nie użyje, póki go do tego nie zmusi strach.

Albo może nadzieja. W każdym razie tak się przedstawał stan rzeczy aż do dnia, kiedy ocalała ją Bitwa o Anglię. Inaczej jedynym rozwiązaniem byłoby iść do niego i zażądać tej legitymacji, a to równałoby się pytaniu nieznanego na ulicy, czy przypadkiem nie on ukradł mi portfel. A więc Bitwa o Anglię uratowała ją i jego także, na pewien czas. To znaczy wiadomości, które do nas docierały, opowiadania o garstce dzieciaków, które stoczyły tę bitwę. Bo do końca wiosny, przez całe lato i jesień 1940 roku Linda zachowywała się coraz bardziej niespokojnie. Och, nadal prowadziła lekcje w szkole niedzielnej Murzynów, nadal „wtrąca się do tego, co do niej nie należy”, jak to nazywano w mieście, chociaż już z większą pobłażliwością, może na skutek przyzwyczajenia, a także dlatego, że nikt nie znalazł jeszcze sposobu powstrzymywania jej od tego.

Tak było do czerwca, kiedy Chick przyjechał z Cambridge. I wtedy nagle zrozumiałem — odkryłem — dwie rzeczy: że teraz Chick reprezentował naszą rodzinę według pojęć socjalnych Lindy i że ona знаła jeszcze lepiej niż on nazwiska lotników z RAF i nazwy maszyn, na jakich latali: Malan i Aitken, Finucane i Spitfire, Beaufighter i Hurricane, Buerling i Deere, i cudzoziemcy, jak Amerykanie, którzy nie chcieli czekać, albo Polacy i Francuzi, którzy nie chcieli być poganiani batem: Daymond i Wzlewski, i Clostermann. We wrześniu zawarliśmy układ: Chick zgodził się na jeszcze jeden rok studiów prawa, a my zgodziliśmy się na uniwersytet w Oxford zamiast w Cambridge. I może to była przyczyna: kiedy wyjechał, nie miała już z kim wymieniać nazwisk. Toteż nie powinienem być zdziwiony, kiedy pewnego dnia przyszła do mojej kancelarii. I nie powiedziała mi, że muszę jej pomóc, że ona musi coś zrobić, nie może tak siedzieć beczynnie. Powiedziała: — Wyjeżdżam. Dostałam pracę w fabryce w Ka-

lifonii, gdzie produkują samoloty wysyłane do Europy. — Nabazgrałem pośpiesznie: Zaczekaj.

— Wszystko w porządku — powiedziała. — Wszystko już załatwione. Napisałam im, że nie słyszę, ale że znam dosyć dobrze aparaty i ich części, żeby się nauczyć tego, co im potrzebne. I odpisali mi, żeby przyjechać i przywieźć tylko jakieś papiery polecające. Rozumiesz, listy z oświadczeniem, że się zna tę osobę dość długo, by ręczyć, że prowadzi się moralnie i nikt jej dotychczas nie przyłapał na kradzieży. Więc ty to zrobisz, bo możesz nawet podpisać: Przewodniczący Komisji Poborowej okręgu Yoknapataw-pha, Missisipi.

A ja znów napisałem: Zaczekaj, a raczej nie, nie napisałem, bo raz już to zrobiłem: trzymałem ją tylko jedną ręką za przegub, a drugą trzymałem blok przed jej oczyma, aż wreszcie przeczytała i przestała mówić, a raczej przerwała na dość długo, żeby przeczytać, albo przynajmniej zamilkła wreszcie i mogłem napisać:

W tej fabryce, we wszystkich fabrykach, indywiduum o nieograniczonej władzy, zwane Bezpieczeństwo, którego praca jest najważniejsza, między nim a wstąpieniem do — zerwałem kartkę pisząc dalej, podczas gdy ona opierała dłoń na moim ramieniu, tak że czułem jej oddech i zapach jej włosów muskających mój policzek — armii, której będzie bronił za cenę życia, dostarczając dowodów bardzo zbliżonych do dywersji, tak że wcześniej czy później dosięgnie i ciebie i usunie pa — zerwałem kartkę nie przestając pisać — miętasz Bilox i Ocean Springs na wybrzeżu Missisipi, byłeś tam.

— Tak. Z matką i — myślałem, że się tu zawaha, ale ciągnęła dalej, bez przerwy — Manfredem. Pamiętam.

Napisałem: Pascagoula stocznia gdzie budują okręty do przewożenia samolotów i tanków jeśli w Kalifornii chcą cię zatrudnić to oni też zechcą pojedziesz tam.

— Tak — powiedziała. Powiedziała: — Rosja. — Głęboko wciągnęła oddech w płuca. — Ale Bezpieczeństwo tam także będzie.

Napisałem: Tak ale to blisko i mogę tam prędko przyjechać i nawet jeśli Bezpieczeństwo, znajdę ci coś innego.

— Tak — powiedziała oddychając spokojnie i powoli na moim ramieniu. — Blisko. Mogłabym przyjeżdżać do domu na niedzielę.

Napisałem: Może będziesz musiała pracować w niedzielę, okręty potrzebne.

— W takim razie ty będziesz przyjeżdżał.

Napisałem: Zobaczymy.

— Ale będziemy razem od czasu do czasu. Dlatego bałam się Kalifornii, bo to tak daleko. Ale Pascagoula jest blisko. Przynajmniej od czasu do czasu.

Napisałem: Oczywiście.

— Dobrze — powiedziała. — Oczywiście, że pojedę.

Odjechała zaraz po Nowym Roku, 1941. Znałem tam pewnego adwokata, tak że mogła znaleźć małe mieszkanie z osobnym wejściem w prywatnym domu.

I sądziła widocznie, że kiedy wreszcie uwolni się od Jefferson, oddalona o dwanaście godzin podróży od zakazów Snopesa i moich, nikt nie przeszkodzi jej planom kupienia małego samochodu i prowadzenia go samej, ale gdy tylko o tym usłyszałem, zagroziłem jej, że sam zawiadomię policję w Pascagoula o jej głuchocie. Zgodziła się więc dać temu spokój, a mój znajomy adwokat załatwił jej przejazd do pracy samochodem transportowym fabryki. Zaczęła pracować w kontroli narzędzi, ale wkrótce napisała mi, że prawie

już zgodzili się zatrudnić ją przy nitowaniu, gdzie głuchota była prawdziwym atutem. W każdym razie mogła znowu nosić kombinezon, nieskończenie mała w tym męskim, a raczej bezpłciowym świecie, zajęta robotą, usiłująca mierzyć swe siły z potworami mechaniki nowoczesnej wojny i może znowu była spokojna, jeśli spokój jest dany komukolwiek na tym świecie. Tak czy inaczej pierwsze listy były: „Kiedy przyjedziesz, pójdziemy...”, „Jeśli przyjedziesz, nie zapomnij...”, a później przez kilka tygodni króciutkie kartki ze słowami: „Brak mi ciebie” i nic więcej, to prawie nieme ubóstwo kartek pocztowych, które wysyłają do siebie półanalfabeci, pisząc: „Chciałbym, żebyś była tutaj” albo: „Tutaj jest nasz pokój”, aż wreszcie przyszła ostatnia kartka, a raczej list, znowu w kopercie: „Wszystko w porządku. Rozumiem, że praca w Komisji Poborowej jest absorbująca. Ale przyjedź tutaj, kiedy tylko będziesz mógł, bo muszę cię o coś prosić”. Na co odpowiedziałem natychmiast (już miałem dodać: bo nie wiedziałem, co myśleć. Ale wiedziałem dokładnie, co myślałem): „Prosić mnie czy coś mi powiedzieć?” Tak że wiedziałem już z góry, jaka będzie odpowiedź: „Tak, prosić cię”.

Wysłałem więc telegram z podaniem daty przyjazdu (było znów lato) i otrzymałem telegraficzną odpowiedź: „Wynajęłam pokój będę na dworcu jaki pociąg serdeczności”, więc zatelegrafowałem znowu: „Przyjeżdżam samochodem do stocni wtorek po pracy serdeczności” i byłem tam zgodnie z zapowiedzią. Wyszła razem z innymi robotnikami ze swojej zmiany, w kombinezonie, wyciągając już do mnie bloczek i ołówek, zanim mnie pocałowała, obejmując mocno ramionami, mówiąc: — Opowiedz mi wszystko — wreszcie zdołałem się uwolnić, żeby napisać, znów ograniczony do trzy czy czterosłownych wykrzykników, zanim mogłem je zetrzeć: Powiedz mi o co chodzi.

— Chodźmy na plażę — powiedziała. Napisałem: Nie chcesz iść do domu przebrać się?

— Nie, chodźmy na plażę.

Poszliśmy. Zaparkowałem wóz i zdawało mi się, że już napisałem: „A teraz mów”, ale ona już wysiadła z wozu i czekała, żeby zabrać ode mnie bloczek i ołówek i schować do kieszeni, potem uczepiła się oburącz mego ramienia, tak że potykaliśmy się co kilka kroków; słońce już zachodziło i patrzyłem na posuwający się wzdłuż wybrzeża nasz wspólny cień, myśląc: „Nie, nie, to nie może być to”, kiedy ona powiedziała: — Poczekaj — puściła mnie, szukając w kieszeni kombinezonu, nie tej z bloczkiem. — Mam coś dla ciebie. Byłabym zapomniała. ■

Była to muszla; prawdopodobnie deptaliśmy po setkach podobnych muszel od chwili, gdy wysiedliśmy z samochodu dwieście jardów stąd i myślałem ciągle: „To nie może być to. To nie może być tak”. — Znalazłam ją pierwszego dnia. Bałam się, że ją zgubię do twego przyjazdu, ale szczęśliwie nie zgubiłam. Podoba ci się?

— Bardzo piękna — powiedziałem.

— Co? — spytała podając mi bloczek i ołówek. Bardzo piękna. Teraz powiedz mi.

— Tak — powiedziała. Znowu ścisnęła mocno moje ramię w obu dłoniach i szliśmy dalej. Myślałem: „Dlaczego nie, dlaczego nie miałyby być tak, dlaczego nie miałyby być gdzieś w świecie przynajmniej jeszcze jeden Barton Kohl, a przynajmniej dobra namiastka, coś, co można zrobić, coś przynajmniej trochę lepszego niż smutek i żaloba”, kiedy Linda powiedziała: — Teraz — i przystanęła, i odwróciliśmy się oboje równocześnie, i staliśmy tak, twarzami do zachodzącego słońca przez ten krótki moment, zanim ostatecznie zanurzyło się w morzu. Wysokie, zwichrzone palmy i sosny zastygły, unieruchomione przez

tę gasnącą już eksplozję, zanim wiatr nocny zacznie smagać i rzucać nimi na nowo. Potem to się skończyło. Było już po zachodzie.

—

Tutaj — powiedziała. — Tak jest bardzo dobrze.

Byliśmy tam. Ocaliliśmy to. Wykorzystaliśmy. Myślę o tym, że ziemia przebyła całą tę długą drogę od początku swego istnienia, a słońce przebyło tę drogę od początku czasu, na ten jeden dzień, minutę, sekundę spośród wszystkich dni, minut i sekund, i nie ma nikogo, by to wykorzystać, dwojga ludzi, którzy by nareszcie znaleźli się razem, po wszystkich trudach i czekaniu, a teraz wreszcie są razem, i poddali się rozpacz przez to długie oczekiwanie, biegną nawet wzdłuż wybrzeża do tego miejsca, już niedaleko, gdzie wreszcie będą sami i razem, i nikt w świecie nie będzie o tym wiedział ani o to dbał, ani się wtrącał, tak jak gdyby cały świat przestał istnieć oprócz nich, tak że świat, który nawet jeszcze nie został pomyślany, może się teraz zacząć.

A ja myślałem: „Może to wierność i wytrwanie muszą być takie przynajmniej raz w życiu, bez względu na to, kto przez to cierpi. Może słyszeliście o miłości, stracie, smutku, wierności, wytrwaniu i widzieliście miłość i stratę, a może nawet widzieliście i miłość, i stratę, i smutek, ale nie wszystkie te pięć rzeczy naraz — czy cztery, bo wierność i wytrwanie, o którym mówię, są nierozłączne” — w chwili gdy mówiła: — Nie chodzi mi tylko o... — i zatrzymała się, nim zdążyłem podnieść rękę, żeby zatkać jej usta (jeżeli zamierzałem to zrobić). — Już dobrze, nie zapomniałem, nie powiem tego więcej — spojrzała na mnie. — Więc może już wiesz, o co chcę cię prosić.

— Tak — powiedziałem; to mogła odczytać z ruchu warg. Napisałem małżeństwo.

— Skąd to wiedziałeś?

To nie ma znaczenia — napisałem. — Cieszę się.

— Kocham cię — powiedziała. — Chodźmy coś zjeść. Potem pójdziemy do domu i będę ci mogła powiedzieć.

Napisałem: Nie do domu. Najpierw przebierz się.

— Nie — potrząsnęła głową. — Nie potrzebuję być elegancko ubrana tam, gdzie pójdziemy.

Nie przebrała się. Wśród innych kobiet, które tam były, mogłaby mieć na sobie wszystko z wyjątkiem trąbki do ucha i listka figowego, a nawet i wówczas uwagę przyciągnęłaby tylko trąbka. Była to tania jadłodajnia. O północy w sobotę (możliwe, że i każdego dnia w tych czasach złotych zysków dla przemysłu budowy okrętów) miejsce to, jeśli chodzi o hałasy, musiało przypominać szpital wariatów, mnie go przypominało już teraz, z głośnikiem radiowym nastawionym na pełny regulator. Ale ostatecznie, ja nie byłem głuchy. Jedzenie natomiast — flądra i krewetki — było pierwszorzędne i kelnerka przyniosła szklanki i lód do butelki, którą przywozłem z sobą; w zgiełku, jaki tu panował, głos Lindy był mniej szokujący. Bo posługiwała się nim teraz, jakby z premedytacją, budując okrągłe zdania, tam gdzie dla mnie wystarczyłoby jedno „tak” lub „nie”, opowiadając szeroko o swojej pracy, o stoczni i swoich kolegach, niemal jak mała dziewczynka, która przyjechała na pierwsze ferie ze szkoły do domu, jedząc pośpiesznie, żeby jak najprędzej z tym skończyć, i kiedy skończyliśmy, powiedziała: — Teraz możemy iść.

Nie powiedziała mi jeszcze, gdzie mam nocować, a ja też nie wiedziałem, gdzie ona mieszka. Więc gdy znaleźliśmy się w samochodzie, włączyłem światło, żeby mogła czytać, i napisałem: Gdzie.

— Tędy — powiedziała.

Był to kierunek do centrum miasta. W pewnym momencie poleciała mi skręcić, a gdy skręciłem, powiedziała, niemal natychmiast: — To tutaj — tak że

musiałem stanąć przy samym trotuarze, żeby napisać: Który dom?

— Hotel — powiedziała. — Tu naprzeciwno.

Napisałem: Musimy porozmawiać. Czy nie masz jakiegoś spokojnego miejsca w domu?

— Będziemy tu nocować oboje. Wszystko już załatwione. Nasze pokoje są obok siebie. Kazałam oba łóżka przysunąć do ściany, żebyś mogła, kiedy już się położymy, zastukać do ciebie w każdej chwili i żebyś mógł usłyszeć, i jeżeli przyłożę rękę do ściany, będę mogła czuć, że mi odpowiadasz. Wiem, nie będę stukać tak głośno, żeby obudzić innych, nikt tego nie usłyszy, tylko ty.

Hotel miał swój własny garaż. Wziąłem walizkę i przeszliśmy do środka. Właściciel znał ją, zapewne od tego czasu wszyscy znali, a przynajmniej słyszeli o młodej, głuchej kobiecie, która pracowała w stoczni. W każdym razie nikt nas nie zatrzymał, on powitał ją wymieniając jej nazwisko, a kiedy mnie przedstawiła, dał mi dwa klucze. Otworzyła drzwi swego pokoju, gdzie była już jej torba z przyborami toaletowymi i kwiaty w wazonie, i rzekła: — Teraz mogę się wykapać. Później zastukam w ścianę.

Powiedziałem: — Tak — ponieważ tego nie musiałem pisać i poszedłem do mego pokoju. Tak, czemuż wierność i wytrwanie ma istnieć tylko dlatego, że my je sobie wyobrażamy? Gdyby ludzkość realizowała swoje marzenia, co by się stało z marzeniami? Ale ona już zastukała w ścianę, więc wyszedłem, dałem pięć kroków do sąsiednich drzwi i zamknąłem je za sobą. Była już w łóżku, wsparta na poduszkach, w luźnej lizesce czy szlafrocжку, z włosami wyszczotkowanymi i rozpuszczonymi na noc (oczywiście obcięła włosy, kiedy prowadziła tamtą karetkę sanitarną, ale teraz były już znów dość długie, żeby je przewiązać wstążką, błękitną jak jej oczy) z tabliczką

z kości słoniowej i ołówkiem w ręce, i posunęła się, wskazując miejsce, żebyś usiadł obok niej na łóżku.

— Nie będziesz tego potrzebował — powiedziała unosząc lekko tabliczkę i zniżając ją znowu — bo musisz tylko odpowiedzieć „tak” albo „nie”, a to mogę słyszeć. Zresztą ponieważ już wiesz, o co chodzi, łatwiej nam będzie rozmawiać. I może, jeśli ci powiem, że chcę, żebyś to zrobił dla mnie, tym łatwiej przyjdzie ci to zrobić. A więc mówię to. Chcę, żebyś zrobił to dla mnie. — Wziąłem od niej tabliczkę.

Naturalnie, zrobię, co zechcę...

— Pamiętasz, kiedy byliśmy dziś na plaży, kiedy słońce zaszło już zupełnie i nie było nic, oprócz zmierzchu, sosen, piasku i oceanu, i nas dwojga, i ja powiedziałam, że to nie powinno być zmarnowane po całym tym długim czekaniu i całej długiej drodze, jaką się przebyło: że powinno znaleźć się na świecie dwoje ludzi rozpaczonych i cierpiących jedno dla drugiego, którzy zasługiwaliby na to, żeby tego nie zmarnować, i nagle zaczęli biec do miejsca, nareszcie już niedalekiego, już prawie tutaj, i wtedy koniec rozpacz i smutków, i... — nagle, podczas gdy ją obserwowałem, jakby pod ciężarem mego spojrzenia, jej twarz rozprężyła się i spłynęła łzami, chociaż nigdy przedtem nie widziałem jej płaczącej i zdawało się, że ona sama nie wie, co się z nią dzieje. Napisałem: Przestań.

— Co mam przestać?

Płaczesz.

— Nie, nie płaczę.

Spójrz na swoją twarz.

Na stoliku przy łóżku było klasyczne owalne lustro i pudełko chusteczek z ligniny, ale zamiast ich użyć, wyjąłem swoją chusteczkę i podałem jej. Ale ona tylko przyłożyła dłoń do policzków dotykając mo-

krej skóry, tak jak to robi ktoś, by sprawdzić, czy jest spocony, nawet otrząsając, strącając łzy, tak jak się strąca krople potu.

— Nie bój się — powiedziała. — Nie wymówię tego słowa. Bo zresztą nawet nie to mam na myśli. To nie jest ważne, tak jak nie jest ważne oddychanie, dopóki nie musisz o nim myśleć, tylko po prostu oddychać, kiedy trzeba. To jest ważne dopiero wtedy, kiedy staje się problemem czy wyjściem, tak jak oddychanie staje się ważne dopiero wtedy, kiedy wynika problem, czy można dalej oddychać, czy nie. Myślę o innych rzeczach, tych wszystkich drobiazgach: jego poduszka z odcisniętym jeszcze kształtem jego głowy; krawat, który zachował jeszcze wygięcie szyi, którą opasywał wczoraj wieczorem, choćby wisiał pusty na poręczy łóżka, nawet buty na podłodze, i prawy wysunięty trochę naprzód, jakby stopy tkwiły jeszcze w nich i stapały tak, jak on stapa, unosząc jedną stopę troszeczkę wyżej niż drugą, tak jak dawniej Murzyni określali chód człowieka dumnego...

Przestań — pisałem. — Przestań. Znowu płaczesz.

— Nie czuję tego. Nie czuję nic więcej na mojej twarzy od tamtego dnia, ani gorąca, ani zimna, ani wiatru, niczego. — Tym razem wzięła chusteczkę i u-żyła jej, ale gdy jej podałem lusterko i zacząłem już nawet pisać gdzie jest twoja pnderniczka, nie wzięła nawet lusterka. — Będę teraz uważała. A więc chcę, żebyś ty miał to także. Kocham cię. Gdyby nie ty, nie doszłabym prawdopodobnie do tego. Ale teraz jestem spokojna. Więc chcę, żebyś ty to. miał. Chcę, żebyś zrobił to dla mnie.

Ale co zrobić dla ciebie, nie powiedziałaś mi jeszcze.

— Ożenić się — powiedziała. — * Myślałam, że wiesz. Czyż mi nie powiedziałaś, że wiesz?

Ja mam się ożenić? Ja?

— O kimże mówiłam? Myślałeś, że ja... Gavin!

— Nie — powiedziałem.

— To mogę zrozumieć. Powiedziałeś „nie”. Kłamiesz. Myślałeś, że mówię o sobie.

— Nie — powtórzyłem.

— Pamiętasz, kiedy mówiłam ci, że ilekroć myślisz, że powinieneś skłamać dla mojego dobra, zawsze mogę liczyć, że wytrwasz w tym kłamstwie, choćby wszystko naokoło przeczyło temu, co mówisz.

— Tak — powiedziałem.

— A więc rozumiemy się. *Nie, ja myślałam o tobie. Oto czego od ciebie chcę. Chcę, żebyś się ożenił. Żebyś ty miał to także. Bo wtedy wszystko będzie dobrze. Zawsze będziemy razem, choćby jedno było nie wiem jak daleko od drugiego. Jak to powiedziałeś wtedy? Dwoje ludzi na całej ziemi, jedynych na świecie, którzy mogą się kochać, nie musząc nie tylko mówić, ale i nie mówić tego słowa, którego nie lubisz słuchać.

Przyrzekasz mi?

— Tak — powiedziałem.

— Wiem, nie możesz od razu jutro znaleźć partnerki, To może ci zająć rok albo dwa lata. Ale wystarczy tylko, żebyś przestał opierać się myśli o małżeństwie. Kiedy to zrobisz, wszystko będzie dobrze, bo reszta przyjdzie sama. Zrobisz to?

— Przysięgam — odparłem.

— Powiedziałeś „przysięgam”, prawda?

— Tak.

— W takim razie pocałuj mnie.

Zrobiłem to. Jej ramiona przez chwilę obejmowały moją szyję twardym, mocnym uściskiem, potem rozluźniły się. — A jutro rano wracaj do domu.

Napisałem: Chciałem zostać cały dzień.

— Nie. Jutro. Wcześniej rano. Przyłożę rękę do ściany, a kiedy będziesz w łóżku, zastukam, a jeśli

obudzę się w nocy, mogę zastukać i ty mi odstukasz, jeśli obudzisz się i będziesz tu jeszcze, a jeżeli nie wyczuje tego stukania, możesz napisać do mnie z Jefferson, jutro albo następnego dnia. Bo teraz już czuję się zupełnie dobrze. Dobranoc, Gavin.

— Dobranoc, Lindo — powiedziałem.

— To także słyszę. Kocham cię.

— Kocham cię — odpowiedziałem.

— I to słyszę, ale napisz to mimo wszystko na tabliczce, to będzie... jak się to nazywa? Pierwszą rzeczą, jaką napotkają moje oczy, kiedy je otworzę, budząc się.

— Tak — powiedziałem sięgając po tabliczkę.

XI. CHARLES MALLISON

Tym razem byłem w mundurze. A więc teraz tylko muszę ustalić, o jakim „tym razie” mówię, i o jakim czasie. Nie chodzi o ten raz, kiedy zobaczyłem Lindę, bo ona jeszcze była w Pascagoula i pracowała przy budowie okrętów, teraz także i dla Rosji. I nie o ten następny raz, kiedy byłem w Jefferson, bo wstąpiłem do domu w drodze po brązowy garnitur. Więc może myślę o tym następnym razie, kiedy wytropiłem Ratliffa. Ale mam na myśli naprawdę to, że następnym razem zobaczyłem wuja Gavina już po ślubie, w charakterze małżonka.

Bo to było w roku 1942 i Gavin ożenił się już z Melisandrą Harriss (onegdajszą Backus, jak mawiał Thackeray); ten dzban nosił wodę z tej studni o jeden raz za dużo, jak mawiał Ratliff, założywszy oczywiście, że to powiedział. Pewnego niedzielnego ranka przyszła wiadomość o Pearl Harbour i wysłałem do Gavina telegram, można powiedzieć, odwrotną pocztą, z Oxfordu: „Już jest, teraz jadę”. Zatelegrafowałem do Gavina, bo inaczej musiałbym przez telefon rozmawiać z matką, a rozmowy międzymiastowe z matką kosztują za drogo, wolałem więc zapłacić czterdzieści dwa centy za telegram, bo w ten sposób rozmowa z Jefferson została zapisana na rachunek o ca.

Byłem więc w domu na czas, żeby osobiście ujrzeć pierwsze niewinne wstrząsy bastionu, który on uważa!

za niezniszczalny, żeby trwać u jego boku, być przy nim w momencie klęski. A oto jak do tego doszło. Nie mogłem uczestniczyć w oficjalnym kursie szkolenia lotniczego przy uniwersytecie, ale powiedziano mi, że każdy, kto ma dyplom uniwersytecki i odbył już kilka lotów samolotem wojskowym, zwłaszcza w pojedynkę, ma zupełnie takie same szanse przyjęcia przez komisje na przeszkolenie wojskowe. Był tu pewien zawodowy lotnik, który rozpylał środki owadobójcze na polach i operował na tym samym terenie; przyjął mnie jako ucznia na większym aparacie niż tamte, których używano na kursie oficjalnym, prawdziwym aparacie do szkolenia wojskowego, jak twierdził.

A więc gdy wysłałem telegram do wuja Gavina, miałem zarejestrowane piętnaście godzin lotu, w tym trzy loty samodzielne, a kiedy matka zadzwoniła do mnie, byłem już spakowany i w drodze do Jefferson. Zdażyłem więc na sam początek, bez względu na to, czy Gavin zgadzał się uznać to za początek, czy nie. Myślę o tej wielkiej farmie hodowli koni, dokąd pani Melisandra Harriss, onegdaj Backus, od czasu do czasu przywoziła dzieci (teraz już były dorosłe, nie miały być pasierbami Gavina, tylko jego powinowatymi) na wakacje z Europy, dopóki Niemcy nie zaczęli wysadzać w powietrze statków amerykańskich, widzialnych z wybrzeży Irlandii. Tak że potem musiała to być już Ameryka Południowa i tym razem przyjechał z nimi argentyński oficer, specjalista od wyścigów z przeszkodami, który, jak uważał ten maniak reprezentujący płęć męską z dwojga młodych Harrissów (nie chcę przez to powiedzieć, że dzieci ciotki Meli- sandry były maniakami, ale że tylko jedno z nich było płęć męskiej), chciał się ożenić z pieniędzmi, którymi dotychczas administrowała ich matka, zamiast z jego siostrą, która miała tylko pensję roczną, tak samo jak on. Postanowił więc (maniak oczywiście) zamordować argentyńskiego wyścigowca z przeszkodami, posługując się w tym celu jednym z tych dzikich ogierów Rafe'a McCalluma, którego on (maniak) kupił czy wycyganił, a w każdym razie umieścił w stajni, dokąd tamten (niewinny Argentyńczyk) omal nie wszedł po ciemku, spodziewając się zastać tam konia nie tylko łagodnego, ale na pół ślepego. Tylko że Gavin wyczytał coś w fusach jego kawy albo użył swego podwójnego wzroku czy pałeczki magicznej, czy czegokolwiek zwykły używać w podobnych wypadkach, dość że sprowadził na nas Rafe'a, żeby pierwszy dopadł do drzwi i zatrzymał tamtego.

Tak więc Argentyńczyk ocalał i tego wieczora maniak dokonał wyboru między komisją poboru do wojska w Memphis a wujem Gavinem i wybrał wojsko, więc także był ocalony, a następnego popołudnia Argentyńczyk i siostra maniaka wzięli ślub i wyjechali z Jefferson i także byli uratowani. Ale wuj Gavin pozostał i następnego dnia musiałem wyjechać do szkoły lotniczej, tak że kiedy przyjechałem do domu następnym razem, byłem w mundurze, a wuj Gavin był już nie tylko żonaty, ale miał pasierba, który o mały włos nie został mordercą, pasierbicę i argentyńskiego zięcia, specjalistę od wyścigów z przeszkodami. W tym czasie ja sam zresztą zawarłem małżeństwo z pewnym bombowcem (nie zostałem pilotem, ale przynajmniej miałem iść na front), którego użyczył mi rząd, ale mi go nie powierzył i przydzielił szpiegów do pilnowania, co z nim robię (a przedtem jeszcze nauczył mnie nie ufać moim szpiegom ani nikomu), umieszczając ich w zamkniętej na klucz czarnej kabinie, która była zamknięta na łańcuch przywiązany do mnie nawet, kiedy spałem — sytuacja nad wyraz niewygodna, ale przede wszystkim stwarzająca ciągłe wzajemne podejrzenia i wzajemną nieufność,

a z czasem wzajemną nienawiść, którą w końcu człowiek nauczył się wytrzymywać, co jest prawdopodobnie najlepszą próbą gwarantującą szczęście w małżeństwie.

Tak więc następnym razem przyjechałem do Jefferson w mundurze i na dość długo, by odwiedzić państwa młodych w ich nowej siedzibie przodków, z białymi palisadami i oświetlonymi elektrycznie stajniami, i udzielić im błogosławieństwa, a potem pobiec do Ratliffa.

— Już nie może się z nią ożenić — powiedziałem. — Jest żonaty.

Nigdy nie myślało się o słowie „mądry” w związku z Ratliffem. W każdym razie nie przedtem, aż do tego czasu.

— To prawda — odrzekł. — Ona za niego nie wyjdzie. Będzie jeszcze gorzej.

Gdy ciężarówka, która go podwiozła z Clarksdale, skręciła na drogę do miasta zwanego Lake Cormorant, musiał wsiąść i dalej iść piechotą. I widać było, że to jeszcze nie jest nigdzie blisko Memphis. Uświadamiał sobie teraz, że to jest najważniejsza, w pewnej mierze przerażająca rzecz, jaka spotkała go od trzydziestu ośmiu lat: zapomniał, co to jest odległość. Zapomniał, jak daleko może znajdować się jedno miejsce od drugiego. A teraz będzie musiał także jeść. Bo wszystko, co miał, to był tylko ten dziesięciodolarowy banknot, który mu dali razem z nowym kombinezonem, kapeluszem i butami przy wyjściu z Parchman, i te trzy dolary i osiemdziesiąt pięć centów, pozostałe jeszcze z tych czterdziestu dolarów, które jego kuzyn Flem — to musiał być Flem; kiedy w końcu zrozumiał, że Flem nie przyjedzie ani nie przyśle nikogo z Sadyby Francuza, żeby mu pomóc, i przestał z okienka więzienia nawoływać każdego, ktokolwiek przechodził ulicą, żeby przekazał jego zlecenie Flemowi, nikt inny tylko Flem, a może sędzia, wiedział i raczył zatroszczyć się o to, co się z nim dzieje — przysłał mu do więzienia osiemnaście lat temu, na krótko przedtem, zanim przysłał Montgomery'ego Warda, żeby go namówił do ucieczki w tym damskim szlafroku i czepku, i oczywiście złapano go wtedy, i dodano jeszcze dwadzieścia lat.

f?v! to mały, schudny, choć bardzo zatłoczony sklepik, obwieszony afiszami, za stacją benzynową przy szosie: obok stał zaparkowany samochód, zakurzony i ochlapany błotem, a w środku znajdował się tylko właściciel i miody Murzyn, odziany w resztki munduru wojskowego. Poprosił o bochenek chleba i nagle przypomniał sobie sardynki, ich smak sprzed czterdziestu lat: mógł wydać jeszcze dziesięć centów, ale z przerażeniem, nie wierząc przez chwilę własnym u- szom, dowiedział się, że puszka sardynek będzie go kosztować dwadzieścia sześć centów — małe, płaskie, solidne w dotyku pudełeczko, które wszędzie i zawsze kosztowało pięć centów' aż do czasów Parchman — i kiedy stał przed ladą, niepewny, nie mogąc otrząsnąć się z szoku, właściciel postawił przed nim inną małą puszkę, mówiąc: — To pan może dostać za jedne- naście centów.

— Co to jest? — spytał.

— Konserwa mięsna — odpowiedział właściciel.

— Co to jest konserwa mięsna?

— Niech się pan nie pyta. Niech pan to po prostu zje. Co innego chce pan dostać za jedenaście centów?

Potem zobaczył naprzeciwko pod ścianą kilka spiętrzonych skrzyń z butelkami, i coś strasznego zaczęło się dziać w jego ustach i gardle, jakby wybuchła w nim fontanna i cieniutkie strumyczki płynu palącego jak ogień albo jakby miliardy kłujących mrówek zaczęły spływać w dół, aż do żołądka; z jakąś pełną niedowierzania zgrozą, powtarzając sobie w duchu: „Nie, nie, to będzie kosztowało przynajmniej jeszcze ćwierć dolara”, usłyszał własny głos, mówiący: — Proszę jeszcze mi dać jedną z tych.

— Całą skrzynię? — spytał właściciel.

— Nie można kupić jednej butelki? — spytał rachując pośpiesznie, myśląc: „Przynajmniej dwadzieścia butelek. To będzie kosztowało całe dziesięć do- iarów. Może to mnie uratuje”. A kiedy właściciel postawił przed nim na ladzie otwartą, pokrytą chłodną mgiełką butelkę, nie miał nawet czasu powiedzieć sobie: „Wezmę ją i wetknę szyjkę do ust, zanim spytam

o cenę, bo inaczej może nie mógłbym jej dotknąć”, bo jego ręka już sięgnęła po butelkę przechylając szyjkę, wpychając ją prawie do ust; pierwszy zimny łyk był zbyt palący, płynął zbyt szybko, żeby czuć było smak, dopóki nie zdołał pohamować, okiełznać swojej niecierpliwości i pasji tak, żeby czuć smak

1 stwierdzić, że bynajmniej nie zapomniał tego smaku przez trzydzieści osiem lat: jak to dobrze opróżnić tę butelkę małymi, odmierzonymi już teraz haustami, a potem odstawić ją na bok i ze zgrozą usłyszeć własny głos:

— Proszę o jeszcze jedną — chociaż w duchu mówił sobie: „Dość! Dość!” Stał spokojny i całkowicie opanowany, kiedy właściciel o- twierał drugą spoconą butelkę, i wziął ją, zamykając łagodnie oczy, a wysączywszy aż do ostatniej kropli wyjął jeden banknot z kieszeni, w której miał trzy dolary (banknot dziesięciodolarowy starannie złożony, owinięty' w gazetę i przypięty agrafką, tkwił w kieszonce w klapie kombinezonu) i położył go na ladzie nie patrząc i czekając, aż właściciel zażąda drugiego banknotu (albo może jeszcze dwóch), dopóki tamten nie wziął go i nie położył na ladzie sześćdziesięciu ośmiu centów reszty.

Dwie puste butelki stały jeszcze nie ruszone i rzucające się w oczy, pomyślał prędko: „Gdybym mógł zabrać tę resztę i wyjść, zanim on zauważy”; ale to, jeśli nie było niemożliwością, to przynajmniej ryzykiem, którego nie ośmielał się podjąć, nie miał na to czasu: zagrać o dwa dolary przeciw krzykowi, przeskoczeniu przez ladę, żeby mu zagrozić drogę do drzwi, dopóki inny szeryf nie przyjedzie go zabrać.

Powiedział więc, nie dotykając monet: — Pan nie policzył za wodę sodową.

— Jak? — spytał właściciel. Rozłożył monety na ladzie: — Konserwa jedenaście centów, chleb... — przerwał i pośpiesznie zgarnął monety znowu w rulon. — Skąd pan mówił, że przychodzi?

— Nic nie mówiłem — rzekł Mink. — Z drogi.

— Wyjeżdżał pan na długo, prawda?

— Tak — odpowiedział.

— Bardzo dziękuję panu — rzekł właściciel. — O- oczywiście, że zapomniałem policzyć tamtych dwóch butelek. Te przekłete związki zawodowe przedrożyły nawet ceny coca-coli, jak wszystko inne. Pan wypił dwie, prawda? — powiedział biorąc pół dolara z ru- lonika monet i podsuwając mu resztę. — Nie wiem, co zrobimy z tym wszystkim, jeżeli ich ktoś gdzieś nie poskromi. Wygląda na to, że trzeba się pozbyć tych cholernych demokratów, jeżeli człowiek nie chce skończyć w przytułkach dla biednych. Dokąd pan idzie, jak pan powiedział? Memphis?

— Ja nie powiedziałem — zaczął Mink. Ale tamten już rozmawiał z Murzynem, wyciągając do Murzyna nową otwartą butelkę.

— To na rachunek firmy. Skocz i podwieź go do skrzyżowania. Tam będzie miał możliwość, żeby go ktoś podwiózł dalej, może ktoś z tamtej szosy.

— Nie miałem zamiaru jeszcze odjeżdżać — rzekł Murzyn.

— Tylko pół mili — odparł właściciel. — Masz jeszcze mnóstwo czasu. Rusz się i żebym cię tu nie widział, póki nie wrócisz. Wszystko w porządku — zwrócił się do Minka. — Stamtąd na pewno ktoś cię podwiezie. Siedział więc znowu w odrapanym, zachlapanym samochodzie i Murzyn przez chwilę zerkał na niego i ukosa, potem odwrócił wzrok.

— Z jakiej drogi pan przyszedł? — spytał Murzyn. Mink nie odpowiedział.

— Pewnie z Parchman, no nie? — Potem samochód się zatrzymał. — To już skrzyżowanie — powiedział Murzyn. — Może tu pan złapie inny samochód.

Wysiadł. — Mocno zobowiązany — powiedział.

— Już pan za to zapłacił tamtemu — rzekł Murzyn.

Więc teraz znowu szedł piechotą. Ale przede wszystkim nie był już w sklepie, nie powinien wstępować do innego sklepu. Gdyby butelki kosztowały po dolarze sztuka, istniałaby określona granica, poza którą pokusa, a przynajmniej brak silnej woli z jego strony, nie mogłyby mu już zaszkodzić. Ale przy cenie ćwierć dolara za sztukę, póki nie dotrze do Memphis i nie będzie miał pistoletu w ręce, w granicach pozostałych dwunastu dolarów nie było jakiegoś dostrzegalnego punktu, poza którym miałyby już spokój; jeszcze zanim wyszedł ze sklepu, mówił do siebie: „Bądź człowiekiem, bądź człowiekiem. Musisz być człowiekiem, masz jeszcze za dużo do zrobienia, czeka cię za duże ryzyko”; maszerując znowu drogą jeszcze trochę się pocił, nie tyle dysząc, ile po prostu głęboko oddychając, jak ktoś, kto przez pomyłkę znalazł się nagle, a potem wyrwał się z ramion Semiramidy czy Messaliny, jeszcze nie dowierzający, oszołomiony i przerażony własną śmiałością i zdumiony, że udało mu się ujść z życiem.

A teraz odkrywał jeszcze coś innego. Przez większość dwudziestu kilku lat przeżytych przed więzieniem i przez trzydzieści osiem lat spędzonych w Parchman stąpał zawsze po miękkiej ziemi. Teraz szedł po asfalcie i nie tylko bolały go nogi, ale wszystkie mięśnie i kości, aż do czaszki; wreszcie zobaczył jakąś kałużę brudnej wody, zarosłą wysokim gęstym zielskiem, bez cienia, przy końcu kanału. Zdął nowe

twarde buty, które mu dali razem z kombinezonem, i usiadł z nogami zanurzonymi w wodzie, żeby zjeść mięso, z puszki i chleb, myśląc: „Muszę na siebie uważać. Nie powinienem nawet wchodzić tam, gdzie sprzedają” — nie w rozpaczy, nadal nie pokonany. „To pewnie będzie kosztowało całe dziesięć dolarów, może więcej. Więc zostaje tylko te trzy dolary osiemdziesiąt pięć, a z tego już wydałem osiemdziesiąt dwa.” Wyjął garść monet z kieszeni i starannie rozłożył przed sobą na ziemi: miał przedtem trzy banknoty dolarowe i osiemdziesiąt pięć centów, — przeliczył dokładnie osiemdziesiąt pięć centów, pół dolara, ćwierć dolara i dwie piątki i odłożył je na bok. Tamtemu człowiekowi w sklepie dał dolara i tamten wydał mu resztę, za chleb — jedenaście centów, to znaczy dwadzieścia dwa, potem tamten zabrał z tego pół dolara za wodę sodową, czyli razem siedemdziesiąt dwa centy, czyli powinno jeszcze zostać dwadzieścia osiem centów; liczył powoli wydaną resztę, moneta za monetą, potem przeliczył jeszcze raz tamte monety, które odłożył na bok, żeby sprawdzić, czy są dobrze policzone. Mimo wszystko było tylko osiemnaście centów zamiast dwudziestu ośmiu. Dziesiątka w jakiś sposób znikła. A mięso w puszcze kosztowało tylko jedenaście centów, pamiętał dobrze, bo była o tym mowa. Więc to chleb, musiał to być chleb. „Podrożał o dziesiątkę przez ten czas, kiedy tam stałem — myślał. — A jeżeli chleb mógł podskoczyć o dziesięć centów akurat przez tę chwilę, kiedy na niego patrzyłem, to może nie uda mi się kupić pistoletu nawet za trzynaście dolarów. Więc muszę się gdzieś zatrzymać i dostać robotę.” Na szosie był ożywiony ruch, ale pojazdy pędziły teraz szybko; samochody były wielkie, nowiutkie, a ciężarówki ogromne, jak wagony kolejowe; nie było już małych zakurzonych budek, w których by mu proponowano miejsce, tylko rozpędzone wehikuły bogatych ludzi, którzy na pewno nie dostrzegliby nawet po jedynego człowieka w kombinezonie, idącego piechotą. Albo może jeszcze gorzej: wielkość, szybki pęd i olśniewający połysk tych maszyn odstraszyłyby może jakiś pojazd, który by się zatrzymał, żeby go zabrać, bo nie chciano by go mieć pod nogami w Memphis także. Nie było jeszcze widać Memphis, nawet z daleka, i nie mógłby nawet powiedzieć, kiedy je będzie widać. Myślał: „Może będę potrzebował jeszcze drugich dziesięciu dolarów, zanim w ogóle dojdę tam, gdzie mogę kupić pistolet”. Ale tak czy owak musi dotrzeć do Memphis, zanim to się stanie aktualnym problemem i przeszkodą; tak czy owak te trzynaście dolarów i trzy centy, które jeszcze miał, muszą pozostać nietknięte, bez względu na to, ile będzie musiał jeszcze do nich dodać, żeby się tam dostać. Musi więc w jakiś sposób zdobyć więcej pieniędzy i wystrzegać się przydrożnych sklepików, gdzie sprzedają wodę sodową. „Więc będę musiał się gdzieś zatrzymać i poprosić o jaką robotę, a nigdy w życiu niko- go jeszcze nie prosiłem o robotę, i może nawet nie wiem, jak się to robi — myślał. — I to mi może zająć przynajmniej jeszcze jeden dzień, a może i więcej niż jeden.” Myślał dalej, wciąż nie zgnębiony, spokojnie: „Jestem na to za stary. Człowiek, co ma sześćdziesiąt trzy lata, nie powinien mieć do czynienia z takimi rzeczami”, ale wciąż bez rozpaczy, jeszcze dotychczas nie pokonany. Ale jeżeli człowiek musiał czekać przez trzydzieści osiem lat, to jeden dzień czy dwa, a nawet i trzy, już mu nie zaszkodzą.

Kobieta była tęga, ale nie tłusta i nie stara, wyglądała na szorstką; w bezkształtnej, podobnej do worka niezbyt czystej sukni stała na małym zaśmieconym podwórku obrywając uschłe gałązki klematisu pnącego się po kracie na ścianie małego domku.

Ef

- Czy jesteście człowiekiem Bożym?. — zapytała. i
— Co proszę? ,
— Wyglądacie na kaznodzieję. I
— Nie — powiedział. — Przychodzę z daleka. Wyjeżdżałem na długo. j
— Co umiecie robić? |
— Mogę to poobrywać. Mogę pozamiatać podwó- i rze. {
— Co jeszcze? j
— Byłem farmerem. Zdaje się, że mogę robić wszy- . | stko. jj
— A mnie się zdaje, że najpierw potrzebujecie coś zjeść. Dobrze. Wszyscy jesteście stworzeniami Bożymi. Najpierw skończcie obrywać te gałęzie. Potem znajdziecie grabie przy drzwiach kuchni. I pamiętajcie, że będę na was patrzeć.

Może i patrzyła przez firanki. Nie wiedział tego. Nie próbował stwierdzić. Ale stała już na małej werandzie frontowej, kiedy rzucił ostatnią szuflę śmieci na stertę, i powiedziała mu, gdzie są taczki; potem dała mu trzy zapalki kuchenne i patrzyła, jak popychał taczki na sąsiednie puste podwórze i palił śmiecie. — Niech pan postawi taczki i grabie tam, gdzie były, i przyjdzie do kuchni.

W kuchni był zlew, lodówka, piecyk kuchenny, stół i krzesło, a na stole półmisek nie dogotowanego ziejonego groszku z kawałkami zsiniałej szynki, dwie kromki chleba na spodeczku i szklanka wody. Stał przez chwilę spokojnie, z rękami zwisającymi po bokach, spoglądając na jedzenie.

- Nie chcecie jeść? A może to za skromny posiłek na tak wielkiego pana?
— To nie to — powiedział. — Nie jestem głodny. Muszę, dostać pieniądze, żeby iść dalej, dojść do Memphis, wrócić do Missisipi.
— Zjecie tu obiad, czy nie?

— Tak — powiedział. — Mocno zobowiązany.

Patrzyła przez chwilę, jak siadał, a potem otworzyła lodówkę, wyjęła otwartą puszkę kompotu i postawiła przed nim. Była w niej połówka brzoskwini.

— Macie tu — powiedziała.

— Tak — odpowiedział. — Mocno zobowiązany.

Może obserwowała go nadal. Zjadł, ile mógł (wszystko było zimne) i odniósł talerz, nóż i widelec do zlewu, żeby je umyć, kiedy znowu weszła do kuchni.

— Zrobię to dla was — powiedziała. — Pójdziecie drogą jeszcze cztery mile. Znajdziecie skrzynkę pocztową z napisem „Brat Goodyhay”. Umicie czytać, czy nie?

— Znajdę tę skrzynkę — powiedział.

— Powiedźcie mu, że was przysyła Beth Holcomb.

Znalazł ją. Musiał znaleźć. Myślał: „Muszę ją znaleźć”, i myślał, że może potrafi przeczytać nazwisko na skrzynce po prostu dlatego, że musi to przeczytać, musi przeniknąć niezrozumiałe hieroglify. Stał teraz patrząc na metalową skrzynkę z napisem „Brat J. C. Goodyhay” ręcznie wymalowanym farbą, nie niechlujnie czy niedbale, lecz niecierpliwie, z jakąś dziką niecierpliwością; myśląc bądź przedtem jeszcze, bądź w momencie, kiedy uświadomił sobie, że ktoś na niego krzyczy: „fMoże cały czas mogłem czytać, tylko nie wiedziałem o tym, póki nie musiałem”. W każdym razie usłyszał głos i przenosząc wzrok z maleńkiego, niewiarogodnie zaśmieconego podwórka na inny mały domek z taką samą jak tamten maleńką werandą zobaczył jakiegoś człowieka, który machał do niego jedną ręką, krzycząc: — To tu! Wejść! — Był to chudy mężczyzna około czterdziestki, o szybkich ruchach, zimnym i pełnym furii spojrzeniu, z górną wargą wydłużoną jak u adwokata czy kaznodziei, i z długą brodą purytanina z dawnych karykatur.

— Do diabła! Nowy kaznodzieja!

— Nie — powiedział. — Dawno nie byłem w tych stronach. Chciałbym...

— Dobrze, dobrze — przerwał mu tamten. — Zaraz do ciebie wyjdę — i pośpiesznie wszedł z powrotem do domu.

Mink obszedł dom naokoło i wrócił na podwórko, które, jeśli to możliwe, przedstawiało się jeszcze bardziej żałośnie niż front, i stał tam jeszcze jeden domek, który wydawał się nie tyle w stanie rozbiórki, co zapadnięty — zbiór belek, legarów, ram okiennych i futryn, całych nie tkniętych przepierzeń, pośród których poruszał się, raczej stał z siekierą w ręku człowiek, równie stary jak Mink, chociaż miał na sobie battle-dress typu, który został skopiowany według modelu brytyjskiego dopiero po Pearl Harbour, z odznaką dywizji na ramieniu, co również nie istniało przedtem; gdy Mink ukazał się na podwórzu, starzec zaczął pośpiesznie machać siekierą pośród stert narąbanego drzewa, akurat w porę, gdyż drzwi domu otwarły się z trzaskiem i wyszedł z nich ten pierwszy mężczyzna niosąc piłę. Mink zobaczył krzyżak do piłowania i mały stos popiłowanych desek. — Dobrze, dobrze — powiedział tamten pierwszy, podając Minkowi piłę. — Odkładaj na bok wszystkie dobre kawałki. Nie rozszczepiaj desek, żeby wrywać gwoździe, powyciągaj obcęgi. Staraj się tak piłować, żeby wszystkie sztuki były jednakowej długości. Dziadzio tu popilnuje, ja będę w domu — i wszedł z powrotem do środka. Drzwi, które zaledwie rozchylił, same zatrzasnęły się za nim gwałtownie, jak gdyby automatycznie otwierało je i zamykało jego przejście.

— Więc ciebie też złapali? — spytał starzec w battle-dressie (to był Dziadzio).

Mink nie odpowiedział na to. Zapytał: — Czy to jest ten, co mówi kazania?

— To jest Goodyhay — odpowiedział stary. — Jeszcze godnie widziałem na ambonie, ale choćby nawet nie otworzył ust, to byłby lepszym kaznodzieją niż kucharzem. Ostatecznie ktoś musi tu gotować. Jego żona uciekła z jakimś facetem, co sprzedawał frytki, jeszcze zanim tamten wrócił z frontu na Pacyfiku. Wszystkie to robiły wtedy na prawo i na lewo, a teraz też nie zauważyłem, żeby przestały, chociaż już nie mogą się tłumaczyć wojną. Ale co u diabła, zawsze mówię, że jakaś żaba zostaje w kałuży, choćby inne powyskakiwały. A więc złapali cię, co?

Tym razem odpowiedział: — Muszę iść do Memphis, a potem dalej do Missisipi. Już jestem opóźniony, więc muszę wyruszyć jeszcze dziś wieczorem. He on tu płaci?

— O, nie takie to proste — powiedział stary. — Ja też tak myślałem trzy dni temu: zgarnąć dolara czy coś koło tego i chodu. Bo oni tu budują kościół, mój ty w gorącej wodzie kąpany chłopysiu. Miejmy obaj nadzieję, że ten łobuz będzie miał w niedzielę kazanie, bo nie dostaniemy forsy aż po niedzielnej kweście.

— W niedzielę?

— Tak — potwierdził tamten. — Dziś już czwartek, policz sobie.

— W niedzielę — powiedział. — To jeszcze trzy dni.

— Słusznie — powiedział stary. — Tutaj niedziela zawsze jest w trzy dni po czwartku. Takie prawo.

— Ile dostaniemy w niedzielę?

— Może dolara w gotówce. Pracujesz tu dla Boga, nie dla mamony. Ale w każdym razie będziesz nakarmiony i wyspany.

Nie mogę tak długo pracować za jednego dolara; — powiedział. — Nie mam czasu.

-- Może zarobisz więcej niż dolara. Z tego, co tu słyszałem, on coś tam ma. W każdym razie dostaje. Zdaje się, że był sierżantem marynarki na Pacyfiku, póki któregoś dnia japoński nurkowiec nie naleciał prosto na nich. Wtedy każdy starał się wskoczyć do wody, zanim bomby wybuchną, oprócz jednego maminsynka, który za bardzo się przestraszył czy zaplątał w sznury, czy coś, tak że nie mógł się ruszyć i nasz wielebny (tylko że wtedy jeszcze nie był wielebny, dopiero w parę minut później) wrócił się, żeby maminsynka rozplątać, kiedy cały statek podskoczył w górę i znalazł się na dnie razem z maminsynkiem i wielebny, zanim wielebny zdążył siebie i jego wypłatać i wrócić na górę. Tak opowiadali ci, co mu dali medal, bo z tego, co mówi wielebny, a przynajmniej jego kongregacja — jak słyszałem, wszyscy, co w niej są, to dawni żołnierze albo ich żony, albo takie, z którymi spali, ale jeszcze się nie zdążyli ożenić, przetoż sami młodzi, oprócz kilku starszych, wciągniętych przez ten odkurzacz, można powiedzieć, może mamy i taty żołnierzy, którzy polegli, albo tacy, jak ta siostra Holcomb, co się przytuliła na drodze i co pewnie nigdy nie rozstała się dostatecznie, żeby mieć dziecko, a już Boże dopomóż jej mężowi, jeżeli go kiedykolwiek miała; ta to nawet nie została wciągnięta, tylko sama zatrzymała autobus, bo wyglądało, że się przejedzie za darmo... — Przerwał na chwilę, potem rzekł: — Nie, właściwie wiem, po co tu wstąpiła: żeby słuchać pewnych słów, których on używa w kazaniu. Na czym to skończyłem? Według tego, co mówi wielebny, leżał już sobie spokojny i bezpieczny na dnie Oceanu, kiedy nagle sam Jezus stanął nad nim i powiedział: „Powstań”, więc powstał i Jezus powiedział: „Baczność! W tył zwrot” i wysłał go

na pozycję stałą, właśnie tu, koło Memphis, Tennessee. Coś tam ma, dosyć, w każdym razie, żeby zwerbować tylu wyznawców nowej wiary, że muszą mieć kościół, żeby się pomieścić. I niech mnie powiesz, jeżeli nie wierzę, że dostanie nawet cieśnię, który go skleci. Co powiedział, jak cię zobaczył?

— Co? — spytał Mink.

— Co powiedział, kiedy pierwszy raz na ciebie spojrział?

— Powiedział: „Do diabła, nowy kaznodzieja”.

— Rozumiesz? Zahipnotyzował ludzi, żeby przeszukali okolice i znaleźli taki budynek, gdzie nikt nie siedzi na ganku, zwalili go i przewieźli tutaj, a potem porąbali wszystko, to właśnie, co my robimy. Ale jeszcze nie znalazł mistrza ciesielskiego, żeby sklecić z tego kościół. Bo mistrzowie ciesielscy należą do związku i pracują tylko za gotówkę, tyle a tyle m dzień pracy, a jego misja została mu powierzona bezpośrednio przez Chrystusa, który nie interesuje się pieniędzmi, przynajmniej nie pod kątem widzenia płac. Więc teraz on i jego straż rozstawione po drodze, jak ta siostra Holcomb, co się przyłapała, przesiewają nas wszystkich przez sito, żeby znaleźć cieśnię.

— Przez sito? — zapytał.

— No, przez sito. Jak mąko. Wypróbują ludzi na tym podwórzu, póki nie znajdzie się taki, co potrafi z tych belek, desek i ram okiennych zbić kościół, kiedy już ich dosyć napilujemy i ułożymy w sterty. Toteż może lepiej zabierzmy się do roboty. Jak dotychczas nie zauważyłem jeszcze, żeby uas- szpiegował przez szparkę w żaluzji, ale jako były marynarz, choćby przeszedł na służbę Bożą i został pastorem, prawdopodobnie nie jest człowiekiem, z którym warto by żartować.

— Chcesz powiedzieć, że ja Die mogę stąd odejść?

— Jasne, że możesz. Wszystkie drzwi są tu otwarte.

Le. Ale nie dostaniesz forsy, póki nie zrobią kwesty w niedzielę. Nie mówiąc już o tyra, że tu masz nocleg i io, co on nazw\va jedzeniem, jeżeli nie jesteś zbyt wybredny.

Rzeczywiście w tym domu nie było firanek ani drewnianych żaluzji, przez które mogli być szpiegowani. Kiedy rozglądał się naokoło, wszędzie można było dostrzec ten sam gwałtowny chaos, prowizoryczność i dom podobny był do tej zbieraniny drewnianych ścian, okien i drzwi, pośród której on i ten drugi człowiek pracowali; wszystko wydawało się prowizorycznie pozbijane gwoździami i tylko dlatego trzymał się w pozycji pionowej. Od czasu do czasu, w miarę jak rosła sterta desek i różnych kawałków drzewa na rozpałkę, które pilowali, Mink słyszał kaznodzieję poruszającego się w domu i myślał: „Jeżeli tam wszedł, żeby ułożyć swoje kazanie, to widać, że przygotowanie do kazań wymaga tyle ruchu i szybkości, co osiodłanie muła”. Był już prawie zmierzch, pomyślał: „To będzie przynajmniej pół dolara. Muszę go dostać. Muszę iść dalej. Nie mogę czekać do niedzieli” — kiedy drzwi otworzyły się z trzaskiem i kaznodzieja powiedział: — Dobra. Kolacja gotowa. Chodźcie.

Wszedł za Dziadziem do domu. Nikt nie wspomniał o myciu. — Myślałem... — zaczął mówić. Ale już było za późno. Tu także była kuchnia, ale nie tyle spartańska, co nędzna, rodzaj campingu przy drodze; był tu piecyk, który Mink określił w duchu jako „też automatyczny”, bo nie widział nigdy piecyka elektrycznego ani gazowego oprócz tego u pani Holcomb, a nad nim stał Goodyhay, w stanie jakiejś nieruchomej, biernej furii, znajdującej swój wyraz w gwałtownym skwierczeniu tłuszczu na patelni. Mink powiedział znowu: — Myślałem... — kiedy Goodyhay odszedł od piecyka z trzema talerzami: na każdym leżała porcja jakiejś zielonej substancji, która na tle emaliowanej powierzchni zdawała się czymś tak obcym, samotnym i nie nadającym się do jedzenia, jak krowi placek. — Już jadłem — powiedział Mink. — Myślałem, że teraz pójdę dalej.

— Co? — spytał Goodyhay.

— Nawet jak dojdę do Memphis, to jeszcze mi zostanie szmat drogi. Muszę stąd wyjść wieczorem.

— Więc chciałbyś teraz dostać pieniądze — powiedział Goodyhay stawiając talerze na stole, gdzie przedtem już postawił olbrzymią butelkę przyprawy pomidorowej, talerz z pokrajanym chlebem, cukierniczkę i otwartą puszkę skondensowanego mleka. — Siadajcie — powiedział Goodyhay wracając do piecyka, skąd dolatywał zapach kawy, wrzącej z tą samą gwałtowną niecierpliwością, którą dostrzegało się w smażonym kotlecie, w stertach drzewa na podwórzu i w napisie na skrzynce pocztowej. Potem Goodyhay odwrócił się od pieca z trzema filiżankami kawy w rękę i powtórzył: — Siadajcie. — Dziadzio już siedział za stołem. — Powiedziałem, żebyś usiadł — rzekł Goodyhay. — Dostaniesz pieniądze w niedzielę po zbiórce.

— Nie mogę czekać tak długo.

— Dobrze — powiedział Goodyhay polewając jego talerz sosem pomidorowym z butelki. — Najpierw zjedz kolację. Zapłaciłeś już za nią.

Usiadł. Tamci dwaj już jedli, właściwie Goodyhay już skończył, wstając w tym samym momencie, w którym odłożył widelec; żując jeszcze ostatni kęs podszedł do otwartych drzwi, popchnął je do wewnątrz tak, że się rozstały na rozcież (na drzwiach wisiało coś, w czym Mink nie rozpoznał hełmu używanego przez żołnierzy marynarki wojennej w bitwach na przyczółkach i dżunglach nad Pacyfikiem, ponieważ patrzył na kolbę pistoletu automatycznego, wystają-

cą z pochwy u pasa zawieszzonego pod hełmem), i z lodówki za drzwiami wyjął, tak jak pani l-Iolcomb, puszkę kompotu z brzoskwiń, przyniósł ją do stołu i rozdzielił, rzucając połówki brzoskwiń na trzy zatłuszczone talerze i rozlewając syrop z precyzyjną bezstronnością. Zjedli to także, Goodyhay znowu skończył przed innymi i po raz pierwszy, odkąd go Mink zobaczył, siedział przez chwilę absolutnie nieruchomo, jakby spał, dopóki tamci także nie skończyli. Potem powiedział: — Sprzątamy — i podszedł do zlewu ze swoim talerzem, widelcem i filiżanką, wymył je pod kranem, po czym stanął na boku i patrzył, jak inni to robią. Potem rzekł do Minka: — W porządku. Zostajesz.

— Muszę — odpowiedział Mink. — Muszę dostać pieniądze.

— W porządku — rzekł Goodyhay. — Ukłęknijcie.

Ukłękł, a za nim tamci dwaj, na kuchennej podłodze, w świetle jedynej kilkuś wiecowej żarówki bez klosza, zwisającej z sufitu. Goodyhay klęczał, ale z głową podniesioną w górę i z nie zamkniętymi oczyma pustelnika, pełnymi zimnej wściekłości. Powiedział: — Wybaw nas, Chryste, nieszczęsnych grzeszników — wstał i dodał: — W porządku. Gasić światło. Ciężarówka przyjedzie jutro o siódmej.

Pokój był ciasną komórką, niewiele większych rozmiarów niż szafa w ścianie. Było w nim małe okno, drzwi prowadzące do wnętrza domu, jedna żarówka zawieszona na sznurku, cienki materac na podłodze, brezentowym przykryciem, ale bez poduszek, prześcieradeł i żadnej innej pościeli. Goodyhay trzymał otwarte drzwi, czekając aż przejdą, potem zamknął je. Byli sami.

— No, idź — rzekł Dziadzio. — Spróbuj.

— Czego mam spróbować?

— Drzwi. Zamknięte są na klucz. Och, możesz wyjść, kiedy tylko chcesz, okno nie jest zamknięte na klucz. Ale drzwi prowadzą do środka domu, a on by nie chciał, żeby kandydaci na cieśnię rozwalili mu po drodze tamten barak na pożegnanie. Pracujesz tu dla chwały Pana naszego, ale tu jest jeszcze sierżant marynarki, który się zajmuje szczegółami. — Ziewnął. — Ale przynajmniej dostaniesz twoje dwa dolary w niedzielę — może trzy, jeżeli policzy dzisiejszy dzień. Nie mówiąc już o tym, że usłyszysz jego kazanie, co może być warte całe trzy dolary. Wiesz, jedno z tych specjalnych wydań, numerowanych, które można sprzedać po dziesięciu różnych cenach, bo wydrukowali nie więcej niż kilka egzemplarzy — mrugnął okiem do Minka. — Bo coś mi się zdaje, że to nie potrwa już długo — mrugnął okiem. — Bo im nie pozwolą.

— Nie zapłacą mi nawet moich dwóch dolarów? — pytał Mink.

— Nie, nie — powiedział tamten. — Chodzi mi o to, że reszta ludzi z sąsiedztwa, których jeszcze nie nawrócił, nie pozwoli na takie rzeczy. Tamci ludzie, którzy musieli znieść tę przeklętą wojnę przez cztery czy pięć lat i chcą o niej zapomnieć. Przez pięć lat mieli tysiące kłopotów i wydatków, żeby się pozbyć tej wojny, i kiedy nareszcie mogliby żyć spokojnie, zjawia się z powrotem banda łobuzów popieranym i przysłanym przez rząd, i robi wszystko tak, jakby to, co spowodowało wojnę, nie tylko stało się dopiero teraz, ale jakby trwało nadal i miało trwać, póki ktoś temu nie przeszkodzi. Banda takich, co nie płacą przeważnie podatków i co nie głosowaliby na Normana Thomasa * nawet przed Rooseveltem, a cóż

dopiero przed Trumanem, i chcą sprowadzić Chrystusa z powrotem na ziemię w 1946 roku. Toteż może: to i warte trzy dolary posłuchać, co on mówi na wolnym powietrzu. Bo następnym razem będzie trzeba może już słuchać przez kratki. — Ziewnął znowu, zaczynając ściągać z siebie battle-dress. — Cóż, nie mamy tu książki do poczytania w łóżku, więc pozostaje nam tylko położyć się i spać.

Tak też zrobili. Światło było zgaszone, leżał teraz spokojnie na wznak, z rękami złożonymi na piersi. Myślał: „To na pewno będzie trzy dolary. Na pewno policzą dzisiejszy dzień także. A z niedzielą to będzie trzy dni stracone, bo nawet gdybym przybył do Memphis w niedzielę po zapłacie, sklepy, gdzie można to- kupić, będą zamknięte do poniedziałku. Ale zdaje mi się, że mogę poczekać jeszcze trzy dni — myślał, już trochę z niechęcią — pewnie dlatego, że nie widzę, jak można na to poradzić” i prawie natychmiast zasnął. Spał dobrze, bo już było jasno, kiedy się obudził i leżał spokojnie jeszcze przez chwilę, zanim u- świadomił sobie, że jest sam. Zdawało mu się później, że leżał spokojnie i bez ruchu, z roztargnieniem obracając w palcach otwartą agrafkę, którą znalazł leżącą na piersiach, jeszcze prawie przez minutę, zanim zrozumiał, co się stało: wtedy usiadł na łóżku, nie potrzebując nawet widzieć otwartego okna i poruszającej się zasłony; jego ręka gorączkowo grzebała w kieszeni w klapie kombinezону, gdzie pod zwitkiem gazety przedtem był przypięty banknot dziesięciodo- larowy; z gardła wydobywały się ciche, jękliwe o- krzyki zamiast przekleństw, które usiłował rzucić. uderzając pięściami w zamknięte drzwi, póki nie rozwarły się z trzaskiem i nie stanął w nich Goodyhay, patrząc także na wyłamane okno.

— Więc ten drań cię okradł? — spytał Goodyhay.

— Tam było dziesięć dolarów — powiedział. — Muszę go złapać. Proszę mnie wypuścić.

— Chwileczkę — rzekł Goodyhay wciąż zagradzając sobą drzwi. — Teraz go już nie złapiesz.

— Muszę — powiedział. — Muszę mieć te dziesięć dolarów.

— To znaczy, że musisz mieć dziesięć dolarów, żeby wrócić do domu?

— Tak — powiedział klnąc znowu. — Bez tego nie mogę nic zrobić. Proszę mnie puścić.

— Jak długo nie byłeś w domu? — spytał Goodyhay.

— Trzydzieści osiem lat. Niech mi pan powie, w którą stronę on mógł pójść.

— Chwileczkę — powiedział Goodyhay, wciąż się nie ruszając. — W porządku. Postaram się, żebyś w niedzielę dostał z powrotem twoje dziesięć dolarów. Umiesz gotować?

— Umieć smażyć jajka i mięso — rzekł Mink.

— W porządku. Zrobisz śniadanie, a ja naładuję ciężarówkę. Chodź.

Goodyhay pokazał mu, jak zapalać kuchenkę, i odszedł. Mink napełnił wodą dzbanek, tak jak to robił dawniej, aż ziarnka straciły wszelki smak i kolor, pokrajał boczek na kawałki, posypał mąką i rzucił na patelnię, także zgodnie z dawnym obyczajem, wyjął z szafki jajka do smażenia i stał przez chwilę, przytrzymując ręką drzwi, wpatrzony w pistolet pod hełmem, myśląc spokojnie: „Gdybym tylko to dostał na dwa dni, nie potrzebowałbym dziesięciu dolarów”. Myślał: „Okradziono mnie podstępnie, kiedy niczego się nie spodziewałem. Czy to nie dosyć, żeby mnie z kolei było wolno kogoś okraść? Nie mówiąc już o tym, że ja potrzebuję tego dziesięć razy, sto razy, tysiąc razy więcej, niż tamten potrzebował moich dzie

sięciu dolarów" — myśląc teraz zupełnie spokojnie, trzeźwo: „Nie. Nigdy nie kradłem. Nigdy do tego nie doszedłem i nie dojdę”.

Kiedy podszedł do drzwi, żeby ich zawołać, Goody-hay i jeszcze jeden mężczyzna ładowali na ciężarówkę nie zniszczone części ścian i luźne deski; pojechał na szczycie załadowanej sterty szosą w stronę Memphis i myślał: „Może oni będą jechać przez Memphis i gdybym miał tylko te dziesięć dolarów” — potem przestał myśleć, jechał tylko dalej, póki ciężarówka ;:-ie skręciła na boczną drogę. Teraz przejeżdżali przez rozległą posiadłość, plantację: szerokie pola bawełniane, jeszcze białe od puchu, potem skręcili na polną dróżkę i stanęli przed zarosłym wierzbami, bagnistym jeziorkiem, gdzie zobaczył jeszcze jedną ciężarówkę i stertę rozmontowanych ścian; stała tam grupka trzech czy czterech mężczyzn, wszyscy w jakiś dziwny sposób podobni do Goodyhaya i szofera jego — ich — ciężarówki; on, Mink, nie mógłby wytłumaczyć, na czym to podobieństwo polegało i nie zastanawiał się nawet nad tym; zobaczył, nie zwracając na to specjalnej uwagi, jeszcze jedną kurtkę wojskową, i również, bez wielkiej wagi, czworokąt utworzony ze sznurków przeciągniętych między wbitymi w ziemię kółkami, rozmiarów tego, co mieli tam budować. Gdy skończyli rozładowywać ciężarówkę, Goodyhay powiedział: — W porządku. Ty i Albert wracajcie po następny ładunek. Teraz jechał małym samochodem z powrotem do plebanii, czy co to było, gdzie on i Albert naładowali ciężarówkę i wrócili do jeziora, gdzie przez ten czas — gdyby wszyscy wzięli się do pracy i gdyby przynajmniej jeden z tych czterech pracował równie szybko, jak Goodyhay — mogłaby już być gotowa jedna ściana. Ale teraz już nie było tej drugiej ciężarówki, ani Goodyhaya, ani prostokąta ze sznurków, tylko trzech ludzi siedzieli spokojnie koło sterty drzewa.

— No i co? — spytał Albert.

— No i nic — odpowiedział jeden z nich. — Ktoś zmienił zdanie.

— Kto? — spytał Mink. — Co zmienił? Ja muszę iść dalej. Już i tak jestem spóźniony.

— Właściciel tej posiadłości — rzekł Albert. — Ten, co nam pozwolił wybudować tu kaplicę. Ktoś inny zmienił zdanie za niego. Może bank, który ma na to hipotekę. Może Legion.

■ — Jaki Legion? — zapytał.

— Amerykański Legion. Ten, który był na froncie w 1918 roku. Nigdy nie słyszałeś o nim?

— Gdzie jest wielebny Goodyhay? — rzekł. — Muszę iść dalej.

— Dobra — rzekł Albert. — Do widzenia.

Czekał więc. Było wczesne popołudnie, kiedy nadjechała ciężarówka: jechała z pełną szybkością. Goodyhay wyskoczył, zanim stanęła.

— W porządku — powiedział. — Ładujcie.

Byli więc znowu na szosie do Memphis, jadąc teraz szybko, żeby przynajmniej z daleka widzieć Goodyhaya, równie szybko jak inne pojazdy na szosie. Mink myślał: „Gdybym tylko miał te dziesięć dolarów, choćbyśmy nawet i teraz nie dojechali do samego Memphis”. Nie dojechali. Goodyhay skręcił w bok i dalej pędzili w szaleńczym tempie, przewyciężając strach, żeby nie tracić z oczu Goodyhaya w pierwszej ciężarówce, - przejeżdżali teraz przez pustynny kraj, gdzie kwitnąca zielenią delta wyschła, pozostawiając jałowe wzgórza gliniane, aż do miejsca, reprezentującego ostateczny stopień wyniszczenia, gdzie Goodyhay stanął: równina zapelniona zardzewiałymi wrakami samochodów, maszyn do odziarniania bawełny, stertami cegieł i bloków betonu; kołki były już na nowo

wbite w ziemię i przeciągnięte między nimi sznury tworzyły nowy prostokąt, a Goodyhay, stojąc przy drugiej ciężarówce, machał ręką krzyżując: — Jesteśmy! Do roboty! Nareszcie więc zaczęła się prawdziwa robota. Ale już było późno, większa część dnia upłynęła i nazajutrz przypadła sobota: jeszcze tylko jeden pełny dzień. Ale Goodyhay nie dał mu nawet czasu otworzyć ust: — Czy ci nie powiedziałem, że dostaniesz twoje dziesięć dolarów w niedzielę? No więc w porządku. — Goodyhay nie powiedział też: „Mógłbyś u- gotować kolację?” — szarpnął tylko gwałtownie drzwiczki lodówki, cisnął na stół zakrwawiony papier z mięsem na siekane kotlety i wyszedł z kuchni. Wtedy Mink przypomniał sobie, że kiedyś gotował kaszę kukurydzianą, i znalazł kaszę i odpowiednie naczynie. Tej nocy Goodyhay nie zamknął drzwi na klucz: on, Mink, poszedł, żeby to sprawdzić, potem zamknął drzwi i położył się spokojnie, znowu na wznak, z rękami złożonymi na piersi, jak nieboszczyk, i spał, póki Goodyhay nie obudził go, żeby znowu usmażyć jajka i boczek. Ciężarówka już czekała i ładowało ją tym razem dwunastu ludzi; teraz już moż- na było zacząć sobie wyobrazać, jak będzie wyglądała kaplica (tak to nazywali); pracowali do zmroku. Powiedział: — Dzisiaj nie jest zimno, mogę spać pod tym nieprzemakalnym papierem i zacząć znowu o świcie, dopóki tamci...

— W niedzielę nie pracujemy — powiedział Goodyhay. — Chodźcie, chodźcie.

Potem była niedziela. Padał drobny, nieprzerwany deszczyk jesienny. Przyjechali po nich jacyś ludzie, małżeństwo, tym razem nie ciężarówką, ale samochodem, bardzo zniszczonym i miejscami powgniatanym. Skręcili znowu na skrzyżowaniu, tym razem wjeżdżając w okolice nie pustynną i wyniszczoną, tylko po prostu odludną, i zatrzymali się przed nie malowanym, drewnianym budynkiem, który przypominał mu coś, co gdzieś widział przed trzydziestu ośmiu laty. „To jest szkoła murzyńska” — pomyślał, wysiadając, pośród innych pięciu czy sześciu samochodów zakurzonych i odrapanych i ciężarówek; czekała tam już grupa ludzi, kilku starszych, ale przeważnie mężczyźni i kobiety w wieku Goodyhaya albo nawet trochę młodszy; znowu uderzyło go to podobieństwo między nimi, niezależnie od ubrania, jakie nosili: jeszcze kilka battle-dressów, płaszczów wojskowych, jedna furażerka z oderwaną odznaką. Ktoś obok niego odezwał się: — Serwus. — Był to Albert i teraz on, Mink, poznał także panią czy pannę Holcomb, której grabił podwórze, a potem zobaczył grubą Murzynkę — kobietę niemłodą, która wydawała się jednocześnie chuda i tłusta. Zatrzymał się, nie przestraszony, tylko czujny.

— Przyjmujecie tu Murzynów? — zapytał.

— Tę, tak — powiedział Albert. Goodyhay wszedł już do domu. Reszta ruszyła powoli w stronę drzwi, zbijając się w ciałniejszą grupkę. — Jej syn poległ, tak samo jakby był synem białej matki, nawet jeśli jego nazwiska nie wypisali po tej samej stronie pomnika razem z innymi. Widzisz tę kobietę w żółtym kapeluszu, tam dalej? — Kapelusz był wybrudzony, ale jeszcze dość krzyżujący, płaszcz pod nim niegdyś także był biały, i także nieco pretensjonalny; twarz między płaszczem i kapeluszem, chuda, niezbyt wymalowana, mogła liczyć dwadzieścia pięć lat i kiedyś prawdopodobnie na to wyglądała. — To prawda — powiedział Albert. — Trochę jeszcze wygląda jak k..., ale trzeba ją było widzieć zeszłej wiosny, jak wyszła z tego domu na Catalpa Street. Jej mąż był dowódcą oddziału piechoty, kiedy Japończycy wypierali nas z Azji i wszystko cofało się w popłochu pomieszane

razem. Australijczycy, Brytyjczycy, Francuzi z Indo- crsin, nie próbując już utrzymać nic innego oprócz linii okopów strzeleckich po zmroku, pozostać tam dość długo, żeby pozbierać maruderów i rano ruszyć dalej, razem z tymi z okopów, jeżeli któryś pozostał tam jeszcze do rana. Tej nocy jego oddział był w pikiecie- on sam w okopie, a jego oddział rozstawiony na drodze, kiedy przy czołgał się Murzyn z amunicją. Był nowy, rozumiesz, to znaczy Murzyn pierwszy raz widział z bliska Japończyków.

Wiesz, jak to jest: leżysz skulony, po ciemku, w cuchnącym, mokrym dole w ziemi, oczy i uszy wyteżone, jakby za chwilę miały ci wyskoczyć z głów, bo naokoło ciebie i przed tobą te japońskie ćwierkające głosy, jak świerszcze w stogu siana, póki sobie nie zdasz sprawy, że to nie świerszcze, bo ćwierkają po angielsku, i zapowiadają, że tej nocy zginiesz. No więc przychodzi ten Murzyn z workiem granatów i z karabinem maszynowym i porucznik każe mu wieźć do dołu i kładzie palec Murzyna na spuście i każe mu czekać, a sam przez ten czas czołga się z powrotem, żeby zawiadomić stanowisko dowodzenia czy tam co.

Wiesz, jak to jest. Człowiek może wytrzymać tyle, ile może. Nie wie nawet, kiedy to przyjdzie, ale nagle przychodzi moment, kiedy wie, że to już koniec, że to już przeszło; nie chce tego, tak jak ty byś nie chciał na jego miejscu, ale nie prosił o to i nic nie może wskórać. W tym sęk, nie wiesz nic z góry, nic cię nie uprzedza, żebyś zebrał się w sobie. Szczególnie na wojnie. Miałbyś ochotę myśleć, że coś tak słabego jak człowiek nie ma nic do roboty na wojnie, no nie? I jak chcą dalej mieć wojnę, powinni wymyślić coś mocniejszego, żeby ją prowadzić. Tak czy owak następnego ranka o świcie pierwsza odcięta głowa spada między nas, jakbyś rzucił piłkę w koszykówce.

Tylko że tym razem to była czarna głowa. Bo czemu nie? Murzyn, wychowany na plantacji w Arkansas któremu biały człowiek, nie tylko porucznik, ale taki, co w dodatku mówił tak, jak ludzie z Arkansas, każe wziąć karabin i czekać, póki nie wróci. Więc jak tylko skończyła się bitwa z Japończykami i odrzuciliśmy ich dosyć daleko, żeby się jakoś zorganizować i jeszcze jeden dzień kryć się przed bombowcami, porucznik przyszedł tam, gdzieśmy chcieli spalić to, co zostało. Dziwnie to jest w dżungli. Pocisz się przez cały czas i usychasz z pragnienia, bo w dżungli nie ma wody, a jak tylko wyjdiesz na słońce, skórę masz całą w pęcherzach, zanim zdążysz zapiąć koszulę, i w końcu zaczynasz myśleć, że wystarczy ci upuścić manierkę albo bagnet albo potrzebować podkówkę buta o korzeń, a wyskoczy iskra i spali cały las. Ale spróbuj tylko rozpać ogień. Spróbuj spalić cokolwiek, a zobaczysz, że tak nie jest. Tak czy inaczej, porucznik podszedł do stosu, bo chciał być przez chwilę sam, i włożył sobie lufę pistoletu do ust. Pewnie, że ona może tu być z nami.

Teraz byli wszyscy w środku baraku i to także rozpoznał po trzydziestu ośmiu latach: jak długo jeszcze zostaje w pokoju woń Murzynów, nawet po ich wyjściu: woń nędzy i utajonego strachu, cierpliwości i wytrwania, bez nadziei która by tę woń mogła zneutralizować. Kongregacja (jak przypuszczalnie nazywali sami siebie) zaczęła zajmować miejsca na ławkach bez oparcia, kobieta w żółtym kapeluszu w pierwszej ławce, gruba Murzynka sama, w ostatniej Goodyhay zwrócony twarzą do nich, za deską położoną na dwóch krzyżakach do piłowania; z rękami nie zaciśniętymi, ale odpoczywającymi, bez ruchu.

— W porządku — powiedział Goodyhay. — Ci, cc myślą, że trzeba tylko siedzieć spokojnie na zadku, a zbawienie samo spadnie z nieba, jak deszcz, nie na-

leżą do naszego kościoła. Trzeba być na nogach i szukać zbawienia wszędzie dookoła, póki się go nie złapie, a potem trzymać je mocno, a nawet stoczyć bitwę, jeżeli trzeba. A jeśli nie możecie go znaleźć, to na Boga, stwórzcie je sami. Stwórzcie zbawienie, które On zaaprobuje, i zyskajcie prawo trzymania go mocno w ręku i walczenia o nie, jeżeli trzeba, ale przede wszystkim trzymajcie je dobrze i niech diabli porwą wszystkie inne...

— Opowiedz nam to jeszcze raz, Joe — przerwał mu jakiś głos męczyzny. — Powiedz, jak to było.

— Co? — spytał Goodyhay.

— Opowiedz to jeszcze raz. No, mów.

— Próbowałem — powiedział Goodyhay. — Wszyscyście słyszeli. Nie mogę tego opowiedzieć.

— Możesz — rzekł mężczyzna, teraz odzywały się także głosy kobiece: — Tak, Joe. Opowiedz, jak to było — a on, Mink, wciąż patrzył na ręce, nie zaciśnięte, ale spokojnie spoczywające na desce, na wrzące zimną furia oczu anachorety, oczy pustelnika z piętego stulecia, patrzące w pustkę, u wejścia do jego pieczary w Mezopotamii; na ciało nieruchome, sztywne, jakby wyprężone w straszliwym wysiłku pod przygniatającym je ciężarem.

— Dobra — powiedział Goodyhay. — Leżałem tam i było mi dobrze. Wiecie, jak to jest w wodzie, kiedy człowiek nic nie waży i światło płynie z góry, jak przez te metalowe żaluzje, co drżą i trzęsą się na wietrze, nie wydając żadnego dźwięku. Po prostu leżałem sobie, patrzyłem na ręce pływające beze mnie, tak że ich nie musiałem trzymać, z tym mrugającym cieniem metalowych żaluzji; nogi i stopy także nic nie ważyły, nigdzie nie trzeba było iść, nic zrobić, nie potrzebowało się nawet oddychać ani zasnąć, ani nic — po prostu było mi dobrze. I nagle On stanął nade mną, wyglądał jak każdy inny porucznik, co wyszedł z o kopów, może trochę starszy, tylko że nie miał na głowie hełmu; stał tylko, paląc papierosa, z gołą głową, a cień żaluzji przebiegał po nim z góry na dół. — Powstań, żołnierzu — rzekł.

— Nie mogę — powiadam. Bo wiedziałem, że tak długo, jak będę leżał spokojnie, wszystko będzie dobrze. Ale jak raz się ruszę albo spróbuję, czy choćby pomyślę tylko o ruszeniu, to przekonam się, że nie mogę. Ale po co się miałem ruszać? Dobrze mi było. Miałem już to za sobą, skończyłem z tym. Niech te sk... robią sobie, co chcą, z tą swoją za... wojną.

— To dopiero raz — powiada On. — A masz tylko trzy razy. Ty, żołnierz wyborowy, mówisz, że nie możesz! W Chateau-Thierry i St. Michel nazwali cię wzorowym żołnierzem. Czy nadal jeszcze tak cię nazywają w twoim pułku w Guadalcanal?

— Tak — powiadam.

— Dobrze, żołnierzu wzorowy — mówił On. Więc wstałem.

— Spocznij — powiada On. — Widzisz? — powiada.

— Myślałem, że nie mogę — mówię. — Nie wierzyłem, że mi się uda.

— Pewnie — mówi On. — Niczego innego od ciebie nie żądamy. Mamy już dość takich, co mówią, że mogą, a nic nie robią, bo jak wiedzą, że mogą, to nie muszą. Trzeba nam właśnie takich, co mówią, że nie mogą, a później to robią. Tamci inni nas nie potrzebują i my ich nie potrzebujemy. Co więcej: nie chcemy ich mieć w naszej ekipie. Nie przyjmujemy ich, nie chcemy nawet, żeby nam się płatali pod nogami. Jeśli to nie warte nawet tego, to niczego nie warte. Nieprawdaż?

— Prawda, proszę pana — powiadam.

— Możesz mówić „proszę pana” tam w górze też,

jeżeli chcesz. Tu jest wolny kraj. Nic nikogo nie obchodzi. Dobrze się teraz czujesz?

— Tak, proszę pana — mówię.

— Baczość! — powiada. Więc staję na baczość, nie zważając na błoto.

— W tył zwrot — mówi On. Nie widział nikogo żwawszego niż ten. — Naprzód marsz powiada.

I dałem już krok, kiedy powiada: — Stój — więc się zatrzymałem. — Tamtego zostawisz tu powiada. — Niech leży. — Bo on tam leżał, zapomniałem już o nim, spokojny jak trusia, bo on też już z tym skończył, przekłety smarkacz, co dostał cykorii akurat w najgorszym momencie, jak zawsze, puścił ster i próbował dać nura, i przez niego cała ta przekłeta draka.

— Nie mogę go unieść — powiadam.

— To dwa razy — powiada On. — Jeszcze ci został jeden raz. Czemu nie wykorzystać go za jednym zamachem, żeby już to mieć z głowy?

— Nie dam rady go nieść — powtarzam.

— W porządku — powiada. — To już trzy i kropka. Więcej już nie będziesz musiał tego powtarzać. Bo z tobą to wyjątkowa sprawa, dali ci trzy szanse. Ale jest ogólny rozkaz, dziś właśnie przyszedł z góry, że odtąd każdy już będzie miał tylko jedną szansę. Podnieść go. — Więc podniosłem. — Możesz odejść — powiada. I to już wszystko. Mówiłem wam, że nie potrafię tego opowiadać. Byłem tam. Nie mogę opowiadać.

On, Mink, obserwował ich wszystkich, obcy im, nie- przejezdny: nie z pogardą, bo tylko czekał, nie z niecierpliwością, bo gdyby nawet był w Memphis w tej samej chwili, o dziesiątej, jedenastej czy którakolwiek była to godzina niedzielnego ranka, musiałby jakoś sobie wypełnić jeszcze prawie dwadzieścia cztery godziny, zanim mógłby zrobić następny krok. Patrzył na nich tylko: dwie starsze pary, małżeństwa oczywiście, niewątpliwie farmerzy, którzy przybyli tu z plantacji bawełny oddanej na hipotekę bankowi albo związkowi zawodowemu, i którym odebrano syna trzy, cztery czy pięć lat temu, żeby tak daleko od domu dokonał swej ofiary; starzy i także obcy, za starzy na to, nieprzejednani przez te skąpe, daremne łzy, które mniej były łzami niż zęczeniem. Nikt z białych nie patrzył, kiedy samotna Murzynka wstała ze swojej ostatniej ławki i przeszła przez nawę tam, gdzie żółty, wybrudzony kapelusz młodej kobiety krył się w zgięciu jej łokcia, jakby dziecko oplakiwało swój dziecięcy smutek; biali siedzący na ławce posunęli się tak, żeby Murzynka mogła usiąść obok białej kobiety i otoczyć ją ramieniem. Goodyhay stał jeszcze opierając zaciśnięte pięści na desce, nie zamknąwszy nawet błyszczących zimną furią oczu, mówiąc, zupełnie tak samo, jak pierwszego wieczora, kiedy uklękli we trzech na kuchennej podłodze: — Wybaw nas, Chryste, nieszczęsnych grzeszników. — Potem Goodyhay spojrzął na niego.

— Ty, tam — powiedział. — Wstań. — Mink wstał.

— On musi wrócić do domu. Przepracował tylko jeden dzień, ale potrzebuje dziesięciu dolarów, żeby się dostać do domu. Nie był w domu przez trzydzieści osiem lat. Potrzebne mu jeszcze dziewięć patyków. Co wy na to?

— Biorę to na siebie — rzekł mężczyzna w oficerskiej czapce. — Wygrałem wczoraj w kości trzydzieści cztery dolary. Mogę odpalić dziesięć.

— Powiedziałem dziewięć — rzekł Goodyhay. — Jeden mu się należy ode mnie. Daj mu dziesięć, a ja ci dam jednego. Mówi, że najpierw musi dostać się do Memphis. Ktoś jedzie tam dziś wieczorem?

— Ja — powiedział inny.

— Dobra — rzekł Goodyhay. — Chcecie teraz śpiewać?

Tak więc zobaczył znowu Memphis w nieporównanie lepszych warunkach, najlepszych, jakich mógł żądać ktoś, kto nie był tam od... Wyobrażał to sobie. Miał dwadzieścia lat, kiedy się ożenił. Przedtem trzy razy z groszowych zarobków na fermie jakiegoś krewnego, który go wychował jako sierotę, zdołał wydrzeć, wycisnąć dosyć pieniędzy, żeby pojechać do domów publicznych w Memphis. Ostatnia wizyta wypadła w tym samym roku, kiedy się ożenił. Kiedy się dostał do Parchman, miał lat dwadzieścia sześć. Dwadzieścia dolarów odjęte od dwudziestu sześciu, to sześć dolarów. W Parchman był trzydzieści osiem lat. Sześć dolarów i trzydzieści osiem dolarów to czterdzieści cztery dolary, żeby znowu zobaczyć Memphis, nie tylko po czterdziestu czterech latach, ale w takich warunkach: noc, czarna ziemia po obu stronach, przed nim rozsiane tu i tam neony, a w dali niska, ponura luna samego miasta, - i on sam siedzący na brzeжку swego miejsca w samochodzie, tak jak siedzi dziecko, prawie tak mały, jak dziecko, wpatrzony w blaski rozświetlające ciemność, podczas gdy samochód nurzał się w tym świetlnym wyścigu unoszącym go ku dalekiemu miastu, jakby przyciągany ku niemu siłą własnej ciężkości. Gdzieś z prawej strony przeleciał nagle pociąg, ciągnąc długi sznur oświetlonych okien, tak lotny i pierzchliwy jak sen. Zobaczył linie zbiegające się w jednym punkcie niby szprychy olbrzymiego czarnego koła, wzdłuż których, niby mrówki, sunęły samochody i to, co, jak mu powiedziano, nosiło nazwę autobusów, jak gdyby cała ziemia biegła w popłochu, nurzająca się, wciągana, usiana diamentami i rubinami w niską lunę na horyzoncie, niby w jakąś zabawę potworną, przerażającą, niewiarygodną.

Teraz same zbiegające się w jednym punkcie drogi usiane były świetlistymi kulami, tak wysokimi i wielkimi pośród drzew, jak pieczone na rożnie indyki.

— Proszo: mi powiedzieć, jak będziemy blisko — powiedział.

— Blisko czego? — spytał kierowca.

— Blisko Memphis.

— Już jesteśmy w Memphis — powiedział kierowca. — Przejechaliśmy już o milę granicę miasta. —

Teraz więc uświadomił sobie, że gdyby szedł jeszcze piechotą, sam, nie mając kogo się spytać, jego zmartwienia zaczęłyby się naprawdę dopiero po wejściu do Memphis. Bo Memphis, które pamiętał sprzed trzydziestu ośmiu lat, już nie istniało. Pomyślał: „Za długo mnie tu nie było. Kiedy ktoś ma do załatwienia coś takiego jak ja, sam i bez żadnych innych sposobów niż moje, nie licząc tych osiemdziesięciu mil, jakie jeszcze muszę przejść, to nie może sobie pozwolić na taką długą nieobecność, do jakiej ja byłem zmuszony”.

Wtedy, dawniej, mogłeś podjechać jakimś wozem z Sadyby Francuza albo we dwóch czy trzech wybrać się do Jefferson na mułach od pług, z wtorkiem kukurydzy za pożyczonym siodłem, zostawić muły na łące przed Hotelem Handlowym i zapłacić Murzynowi ćwierć dolara za to, żeby je karmił, póki nie wrócisz, a potem wsiąść w pociąg na stacji i przesiąść się na skrzyżowaniu w drugi pociąg, który cię zawiózł do samego Memphis, bo dworzec znajdował się prawie w centrum miasta.

Ale teraz wszystko tu było zmienione. Powiedziano mu cztery dni temu, że większość pociągów została skasowana, przestała kursować i nie mógłby dojechać do Jefferson pociągiem, nawet gdyby miał dość pieniędzy, żeby zapłacić za przejazd. Powiedzieli mu, że teraz chodzą tam autobusy, ale przez całe cztery dni nie zobaczył nic, co by przypominało dworzec, gdzie mógłby kupić bilet i wsiąść autobus. A co

do granicy miasta, skąd czterdzieści cztery lata temu człowiek mógł zejść do centrum w ciągu jednej godziny, to, według słów kierowcy, mieli ją już przeszło milę za sobą, a jednak dotychczas nie widział nic oprócz tej łuny na widnokręgu. I chociaż rzeczywiście znajdował się w Memphis, to do miejsca, które pamiętał i do którego zmierzał, było jeszcze tak daleko, jak ze sklepu Varnera do Jefferson. Gdyby nie samochód, który go podwiózł za darmo i którego kierowca wiedział mniej więcej, gdzie trzeba było iść, musiałby wydać może całe dziesięć dolarów na jedzenie, błądząc po mieście w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógł kupić pistolet.

Teraz samochód tkwił mocno w ruchomej masie innych pojazdów, lśniących, migocących, połyskujących kolorowymi światłami; właściwie całe powietrze naokoło lśniło miliardami światła i barw, rozbrzmiewało gwarem; nagle smuga mrugających światła, czerwonych, zielonych i białych przemknęła szybko przez czarną noc, wiedział, czuł, co to jest, ale był

o wiele za chytry, żeby zapytać; mówiąc, szepcząc sam do siebie: — Pamiętaj. Pamiętaj. Nie zaszkodzi ci to tak długo, jak długo nikt się nie dowie, że tego nie wiesz.

Wiedział, że teraz znaleźli się już w środku miasta. Przez chwilę była tylko nieruchoma masa, lśniąca, rzucająca blask wyżej niż gwiazdy. Potem wchłonęła go, otoczyła, napływając z góry niby oddech betonowej masy i ciężaru, tak że sam był niemal bez tchu, zmuszony łykać powietrze. Potem zrozumiał, co to jest. „Bezsenność — myślał. — To miasto nie spało tak długo, że zapomniało, jak się śpi, a teraz już nie ma czasu zatrzymać się dość długo, żeby się znowu nauczyć.” Samochód stał nieruchomo w nieruchomej masie, potem pełzł, potem znów stanął i pełzł, według rozkazujących błysków i zmian kolorowych światła, takich jakie były przy pociągach: wreszcie wysunął się z szeregu i stanął.

— Tu jest dworzec autobusowy — powiedział kierowca. — Tu pan chciał dojechać, prawda?

— Tak — powiedział. — Dziękuję.

— Autobusy odjeżdżają stąd we wszystkich kierunkach. Chce pan, żebym poszedł z panem i zapytał

o połączenie?

— Mocno zobowiązany — powiedział. — Dziękuję.

— W takim razie do widzenia i pomyślności — powiedział kierowca.

—Dziękuję panu uprzejmie. Do widzenia.

To niewątpliwie był wreszcie dworzec autobusowy. Tylko gdyby wszedł do środka, to jedno z tych nowych praw, o których słyszał w Parchman — praw. według których człowiek nie mógł piłować desek

1 wbijać gwoździ, jeżeli nie zapłacił jakiemuś stowarzyszeniu wydającemu na to pozwolenie, i nie mógł nawet uprawiać bawełny na własnym polu, dopóki rząd nie powiedział, że mu wolno — mogło wymagać, żeby wsiadł do pierwszego odjeżdżającego autobusu, wszystko jedno w jakim kierunku. Pozostawała więc jeszcze reszta nocy, właściwie prawie cała noc, bo jeszcze nie było późno. Ale to tylko dwanaście godzin i przez ten czas mógł przynajmniej być jeszcze jedną z mnóstwa bezimiennych twarzy, tłoczących się wokół niego, śpieszących i znikających w różnobarwnym blasku, rozgorączkowanych, wesołych, nie śpiących. Potem coś się stało. Nieoczekiwanie miasto zakreśliło się, zawyrotało w zawrotnym oszalejącym pędzie i potem równie nieoczekiwanie zahamowało, znieruchomiło znowu i nagle wiedział, nie tylko gdzie jest, ale jak spędzić te dwanaście godzin. Trzeba było przejść przez ulicę, dając zagarnąć się, wchłonąć tłumowi, gdy zmieniło się światło; gdy znalazł się wreszcie po drugiej stronie, mógł się uwolnić i iść

dalej. Tak, to było tam: Park Konfederatów, tak się to nazywało; dalej i klomby z kwiatami, dokładnie takie, jak zapamiętał, rząd ławek wzdłuż kamiennego parapetu, w którego wnękach przysiadły stare żelazne armaty z wojny, a dalej zapach i smak rzeki, gdzie czterdzieści cztery, pięć i sześć lat temu, po wydaniu połowy pieniędzy w burdelu poprzedniej nocy i zachowaniu drugiej połowy na noc dzisiejszą z odliczeniem pieniędzy potrzebnych na bilet powrotny do Jefferson, przychodził patrzeć na statki parowe.

Stały wtedy rzędem wzdłuż pomostu: „Stacher Lee”, „Ozark Belle” i „Crescent Queen” przybyłe z miejsc tak dalekich, jak Cairo lub Nowy Orlean, spotykały się tu i odpływały dalej przed jego oczyma; pomost rozbrzmiewał dudnieniem kopyt koni i mułów ciągnących taczki i pieśniami tragarzy okrętowych, dźwigających bele bawełny, opakowane maszyny, worki i skrzynie; na ławkach wzdłuż kamiennego muru tłoczyli się ludzie przyglądający się temu, tak jak on. Teraz jednak ławki były puste, a gdy doszedł do starej armaty, zobaczył tylko martwą powierzchnię pustej, szerokiej rzeki, od której płynął czarny, zimny i wilgotny podmuch, tak że zaczął już zapinać guziki swetra na bawełnianej koszuli. Żadnego dźwięku dokoła, tylko nieustający, niestrudzony gwar miasta za jego plecami, żadnego ruchu prócz pełznięcia dalekich, maleńkich samochodów na moście w dole rzeki, śpieszących, wciąganych także w ten nieustający, rozgorączkowany rwetes, w tę odpływającą falę, w której zablądził, porzucony przez nią, zdradzony za swoją długą nieobecność. Było mu zimno nawet tutaj, za starą armatą, także pachnącą zimnym stuletnim żelazem, w szorstkiej bawełnianej koszuli, zbyt nowej, żeby przybrać kształt jego własnego ciała i rozgrzewać go swym dotykiem; wkrótce będzie tu za zimno, mimo spokoju i ciszy, wśród których mógł tu spędzić resztę tych dwunastu godzin. Ale przypomniał sobie jeszcze jedno miejsce, zwane Placem Sądowym; tam przed chłodem rzeki ochronią go wysokie budynki, jeśli zaczeka jeszcze trochę, aż ludzie, którzy zapewne tam siedzą na ławkach, poczują senność i pójdą do domu.

Kiedy wrócił znowu do świateł i zgiełku, huk asfaltu, chociaż wciąż bezsenny, zdawał się już przygasać, dogorywać jak wzbijający się w górę i znikający dym, tak że to, co z niego pozostało, krążyło teraz pomiędzy gzymsami i krawędziami dachów. Spóźnione samochody, choć jeszcze błyskały barwnymi światłami, zdawały się teraz w trwodze i samotności uciekać przed samotnością. Tutaj było cieplej. I po chwili poczuł się dobrze, nie było tu nikogo prócz niego; położył się na ławce, podkurczając kolana aż pod zapięty sweter i leżał spokojnie, nie większy niż dziecko i nie mniej opuszczony, kiedy coś twardego uderzyło w podeszwy jego butów; czas, sporo czasu upłynęło i noc była teraz zimna i pusta. Był to policjant, poznał go od razu, mimo czterdziestu czterech lat zmian i przeobrażeń.

— Do diabła z pańskim Missisipi — rzekł policjant. — Ja się pytam, gdzie pan mieszka tu, w mieście. Nie ma pan gdzie spać? Wie pan, gdzie jest dworzec kolejowy? Niech pan tam idzie, dostanie pan łóżko za pięćdziesiąt centów. Proszę stąd iść.

Nie poruszył się, opuszczony i żaloszny, ale nie bardziej politowania godzien niż skorpion. — Do diabła! W dodatku jest pan bez grosza! Ma pan — było to pół dolara. — No, jazda, niech pan stąd zmiata. Będę tu stał i patrzył, czy pan mi znika z oczu.

— Mocno zobowiązany — powiedział.

Pół dolara. A więc to jeszcze jedno z nowych praw, jakie wprowadzili: przypomniał sobie, że o tym także mówiono w Parchman. Nazywali to Funduszem Pomo

cy Społecznej czy jakoś podobnie: ten sam rząd, który nie pozwalał ci hodować bawełny na twoim własnym polu, robił jednocześnie coś wręcz przeciwnego i dawał ci materac i jedzenie, a nawet pieniądze w gotówce, ale najpierw musiałeś przysiąc, że nie masz nic na własność, a nawet dowieść tego, oddając twój dom czy ziemię, a nawet wóz i muły twojej żonie czy dzieciom, czy jakimkolwiek krewnym, którym można było zaufać, polegać na nich. I kto wie? Nawet jeśli używane pistolety podrożały tók jak wszystko inne, może dodatkowe pół dolara wystarczy, bez drugiego policjanta.

Ale spotkał drugiego. Było to na dworcu. Dworzec przynajmniej się nie zmienił. Ta sama głucho dudniąca rotunda, przez którą przechodził wysiadłszy z pociągu z Jefferson, w czasie swoich poprzednich wycieczek do Memphis — ten pierwszy, niezapomniany raz (wyobrażał to sobie teraz, ostatni raz był czterdzieści cztery lata temu, a pierwszy ■ — trzy dolary przedtem, to znaczy czterdzieści siedem lat) ze zwitkiem obszarpanych, wyrwanych spod serca banknotów w kurczowo zaciśniętej dłoni i przewodnikiem, który mu opowiadał o domach w Memphis specjalnie przeznaczonych na ten użytek; gdzie były same białe kobiety i mógł mieć każdą z nich, byleby mu starczyło pieniędzy; on, którego dotychczasowe doświadczenie sprowadzało się do pełnych furii, nie planowanych epizodów, równie gwałtownych jak wymioty, bez żadnych przygotowań prócz rozpięcia guzików przed skokiem w zakurzone zarośla przy drodze albo w bruzdę na polu, gdzie już leżała w oczekiwaniu brudna, prawie niewidzialna dziewczyna murzyńska. Ale w Memphis było zupełnie inaczej: on i jego przewodnik szli ulicą, gdzie całe miasto czekało uległe i niecierpliwe, aby go przyjąć, porwać w swe ramiona, razem z jego cienkim zwitkiem dolarów, które wyrwał, wywalczył pracą między żniwami na cudzych polach albo w wędrownych tartakach, wydarł nieubłaganej wydzierżawionej ziemi swego ojca, z którym za każdym razem musiał staczać bitwę o każdego miedziaka. Tutaj także było ciepło i prawie pusto, i tym razem policjant poderwał go brutalnym szarpnięciem, zanim zdążył zasnąć. Ten nie był w mundurze. Ale słyszał także i o takim gatunku.

— Pytam, na jaki pociąg pan czeka?

— Nie czekam na żaden pociąg — odpowiedział.

— Więc niech pan stąd wyjdzie i wraca do domu — a potem, zupełnie tak samo jak tamten: — Nie ma pan gdzie spać? Dobrze, ale ma pan przecież, u diabła, jakieś miejsce, z którego pan wyszedł, czy pójdzie pan spać, czy nie. Niech pan spływa. — A potem, ponieważ Mink się nie ruszył: — Proszę odejść, powiedziałem. Na co pan czeka?

— Na pół dolara — powiedział.

— Jak? — krzyknął policjant. — Pół dolara? Ach, ty... — tym razem więc się poruszył, odwrócił się szybko, wywijając się przed ciosem i uciekając, nie większy od małego chłopca, a przez to równie trudny do złapania dla mężczyzny wzrostu policjanta, w miejscu tak wielkim jak to. Nie biegł: szedł tylko akurat dość szybko, żeby policjant nie mógł go dotknąć, a jednocześnie nie miał powodu na niego krzyżeć, wychodząc przez rotundę, na ulicę, nie oglądając się za policjantem, który stał w drzwiach, krzycząc: — Niech tylko cię tu jeszcze raz złapię!

Zaczynał się coraz lepiej orientować. Był jeszcze jeden dworzec przy końcu poprzecznej ulicy, ale tam zapewne spotkałoby go to samo: najwidoczniej policjanci, którzy nosili takie same ubrania, jak wszyscy, nie byli objęci Funduszem Pomocy Społecznej. Zresztą noc miała się już ku końcowi, czuł to. Więc

po prostu spacerował po ulicy, nie oddalając się zanadto, bo teraz już wiedział, gdzie jest. Od czasu do czasu na pustych bocznych uliczkach i w zaułkach mógł się zatrzymać i usiąść na progu jakichś drzwi albo za blaszanką na śmiecie i znów obudzić się, zanim zdążył zasnąć. Wtedy wstawał i szedł dalej: miasto spokojne i puste (w tej części przynajmniej) bezspornie należało do niego; myślał z dawnym zdumieniem, nie mniej świeżym i silnym, choć było równie stare jak on: „Człowiek może przejść przez wszystko, jeżeli tylko może jeszcze chodzić”.

Potem nadszedł dzień, nie budząc miasta: miasto nie spało, lecz zaczynało na nowo stawać się widzialne, ukazując blade, nie śpiące twarze, rozgorączkowane i wesołe, śpieszące do straszliwych, niewyobrażalnych uciech. Wiedział teraz dokładnie, gdzie jest, ten chodnik mógłby ukazać ślady jego stóp sprzed czterdziestu czterech lat. Pierwszy raz odkąd wyszedł za bramę Parchman, pięć ranków temu, czuł się ufny, nietykalny i bezpieczny. „Mógłbym teraz wydać tego całego dolara i to by mnie nie zatrzymało” — myślał pośrodku małego brudnego sklepiku, gdzie kilku Murzynów już sprzedawało słodycze. Zdawało się, że sklepem zarządza Murzyn, w każdym razie on obsługiwał klientów. Może nawet był jego właścicielem, może nowa prawa pozwalały Murzynom posiadać własne sklepy, choć przypominał sobie, że inaczej było przed trzydziestu ośmiu laty.

— Proszę o pierniki... takie — rzekł wskazując tekturowe pudełeczko, które wyglądało jak wagonowy, z obrazkami zwierząt, które przypominały godła heraldyczne. Bo teraz był tu, bezpieczny, nietykalny. — Te chyba też podrożały o dziesięć czy piętnaście centów, no nie?

— Dziesięć centów — powiedział Murzyn.

— Dziesięć centów drożej niż co?

— Kosztują dziesięć centów — rzekł Murzyn. — Życzy pan sobie czy nie?

— Proszę mi dać dwa pudełka — powiedział. Szedł teraz w jasnym świetle słonecznym, stanowiąc część śpieszącego tłumu, jedząc swoją waniliową menażerię. Miał jeszcze przed sobą mnóstwo czasu, bo nie tylko był bezpieczny, ale wiedział dokładnie, gdzie jest: gdyby tylko odwrócił głowę (czego nie zrobił), zobaczyłby ulicę i front domu (nie wiedział tego oczywiście i prawdopodobnie nawet by nie poznał swojej młodszej córki, która teraz prowadziła przedsiębiorstwo), gdzie wszedł razem ze swoim mentorem tamtej nocy czterdzieści siedem lat temu i czekał, aż obejmą go olśniewające ramiona kobiet, nie tylko zbudowanych jak Helena, Ewa i Lilith, nie tylko płomiennych jak Helena, Ewa i Lilith, ale także białych jak one; tej nocy, kiedy w łóżku prostytutki powiedział: „Nie” nie tylko wszystkim twardym, bezlitosnym latom swego twardego, jałowego życia, ale także samej śmierci.

Okno wystawowe nie zmieniło się: ta sama nie u- myta szyba za drucianą kratą, te same sfatygowane gitary i ozdobne zegary, i szklane paciorki.

— Chciałbym kupić pistolet — powiedział do jednego ze stojących za kontuarem mężczyzn obrosniętych jak piraci.

— Ma pan pozwolenie? — spytał sprzedawca.

— Pozwolenie? — powiedział. — Ja tylko chcę kupić pistolet. Powiedziano mi, że pan tu sprzedaje pistolety. Mam pieniądze.

— Kto panu to powiedział? — spytał sprzedawca.

— Może on nie chce kupić, tylko zareklamować? — wtrącił drugi mężczyzna.

— Och — rzekł pierwszy. — To co innego. Jaki rodzaj pistoletu chciałby pan zareklamować, dziadziu?

— Co? — zapytał.

— Ile ma pan pieniędzy? — spytał pierwszy.

Sięgnął do kieszonki w klapie kombinezonu, wyciągnął banknot dziesięciodolarowy i rozwinął go. — To wszystko, co pan ma?

— Chciałbym zobaczyć pistolet — powiedział.

— Nie może pan kupić pistoletu za dziesięć dolarów, dziadziu — rzekł pierwszy. — Niech pan poszuka jeszcze w innych kieszeniach.

— Czekaj — rzekł drugi. — Może mu będę mógł odstąpić coś z mego zbioru prywatnego — schylił się i zaczął grzebać pod ladą.

— To jest myśl — powiedział pierwszy. — Na pistolet z twego zbioru prywatnego nie będzie potrzebował pozwolenia. — Drugi sprzedawca podniósł się i położył na ladzie jakiś przedmiot. Mink spojrzął na niego spokojnie.

— Wygląda jak żółw ■ — powiedział. Rzeczywiście tak wyglądał: szeroki i rozplaszczony, cały pokryty rdzą, z krótką ściętą lufą, wygiętą kolbą i płaskim kurkiem, miał w sobie coś z płaza i przypominał jakiegoś skamieniałego żółwia z epoki przedpotopowej.

— O czym pan mówi? — obruszył się pierwszy. — To jest prawdziwy buldog policyjny czterdzieści jeden, najlepsza ochrona, jakiej można sobie życzyć. Chyba o to panu chodzi, prawda? O pistolet dla celów obronnych. Bo jeśli chodzi o coś więcej, jeżeli zamierza go pan zabrać do siebie, do Arkansas, po to, żeby rabować, strzelać do ludzi, to prawo tego zabrania. Nawet w Missisipi nie wolno tego robić.

— To prawda — rzekł Mink — potrzebny mi do obrony. — Położył banknot dziesięciodolarowy na ladzie, wziął pistolet, otworzył i spojrzął w lufę pod światło.

— Jest brudna w środku — powiedział.

— Ale widzi pan przez nią na wylot, tak czy nie? — rzekł pierwszy. — Czy pan myśli, że kula kaliber czterdzieści jeden nie przeleci przez każdą dziurę, przez którą pan może widzieć? — Mink opuścił pistolet: miał go zamknąć, kiedy zobaczył, że banknot zniknął z lady.

— Proszę poczekać — powiedział.

— Oczywiście — rzekł pierwszy sprzedawca kładąc banknot z powrotem na ladzie. — Proszę mi oddać pistolet. Nawet tego nie możemy panu odstąpić za dziesięć dolarów.

— Ile żądacie?

— Ile pan ma?

— Mam jeszcze trzy. Muszę wrócić do domu do Jefferson.

— Jasne, że musi wrócić do domu — powiedział drugi. — Oddajmy go za jedenaście dolarów. Nie jesteśmy złodziejami.

— Nie jest nabity — powiedział Mink.

— Na rogu ulicy jest sklep, gdzie pan może kupić naboje, ile tylko pan zechce, po cztery dolary za pudełko.

— Nie mam czterech dolarów — rzekł. — Chcę kupić tylko dwa naboje. I muszę wracać...

— Po co mu całe pudełko, jeżeli to tylko dla obrotu? — powiedział drugi. — Odstąpię panu dwa naboje z mojego zbioru prywatnego za jednego dolara.

— Muszę mieć przynajmniej jedną kulę do wypróbowania — rzekł. — Chyba że mi dacie gwarancję...

— Czy my żądamy od pana gwarancji, że nie użyje pan go do rozboju i morderstwa? — zaprotestował pierwszy.

— Dobrze już, dobrze, musi go wypróbować — rzekł drugi. — Daj mu jeszcze jedną kulę za... nie wygrzebałby pan jeszcze ćwiartki z tej kieszeni? Te naboje czterdzieści jeden rzadko można dostać, wie pan?

— Dziesiątka nie wystarczy? — zapytał. — Muszę jeszcze wrócić do domu.

— Dobrze, dobrze — rzekł drugi. — Daj mu pistolet

1 trzy naboje za dwanaście dolarów i dziesięć centów. On musi wrócić do domu. Do diabła z łajdakiem, który okrada takiego, co musi wrócić do domu.

A więc wszystko było w porządku. Wyszedł na senne światło słoneczne wczesnej jesieni, na ulice nie śpiącego, wstrząsanego gorączką miasta. Czuł się teraz dobrze. Pozostawało mu już tylko dotrzeć do Jefferson, a Jefferson było odległe zaledwie o osiemdziesiąt mil.

XIII

Kiedy Charles Mallison przyjechał do domu we wrześniu 1945, w Jefferson był nowy Snopes. Zestrzelono ich („oczywiście”, dodawał zawsze Charles, ilekroć to opowiadał), ale samolot się nie rozbił. Pilotem był Plexiglass, Plex. Naprawdę nazywał się Harold Bad-drington, ale miał obsesję na punkcie celofanu, który nazywał „plexiglass”; sam widok czy nawet myśl

o nowym pudełku papierosów czy nowej koszuli lub chustce do nosa, ponieważ trzeba je było teraz kupować owinięte w niewidzialny przezroczysty kokon, doprowadzały go do jakiegoś gwałtownego, niemal histerycznego obłądzenia, który, jak to zauważył Charles, wywoływało u niektórych przedstawicieli ludności cywilnej, zwłaszcza około pięćdziesiątki, samo pojęcie Niemców czy Japończyków. Plex miał nawet swój własny plan wygrania wojny przy pomocy celofanu: zamiast bomb B-17 i B-24, brytyjskie Lancastery i Blenheimy zrzuciłyby paczki papierosów, nowe koszule

i kalesony w celofanowych opakowaniach, i podczas gdy Niemcy staliby w ogonku po narzędzia potrzebne do otwierania paczek, można by ich ostrzeliwać -masowo z samolotu, a nawet brać do niewoli bez jednego wystrzału wojsk spadochronowych.

Plex nawet nie wyskoczył z samolotu i dokonał naprawdę wspaniałego lądowania z jednym motorem. Na nieszczęście tylko wybrał farmę, gdzie już po-

przedniego ranka patrol niemiecki postanowił wypróbować nowy wynalazek okupacyjny czy coś w tym rodzaju, według otrzymanych nowych dyrektyw, dość że w krótkim czasie cała załoga samolotu znalazła się w obozie jenieckim w Limburgu, który od razu okazał się najbardziej niebezpiecznym miejscem, w jakim kiedykolwiek Charles i Plex znajdowali się podczas wojny: położony tuż obok stacji rozdzielczej, którą lotnicy brytyjscy bombardowali w każdą środę wieczorem z wysokości około trzydziestu czy czterdziestu stóp. Przez sześć dni patrzyli na kalendarz posuwający się wolno i nieubłaganie w kierunku środy, kiedy z regularnością zegarka wybuchał ogłuszający huk, trzask i dawało się słyszeć warczenie motorów, a reflektory, kule z karabinów maszynowych, świszczące odłamki pocisków rozdzierały powietrze i mieszkańcy baraku włązili pod łóżka czy cokolwiek, co mogło stanowić dodatkową warstwę ochronną, z nieprzepartym pragnieniem, potrzebą, impulsem, by wybiec za drzwi i machać rękami krzycząc tak, by zagłuszyć pandemonium rozpetane w górze: „Hej, chłopcy! Miejcie trochę litości! To my! To my!” — Gdyby to był film albo powieść, a nie wojna, bylibyśmy stąd uciekli — mówił Charles. Ale on sam nie znał i nigdy nie poznał nikogo, kto by kiedykolwiek uciekł z autentycznego stalagu, toteż musieli czekać na oficjalne wyzwolenie, zanim wrócił do domu i stwierdził, że jego miasto wzbogaciło się o jeszcze jednego Snopesa. Mimo wszystko ludność Jefferson broniła się dzielnie. Bo tego samego lata 1945, kiedy nowy Snopes przybył do miasta, Ratliff zlikwidował Clarence'a. To nie znaczy, że go zastrzelił czy coś w tym rodzaju: po prostu wyeliminował Clarence'a jako czynnik tego, co wuj Charlesa, Gavin, nazywał nieustającą Sno- pesofobią. Stało się to w czasie kampanii przed pierw-

szymi wyborami w sierpniu. Charles wrócił dopieć w miesiąc później, a jego wuj, Gavin, także nie był obecny na pikniku, gdzie Clarence Snopes został pobity w tym wyścigu do Kongresu, który pod postacią wyborów miał się odbyć dopiero w następnym roku. To właśnie miał Charles na myśli mówiąc, że Ratliff to zrobił. Był akurat w biurze, kiedy jego wuj, Gavin, wytropił tym razem Ratliffa w jego norze, przyparł go do muru i spytał: — No dobrze, co właściwie stało się tego dnia?

Senator Clarence Egglestone Snopes — czyli „Clan- ce”, jak wymawiał to imię każdy wolny biały Amerykanin z Yoknapatawpha, którego obowiązkiem i prawem było iść do urn wyborczych i nakreślić swój krzyżyk, ilekroć stary Will Varner kazał mu to zrobić — zwany po prostu senatorem Clarence'em Sno- pesem przez pierwsze kilka lat, od czasu gdy stary Varner udzielił mu inwestytury czy w każdym razie umieścił go w izbie wyższej stanowej władzy ustawodawczej w Jackson, ostatnio zaczynał przybierać na wadze (przedtem był młodym ciężkim grubasem, choć względnie energicznym i aktywnym, dopóki na skutek siedzącego trybu życia i pracy umysłowej na stanowisku mentora i strażnika interesów parlamentarnych okręgu Yoknapatawpha nie zaczął mu czerwienieć nos i rosnać brzuch): pewnego gorącego dnia w lipcu, w latach dwudziestych stulecia, kiedy żaden inny mężczyzna w Jefferson w Yoknapatawpha poniżej sześćdziesiątki nie wkładał marynarki, Clarence zjawił się na rynku w białym garniturze lnianym z czarnym krawatem a la Windsor i bądź tuż przedtem, bądź tuż potem, czy też akurat w momencie, kiedy ogólny, równoczesny szok zwrócił na to powszechną uwagę, uświadomiono sobie, że obecnie podpisuje się „senator C. E. Snopes” i wuj Charlesa, Gavin, za-

pytał. — Skąd się wzięło to E? — a Ratliff odpowiedział:

— Może to przywazył razem z tym białym garniturem ślubnym, kiedy przejeżdżał tam i z powrotem Memphis w drodze do pracy w Jackson. Bo dlaczego nie? Czy wybrany senator nie ma takich samych praw prywatnych jak każdy zwykły, wolny wyborca?

Co chciał powiedzieć przez to Charles — to że Clarence trochę wytrącił ich wszystkich z równowagi, tak jak as bokserki wytrąca z równowagi swego przeciwnika, jeszcze zanim go naprawdę uderzy. Toteż bardzo łagodnie zareagowali na wiadomość, że ich własny, prywatny Cincinnatus zgubił gdzieś „C” i jest obecnie senatorem Egglestone Snopesem; jego wuj, Gavin, zapytał tylko: — Egglestone? Dlaczego Egglestone? — a Ratliff powiedział tylko: — Czemu nie? — a nawet jego wuj, Gavin, powiedział tylko: — Tak, czemu nie? — Toteż nie byli nawet bardzo zdziwieni, kiedy pewnego dnia „C” powróciło znowu: senator C. Egglestone Snopes, obecnie już z definitywnym brzuchem, workami pod oczyma i z dolną wargą obrzmiałą na skutek elokwencji. Bo Clarence wygłaszał teraz przemówienia, gdziekolwiek i wszędzie, na zebraniach i w klubach kobiecych, z jakiegokolwiek okazji i w jakimkolwiek miejscu, gdzie tylko można było zwerbować słuchaczy, bo Charles był jeszcze w niemieckim stalagu, kiedy jego wuj Gavin i Ratliff zrozumieli, że Clarence zamierza kandydować do Kongresu w Waszyngtonie i że stary Will Varner bardzo prawdopodobnie mógłby postarać się o jego wybór — ten sam Clarence Snopes, który powoli i nieprzerwanie wspinał się na szczyble swej kariery, najpierw jako detektyw zaangażowany przez starego Varnera w jego własnym prywatnym drugim oddziale, potem jako inspektor tej instytucji, a potem jako przedstawiciel okręgu w Jackson, wybrany przez cały okręg przy

pomocy stosowanych przez starego Willa metod szantażu, a obecnie w 1945 roku, przy poparciu wszystkich zjednoczonych w akcji i handlujących głosami Varnerów całego okręgu wyborczego, kandydujący do Izby Reprezentantów w Waszyngtonie, gdzie w szponach już nie miejscowego Willa Varnera, lecz jego odpowiednika na skalę ogólnonarodową, a nawet międzynarodową, nie wiadomo, do czego byłby zdolny, gdyby ktoś nie położył temu kresu. Tak było do tego dnia w lipcu, kiedy na dorocznym pikniku urządzonej przez Varnera zgodnie z obyczajem i tradycją nie tylko lokalni kandydaci okręgu i stanu, lecz nawet regionalni kandydaci do władz centralnych, jak Clarence — mimo że same wybory miały się odbyć w następnym roku — puszczali łódź na bystre wody. Tymczasem Clarence nie tylko nie ukazał się na trybunie mówców, żeby zapowiedzieć swoją kandydaturę, ale zniknął z terenu pikniku, jeszcze zanim podano obiad. A następnego dnia po całej okolicy rozeszła się wiadomość, że Clarence nie tylko postanowił nie kandydować do Kongresu, ale że wycofuje się całkowicie z życia publicznego z chwilą wygaśnięcia swego obecnego mandatu w senacie stanu.

Wuj Charlesa, Gavin, chciał więc wiedzieć, co się stało Clarence'owi, a raczej, co się stało staremu Willowi Varnerowi. Bo cokolwiek usuwało Clarence'a z wyścigu wyborczego, musiało dotyczyć nie tyle Clarence'a, co starego Willa, właściwie Clarence'a nie potrzebowało dotyczyć w ogóle. Bo nikt nie troszczył się o Clarence'a, tak jak nikt się nie troszczy o ładunek dynamitu aż do chwili, kiedy go ktoś podpali. Inaczej jest to tylko sterta trocin zatłuszczony papier, który nie spalił się nawet wrzucony do ognia. Clarence był oczywiście człowiekiem amoralnym i bez zasad, ale bez cudzej ręki czy inteligencji, która by nim pokierowała czy rozgrzeszyła, mógłby się stać

ofiara każdego, bo sam miał wyłącznie ślepy instynkt chytrego łotrzyka i sadysty i był niebezpieczny tylko dla kogoś, na kogo miałby wpływ intelektualny i moralny i tym kimś spośród wszystkich mieszkańców świata mógł być tylko inny Snopes, a spośród wszystkich Snopesów tylko jeden. W tym wypadku był to jego najmłodszy brat, Doris — gruby, siedemnastoletni chłopak, nie tylko podobny do Clarence'a ze wzrostu i figury, ale obdarzony tą samą mentalnością dziecka i zasadami moralnymi łasicy, z tą jedyną różnicą, że Doris nie został jeszcze wybrany do władz ustawodawczych stanu.

W pierwszych latach dwudziestych Byron Snopes, ' ten, który okradł bank pułkownika Sartorisa i uciekł do Teksasu, przysłał stamtąd za zaliczeniem pocztowym czwórkę dzieci, pół-Apaczów, pół-Snopesów, i Clarence, który wtedy spędzał lato w domu między dwoma sesjami parlamentarnymi, przyjął ich do pomocy w gospodarstwie, głównie dla zabawy. Tylko że teraz, jako senator stanu, Clarence musiał się trochę liczyć z opinią publiczną, nie ze względu na swoich wyborców, ale dlatego, że nie miał najmniejszego zamiaru wystawiać na próbę miłości własnej starego Willa Varnera. Toteż tylko obmyślał figle, a do ich wykonywania używał swego brata, Dorisa, aż do dnia, kiedy czterej mali Indianie schwytali Dorisa samego w lesie, przywiązali do słupa i podłożyli już ogień, kiedy ktoś usłyszał jego krzyki i nadbiegł w porę, żeby go ocalić. Ale sam Clarence dobiegał wtedy trzydziestki i był już senatorem stanu; jego kariera zaczęła się na długo przedtem, kiedy miał osiemnaście czy dziewiętnaście lat, w sklepie Varnera; stał się przywódcą bandy kuzynów i podlizywaczy (był tęgi i silny i, jak mówił Ratliff, naprawdę lubił się bić, byleby równowaga sił wystarczająco przechylała się na jego stronę), którzy urządzali bójkę i pijatyki, grali w kości, tłukli Murzynów i terroryzowali kobiety i młode dziewczęta w okolicach Sadyby Francuza, dopóki (tak mówił Ratliff) stary Will Varner nie zirytował się tym dostatecznie, by go odsunąć od działalności publicznej i kazać miejscowemu sędziemu pokoju, by mianował Clarence'a swym konstabłem. Od tego dnia, jak się zdawało, całe życie, egzystencja, przeznaczenie Clarence'a znalazło wreszcie swój sens, tak jak rakietę przy pierwszym zetknięciu z ogniem.

Ale jego kariera nie rozwijała się z tak zawrotną szybkością, nie od początku przynajmniej. A może nie tyle kariera, co orientacja, wtajemniczenie. Z początku jakby się tylko rozglądał wkoło, orientował się, starał się ustalić dokładnie, gdzie jest w danym momencie — i dopiero wtedy spoglądał, jakby ze zdziwieniem i niedowierzaniem, na otwierającą się przed nim perspektywę. Z początku tylko zdziwiony, zanim przyszło olśnienie nieograniczonymi możliwościami, o których mu nikt przedtem nie powiedział. Bo z początku prowadził się nawet dobrze. Z początku wszyscy myśleli, że skoro był zdolny do takiego bezwstydu mając oparcie tylko w jednomyślności swojej dawnej bandy łobuzów, to teraz, w oparciu o majestat prawa, w jaki przyoblekł go Will Varner, dopiero pokaże, co potrafi. Ale on zawiódł wszystkich, stając się obrońcą i czempionem dobrych obyczajów i spokoju publicznego Sadyby Francuza. Naturalnie kilku pierwszych Murzynów, którzy dopuścili się wykroczeń podlegających jego nowej oficjalnej kompetencji, ucierpiało z tego powodu. Ale było teraz coś bezosobowego nawet w tym brutalizowaniu Murzynów. Przedtem on i jego banda bili Murzynów z zasady. Nie prześladowali ich indywidualnie ani nawet (jak mówił wuj Charlesa, Gavin) nie zwalczali ich jako przedstawicieli rasy, która była obca ze wzglę-

(hi iHI swój wygląd zewnętrzny, a przez to samo wroga sama w sobie, ale (jogo wuj Gavin mówił, że Clarence i jego banda nie wiedzieli tego, bo nie mieli odwagi wiedzieć, że tak jest) dlatego, że lękali się tej obcej rasy. Bali się jej nie dlatego, że była czarna, lecz dlatego, że biały człowiek sam nauczył czarnego, jak zagrozić systemowi ekonomicznemu białych, systemowi marnotrawstwa produkcji, zmuszając czarnego do nauczenia się, jak produkować więcej, mniejszą ilością i gorszą jakością, jeśli czarny człowiek chciał przetrwać w ekonomii białych; mniejszą ilością

i gorszą jakością narzędzi do pracy w polu i w fabryce, mniejszym zbytkiem i mniejszym marnotrawstwem. Ale teraz to już było skończone. Teraz kiedy Clarence tłukł Murzyna biczem albo kolbą pistoletu, który teraz oficjalnie nosił, robił to jakoś bez zainteresowania, jak gdyby wykorzystywał nie czarną skórę prześladowanego ani jego ciało, lecz tylko obecny stan wrażliwości prawnej tego człowieka jako pole doświadczenia, na którym chciał wypróbować raz jeszcze (może nawet dodając sobie otuchy z dnia na dzień), jak daleko sięga jego władza oficjalna, jego nietykalność prawna, a także ile siły fizycznej pozostało mu jeszcze przy nieuniknionym biegu lat.

Bo nie zawsze to byli Murzyni. Właściwie jedną z pierwszych ofiar nowej funkcji Clarence'a był jego adiutant, jego zastępca w dawnej bandzie; Clarence tym razem okazał tym więcej surowości, że delikwent usiłował wykorzystać dawną przyjaźń i przeszłość» tak jakby Clarence osobiście zainwestował teraz pewnego rodzaju niesprzedajność i niezłomność w swoje dawne, wrodzone instynkty, skłonność do gwałtu

i bólu fizycznego; jak gdyby musiał je pożyczyć — tę integralność i niesprzedajność — na tak wysoki procent, że należało ich bronić za cenę życia. Tak czy inaczej — zmienił się. I jak twierdził wuj Charlesa.

Gavin, ponieważ przed jego wyniesieniem na wyżyny wszyscy uważali Clarence'« za niezdolnego do jakiegokolwiek zmiany, teraz ci sami ludzie natychmiast uznali, że jego nowa forma jest czymś wiecznym, mającym trwać do końca jego życia. Wierzyli w to nadal, nawet kiedy odkryli (to nie była pogłoska, sain Clarence chętnie się tym, opowiadał to wszystkim z całym spokojem), że był członkiem Ku Klux Klanu, kiedy organizacja ta pojawiła się w okręgu (nigdy nie rozwinęła szerszej działalności i nie trwała długo; przypuszczano, że nie trwałaby w ogóle, gdyby nie Clarence). Został przyjęty dlatego, że Klub go potrzebował, czy mógł potrzebować, albo, jak twierdził wuj Charlesa, Gavin, prawdopodobnie dlatego, że nie było na świecie sposobu, żeby go utrzymać z daleka. To było, zanim został konstabłem w Sadybie Francuza; jego pierwsze, dziewicze, można by rzec, przejście prosto z życia prywatnego do publicznego, stosunkowo jeszcze nieszkodliwe, bo nawet Ku Klux Klan miał za dużo rozumu, żeby zanadto liczyć na Clarence'a; pozostał tylko jeszcze jednym posłusznym wykonawcą, człowiekiem mocnej ręki — aż do dnia, kiedy irytacja czy moment załamania się starego Willa Varnera wyniosły go do godności konstabla; po czym, w rok później, rozeszła się pogłoska, że jest teraz funkcjonariuszem Klavern, czy jak to nazywano; w dwa lata później został miejscowym Smokiem czy Orłem: mianowany przez starego Varnera strażnikiem spokoju publicznego, sam mianował się teraz także arbitrem jego moralności.

Wtedy to zapewne dostrzegł naprawdę całą rozległość i splendor swego przeznaczenia; ze zdumieniem i niedowierzaniem w obliczu tej nieograniczonej ekspansji, może nawet z uczuciem pokory na myśl, że został wybrany, uznany godnym tego bezkresnego pola dla rozwinięcia swoich zdolności i talentów: nie

■ylko po to, żeby bić ludzi, młotem wykuwać ich uległość i nieczulość, ale żeby się nimi posługiwać; nie tylko zwiększać ich niewyczerpaną ilość, jak amunicję, czy konsumować ich, jak barany i świnie, ale posługiwać się nimi, używać ich, jak muły lub woły, kierując stale wzrok na następną brudę, jutro czy w następnym roku; korzystać nie tylko z ich kompetencji do postawienia krzyżyka, gdziekolwiek i kiedykolwiek każe im to uczynić stary Will Varner, ale wykorzystywać także ich zdolność do pasji, chciwości i strachu, jak gdyby Clarence całe swoje życie pracował w polityce, a nie miał za sobą tylko tych kilku lat kariery wiejskiego policjanta. I, jak mówił wuj Charlesa, robił to wszystko z czystego, nieomylnego instynktu, bez żadnego preceptora ani przykładów. Bo to wszystko działo się, zanim Huey Long wznosił się dość wysoko, by pokazać ich własnemu Bilbo z Missisipi, czego może dokonać człowiek z odrobiną energii i odwagi, bez kompleksów i zahamowań.

Toteż kiedy Clarence zgłosił swoją kandydaturę do ustawodawstwa stanu, mieszkańcy okręgu wiedzieli, że nie będzie mu potrzebna żadna inna platforma prócz nazwiska Willa Varnera. Natychmiast doszli do wniosku, że ta kandydatura nie była nawet pomysłem samego Clarence'a, tylko wuja Billy; że po prostu irytacja wuja Billy osiągnęła taki punkt nasilenia, że Clarence musiał zniknąć mu z oczu. Ale pomylili się. Clarence miał swoją platformę. To był moment, kiedy niektórzy, nieliczni, jak wuj Charles, Ratliff i kilku innych, jak Charles (miał wtedy lat osiem czy dziesięć), którzy słuchali ich rozmów (albo tak czy inaczej musieli je słyszeć, jak Charles), odkryli, że lepiej się go bać i wystrzegać. Clarence miał swoją własną platformę: taką, gdzie tylko jego amoralna brawura ośmielała się zapuszczać; bo czyniła go apostatą w jego własnym okręgu wyborczym: głosy, które zdecydowały o jego wygranej, pochodziły ze źródeł nie tylko nie objętych władzą Willa Varnera, lecz od ludzi, którzy w każdych innych warunkach głosowaliby inaczej, na każdego innego przedstawiciela gatunku ludzkiego: Clarence wystąpił publicznie przeciw Ku Klux Klanowi. Był Orłem czy Smokiem, czy jakkolwiek miał tytuł, aż do dnia, w którym ogłosił swoją kandydaturę — tak przynajmniej myślano w okręgu. Teraz jednak był jego śmiertelnym wrogiem, jeździł po całej okolicy pozornie w celu uzyskiwania mandatu, ale to był tylko zbieg okoliczności, bo jego głównym celem było zniszczyć smoka i wygrał wyścig tą znikomą większością głosów przeważnie pochodzących z samego Jefferson: nauczycieli, młodych przedstawicieli wolnych zawodów, kobiet, naiwnych liberałów, którzy wierzyli, że prawo, uczciwość i wolność osobista zwyciężą tylko dlatego, że sami byli praworzadni i uczciwi: ci nie mieli jedności politycznej, dopóki nie zaoferował im jej Clarence, i nie zawsze nawet fatygowali się głosować, aż w końcu to, czego się obawiali i nienawidzili, powołano do życia obrońcę ich sprawy. Tak więc udał się do Jackson nie jako zwycięski kandydat na funkcję polityczną, lecz jako paladyn, oddany słusznej sprawie, i wkroczył (według określenia wuja Charlesa) na salę senatu w aureoli Nieskazitelnego Rycerza, częściowo wynikającej z oburzenia i konsternacji jego własnego gatunku, którym gardził i od którego się odgradził. Bo w istocie zniszczył Ku Klux Klan w okręgu Yokna-patawpha, jak to wyraził jeden z weteranów klanu: „Jeśli nie możemy pobić garstki nauczycieli, wydawców i dyrektorów szkół niedzielnych, jakże, u diabła, możemy się spodziewać, że pobijemy całą rasę Murzynów, katolików i Żydów?” A więc Clarence był na swoim miejscu. „Miał to z głowy”, jak mówiło pokolenie Charlesa. Był teraz

zabezpieczony na dwa najbliższe lata — do następnych wyborów, kiedy mógł się rozejrzeć, zorientować się, w jakim kierunku trzeba będzie iść dalej, jak alpinista. Tak to określał wuj Charlesa: zupełnie jak wspinaczka górską. Tylko że człowiek nie zawsze wspina się w górę wyłącznie po to, żeby wejść na szczyt. Próbowalby się wspiąć nawet wiedząc, że nigdy tam nie dotrze. Wspina się po prostu dlatego, żeby mieć spokój samotności i zadowolenie, jakie daje nieustająca świadomość, że tylko jego samotna energia, odwaga, i wola stoją pomiędzy nim a śmiercią, podczas gdy Clarence nie wiedział nawet, że wspina się na górę, bo nie było tu skąd spaść, można tylko było zostać wypchniętym i każdy, kto się czuł dość silny i szybki, żeby wypchnąć Clarence'a Snopesa z jakiegokolwiek miejsca, mógł tego spróbować bez przeszkód.

Z początku więc mieszkańcy okręgu myśleli, że Clarence chce tylko spokojnie obserwować i słuchać, żeby nauczyć się reguł nowego rzemiosła. Nie wiedzieli, że to, czego się uczy, to umiejętność rozpoznania okazji, kiedy się nastęrczają; że robił to nawet, kiedy zaczął wreszcie przemawiać, zwracać się do Wysokiej Izby, nadal jako Rycerz bez Skazy, który zniszczył bigoterię i nietolerancję w okręgu Yokna-patawpha w oczach naiwnych iluzjonistów, dzięki którym wygrał wyścig; jeszcze długo potem, gdy reszta Okręgu zrozumiała, że Clarence głosi tę samą nienawiść do Murzynów, katolików i Żydów, stanowiącą dogmat organizacji, której zniszczenie pozwoliło mu się znaleźć tam, gdzie był. Gdy pojawiły się Srebrne Koszule, Clarence był jednym z pierwszych w Missisipi, którzy wstąpili w ich szeregi; zrobił to, jak twierdził wuj Charlesa, nie z powodu zasad głoszonych przez tę organizację, lecz dlatego, że prawdopodobnie doszedł do wniosku, iż to będzie trwalsze, niż zniszczony przez niego lokalny i samorządowy Klan. Bo tym razem kierunek, w jakim zmierzał, był oczywisty, przystępować do czego bądź, do jakiegokolwiek organizacji, do której należały ludzkie istoty i którą mógł trzymać w rękę i kontrolować, bądź poprzez emocje natury religijnej czy patriotycznej, bądź przez zwykłą chciwość, żądzę korzyści politycznych. W Sadybie Francuza należał do kościoła baptystów: teraz był członkiem kościoła w Jackson, gdzie (po trzecim z kolei zwycięstwie w wyborach) wykładał w szkole niedzielnej; tego samego lata w okręgu dowiedziano się, że zamierza na pewien czas wycofać się ze swych funkcji w senacie, żeby dać się poznać w wojsku lub w marynarce i móc kandydować do Legionu Amerykańskiego.

Clarence był już na miejscu. Miał to z głowy. Charles skłonny był powiedzieć, że „podzielił okręg”, tylko że słowo „podzielić” implikuje równowagę, a przynajmniej wahanie, choćby nawet lżejszy koniec belki był nieodwołalnie w powietrzu. Jeśli chodzi o Clarence'a i o Yoknapatawpha, to równowagi nie było. Clarence połknął cały okręg, jak to robią wieloryby i sowy, i jak sowy wypluwał w powietrze resztki kości i sierści, których potrzebował — nieszczęsną garstkę źle płatnych, wykształconych, liberalnych marzycieli, którzy go wybrali do senatu stanu, bo myśleli, że zniszczył Ku Klux Klan, a także jeszcze mniejszą garstkę innego rodzaju marzycieli, jak wuj Charlesa, Gavin, i Ratliff, którzy głosowali na Clarence'a w myśl teorii mniejszego zła, dlatego że występował przeciw Klanowi, i przez to ponieśli jeszcze sroższą klęskę, bo jeśli nauczyciele, profesorowie muzyki i inni naiwni intelektualiści, uczący się na pamięć przemówień prezydenta Roosevelta, za każdym razem byli gotowi uwierzyć na nowo, że honor, sprawiedliwość i uczciwość zwycięży tylko dlatego, że oni

są sprawiedliwi, uczciwi i honorowi, to jego wuj i Ratliff nigdy w to nie wierzyli i nie mieli uwierzyć.

Clarence ich nie zniszczył. Nie byli dość liczni. Właściwie było ich tak niewiele, że mógł w dalszym ciągu posyłać co roku kartki z życzeniami na Boże Narodzenie produkowane masowo, jak mówiono, przez tą samą firmę, która mu zawdzięczała odnowienie kontraktu na monopol produkcji tabliczek rejestracyjnych do samochodów. Co do reszty wyborców w okręgu, to tylko czekali, aż Clarence im wskaże, gdzie postawić krzyżyk, żeby go wybrać na jakie sobie tylko życzy stanowisko, aż do najwyższego, które, jak sądzono w Yoknapatawpha (nie wyłączając nawet przez jakiś czas marzycieli z gatunku wuja Charlesa, Gavina), było jego ostatecznym celem: stanowisko gubernatora stanu. Huey Long dominował teraz na widnokręgu każdego ambitnego polityka z Missisipi; wyborcom z Yoknapatawpha wydawało się rzeczą naturalną, że ich własny mąż stanu powinien wzorować się na nim. Nawet gdy Clarence podjął okrzyk bojowy Longa: „Kaźcie płacić bogaczom”, tak jak gdyby to on, Clarence, je wymyślił, nawet wuj Charlesa, Gavin, i Ratliff wierzyli jeszcze, że ambicje Clarence'a nie sięgają poza pałac gubernatorski. Bo choć w owej epoce (1830—1935) w Missisipi nie było bogaczy, którym można by kazać płacić, nie było właściwie przemysłu, nafty ani gazu, sam pomysł zabrania innym tego, co posiadali i na co nie zasługiwali bardziej niż on, bo nie byli bardziej inteligentni ani zręczniejsi, tylko po prostu mieli więcej szczęścia, idealnie trafił do przekonania wszystkim dzierżawcom i farmerom nie tylko okręgu Yoknapatawpha, ale także w całym Missisipi; Clarence mógł zostać gubernatorem Missisipi po prostu na zasadzie hasła osku- bywania bogaczy z Luizjany lub Alabamy czy też Maine i Oregonu.

Toteż ich wstrząs (małej samotnej komórki nie zreformowanych idealistów, jak jego wuj i Ratliff) na wiadomość, że Clarence zamierzał na pewien czas objąć kierownictwo Legionu Amerykańskiego w Missisipi, był niczym w porównaniu z tym, jakiego doznali przed trzema laty (sam Charles nie był wtedy obecny: wyjechał już z Yoknapatawpha, żeby rozpocząć trening do dziesięciomiesięcznego pobytu w niemieckim obozie jeńców) dowiedziawszy się, że najsilniejsze stronnictwo polityczne stanu, to, które miało wysunąć swego człowieka na stanowisko gubernatora, zaproponowało kandydaturę Clarence'a na zastępcę gubernatora i Clarence odmówił. Nie podał przyczyn, ale nie potrzebował tego robić, bo teraz nie tylko mała komórka Gavina i Ratliffa, ale wszyscy wiedzieli, jaki był cel ambicji Clarence'a przez cały ten czas: Waszyngton, Kongres. To posiadało grozę tylko w katakumbach za klatkami lwów; dla wszystkich innych była to radość i triumf; to znaczy dla tych, którzy już przedtem biegli za Clarence'em do mniejszego (względnie) koryta dla świń w Jackson, a teraz widzieli wolną drogę do olbrzymiego, bezkresnego koryta w Waszyngtonie.

I nie był to tylko wstrząs, ale prawdziwy lęk, strach przed człowiekiem, który posługiwał się Ku Klux Klanem, dopóki tego potrzebował, a potem wykorzystał ich naiwność, żeby zniszczyć Klan, kiedy już go nie potrzebował: który się posługiwał kościołem baptystów tak długo, jak myślał, że mu się to przyda: posługiwał się instytucjami takimi jak WPA, NRA, AAA, CCC i innymi, które stworzono z nadzieją, że ludzie nie będą już cierpieć, a przynajmniej, jeśli muszą, to będą cierpieć wszyscy jednakowo, w okresach kryzysu i paniki. Był z nimi lub przeciw nim, w zależności od wskazań wiatru politycznego, bo przy końcu lat trzydziestych zwrócił się przeciw partii,

która ich stworzyła, wypełniając salę obrad, gdzie przynajmniej od czasu do czasu rozbrzmiewało echo głosów humanitarnych mężów stanu, swoim własnym głosem nietolerancji religijnej, ekonomicznej i rasowej (niegdyś najmocniejszą odskocznią w jego credo politycznym był drenaż bogatych. Teraz najgłośniejszą z gróźb była groźba organizacji zawodowych) i nic nie stało na przeszkodzie pomiędzy nim a Kongresem prócz tej garstki naiwnych, zdolnych jeszcze wierzyć, że zło może zostać zniszczone tylko dlatego, że jest złem, i których Clarence nie obawiał się nawet na tyle, żeby zaprzestać wysyłania im życzeń na Boże Narodzenie.

— A tego nie wystarczy — powiedział wuj Charlesa — tak jak nigdy nie wystarczało w tym kraju, choćby ich mnożyć przez dziesiątki tysięcy. Bo on tylko wyprowadzi ich jeszcze raz w pole.

— Może — powiedział Ratliff (wuj Gavin opowiadał to Charlesowi, kiedy ten wrócił do domu we wrześniu: wtedy wszystko już było skończone, Clarence został pobity i zmuszony do wycofania się z wyścigu, na dorocznym pikniku starego Willa Varnera w lipcu; jego wuj i Ratliff rozmawiali z sobą jeszcze w kwietniu). — To, czego potrzebujecie, to zgromadzić tu młodych przynajmniej na jeden albo dwa dni przed 17 sierpnia. Co za hańba, że ci, którzy zaczęli tę wojnę i wywieźli z kraju wszystkich młodych wyborców, nie mieli dość rozumu, by się wstrzymać, przynajmniej przez tyle czasu, żeby przyszkodzić Clarence'owi wejść do Kongresu.

— „Wy” potrzebujecie? — spytał wuj Gavin. — Co to znaczy „wy”?

— Zdawało mi się, że powiedziałeś, że starzy, jak ty i ja, nie mogą nic zdziałać przeciw Clarence'owi — tylko założyć ręce i martwić się.

— Bo też nie możemy — rzekł jego wuj. — Och,

jest nas dosyć. To przecież ludzie mego i twego pokolenia napracowali się, by ukształtować rzeczy tak, jak wyglądają. Ale teraz już dla nas za późno. Już nie możemy. Może po prostu boimy się znowu nadstawiać karku. A jeśli się nie boimy, to przynajmniej nam wstyd. Nie, nie boimy się. Po prostu jesteśmy za starzy. Można to nazwać po prostu zmęczeniem, jesteśmy za bardzo znużeni, żeby znów narażać się na przegraną. Nienawidzić zła to nie dosyć. Ktoś musi jakoś mu przeszkodzić. Tylko że teraz to już musi być ktoś inny i nawet gdyby Japończycy skapitulowali przed sierpniem, tu, u nas, będzie wciąż za mało tych innych. Bo to już nie będziemy my.

— Może — powiedział Ratliff.

I jego wuj miał rację. Ale może i Ratliff także miał rację. Jednym z pierwszych, którzy zgłosili się do wyścigu, rzucając wyzwanie Clarence'owi, był jeden z tych „innych” wuja Gavina — człowiek z przeciwległego krańca okręgu, nie starszy niż Charles, tylko — jak to określał Charles — odważniejszy. Zgłosił swoją kandydaturę do Kongresu jeszcze przed Clarence'em. Wybory do Kongresu miały się odbyć dopiero w następnym roku, 1946, było więc jeszcze mnóstwo czasu. Ale Clarence zawsze robił w ten sposób: czekał, aż inny kandydat czy kandydaci wystąpią i ogłoszą lub przynajmniej w jakiś sposób wskażą swój program. I Clarence wyjaśnił ludziom z Yoknapatawpha swoje powody: czekając, aż będzie ostatni, nie potrzebował nawet obmyślać programu, bo do tego czasu jego główny, najgroźniejszy przeciwnik już mu go dostarczył. W obecnym przypadku Clarence, posługując się programem swego przeciwnika, posłużył się jego odwagą w walce jako narzędziem zwycięstwa.

Nazywał się Devries: wyborcy z okręgu Yoknapatawpha nigdy o nim nie słyszeli do roku 1941. Ale

później, tak. W 1940 roku skończył jako pierwszy u- czeń kurs szkolenia oficerów rezerwy przy uniwersytecie i otrzymał stopień oficerski w armii regularnej, a na początku roku 1942 był już w Europie: w 1943, kiedy odwołano go z powrotem do Stanów Zjednoczonych, w czasie lansowania Bonów Obrony- był już majorem, z dostateczną (jak twierdził Charles) ilością wstążeczek, żeby powozić czwórką koni, wstążeczek, które otrzymał za dowództwo nad Murzynami w czasie bitwy, mianowany dowódcą oddziałów murzyńskich przez jakiegoś teoretyka w sztabie oficerów, prawdopodobnie na tej zasadzie, że jako Południowiec wiedział dobrze, że żaden biały nie rozumie Murzynów i nigdy nie zrozumie tak długo, jak biały będzie zmuszał czarnego, żeby najpierw był Murzynem, a dopiero potem człowiekiem; ponieważ to właśnie, ten nieprzebyty mur podziału, był jedyną obroną czarnego, jedynym, co mu pozwalało przetrwać. Może nie umiał sprzedawać Bonów Obrony. W każdym razie nie wysiłał się na to. Bo, jak opowiadano, zanim jego rodzina dowiedziała się, że wrócił, był już w drodze powrotnej na wojnę i kiedy wrócił następnym razem, był już pułkownikiem ze wszystkimi odznaczeniami prócz najwyższego, i ze sztuczną nogą: podczas gdy był w drodze do Waszyngtonu po to ostatnie najwyższe odznaczenie, opowiadano, jak to po zakończeniu swojej drugiej tury na wojnie już miał wracać, kiedy generał przypiął mu ten przedostatni medal, ale on wrzucił ten medal do kuferka i rozpoczął na nowo trudy wojenne i dręczył ich tak długo, aż pozwolili mu iść trzeci raz na front; i pewnej nocy zostawił swój pułk pod dowództwem adiutanta i z jednym sierżantem Murzynem i łącznikiem przyczołgał się do miejsca, gdzie niedobitki jednego batalionu tkwiły w potrzasku, kazał łącznikowi wyprowadzić żołnierzy, a on i sierżant we dwóch odpierali atak, do

póki tamci nie znaleźli się w bezpiecznym miejscu: potem on, Devries, niósł sierżanta na plecach, kiedy sam dostał kulę, i wtedy przyczołgał się jakiś olbrzym, Murzyn z plantacji w Arkansas, i przydźwigał obu na ich pozycje. A kiedy on, Devries, obudził się po narkozie z jedną tylko nogą, dręczył wszystkich tak długo, aż przyprowadzono mu tego olbrzyma z plantacji i kazał pielęgniarce wydostać medal z kuferka, i powiedział do Murzyna: — Podnieś mnie trochę, ty draniu — i przypiął medal na jego piersi.

Taki był przeciwnik Clarence'a w wyścigu do Kongresu. To znaczy nawet gdyby armia nie miała nikogo, kto by, zdaniem ekspertów, rozumiał Murzynów, Devries (tak utrzymywał Charles) nie mógłby przekonać władz wojskowych, żeby go odesłały z powrotem na front bez jednej nogi. Jedynymi ludźmi więc, których mógł jeszcze próbować przekonać, żeby go wysłano gdziekolwiek, byli cywile, a jedynym miejscem, jakie mogło mu przyjść na myśl, był Kongres. A więc (wciąż według opinii Charlesa) tylko ktoś, kto miał wystarczająco mało rozumu, by zgłosić się dwa razy jako ochotnik na tę samą wojnę, mógł ośmielić się kwestionować prawa nabyte tak dawno jak prawa Clarence'a Snopesa. Bo nawet gdyby ułożono to wszystko lepiej, praktyczniej albo tak, żeby rok 1944 wypadł w 1943, albo żeby przesunąć wybory, albo żeby Japończycy także poddali się w 1945 i wszyscy żołnierze z Yoknapatawpha wrócili na czas do domu, to jeszcze nie byłoby ich dosyć, i przy ostatnim badaniu Devriesowi pozostałyby tylko głosy spadkobierców tych samych marzycieli politycznych dość naiwnych, by wierzyć jeszcze, że demagogia, bi- goteria i nietolerancja nie mogą zwyciężyć dlatego tylko, że są demagogią, bigoterią i nietolerancją, głosy, które sam Clarence wykorzystywał już i odrzucił

dwadzieścia lat temu. Wuj Charlesa powiedział do Ratliffa:

— Zawsze będą się mylić. Myśią, że walczą z Clarence'em Snopesem. To nieprawda. Ich przeciwnikiem nie jest jeden człowiek ani nawet nic sytuacja: oni rozbijają się o tę skałę» która jest jedną z podstaw samego naszego charakteru narodowego. To znaczy

0 zasadę, że polityka i funkcja polityczna nie są i nigdy nie były metodą i środkami, którymi moglibyśmy się rządzić z zachowaniem pokoju i godności, honoru

1 bezpieczeństwa, ale przeciwnie, są schronieniem narodowym dla nieudolnych, tych, którzy okazali się niezdolni do żadnego innego zajęcia, mogącego zapewnić utrzymanie im i ich rodzinom i których wskutek tego musimy żywić, odziewać i dawać im mieszkanie z naszych własnych kieszeni. Najpewniejszą drogą do funkcji politycznej w Ameryce jest spłodzić siedmioro czy ośmioro dzieci, a potem stracić rękę czy nogę w wypadku w tartaku: obie te rzeczy — bezmyślny optymizm płodzenia siedmiorga lub ośmiorga dzieci bez innych środków wyżywienia niż tartak, i głupota, która pozwala człowiekowi trzymać rękę czy nogę w zasięgu piły mechanicznej — powinny już wystarczyć, żeby odebrać mu zaufanie publiczne na zawsze. Nie pobiją go. Zostanie wybrany do Kongresu dla tej prostej przyczyny, że jeśli go nie wybiorą, to nie będzie mógł robić nic innego i nikt na świecie nie wypłaci mu tygodniówki w sobotę. A stary Will Varner i reszta solidarnych Snopesów nie mają zamiaru utrzymywać i karmić Clarence'a do końca życia. Zobaczysz.

Wyglądało na to, że ma rację. Był już maj, niemal pora otwarcia sezonu politycznego: dobry sezon po czterech latach, kiedy Niemcy także byli pobici. A Clarence dotychczas nie ogłosił swojej kandydatury oficjalnie.

Wszyscy oczywiście wiedzieli, dlaczego.

Nic mógł natomiast jeszcze sobie wyobrazić, w jaki sposób Clarence planuje wykorzystać karierę wojskową Devriesa dla siebie; dokładnie: jak zamierza Clarence użyć chwały wojennej Devriesa, żeby go nią pobić w wyścigu do Kongresu. A kiedy ów plan zaczął w końcu się zarysowywać, mieszkańcy Yoknapataw-pha — ich część w każdym razie — dowiedzieli się jeszcze czegoś o Clarence, z którym współżyli w całej naiwności przez dwadzieścia i więcej lat. To znaczy, jak dalece niebezpieczny jest Clarence w swojej umiejętności jednoczenia zwyczajnej — można by nawet powiedzieć skądinąd nieszkodliwej — ludzkiej nędzy moralnej i kierowania jej do urn wyborczych. Bo tym razem zmusił tych, których miał być obrońcą, żeby przyszli do niego i błagali go o obronę: nie tylko, żeby był ich rycerzem, ale żeby sami mogli obmyślić czy przynajmniej ustalić sprawę, dla której będą go potrzebowali.

Wuj Gavin opowiadał Charlesowi, jak pewnego dnia w maju czy na początku czerwca cały okręg dowiedział się, że Clarence nie tylko nie będzie kandydował do Kongresu, ale zamierza wycofać się całkiem z życia publicznego. Nie było to formalne oświadczenie publiczne, lecz raczej cichutkie szepty wśród o-wieczek z głoszącej trzody starego Willa Varnera, która potulnie szła do urn za Clarence'em od dwudziestu pięciu lat. Wyznanie łagodne, jak twierdził wuj Gavin, a nawet nieco melancholijne, z leciutkim zdziwieniem, że to nie jest czymś oczywistym, zrozumiałym samo przez się.

— Cóż, zaczynam się starzeć — mówił Clarence (był już po czterdziestce) — czas, żebym usunął się na ubocze. Zwłaszcza że mamy młodego, dzielnego człowieka, jak kapitan Devries...

— Pułkownik Devries — poprawiano.

— Pułkownik Devries, który was będzie reprezen-

tował, dalej robił to, co ja próbowałem robić dla polepszenia bytu naszych ludzi i naszego okręgu...

— Czy to znaczy, że pan ma zamiar poprzeć jego kandydaturę?

— Naturalnie — mówił Clarence. — My, starzy, pracowaliśmy, jak mogliśmy najlepiej dla was, ale przyszedł już czas, żeby odejść na bok. W Kongresie potrzebujemy teraz młodych, zwłaszcza takich, którzy mężnie bili się na wojnie. Oczywiście generał Devries....

— Pułkownik Devries — podpowiadano.

— Pułkownik Devries jest może trochę młodszy od kogoś, kogo ja osobiście bym wybrał. Ale czas to naprawi. Oczywiście, że z niektórymi jego poglądami nie zgodziłbym się nigdy ani ja osobiście, ani wielu innych starych polityków w Missisipi i na całym Południu. Ale może my już jesteśmy za starzy, niewspółcześni i może te rzeczy, w które wierzyliśmy, dla których walczyliśmy i cierpieli, kiedy było trzeba, nie są już prawdziwe, ludzie ich dziś już nie chcą i nie potrzebują, a jego nowe idee są właściwie tym, czego potrzebuje okręg Yoknapatawpha, Missisipi i Południe.

Wtedy oczywiście pytano: — Jakie nowe idee?

I to było wszystko. Clarence mówił im: ten człowiek, pułkownik Devries (teraz już nie było kłopotów z dokładnym zapamiętaniem jego rangi), tak się przywiązał do Murzynów dowodząc nimi w bitwie, że dwa razy zgłosił się jako ochotnik — może nawet musiał poruszyć w tym celu kilka sprężyn (bo wszyscy musieli przyznać, że wypełnił już z nadwyżką swoje zadanie w walce za swój kraj i demokrację — i był upoważniony — więcej: zyskał sobie prawo — do poprzestania na tym), żeby go wysłano znowu na front, gdzie mógł dalej bratać się z Murzynami; naraził własne życie, żeby uratować jednego Murzyna, a potem został sam uratowany przez innego Murzyna. Dzielny człowiek (Czyż sam jego rząd i kraj nie potwierdził tego, przyznając mu medale, łącznie z tym najwyższym?), człowiek honoru (Czyż otrzymanie medalu także nie było honorem?), jakież kurs ośmieliłby się wziąć, jako członek tego Kongresu, który już zatwierdził uchwały obalając na zawsze normalne i naturalne (Naturalne? Sam Bóg je ustanowił i stworzył.) bariery między człowiekiem białym i czarnym. I tak dalej. I to było wszystko: jak mówił wuj, Clarence już był wybrany: okręg nie potrzebował nawet wydawać pieniędzy na wrzucanie do urn i liczenie głosów: ten najwyższy medal, którym rząd odznaczył Devriesa za narażenie życia w obronie zasad, na których opierał się ten rząd i dla których istniał, na zawsze przekreślił jego szanse służenia w Kongresie, który go pasował na rycerza.

— Widzisz? — powiedział wuj Charlesa do Ratliffa. — Nie można go pobić.

— Chcesz powiedzieć, że nawet ty nie widzisz na to żadnego sposobu?

— Jasne — rzekł jego wuj. — Trzeba się do niego przyłączyć.

— Przyłączyć się?

— Najskuteczniejsza, najstarsza ze wszystkich maksym politycznych. Och, tak, niewątpliwie najdawniejsza, sięgająca tego momentu w mrokach prehistorii, kiedy dwóch ludzi jaskiniowych sprzymierzyło się przeciw trzeciemu.

— Połączyć się z nim? — rzekł Ratliff.

— No dobrze — powiedział jego wuj. — W takim razie ty mi powiedz. Przyłączę się do ciebie.

Jego wuj opowiadał, że Ratliff przez chwilę mrugał do niego okiem. — Musi być jakiś prostszy sposób. To jest zwykła i prosta propozycja, musi być na nią jakaś prosta i zwykła odpowiedź. Clarence tylko zwy-

■czajnie i po prostu chce zostać wybrany do Kongresu, wszystko mu jedno jak. Musi istnieć jakiś zwyczajny i prosty sposób, żeby ludzie, którzy zwyczajnie i po prostu nie chcą go w Kongresie, mogli mu powiedzieć: „Nie”, im też wszystko jedno, jak.

Jego wuj znów powiedział: — Dobrze. Znajdź ten sposób. Ja się do ciebie przyłączę. — Ale najwidoczniej dla Ratliffa także nie było to takie zwyczajne i proste: tylko dla Clarence'a. Jego wuj opowiadał potem, że Clarence nie potrzebował nawet organizować kampanii, wyścigu: jedyne, co mu było potrzebne, to wejść na trybunę mówców na pikniku u Varnera i upewnić się, że ludzie, którzy skończyli dwadzieścia jeden lat od czasu, kiedy stary Will Varner powiedział im ostatni raz, na kogo głosować, potrafią znaleźć nazwisko Snopes na karcie wyborczej. W samej rzeczy, Devries powinien by już teraz zrezygnować i jego wuj mówił, że niektórzy nawet byli tego zdania. Tylko że mu było trudno z tym medalem — z wszystkimi pięcioma czy sześcioma, które mu dali za odwagę i męstwo i które trzymał w kufrze na strychu czy tam gdzie. Devries przyjechał nawet do Jefferson, na własne podwórko Clarence'a, i wygłosił przemówienie, jakby nic się nie stało. Ale to właśnie było to. Nie wróciło jeszcze z wojny dosyć żołnierzy, którzy wiedzieliby, co ten medal znaczy. I nawet, choć same wybory przypadają dopiero w przyszłym roku, nikt nie mógł wiedzieć, że do tego czasu Japończycy także wysiądą. Dla innych, rodziców i kuzynów zwolnionych ze służby wojskowej i tych wszystkich, którym przysłano karty do głosowania zaocznie, Devries był murzynofilem, za to właśnie udekorowanym przez rząd Jankesów. Opowiadano teraz, że Devries dostał swój medal od Kongresu za to, że mając do wyboru uratowanie życia Murzynowi i białemu chłopcu wybrał Murzyna, a białemu pozwolił urn-rzeć, chociaż wuj Charlesa mówił, że to nie wyszło od samego Clarence'a; co do tego, trzeba mu było oddać sprawiedliwość. Nie, żeby Clarence zawahał się przed wymyśleniem tej pogłoski, po prostu nie potrzebował już tej dodatkowej amunicji, bo był dość długo nie tyle politykiem, co po prostu Snopesem, żeby wiedzieć, że tylko głupiec zapłaci za głos dwa dolary, kiedy wystarczy pięćdziesiąt centów.

Musiałoby to nawet być trochę smutne; człowiek, który był już z góry pobity przez ten sam medal, który nie pozwalał mu się wycofać. A nawet więcej niż smutne. Bo wuj Gavin opowiadał mu, że teraz nawet ci, którzy nigdy nie byli właścicielami sztucznej nogi i przy sprzyjającym losie nigdy nie mieli nimi być, zaczęli teraz rozumieć, co znaczy mieć taką nogę i być zmuszonym żyć z nią, a cóż dopiero stać na niej i chodzić. Devries nie siedział w samochodzie na Rynku ani nawet nie zatrzymywał się na drodze, pozwalając wyborcom podchodzić do samochodu, żeby mogli mu uścisnąć rękę i słuchać go na stojąco, co było prawną i skuteczną metodą Clarence'a w kampanii. Chodził piechotą, wymachując tą mechaniczną kończyną lub wsparty na niej wygłaszał godzinne przemówienie na trybunie, przekonując wyborców, których głosy, jak wiedział, były już stracone, starając się, by fakt posiadania sztucznej nogi nie znajdował żadnego odbicia w wyrazie jego twarzy. Aż wreszcie, jak opowiadał wuj Charlesowi, nawet ci, którzy jeszcze zamierzali na niego głosować, bali się, że będą musieli na niego patrzeć i starać się, żeby ta sztuczna noga nie znajdowała swego odbicia także w wyrazie ich twarzy; i w końcu sami zaczęli pragnąć, żeby wszystko już było skończone, klęska dokonana, zastanawiając się (mówił wuj), w jaki sposób sami mogliby to przyspieszyć, tak żeby mógł wrócić swobodnie do domu, wyrzucić tę metalową nogę, porą

bać ją, zniszczyć i być tylko spokojnym inwalidą.

Potem nadszedł dzień pikniku przedwyborczego u wuja Billy Varnera, gdzie zgodnie z tradycją wszyscy aspiranci do funkcji publicznych okręgu, stanu czy ogólnokrajowych odkrywali swoje karty i Clarence także musiał ogłosić formalnie swą kandydaturę; wuj Ga vin opowiadał, jak czepiali się nawet tej nadziei: kiedy Clarence ogłosił, że kandyduje do Kongresu, Devries może zdecydować się wycofać swoje nazwisko i ocalić twarz.

Ale nie musiał tego robić. Po skończonym obiedzie, kiedy mówcy zgromadzili się na trybunie, Clarence'a w ogóle nie było wśród nich; wkrótce potem rozeszła się wiadomość, że już odjechał, a do następnego ranka cały okręg wiedział, że Clarence nie tylko wycofał się z wyścigu do Kongresu, lecz zamierza w ogóle wycofać się z życia publicznego. I że tym razem należało to brać na serio, bo to nie Clarence, tylko sam stary Varner podał do wiadomości, że Clarence ma dosyć. Był to lipiec 1945 roku; w rok później, kiedy wreszcie nadeszły wybory do Kongresu, było już po kapitulacji Japończyków, i Charles, a także ci wszyscy inni, którzy wiedzieli, co oznacza medal Devriesa, byli już z powrotem w domu i mogli głosować osobiście. Ale przyczynili się tylko do wzmocnienia większości Devriesa; nie potrzebowali już właściwie tego medalu, bo Ratliff pobił Clarence'a Snopesa. Był to wrzesień, a następnego dnia jego wuj wytropił Ratliffa na Rynku, przyprowadził go do swego biura i rzekł:

— W porządku. Opowiedz nam dokładnie, jak to tam było tego dnia.

— Gdzie i którego dnia? — spytał Ratliff.

— Wiesz, o co się pytam. Na pikniku u wuja Billy Varnera, kiedy Clarence Snopes wycofał się z wyścigu do Kongresu.

— Ach, to — powiedział Ratliff. — Cóż, można by powiedzieć, że to palec Boży, oczywiście trochę poparty akcją dwóch chłopców bliźniaków, synów siostry/pułkownika Devriesa.

— Tak — powiedział jego wuj. — To także. Dlaczego Devries sprowadził swoją siostrę i jej rodzinę aż z okręgu Cumberland tylko po to, żeby wysłuchała, jak ogłasza swój udział w wyścigu, który, jak wszyscy wiedzieli, już przegrał.

— To właśnie palec Boży, tak jak przed chwilą powiedziałem — rzekł Ratliff. — Bo inaczej oczywiście skądże by pułkownik Devries, mieszkając aż tak daleko, aż w Cumberland, mógł coś słyszeć o małej, ustronnej kępie eukaliptusów za młynem wodnym wuja Billy?

— Dobrze, dobrze — rzekł jego wuj. — Kępa. Dwaj chłopcy bliźniacy. A teraz stop i opowiedz nam tylko tę historię.

— Dwaj bliźniacy to byli bliźniacy, a ta kępa była psią kępą — odpowiedział Ratliff. — Ty i Chick wiecie naturalnie, co to są bliźniacy i już miałem powiedzieć, że obaj także z pewnością wiecie, co to jest psi lasek. Tylko że co do tego drugiego, to mam wątpliwości, bo ja sam nigdy nie słyszałem o psim lasku, póki nie zobaczyłem tej kępy eukaliptusów i tych różnych krzaczków tuż za stawem przy młynie Varnera: żeby klientom było wygodnie, całkiem tak jak w hotelach w wielkim mieście, gdzie mają rezerwuar atramentu do wiecznych piór otwarty dla każdego, co potrzebuje, tuż obok biura recepcji...

— Dość — przerwał jego wuj. — Psia kępa. Streszczaj się. Mam dziś ranek zajęty i muszę pracować, nawet jeśli ty nie musisz.

— Właśnie o tym ci mówię — ciągnął Ratliff. — To był taki przystanek dla psów. Rodzaj centrali pocztowej dla psów, można by powiedzieć. Każdy pies miejscowy bywa tam przynajmniej raz na dzień, i każ

dy pies w okręgu wyborczym, a cóż dopiero w Yok-napatawpha, podniósł jedną nogę przynajmniej raz w swoim życiu i zostawił bilet wizytowy. Już wiecie: dwa psy przybiegają, obwąchują drzewka i pierwszy mówi: „Nie jestem psem, jeżeli to nie ten stary blue-tick 7, kusym ogonem, ten od starego Wyotta. Jak myślisz, czego on tu chce?” — „To nie on — powiada drugi pies. — To kundel, którego Res Grier dał Solonowi Quick za pół dnia pracy przy łataniu dachu kościoła, nie pamiętasz?” A pierwszy: „Nie, ten kundel był tu później. To jest stary bluetick Wyotta, nie ma dwóch zdań. Myślałem, że się wystraszył i nie przyjdzie tu więcej po tym, co oberwał wtedy od tego teriera Littlejohnów. Wiesz już, o czym mówię”.

— Dobrze, dobrze — przerwał jego wuj — ale mów dalej.

— To już wszystko — powiedział Ratliff. — To było tylko to, co możecie nazwać ekstrapiknikiem politycznym wuja Billy Varnera, na którym musiał być każdy wyborca i kandydat na czterdzieści mil dokoła, jeśli tylko miał ciężarówkę albo mógł przyjechać na grzbiecie konia czy chociaż muła, jeżeli nie było nic innego pod ręką, bo suwerenne głosy wyborcze rozbrzmiewały dokoła małego lasku, gdzie senator Clarence Egglestone Snopes chodził pośród nich, czekając aż przyjdzie czas, kiedy będzie mógł wejść na trybunę i powiedzieć im, w którym miejscu mają postawić krzyżyk. Już wiecie: wszystko naokoło spokojne i zwyczajne, i praworzędne jak zawsze, dopóki jakiś nieznany podżegacz — nie powiem łobuz, bo to pewnie musiał być sam pułkownik Devries, jako że nikt inny nie mógł wiedzieć, kim są ci dwaj bliźniacy, a tym bardziej, co tu robią tak daleko od Cumberland — dopóki to nieznane indywiduum nie szepnęło na ucho tym dwom chłopakom, co by się stało, gdy dwaj faceci, mniej więcej ich wzrostu i rozmiarów, wyprosili psy z psiej kępy na dość długo, żeby ściąć kilka solidnie podlanych prętów z krzaków poniżej linii ostrzału psów i poszli tam, gdzie senator C, Egglestone Snopes zbierał w lasku głosy wyborcze, i ostrożnie, leciutko, tak żeby nikomu nie przeszkadzać, przeciągnęli tymi mokrymi gałązkami z tyłu po nogawkach spodni senatora. Leciutko, ostrożnie, tak żeby nie przeszkodzić nikomu, bo ani Clarence, ani nikt inny nie zauważyli nawet pierwszych pięciu czy sześciu psów, póki Clarence nie uczuł, że nogawki jego spodni robią się wilgotne albo może tylko chłodne, więc obejrzał się i zobaczył czekające w długim ogonku swoje fatum polityczne. Zaczął się rozglądać za najbliższym samochodem czy ciężarówką, gdzie by można podnieść szyby, a tymczasem ogonek klientów robił się coraz dłuższy, niby węzły na ogonie latawca; wreszcie senator dostał się do wnętrza jakiegoś samochodu z zatrzaskniętymi drzwiami i podniesionymi szybami, a zawiedzione psy biegały naokoło niego, całkiem jak te nakrapiane konie albo te łódeczki w kształcie łabędzia naokoło karuzeli, tylko że psy biegały na trzech nogach, można by powiedzieć, z bronią nie tylko naładowaną, ale i wycelowaną. Aż nareszcie ktoś odnalazł właściciela samochodu, wziął klucz i odwiózł Clarence'a do domu, zwyciężając ostatniego psa w wyścigu gdzieś o dwie mile dalej; zajechali w końcu na podwórze byłego senatora, gdzie już był bezpieczny, bo psy Snopesów widać też poszły na piknik. A tymczasem ktoś wybiegł z domu i przyniósł parę suchych spodni dla byłego senatora, żeby się mógł przebrać w samochodzie. Tak jest, byłego senatora, bo nawet w suchych spodniach nie wrócił już na piknik, myślał pewnie, że nawet teraz to będzie za duże ryzyko i wysiłek. Mówię o wysiłku, bo musiałby wyczerzyć umysł, żeby wycofać się z wyścigu politycznego, a zarazem

przez cały czas zerkać przez ramię i uważać, czy jaki pies nie przypomni sobie jego twarzy, choćby nawet spodnie były świeże i nie pachniały interesująco.

— Do kitu z taką historią — rzekł jego wuj. — To za proste. Nie wierzę w to.

— Pewnie doszedł do wniosku, że przekonywać ludzi, żeby na niego głosowali i przez cały czas stać na jednej nodze, próbując drugą odganiać psy, to żądać trochę za dużo, nawet od wyborców w Missisipi — powiedział Ratliff.

— Nie wierzę ci. To by nie wystarczyło, żeby go zmusić do wycofania się, choćby nawet wszyscy na tym pikniku dowiedzieli się o tym, widzieli to. Czy nie mówiłeś, że wsadzili go do samochodu i odjechali prawie natychmiast... — Tu wuj zatrzymał się. Spojrzał na Ratliffa, który stał mrugając oczami spokojnie. Wuj dodał: — Ale przynajmniej...

— To prawda — rzekł Ratliff. — To był układ handlowy.

— Jaki układ?

— Prawdopodobnie znowu to samo nieznane i nędzne indywiduum — powiedział Ratliff. — Ktoś w każdym razie zaproponował taki handel: jeżeli senator Snopes wycofa się z niniejszego współzawodnictwa w wyborach do Kongresu, to ludzie, co widzieli tamte psy popierające kandydaturę Devriesa, zapomną o tym, a ci, co ich nie widzieli, nie potrzebują w ogóle o tym wiedzieć.

— Ale to by go nie powstrzymało — upierał się Gavin. — Clarence Snopes zatrzymany w biegu, a nawet unieszkodliwiony, tylko dlatego, że kilka psów podniosło na niego nogę? Diabła tam, w końcu wszystkie bezpieczne kundły w Yoknapatawpha kazały policzyć jako głosy nieobecnych.

— Ach, ty mówisz o senatorze — powiedział Ratliff. — Myślałem, że ci chodzi o starego wuja Billy Varnera.

— O Billy Var-nera?

— Tak — powiedział Ratliff. — To z samym Bil-lym ten złośliwy facet pewnie zawarł transakcję. W każdym razie sam wuj Billy oznajmił tamtego popołudnia, że senator Clarence Egglestone Snopes wycofał się ze współzawodnictwa do Kongresu. Zdaje się, że wuj Billy w ogóle nie powiadomił o tym byłego senatora. Och, tak, mówili wujowi Billy to samo, co przed chwilą powiedziałeś: że na długą metę to Clarence'owi nic nie zaszkodzi. Użyli nawet tego samego porównania o taktyce wyborczej psów, tylko w mocniejszych słowach. Ale wuj Billy powiedział, że Clarence Snopes nie będzie kandydował do niczego w drugim okręgu wyborczym.

— Ale nie tylko kandyduje w drugim — powiedzieli. — Nawet nie tylko w całym Yoknapatawpha. Kandyduje w całej jednej ósmej stanu Missisipi.

— Mam gdzieś Missisipi i Yoknapatawpha. Drugiego okręgu i Sadyby Francuza nigdzie nie będzie reprezentował ktoś, kogo każdy pies, który podleci, nie odróżni od kołka w płocie.

Jego wuj patrzył na Ratliffa. Patrzył na niego długą chwilę. — Więc ten niezrównany figlarz, o którym mówisz, nie tylko znał tych siostrzeńców bliźniaków i ten psi lasek, ale znał też starego Willa Var-nera?

— Na to wygląda — odparł Ratliff.

— Więc się udało — rzekł wuj.

— Na to wygląda.

Obydwaj, on i jego wuj, patrzyli na Ratliffa, który mrugał oczyma czyściutki, spokojny, gładki, nieprzenikniony w jednej z tych czyściutkich, niebieskich koszul, które sam szył i do których nigdy nie nosił krawata, chociaż Charles wiedział, że ma w domu dwa

krawaty/ które kupił u Allanovny po siedemdziesiąt pięć dolarów za sztukę wtedy, kiedy pojechał z wujem do Nowego Jorku na ślub Lindy, i których nigdy nie miał na sobie.

— Och, Cincinnatus! — powiedział jego wuj.

— Że jak? — spytał Ratliff.

— Nic — odparł Gavin. — Zastanawiałem się właśnie, kto też powiedział bliźniakom o tym psim lasku.

— No, pułkownik Devries, tak mi się zdaje — rzekł Ratliff. — Dla takiego wojaka ze wszystkimi medalami po trzech latach praktyki na Niemczech, Włochach i Japończykach, to nic znowu takiego trudnego wymyślić coś ze strategii politycznej.

— Tamto byli tylko czciciele śmierci, zwyczajni, z góry rozgrzeszeni sadyści z urodzenia — rzekł jego wuj. — Tu miał do czynienia z zawodowym politykiem amerykańskim na zaściankową skalę.

— Może żaden z tych przeciwników nie jest taki groźny, byleby człowiek miał zawsze otwarte oczy i używał wszystkiego, co ma, najlepiej jak umie — powiedział Ratliff. Potem dodał: — No dobrze — i wstał, szczypta i swobodny, idealnie łagodny, idealnie nieprzenikniony, mówiąc teraz do Charlesa: — Pamiętasz to wielkie pole owsa na Sadybie, za pastwiskiem wuja Billa, majorze? Mówią, że przez całą zimę pełno tam było gęsi. Może byś wybrał się trochę do nich postrzelać, jak otworzą sezon? Wuj Billy chyba nam pozwoli.

— Dziękuję uprzejmię — powiedział Charles.

— No więc załatwione — powiedział Ratliff. — Do widzenia, panowie. — Ratliff odszedł. Teraz Charles patrzył na swego wuja, po czym jego wuj wziął kartkę papieru i zaczął na niej pisać niezbyt prędko, bardzo zaabsorbowany, zatroskany.

— A więc — powiedział Charles — (otwieram cudzysłów). To chyba w ten sposób się stało, prawda? Wtedy, w lesie, w trzydziestym siódmym roku, kiedy my, moralisci, musieliśmy spróbować pobić samego Roosevelta po to, żeby dojść do Clarence'a Sno- pesa.

— Żegnam cię, Charles — powiedział jego wuj.

— Ponieważ (otwieram cudzysłów) na nas liczyć nie możecie — ciągnął Charles. — Jesteśmy za starzy, zbyt zmęczeni, niezdolni już wierzyć w siebie.

— A niech to diabli — zniecierpliwiał się jego wuj. — Powiedziałem, żebyś się wynosił.

— Tak jest, za chwileczkę. Bo (otwieram cudzysłów) Stany Zjednoczone Ameryki to największy kraj na świecie, jeżeli tylko nadal będziemy go mogli u- trzymać (zamykam cudzysłów). Tylko że przez „utrzymać” należy rozumieć: „liczyć na palec Boży”. Bo to On ocalił cię tym razem, używając V. K. Ratliffa jako swego narzędzia. Tylko że następnym razem Ratliff może gdzieś wyjechać, żeby sprzedać komuś maszynę do szycia czy radio. (Tak, Ratliff reprezentował teraz pewną firmę radiową i aparat do demonstracji podróżował w tym samym blaszanym miniaturowym domu w tyle ciężarówce razem z maszyną do szycia. Jeszcze dwa lata, a miniaturowy dom będzie miał antenę telewizyjną na szczycie.) I Bóg może nie zdąży położyć na nim ręki w odpowiednim czasie. Więc trzeba się nauczyć ufać Bogu, nie licząc na Niego. A właściwie to powinniśmy tak wszystko urządzić, żeby On mógł liczyć na nas przez jakiś czas. Wtedy nie będzie musiał marnotrawić swego czasu na to, żeby być wszędzie naraz.

Teraz jego wuj spojrział na niego i Charles nagle pomyślał: „Och, tak, lubiłem mego ojca także, to prawda, ale ojciec tylko rozmawiał ze mną, a wuj Gavin mnie słuchał, choćby nie wiem jak głupio to, co mó-

wiem, w końcu zaczęło brzmieć dla mnie samego. Słuchał, póki nie skończyłem, a potem mówił: «No, nie wiem, czy co z tego wyjdzie, ale znam dobry sposób, żeby się dowiedzieć. Spróbujmy». Nie mówił «Spróbuj», tylko «Spróbujmy»".

— Tak — powiedział wuj Gavin. — Ja też.

Mimo że w tym czasie Ratliff usunął Clarence'a z powrotem do Sadyby Francuza i życia prywatnego, był już nowy Snopes w Jefferson i mieszkał tam od dwóch lat. Tak że miasto zaledwie wyszło na swoje, jeśli chodzi o to, co wuj Charlesa nazywał problemem Sno- pesów.

Ten był zupełnie nowy: niezonaty, imieniem Res. Tak, Orestes. Nawet wuj Charlesa, Gavin, nie wiedział, w jaki sposób do tego doszło. Wuj opowiadał mu, że jeszcze w 1943 roku w mieście dowiedziano się nagle, że Flem jest właścicielem tego, co zostało z dawnej posiadłości Compsonów. To nie było wiele. Mówiono, że większą część majątku Compsonowie sprzedali jeszcze w 1909 roku zarządowi miasta na urządzenie tam terenów do golfa, żeby wysłać swego najstarszego syna, Quentina, do Harvardu, gdzie popełnił samobójstwo pod koniec pierwszego roku studiów, a jakieś dziesięć lat temu najmłodszy syn, Ben- nji, idiota, podpalił dom i sam w nim spłonął. To było już po tym, jak Quentin utopił się w Harvard, i małżeństwo jego siostry, Candace, zostało zerwane, a ona sama znikła, nikt nie wiedział gdzie, a jej córka, urodzona z niewiadomego ojca, którejś nocy u- ciekła przez okno z jakimś włóczęgą. Średni syn, Jason, zdołał się w końcu pozbyć Benjy'ego, bo nakłonił matkę, żeby oddała go do domu obłąkanych, gdzie

jednak nie był długo, Według opowiadania Jasona jego matka tak długo jęczała i płakała, że w końcu on, Jason, ustąpił i przywiózł Benjy'ego z powrotem -do domu, a w niecałe dwa lata później Benjy spalił nie tylko sam siebie, ale zniszczył cały dom.

Wtedy Jason podjął ubezpieczenie i dożyzył jeszcze trochę, oddając na hipotekę opuszczoną posiadłość, i zbudował dla siebie i dla matki murowany domek z ogródkiem na głównej ulicy przy Rynku. Ale posiadłość była cenną lokatą, Jefferson zaczynała się rozrastać, pole golfowe w 1929 roku przeniesiono dalej, do country-clubu, i odprzedano teren z powrotem Jasonowi Compsonowi. Co dla nikogo nie było niespodzianką. Jason, kiedy był jeszcze na studiach, zaczął pracować, po wykładach i w soboty, w sklepie z żelastwem u wuja Ike McCaslina, prowadzonym wówczas przez człowieka nazwiskiem Earl Tripplet, którego wuj Ike wyłowił nie wiadomo gdzie, prawdopodobnie, jak przypuszczano, w rezerwacie jeleni albo w jeziorze, przy delcie, bo tam spędzał większość swego czasu. Dlatego też nie było rzeczą dziwną, że w mieście zaczęto teraz przypuszczać, że Tripplet od dawna już wypierał łagodnie wuja Ike'a z przedsiębiorstwa, chociaż wuj Ike wałęsał się jeszcze po magazynie, kiedy nie polował albo nie łowił ryb, i niewątpliwie Tripplet sprzedawał mu jeszcze amunicję i przybory wędkarskie po cenie kosztu. Co niewątpliwie czynił także Jason, jak sądzono w mieście, kiedy on z kolei wyparł Trippleta z powrotem do rezerwatu jeleni czy do jeziora.

Tak czy inaczej Jason reprezentował teraz firmę McCaslin i Spółka, Towary Żelazne. Toteż nikt nie był zdziwiony, kiedy dowiedziano się, że Jason odkupił z powrotem tę część dawnej posiadłości swojej rodziny, którą ojciec poświęcił, żeby wysłać jego starszego brata do Harvardu — uczelni, którą Jason miał w pogardzie, ponieważ wszystkie szkoły powyżej dziesiątej klasy uważał za schronisko dla niedołęgów i tchórzów. Wuj Charlesa mówił, że kiedy poszedł do sądu i przejrzał archiwa, uderzyło go to, że Jason wprawdzie zapłacił gotówką za opuszczone pole do golfa, ale nie uregulował długu hipotecznego za drugą część własności, za którą podjął pieniądze, żeby wybudować swój nowy dom, a procenty wpłacił prędko do banku Flema Snopesa i wpłacał od tego czasu regularnie, zdawało się więc, że ma zamiar to robić dalej. To trwało od czasu Pearl Harbour. Można by myśleć, że Jason ma prawdziwie obrotowego i wiernego szpiega w parlamencie japońskim. A potem, na wiosnę 1942 — okazało się, że drugiego szpiega, równie sprytnego i wiernego, ma w rządzie Stanów Zjednoczonych. Według opinii wuja, słuchając Jasona odnosiło się wrażenie, że miał on z góry nie tylko absolutnie pewną informację o urządzeniu lotniska szkoleniowego w Jefferson, ale równie pewną obietnicę, że będzie ono urządzone nie gdzie indziej, tylko na tym dawnym polu do golfa; jego wuj mówił, że w tym czasie nikt w Jefferson nie wiedział nic o lotniskach, toteż chętnie wierzono Jasonowi, że pole, które jest dość rozległe, żeby rzucać po nim piłkami do golfa, będzie także dość rozległe, żeby na nim lądowały samoloty.

W każdym razie wierzył w to ten, kto wierzyć powinien. Był nim Flem Snopes, prezes banku, który miał hipotekę na drugą połowę posiadłości Jasona. Wuj Gavin mówił, że to wyglądało jak rozgrywana we dwójkę partia pokera, w której każdy z dwóch graczy ma asa i obaj zgodnie decydują anulować dwa pozostałe asy. Gavin twierdził, że oczywiście nikt nie wiedział naprawdę, co się stało. Wiedzieli tylko co wiedzieli o Jasonie Compson i o Flemie Snopes. Jak mówił Gavin, przyszedł zapewne taki moment,

Je'sdy Flem, który przez cały czas wiedział, że nie wie o lotniskach tyle co Jakson, musiał przeżyć straszliwy moment obawy, że o pieniądzech także nie wie tyle, co on. Flem nie mógł więc ryzykować, że Jason wyciągnie jeszcze jedną kartę i przeliczytuje go; Flem musiał wystąpić pierwszy. Albo przynajmniej (mówił Gavin) tak myślał Jason. Jego zdaniem opowiada! o tym rzekomym lotnisku w pobliżu Rynku tylko po to, żeby skłonić Flema do zrobienia pierwszego ruchu. Tak też najwidoczniej Flem zrobił; zażądał zwrotu długu hipotecznego Jasona. Oczywiście w sposób bardzo łagodny i przyjazny, tak jak się tego Jason spodziewał, z zaproszeniem do tego prywatnego pokoiku w głębi banku, gdzie prezes banku oświadczył: — Jest mi z tego powodu niewypowiedziane przykro, panie Compson. Ale pan sam rozumie sytuację. Teraz, gdy kraj nasz walczy o swoje własne życie i egzystencję na dwóch krańcach świata, obowiązkiem, a jednocześnie przywilejem każdego jest dołożyć swoją część wysiłku w tej bitwie. Toteż zarząd banku uważa, że każdy grosz' z dochodów banku powinien być obracany na cele bezpośrednio związane z wysiłkiem wojennym.

Jason oczywiście tylko tego sobie życzył: — Ależ to jasne, panie Snopes. Każdy patriota całym sercem zgodzi się z pańskim punktem widzenia. Zwłaszcza gdy wysiłek wojenny znajduje wyraz bezpośrednio tutaj, w Jefferson, jak choćby to lotnisko, na które,

O ile mi wiadomo, mają już przygotowany kontrakt do podpisania, skoro tylko wyjaśniona zostanie sprawa własności tej ziemi. — I rzucał od niechcienia cenę byłych terenów golfowych, z której to sumy dług hipoteczny zostanie zwrócony. Albo jeśli pan Snopes

1 zarząd banku woli, on, Jason, wyznaczy jakąś cenę globalną za całą posiadłość Compsonów, łącznie z hipoteką, co pozwoli zarządowi banku lub jakiejś

miejskiej organizacji patriotycznej przeprowadzić bezpośrednio z rządem pertraktację w sprawie lotniska, a Jason zastrzega sobie tylko prawo spodziewania się, iż nowe lotnisko zostanie nazwane lotniskiem Compsonów, nie ku czci jego, Jasona, lecz jako potwierdzenie nadziei, iż jego rodzina zajęła w Jefferson miejsce, którego nie będzie musiała się wstydzić, zważywszy, że liczyła już w swym gronie jednego gubernatora i jednego generała, bez względu na to, czy fakt ten wart jest upamiętnienia, czy nie. Bo wuj Charlesa mówił, że Jason także był sprytny na swój sposób, wystarczająco, żeby dojść do wniosku, że człowiek, który wydał tyle pieniędzy, co Snopes, na to, żeby widzieć swoje nazwisko wykute w marmurze na grobie swej niewiernej żony, może wydać jeszcze trochę na to, żeby mieć lotnisko nazwane jego imieniem.

Tak przynajmniej myślał Jason. Bo w styczniu 1943 dowiedziano się w Jefferson, że pan Snopes (nie bank: osoba prywatna nosząca to nazwisko) jest obecnie właścicielem posiadłości Compsonów. I wuj Gavin mówił teraz, że Jason, upojony triumfem, za wcześniej odkrył swoje karty (ale ostatecznie, któż mu to mógł mieć za złe, skoro aż do tego czasu nikomu, oprócz związku zawodowego włoskich rytowników w marmurze, nie udało się sprzedać Flemowi Snopesowi czegoś tak niesprecyzowanego jak prestiż. A prestiż, który mu sprzedali Włosi, był nie luksusem, lecz koniecznością), mówiąc o swojej dawnej posiadłości r, "Lotnisko Snopesa", czatując na pana Snopesa na ulicy i zaskakując go, zwłaszcza w obecności osób trzecich, pytaniami, jak postępuje realizacja tego projektu. I to już wtedy, kiedy nawet ci, którzy nie wiedzieli, co to jest lotnisko, zrozumieli, że lotniska tu nie będzie, skoro rząd wyznaczył już bardziej płaski obszar prerii na Wschodzie, koło Columbus, oraz

idealnie płaski obszar w delcie, koło Greenville, jako jedyne odpowiednie tereny do szkolenia lotników. Bo Jason zaczął litować się nad panem Snopesem, wygłaszając publicznie długie tyrady na temat głupoty rządu; twierdząc, że pan Snopes wyprzedził swoją epokę, ale że niewątpliwie z czasem, ponieważ wojna trwa nadal i wszyscy coraz bardziej musimy zaciskać pasa, Snopesowska koncepcja lotniska górzystego będzie uznana za jedyną koncepcję praktyczną i zasłynie w całym świecie pod nazwą Planu Snopesa. Bo pasy startowe, które przedtem musiały mieć milę długości, przebiegając pod ziemią będą mogły zostać skrócone o połowę, co po usunięciu wzgórza przy pomocy buldożerów pozwoli wykorzystać obie strony pasa do każdego startu i każdego lądowania.

Albo może Jason próbował sam sobie dodać odwagi (tak przypuszczał Gavin) mówiąc: „Nie” ze strachu przed straszliwą rzeczywistością, ale już za późno. Bo Jason był sprytny na swój sposób, zmuszony posługiwać się sprytem dość często, żeby dojść tam, dokąd doszedł, bez żadnej pomocy z zewnątrz i bez mocnych atutów. Może, skoro tylko podpisał akt sprzedaży i zanim zrealizował czek, przyszło mu na myśl, że Flem Snopes także niezle posługiwał się sprytem, żeby zostać prezesem banku, przy jeszcze słabszych atutach, bo on, Jason, miał przynajmniej dom i trochę ziemi, a Flem. miał tylko swoją żonę. Może Jason odgadł dzięki jakiejś podświadomości, którą go obdarzył ich wspólny mistrz, diabeł, że Flem Snopes nie chciał i nie zamierzał mieć lotniska na tych terenach. Gavin twierdził, że to tylko Jason Compson sądził, iż ten produkt uboczny wojny będzie trwał wiecznie, co zmuszało właścicieli ziemskich do produkowania i finansowania samolotów, czołgów i dział, ale Flem Snopes wiedział lepiej. Flem Snopes wiedział, że samoloty, czołgi i karabiny maszynowe wyniszczają się same przez własny nihilizm i naturalny uwiąd starczy i że prawdziwym produktem ubocznym wojny, który w końcu przeważy i przetrwa, są dzieci, przyrost naturalny, przestrzeń, na której wznosi się domy dla tych dzieci.

Za późno. Bo teraz Snopes był właścicielem tej ziemi, musiał tylko siedzieć spokojnie i czekać, aż ci, co prowadzą wojnę, wyczerpią w końcu swe siły. Bo to, czy Ameryka, Jefferson, wygra ją, czy przegra, nie miało znaczenia, w każdym wypadku ludzkość będzie się rozmnażała i rząd czy ktokolwiek będzie musiał budować dla niej domy, a domy będą musiały stać na czymś; kawałek ziemi rozciągający się na ćwierć mili w obu kierunkach, nie licząc maleńkiej parceli starego, trochę zwariowanego człowieka nazwiskiem Meadowfill, którego Flem załatwi w ciągu dziesięciu, piętnastu minut, skoro tylko będzie tego potrzebował; jeszcze przed Pearl Harbour miasto zaczęło go otaczać i zacieśniać się wokół niego. Toteż następne posunięcie Jasona nikogo nie zdziwiło, wuj Charlesa mówił, że jedyną dziwną rzeczą było to, że Jason wybrał właśnie jego, Gavina Stevensa, próbując dać mu łapówkę za to, żeby znalazł jakąś niedokładność formalną w akcie sprzedaży ziemi Sno- pesowi albo sam ją wymyślił, jeśli się nie znajdzie. Jason mu na to odpowiedział:

— Jak to, czy pan nie uchodzi za najlepiej wykształconego prawnika w okolicy? Wykształconego nie tylko w Harvard, ale jeszcze i w tym niemieckim mieście?

— To znaczy, jeśli Harvard nie potrafi znaleźć jakiegoś kruczka, żeby odebrać pańską posiadłość od Flema Snopesa, to Heidelberg powinien potrafić. Proszę stąd wyjść, panie Compson.

— W porządku — odpowiedział Jason. — Teraz,

kiedy się pan ocenił z pieniędzmi, może pan sobic- pozwolić na cnotę, prawda?

— Powiedziałem, żeby pan stąd wyszedł.

—Dobrze, dobrze — rzeki Jason. — Prawdopodobnie znajdzie się jakiś prawnik, który nie ma w banku Fiema Snopesa dosyć pieniędzy, żeby się go bać.

Tylko że Jason Cornpzon powinien wiedzieć bez niczyich wyjaśniać, że Fleni Snopes nie kupiłby od nikogo tytułu własności który by zawierał jakiś błąd formalny czy cokolwiek, co mogłoby budzić zastrzeżenia. Ale Jason próbował dalej: wuj opowiadał Char- lesowi, że nie przestawał chodzić koło tej sprawy, szukając jakiegokolwiek sposobu, żeby obalić albo choćby tylko podważyć prawo własności Snopesa, z jakąś niestrudzoną zimną i zacieklą urazą, niby kapłan sekty religijnej, który widzi, że inny kaznodzieja za jego plecami nawrócił już klienta czy pacjenta, nad którym on pracował przez całe lata, albo jak złodziej czy oszust, który został oszukany lub okradziony przez innego oszusta lub złodzieja. Ale za każdym razem spotykała go porażka; prawo własności Snopesa do całej posiadłości Compsonów było nie do obalenia, tak że w końcu nawet Jason zrezygnował; i w tym samym tygodniu ten sam Wat Snopes, który przed dwudziestu laty przeobraził dawny dom de Spainów w rezydencję i fortecę obronną, przyjechał znów i przekształcił dawną wozownię Compsonów (była położona z dala od głównego budynku, tak że Benjy nie zdołał jej spalić) w mały jednopiętrowy domek i w miesiąc później zamieszkał w niej Orestes, nowy Snopes z Jefferson. I nie tylko jako agent Flema Snopesa przeciwko wszelkim machinacjom, jakie mógł jeszcze wymyślić Jason. Bo gdy nadeszło lato, Res ogrodził przyległe tereny dzieląc je na parcele i zajął się kupowaniem i odprzedawaniem gorszego gatunku bydła i świń. Prowadzi*

te-; w owym czasie pra-saiziwą wojnę partyzancką ze slarym MeadowfHlem, którego sad graniczył z terenem, gdzie Res Snopes hodował świnię. Jeszcze przed wojną stary Meadowfill miał w Jefferson ustaloną reputację: był tak skąpy, że mógł wycofać się bez długów w domowe zacisze i żyć z oszczędności odłożonych w ciągu lat pracy na tartaku. Prowadził już tartak i przedsiębiorstwo handlu drzewem od roku czy dwóch, kiedy odkupił kawałek ziemi z posiadłości Compsonów, żeby zbudować na nim mały domek bez elektryczności i kanalizacji i wycofał się tam razem ze swą siwiejącą, zafarowaną żoną i jedynym dzieckiem. Tam — ponieważ było rzeczą oczywistą dla każdego, że człowiek, który porzuca pracę na tartaku w dobrym zdrowiu i z zachowanymi wszystkimi kończynami, nie ma ani jednego zbędnego dolara, żeby komuś pożyczyć czy cośkolwiek od kogoś kupić — spędzał cały czas na pozyskiwaniu sobie i ustalaniu opinii największego sknery w Jefferson i prawdopodobnie w całym okręgu Yoknapatawpha.

Charles pamiętał jego córkę: potulna i nieśmiała dziewczynka, na którą nikt nie zwracał żadnej uwagi aż do czasu, gdy niespodziewanie dla nikogo w 1942 roku skończyła szkołę nie tylko jako pierwsza uczennica, ale z najwyższymi stopniami, jakie kiedykolwiek widziano w tej szkole, i otrzymała stypendium w wysokości pięciuset dolarów, ofiarowane przez prezesa banku w Jefferson (nie banku Snopesa, lecz innego) dla uczczenia pamięci jedyne go syna, pilota marynarki, który zginął w jednej z pierwszych bitew⁷ na Pacyfiku. Essie poszła do pana Hollanda i powiedziała mu, że przyjęła już pracę w Spółce Telefonicznej i nie będzie potrzebowała stypendium, chciałaby natomiast wziąć z banku 500 dolarów pożyczki do spłacenia z przyszłych zarobków. Przyciśnięta do muru wyznała wreszcie powód: chciała założyć w

domu łazienkę; opowiedziała, że raz w tygodniu, w sobotę, latem i zimą, jej matka grzeje wodę na piecu kuchennym i napełnia okrągłą, blaszaną wannę na środku podłogi i wszyscy troje kolejno kąpią się w tej samej wodzie: ojciec, dziecko, na końcu matka. Wtedy pan Holland sam zajął się tą sprawą i kazał zainstalować łazienkę mimo oburzenia i furii starego Meadowfilla (nie życzył sobie w ogóle, żeby obcy nachodzili jego dom i wtrącali się w jego sprawy, ale jeżeli już, to wołał pieniądze w gotówce) i dał Essie stałą pracę w swoim banku.

Teraz więc, kiedy jego jedyne dziecko nie tylko było zabezpieczone, ale przyczyniało się do utrzymania domu, stary Meadowfill nie mógł strawić zniewagi i doszedł do stanu rozjątrzenia, którego nawet on sam nigdy sobie nie wyobrażał. Dotychczas sani załatwiał sprawunki gospodarskie i chodził co dzień do miasta z pustym workiem z grubego płótna, targując się zaciekle w małych brudnych sklepikach na bocznych ulicach odwiedzanych przeważnie przez klientelę murzyńską o cenę nadpsutych nieświeżych produktów, którymi wzgardziliby nawet Murzyni. Resztę dnia spędzał czatując na swoim podwórku na psy z sąsiedztwa krzycząc i klęcząc, ilekroć przekroczyły granicę jego nie ogrodzonej parceli, i na chłopców, którzy zakradali się do kilku nędznych drzew owocowych, nazywanych przez niego sadem. Teraz tego zaniechał. Czekał dokładnie przez rok, jakby chciał się upewnić, że Essie dostała swoją pracę na stałe. Potem pewnego ranka, nazajutrz po śmierci sparaliżowanej staruszki, sąsiadki, poszedł do jej domu i odkupił od rodziny fotel na kółkach, na którym zmarła spędziła całe lata; nie czekając nawet aż kondukt żałobny opuści dom, popchał fotel przez całą ulicę, gdzie odtąd nie miał się już więcej ukazać, i zamieszkał w fotelu. Z początku jeszcze niezupełnie. Wuj Charlesa opowiadał, że odtąd I-ssie sama chodziła po zakupy, ale Meadowfilla można jeszcze było zobaczyć na ulicy, jak wygrażał chłopakom i ciskał kamieniami w zbłąkane psy (sterta kamieni znajdowała się zawsze pod ręką, niby sterta kul armatnich na pomniku poległych na wojnie). Ale nie wychodził poza obręb swego domu i większość czasu spędzał w fotelu na kółkach, siedząc na nim niby na bujaku przy oknie, skąd było widać grządkę warzyw, których już teraz nie uprawiał, i mizerne drzewa owocowe, których bądź przez skąpstwo, bądź przez perwersję nigdy nie pielęgnował należycie, żeby zebrać jakiś plon do zjedzenia, jeżeli już nie do sprzedania.

Wtedy Flem Snopes pozwolił zapomnieć Jasonowi Compsonowi o ziemi jego przodków, a Res Snopes urządził wybieg dla świń obok ogrodu owocowego starego Meadowfilla i natchnął starego Meadowfilla nowym życiem. Bo zakradający się do ogrodu mali chłopcy najwyżej od czasu do czasu złamali jakąś gałązkę, a zbłąkane psy najwyżej wyrządziły szkodę kwiatom, jeśli miał jakieś kwiaty w ogrodzie. Ale wieprz, ryjąc w ziemi, mógł ją zepsuć i wyjałowić. Toteż Meadowfill miał wreszcie rację dalszego istnienia. Na pewien czas porzucił nawet fotel na kółkach, który teraz krępował jego ruchy, spędzając cały czas na obserwowaniu, jak Res i wynajęty do tej pracy Murzyn budują ogrodzenie z drutu wzdłuż granicy jego ogrodu; przyglądał się kopaniu dołów, wbijaniu i umocowywaniu kołków, obejmując od czasu do czasu kołek obiema rękami, aby nim potrząsnąć i wypróbować, czy mocno tkwi w ziemi, i krzycząc, rozjątrzony, bliski apopleksji, do Snopesa i jego pomocnika: — Mocniej, mocniej!!! Co sobie wyobrażacie, że to ma służyć do wieszania hamaka? — aż wreszcie Snopes — chudy, kościsty człowiek, z lekka zezujący na jedno oko — mówił:

— Panie Meadowfill, niech się pan o nic nie martwi. Nie pozwolę, żeby starszy, schorowany człowiek, przykuty do fotela na kółkach, musiał przelazić przez ten płot. Przeciagnę druty dość wysoko, żeby mógł się pan przeczołgać pod spodem, jeżeli nie ma pan ochoty otworzyć furtki.

— Niech no tylko która z tych przeklętych świń... niech no tylko któraś spróbuje... — wściekał się stary. A Snopes:

— W takim wypadku, jedyne, co pan może zrobić, to złapać ją i zamknąć w kuchni czy w sypialni, czy gdzie panu będzie najwygodniej, a wtedy ja będę zmuszony, zgodnie z prawem, wypłacić panu dolara odszkodowania. I naprawdę to będzie łatwa, nie męcząca praca dla staruszka, który jeździ w fotelu na kółkach. — W tym momencie Meadowfill był już zazwyczaj w stanie takiej furii, że Snopes wołał do jego siwowłosej żony, która z okna kuchni przyglądała się tej scenie:

— Lepiej, żeby pani przyszła i zabrała go stąd.

Tak też robiła — do następnego dnia, kiedy scena powtarzała się od nowa. Wreszcie ogrodzenie było skończzone. Albo przynajmniej Snopesa nie było w pobliżu i stary nie mógł mu wymyślać; tylko świni ryły i podkopywały ziemię wzdłuż płotu, który chwilowo zagradzał im drogę. Ale tylko chwilowo, do momentu, kiedy było już za ciemno, żeby widzieć sad. A więc teraz już miał po co żyć, wstawać rano i, ledwie ciemność zaczęła się rozpraszać, prosto z łóżka biec do okna, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie oszukała go sama ciemność, kiedy nie mógłby dostrzec świni w swoim ogrodzie, nawet gdyby nie spał czatując na nią przez dwadzieścia cztery godziny; potem zasiadał w fotelu i podjeżdżał do okna, by ujrzeć swój ogród jeszcze w ciągu tej nocy nie naruszony, oszczędzony na jeszcze jedną noc. Żałował czasu, który musiał spędzać przy stole jedzeniu, ponieważ wtedy ogród był pozostawiony bez opieki, bez nadzoru. Bo, jak mówił wuj Charlesa. Meadowfill nie łamał sobie głowy nad tym, co ma zrobić, kiedy wyjrzy przez okno i zobaczy świnię na swoim terytorium — stary drań, który, jak sam Charles pamiętał, jeszcze zanim skazał się na inwalidzki fotel, zraził sobie całe sąsiedztwo, tak że nikt nie kiwnąłby palcem, żeby pomóc mu wypędzić świnię czy zrobić dla niego cokolwiek — oprócz może ukrycia jego zwłok, w wypadku gdyby jego nieszczęsna, szara żona zrobiła to, co powinna była zrobić już przed laty: zamordowała go którejś nocy. Meadowfill nie myślał o tym, co zrobi ze świnią. Nie potrzebował. Był szczęśliwy, może po raz pierwszy w swoim życiu. Wuj Charlesa, Gavin, mówił, że człowiek jest szczęśliwy, kiedy ma życie czymś wypełnione, kiedy jest w nim tyle do roboty, że między jednym zajęciem a następnym nie ma czasu przypominać sobie dnia wczorajszego ani bać się jutra. Oczywiście nie mogło to trwać długo, mówił wuj Gavin. Meadowfill z czasem musiał dojść do fazy, w której wyjrząwszy przez okna i nie zobaczywszy świni w swoim ogrodzie umrze po prostu z zawiedzionej nadziei albo też wyjrząwszy przez okno i zobaczywszy świnię umrze, bo nie będzie już miał po co żyć.

Uratowała go bomba atomowa. Charles chciał przez to powiedzieć, że wreszcie Japończycy także skapitulowali i teraz żołnierze ze wszystkich stron mogli wracać do kobiet, z którymi zaczęli się żenić, jeszcze zanim ucichło echo pierwszej bomby, rzuconej na Pearl Harbour, i od tego czasu nie przestawali się żenić, ilekroć mogli dostać przepustkę na dwa dni: wracali do domów, bądź do założonych już rodzin, bądź do tej reszty kobiet, z którymi nie zdążyli się jeszcze ożenić, kiedy cena ich krwi była już w rękach

rządu w formie pożyczek budowlanych (jak to określał wuj Charlesa: bohater, który przed rokiem ciskał ręczne granaty w okopach na pierwszej linii frontu, lecz wynosił kubły śmieci z uliczek, gdzie rosły gmachy budowane przez Biuro Byłych Kombatantów); i teraz Jason Compson przeżywał udrękę, której, jak sądził, zaden człowiek nie mógłby znieść ani wycierpieć. Istotnie, kiedy Charles wrócił we wrześniu 1945 roku, utracona posiadłość Jasona była już podzielona na sekcje, gdzie miały stanąć rzędy standardowych, przypominających pudełka od zapalek domków dla byłych kombatantów. W tydzień później zjawił się Ratliff w biurze jego wuja i powiedział im, jak brzmi oficjalna nazwa nowej dzielnicy: „Pole Euli”. Nie żadna z nazw obmyślonych przez dawną triumfującą ironię Jasona, jak „Lotnisko Snopesa” czy „Pole Zawiedzionych Nadziei Snopesa”, lecz „Pole Euli”, gniazdko rodzinne imienia Euli. I Charles nie wiedział, czy Flem Snopes sam to tak nazwał, czy kto inny, chociaż jeszcze długo potem pamiętał wyraz twarzy swego wuja, kiedy Ratliff im to powiedział. Ale nawet gdyby nie to, Charles wolałby nadal wierzyć, że nie Flem, tylko przedsiębiorca budowlany i jego wspólnik, Wat Snopes, wpadli na ten pomysł, bo Charles chciał nadal wierzyć, że istnieją rzeczy, przynajmniej jedna rzecz, której nawet Flem Snopes by nie zrobił, choćby nawet prawdziwą przyczyną było to, że samemu Flemowi w ogóle na myśl by nie przyszło nazwać to tak czy inaczej, bo dla niego nie miało znaczenia, czy to ma jakąkolwiek nazwę, czy nie. Na Boże Narodzenie teren upstrzyły już małe domki, jaskrawo pomalowane i błyszczące nowością, tak podobne jeden do drugiego (i mniej więcej tej samej trwałości) jak herbatniki czy równo pokrajane kawałki piernika, a były żołnierz piechoty czy marynarz z odznaką demobilizacji, jedną ręką popychając

wózek dziecienny, a drugą przytrzymując usadowione na ramieniu drugie (albo trzecie) dziecko, czekał jui, żeby wejść do środka, zanim ostatni malarz zdążył zdjąć fartuch. A na nowy rok wytyczona została główna arteria, która miała przebiegać przez całą długość terenów pana Snopesa łącznie z parcelą stanowiącą własność starego Meadowfilla, i teraz otworzyły się przed Meadowfillem perspektywy rozrywki i napięcia, wobec których zwykle wkroczenie świni na jego terytorium byłoby czymś równie błahym, jak przekroczenie granicy przez ptaka czy żabę. Teraz bowiem jedno z wielkich towarzystw naftowych zamierzało odkupić teren, gdzie łączyły się parcela Meadowfilla i dawna posiadłość Compsonów (obecnie Snopesów) — to jest skrawek ziemi, zajęty przez ogród Meadowfilla z przylegającym do niego skrawkiem, gdzie mieściła się hodowla świń Resa Snopesa — żeby zbudować tam stację benzynową.

Do starego Meadowfilla należało niecałe trzysta stóp kwadratowych terenu, który chciało zakupić towarzystwo naftowe. W rzeczywistości, jak wiedziało całe miasto, jego prawa własności już nie istniały. Na początku drugiego okresu prezydentury Roosevelta był oczywiście jednym z pierwszych, którzy zgłosili się z żądaniem pomocy rządu, i ku swemu zdumieniu i oburzeniu dowiedział się, że biurokratyczny rząd federalny absolutnie i kategorycznie nie pozwalał mu być jednocześnie nędzarzem i właścicielem ziemi. Przyszedł więc do Gavina, wybierając go spośród innych adwokatów w Jefferson dla tej prostej przyczyny, że on, Meadowfill, wiedział, że po pięciu minutach doprowadzi Stevensa do takiej wściekłości, że ten nie zechce przyjąć żadnego honorarium za zredagowanie aktu przepisania własności na jego dziewięcioletnią podówczas córkę (było to w roku 1934). Pomylił się tylko w obliczeniu czasu, bo Stevensowi

wystarczyły dwie minuty na osiągnięcie punktu wrzenia furii, która zaniósła go do pokoju urzędnika kancelarii, gdzie odkrył, że akt sprzedaży podpisany przez ojca Jasona Compsona stwierdzał: „...na południe od drogi znanej pod nazwą Droga Źródeł Wolności, a stąd na wschód wzdłuż wymienionej drogi...” Droga Źródeł Wolności była w tym czasie, kiedy Meadowfill kupił swoją parcelę, zarośniętym chwastami rowem dziesięciu stóp głębokości, z małą ścieżynką na dnie, równie niedostępnym jak Wielki Kanion, gdyż działo się to przed erą buldożerów i koparek, które miały nie tylko zmienić, ale i zetrzeć powierzchnię ziemi. Oznaczało to cofnięcie o trzynaście stóp ówczesnej granicy wyznaczonej przez Mohatanę, matriarchę Indian Chickasaw, Quentinowi Compsonowi w roku 1821, i wuj Charlesa mówił, że jego pierwszym odruchem było powiedzieć staremu Meadowfillowi, że posiada o trzynaście stóp więcej ziemi, niż myślał, byleby się nimi zajął wcześniej, niż to zrobi-kto inny. Ale gdyby on, Stevens, zrobił to, byłby moralnie zobowiązany przyjąć od Meadowfilla dziesięć dolarów honorarium za sprawdzenie aktu sprzedaży, wolał więc pozwolić, żeby jedna moralność anulowała drugą i żeby przeważała zwykła sprawiedliwość.

Tak wyglądała sytuacja, kiedy wytyczona została linia nowej szosy, która miała się pokrywać z dawną linią demarkacyjną Chickasawów, i Meadowfill odkrył, że jego posiadłość rozciąga się tylko do rowu o trzynaście stóp od granicy. Ale wściekłość byłaby zbyt łagodnym określeniem stanu jego ducha w momencie, gdy towarzystwo naftowe zwróciło się do niego z propozycją zakupu jego części parceli i gdy przekonał się, że jego śmiertelny wróg, hodowca świń, Snopes, jest właścicielem trzynastu stóp, a bez wyraźnego tytułu własności do nich towarzystwo nie zakupiłoby żadnej ziemi od niego, Meadowfilla. Oczywiście była w tym i wściekłość, ponieważ to uczucie przeszło w stan normalny Meadowfilla już od roku. Ale był także i triumf. Więcej: była to zemsta, odwet. Odwet na Compsonach, którzy wypisali mu fałszywy dokument, pozwalający mu kupić tę ziemię w dobrej wierze. Odwet na społeczeństwie, które dręczyło go od lat, nasyłając na niego urwisów i zbłąkane psy. Odwet na człowieku, który od roku spędzał mu sen z powiek i rujnował mu zdrowie ustawiczną groźbą swoich świń. Odmówił sprzedania pod jakimkolwiek warunkiem, komukolwiek, jakiegokolwiek części swej posiadłości, co — ponieważ jego parcela leżała naprzeciw parceli Snopesa, oprócz pasa szerokości trzynastu stóp — odcinało towarzystwo od stacji benzynowej, którą projektowało założyć, wskutek czego towarzystwo odmówiło zakupu terenu Snopesa.

Oczywiście, jak wiedziało całe miasto, Snopes (Charles miał oczywiście na myśli Resa Snopesa) próbował się już porozumieć z Essie, na której imię wypisany był dokument i która, o czym także wiedziało całe miasto, odpowiedziała mu, że musi porozmawiać z jej ojcem. Otóż to było dla Snopesa absolutną niemożliwością: jego hodowla świń wykluczała na zawsze wszelki kontakt, choćby najbardziej przelotny, ze starym Meadowfillem. Właściwie Snopes miał przed sobą dwie przeszkody nie do pokonania. Drugą było pojęcie, złudzenie, mrzonka, że pieniądze zdolne są poruszyć człowieka, który od wielu lat był tak przyzwyczajony nie mieć i nie pragnąć mieć ani jednego dolara na zbyciu, że nawet wizja tysiąca dolarów nie mogłaby go skusić. Tak więc Snopes pomylił się co do swego człowieka. Nie przestał jednak próbować. (Tak jest, ktoś obcy mógłby się zastanawiać, co robił przez ten czas Flem Snopes, do którego przede wszystkim należała ta ziemia. Ale ludzie

z miasta nie byli obcymi.) Poszedł do agenta towarzystwa naftowego i rzekł: — Powiedzcie mu, że jeśli podpisze ten dokument, dam mu dziesięć procent z tego, co mi zapłacicie za te trzynaście stóp. — Potem dodał: — Dobrze, więc pięćdziesiąt procent. Połowę. — Potem powiedział: — Dobrze, ile on chce? — Potem (i według opinii pracownika towarzystwa naftowego głos jego brzmiał tak, że określenia takie, jak „łagodny”, „grzeczny” nie pasowałyby zupełnie): — W porządku. Dobry obywatel nie może zagradzać drogi do postępu, choćby go to miało kosztować pieniądze. Powiedzcie mu, że jeśli podpisze, to może zostać przy tych trzynastu stopach. Tym razem Meadowfill nie raczył nawet powiedzieć „Nie” siedząc w swoim fotelu na kółkach przy oknie, skąd mógł patrzeć na ziemię, której nie chciał sprzedać, i tę, która z nią graniczyła, a której właściciel nie mógł sprzedać z jego powodu. Tak że w pewien sposób Snopes zjednął sobie niejaką sympatię w swoim następnym posunięciu dokonanym na krótko przed czymś, co się zdarzyło w życiu Essie Meadowfill i co dowiodło, że przypisywana jej dotychczas opinia zaleźnionego dziewczątka daleka była od słuszności; a choć słowo „potulna” nadal mogło się do niej stosować, następnym określeniem była nie „bierność”, lecz „stanowczość”. Pewnego ranka, kiedy Meadowfill przetoczył fotel od stołu w kuchni do okna i wyjrzał, zobaczył to, na co oczekiwał już od roku: wolno puszczonej świnię z ryjem pośród bezwartościowych brzoskwiń u stóp bezwartościowych i zaniedbanych drzew, i kiedy ryczał straszliwym głosem, przywołując panią Meadowfill, Snopes przeszedł przez jego podwórze z kaczanem kukurydzy i postronkiem zakończonym pętlą, na którą schwytał jedną nogę świni i zabrał zwierzę, ciągnąc je przez podwórze, sprzed oczu starego Meadowfilla, który, wychylony przez okno, obrzucał oboje najstraszliwszymi przekleństwami, nawet kiedy już znikli.

Następnego ranka siedział już przy oknie w fotelu, kiedy zobaczył świnię zbliżającą się beztrząskowo po ścieżce i wchodzącą do jego ogrodu; wychylał się jeszcze przez okno ziewając przekleństwami, kiedy jego nieszczęsna żona wyszła z domu, okręcając głowę chustką, i pobięła wzdłuż ścieżki, by stukać do zamkniętych drzwi Snopesa, póki ryki, nieustające przekleństwa męża nie przywołały jej z powrotem. Tymczasem większość sąsiadów była już na miejscu obserwując dalszy przebieg akcji: stary w dalszym ciągu złorzeczył ze swego fotela przy oknie, podczas gdy jego żona usiłowała wypędzić świnię z nie ogrodzonego podwórka, aż wreszcie zjawił się sam Snopes (wyszedłszy, jak wszyscy to już wiedzieli, z kąta, gdzie siedział ukryty, czuwając nad rozwojem wydarzeń) niewinny i zdziwiony) rozplywający się w przeproszeniach, ze swoim kaczanem kukurydzy i postronkiem z pętlą, i złapał świnię, i odprowadził ją do chlewa.

W ciągu dni, które nastąpiły, Meadowfill miał strzelbę — starą, inkrustowaną jednorurkę, kaliber 22. Wyglądała jak kupiona w sklepie ze starzyzną, tylko dlatego, że znajdowała się w jego rękach, chociaż nikt nie wiedział, kiedy opuścił fotel na kółkach przy oknie (nie mówiąc o świni) na dość długo, żeby wytropić małego chłopca, który był jej właścicielem, i wydrzeć mu ją albo wytargować; miasto po prostu nie mogło sobie wyobrazić, żeby był on kiedykolwiek młodym, zapalczywym chłopcem, dumnym z posiadania strzelby, i żeby ją zachował przez tyle lat jako wspomnienie tych czystych, niewinnych czasów. Niemniej miał ją i naboje też — nie prawdziwe, solidne kule, ale śrut, jakiego używają naturalisci, nie-

/.dolni absolutnie z<ibic świni, a n.iwfl zranić jej po- izaądnie D.i luką odległość, Właściwie, jak mówił wuj CJia; Je.sa, Memlow/ill n it* chciał u<ipr: iwtlt; w ypędzić .'.wini, chciał tylko do nicsj slrzclać CO d/.ieñ, tak jak inni grają w krokietu albo w lolei yjkl'rosl.o od siotu, po śniadaniu, śpieszył dc; swerjo fotela i, przy czajony w swojej zasadzce na kółkach, czatował, aż ukaże się Świnia. Wtedy (musiał w tym celu wyleźć / fotela) stawał i powoli, .spokojnie* podnosił ramę okna i żaluzję (wysmarował tłuszczem przewodniczo jednej i drugiej, żeby sic; poruszały prędko i bez hula- su, i zaopatrzył w ucliwyty nu dole lak, żeby mógł je podnieść j:dnym szarpnięciem) i oddawał strzał, świni podskakiwała konwulsyjnie, po czym, zapominając o doznany wstrząsie, zaczynała ryc na nowo i otrzymywała następny strzał, aż wreszcie niejasni; procesy dedukcyjne kazały jej ustalić pewien związek pomiędzy boleszym ukłuciem a detonacją i po następnym strzale odchodziła, by powrócić dopiero nazajutrz rano. W końcu w jej umyśle brzoskwini skojarzyły się z ogólnym pojęciem wrogości i nia wróciła do ogrodu Meadowfilla przez cały tydzień; w sąsiedztwie zaczęła krążyć pogłoska, że stary umówił się z chłopcem roznoszącym gazety z Memphis i Jackson (sam nie abonował gazet, nie interesowały go żadne wiadomości, za które płaciło się dolara miesięcznie), żeby przeszukiwał blaszunki od śmieci w sąsiedztwie i nocą rozkładał przynętę w jego ogrodzie.

Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, zastanawiano się w mieście, do czego zmierza Snopes. Oczywiście spodziewano się, że Snopes będzie trzymał świnię w domu po pierwszym strzale starego Meadowfilla. Albo nawet, że ją sprzeda, skoro handel świniami był jego zawodem, chociaż prawdopodobnie nikt nie dalby pełnej «my za lunt żywca z dodatkiem śrutu ktdiber

10, od dłuższego czasu tkwiącego w sadle świni. Wra-

szej; jak słwien/il wuj C.hnile....,

/..iinj,-> ,•

Snop»“ .ju jerj^f> nadzieje, że pev. norjo dci.., pr/e/. ij>, myłkę r/y n« skutek zaślepienia fuiiã, v. .zl/v/ z / wszelkich hamulców moralności czy si ruchu przed konsekwencjami, opętany przez swój nałóg, jak pi j/jk czy (jracz, stary Meadowfill naładuje sti/ell •• prawdziwymi kulami i wtedy Simpes nie tylko we. y;wic yo do sądu za zabicie świni, ale powoławszy się na zakaz używania broni palnej w granicach rnia «ta, szantażem zmusi go do ustąpienia, tak by on, Snopes, mógł sprzedać swoją parcelę towarzystwu 11,litowemu. Wtedy to nastąpiło owo wydarzenie w życiu Essie Meadowfill.

Był to kapral marynarki wojennej. W mieście nigdy nie zdołano się dowiedzieć, w jaki sposób doszło do spotkania między nim a i ĩssie. Nigdy nigdzie nie; bywała, nie licząc od czasu do czasu jednodniowych podróży do Memphis, dokąd każdy mieszkaniec północnego Missisipi wyjeżdżał co najmniej raz w roku. Nigdy nie opuściła ani jednego dnia pracy w banku poza letnim urlopem, który, jak wszyscy wiedzieli, spędzała dźwigając swoją część ciężaru, jaki narzucał fotel na kółkach.

A jednak go poznała, może być za pośrednictwem biura matrymonialnego. Tak czy owak, nadal obładowana codziennymi sprawunkami, czekała teraz na dworcu na autobus z Memphis, z którego wysiadał mężczyzna dotychczas w Jefferson nigdy nie widywany, i to on niósł teraz siatkę z zakupami po ulicy, gdzie Essie pojawiała się o godzinę później (ludzie przywykli regulować zegarki według jej codziennego przejścia przez ulicę). I odtąd miasto zrozumiało, że niesłusznie uważano ją przez całe lata za wystraszoną, zahukaną trusie, bo żadna dziewczyna zasługująca na takie określenia nie mogłaby do tego stopnia rozkwitnąć i nabrać dziewczęcego wyglądu w tak

krótkim czasie, to jest odkąd pierwszy raz zajeżdżał autobus. I musiała wykazać całą swą wrodzoną rezolucyjność — bez względu na to, czy jej marynarz zdążył już poznać tę cechę jej charakteru, czy nie — kiedy oboje weszli do domu i skierowali się prosto do fotela na kółkach, stawiając czoło wybuchowi, przy którym przeklinanie urwisów, rzucanie kamieniami w psy, a nawet prawdziwe strzelanie do świni z hodowli Snopesa były zwykłymi odruchami hysterii, bo tym razem intruz wkraczający na jego teren zagrażał całemu systemowi niewolnictwa utrzymującemu Meadowfilla przy życiu; powiedziała: — Tato, oto jest pan McKinley Smith. Mamy się pobrać. — Potem, wychodząc z nim na ulicę, w pięć minut później, pocałowała go na oczach wszystkich, którzy chcieli ją widzieć: może całowała go wtedy nie po raz pierwszy, ale z pewnością pierwszy raz całowała kogoś nie obawiając się (co więcej, nie dbając), czy to jest grzechem, czy nie. I najwidoczniej McKinley także był człowiekiem zdecydowanym: syn drobnego dzierżawcy ze wschodniego Teksasu, prawdopodobnie niewiele słyszał o Missisipi, dopóki nie spotkał Essie, gdziekolwiek i jakkolwiek to było. Kiedy zrozumiał, że, z racji tego fotela na kółkach i siwych włosów matki, Essie nie rozstanie się ze swoją rodziną, by go poślubić nie dbając o resztę, powinien był zrezygnować i powrócić do Teksasu najbliższym autobusem.

Albo może była to jedna zdecydowana wola, wspólna dla obojga, tak jak wszystko inne między nimi zdawało się wspólne. Byli zaiste złączeni przez los, czy urodzili się pod tą samą gwiazdą, czy nie. Bo nawet postępowali w życiu podobnie. Było rzeczą oczywistą, że McKinley postanowił zapuścić korzenie w Jefferson. Ponieważ od pewnego już czasu (działo się to w styczniu 1946, Charles już był w domu i sam widać dalszy ciąg tej historii) Stany Zjednoczone roły się od byłych G. I., którzy chodzili do szkoły, bez względu na to, czy się do tego nadawali i czy rzeczywiście sobie tego życzyli, wydawało się oczywiste, że wstąpi na kursy wieczorowe zorganizowane w tym czasie przy Akademii w Jefferson, gdzie na koszt rządu mógł przynajmniej raz dziennie trzymać ją za rękę czekając, aż zwykle skapstwo zabije w końcu starego Meadowfilla. Ale marynarz Essie zrezygnował z wyższego wykształcenia równie szybko i zdecydowanie, jak to zrobiła Essie, i dla tych samych przyczyn. Wytłumaczył to: — Byłem żołnierzem przez dwa lata. Jediną rzeczą, jakiej się w tym czasie nauczyłem, jest to, że jedynym miejscem, gdzie można czuć się bezpiecznie, jest własna nora w ziemi, najlepiej z żelazną pokrywą, którą można zasunąć nad głowę. Zamierzam znaleźć sobie taką norę. Tylko że już teraz nie jestem żołnierzem i mogę wybrać ją sobie, gdzie chcę, a nawet urządzić ją wygodnie.

Zakupił mały plac. Oczywiście w nowej dzielnicy imienia Euli. I oczywiście to Essie go wybrała. Nie było nawet daleko od miejsca, gdzie spędziła całe swoje życie; w samej rzeczy, kiedy dom zaczął wyrastać, Meadowfill (był do tego zmuszony, jeśli nie chciał zrezygnować ze świni i położyć się do łóżka) mógł siedząc w oknie obserwować codzienne postępy w budowie: nieustające przypomnienie i przestroga, że nie powinien popełnić błędu i umrzeć. W końcu stanowiło to niezbitym rację siedzenia w fotelu na kółkach przy oknie, skoro nie było już świni. Ta najwidoczniej dała za wygraną — przynajmniej na razie. Albo może Snopes dał za wygraną — także na razie, Świnia dokonała ostatniego wypadu mniej więcej tego samego dnia, kiedy Essie pierwszy raz przyprowadziła do domu swego marynarza, i od tego czasu nie pojawiła się już więcej w ogrodzie, Sao-

pes

nada] trzymaj ją w swojej zagrodzie lub wiele (o czym świadczy! wiatr od tej strony) albo, ponieważ to było jego rzemiosło, mógł ją zastąpić, kiedykolwiek uznalby, że nadeszła pora. Ale, tym- przynajmniej, powstrzymywał się od tego, za- . latał dziurę w płocie lub (jak przypuszczali sąsiedzi) .r-o prostu przestał zostawiać uchyloną furtkę w dni, które uważał za wymagające szczególnej strategii. Tak więc teraz stary Meadowfill miał tylko rosnący dom do obserwowania.

McKinley budował go sam, wykonując wszystkie ciężkie roboty z pomocą jednego tylko zawodowego cieśli, który znał deski do piłowania, podczas gdy rozjuszony starzec czatował w fotelu na kółkach zza okna, nie widząc już nawet świni, na której mógłby wyładować swą furję. Najwidoczniej z przyzwyczajenia Meadowfill miał stale nabitą strzelbę pod ręką. Nie mógł w żaden sposób dowiedzieć się, czy Świnia już nie wróci; i teraz sąsiedzi zaczęli snuć hipotezy, jak długo potrafi wytrzymać, zanim sięgnie po strzelbę i da ognia do któregoś z nich — McKinleya lub cieśli. Musiałby to być raczej cieśla, chyba żeby Meadowfill przeszedł na nocną zmianę, bo któregoś dnia (było to już na wiosnę) McKinley miał także muła i dowiedziano się, że wydzierżawił kawałek ziemi, dwie mile za miastem, i hoduje na nim bawełnę. Dom był już na wykończeniu, brakowało jeszcze drzwi i ram okiennych, które mógł zrobić tylko zawodowy cieśla. McKinley odjeżdżał więc co rano na swoim mule o wschodzie słońca i wracał dopiero po zmierzchu. Wtedy to prawdopodobnie bezsilna wściekłość Meadowfilla doszła do zenitu: dotychczas McKinley mógł się znużyć albo przerazić i sprzedać nie dokończony dom i plac w każdej chwili, może nawet z zyskiem. Ale żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie zakupiłby zbioru bawełny, która jeszcze nawet nie zakiełkowała. Teraz więc nie mogło go wstrzymać nic prócz śmierci — jego własnej lub McKinleya.

Wtedy powróciła Świnia. Po prostu pojawiła się na nowo; prawdopodobnie Meadowfill jak zwykle po śniadaniu podjechał w fotelu do okna nie oczekując niczego prócz jeszcze jednego ranka biernej wściekłości, kiedy oto znów miał przed oczyma swinię błądzącą w poszukiwaniu widma zeszłorocznych brzoskwiń, jak gdyby rozstała się z nimi ledwie wczoraj. Może w to właśnie chciał wierzyć stary Meadowfill w tym momencie: że swinią nigdy nie przestawała tu przychodzić i że wszystkie zniewagi, jakie go spotkały w tym czasie, były tylko przywidzeniem, piekielną marą, którą należało odpędzić pierwszym strzałem, jaki odda. Co też nastąpiło niezwłocznie, widać stale trzymał pod ręką nabitą strzelbę; niektórzy z sąsiadów twierdzili, że usłyszeli złośliwy świst kuli, kiedy jeszcze byli w łóżku.

Echo strzału rozeszło się po mieście około południa, ale wuj Charlesa, Gavin, był jednym z nielicznych, którzy bezpośrednio odczuli jego następstwa. Wychodził właśnie z biura na obiad do domu, kiedy usłyszał kroki na schodach. Potem wszedł Res Sno- pes z pięciodolarowym banknotem w rękę. Położył go na biurku i rzekł: — Dzień dobry, panie mecenasie, Nie zabiorę panu wiele czasu. Proszę tylko o drobną poradę — akurat za pięć dolarów. — Stevens nie dotknął jeszcze banknotu; spoglądał tylko raz po raz to na pieniądze, to na ich właściciela, o którym dotychczas nigdy nie słyszano, żeby zapłacił pięć dolarów za cokolwiek, czego nie mógłby odprzedać przynajmniej z dwudziestopięcioprocentowym zyskiem.

— Chodzi o tę moją swinię, którą ten starszy pan, pan Meadowfill, chce zastrzelić śrutem na ptaki.

— Słyszałem o tym — powiedział wuj Gavin. — Czego pan sobie życzy za swoje pięć dolarów? —

Snopes stał za biurkiem, nie obłudny, po prostu uprzejmy i nieprzenikniony. — Żebym panu powiedział to, o czym pan już wie? Że jeżeli oskarży go pan przed sądem o skaleczenie pańskiej świni, to on powoła się na prawo zabraniające puszczania wolno żywego inwentarza w obrębie miasta? Za to, żebym panu jeszcze raz powtórzył, o czym pan wie już przeszło od roku, od czasu kiedy strzelił do niej pierwszy raz? Albo niech pan naprawi ogrodzenie, albo pozbędzie się świni.

— Karmienie świni drogo kosztuje — powiedział Snopes. — A co do pozbycia się, ta wątpię, żeby ją ktoś chciał kupić z tym całym śrutem, który w nią wpakował starszy pan.

— Więc niech ją pan zje — rzekł Stevens.

— Cała świnia do zjedzenia dla jednego człowieka? I z tym śrutem, co w niej siedzi prawie od dwóch lat?

— Więc niech pan ją komuś podaruje — Stevens ugryzł się w język, ale już było za późno.

— A więc to jest pańska porada — powiedział Snopes. — Podarować świnie. Bardzo dziękuję — i szedł już w stronę drzwi.

— Niech pan zaczeka. Proszę to zabrać — podał mu banknot z powrotem.

■— Przyszedłem do pana po poradę prawną —■ rzekł Snopes. — Pan mi jej udzielił: podarować moją świnie. Winien panu jestem honorarium. Jeżeli pięć dolarów nie wystarczy, proszę mi to powiedzieć.

I odszedł. Stevens myślał teraz pośpiesznie, nie: „Dlaczego wybrał akurat mnie?“, bo to było oczywiste: on sporządził akt przepisania na Essie Meadowfill własności spornego terytorium: on był też, nie licząc rodziny Meadowfillów, jedyną osobą w Jefferson, z którą stary Meadowfill miał jakiś ludzki kontakt od dwudziestu lat. Nie zadawał sobie pytania: „Dlaczego

Snopes potrzebował uprzedzić kogoś obcego, prawnika czy nie, że zamierza podarować tę świnie“. Ani też: „Dlaczego pokierował tym tak, żebym to ja pierwszy powiedział te słowa, które formalnie stanowią płatną poradę prawną?“ Zamiast tego Stevens pomyślał: „W jaki sposób, darując tę świnie, zmusi starego Meadowfilla do sprzedania parceli?“ Wuj Charlesa Gavin zawsze twierdził, że w rzeczywistości nie interesuje go prawda ani nawet sprawiedliwość: chciał tylko wiedzieć, przekonać się, czy odpowiedź jest jego sprawą, czy cudzą, i uważał, że wszystkie środki prowadzące do tego celu są dobre, byleby nie pozostawiały żadnych wrogich świadków ani obciążających dowodów. Charles nie wierzył mu: niektóre z jego metod były nie tylko za trudne, ale zabierały zbyt wiele czasu. Istnieją rzeczy, których się nie robi nawet po to, żeby się czegoś dowiedzieć. Ale wuj twierdził, że Charles się myli; że ciekawość jest jedną z tych władczyń, której niewolnicy nie odmawiają żadnych poświęceń.

W tym wypadku trudność polegała na tym, że jego wuj nie wiedział, czego szuka. Miał dwie metody: śledztwo i obserwacja — i trzy tropy: Snopes, Świnia i Meadowfill — żeby odkryć coś, czego mógł nie rozpoznać na czas, nawet gdyby to znalazł. Nie mógł posłużyć się śledztwem, bo jedyna osoba, która mogła znać odpowiedź — Snopes, powiedział już to wszystko, co zamierzał podać do czyjejkolwiek wiadomości. I nie mógł praktykować obserwacji na świni, bo tak jak Snopes mogła przenosić się z miejsca na miejsce. Pozostawał więc jedyny czynnik nieruchomy: stary Meadowfill. Tak więc następnego ranka zabrał z sobą Charlesa i o świcie obaj byli na czatach w jego samochodzie, zaparkowanym w miejscu, skąd widać było dom Meadowfilla, ogród i ścieżkę, która prowadziła do domu Snopesa, i jako trzeci punkt trójką-

■ a mały nowy domek, który McKinley Smith prawie już skończył budować. Siedzieli tam przez dwie godziny. Widzieli, jak McKinley odjechał na swoim mule na swoje pole. Potem sam Snopes ukazał się na ścieżce i poszedł w kierunku centrum miasta. Teraz nadeszła pora, kiedy Essie Meadowfill powinna wyjść do pracy. Pozostawał więc tylko stary Meadowfill zaczajony w oknie. Tylko świni nie było.

— Jeżeli na to czekamy — powiedział Charles.

— Zgadzam się — odparł jego wuj.

— Chcę powiedzieć) na to, co może odwrócić uwagę oczu, które prawdopodobnie obserwują nas od dwóch godzin czekając aż odjedziemy.

— Ja też nie chciałem tu przyjeżdżać — rzekł jego wuj. — Ale musiałem przyjechać albo oddać z powrotem te pięć dolarów.

Następnego ranka — to samo. Za późno już było się wycofać: włożyli w to za wiele trudu, nie licząc nawet pięciu dolarów Snopesa: dwa dni wstawania przed świtem i siedzenia przez dwie godziny w zaparkowanym samochodzie bez śniadania, w oczekiwaniu czegoś, co do czego nie mogli nawet być pewni, że to rozpoznają, nawet jeśli to zobaczą. Było to trzeciego ranka. McKinley i jego muł odjechali o zwykłej godzinie: tak regularnie i planowo, że ani on, ani jego wuj nie uświadomili sobie nawet, że jeszcze nie widzieli Snopesa, dopóki sama Essie Meadowfill nie wyszła z domu, idąc do pracy. Dla Charlesa był to jeden z tych wstrząsów, jakich człowiek doznaje, kiedy się budzi nie wiedząc, aż do tego momentu, że spał: jego wuj wysiadał już z samochodu i zaczął biec, kiedy zobaczyli świnię. Świnia była więc na widnokręgu i robiła to, czego się spodziewali: kierowała się do ogrodu Meadowfilla tym szybkim, zdecydowanym truchcikiem świń. Ale nie była tam, gdzie być powinna w chwili, kiedy znalazła się w polu ich

widzenia. Szła tam, dokąd się spodziewali, ale nie stąd, skąd powinna była nadejść. Nie od strony domu Snopesa, lecz domu McKinleya Smitha. Jego wuj biegł już, gnany tym, co Ratliff nazywał jego naturalnym instynktem, czyli skłonnością do znajdowania się tam, gdzie coś się zaczynało dziać, nawet choćby to nie było zupełnie w porę; śpiesząc — Charles za nim oczywiście — na drugą stronę ulicy, przez małe podwórze i do wnętrza domu, zanim stary Meadowfill mógł zobaczyć świnię przez okno i strzelić.

Jego wuj nie zastukał do drzwi, wbiegli obaj do środka, wuj kierując się zwykłą orientacją wybrał drzwi, za którymi musiał być stary Meadowfill, żeby patrzeć przez to właśnie okno; i był tam, wychylony ze swego fotela na kółkach, przy oknie, którego rama okienna była przesunięta, ale zasłona jeszcze spuszczone, i unosił strzelbę w jednej ręce, podczas gdy druga szarpała uchwyt zasłony. Ale on, Meadowfill, nie poruszył się jeszcze, patrzył tylko na świnię. Wszyscy przyzwyczaili się widzieć w jego twarzy urazę, mściwość i złość: to było normalne. Ale tym razem jego twarz nie wyrażała nic prócz nasycenia. Nie odwrócił nawet głowy, kiedy Charles i jego wuj weszli do pokoju. Powiedział tylko: — Proszę wejść, proszę. Jesteście w łoży honorowej. — Potem słyszeli, jak klnie: nie soczyste przekleństwa, jakie się słyszy na ulicy, lecz sprośne wyrazy wypowiedane po cichu w domu; Charles pomyślał, że jeśli Meadowfill kiedykolwiek używał tych słów, to teraz jego siwe włosy powinny by mu kazać o nich zapomnieć.

Potem próbował wyleźć ze swego fotela na kółkach i Charles zobaczył to także: przedmiot niewiele dłuższy niż cegła owinięty w worek jutowy umocowany w rozwidleniu najbliższego drzewa brzoskwiniowego, o jakieś dwadzieścia stóp od domu i wycelowany w

stronę okna. Jego wuj zawołał: — Niech pan nie rusza! Niech pan tego nie podnosi! — i sięgnął nawet po uchwyt, ale za późno: stary Meadowfill stojąc teraz na podłodze oparł strzelbę o okno i położywszy obie ręce na uchwycie szarpnął i uniósł zasłonę. Wtedy usłyszeli złośliwe szcęknięcie kuli kaliber 22 od strony drzewa brzoskwiniowego; jego wuj mówił, że patrzył właśnie na unoszącą się zasłonę, kiedy sznur pękł i znikł w blasku miniaturowej eksplozji; Charles miał wrażenie, że słyszy świst maleńkich kul przelatujących po brzuchu i klatce piersiowej Meadowfilla, kiedy stary pół podskoczył, pół opadł w tył na krzesło na kółkach, które spod niego uciekło, zostawiając go rozciągniętego plackiem na podłodze; leżał tam przez chwilę z twarzą, w której malowało się niedowierzanie wobec wyrządzonej mu zniewagi: nie ból, nie strach czy niepokój — tylko niepojęta zniewaga: podnosząc się sięgał już po strzelbę.

— Ktoś do mnie strzelił — wybełkotał.

— Oczywiście — powiedział wuj Charlesa, wyjmując mu strzelbę z rąk. — Nikt inny tylko Świnia. Czy może jej pan to mieć za złe? Niech pan teraz leży spokojnie, póki nie obejrzymy skaleczenia.

— Jaka Świnia? — powiedział Meadowfill. — To ten drań, McKinley Smith.

Nie był ranny, tylko poparzony, drobne ziarnk śrutu, które musiały przebić nie tylko jego spodnia i koszulę, lecz także grubą zimową bieliznę, utkwily tuż pod skórą. Ale rozjątrzony jak szerszeń, ryczący przeklinający nadal próbował odebrać Stevensowi strzelbę (pani Meadowfill była teraz w pokoju, z szalem owiniętym dokoła głowy, jakby nieuchronne i rozpaczliwe przeczucie powiedziało jej, że Świnia przekroczyła ich nie ogrodzoną płotem granicę), póki nie uspokoił się na tyle, by odzyskać to, co u niego mogło uchodzić za przytomność umysłu. Wtedy im wytłuma

czył: dwa dni temu Snopes powiedział Essie, że podarował świnie McKinleyowi na prezent z okazji ślubu — który, jak on, Snopes, się spodziewał, miał nastąpić już w najbliższych dniach...

— Chwileczkę — przerwał mu wuj Charlesa — czy Essie powiedziała, że pan Snopes podarował świnie McKinleyowi, czy że pan Snopes powiedział jej o tym podarunku?

— Co? — powiedział Meadowfill. — Co? — i znowu zaczął kłąć.

— Niech pan leży spokojnie — polecił mu wuj Charlesa. — Przez cały rok strzelał pan do tej świni i nie zranił jej, to i panu od jednego strzału nic się chyba nie stanie. Ale wezwiemy lekarza, ze względu na pańską żonę.

Jego wuj obejrzał też instalację: bardzo sprytnie pomyślana pułapka domowej roboty: strzelba kaliber 22, na jeden strzał, z odpilowaną lufą i łożyskiem, i przymocowana do deski: wszystko razem owinięte w worek i uwiązane w rozwidleniu drzewa. Mocny i cienki drut biegł od kurka do strony przy oknie, a koniec lufy skierowany był ku środkowi ramy okiennej na wysokości około stopy od parapetu.

— Gdyby nie wstał, zanim podniósł tę storę, dostałby kulę w twarz — powiedział Charles.

— No więc co? — odparł jego wuj. — Czy myślisz, że tego, kto to założył, obchodziłoby to cokolwiek? Albo by go tylko przestraszyło i rozwścieczyło tak, że rzuciłby się na Smitha z tą strzelbą (była w niej teraz solidna (kula, duża, dalekonośna: tym razem stary Meadowfill zamierzał zranić to, do czego strzelał) i zmusiłby Smitha do zabicia go we własnej obronie, albo strzał oślepiłby go i zabił w tym samym fotelu i cała sprawa byłaby rozwiązana. Po zlikwidowaniu ojca i uwięzieniu narzeczonego miałby do czynienia tylko z Essie.

— Sprytnie pomyślane — powiedział Charles.

— Gorzej — odpowiedział jego wuj. — Niedobra sprawa. Nikt by nie uwierzył, że ktokolwiek, prócz byłego kombatanta z wojny na Pacyfiku, mógłby obmyślić taką pułapkę, choćby nie wiem jak się wypierał.

— W każdym razie pomyślane sprytnie — powtórzył Charles. — Nawet Smith to przyzna.

— Tak — potwierdził jego wuj. — Dlatego chciałem cię mieć tu z sobą. Ty też byłeś żołnierzem. Mogę potrzebować tłumacza, żeby z nim rozmawiać.

— Ja byłem tylko majorem — powiedział Charles. — Nigdy nie miałem dość wysokiej rangi, żeby dawać rozkazy sierżantowi, a coś dopiero sierżantowi marynarki.

— On był tylko kapralem.

— W każdym razie służył w marynarce — powiedział Charles.

Ale nie poszli prosto do Smitha; o tej porze był na polu. A Charles myślał, że gdyby on był na miejscu Snopesa, to w domu Snopesa też nikogo by nie zastali. A jednak zastali. Snopes sam otworzył im drzwi, miał na sobie fartuch, a w ręce trzymał patelnię, było nawet na niej usmażone jajko. Ale jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. — Wejdźcie, panowie — powiedział.

— Nie, dziękuję — rzekł wuj Charlesa. — To nie potrwa aż tak długo. Zdaje się, że to należy do pana. — Stevens położył zawiniątko na stole i uchylił róg worka, ukazując okaleczoną strzelbę. Ale w dalszym ciągu nie było żadnych śladów wzruszenia w twarzy Snopesa ani w jego głosie.

— To jest to, co wy, prawnicy» nazywacie przedmiotem sporu, tak?

— O tak — odpowiedział wuj Charlesa. — Każdy wie dzisiaj, co to są odciski palców, podobnie jak pułapki strzelające.

— Tak — stwierdził Snopes. — Pewnie nie przyszli panowie ofiarować mi tego w¹ prezencie.

— To prawda — powiedział jego wuj. — Sprzedam to panu. Za akt sprzedaży Essie Meadowfill tego skrawka ziemi, który chce kupić towarzystwo benzynowe plus te trzynaście stóp, które, jak przypuszczał pan Meadowfill, należały do niego.

Snopes stał nieporuszony ze stygnącym jajkiem na patelni.

— Dobrze — powiedział jego wuj. — W takim razie zapytam, czy McKinley Smith chce to kupić.

Snopes patrzył przez chwilę na Stevensa. „Jest sprytny, to trzeba mu przyznać” — myślał Charles.

— Myślę, że pan to zrobi — powiedział. — Ja sam pewnie bym tak zrobił.

— Tak sądziłem — powiedział wuj Gavin.

— Uważam, że powinienem się zobaczyć z kuzynem Flemem — rzekł Snopes.

— Ja uważam, że nie — powiedział Gavin. — Właśnie wracam z banku.

— Uważam, że sam też bym tak zrobił — oświadczył Snopes. — O której będzie pan w swoim biurze?

Charles i jego wuj mogli byli pójść także do domu Smitha wieczorem. Ale nie było nawet jeszcze południa, kiedy stali przy ogrodzeniu patrząc, jak McKinley i muł posuwają się wzdłuż czarnej smugi zaoranej ziemi. Po chwili stał przed nimi po drugiej stronie płotu, nogi do pasa, w butach wojskowych. Wuj Charlesa podał mu akt sprzedaży. — Proszę — powiedział.

Smith przeczytał dokument.

— To należy do Essie.

— Więc niech się pan z nią ożeni. Wtedy będzie

pan mógł sprzedać tę parcelę i kupić fermę. Czyż nie tego oboje pragniecie? Nie ma pan z sobą koszuli albo swetra? Niech się pan ubierze i pojedzie ze mną do miasta. Pan major przyprowdzi muła.

— Nie — powiedział Smith wkładając, właściwie wpychając papier do kieszeni i podchodząc do muła. — Sam go przyprowdzę. Najpierw muszę pojechać do domu. Nie ogolony i bez krawata z nikim się nie ożenię.

Potem musieli czekać, aż kapłan baptystów umyje ręce, włoży surdut i zawiąże krawat. Pani Meadowfill miała już na sobie pierwszy kapelusz, jaki kiedykolwiek na niej widziano: wyglądał nawet tak, jak pierwszy kapelusz wyprodukowany na tym świecie.

— Jeszcze tatuś — powiedziała Essie.

— Och — powiedział wuj Charlesa. — Ma pani na myśli to krzesło na kółkach? Teraz należy do mnie. To część mego honorarium. Podaruję je pani i Mc- Kinleyowi w prezencie na chrzciny, skoro tylko na to zasłużycie.

Dwa dni później w kancelarii Gavina.

— Widzisz? — zauważył jego wuj. — Ledwie się pozbędziesz jednego Snopesa, drugi stoi już za tobą, zanim się zdążyś odwrócić.

— To prawda — odrzekł Eatliff pogodnie. — Kiedy się rozejrzysz dokoła, wszędzie zobaczysz jakiegoś Snopesa.

i

Linda Kohl także była już w domu, kiedy Charles wrócił. Ona też wróciła ze swojej wojny: stoczni w Pascagoula, gdzie w końcu postawiła na swoim i pracowała przy nitowaniu okrętów. O tym przynajmniej świadczyły jej ręce, paznokcie: nie zniszczone i popękane, ale całkowicie zużyte. I teraz miała piękne, prawdziwe, wspaniale dramatyczne pasmo białych włosów biegnące przez całą czaszkę, niemal jak pióropusz. Pióropusz, który opadł; tak, może to było właśnie to, pióropusz powalony, który leżał płasko na czaszce, zamiast sterczeć prosto. Była już jesień 1945 roku i rycerz wystąpił z turniejów, przestał się bić ze smokami, pozabijała je sama wojna, wyniszczyła i uczyniła przeżytkiem.

W istocie Charles myślał, że wszyscy błędni rycerze pochodzenia amerykańskiego muszą być teraz bezrobotni, nawet w zagubionych dotychczas, zabitych deskami zakątkach jak okręg Yoknapatawpha, Missisipi, użyźniony aż do nasycenia, nie tylko ceną krwi eks-żołnierzy, ale także dzięki tym dwom, trzem czy czterem dolarom za godzinę, płaconym na siłę eks-cie-ślom, murarzom i mechanikom, jak Linda Kohl Snopes (chciał powiedzieć Linda Snopes Kohl) w takim tempie, że nie zdążyli ich wydać. Nawet dwaj Finowie komuniści, nawet ten, który dotychczas nie u-tniał po angielsku, wzbogacił się w czasie wojny

i musieli się stać kapitalistami i nabywcami zwyżkujących walorów, po prostu dlatego, że nie mieli jeszcze własnych ustronnych apartamentów dość obszernych, by trzymać tam zgromadzony kapitał głośząc jednocześnie pogardę pieniądza. A jeśli chodzi

o Murzynów, to mieli teraz zbudowaną w Jefferson nowszą i lepszą szkołę niż biali, plus kupowane na raty samochody, aparaty radiowe i lodówki, pełne butelek piwa płaconych ciężko zapracowaną gotówką, która przynajmniej nie' wykreślała granicy kolorów w ich domach bez telefonów, firanek i kanalizacji; plus nowe ustawy socjalno-rewolucyjne, które usuwały nie tylko głód, nierówność i niesprawiedliwość, ale także pracę, wprowadzając na jej miejsce nowe powołanie czy zawód, do którego nie było potrzebne żadne szkolenie: zwykłą produkcję dzieci. Tak więc Linda nie miała już o co kruszyć kopii w Jefferson. Właściwie, gdy się o tym pomyślało, nigdzie już nie miała o co kruszyć kopii, skoro Rosjanie pobili Niemców i nawet oni już jej nie potrzebowali. Tak, w Jefferson nic już nie pozostało jej do roboty teraz, kiedy jego wuj był żonaty — jeśli kiedykolwiek chciała go dla siebie. Bo może Ratliff miał rację i jeśli rzeczywiście kiedykolwiek od niego czegoś chciała, to nie tego, żeby został jej mężem. Właściwie więc można by~" się nawet dziwić, po co w ogóle została teraz w Jefferson nie mając co robić przez cały dzień. Tylko czekać, zabić jakoś czas do nadejścia nocy i snu w tym kolonialnym mauzoleum Snopesów, z tym starym lajdakiem, któremu córka była równie potrzebna, jak zapasowy krawat lub kapelusz. Więc może tym razem wszyscy mieli rację i ostatecznie nie miała już długo pozostać w Jefferson.

Ale na razie była tutaj, z paznokciami, które, jak mówił wuj Charlesa, zużyła nie praca kowala, lecz ciągle skrobanie, szorowanie po to, żeby znowu były czyste (i bez względu na to, czy jego wuj dodawał to, czy nie: żeby stały się z powrotem kobiece) i z tym prawdziwie dramatycznym pióropuszem, heroicznie załamanym po zabiciu wszystkich smoków. Tylko że nawet praca kowala nie wystarczyła. Chciał przez to powiedzieć, że nie dodała jej lat. Nie, nie to chciał powiedzieć, nie chodziło tylko o lata. Dokonała się w nim jakaś zmiana w ciągu tych trzech lat, między wrześniem 1941 a kwietniem 1945, a przynajmniej miał nadzieję, że tak było: może przynajmniej to, co zdawało się cierpieniem, odpowiadało normom cierpienia w dostatecznej mierze, żeby wzbogacić jego rozwój duchowy i moralny, czy rodzaj ludzki zyskał coś na tym, czy nie, a jeśli przyczyniło się, do oczyszczenia jego duszy, musiało także znaleźć jakiś wyraz na zewnątrz, miał przynajmniej nadzieję, że znalazło. Ona natomiast nie zmieniła się wcale, a już najmniej przez ten promień białych włosów, który wiele kobiet kazało sobie robić sztucznie. Kiedy on wreszcie... ależ tak, wreszcie. A więc cóż z tego, że spędził prawie całe pierwsze trzy dni po powrocie, spodziewając się przynajmniej, że to, co robi, nie wygląda na wałęsanie się dokoła Rynku w oczekiwaniu, aż ona tędy przejdzie. Większe miasta niż Jefferson nie miały dziewczyny — kobiety — o której myślałoby się — już w pierwszym momencie, gdy się ją zobaczyło osiem lat temu wysiadającą z samolotu — jak też musi wyglądać bez sukni; tylko że ona była dla niego za stara, nie w jego typie; tylko że było wręcz na odwrót: to on był dla niej za młody, nie w jej typie, i przez te dziesięć miesięcy, które spędził w niemieckim stalagu, zastanawiał się, czy jego wuj zdjął z niej kiedykolwiek suknię, zanim się ożenił z ciotką Melisandrą albo może potem, a jeśli tego nie zrobił, to co się stało, co tu

było nie w porządku. Bo jego wuj nigdy by mu sam nie powiedział, czy to zrobił, czy nie, ale może po trzech latach z okładem mógłby to odgadnąć, patrząc na nią, bo może kobieta nie potrafi ukryć tego przed innym mężczyzną, który był jej... nazwijmy to „wielbicielem”. Tylko że kiedy wreszcie zobaczył ją na ulicy trzeciego dnia, nic z tego nie wynikło, nie zmieniła się wcale, oprócz białego promienia włosów, który się w żadnym wypadku nie liczył — taka sama, jak tego dnia przed ośmiu laty, kiedy on i jego wuj pojechali po nią na lotnisko w Memphis; wydawała się na to pierwsze spojrzenie za wysoka, za szczupła na jego gust, tak że w tej samej sekundzie mówił sobie: „No, ta bądź co bądź nie będzie musiała rozbierać się na moje życzenie”, a potem, zanim jeszcze zdążył sformułować tę myśl, coś innego w nim mówiło: „W porządku, chłopcze, kto ci powiedział, że to kiedykolwiek zrobi?” I miał słuszność: nie ona dla niego, ale raczej on dla niej; mogło go jeszcze wiele spotkać w życiu (miał nadzieję), ale nie to, nie zdjęcie tej właśnie spódnicy, nawet jeśli rozbieranie dziewcząt za wysokich i za szczupłych przynosi czasem człowiekowi niespodzianki. I tak też jest dobrze; najwidoczniej jego dusza, czy cokolwiek chcecie, rozwinęła się w ciągu tych trzech lat z okładem; w każdym razie teraz wiedział, że jeżeli jego przeznaczeniem było zdjęcie tej właśnie spódnicy, to co by wtedy uczuł, można byłoby nazwać różnie, ale w żadnym wypadku nie niespodzianką.

Nie było dla niej już więcej okrętów do nitowania, a co gorsze, nie było już potrzeba tych okrętów. A więc nie tylko on, Charles, ale całe miasto w swoim czasie, prędzej czy później, miało ją widywać — albo słyszeć od tych, którzy ją widzieli — spacerującą długimi krokami przeważnie w tym, co im się wydawało pozostałym z demobilu mundurem khaki, w którym prawdopodobnie pracowała w stoczni, chodziła po ulicach albo po drogach, a nawet polnych ścieżkach w promieniu trzech mil od miasta, sama, nie prędko, ale uporczywie, jak gdyby cierpiała na bezsenność albo jak po przepiciu.

—Może to właśnie to — powiedział Charles. Jego wuj znowu podniósł wzrok, trochę niecierpliwie, znad teczek z aktami.

—Co? — spytał.

—Mówiłeś, że ona cierpi na bezsenność. A może to opary alkoholowe i chce je strząsnąć z siebie chodząc.

—Och — powiedział wracając do akt. — Już dobrze. — Charles obserwował go.

— Czemu nie towarzyszysz jej na spacerach? — spytał.

Tym razem wuj nie podniósł oczu. — A ty? Dwoje eks-żołnierzy, moglibyście rozmawiać o wojnie.

— Nie słyszałyby, co mówię. Chodząc nie nadażyłbym pisać.

—To właśnie miałem na myśli — powiedział wuj. — Moje doświadczenie pozwala mi stwierdzić, że ostatnią rzeczą, o jakiej chcieliby rozmawiać dwaj eks-żołnierze, jest wojna. Nawet wy dwoje nie moglibyście.

— Och — powiedział. Jego wuj przeglądał nadal akta. — Może masz rację. Nie miałbyś nic przeciw temu, gdybym próbował się z nią przespać? — Wuj nie poruszył się. Po chwili zamknął teczkę i oparł się głęboko w fotelu.

— Z pewnością nie — odrzekł.

— To znaczy, myślisz, że mi się to nie uda — powiedział Charles.

— Wiem, że ci się nie uda — i dodał czym prę-

dziej: — Nie martw się, to nie twoja wina. Albo może rozpaczaj, jeśli chcesz, bo to niczyja wina.

— A więc wiesz, dlaczego — powiedział Charles.

— Tak — potwierdził jego wuj.

— Ale mi nie powiesz.

— Chcę, żebyś sam to odkrył. Może później nie będziesz już miał okazji. Człowiek o tym czyta, widzi i słyszy, mówią o tym wszystkie książki i obrazy, i muzyka w Harvard, i w Heidelbergu. Ale boisz się w to wierzyć, póki się z tym nie zetkniesz oko w oko, bo możesz się pomylić, a nie mógłbyś tego znieść i być szczęśliwy. Czego nie możesz znieść, to wątpliwości.

— Nie byłem nigdy w Heidelbergu — powiedział Charles. — Wszystko, co mam za sobą, to Harvard i dziesięć miesięcy stalagu.

— Dobrze — odrzekł jego wuj. — W takim razie uniwersytet i szkoła w Jefferson.

Tak czy inaczej Charles znał już odpowiedź. Powiedział to:

— Ach, tak. Dzisiaj nawet małe dzieci o tym wiedzą. Frigiditas.

— To równie dobry freudowski termin jak każdy inny, żeby określić czystość i dyskrecję. A teraz zmiataj stąd. Jestem zajęty. Twoja matka zaprosiła mnie na obiad, zobaczymy się w południe.

A więc jest coś więcej niż to i wuj mu tego nie powie. I wuj użył słowa „dyskrecja” na określenie czegoś, czego nie powiedział. Ale Charles w końcu wiedział, co to było, bo znał swego wuja dość dobrze, żeby rozumieć, że „dyskrecja” odnosiła się nie do Lindy, ale do niego samego. Gdyby sam nie był żołnierzem, nie troszczyłby się o to ani nie czekał na pozwolenie swego wuja: położyłby ją prawdopodobnie na ziemi w jakimś odpowiednio ustronnym zakątku w lesie, podczas jej spacerów, z naiwnym przekonaniem kogoś, kto nie był nigdy na wojnie, że ona, która ją przeżyła, od dawna już musiała się dziwić, co się dzieje w tym Jefferson, dlaczego on, czy każdy inny chłopak, zmarnował tyle czasu. Bo teraz wiedział, że przyczyną, dla której młodzi ludzie tak chętnie idą na wojnę, jest przekonanie, że jest to jedna nieustająca, z góry usankcjonowana sposobność rabowania i gwałcenia, że tragedią wojny jest to, że człowiek z niej nic nie wynosi, a tylko zostawia coś bardzo cennego, że na wojnę zabierało się rzeczy, o których istnieniu wewnątrz siebie nie miało się pojęcia, i gdyby nie wojna, przeżyłoby się całe życie w spokoju, nie musząc wiedzieć, że tkwią one wewnątrz nas.

A więc to nie mógł być on. Był także żołnierzem, choćby nie przywiózł z sobą żadnej rany, żeby tego dowieść. A więc jeśli trzeba było wziąć ją siłą, żeby się dowiedzieć tego, o czym, jak mówił jego wuj, nie wiedziało się, że w ogóle istnieje, to nie dowie się tego nigdy; będzie tylko jeszcze jednym z tych ludzi w mieście, których zdaniem jej spacerują na celu otrzeźwienie po przepiciu, żeby móc pić dalej. Bywało to raz na tydzień, we środę albo czwartek po południu (miasto regulowało, według tego także, swoje zegarki i kalendarze); czekała za kierownicą samochodu swego ojca przed bankiem, w porze zamykania, po czym jej ojciec wychodził i oboje jechali na Rozdroże Wyotta, do zakładu, któremu Jakeleg Wattman nadał eufemistyczną nazwę sklepu z Przyborami wędkarskimi, po zapas szmuglowanej whisky na następny tydzień. Nie jej samochodem, samochodem jej ojca. Mogła byłaby mieć cały rząd samochodów z tego funduszu pod zarządem Stevensa, przekazanego jej przez dziadka, starego bogacza, Willa Varnera z Sadyby Francuza, albo może przez dziadka Yarnera i ojca jednocześnie, po tym skandalu przed

dwudziestu laty, kiedy jej matka popełniła samobójstwo, a domniemany kochanek matki zostawił bank i swój dawny dom jej ojcu, nie mówiąc już o tym, że rzeźbiarz, za którego wyszła, był nowojorskim Żydem, a więc (według powszechnie panującego w mieście przekonania) człowiekiem bardzo bogatym. I mogła sama prowadzić te wszystkie samochody, nawet przy sw^fojej głuchocie, bo stać ją było na wynajęcie* kogoś, kto przez cały czas siedziałby przy niej i słuchał zamiast niej. Ale nie zrobiła tego. Widocznie wolała chodzić piechotą, męczyć się, zwalczać w* ten trudny sposób bezsenność czy odurzenie alkoholem, czy jakkolwiek rozpaczliwą cenę płaciła za celibat — jeśli oczywiście adwokat Gavin Stevens nie okazał się zręczniejszym i cichszym operatorem w ciągu tych ostatnich ośmiu lat, niż ktokolwiek podejrzewał; ale nawet i on był teraz żonaty.

I chodziło o zapas whisky dla niej, nie dla ojca. Bo o tym także wiedziało całe miasto; sam Snopes nigdy nie pił, nie brał kieliszka do ust. A jednak nigdy nie pozwolił, żeby jego córka jechała sama. Niektórym wydawało się zadowolające proste tłumaczenie, iż Wattman, jak wszyscy w tych czasach, robił tyle pieniędzy, że część musiał gdzieś zostawiać, a Snopes jako bankier wyobrażał sobie, że równie dobrze mógłby je ulokować w jego banku, toteż jeździł tam regularnie co tydzień, tak jakby składał wizytę każdemu innemu kupcowi czy farmerowi spośród ważnych klientów banku. Niektórzy jednak, wśród nich jego wuj, Gavin, i stary kum jego wuja, komiwojażer, sprzedający maszyny do szycia, buko- liczny filozof i Cincinnatus, V. K. Ratliff, posuwali się nieco dalej: chodziło o dekorum, o zewnętrzny wygląd rzeczy, i w te popołudnia Snopes był nie tylko bankierem, ale przykładowym obyw^fatelem i ojcem i chociaż jedyna jego córka była wdową, zbliżającą się już do czterdziestki, i spędziła cztery lata wojny pracując jak mężczyzna w stoczni wojskowej, gdzie historie nieodpowiednie dla młodych panienek zdarzały się kobietom, które nie były nawet wdowami, nadal nie pozwalał jej samej przejeżdżać tych piętnastu mil do baraku pokątnego handlarza alkoholem po butelkę whisky.

A jeśli te spacerunki były lekarstwem na katzenjammer, to znaczy, że zużywała albo przynajmniej potrzebowała mieć pod ręką codziennie świeżą butelkę. Toteż obecnie nawet miasto rozumiało, że to nie było tylko to, bo ludzie, którzy codziennie mogą pozwolić sobie na katzenjammer, wcale nie chcą się go pozbyć, otrzeźwiać się spacerami, choćby nawet mieli na to czas. Pozostawała więc tylko zazdrość i uraza; dlatego przebywała codziennie cztery, pięć mil tam i z powrotem na piechotę, żeby przewyciężyć, a przynajmniej pohamować nie dającą jej spać w nocy zawiedzioną miłość własną i urazę do wuja Gavina za to, że ją zdradził, podczas gdy ona nitowała okręty, by ratować demokrację, żeniąc się z Melisan- drą Harriss, onegdajszą Backus, i Charles myślał, jak bardzo powinien być rad, że to nie on zdjął z niej ubranie, skoro to, co się pod nim kryło, skłoniło jego wuja, Gavina — jeśli oczywiście to zrobił — do poślubienia wdowy z dw^foju dorosłych dzieci, z których jedno także wstąpiło już w związki małżeńskie, tak że wuj Gavin mógłby być dziadkiem, zanim został panem młodym.

Później jednak okazało się, że zazdrość i niezapomniana uraza także nie były słuszną hipotezą. Przyszło i minęło Boże Narodzenie, a za nim przeszła reszta zimy, ustępując miejsca wiosnie. Jego WTij nie tylko był asystującym jej rycerzem, kasztelanem, ale zachowywał się jak kasztelan, raz na miesiąc albo i częściej przyjeżdżając przy obiedzie w Rose Hill, podczas gdy

nowa ciotka Charlesa, Melisandra, siedziała przy drugim końcu stołu, a Charles i Linda naprzeciw siebie, po jego obu stronach; i wuj służył Lindzie za tłumacza, interpretując własne słowa napisane na boczku z kości słoniowej. Albo może tłumaczył je sam dla siebie na angielski zrozumiwały dla Charlesa i jego nowej ciotki. Bo Linda mówiła teraz nie więcej niż przedtem, siedząc tylko przy stole z tym białym pasmem jak opadły pióropusz biegnącym przez całą długość włosów i jedząc jak mężczyzna. Charles nie chciał przez to powiedzieć, że jadła dużo i chciwie, tylko po prostu z apetytem, chętnie i wydawała się... tak, na Boga, to było właściwe słowo: zdawała się szczęśliwa. Szczęśliwa, zadowolona, jak ktoś, kto czegoś dokonał, stworzył coś, wyprodukował, nie bez — może nie bez bardzo wielu — trudów i wydatków, może niebezpieczeństw i ryzyka, może nadstawiając karku na przekór własnemu zdrowemu rozsądkowi; ale w końcu wszystko poszło po myśli i udało się może nawet — tak, do licha! — lepiej, niż człowiek ośmielał się spodziewać. Coś, czego pragnęło się dla siebie, nie mogąc tego uzyskać, tak że zaczęło się uważać to za nieosiągalne, nie do wykonania, aż wreszcie dokonało się czegoś takiego samemu, może za późno na to, żeby naprawdę z tego skorzystać, ale jeszcze nie na to, by przynajmniej dowieść sobie samemu, że to może istnieć.

A potem kawa w salonie, koniak dla dam, a porto i cygaro dla Charlesa, chociaż jego wuj nadal pozostał wierny fajkom z kaczana kukurydzy, które nadal kosztowały nie więcej niż pięć centów. Nadal szczęśliwa, zadowolona i jeszcze coś, co Charles wyczuł, rozpoznał: pełna poczucia własności. Tak, jakby naprawdę Linda sama wymyśliła to wszystko: jego wuję Gavina, jego ciotkę Melisandrę, Rose Hill —• stary, niegdyś mały, bezpretensjonalnie skonstruowa

ny dom, którego stary pan Backus ze swoim Horacym i Catullusem i ze swoją rozcieńczoną whisky nie rozpoznałby teraz, chyba tylko po jego położeniu topograficznym, przeobrażony pieniędzmi gangstera z Nowego Orleanu, tak jak stary Snopes próbował przeobrazić dom de Spaina swymi pieniędzmi gangstera z Yoknapatawpha, ale nie potrafił, bo tutaj pieniądze wydawane były obficie, lecz ze smakiem, tak że nie widziało się ich naprawdę, tylko się je czuło jak ciepło i temperaturę w otaczającej, spowijającej to wszystko atmosferze mił biało malowanych płotów, o- gradzających starannie utrzymane akry i oświetlone elektrycznie ogrzewane stajnie i zabudowania dla służby, pięknie harmonizujące z ciemną dekoracją tła — a potem umyśliła sobie, żeby on, Charles, przynajmniej patrzył na jej dzieło bez względu na to, czy aprobował je, czy nie.

Potem pora podziękowania i życzenia dobrej nocy. i powrót do miasta przez kwietniowe czy marcowe ciemności, i odprowadzanie Lindy do wymarzonego w Sadybie Francuza pałacu jej ojca, i zatrzymywanie się przy brzegu chodnika, gdzie za każdym razem mówiła swoim twardym, kwaczącym głosem (który, jak Charles za każdym razem myślał, nie brzmiałby może tak źle, szeptany w ciemnościach po zdjęciu z niej sukien, dodając: „Jeśli oczywiście to ja bym je zdjął!”): — Może wstąpisz na kieliszek? — W samochodzie nie było dość światła, żeby odczytywać słowa na boczku z kości słoniowej, nawet gdyby mu go podała. Bo to także robił za każdym razem; śmiał się, dość głośno, jak się spodziewał, i potrząsał głową — czasem księżyc przychodził mu w tym z pomocą — podczas gdy Linda otwierała już drzwiczki samochodu po swojej stronie, tak że Charles musiał wysiadać prędko, żeby okrążyć samochód. Ale choćby to robił nie wiedzieć jak prędko, Linda już wysiadła przed-

nim, już skręcała na ścieżkę w kierunku ganku; opuściła niegdyś Południe w zbyt młodym wieku i na zbyt długo, żeby podporządkować się rytualnemu obyczajowi kobiet Południa, oczekujących niezachwianej stałości swego rycerza, albo może po prostu nitowanie uleczyło stare mięśnie ze starych nadziei. Jakkolwiek było, Charles musiał prześcignąć ją już w połowie drogi do domu i wtedy zatrzymywała się na dość długo, by odwrócić głowę i spojrzeć na niego, zaskoczona — nie spłoszona, po prostu zaskoczona (to, co w Hollywood nazywają double-take), a jednak nie dość jeszcze obca swemu południowemu dziewczęctwu, by nie przypomnieć sobie, że on, Charles, nie ma odwagi ryzykować, by ktoś przechodzący w tej chwili przez ulicę doniósł jego wujowi, że jego siostrzeniec pozwolił odprowadzanej do domu kobiecie przejść samej czterdzieści kroków do drzwi wejściowych.

Tak więc oboje razem podchodzili do drzwi — niewyraźna sylwetka z kolumnami domowej roboty, wymarzone przez jej ojca widmo monstrialnych nadziei, ofiara prześlągalna, zimne mauzoleum, grobowiec pieniędzy starego Snopesa, bez odrobiny ciepła i wdzięku. Linda przystawała znowu, żeby powiedzieć: — Może wstąpisz na kieliszek? — zupełnie tak, jakby nie powiedziała tego samego chwilę temu przy samochodzie. Charles znowu dziękował potrząśnięciem głowy i wyszczerzeniem zębów, jakby dopiero w tej chwili odkrył, że jest do tego zdolny. Potem uścisk jej ręki, twardej i mocnej jak ręka mężczyzny. Potem on otwierał drzwi, ona stała jeszcze chwilę, jakby w półruchu, na tle słabego światła w głębi hallu — i drzwi zamykały się z powrotem.

Och, tak, to można było określić na wiele sposobów, ale w żadnym wypadku nie jako „niespodziankę”, myślała a propos swego wuja, biedaka, jeśli jego wuj istotnie zdjął z niej kiedyś suknie. I przychodziło mu na myśl, że może jego wuj rzeczywiście to zrobił, ten jeden raz, i nie mogąc tego znieść, uciekł, przebiegł z powrotem drogę osiemnastu czy dwudziestu lat do Melisandry Backus, gdzie mógł czuć się bezpieczny. A więc jeśli tym słowem nie była „niespodzianka”, to nie był nim też „smutek”, po prostu „ulga”. Może trochę strachu, biorąc pod uwagę ryzyko tej ucieczki, ale przede wszystkim ulga, na myśl, że bądź co bądź było to wymknięcie się, ucieczka z każdego punktu widzenia. Bo on, Charles, był za młody w tym czasie. Nie wiedział, czy rzeczywiście pamięta matkę Lindy, jak oczywiście pamiętali ją wuj i Ratliff, czy też nie. Ale musiał słuchać ich obydwóch tak często, że oczywiście wiedział wszystko to, co oni pamiętali. Szczególnie Ratliff. Miał wrażenie, że słyszy znowu Ratliffa, kiedy ten mówi: „Nasze szczęście. Nie tylko mieliśmy Helenę z Argos tutaj w Jefferson, czym mało które miasto może się poszczycić, ale nawet wiedzieliśmy, kim ona jest, i mieliśmy tu swojego Parysa, żeby ocalić nasze Argos i zniszczyć zamiast tego Troję. Człowiek potrzebuje niekoniecznie mieć Helenę na własność, ale mieć prawo i przywilej patrzenia na nią. A najgorsze, co cię może spotkać, to jeśli ona cię zauważy i obejrzy się za tobą”.

A więc założywszy, że spadek Heleny można było przejąć, a w każdym razie odziedziczyć, słowem tym nie mógł być „smutek”, lecz „ulga”, może połączona ze zdziwieniem; i może szczęściem i przeznaczeniem jego wuja było to przekleństwo mniej mocnego ognia i żaru, niż mieli w sobie Parys i Manfred de Spain: to, że po prostu zląkł się za tym pierwszym i jedynym razem (jeśli rzeczywiście wuj ją rozebrał ten pierwszy i jedyny raz) i uciekł, póki jeszcze był żywy. Rozumiecie: pająk-samiec, nauczony wiekiem i doświadczeniem albo może po prostu dość

bystry, żeby przeczuć zwykłym instynktem, z góry wywęszyć, wyprzedzić i wyczuć wśród pieszczot tę rurę ssącą czy pompę, czy cokolwiek to jest, czym posługuje się jego partnerka, żeby wchłaniać także jego krew, podczas gdy myślał, że ryzykuje tylko swoim nasieniem, i wyrwać się, wyzwolić, tracąc swoje nasienie i większość swoich organów wewnętrznych w tym, co mu się z początku wydawało spokojnym orgazmem, ale zachowując przynajmniej swoją skorupę, powłokę, swoje życie. Ale, powiedzmy, winne grono, dojrzałe, trochę zanadto przegrzane słońcem, mniej soczyste, ale w każdym razie dość jeszcze zdrowe wewnątrz powłoki zgniecionej po nagłym wyciśnięciu soku, żeby zachować przynajmniej swój wygląd zgnieczonego winogrona. Ale tu trzeba było sobie przypomnieć, co powiedział wtedy Ratliff: „Nie, ona nie wyjdzie za niego. Będzie jeszcze gorzej” •— i zadać sobie pytanie, co, u diabła, Helena czy jej spadkobierczynie mogła chcieć od tego pustego worka czy zgnieczonego grona i co, u diabła, Ratliff ma na myśli? Czy sobie wyobraża, że myśli? Albo przynajmniej czego się boi myśleć?

Aż w końcu przyszło mu do głowy logiczne i rozsądne rozwiązanie, o którym każdy inny byłby pomyślał przede wszystkim: spytać Ratliffa, co chciał przez to powiedzieć. Tak też zrobił. Było już lato, czerwiec. Bawelna McKinleya Smitha już wyrosła, a Essie o- czekawała dziecka. Całe miasto o tym wiedziało; podała to do wiadomości publicznej w banku pewnego ranka, ledwie otworzono drzwi i pierwsi klienci ustawili się przy okienkach; w ciągu niecałych dwóch miesięcy ona i McKinley wygrali ■ hotel na kółkach starego Meadowfilla.

— Bo to nie dosyć — powiedział Ratliff.

— Czego nie dosyć? — spytał Charles.

— Nie dosyć, żeby ją zająć i zadowolić. Nie ma

już okrętów do budowania, a teraz zabrakło jej nawet chwilowo Murzynów. Teraz mamy pokój i dobrobyt, pokój i dobrobyt, dla którego my, starzy, jak twój wuj i ja, poświęciliśmy przez cztery lata nasz cukier, mięso i papierosy, żebyście wy, młodzi, byli szczęśliwi, kiedy wygracie wojnę. Taka obfitość wszystkiego, że nawet szewcy i kowale komuniści, i murzyńskie dzieci mogą sobie pozwolić na to, żeby jej nie potrzebować. To znaczy, może gdyby ich zapytała przedtem, okazałoby się, że właściwie wtedy też jej nie potrzebowali, ale nie stać ich było, licząc w zwyczajnych centach i dolarach, na to, żeby jej to powiedzieć. Teraz mogą — mrugnął okiem do Charle- sa. — Zabrakło jej niesprawiedliwości.

— Nie wiedziałem, że tego może zabraknąć — powiedział Charles.

— Tak jest — ciągnął Ratliff. — Więc teraz musi sobie coś wymyślić, wynaleźć.

— Dobrze — powiedział Charles. — Przypuśćmy, że coś wynajdzie. Jeżeli okazała się dosyć mocna, żeby wytrzymać to wszystko, cośmy tu sobie wyobrażali, to z pewnością potrafi wytrzymać to, co może wymyślić sama.

— O nią się nie martwię — powiedział Ratliff. — Jej nic nie będzie. To tylko ona jest niebezpieczna.

Myślę o twoim wuju.

— Dlaczego o nim? — zapytał Charles.

— Kiedy wreszcie coś wymyśli i powie mu o tym, on prawdopodobnie to zrobi — powiedział Ratliff.

Spotkali się tego ranka na pocztynie, jak się często zdarzało, zupełnie przypadkowo. Ubrana była tak jak zwykle, kiedy widywano ją na spacerach po okolicy: . . . kosztowne półbuty angielskie, zniszczone, ale zawsze i porządnie wyczyszczone, pończochy albo skarpetki wełniane, flanelowe zniszczone spodnie lub spódnica, . . . a czasem coś, co przypominało kombinezon barwy fi khaki, pod męskim płaszczem burberry; to nosiła na ; , jesieni, w lecie i na wiosnę; latem była para baweł- I ny: sukienka, spódniczka albo spodnie i głowa z bia- [] łym pasmem włosów, zawsze odkryta, nawet w najgorszą pogodę. Potem zwykle szli napić się kawy do ; Holstona, ale tym razem Stevens wziął bloczek z ko- | ści słoniowej z połączanymi brzegami, który jej po- I darował osiem lat temu, i napisał:

Spotkanie w moim biurze, chcesz się ze mną zo- ; baczyć, ifi

— Czyż nie trzeba wyznaczyć spotkania, żeby się i zobaczyć z adwokatem? — spytała. Następne jego | słowa mogły być: — |

„A więc potrzebujesz mnie teraz jako adwokata”, p- I gdyby oboje mogli posługiwać się mową, tak by I jej prawdopodobnie odpowiedział, bo w wieku po- | wyżej pięćdziesiątki mówienie nie jest żadnym wy- siłkiem. Ale pisanie jest dotychczas wysiłkiem w każ- (dym wieku, tak że nawet adwokat rezygnuje z rzeczy j oczywistych, jeżeli ma użyć pióra czy ołówka. Napisał więc: Dziś wieczorem po kolacji u ciebie w domu.

— Nie — powiedziała.

Napisał: Dlaczego?

— Twoja żona będzie zazdrosna. Nie chcę robić przykrości Milly.

Na to oczywiście byłby powiedział: „Melisandra zazdrosna? O ciebie i o mnie? Po tym wszystkim, przez cały ten czas?” Ale to było za dużo pisania na listku z kości słoniowej dwa cale na trzy. Więc zaczął już pisać: Nonsens, ale stał to palcem. Bo ona patrzyła na niego i teraz on też już wiedział. Napisał: Chcesz żeby była zazdrosna?

— To twoja żona — powiedziała. — Kocha cię. Musi być zazdrosna. — Nie stał jeszcze napisanych słów, podsunął jej bloczek pod oczy, żeby spojrziała jeszcze raz. — Tak — powiedziała. — Zazdrość jest częścią miłości. Chcę, żebyś miał całą miłość, żebyś miał wszystko. Chcę, żebyś był szczęśliwy.

— Jestem szczęśliwy — powiedział. — Wziął jedną z nie otwartych kopert ze swojej skrzynki pocztowej i napisał na jej odwrocie: Jestem szczęśliwy, że miałem przywilej mieszać się bezkarnie w sprawy innych, nie szkodząc nikomu przez przynależność do tych, którzy zostali z góry rozgrzeszeni za stawianie sprawiedliwości ponad prawdą. Nie miałem szansy zniszczyć tego, co kochałem, przez dotknięcie. Czy możesz mi powiedzieć teraz, o co chodzi, czy mam przyjść do twego domu dziś wieczorem po kolacji.

— Dobrze — powiedziała. — Więc po kolacji.

Z początku pieniądze jego żony były problemem. Gdyby nie wielka histeria wojenna, mniejsza histeria wywołana tą nagłą zawrotną fortuną byłaby bardzo poważnym problemem. Jeszcze w cztery lata później Melisandra wciąż próbowała robić z tego problem: te ciepłe wieczory letnie, lokaj Murzyn i jedna ze

służących podawali kolację na tarasie pod osłoną glicynii, a ilekroć byli goście, bądź zwykle bywający w tym domu, bądź zaproszeni po raz pierwszy, Melisandra mówiła: „W jadalni byłoby chłodniej (w przebudowanym domu jadalnia była niezupełnie tak wielka jak plac do gry w koszykówkę) i mniej owadów. Ale Gavinowi jadalnia działa na nerwy”. Na co on niezmiennie odpowiadał wobec gości zazwyczaj zapraszanych lub innych: „Dajże spokój, Milly, nic mi nie może działać na nerwy, bo już się urodziłem z takimi nerwami”.

Siedzieli teraz nad sandwiczami i mrożoną herbatą. Powiedziała: — Dlaczego nie zaprosiłeś jej tutaj? — A że nie odpowiadał, tylko jadł, dodała: — Ależ oczywiście, że zaprosiłeś. — Nadal nie przerywał jedzenia, więc powiedziała znowu: — A więc to musi być coś poważnego. — I znowu: — Ale to nie może być takie ważne, bo nie czekałaby, powiedziała ci od razu na pocztce. — I jeszcze: — Jak myślisz, co to może być? — Otarł usta, rzucił na stół serwetkę, wstając okrążył stół i nachylił się nad nią, żeby ją pocałować.

— Kocham cię — powiedział. — Tak. Nie. Nie wiem. Nie czekaj na mnie.

Melisandra podarowała mu wóz sportowy, Cadillaca, w prezencie ślubnym, było to w pierwszym roku wojny i Bóg jeden wie, skąd wzięła nowego Cadillaca, odkrytego, i ile za niego zapłaciła. — Chyba żebyś tego naprawdę nie chciał.

— Chcę — powiedział. — Zawsze chciałem odkrytego Cadillaca, bylebym tylko mógł z nim zrobić dokładnie to, co zechcę. — Naturalnie, że możesz. Jest twój. — Odprowadził więc samochód z powrotem do miasta, wynajął garaż za dziesięć dolarów miesięcznie, wyjął baterie, iradio i opony, i zapasowe koło, sprzedał je, a klucze i kwit sprzedaży zaniósł do banku Snopesa i oddał wóz w hipotekę za najwyższą sumę, jaką mogli mu pożyczyć. W tym czasie postępowanie, odrodzenie i odmłodzenie przemysłu objęły nawet banki w Missisipi, toteż bank Snopesa miał teraz zawodowego kasjera czyli pracującego wiceprezesa importowanego z Memphis przed sześciu miesiącami, żeby nadać mu modny wygląd, to znaczy tchnąć w prowincjonalne banki nowego ducha, który pozwalał na przyjęcie w hipotekę samochodu, sprzętu nieodłącznego obecnie zarówno od kultury, jak i gospodarki narodowej. Sam Snopes, jak dobrze wiedział Stevens, nie pożyczłby ani grosza pod zastaw samochodu. Tak więc Stevens mógł dostać pożyczkę od importowanego wiceprezesa nie tylko na wyżej wymienionej podstawie, ale i dlatego, że wiceprezes był przybyszem z obcych stron, a Stevens należał do trzech na starszych rodzin miejscowych i wiceprezes nie ośmieliłby się mu odmówić. Ale Stevens nie zrobił tego w ten sposób: chciał, żeby to było, jak to mówią: „dziecko Snopesa”. Zaczaił się i przyłapał samego Snopesa w korytarzu jego banku, nie tylko w obecności jego personelu, ale wszystkich klientów, którzy się tam wtedy znajdowali, żeby wytłumaczyć szczegółowo, że nie ma zamiaru sprzedawać prezentu ślubnego swojej żony, tylko wymienić go na akcje obrony na przeciąg trwania wojny. Otrzymał więc swoją pożyczkę, oddał klucze i zarejestrował kwit, którego oczywiście nigdy nie miał zamiaru wykupywać, plus dziesięć dolarów miesięcznej opłaty za przechowanie w garażu, które gromadziły się aż do momentu, gdy Snopes zrozumiał, że jego bank ma na własność nowy, choć niemodny wóz marki Cadillac, bez baterii i opon. Ale nawet w jego starym wozie, który miał już od sześciu lat, lokaj nadal trzymał przed nim otwarte drzwiczki, póki nie, wsiadł i nie ruszył długą aleją

...y dwoma rękami różniącymi się po ułożeniu malowanych szlachetnych szlachetnych, które były (i były) (i były) uwiązane koni szlachetnej kiwi; które już znikły, bo nie było komu nimi powozić i Irzki by trzymać płatnego stangreta; sam Sleevins nienawidził koni jeszcze bardziej niż psów, bo aczkolwiek psa i konia uważał za pasożyty, to pies jego zdaniem miał przynajmniej U* wyższość, że był dzielnym pochlebcą: łasił się; przynajmniej i w ten sposób podtrzymywał w człowieku zdrowy pogard dla rasy ludzkiej. Ale prawdziwi przyczynił było to, że choć ani pies, ani koń nigdy niczego nie zapominali, to pies przynajmniej ję przebacza! człowiekowi, czego nigdy nie robił koń; a w przekonaniu Sleevensa świat najbardziej (!) potrzebował przebaczenia, i jeśli było si; obdarzonym wrażliwą, szybko działającą zdolnością) przebaczeniu, to nie miało prawdziwego znaczenia, czy si; kiedyś c/ (goś nauczyło i zapamiętało, czy też nie.

Nie miał pojęcia, czego chciała od niego. Pomyślał: „Ho kobiety są nadzwyczajne. To nie ma naprawdę znaczenia, czego one chcą ani czy one same wiedzą, czego, jak im się zdaje, chcą”. Przynajmniej była łam ciska. Iędzie wolała sama zorganizować, powiązać, raczej powiedzieć mu i o niż czekać, aż to, o czym go chce powiadomić, zostanie z niej wyciągnięte przy pomocy drobnych sond jurysdykcyjnych, których wymagają zazwyczaj świadkowie; on będzie musiał tylko napisać na tabliczce: „Nie każ mi pisać pytań, które chcesz, żebym ci zadał, tylko kiedy dojdzie do któregoś z nich, zadaj je sama i mów dalej o tym”. Kiedy zatrzymał wóz, zobaczył ją z daleka, jej białą suknię; w obramowaniu ganku między dwoma kolumnami, za dużymi do tego domu, do tej ulicy, do całego Jefferson. Było tu mroczno, prawdopodobnie chłodniej niż wewnątrz i w każdym razie przyjemnie byłoby tu siedzieć. Ale chodziło o ciszę; pomyślał, że powinien istnieć: przepis, nakazujący, żeby każda w samochodzie miał z sobą latarkę; albo może mógłby jej napisać, żeby przyniosła z domu światło; tylko że; ona mogłaby to przeczytać dopiero w pokoju.

Pocałowała go, jak zwykle, kiedy nie spotykali się na ulicy, prawie tak wysoka jak on, pomyślał: „Oczywiście, to będzie musiało być na górze, w jej salonie, przy zamkniętych drzwiach; coś dostatecznie pil - nogo, żeby urządzić spotkanie w sekrecie¹, idąc za nią przez hall, na którego końcu znajdowały się drzwi do pokoju, gdzie jej ojciec, według powszechnej legendy (przyпускаł, że z całego Jefferson tylko on i Rallif wiedzieli, co o tym myśleć), spędzał czas, nie czytając, nie żując tytoniu, tylko siedząc z nogami opartymi o nie. malowaną drewnianą listwę, którą kazał swemu kuzynowi z Sadyby Francuza przybić na odpowiedniej wysokości nad kominkiem; potem weszli do jej salonu, gdzie półka nad kominkiem była akurat na właściwej wysokości, żeby on, gdy stali przy niej we dwoje, mógł pisać na bloku zwyczajnego papieru, ołówkiem, którymi posługiwali się w takich wypadkach, gdyż przyprowadzała go tu tylko wtedy, gdy korespondencja wymagała powierzchni większej niż bloczek z kości słoniowej. Tym razem nie sięgnął jeszcze po ołówek, kiedy wymówiła osiem czy dziewięć słów, które zmroziły go na tyle sekund. Powtórzył jedno z nich:

- Mink? powiedział Mink? — myśląc pośpiesznie. „Och, do diabła, nie ten... obliczając prędko: tysiąc dziewięćset... ósmy... dwadzieścia lat, potem jeszcze drugie dwadzieścia. Powinien wyjść za dwa lata. Zapomnieliśmy o tym. Czy naprawdę?” Nie potrzebował napisać: „Powiedz mi...”, bo już mówiła: gdyby nie cisza, byłby ją spytał, co za przyczyna, jaki przedziwny traf (nie zaczął jeszcze określać tego

jako przeznaczenie, los, fatum) kazał jej pomyśleć o człowieku, którego nigdy nie widziała i którego nazwisko mogła posłyszeć tylko w związku z podłym, bestialskim morderstwem. Ale to nie miało już znaczenia, bo w tej chwili zaczął myśleć już o fatum, o przeznaczeniu. Wyprowadziła wczoraj z garażu samochód swego ojca i w towarzystwie służącego, który za nią słuchał odgłosów na szosie, pojechała do Sadyby Francuza, gdzie rozmawiała z bratem swojej matki, Jodym. Stała teraz naprzeciw niego przy kominku, obok pustego bloku papieru na półce, odpowiadając: — Najpierw dostał tylko dwadzieścia lat, które by się skończyły w dwudziestym ósmym, wtedy byłby wyszedł. Ale w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim próbował ucieczki w przebraniu kobiecym, jak mi opowiadał Jody. W jaki sposób dostał kobiecą suknię i czepiec w więzieniu?

Gdyby nie cisza, mógłby okazać się łagodny. Ale teraz miał tylko do dyspozycji kartkę żółtego papieru z bloku. Bo znał teraz odpowiedź, pisząc: Co ci powiedział Jody?

— Że ten mój... jeszcze jeden kuzyn, Montgomery Ward, ten, który miał tę latarnię magiczną z pornograficznymi zdjęciami, zanim go posłano także do Parchman w 1923, pamiętasz? — Och, tak, pamiętał: on i ówczesny szeryf, stary Hub Hampton, już nie- żyjący, obaj wiedzieli, że to sam Flem Snopes postawił tę butlę z alkoholem w pracowni swego kuzyna i postarał się dla niego o dwa lata więzienia w Parchman: jednocześnie Flem nie tylko dwa razy rozmawiał bez świadków z Montgomerym Wardem, podczas gdy ten czekał w więzieniu w Jefferson na proces, ale także złożył za niego kaucję, dzięki czemu Montgomery'ego zwolniono z więzienia na dwa dni przed procesem i przed wysłaniem go do Parchman. Potem słuch po nim zaginął i dopiero osiem czy dziesięć lat

temu dowiedziano się, że Montgomery Ward jest w Los Angeles i prowadzi jakieś lukratywne przedsiębiorstwo związane z przemysłem filmowym. „A więc dlatego Montgomery Ward musiał jechać do Parchman, a nie gdzie indziej — pomyślał — zamiast po prostu do Atlanty albo Leavenworth, dokąd powinien by się dostać za te pornograficzne zdjęcia.” Och tak, pamiętał ten proces i ten wcześniejszy także, tego opętanego mordercę wzrostu dziecka, jak wołał w sali sądowej, nie słuchając sędziego, który mu tłumaczył jego konstytucyjne prawo do przedstawienia obrony: „Nie przeszkadzajcie mi teraz, nie widzicie, że jestem zajęty”, a zwracając się w głąb zatłoczonej sali: „Flem! Flem Snopes! Niech ktoś pójdzie poszukać Flema Snopesa!” Och tak, on, Stevens, wiedział teraz, dlaczego Montgomery Ward został wysłany do Parchman: Flem Snopes kupił sobie dalsze dwadzieścia lat życia za te pięć galonów alkoholu, podrzuczone jako dowód rzeczowy.

Napisał: Chcesz, żebym go stamtąd wyciągnął?

— Tak — powiedziała. — Jak to zrobisz?

Napisał: Wyjdzie za dwa lata, czemu nie zaczekać

do tego czasu. Napisał: Od trzydziestu ośmiu lat nie ma nic oprócz tej klatki. Nie przeżyje nawet miesiąca na wolności, jak stary lew albo tygrys. Zostaw mu przynajmniej jeszcze te dwa lata.

— Dwa lata życia nie mają znaczenia ■— powiedziała. — Dwa lata więzienia... tak.

Wziął znowu ołówek do ręki, ale zawahał się i powiedział głośno, później próbował tłumaczyć Ratliffowi, dlaczego. — Wiem, dlaczego — rzekł Ratliff. — Nie chciałeś być zamieszany w tę sprawę. — Nie — odpowiedział Stevens. — Dlatego, że nie tylko wierzę w przeznaczenie i jestem jego adwokatem, ale także je wielbię, chcę być jednym z jego narzędzi, choć

by najskromniejszym. — Nie napisał więc tego, lecz powiedział:

— Czyż nie wiesz, co on zrobi, w tej samej chwili, kiedy się znajdzie w Jefferson czy gdziekolwiek będzie twój ojciec?

— Powtórz to jeszcze raz bardzo powolir postaram się zrozumieć — powiedziała.

Napisał: Kocham cię, myśląc prędko: „Jeżeli powiem nie, ona znajdzie inny sposób, kogoś innego, może jakiegoś oszusta, który wypruje z niej żyły za wyciągnięcie go z więzienia, a potem będzie z niej ciągnął dalej, każąc sobie płacić za to, co ten mały grzechotnik zrobi po wyjściu na wolność”. Napisał: Tak, możemy go wydobyć, to zabierze parę tygodni, napiszę podanie w twoim imieniu, jako krewnej. Ówczesny sędzia i stary Hub Hampton nie żyją, ale młody Hub wystarczy, nawet jeśli nie zostanie ponownie wybrany na szeryfa po najbliższych wyborach. Sam przedstawię podanie gubernatorowi.

„Ratliff także” — pomyślał. Nazajutrz podanie leżało na jego biurku, a Ratliff stał nad nim z piórem w ręku.

— Podpisz — powiedział Stevens. — Sam się tym zajmę. Cóż sobie wyobrażasz, że jestem mordercą?

— Jeszcze nie, w każdym razie — odrzekł Ratliff. — Jak się tym zajmiesz?

— Pani Kohl tego dopilnuje.

— Przedtem mówiłeś, tak mi się przynajmniej wydawało, że nie wspominałeś przed nią, co Mink robi, jak tylko znajdzie się w obrębie tego samego miasta co Flem — powiedział Ratliff.

— Nie potrzebowałem jej o tym wspominać — powiedział Stevens. — Oboje z Lindą zgodziliśmy się, że on nie potrzebuje tu wracać. Po czterdziestu latach, kiedy jego żona nie żyje, a córki rozproszyły się po świecie, Bóg wie gdzie, lepiej robi, jeżeli tu wcale nie wróci. Ona mu wysłała pieniądze. Chciała wysłać całe tysiąc dolarów, ale powiedziałem jej, że taka suma na jeden raz może go zgubić. Zostawię dla niego dwieście pięćdziesiąt dolarów u dyrektora więzienia, które mają mu być doręczone w momencie, kiedy otworzą bramę, żeby go wypuścić, z zastrzeżeniem, że jeżeli przyjmie te pieniądze, musi złożyć przysięgę, że przekroczy granicę stanu Missisipi przed zachodem słońca. Suma dwustu pięćdziesięciu dolarów będzie mu wysyłana co trzy miesiące na adres, jaki wskaże, z warunkiem, że nigdy, do końca swego życia, nie przekroczy z powrotem granicy stanu Missisipi.

— Rozumiem — powiedział Ratliff. — Dostanie te pieniądze tylko pod warunkiem, że do końca życia nie zobaczy Flema Snopesa.

— Tak jest — potwierdził Stevens.

— Przypuśćmy, że pieniądze to nie dosyć — rzekł Ratliff. — Przypuśćmy, że nie przyjmie tych dwustu pięćdziesięciu dolarów zamiast Flema Snopesa.

— Pamiętaj — powiedział Stevens — że on ma za sobą trzydzieści osiem lat pobytu za kratkami, a przed sobą jeszcze dwa lata, które musi tam spędzić, zanim się wydostanie. To znaczy, że sprzedaje Flema Snopesa za te dwa najbliższe lata, plus premia w wysokości tysiąc dolarów rocznie, wypłacana do końca życia. Podpisz to.

— Nie poganiaj mnie — zaprotestował Ratliff. — Przeznaczenie i fatum, powiedziałeś mi, że twoją dumą jest być ich narzędziem, tak czy nie?

— Więc co z tego? Podpisz.

— Nie uważasz, że powinieneś dodać do tego jeszcze trochę szczęśliwych okoliczności?

— Podpisz — nalegał Stevens.

— Nie mówiłeś jeszcze Flemowi?

— Jeszcze mnie nie pytał — odparł Stevens.

— A kiedy cię zapyta?

— Podpisz to.

— Podpisałem — powiedział Ratliff. Położył pióro z powrotem na biurku. — Masz rację. Nie mieliśmy wyboru. Gdybyś powiedział: „Nie”, ona znalazłaby innego adwokata, który by się zgodził i nie wymyśliłby nawet tej oferty dwustu pięćdziesięciu dolarów. A wtedy Flem Snopes nie miałby żadnej szansy.

Żaden z innych wymaganych dokumentów także nie nastęrczył trudności. Sędzia, który przewodniczył rozprawie na procesie Minka, nie żył już oczywiście, podobnie jak ówczesny szeryf, Hub Hampton. Ale jego syn, znany powszechnie jako Mały Hub, odziedziczył po ojcu nie tylko cztery lata jego zastępstwa jako szeryfa, ale także talent utrzymywania możliwie najlepszych stosunków politycznych ze swoim przeciwnikiem, drugim zastępcą, nazwiskiem Ephriam Bishop. Stevens miał więc te dwa nazwiska, a przewodniczący ławy przysięgłych w owym czasie był osiemdziesięciokilkuletnim (i pełnym jeszcze wigoru) starszkiem, który prowadził nawet jeszcze elektrycznie napędzany młyn, kiedy nie szedł na polowanie albo na ryby z drugim osiemdziesięcioletkiem, wujem Ike McCaslinem. Trzeba do tego dodać jeszcze kilka podpisów, które Stevens uzyskał w sposób równie prosty i bezwzględny, jak podpis Ratliffa. Najwięcej liczył jednakże na dawnego kolegę z Harvardu — polityka amatora, który nie pełnił żadnej funkcji oficjalnej i od wielu lat był czymś w rodzaju doradcy gubernatora tylko dlatego, że wszystkie stronnictwa w stanie wiedziały, że jest on nie tylko lojalnym obywatelem Missisipi, ale także człowiekiem zbyt bogatym, żeby pragnąć czegokolwiek dla siebie. Tak więc Stevens, zgodnie ze swymi zamiarami, miałby same pomysłyne wiadomości do zakomunikowania swojej kli-

entce po wysłaniu dokumentów do stolicy stanu, kiedy lato zaczęło zbliżać się do końca i nadchodził wrzesień, pora, w której cały stan Missisipi (łącznie /, gubernatorami, władzą ustawodawczą i komisją do spraw ulaskawień) wkładał z powrotem marynarki i krawaty i podejmował pracę na nowo. Wydawało mu się, że nieomal może wybrać dokładny dzień i godzinę, kiedy chciałby uwolnić więźnia, wybrał późny wrzesień i tłumaczył swojej klientce przyczynę wyboru na kartce papieru poliniowanego z bloku, obszernej, zachęcającej i przekonywującej, ponieważ sam był przekonany. Wrzesień, kłminacyjny punkt sezonu zbierania bawełny, okres pracy nie tylko dobrze znajomej, ale takiej, z którą uwolnionego więźnia łączyły najsilniejsze więzy emocjonalne, pracy, za którą, po trzydziestu ośmiu latach zmuszania go do niej pod groźbą nabitego karabinu, teraz będą mu płacić zależnie od wydajności. Te względy przemawiały przeciwko uwolnieniu go już teraz, w czerwcu, kiedy przez połowę lata byłby beczynny, nie licząc naturalnej siły grawitacyjnej, przyciągającej go do miejsca urodzenia. Nie tłumaczył Lindzie przyczyn, dla których ten mały człowieczek wzrostu dziecka — który przedtem już musiał być wariatem i którego nie mogło uleczyć trzydzieści osiem lat spędzonych w więzieniu karnym — nie powinien wracać do Jefferson, ukrywając to za umiarkowaną elokwencją o- lówka, biegającego wzdłuż linii papieru, aż do chwili, gdy nagle podniósł wzrok (ona oczywiście nie mogła nic usłyszeć) i zobaczył Ratliffa, który stał w drzwiach kancelarii patrząc na nich uprzejmy, gładki, nieprzenikniony, może tylko trochę poważniejszy i bardziej pogrążony w myślach niż zazwyczaj. Tak niewiele zresztą, że Linda tego nie zauważyła, przynajmniej zanim Stevens powiedział, dotykając jej ramienia, w chwili kiedy wstawał (choć nie było to potrzebne, bo

do tego czasu wyczuła już obecność nowej osoby): — Jak się masz, V. K. Wejdz. Czy to już pora?

— Tak coś wygląda — odpowiedział Ratliff. — Dzień dobry, Lindo.

■ — Dzień dobry, V. K. — odpowiedziała Linda swoim drewnianym głosem, ale niemal dokładnie z tą samą infleksją, co Stevens, mimo że nie słyszała, jak witał Ratliffa w tej chwili, i nie mogłaby pamiętać, gdyby nawet słyszała go dawniej. Stevens wyjął złotą zapalniczkę z inicjałami GLS (choć L nie należało do jego monogramu) i podał ogień Lindzie, a potem on i Ratliff postawili na stole trzy grube szklanki, cukierniczkę, jedną łyżkę i pokrajaną w plasterki cytrynę, a Ratliff wydobyl z jakiegoś zakamarka w ubraniu butelkę whisky z kukurydzy, którą stary pan Calvin Bookwright produkował jeszcze w niewielkich ilościach i dzielił od czasu do czasu z kilkoma ludźmi dość taktownymi, żeby zachować jego niełatwą przyjaźń, stale narażoną na wybuchy gniewna zapalczywego staruszka. Potem Linda ze swoim papierosem, Stevens ze swoją fajką z kaczana kukurydzy i Ratliff zasiedli przy stole popijając grog, podczas gdy Stevens, nie przestając mówić, bazgrał od czasu do czasu z bloku jakiegoś pytanie dla niej. W chwilę później, wysączywszy swój grog, wstała, pożegnała się z nimi i odeszła. Wtedy Ratliff zapytał:

— Więc nie mówiłeś jeszcze Flemowi? — Stevens palił dalej fajkę. — No tak, nie potrzebowałeś, bo zdążyło się rozejść dość szeroko po okolicy, że kuzynka Minka Snopesa, Linda, czy jego siostrzenica Linda, czy jakiegokolwiek łączy ich pokrewieństwo, stara się wydobyć go z więzienia. — Stevens palił, Ra*¹ liiff wziął jego pustą szklankę. — Zrobić ci jeszcze jeden?

— Nie, dziękuję — rzekł Stevens.

— Więc jednak nie straciłeś głosu — powiedział Ratliff. — Tylko że tam, w piwnicy banku, gdzie on liczy pieniądze, nie może usłyszeć, co ludzie mówią. Chyba że w czasie tej wycieczki, którą musi zrobić.

Stevens palił fajkę.

— Żeby iść do biura szeryfa — Stevens palił, — Na pewno nie chcesz jeszcze grogu?

— Dobrze — powiedział Stevens. — Po co?

— O to cię właśnie pytam. Wydawałoby się, że pierwsza rzecz, jaką Flem powinien zrobić, to iść do szeryfa i przypomnieć mu te ostatnie słowa Minka w sądzie, zanim sędzia Long zaprosił go do Parchman. Ale tego nie zrobił. Może dlatego, że Linda powiedziała mu o tych dwustu pięćdziesięciu dolarach, a nawet Flem Snopes może uchwycić się słomki, kiedy nie ma nic innego na widoku. Bo naturalnie Snopes nie może iść do niej i pisać na tej tabliczce: „Kiedy tylko go wypuszczą, ten mały wąż przyjdzie prosto tutaj i zapłaci ci za jednym zamachem za grób twojej matki i za wszystkie inne historie, którym, jak cię prawdopodobnie przekonały usłużne języki z Jefferson, ja jestem winien”. Naturalnie, że nie może ryzykować podsuwaniem jej takich myśli ani narażać się na to, że cię schwyty za rękaw, żeby jechać do Parchman i wyciągnąć go stamtąd jeszcze tego samego wieczora i mieć go z powrotem w Jefferson nazajutrz rano, kiedy zostało jeszcze trzy tygodnie czasu, w ciągu których wszystko może się zdarzyć: Linda albo Mink, albo gubernator czy Komisja Ułaskawień mogą umrzeć, albo Parchman może wylecieć w powietrze. Jak powiedziałaś, kiedy to będzie?

— Co będzie? — spytał Stevens.

— Którego dnia mają go wypuścić?

— Och. Gdzieś po dwudziestym. Prawdopodobnie dwudziestego szóstego.

— Dwudziestego szóstego? — powtórzył Ratliff. —• A ty pojedziesz tam wcześniej?

— W przyszłym tygodniu — odparł Stevens. — Muszę zostawić pieniądze i osobiście porozmawiać z naczelnikiem więzienia. Powiedzieć jemu, że nie otrzyma tych pieniędzy, póki nie przyrzeknie opuścić Missisipi przed zachodem słońca i nigdy tu nie powracać.

— W takim razie — rzekł Ratliff — wszystko jest w porządku. Szczególnie, jeżeli ja... — urwał.

— Jeżeli co, ty? — spytał Ratliff.

— Nic — odrzekł Ratliff. — Przeznaczenie, fatum i szczęśliwy obrót wypadków, i nadzieja, i my wszyscy w to zamieszani; my dwaj, Linda i Flem, i ten oszalały, na pół zagłodzony dziki kot tam, w Parch- raan, wszyscy na tym samym wózku przeznaczenia, fatum, szczęścia i nadziei i nikt z' nas nie może wiedzieć, gdzie się to kończy, a my się zaczynamy. Zwłaszcza nadzieja. Chcę powiedzieć, że dawniej myślałem, że nadzieja to mniej więcej wszystko, co ludzie mają, ale teraz myślę, że to wszystko, czego każdy z nas chce: tylko nadziei. Tamten biedny łajdak tam, w bankowej piwnicy, liczy swoje pieniądze, bo to jedyne miejsce na ziemi, gdzie nie może go dosięgnąć Mink Snopes, i tak długo, jak musi tam siedzieć, może równie dobrze liczyć pieniądze dla zabicia czasu. I ciekawe, czy nie odda Lindzie z powrotem tych dwustu pięćdziesięciu dolarów, nawet nie potrącając żadnego procentu za te dwa lata łaski. I ciekawe, ile zapłaciliby z reszty tych pieniędzy, w piwnicy za to, żeby dodać do nich jeszcze dwadzieścia lat. Albo tylko dziesięć. Albo tylko jeden rok.

W dziesięć dni później Stevens był w kancelarii naczelnika więzienia. Miał z sobą pieniądze: dwadzieścia pięć banknotów dziesięciodolarowych, nowiutkich.

— Nie chce pan się z nim zobaczyć osobiście? ■ — spytał naczelnik.

— Nie — odparł Stevens. — Pan może to zrobić czy ktokolwiek inny. Po prostu postawić go przed wybo- rem: albo niech skorzysta z ulaskawienia, weźmie dwieście pięćdziesiąt dolarów i wyjeżdża z Missisipi, jak tylko się da najszybciej, plus następne dwieście pięćdziesiąt wypłacane co trzy miesiące do końca życia, jeśli nigdy więcej nie przekroczy granicy stanu — albo niech pozostanie w Parchman jeszcze przez dwa lata i niech idzie do diabła.

— Cóż, powinien się zgodzić — powiedział naczelnik. — Ja w każdym razie nie będę się sprzeciwiał. Ale dlaczego temu, kto mu ofiaruje te dwieście pięćdziesiąt dolarów, tak bardzo zależy na tym, żeby go nie widzieć z powrotem w domu?

Stevens odpowiedział prędko:

— On nie ma do czego wracać. Rodziny już nie ma, żona umarła dwadzieścia pięć czy trzydzieści lat temu i nikt nie wie, co się stało z jego dwiema córkami. Nawet wydzierzawiony dom, gdzie mieszkał, już nie istnieje, albo się sam zawalił, albo ktoś go zburzył i rozebrał na drzewo na opał.

— To dziwne — stwierdził naczelnik. — Prawie każdy z Missisipi ma przynajmniej jednego kuzyna.

Trudno tam znaleźć kogoś, kto by go nie miał.

— Och, dalecy krewni — powiedział Stevens. — Tak, pewnie należał do jednego z tych wielkich klanów w okolicy, teraz już rozproszonego.

— A więc to jeden z tych dalekich krewnych nie życzy sobie jego powrotu tak bardzo, że aż płaci za to dwieście pięćdziesiąt dolarów.

— To wariat — powiedział Stevens. — W ciągu trzydziestu ośmiu lat jego pobytu tutaj musiał chyba to zauważyć i powiedzieć o tym, nawet jeśli sam pan tego nie spostrzegł.

— Wszyscy tu jesteśmy wariaci — odrzekł naczelnik. — Nawet więźniowie. Może to wpływ klimatu. Ja bym się na pańskim miejscu nie martwił. Oni wszyscy rzucają takie pogrożki w swoim czasie: straszliwe pogrożki pod adresem sędziego, czy prokuratora, czy świadka, który w sądzie powiedział coś, co każdy przyzwoity człowiek zatrzymałby przy sobie. ■ Pogrożki mrozące krew w żyłach; zauważyłem, że nigdy człowiek nie bywa tak głośny, jak wtedy, kiedy jest przykuty kajdanami do policjanta. Ale czasem i rok wystarczy. A ten spędził tu trzydzieści osiem lat. A więc nie otrzyma amnestii, jeśli nie zgodzi się przyjąć pieniędzy. Skąd pan wie, czy nie weźmie pieniędzy, a potem nie oszuka pana?

— Ja także zauważyłem parę rzeczy, jeśli chodzi

o ludzką naturę — powiedział Stevens. — Między innymi to, że zły człowiek będzie pracował dziesięć razy ciężiej i dziesięć razy więcej będzie się poświęcał po to, żeby mu przypisano choć jedną cnotę, bodaj najbardziej prymitywną, niż dobry człowiek po to, żeby uniknąć najohydniejszego nałogu, jeśli mu to sprawia przyjemność. Próbował zamordować swego adwokata, tu w więzieniu, podczas trwania procesu, kiedy adwokat radził mu powołać się na zaburzenia umysłowe. Będzie wiedział, że jedyna rozsądna rzecz, jaką może zrobić, to przyjąć pieniądze i amnestię, bo jeśli odmówi amnestii z powodu pieniędzy, to za dwa lata nie będzie miał dwóch tysięcy dolarów, ale nawet może ich nie dożyć. Albo, co byłoby jeszcze gorsze, on może być żywy i nareszcie wolny i ubogi, a Fle... — ugryzł się w język.

— To prawda — powiedział naczelnik — ale kim jest ten Fle..., który może nie żyć już za dwa lata? Stać się nieosiągalny już na zawsze? Ten, który ma dwieście pięćdziesiąt dolarów. Mniejsza o to — dodał. — Zgadzam się z panem. Jeżeli przyjmie pieniądze, wszystko pójdzie dobrze. Czy tego pan sobie życzy?

— Tak — odparł Stevens. — Gdyby nie peszło, proszę do mnie zadzwonić do Jpfferson, na mój rachunek.

— Zatelefonuję do pana w każdym wypadku — oświadczył naczelnik. — Za dużo trudu zadaje pan sobie, żeby to nie brzmiało poważnie.

— Nie — powiedział Stevens. — Tylko w razie, gdyby odmówił pieniędzy.

— To znaczy amnestii, chce pan powiedzieć?

— Co za różnica? — spytał Stevens.

Więc gdy po południu dwudziestego szóstego podniósł słuchawkę telefonu i z centrali odezwano się: „Parcelman, Missisipi. Pan Gavin Stevens? Proszę mówić” i niewyraźny głos powiedział: „Hallo! Pan mecenas?” Stevens pomyślał prędko: „A więc jestem tchórzem, mimo wszystko. Kiedy to się stanie za dwa lata, przynajmniej nie odbije się na mnie; teraz/ chociaż mogę jej to powiedzieć, bo to będzie devrod” — i powiedział do słuchawki:

— A więc odmówił przyjęcia pieniędzy?

— To znaczy, że już wiesz — odpowiedział głos Ratliffa.

— Co? — spytał Stevens po upływie niespełna sekundy. — Hallo?

— To ja — odpowiedział Ratliff — V. K., dzwonię z Parchman. Więc już cię zawiadomili.

— O czym? — zapytał Stevens. — On jest tam jeszcze? Nie zgodził się wyjechać?

— Nie, już go nie ma. Wyszedł stąd około ósmej rano. Pojechał ciężarówką na północ.

— Ale powiedziałaś przed chwilą, że nie przyjął pieniędzy.

— Właśnie próbuję ci to wytłumaczyć. W końcu

odszukano pieniądze mniej więcej kwadrans temu. Jeszcze tu są. On...

— Czekaj — powiedział Stevens. — Mówisz o ósmej rano. W jakimjciemrkiT'

— Jaki^Mtrfzyn widział go, jak siął przy szosie do ciężarówki, jadącej na północ, w kierunku Tutwiler. Stamtąd mógł dojechać do Clarksdale, a później do Memphis. Albo z Tutwiler mógł pojechać do Batesville i tą drogą do Memphis. Tylko że ktoś, kto chce jechać z Parchman do Jefferson, może jechać także przez Batesville, chyba że ma ochotę wstąpić po drodze do Chicago albo do Nowego Orleanu. Jeśli nie, to bardzo prędko może być w Jefferson. Wyjeżdżam za chwilę, ale ty lepiej...

— W porządku — powiedział Stevens.

— I może Flem także — dodał Ratliff.

— Do licha, powiedziałem, że w porządku.

— Ale jej jeszcze nie — powiedział Ratliff. — Nie trzeba jeszcze jej mówić, że prawdopodobnie kończy mordować męża swojej matki.

Ale tego już nie słyszał, położył słuchawkę. Nie miał nawet kapelusza na głowie, kiedy znalazł się na Rynku, a potem na ulicy prowadzącej do banku, gdzie powinien być Snopes, a w przeciwnym kierunku do sądu, gdzie powinien być szeryf. Nie miało znaczenia, kogo zobaczy najpierw, i myślał: „A więc naprawdę jestem tchórzem, po całym tym gadaniu o przeznaczeniu i fatum, które nie przekonało nawet Ratlif- fa”.

— Mówi pan — zdziwił się szeryf — że on spędził trzydzieści osiem lat w Parchman i ledwie stamtąd wyjdzie, będzie próbował zrobić coś, co go zaprowadzi tam z powrotem, jeśli go nie powieszają tym razem? Niech pan nie będzie naiwny. Nawet taki typ, jakim on podobno był, nauczyłyby się tej odrobiny rozumu przez trzydzieści osiem lat.

— Ha — powiedział Stevens ponuro. — Słusznie pan to wyraził tym razem. Wtedy, w tysiąc dziewięćset ósmym roku nosił pan jeszcze koszulę w zębach. Nie był pan tego dnia na sali sądowej, nie słyszał go pan i nie widział jego twarzy. Ja widziałem.

— Dobrze — rzekł szeryf. — Co pan chce, żebym zrobił?

— Aresztował go. Niech mu pan nie pozwoli nawet przekroczyć granicy Yoknapatawpha.

— Na jakiej podstawie?

— Po prostu niech go pan zatrzyma, dostarczę panu wszelkich podstaw, jak tylko pan będzie tego potrzebował. Jeżeli zajdzie potrzeba, zatrzyma go pan za podjęcie pieniędzy pod fałszywą przysięgą.

— Myślałem, że on nie wziął tych pieniędzy.

— Nie wiem jeszcze, co się z tymi pieniędzmi stało. Ale wymyślę jakiś sposób, żeby je wykorzystać, przynajmniej na dość długo, żeby go można było zamknąć.

— Tak — powiedział szeryf. — Myślę, że pan znajdzie. Chodźmy teraz do banku, do pana Snopesa, może we trzech potrafimy coś wymyślić. Albo może pani Kohl. Trzeba będzie jej także powiedzieć, zdaje mi się. Wtedy Stevens powtórzył niemal dosłownie to, co Ratliff powiedział do telefonu, kiedy on już położył słuchawkę:

— Powiedzieć kobiecie, że jak wszystko na to wskazuje, zamordowała swego ojca dziś o ósmej rano?

— Dobrze, dobrze — rzekł szeryf. — Chce pan, żebym z psnem poszedł do banku?

— Nie — powiedział Stevens. — W każdym razie jeszcze nie.

— Ja wciąż myślę, że nie ma powodu aż do takich

obaw — rzekł szeryf. — Jeśli w ogóle tu wróci, to najpierw do Sadyby Francuza. Wtedy po prostu będzie go można przytrzymać, jak tylko zauważymy jego w mieście, i powiedzieć mu dwa słowa —

— Zauważymy! — powiedział Stevens, — Czy nie to właśnie trzeba było wytłumaczyć: że go pan nie zauważył? — Tę samą błędność popełnił Jack Houston trzy- cztery lata temu: nie zauważył go, dopóki tamten nie wyszedł z krzaka tamtego ranka ze strzelbą, jeżeli w ogóle wyszedł z krzaków, co do tego mam wątpliwości.

Przeszedł z powrotem przez Rynek, z pośpiechem, myśląc: „Mimo wszystko jestem tchórzem”, kiedy ta cząstka jego istoty, z którą wiele czasu spędził na rozmowie, a raczej na słuchaniu jej (może jego szkielet, który miał przetrwać resztę ciała o parę miesięcy czy lat i niewątpliwie spędziłby ten czas prawiąc mu morały, na które on nie mógłby już odpowiadać), odparowała natychmiast: „Czy kto kiedykolwiek mówił ci, że nie jesteś?” Na to on: „Ale nie jestem tchórzem. Jestem humanitarny”. Potem znów tamten: „Nie jesteś nawet dziwadłem. Tego słowa używa się często jako eufemizmu zamiast tamtego”.

Bank już był o tej porze zamknięty. Ale kiedy przechodził przez Rynek do biura szeryfa, samochód z Lindą przy kierownicy nie czekał przed bankiem, a więc nie był to dzień wyprawy po whisky. Firanki były zasunięte, ale po chwili kołatania do bocznych drzwi wyjrzał jeden z księgowych, poznał go i wpuścił do środka; przeszedł obok maszyny obliczającej dzienny obrót — same maszyny zdawały się immunizowane, a nawet obojętne dla astronomicznych sum redukowanych do banalnego staccato — zastukał do drzwi, na których pułkownik Sartoris czterdzieści lat temu kazał wypisać ręcznie „Wstęp wzbroniony”, i otworzył je.

Snopes siedział za biurkiem, lecz obrócony do niego plecami, naprzeciw kominka bez ognia, z nogami opartymi na tych śladach obcasów, które zaczął złościć pułkownik Sartoris. Nie był zajęty czytaniem ani niczym innym: tylko siedział tu w swoim czarnym kapeluszu plantatora na głowie, jego dolna szczęka poruszała się lekko i miarowo, jakby żuł tytoń, co, jak powszechnie wiadano w mieście, nie odpowiadało prawdzie. Nie opuścił nawet nóg, kiedy Stevens podszedł do biurka (był to szeroki płaski stół zasłany papierami w jakiś symetryczny, niemal uporządkowany sposób) i powiedział prawie że jednym tchem:

— Mink wyszedł z Parchman dzisiaj o ósmej rano. Nie wiem, czy pan o tym wie, czy nie, ale my... poleciłem przekazać mu pewną sumę pieniędzy w chwili, kiedy będzie przekraczał bramę, pod warunkiem złożenia przysięgi, że opuści Missisipi nie wracając do Jefferson i nigdy więcej nie przekroczy granicy stanu. Nie wziął tych pieniędzy, nie wiem jeszcze, jak to się stało, bo miano go nie wypuścić, jeśli tego nie zrobi. Wsiadł do ciężarówki przejeżdżającej szosą i znikł. Ciężarówka jechała w kierunku północnym.

— Ile to było? — spytał Snopes.

— Co? — zdumiał się Stevens.

— Ile pieniędzy?

— Dwieście pięćdziesiąt dolarów.

— Wielce zobowiązany — rzekł Snopes.

— O Boże! — zachnął się Stevens. — Mówię panu, że ten człowiek wyszedł z Parchman dzisiaj o ósmej rano i jest w drodze do Jefferson, żeby pana zamordować, i wszystko, co pan ma do powiedzenia, to „wielce zobowiązany”?

Tamten nie poruszył się, jeśli nie liczyć lekkiego ruchu szczęki. Stevens pomyślał z tłumioną furią: „Gdyby chociaż splunął od czasu do czasu”.

— WIQC miał tylko te dziesięć dolarów, jakie mu dali przy wyjściu? — zapytał Snopes.

— Tak — odparł Stevens. — O ile mi wiadomo. Ale tak.

— Przypuśćmy, że ktoś miałby do pana urazę — powiedział Snopes. — Człowiek, który ma już sześćdziesiąt trzy lata, z czego trzydzieści osiem spędził

^ na przymusowych ciężkich robotach, i który przedtem jeszcze nie był większego wzrostu niż dwunastoletni chłopak...

„Który nawet wtedy musiał użyć strzelby zza krzaków — pomyślał Stevens. — Och, tak, wiem dokładnie, co chcesz powiedzieć; za mały i za słaby, nawet wtedy, nawet bez tych trzydziestu ośmiu lat w więzieniu, żeby użyć zwykłego noża czy kłody. I nie może iść do Sadyby Francuza, jedyne miejsce na świecie, gdzie ktoś go jeszcze pamięta i mógłby mu pożyczyć broni, bo choć nikt w Sadybie Francuza nie podbiłby lufy wycelowanej w ciebie, to jednak nie pożyczylby mu własnej lufy do wycelowania. A więc będzie musiał albo kupić pistolet za dziesięć dolarów, albo ukraść. W tym pierwszym wypadku możesz nawet wyjść cało: pistolet za dziesięć dolarów nie wystrzeli, a w tym drugim jakiś policjant może cię ratować”. Pomyślał prędko: „Oczywiście. Kierunek północny. Pojechał do Memphis. Musiał. Gdzie indziej nie mógłby kupić pistoletu za dziesięć dolarów”. I jeżeli Mink miał tylko te dziesięć dolarów, będzie musiał zatrzymywać na szosie samochód przez całą drogę, najpierw do Memphis (jeśli się tam dostanie, zanim zamkną sklepy), a potem do Jefferson. Więc to nie może być wcześniej niż jutro, bo każde inne rozwiązanie wymagałoby od zwykłego przeznaczenia i fatum zbyt wielu zbiegów okoliczności, nawet jak na optymistyczną naturę Ratliffa.

— Tak — powiedział. — Ja też tak myślę. Ma pan

czas przynajmniej do jutra wieczorem. — Pomyślał prędko: „A teraz trzeba to zrobić. Jak go przekonać, żeby jej nie mówił, nie dając mu do zrozumienia, że on się na to zgodził, przyrzekł i że to ja poddałem mu tę myśl”. I nagle usłyszał własny głos: — Czy pan zamierza powiedzieć Lindzie?

— Po co? — spytał Snopes.

— Tak — powiedział Stevens. I znów usłyszał sam siebie z kolei, mówiącego: — Wielce zobowiązany. — Potem dodał: — Jestem za to odpowiedzialny, nawet jeśli nie mogłem temu zapobiec. Rozmawiałem przed chwilą z szeryfem. Co jeszcze mogę dla pana zrobić? — „Gdyby choć raz splunął” — pomyślał.

— Nic — odpowiedział Snopes.

— Jak to?

— Nic — powtórzył Snopes. — Wielce zobowiązany.

Przynajmniej wiedział, skąd zaciąć. Nie wiedział tylko jak. Nawet gdyby zatelefonował do policji w Memphis, co im mógł powiedzieć: policji w wielkim mieście, odległym o sto mil, która nigdy nie słyszała o Minku i Flemie ani o Jacku Houstonie, nieżyjącym już od czterdziestu lat. Jeżeli on, Stevens, nie zdołał nawet poruszyć dość silnie miejscowego szeryfa, który przynajmniej ze słyszenia znał te dawne dzieje. Jak wytłumaczyć, co w jego przekonaniu Mink zamierzał zrobić w Memphis, a nawet jak ich przekonać, że w ogóle był, czy miał być w Memphis. A nawet gdyby udało mu się ich tak dalece zainteresować, jak im opisać, kogo mają szukać: człowieka, którego ofiara sprzed czterdziestu lat dała się zamordować tylko dlatego, że morderca był stworzeniem tego rodzaju, że nikt, nie wyłączając jego ofiary, nie zauważył go dość wcześniej, żeby troszczyć się w jakiegokolwiek mierze o to, co on robi czy może zrobić.

Oprócz Ratliffa. Jeden Ratliff z całego Yoknapatawpha rozpoznałby Minka na pierwszy rzut oka. Choć niczego nie studiował, nie podróżował, a nawet niczego nie czytał, Ratliff miał zdumiewający talent dowiadywania się o wszystkim i zawierania znajomości tak, by stanąć na wysokości zadania w każdym kryzysie miejscowym. Stevens przyznał teraz sam przed sobą, na co w tej chwili czeka, tracąc właściwie czas: na Ratliffa, żeby wrócił z Parchman w swojej ciężarówce, i prawie nie zatrzymując się pośpieszył do Memphis, żeby opisać Minka miejscowej policji i w ten sposób ocalić kuzyna Minka czy krewniaka, czy kimkolwiek był Flem, przed tym, co tylko było jego przeznaczeniem. Jednocześnie wiedział przez cały czas, czego naprawdę chce od Ratliffa: dowiedzieć się, w jaki sposób Mink nie tylko przeszedł przez bramę więzienia bez tych pieniędzy, ale jak to zrobił ■ w-taki-sposób, że tylko absolutnie nieprzewidziana i nieoczekiwana obecność Ratliffa w tym miejscu i o tym czasie, gdzie nie miał absolutnie żadnego interesu, mogła ujawnić fakt, że nie wziął tych pieniędzy, - Nie było jeszcze trzeciej, kiedy Ratliff telefonował, nie należało go oczekiwać w Jefferson wcześniej niż o dziewiątej. Nie dlatego, żeby jego ciężarówka nie mogła przebyć tej przestrzeni w ■ krótszym czasie. Rzecz w tym, że żaden pojazd, którego właścicielem był Ratliff (oczywiście jeśli on sam nim kierował), nie mógł jej przebyć prędkiej. Zresztą w pewnym momencie, niedługo po godzinie szóstej, musiał zatrzymać się, żeby coś zjeść w najbliższej, małej, posępnej wsi z młynem do odziarniania bawełny albo na samej szosie, zjeżdżając na bok i parkując wóz przed którąś ze standaryzowanych restauracyjek, żeby zjeść w samotności, i bez pośpiechu mięso trochę zbyt żyłowe na to, by je można dobrze pożyć, i trochę za długo goLowiine, żeby miało jakikolwiek smak, stereotypowe frytki i chleb, który smakuje jak papierowa serwetka, sałatę i pomidory z lodówki, pokrajane na maszynie, które, gdyby nie intensywne, nieskazitelny kolor, przypominałyby jakieś wykopalisk ■ ekshumowane przez paleontologów gdzieś z tundry, zamrożony, maszynowo wyrabiany pasztet i to, >. nazywa się kawą — jedzenie idealnie czyste i idealnie bez smaku, z wyjątkiem ostrej przyprawy z pomidorów.

Stevens miał jeszcze przed sobą mnóstwo czasu, żeby pojechać do Rose Hill i zjeść swój własny, przyzwoity posiłek wieczorny. Mimo to zatelefonował do swojej żony.

- Przyjadę i możemy coś zjeść u Holstona — powiedziała.
- Nie, kochanie, muszę zobaczyć się z Ratliffem natychmiast po jego powrocie z Parchman.
- Dobrze. Ja chyba pojadę na kolację do Maggie (Maggie to była jego siostra) i może pójdziemy razem do kina. Zobaczymy się jutro. Mogę chyba przyjechać do miasta, jeżeli obiecuję być ostrożną?
- Widzisz, nie pomagasz mi. Jak mogę się oprzeć potrzebie przebywania razem, jeżeli ty sama jej się nie opierasz.
- W takim razie zobaczymy się jutro — powiedziała. — Dobranoc.

Zjedli więc kolację u Holstona, nie miał ochoty widzieć się tego wieczora z siostrą, szwagrem i siostrzeńcem Charlesem. Restauracja Holston House nadal trzymała się dawnych tradycji nie rozpaczliwie: ani nawet bohatercko, ale po prostu z chłodną, nieugiętą stanowczością, prowadzona przez dwie siostry, stare panny (to jest, jedna z nich, młodsza, była niegdyś mężatką, ale tak dawno i tak krótko, że to się już nie liczyło), ostatnie z rodu Aleksandra

Holstona, jednego z trzech pierwszych osadników w okręgu Yoknapatawpha, który zbudował tu standardową chatę drewnianą/ od dawna wchłoniętą prze/, nowoczesny budynek, i który przyczynił się do nadania nazwy miastu Jefferson przed stu laty. Jadalnię nazywano tu dotychczas po prostu jadalnią i właścicielki (nikt nie wiedział, jakim sposobem) nadal trzymały kelnerów Murzynów, których godność przechodzi z ojca na syna: goście nadal jadali przy table d'hôte, to znaczy dwóch długich wspólnych stołach i przy każdym z nich prezydowała jedna z siostr. Żaden mężczyzna nie wchodził tu bez marynarki i bez krawata, a żadna kobieta w kapeluszu na głowie, (była tu nawet garderoba ze specjalną garderobianą do tych celów), choćby nawet miała bilet kolejowy w ręku.

Jego siostra przyjechała jednak punktualnie po jego żonę, żeby iść do kina. Był więc z powrotem w swojej kancelarii, kiedy wkrótce po wpół do dziewiątej usłyszał na schodach kroki Ratliffa. — W porządku. — Co się stało? — powiedział. Potem dodał: — Nie. Zaczekaj. Co robiłeś w Parchman?

— Jestem — jak się to nazywa? — optymistą — powiedział Ratliff. — Jak każdy prawdziwy optymista nie oczekuję, że zdarzy się najgorsze. Tylko jak każdy szanujący się optymista lubię być na miejscu i jak najprędzej rozejrzeć się, na wypadek gdyby to właśnie miało się zdarzyć. A szczególnie kiedy różnica między najlepszym i najgorszym musi osiągnąć aż tutaj, do Jefferson. Zabrało mi to też trochę czasu. Przyjechałem tam o dziesiątej, nie było go już od dwóch godzin i trochę się zniecierpliwili na moje pytania. Zrobili, co do nich należy, zamknęli go i trzymali przez trzydzieści osiem lat, uczciwie i w porządku, jak im polecono, i uważali, że zasłużyli sobie na to, żeby się go nareszcie pozbyć. Rozumiesz to nowe zwolnienie i te »owiulVie d wieści« pięćdziesiąt dolarów bezpiecznie 'zapięte na gurik w nowym kombinezonie i -swetrze, i brama zamknęta za nim, jak mi tamten człowiek powiedział i oficjalna stronica z nazwiskiem Mink Snopes z oficjalną pieczęcią: „Zapłacone w całości" usunięcia z rejestru i zniszczona już dwie godziny temu, a tu zjawia się nagle jakiś natręt, który nie jest nawet adwokatem, i mówi: „Tak, tak, to pięknie, tylko trzeba się upewnić, czy naprawdę miał pieniądze, jak wychodził”.

Naczelnik osobiście dopilnował sprawy tych pieniędzy, kazał zawołać Minka do kancelarii, gdzie stół był już dla niego nakryty: karta zwolnienia z jednej strony, a te dwieście pięćdziesiąt dolarów z drugiej, i Mink, który nigdy w swoim życiu nie widział tylu dolarów naraz, i naczelnik, który mu tłumaczył, że nie ma wyboru: jeżeli przyjmie zwolnienie, musi przyjąć też pieniądze, a jeżeli weźmie pieniądze, to musi przysiąc na Biblię i wszystkie świętości, że wyruszy prosto do pierwszego miejsca po drugiej stronie granicy stanu Missisipi i że do końca życia nie przekroczy tej granicy z powrotem.

— Czy to muszę zrobić, żeby wyjść? — pyta Mink. — Wziąć te pieniądze? — Tak — mówi naczelnik i Mink sięgnął ręką i wziął pieniądze, sam naczelnik pomógł mu przypiąć je i kartkę zwolnienia pod -swetrem. Potem naczelnik podał mu rękę, a nadzorca więźniów odprowadził go tam, gdzie klucznik już czekał, żeby otworzyć mu bramę na wolność.

— Zaczekaj — przerwał Stevens. — Nadzorca także więzień.

— No właśnie — powiedział Ratliff z aprobatą, zadowolony i niemal dumny z siebie. — To było bardzo proste. Pewnie dlatego nie przyszło na myśl żadnemu z nich, zwłaszcza że nikt nie przypuszcza, że nawet w takim więzieniu jak Parchman, godnym

swego imienia, ponieważ jest dobrze prowadzone, może znaleźć się ktoś dosyć dziwny i antyspołeczny, i zachować się tak, jakby uważał, że może mieć wolny wybór równocześnie z dwustu pięćdziesięcioma dolarami, które mu dają za nic, tak że nawet nie musi powiedzieć za to „dziękuję”. Więc powiedziałem sobie to samo: „Nadzorca — więzień. Poszedł aż do bramy razem z dwustu pięćdziesięcioma dolarami. Ale sprawdźmy, czy miał je przy sobie jeszcze po drugiej stronie bramy”. To samo i ja powiedziałem: „To ten nadzorca”.

„Także więzień dożywotni — rzekł naczelnik. — Zabił młotkiem swoją żonę, a potem się nawrócił i zbawił swoją duszę, jeszcze zanim go osądzono. To jeden z najlepiej notowanych i nawet przemawia jako kaznodzieja świecki”. „To znaczy, że Mink, gdyby nawet miał w ręku całą listę waszych pensjonariuszy i czas na wybieranie, nie mógłby znaleźć nikogo lepszego — mówię, — Więc tak wygląda, jakbym musiał już zaczynać współczuć temu skruszonemu potępińcowi, mimo że nie miał dość cierpliwości, żeby znaleźć jakieś lepsze rozwiązanie problemu swego małżeństwa niż młotek. Chcę powiedzieć, że chyba macie tu jeszcze jakieś prywatne metody przepytывania opornych rozmówców, prawda?”

Dlatego zatelefonowałem do ciebie tak późno: zabrało to trochę czasu, chociaż muszę przyznać, że nie można było nie poznać po jego twarzy. Bo ci ludzie są dziwni. Nie, oni nie są dziwni, oni są smutni. Ten facet tak czy owak był skazany do końca życia, bo nawet gdyby odkryto, że zaszła pomyłka, albo gdyby ktoś zostawił otwartą bramę, nie ośmieliliby się wyjść, bo ojciec tej dziewczyny przysiągł, że go zabije, jak tylko wyjdzie z Parchman. Więc po co mu, u licha, dwieście pięćdziesiąt dolarów, nawet choćby mu się przyśniło, że mógłby z nimi

wyjść, przy tym sposobie wejścia w ich posiadanie.

— Ale jak, do diabła ciężkiego — powiedział Stevens. — Jak?

— No, to był jedyny sposób, w jaki Mink mógł to zrobić, i prawdopodobnie dlatego nikt nie potrafił tego z góry przewidzieć. Po drodze z kancelarii naczelnika do bramy powiedział nadzorcy, że musi do ubikacji, a kiedy tapa weszli, dał mu dwieście pięćdziesiąt dolarów, żeby je zwrócił naczelnikowi przy pierwszej sposobności i powiedział mu, że on, Mink, czuje się wielce zobowiązany, ale zmienił zdanie i nie będzie potrzebował pieniędzy. I to właśnie była rola nadzorcy: dać Minkowi jedną czy dwie godziny czasu, aż zniknie, prawdopodobnie na zawsze, nikt nie wie gdzie i nikogo to nie obchodzi. Bo nieważne, gdzie człowiek jest: z chwilą kiedy naprawdę uwierzył, że nigdy więcej w swoim życiu nie będzie mu na nic potrzebne dwieście pięćdziesiąt dolarów, już nie jest żywym człowiekiem, i w tej chwili właśnie to odkrył. I to wszystko. Nie wiem...

— Ja wiem — przerwał Stevens. — Flem powiedział mi. Jest w Memphis. Jest za mały, za słaby i za stary, żeby użyć noża albo pałki, więc będzie musiał dotrzeć do najbliższego miejsca, gdzie może spodziewać się dostać pistolet za dziesięć dolarów.

— Więc mówiłeś Flemowi? Co on powiedział?

— Powiedział: „Wielce zobowiązany” — odrzekł Stevens. Po chwili powtórzył: — Mówiłem ci, że kiedy zakomunikowałem Flemowi, że Mink wyszedł z więzienia dziś o ósmej rano i jest w drodze do Jefferson, żeby go zamordować, odpowiedział: „Wielce zobowiązany”.

— Słyszałem — odparł Ratliff. — A cóż miał powiedzieć? Byłbyś z pewnością na jego miejscu równie grzeczny jak on, czy nie? Więc może ostatecznie

(o jest shiszttu, oczywiście? Rozmawiałś już z ludźmi 7. Memphis?

..... O czym miałom / nimi rozmawiać? powiedział Slovens. --- Jak opisać policjantowi z Memphis kogoś, kogo ja sam bym nic poznał, zwłaszcza że on [cs! w foj chwili w Memphis i próbuje zrobić to, co, jak myślę, josl jogo zamiarem, tylko dlatego, że ja także nie wiem, co robić dalej.

— Co jest nie w porządku z tym Memphis? — zapyta! Ratliff.

— Doprowadzisz mnie do szału — powiedział Stevens. — O co ci chodzi?

— Myślałem, że trzeba chyba na to znacznie mniejszego miasta niż Memphis, żeby nie zna leż;' nikogo, z kim kolegowaleś w Harvard.

— A niech to diabli! — zaklął Stevens. Zamówi) niezwłocznie rozmowę i po chwili już z nim rozmawiał: jego kolega szkolny Cincinnatus —■ amator na swojej plantacji, niedaleko od Jackson. Stevens korzystał już 7. jego pośrednictwa w sprawie amnestii, tak że musiał mu tłumaczyć tylko punkt krytyczny, nie całą sytuację.

— Naturalnie nie wiesz, czy on udał się do Memphis — powiedział jego kolega.

— To prawda — rzekł Stevens. — Ale ponieważ okoliczności zmuszają nas do określenia miejsca jego pobytu, pozwalamy sobie wysunąć to przypuszczenie w dobrej wierze.

—Dobrze — zgodził się kolega. — Znam burmistrza i komisarza policji. Wszystko, czego chcesz (i wszystko, co oni naprawdę mogą zrobić), to sprawdzić we wszystkich miejscach, gdzie ktokolwiek mógłby kupić pistolet czy rewolwer za dziesięć dolarów, powiedzmy od południa dnia dzisiejszego. Tak czy nie?

— Tak — powiedział Stevens. - - 1 poprosz ich, żeby zatelefonowali do mnie, na mój rachunek, kiedy... jeżeli coś znaj tłą.

Sam zatelefonuję — obiecał tamten. — Możesz powiedzieć, że ja leż dołożyłem moją cegielkę do budowy tego, czego życzysz twemu przyjacielowi.

- Jeżeli nazywasz mnie przyjacielem Flema Sno- pesa, uśmiechni j się w tym miejscu.

Był to czwartek i w ciągu piątku dzwonek telefonu mógłby w każdej chwili dosięgnąć go gdzieś w okolicach Rynku. Miał jednakże mnóstwo pracy w kancelarii, gdyby mógł ochłonąć dostatecznie, żeby się nią zająć. Próbował to robić i był tak pogrążony w pracy, gdy wszedł Ratliff, niosąc w rękę schludną paczuszkę w papierowej torebce i mówiąc: „Dzień dobry”, że nie podniósł wzroku, pisząc dalej na bloku biurowego papieru, spokojny, zajęty swoją robotą, podczas gdy Ratliff dał krok naprzód, wziął jedno z krzeseł przy biurku, to, które stało pod ścianą, i położywszy paczuszkę na skrzynce z fiskami obok adwokata, usiadł. Stevens wciąż pisał, od czasu do czasu przenosząc wzrok na otwartą książkę, która leżała po lewej ręce, aż wreszcie Ratliff wziął z biurka gazetę poranną z Memphis, rozłożył ją i zacaął czytać; zaszeleścił przewróconą stroną potem następną, aż w końcu Stevens powiedział:

— Przestań, idź stąd albo znajdź sobie inne zajęcie, denerwuje mnie ten hałas.

— Dzisiaj mam wolny ranek — rzekł Ratliff. — Jeżeli masz coś do załatwienia na mieście, mogę tu posiedzieć i czekać na telefon.

— Mam wiele do zrobienia tu, na miejscu, gdybyś tylko przestał hałasować tą przekłętą gazetą — rzucił gwałtownie ołówek na biurko. — Widocznie nie dotarł jeszcze do Memphis, a w każdym razie nie próbował kupować pistoletu, bo inaczej usłyszeliby-

śmy coś. Zresztą nic więcej nie chcemy, tylko mieć wiadomość zawczasu. Czy myślisz, że jakikolwiek przyzwoity komis albo sklep z bronią, który choć trochę dba o swoją licencję, sprzeda mu pistolet teraz, kiedy policja...

— Gdybym się nazywał Mink Snopes, nie przypuszczam, żebym poszedł do jakiegokolwiek sklepu, który ma do stracenia licencję za sprzedaż pistoletu czy strzelby.

— Na przykład?

— W Sadybie Francuza mówią, że Mink miał gorącą krew, jak był młody, w miarę swoich możliwości, naturalnie. Ale był kilka razy w Memphis, wiesz, te wyprawy chłopaków ze wsi — Quicków, Tullów i Turpinów itp., których w tym czasie rozpierała młodość: dosyć, żeby prawdopodobnie wiedzieć, gdzie szukać takich miejsc, które wolą nie mieć licencji, żeby im policja nie deptała po piętach za każdym razem, kiedy pistolet znajdzie się tam, gdzie nie powinien albo nie ma go tam, gdzie być powinien.

— Czy nie myślisz, że policja zna Memphis równie dobrze, jak pierwszy lepszy drań z manią morderczą, a zwłaszcza taki, który, przez czterdzieści lat był zamknięty w więzieniu. Policja z Memphis, która ma o wiele lepszą opinię niż dziesięć czy sto innych miast, które mógłby wymienić?

— Dobrze już, dobrze.

— Na miłość Boską, chyba nawet Bóg nie ma aż tyle zajęcia, żeby pozwolić jakiemuś typowi, opętanemu manią zabójstwa i mającemu tylko dziesięć dolarów w kieszeni, przejechać na gapę sto mil, potem za dziesięć dolarów kupić pistolet i znów przejechać za darmo drugie sto mil i zastrzelić tym pistoletem jeszcze jednego człowieka.

— Może to zależy od tego, kogo Bóg chce tym razem wysłać na tamten świat — stwierdził Ratliff. — Byłeś rano u szeryfa?

— Nie — odrzekł Stevens.

— Ja byłem. Flem jeszcze się z nim nie widział. Ani nie wyjechał z miasta. Sprawdziłem to także. Więc może to dobry znak: Flem się nie martwi. Myślisz, że powiedział Lindzie?

— Nie — odparł Stevens.

— Skąd wiesz?

— Mówił mi.

— Flem mówił? To znaczy sam ci powiedział, czy pytałeś o to?

— Zapytałem go — odrzekł Stevens. — Spytałem, czy zamierza powiedzieć Lindzie.

— I co ci powiedział?

— Powiedział: „Po co?”

— Och! — powiedział Ratliff.

Nadeszło południe. Ratliff miał sandwicze w torebce, którą przyniósł z sobą. — Jedź do domu i zjedz śniadanie — powiedział. — Ja tu posiedzę i odbiorę telefon.

— Czy sam nie mówiłeś, że jeżeli Flem się nie martwi, to po co my się mamy martwić?

— Toteż nie będę się martwił — rzekł Ratliff — tylko siedział i słuchał.

Ale Stevens był już z powrotem w kancelarii, kiedy zadzwonił telefon przed wieczorem. — Nic — odezwał się głos kolegi. — Żaden z komisów czy jakikolwiek inny sklep, gdzie ktoś mógłby kupić strzelbę czy pistolet jakiegokolwiek rodzaju, a tym bardziej za dziesięć dolarów. Może jeszcze nie dotarł do Memphis, chociaż niedługo minie dwadzieścia cztery godziny.

— To możliwe — rzekł Stevens.

— Może wcale nie miał zamiaru jechać do Memphis.

— W porządku, w porządku — powiedział Stevens. — Czy mam sam napisać do naczelnika policji iist z podziękowaniem, czy...

— Oczywiście. Ale najpierw niech na to zasłuży. Zgodził się, że to nie tylko nie będzie kosztować więcej, ale że to dobry pomysł sprawdzać codziennie listę zatrzymanych przez najbliższe dwa albo trzy dni na wszelki wypadek. Posunąłem się jeszcze dalej i powiedziałem, że jeśli obaj znajdziecie się kiedyś w tym samym okręgu wyborczym i on postanowi ubiegać się o jakieś stanowisko, zamiast tylko na nie czekać... — Stevens położył słuchawkę i zwrócił się do Ratliffa, nie patrząc na niego:

— Może nigdy tam nie dojedzie.

— Co? — spytał Ratliff. — Co on mówił? — Stevens powtórzył mu. — Myślę, że to wszystko, co możemy zrobić.

— Tak — rzekł Stevens. Pomyślał: „Jutro się okaże. Ale poczekam jeszcze jeden dzień. Może do poniedziałku”.

Ale nie czekał aż tak długo. W sobotę w jego kancelarii było zawsze dużo zajęcia, nie tyle w sprawach okręgu, za których prowadzenie pobierał pensję, ile z powodu wizyt ludzi z okolicy, którzy wybrali go na to stanowisko. Ratliff, który znał ich wszystkich równie dobrze, jeśli nie lepiej, nie krępował nikogo swoją obecnością siedząc na krześle pod ścianą, skąd mógł sięgnąć do telefonu, nie wstając. Miał nawet z sobą nowy, w domu przygotowany sandwich, ale w południe Stevens powiedział:

— Idź do domu i zjedz jakiś przyzwoity posiłek albo jedź do mnie. Dziś nie będą telefonować.

— Musisz pewnie wiedzieć, dlaczego — rzekł.

— Tak. Powiem ci to w poniedziałek. Nie: jutro. Niedziela to dobry dzień. Jutro ci powiem.

— Więc już wiesz, że wszystko jest w porządku.

Wszystko zakończone i uregulowane. Czy Hem wie już o l.yni, czy nie, może odtąd spać spokojnie.

— Nie pytaj mnie jeszcze — powiedział Stevens. — To tak jak nic. Jest mocna, póki ja czy ktoś inny jej nie zerwie.

— Więc przez cały czas miałaś rację. Nie potrzeba jej było mówić.

— Nigdy nie było trzeba — powiedział Stevens.

I nie będzie trzeba.

— To właśnie powiedziałem — rzekł Ratliff. — Teraz już nie trzeba.

— A ja przed chwilą powiedziałem, że nigdy nie było trzeba i nie byłoby trzeba bez względu na to- co by się stało.

— Nawet jeśli chodzi o problem moralny?

— Daj mi spokój z problemami i z moralnością. To nie żaden problem, to fakt. Fakt, że ani ty, ani nikt inny nie powie jej, że odruch litości i zwykłej szlachetności zamordował człowieka, który uchronił za jej ojca, czy jest on łotrem, czy nie jest.

— Dobrze, w porządku — powiedział Ratliff. — Chodzi o tę nic, o której przed chwilą wspomniałeś. Może najlepiej, jeśli nie chcesz dopuścić do jej zerwania, mieć pod ręką kogoś, kto by odebrał telefon, kiedy zadzwoni dziś o trzeciej.

Byli obaj w kancelarii o trzeciej. Potem była już czwarta. — Myślę, że teraz możemy już iść — powiedział Ratliff.

— Tak — potwierdził Stevens.

— Ale wciąż nie chcesz mi powiedzieć.

— Jutro — odparł Stevens. — Do tego czasu musi nadejść wiadomość.

— Więc ta nic, to w gruncie rzeczy drut telefoniczny.

— Do widzenia — powiedział Stevens. — Zobaczymy się jutro.

W centrali telefonicznej wiedziiano, gdzie go szukać o jakiegokolwiek porze. W niedzielę prawie do wpół do trzeciej po południu wciąż jeszcze myślał, że spędzi cały dzień w Rose Hill. Było w jego życiu wiele podobnych okresów niepokoju i troski, choć większość ich przeżył jako kawaler: przypominał sobie jeden czy dwa z nich, kiedy niepokój i troska wynikały z faktu, że był kawalerem, to znaczy, że okoliczności, warunki zmuszały go do stanu kawalerskiego, mimo wysiłków, żeby z nim zerwać. Ale wtedy zawsze coś pozwalało mu od tego uciec: czarodziejskie eliksiry, zapomnienie, zadanie, jakie sobie wyznaczył jeszcze w Harvard: przetłumaczyć Stary Testament z powrotem na klasyczną grekę z jego pierwszej wersji, potem samemu wyuczyć się hebrajskiego i w ten sposób osiągnąć prawdziwą czystość przekładu; poprzedniego wieczora pomyślał: „Tak, mam to do zrobienia jutro: zapomniałem o tym”. Potem, dziś rano, wiedział, że to już nie wystarczy, że już nigdy nie wystarczy. Oczywiście miał na myśli wysiłek: nie tylko zdolność skupienia się, lecz wierzenia w nią. Teraz był już to za stary, a prawdziwą tragedią wieku jest to, że żadna troska nie jest już dość bolesna, by żądać jakiegokolwiek poświęcenia i je usprawiedliwić.

Toteż minęła zaledwie druga, kiedy bez prawdziwego zdziwienia znalazł się z powrotem w samochodzie i wciąż bez zdziwienia, zajechawszy na opustoszały w niedzielę po południu Rynek, zobaczył Ratliffa czekającego na schodach jego kancelarii. Obydwaj, nie dbając już o żadne preteksty, patrzyli teraz, jak wskazówki zegara przesuwają się ku trzeciej.

— Dlaczego obaj ustaliliśmy godzinę trzecią jako magiczną granicę w tej historii? — spytał Ratliff.

— Jakie to ma znaczenie? — powiedział Stevens.

To prawda — odparł Ratliff. — Najważniejsze to uniknąć wstrząsów, nie naprężyć tej nici, o której mówiłeś.

Potem zegar na ratuszu wydzwonił trzy miękkie, ocieślało uderzenia wśród niedzielnej senności i po raz pierwszy Stevens zdał sobie sprawę, że przez cały czas nie tylko się spodziewał, ale wiedział, że telefon nie zadzwoni przed tą godziną. I w tej samej chwili, sekundzie, wiedział, dlaczego nie zadzwonił: fakt tego milczenia był bardziej przekonującym dowodem wiadomości, jaką miał przekazać telefon, niż byłby sam komunikat.

— W porządku — powiedział. — Mink nie żyje.

— Co? — zdumiał się Ratliff.

— Nie wiem, gdzie, i to nie ma znaczenia. Bo powinniśmy wiedzieć od początku, że trzy godziny wolności wystarczą, by go zabić, a cóż dopiero trzy dni. — Mówił prędko, nie zaciął się. — Nie rozumiesz? Małe, słabe zwierzę, wyobcowane, absolutnie samotne, nigdy nie należące do rasy ludzkiej i niczym z nią nie związane, zamknięte w klatce na trzydzieści osiem lat i nagle, w sześćdziesiątym trzecim roku życia wypuszczone na swobodę, pozbawione wszelkiego zabezpieczenia, jak krotak albo fer-de-lance, który jest szybki i śmiertelnie niebezpieczny tak długo, jak pozostaje wewnątrz szklanej klatki stworzonej dla człowieka i pilnowanej przez człowieka, ale nie przeżyje ani jednej godziny na swobodzie, Kiedy go wyrzucą widłami czy pincetą na ulicę miasta.

— Zaczekaj — przerwał mu Ratliff. — Zaczekaj.

Ale Stevens mówił dalej:

— Oczywiście, nie wiemy jeszcze, gdzie go znalezione ani jak, ani kto go rozpoznał, bo nikogo to nie obchodzi, może nawet nikt go dotychczas nie zauważył. Bo jest wolny. Może nawet umrzeć teraz,

gdzie mu sit; podoba. Przez trzydzieści osiem lat, aż do ostatniego czwartku, nie mógł dostać kataru ani wysypki, żeby nie *wpisano tego do rejestru w pięć minut później. AJe teraz jest wolny. Nikogo nie obchodzi, kiedy ani gdzie, ani w jaki sposób umrze, byleby jego zwłoki nie znalazły się na czyjejs drodze. Więc teraz możemy iść do domu i być spokojni, póki ktoś nie zatelefonuje, a wtedy ty i Flem możecie iść i rozpoznać go.

— Tak — powiedział Ratliff. — Ale...

— Daj spokój — przerwał Stevens. — Chodźmy stąd, jedź do mnie do domu i napijemy się czegoś.

— Najpierw powinniśmy iść i zorientować Flema w rozwoju wydarzeń — powiedział Ratliff. — Może potem on też zechce wypić kieliszek.

— Nie jestem naprawdę złym człowiekiem — powiedział Stevens. — Nie pożyczylbym Minkowi strzelby, żeby zastrzelił Flema, może nawet nie odwróciłbym oczu, gdyby Mink użył własnej strzelby. Ale też nie ruszę palcem, żeby oszczędzić Flemowi jeszcze jednego czy dwóch dni oczekiwania na Minka.

Nie podzielił się nawet z szeryfem swoim przekonaniem, że Mink nie żyje. Właściwie sam szeryf mu to podsunął; zastał szeryfa w jego biurze i wytłumaczył mu swoją i Ratliffa teorię co do pierwszego kroku Minka i powiedział mu, że policja codziennie przeprowadza śledztwo we wszystkich miejscach, gdzie Mink mógł próbować kupić broń.

— Więc najwidoczniej nie ma go w Memphis — powiedział szeryf. — Ile to już dni?

— Od czwartku.

— I nie ma go w Sadybie Francuza.

— Skąd pan wie?

— Byłem tam wczoraj i rozejrzałem się trochę.

— Nie uwierzył mi pan, mimo wszystko — powiedział Stevens.

— Co dzień robię jakiś objazd samochodem — wyjaśnił szeryf. — Wczoraj był piękny dzień na przejażdżkę na wieś. A więc miał cztery dni na przebycie stu mil. I nie wydaje się, żeby był w Memphis. I wiem, że go nie ma w Sadybie Francuza. A według pana, pan Snopes wie, że go nie ma tutaj, w Jefferson. Może nie żyje. — Teraz, kiedy ktoś inny stwierdził to, wypowiedział głośno, Stevens uświadomił sobie, że sam nigdy w to nie wierzył, słuchając i nie słysząc, jak szeryf mówił dalej: — Przeklęty, mały wąż, mówią, że nigdy nie miał żadnych przyjaciół i nikt nie wie, co się stało z jego żoną i córkami, ani kiedy stąd znikły. Być zamkniętym przez trzydzieści osiem lat i nagle wypuszczonym, jak się w nocy wypuszcza kota, nie mając dokąd iść i nikogo, kto by naprawdę pragnął jego wyjścia. Może nie mógł znieść tej swobody. Może to ona go zabiła. Słyszałem o takich wypadkach.

— Tak — powiedział Stevens. — Prawdopodobnie ma pan rację. „Nie zatrzymamy go — myślał spokojnie. — Nie możemy go zatrzymać. My wszyscy razem i policja w Memphis, i wszystko inne. Może nawet grzechotnik, który ma przeznaczenie po swojej stronie, nie potrzebuje szczęśliwych trafów, a tym mniej przyjaciół.”¹ — Ale jeszcze nic nie wiemy — powiedział głośno. — Nie możemy na to liczyć.

— Wiem — odparł szeryf. — Wysłałem wczoraj do sklepu Varnera dwóch ludzi, którzy twierdzą, że go pamiętają i że poznaliby go, gdyby go zobaczyli. I mogę kazać pilnować pana Snopesa w drodze z domu do banku i z powrotem. Ale pilnować przed kim, przed czym, kiedy i gdzie? Nie mogę umieścić policjanta w jego domu, póki tego nie zażąda, czy nie? Je-

po córka, pani Koli. Może ona mogłaby coś zrobić. Nadal nie chce pan jej powiadomić?

— Musi mi pan dać swoje słowo — powiedział Stevens.

—Dobrze — rzekł szeryf. — Przypuszczani, że pański kolega z Jackson da panu znać, kiedy tylko policja w Memphis wpadnie na jakiś ślad, prawda?

— Tak — potwierdził Stevens. Ale wiadomość nie nadeszła aż do środy. Rankiem zatelefonował do niego wkrótce po dziesiątej we wtorek wieczorem i oznajmił mu nowinę; w drodze do swego biura tego ranka przejeżdżał obok banku, którego zapuszczono żaluzje nie miały dziś być podniesione, a teraz stojąc przy swoim biurku ze słuchawką w ręku, widział przez okno czarne, białe, fioletowe festony kropy, wstążki i lilie, zawieszane na zamkniętych drzwiach frontowych.

— Znalazł pistolet za dziesięć dolarów — odezwał się głos kolegi szkolnego. — W poniedziałek, z samego rana. Sklep nie miał właściwie licencji, więc omal go nie przeoczyli. Po krótkiej perswazji właściciel przypomniał sobie tę sprzedaż. Ale powiedział, że można być spokojnym, że ten pistolet tylko można było nazwać pistoletem i że trzeba byłoby zużyć znacznie więcej niż te trzy naboje, które włożyli do środka, na to, żeby wystrzelił.

— Ha — odparł Stevens bez uśmiechu. — Powiedźcie ode ranie właścicielowi, że nie docenia swoich własnych możliwości. Ten pistolet był tu wczoraj wieczorem. I wystrzelił.

Kiedy dotarł do węzła kolejowego na krótko przed jedenastą w poniedziałek rano, siedział w ciężarówce do przewożenia bydła. Ciężarówka jechała dalej, na wschód, do Alabamy, ale nawet gdyby skręciła na południe i przejeżdżała przez Jackson, byłby wysiadł w tym miejscu. A gdyby to była ciężarówka z okręgu Yoknapatawpha lub gdzieś tam ktoś z Jefferson, nie byłby do niej w ogóle wsiadł.

Aż do chwili, kiedy wyszedł tego ranka ze sklepu z pistoletem w kieszeni, wszystko wydawało się proste; miał tylko jeden problem: zdobyć broń; potem już tylko geografia dzieliła go od momentu, kiedy wejdzie do domu człowieka, który pozwolił go zamknąć w więzieniu nie kiwnąwszy palcem i nie mając nawet odwagi ani przyzwoitości powiedzieć „Nie” na wołanie o pomoc, wołanie tej samej krwi, jaką obaj mieli w żyłach, i powie: „Spójrz na mnie, FJem”, i zabije go.

Teraz jednak musiał trochę wysilić wyobraźnię. Wydawało mu się, że otacza go łańcuch przeszkód nie do pokonania. Znajdował się o trzydzieści mil od Jefferson, w swoich stronach, w tej samej górzyszej okolicy północnego Missisipi, choćby nawet pozostawała jeszcze do przebycia nieznaczająca granica okręgu. Miał wrażenie, że odtąd każdy, kogo spotka albo kto

go zobaczy, nie potrzebuje nawet poznać czy przypomnieć sobie jego twarzy lub nazwiska, żeby od razu wiedzieć, kim on jest, dokąd idzie i co zamierza zrobić. Po chwili refleksji, refleksji bezpośredniej, niemal równoczesnej, niemal błyskawicznej, wiedział, że to fizyczna niemożliwość, a jednak nie miał odwagi ryzykować. Trzydzieści osiem lat zamknięcia w Parchman stepiło, zniszczyło w nim pewne właściwości, które w ludziach nie przebywających w zamknięciu prawdopodobnie jeszcze się zaostrzyły, i mogli go poznać, domyślić się, odgadnąć, kim jest, a on nawet by o tym nie wiedział. „To dlatego, że mnie tak długo nie było — pomyślał. — Tak jakby musiał uczyć się rozmawiać całkiem na nowo.”

Chciał powiedzieć nie „rozmawiać”, lecz „-myśleć”. Idąc wzdłuż szosy (teraz była pokryta asfaltem, równa i gładka jak stół, i pędziły po niej samochody zamiast wozów zaprzężonych w muły lub konie, posuwających się wolno krętą, zakurzoną dróżką, jaką na tym miejscu pamiętał), nie mógłby przeobrazić swojego wyglądu, zmienić twarzy, jej wyrazu, swojskiego regionalnego ubioru czy sposobu chodzenia: przez rozpaczliwą i dziwaczną chwilę rozważał, potem odrzucił myśl, czy nie lepiej iść tyłem, przynajmniej kiedy usłyszy nadjeżdżający samochód albo ciężarówkę, żeby sprawiać wrażenie, że idzie w innym kierunku. Tak więc musiał zmienić sposób myślenia, tak jak zmienia się kolor żarówki w latarni, kiedy nie można zmienić samej latarni. Idąc trzeba było niezmiennie i absolutnie myśleć tak, jak gdyby nigdy w życiu nie słyszał nazwiska Snopes ani nazwy miasta Jefferson, i nie wiedział nawet, że idąc tą drogą będzie musiał przejść przez to miasto; powinien myśleć tak, jak ktoś, kto dąży do celu oddalonego o setkę i więcej mil i kto duchem już tam jest i tyłko jego zewnętrzna powłoka, jego postępujące naprzód nogi idą tą drogą, po tym jej odcinku.

Musiał także znaleźć kogoś, z kim mógł rozmawiać nie budząc podejrzeń, nie tyle dla zdobycia informacji, co dla ich potwierdzenia. Zanim opuścił Parchman i był wreszcie wolny, o krok od osiągnięcia celu, do którego cierpliwie zmierzał przez trzydzieści osiem lat, zdawało mu się, że posiada wszystkie potrzebne mu informacje, które — nie z dnia na dzień oczywiście i nie zawsze nawet z roku na rok, ale przynajmniej w odstępach mniej więcej dziesięcioletnich — przenikały nawet do Parchman; wiedział, jak i gdzie mieszka jego kuzyn, jak spędza dni, jakie są jego obyczaje, o której godzinie skąd i dokąd wychodzi i wraca: wiedział nawet, kto mieszka razem z nim w domu albo tuż obok. Ale teraz, kiedy oczekiwana chwila prawie nadeszła, te wiadomości mogły nie wystarczyć. Mogły być nawet fałszywe, mylne. Znowu pomyślał: „To dlatego, że tak długo mnie nie było tutaj i że musiałem być tam, gdzie byłem”, jak gdyby spędził te trzydzieści osiem lat nie tylko poza światem, ale poza życiem, tak że nawet te wieści, które w końcu do niego doszły, przestały już być prawdziwe, po to, żeby tam dojść, i przez to samo, że znalazły się wewnątrz murów Parchman, stawały się dla niego wrogie, zdradliwe i fatalne, gdyby zechciał z nich skorzystać, zaufać im, liczyć na nie.

Po trzecie chodziło o pistolet. Droga była teraz pusta, biegła między dwiema ścianami lasów, nie słychać było żadnych pojazdów i jak okiem sięgnąć żadnego domu ani ludzkiej istoty. Wyjął pistolet i spojrzął nań znowu, jakby z rozpaczą. Jeżeli rano, w sklepie, nie bardzo przypominał wyglądem pistolet, to teraz, w szczerym polu, w słonecznej głuszy i ciszy popołudnia nie wyglądał w ogóle na żaden przedmiot rozpoznawalny i mający określoną nazwę, i bardziej

niz cokolwiek innego przypominał wykopalisko, swój własny skamieniały prototyp. Mimo wszystko należało go wypróbować, poświęcić jedną z trzech kul tylko po to, by sprawdzić, czy naprawdę wystrzeli. I przez jedną chwilę, sekundę, coś kołatało do jego pamięci. „Musi wystrzelić — pomyślał. — Musi. Inaczej być nie może. Stary Pan tylko karze. Nie drwi z ludzi”.

Był także głodny. Nie jadł nic oprócz paczki pierników rankiem. Zostało mu jeszcze parę centów i minął już dwa bary przy stacjach benzynowych. Ale teraz był w swojej okolicy, nie miał odwagi wstąpić do baru i być widzianym w chwili, gdy kupuje ser

i herbatniki, na które mógł sobie jeszcze pozwolić. To nasunęło mu także myśl o noclegu. Do zachodu słońca brakowało jeszcze trzech godzin, nie mógł znaleźć się w Jefferson przed jutrem, tak że to mogło być dopiero jutro wieczorem; zszedł więc z szosy na zakurzoną boczną ścieżkę, niemal wiedziony instynktem, ponieważ nie mógł pamiętać, kiedy zaczął zauważać rozproszone i zaczepione na krzakach przydrożnych strzępki puchu bawełnianego, którymi przejeżdżające wozy znaczyły swoją drogę do odziarniarki, gdyż ten rodzaj drogi był mu dobrze znany z odległych czasów wolności, kiedy dzierżawił farmę: droga dla Murzynów pobrużdżona koleinami i znaczona strzępkami puchu, błotnista, nie wysypana nawet żwirem, bo ludzie, którzy tu mieszkali i korzystali z tej drogi, nie mieli ani siły wyborczej, aby zmusić, ani pieniędzy, aby przekonać inspektora tego odcinka, żeby zrobił coś więcej oprócz wyrównania jej i oczyszczenia dwa razy do roku.

Tak więc znalazł to, czego nie tylko uporczywie szukał, ale czego oczekiwał: nie pomalowaną i na pół rozwaloną chatę, ogrodzoną i podpartą nie pomalowanymi kołkami, i zabudowania: stodoły, szopy, staj nie na wzgórkach nad małym polem kukurydzy w donnie strumienia, gdzie widział już z daleka całą rodzinę murzyńską dźwigającą wielkie poplamione worki wzdłuż mniej więcej równoległych rzędów bawełny, ojciec, matka, pięcioro dzieci w wieku od pięciu czy sześciu do dwunastu lat i czworo młodych ludzi i dziewcząt, prawdopodobnie sąsiadów, którzy im pomagali w pracy. Mink zaczął przy końcu rzędu, aż ojciec, który kierował pracą, znalazł się przy nim.

— Dzień dobry — powiedział Mink. — Nie przydałby się wam ktoś do pomocy?

— Chcesz zbierać? — spytał Murzyn.

— A. ile płacisz?

— Półtora dolara.

— Pomogę wam trochę — powiedział Mink. Murzyn zwrócił się do dwunastoletniej dziewczynki z nimi:

— Daj mu swój worek. Ty idź do domu przygotować kolację.

Wziął worek. Był dobrze z tym wszystkim obeznany. O tej porze roku zbierał bawełnę przez całe swoje życie. Tyle tylko, że przez ostatnie trzydzieści ośmiu lat za jego plecami był karabin, a przy końcu rzędu czekał bat jako obietnica za opieszałość, kiedy tutaj znowu była waga i pieniądze przeznaczone jako nagroda za pośpiech. I tak jak się tego spodziewał, jego pracodawca znalazł się teraz w rzędzie obok niego.

— Nie mieszkasz tu nigdzie w okolicy — powiedział Murzyn.

— To prawda — odparł. — Przechodzę tylko tędy po drodze do delty. Tam mieszka moja córka.

— Gdzie? — spytał Murzyn. — Kiedyś sam pracowałem przy zbiorach w delcie.

Nie znaczy to, że powinien być oczekiwać tego następnego pytania i że starałby się go uniknąć, gdyby

wiedział, jak. Raczej to pytanie nie miałyby znaczenia, gdyby nie zapomniał myśleć o sobie, jak o kimś innym. Nie wahał się. Nawet odpowiedział spontanicznie: — W Doddsville. Niedaleko Parchman. —

I wiedział także, jakie miało być następne pytanie, to, którego Murzyn nie zadał, więc sam z góry na nie odpowiedział: — Byłem przez rok w szpitalu w Memphis. Doktor mi zalecił spacerować, kazał dużo chodzić. Dlatego idę na piechotę, zamiast jechać pociągiem.

— W szpitalu żołnierzy z wojny?

— Co? — spytał.

— Rządowy szpital żołnierzy z tej wojny.

— Właśnie tak — powiedział — rządowy. Trzymali mnie tam przez rok.

Było już po zachodzie słońca. Żona odeszła do domu już chwilę temu. — Chcesz teraz zważyć? — zapytał Murzyn.

— Nie śpieszy mi się — powiedział. — Jutro mogę pracować pół dnia. Wyruszę dalej po południu. Jeżeli żona zechce mi uszykować coś na kolację i jakiś siennik do spania, możesz to potrącić z wagi.

— Nikomu nie każę płacić za to, że zje coś w moim domu — powiedział Murzyn.

Jadalnia składała się z nakrytego ceratą stołu, na którym stała lampka naftowa, w tym samym pomieszczeniu, gdzie z wolna wygaszał teraz ogień w piecu kuchennym. Zjadł kolację sam, rodzina gdzieś znikła, cały dom wydawał się pusty: na stole czekał już na niego talerz z boczkiem duszonym z pomidorami i kukurydzą w konserwach, nie dopieczone podplomyki

i filiżanka kawy, gdy Murzyn zawołał go na kolację. Potem wrócił do pokoju, gdzie paliło się na kominku kilka polan, gdyż były to pierwsze dni jesiennych chłódów. Wtedy żona i najstarsza córka wstały i poszły do kuchni przygotować kolację dla rodziny. O- brócił się do ognia, wyciągając przed siebie nogi: w jego wieku odczuwało się już chłód wieczorny. Zagadał do Murzyna od niechcenia, tonem obojętnej pogawędki, z początku nawet jak gdyby roztargnionym.

— Widzę, że odziarniacie bawełnę do składów w Jefferson i tam sprzedajecie. Znałem w tym mieście parę osób. Pamiętam nazwisko bankiera, de Spain, zdaje się. To już dawno temu, oczywiście.

— Nie pamiętam go — powiedział Murzyn. — Główny bankier teraz w Jefferson nazywa się pan Snopes.

— Owszem, słyszałem o nim. Wielki bankier, bogacz podobno. Mieszka w największym domu w mieście i ma kucharza, i człowieka do służby tylko dla siebie i dla tej córki, co to opowiada, że jest głucha.

— Ale to prawda, ona jest głucha. Była na wojnie. Ogłuszył ją wybuch armatni.

— To ona tak mówi. — Murzyn nie odpowiedział. Nie poruszył się; siedział na bujającym się fotelu, jedynym w pokoju i prawdopodobnie w całym domu. Ale teraz spłynęło na niego coś więcej niż cichy spokój, bezruch; niemal jakby wstrzymywał oddech. Mink siedział zwrócony do ognia plecami, tak że jego twarz była niewidzialna: głos jednak nie był zmieniony.

— Kobieta na wojniel Pewnie wszystkich na to nabrała! Znałem takich. Przechwala się tylko, że tak było, a ludzie są za grzeczni, żeby jej zarzucić kłamstwo. Na pewno słyszy wszystko tak dobrze jak ty i ja.

Teraz odezwał się Murzyn prawie surowo: — Ten, co ci mówił, że to oszukaństwo, sam kłamie. Nie tylko w Jefferson, ale i gdzie indziej ludzie wiedzą, że to prawda, czy doszła, czy nie doszła do tego szpitala żołnierzy, gdzie podoono byłęś. Na twoim miej-

ci nie sprzeczałbym się o to. A przynajmniej uważać bym, z kim się sprzeczam.

— Dobrze, dobrze — powiedział Mink. — Wy z Jefferson musicie io wiedzieć. Więc ona naprawdę nic nie słyszy? Można by podejść do niej z tyłu na przy- ci."d, nawet w tym samym pokoju i nic by nie usłyszała?

— Tak — odrzekł Murzyn. W drzwiach do kuchni stała teraz najstarsza córka. — Jest głucha. Nie potrzebujesz s>ę o to sprzeczać. Pan Bóg ją doświad czyi, tak jak doświadcza wielu ludzi lepszych niż ty i niż ja. O to możesz być spokojny.

— Tak to jest — powiedział Mink. — Wasza kolacja, zdaje się, gotowa. ■— Murzyn wstał.

— Nie potrzebuję spać w domu — powiedział. — Doktor mi kazał być jak najwięcej na świeżym powietrzu. Jeżeli mi dacie coś do przykrycia, mogę spać w ciężarówce na bawełnę i wstanę jutro wcześniej do roboty w polu.

Bawełna, która do połowy wypełniała ciężarówkę, przykryta była na noc brezentową płachtą, tak że nie potrzebował nawet koca. Było mu całkiem wygodnie. Najważniejsze, że nie spał na ziemi. To właśnie było niebezpieczeństwo, którego człowiek powinien się wystrzeżać; kiedy położysz się na ziemi, ziemia zaraz cię zaczyna ciągnąć do siebie. W tej samej chwili, kiedy wyszedłeś z łona matki, zaczynała działać przeciw tobie siła przyciągania ziemi. Gdyby nie było innych kobiet w domu czy u sąsiadów, czy choćby służących, żeby cię trzymać, nie dopuszczać, żeby cię ziemia dotknęła, nie przeżyłbyś nawet godziny.

I wiedziałeś o tym ty także. Ledwie potrafiłeś się ruszać, podnosiłeś głowę, choćbyś niczym więcej ruszyć nie mógł, próbując przeszkodzić w tym ciągnięciu, prostować się, siadać na kjrzesłach czy czymkolwiek, nawet kiedy nie mogłeś jeszcze ustać na nogach, żeby

tylko trzymać się z dala od ziemi, ratować się. Potem mogłeś stać sam i nawet zrobić krok czy dwa. ale i wtedy, przez pierwsze kilka lat, połowę ich spędziłeś na ziemi, starej, cierplivej ziemi, która czeka na ciebie mówiąc: „To nic, to tylko upadek, to nie boli, nie bój się”. Potem jesteś człowiekiem dorosłym, silnym, u szczytu rozwoju, od czasu do czasu możesz zaryzykować i położyć się na ziemi w lesie, kiedy polujesz w nocy; znalazłeś się za daleko od domu- więc możesz nawet zaryzykować tyle, żeby resztę nocy przespać na ziemi. Oczywiście będziesz się starał znaleźć coś, deskę, belkę, polano, cokolwiek, co mogłoby odgradzić twoją podświadomość, bezsilność od starej, cierplivej ziemi, która może pozwolić sobie na czekanie, bo i tak dostanie cię pewnego dnia, ale nie uważa za stosowne dawać ci całą miłą, dlatego że ośmieliłeś się wziąć cał. Wiesz o tym; z twoją siłą i zdrowiem odważysz się leżeć na ziemi przez jedną noc, ale nawet ty nie zaryzykujesz dwóch nocy. Bo jeśli na przykład w południe jesteś na polu

i usiądziesz sobie pod drzewem albo pod płotem, żeby coś zjeść, a potem położysz się na chwilę i zdrzemniesz, to później, kiedy obudzisz się nagle, nie wiesz nawet, gdzie jesteś, dlatego że jesteś tam nie cały; nawet przez ten krótki czas, kiedy nie uważałeś, stara, cierpliwa ziemia, która czeka i której się nie śpieszy, dostała cię już na chwilę, pierwszy raz, tylko że udało ci się obudzić w porę. Toteż gdyby było trzeba, Mink zaryzykowałby spanie na ziemi tę jedną, ostatnią noc. Ale nie musiał ryzykować. Było tak, jakby sam Stary Pan powiedział: „Nie pomogę ci ani trochę, ale też nie będę ci przeszkadzał”.

Potem był świt. Zjadł śniadanie, znowu sam: kiedy wzeszło słońce, byli znowu w polu, przy bawełnie. Przez te błogosławione dni zbiorów, między letnią rosą a pierwszym szronem jesieni, bawełna była wolna

od wilgoci i gotowa do zbioru, ledwie się pokazała. Pracowali do południa. — No tak — powiedział do Murzyna. — Trochę ci pomogłem. Masz już zebraną dobrą belę do tej odziarniarki w Jefferson, toteż chyba pójdę już dalej, póki jeszcze mogę znaleźć kogoś, kto mnie podwiezie kawałek, dla odmiany.

Nareszcie był blisko, zupełnie blisko. Trzeba było na to trzydziestu ośmiu lat i zrobił wielkie koło przez podróż do delty tam i z powrotem, ale teraz już był blisko. To była nowa droga do Jefferson, nie ta dawna, która prowadziła ze sklepu Varnera i którą dobrze pamiętał. Te nowe żelazne tabliczki z numerami wzdłuż drogi także nie były podobne do dawnych wypisanych ręką deseczek przy słupach milowych, a choć mógł je odczytać, to chyba większość z nich nie oznaczała mil, bo liczby się nie zmniejszały. Ale jeżeli to były mile, to musiał się upewnić.

— Ta droga prowadzi prosto do Jefferson, prawda?

— Tak — powiedział Murzyn. — Stąd możesz skrócić do delty.

— Tak też zrobię. Jak daleko jeszcze do miasta?

— Osiem mil — powiedział Murzyn.

Ale mógł sobie wyobrazić milę, czy widział słupy milowe, czy nie, siedem mil, potem sześć, potem pięć, gdy słońce wskazywało niewiele minut po pierwszej; potem cztery mile — długie wzgórze i strumień w dolinie u jego podnóża. Wtedy powiedział:

— Zostaw mnie tu, przy tym moście. Dziś jeszcze nie byłem na spacerze. — Murzyn zwołał kierując ciężarówkę w stronę mostu. — Dobra — powiedział Mink. — Dalej pójdę piechotą. Bardzo bym nie chciał, żeby mnie ten doktor zobaczył, jak wysiadam z ciężarówki, bo zaraz próbowałby wyciągnąć ze mnie jeszcze jednego dolara.

— Zaczekam na ciebie — rzekł Murzyn.

— Nie, nie — sprzeciwił się Mink. — Musisz odziarnić bawełnę i wrócić do domu przed wieczorem. Nie masz czasu. — Wsiadł z szoferki i wypowiedział obowiązującą od niepamiętnych czasów w okolicy formułkę dziękczynną: — Ile ci jestem winien? — A Murzyn odpowiedział zgodnie z tą samą zasadą: h ... S**

— Nic od ciebie nie wezmę. I tak musiałem jechać w tę stronę.

— Bardzo dziękuję — powiedział Mink. — Nie mów tylko nic o tym temu doktorowi, gdybyś przypadkiem go spotkał. Zobaczymy się może kiedyś w delcie.

Potem ciężarówka odjechała. Droga była pusta, kiedy z niej zszedł. Jeśli chciał ją stracić z oczu, musiałby iść jeszcze dość daleko. Ale nikt nie powinien słyszeć nawet echa próbnego strzału. Nie mógłby powiedzieć dlaczego; nie mógłby wytłumaczyć, czemu nie będąc ani na chwilę sam przez trzydzieści osiem lat chciał teraz rozkoszować się każdą najdrobniejszą cząsteczką tej samotności, do jakiej upoważniała go wolność. Miał jeszcze przed sobą pięć albo sześć godzin do zmroku i prawdopodobnie mniejszą jeszcze liczbę mil do przebycia wzdłuż strumienia przez gąszcz cyprysów, wierzb i dębów na przestrzeni ćwierć mili, może więcej, kiedy nagle przystanął, skamieniały ze zdumienia, emocji, a nawet radości.

Przed nim, przerzucona nad strumieniem, biegła linia szyn. Teraz nie tylko wiedział, jak dotrzeć do Jefferson, nie narażając się ustawicznie na spotkanie z ludźmi, którzy mogliby poznać go i odgadnąć, co zamierza zrobić, ale miał się czym zająć, żeby spędzić jakoś czas do zmroku, kiedy będzie mógł ruszyć dalej.

Właściwie tak, jakby nie widział kolei od trzydziestu ośmiu lat. W Parchman przechodziła linia kolejowa przez całą długość ogrodzenia z drutu z jednej

"S*/stronY' 1 codziennie, jak sięgnąć pamięcią, mógł oglądać przejeżdżające pociągi. Prócz tego, od czasu do czasu grupa więźniów pod nadzorem uzbrojonych strażników wykonywała jakieś grubsze roboty budowlane albo reperacje nie opodal linii kolejowych, biegnących przez deltę, i wtedy także widywał pociągi. Ale nawet jeśli nie odgradzały go od kolei druty kolczaste, patrzył na nią z więzienia, pociągi były widziane, oglądane z zamknięcia i wydawały się obce w swojej wolności, biegnące, istniejące w świecie wolnym, a więc nierealne, niby chimery, zjawy bez przeszłości i bez przyszłości, nie zmierzające do nikąd, skoro miejsce ich przeznaczenia nie mogło istnieć dla niego: były w ruchu przez kilka sekund, przez chwilę, a potem odjeżdżały do nikąd: nie istniały. Teraz jednak było inaczej. Mógł na nie patrzeć sam, będąc w^olnym, kiedy przejeżdżały i znikwały w wolności, i one, i on wymieniali się w pewien sposób, łączyła ich nawet wzajemna zależność; pociąg mknący wśród dymu, hałasu i ruchu, on — patrzący za nim, wspominający, że trzydzieści osiem lub czterdzieści lat temu, tuż przed odjazdem do Parchman, okoliczność ta łączyła się z pewnym kryzysem w jego sprawach, o którym później zapomniał, ale tak wyglądały wszystkie jego momenty: uwikłane w jakiś kryzys ustawicznych zniewag i niesprawiedliwości, tak że musiał porzucać wszystko, żeby im stawić czoło, podołać im, nie mając potrzebnych na to narzędzi, e- kwipunku, a nawet czasu wolnego od nieustającej pracy, jakiej wymagało wyżywienie jego i rodziny: to jeden z takich momentów, a może tylko chęć obejrzenia pociągu przywiodła go tu nigdy z odległej

o dwadzieścia dwie mile Sadyby Francuza. Tak czy inaczej musiał spędzić noc w mieście, z jakiegokolwiek było to powodu, i poszedł na stację, by zobaczyć nadjeżdżający pociąg pasażerski do Nowego Orleanu: sycząca lokomotywa, oświetlone wagony i bezczelny, bezwstydnny tragarz, Murzyn: jeden wagon, w którym ludzie jedli kolację, obsługiwani przez murzyńskich kelnerów, zanim wrócili do wagonów sypialnych, gdzie były prawdziwe łóżka. Pociąg zatrzymał się na chwilę, potem odjechał, długi, hermetycznie zamknięty fragment innego świata, wlokący się po czarnej ziemi po to, żeby biedni ludzie w kombinezonach, jak on, mogli przez jedną chwilę swobodnie mu się przyglądać z otwartymi z podziwu ustami, i ani sam pociąg, a tym bardziej ludzie, którzy w nim by

li, nie wiedzieli nawet, że on tam jest.

Ale mógł tu stać i obserwować go tak swobodnie, jak każdy inny człowiek, mimo że miał na sobie kombinezon, zamiast diamentów; w pewnej chwili przypomniało mu się jeszcze coś, czego się dowiedział w Parchman przez te długie, monotonne lata, kiedy przygotowywał się do wolności (materiał informacyjny, drobne wskazówki, które musiał gromadzić, bo w chwili gdy przyjdzie wolność, mogło już być za późno na pytania): żadne pociągi pasażerskie nie przejeżdżały już przez Jefferson od roku 1935, linia kolejowa, którą zbudował stary pułkownik Sartoris (nie bankier, choć jego też nazywano pułkownikiem, ale jego ojciec, prawdziwy pułkownik, który był dowódcą wszystkich chłopców z okolicy podczas tej wojny o niewolników), służyła już tylko do przewożenia towarów. To, co według opowiadań starych ludzi, których nawet on, Mink, znał jeszcze i pamiętał, było największym wydarzeniem dla okolicy, zapewniającym Jefferson i całemu okręgowi połączenia kolejowe z Zatoką Meksykańską z jednej strony, a Wielkimi Jeziorami z drugiej, teraz stało się zarosłą chwastami boczną linią, wykorzystywaną tylko przez dwa miejscowe pociągi towarowe, kursujące mniej więcej raz na dzień.

W tym przypadku więc, bardziej niż kiedykolwiek, droga ta będzie jego drogą do miasta, i swoboda samotności, na którą musiał czekać przez trzydzieści osiem lat, nie zostanie tu pogwałcona. Zawrócił więc i przeszedłszy jakieś sto jardów, stanął. Nie było tu nic prócz gąszczy krzaków zasnutych ciszą wrześniego popołudnia. Wyjął pistolet. „Wygląda to jak żółt”, pomyślał w przyptywie czegoś, co z początku wydało mu się humorem, póki nie uświadomił sobie, że to rozpacz, bo wiedział, że ta broń nie wypali, nie może wypalić, tak że gdy przekręcił bębenek, aby nastawić pierwszy z trzech załadowanych naboju pod uderzenie kurka, i naciągnął kurek, wycelował w podnóże cyprysa odległego o cztery czy pięć stóp, a potem nacisnąwszy spust usłyszał lekkie szcęknięcie, jego jedynym uczuciem była spokojna, mściwa satysfakcja, że przewidział trafnie i mógł oświadczyć z pozycji bezspornej słuszności: „Mówiłem, że tak będzie” i zapomniał nawet, czy powtórnie naciągnął kurek, bo teraz nie wiedział, w co wycelował, ale w tej samej chwili broń szarpnęła i huknęła z niewiarogodnym błyskiem u wylotu lufy, niewiarygodnie krótkiej. Teraz dopiero, niemal za późno, konwulsyjnym ruchem zatrzymał rękę, zanim odruchowo odwiodła kurek, aby wystrzelić ostatni pozostały nabój. Ale zatrzymał się w porę, odrywając kciuk i palec wskazujący od pistoletu, tak że mógł lewą ręką uchwycić i wyjąć go z prawej, która w następnym ułamku sekundy mogła pozostać z pustą i beużyteczną bronią, po tylu trudach i wysiłkach. „Może ten ostatni też nie wystrzelił” — myślał, ale tylko przez chwilę, ułairfek sekundy, dodając w myśli: „Nie. Musi wystrzelić. Musi. Nie może być inaczej. Nie potrzebuję się o to martwić. Stary Pan tylko karze. Nie drwi z ludzi”.

I teraz (była zaledwie druga godzina, jak wskazywało słońce, przynajmniej cztery godziny do zachodu) mógł nawet zaryzykować i położyć się na ziemi, ostatni raz, zwłaszcza że miał za sobą noc spędzoną w ciężarówce. Ruszył więc naprzód, idąc teraz pod wiaduktem, na wypadek, gdyby ktoś usłyszał strzał i przybiegł zobaczyć, co się dzieje. Za wiaduktem zobaczył miejsce obok kłody drzewa i położył się. Od razu doznał wrażenia, jakby ktoś dotknął go ręką, macając powolutku, ukradkiem, jakby stara ziemia mówiła do siebie, bez niecierpliwości, bez pośpiechu: „No, no, diabła zjem, jeżeli ten nie położył się już na samym progu moich drzwi”. Ale wszystko było w porządku, mógł zaryzykować przez tak krótki czas.

Jak gdyby miał z sobą budzik, obudził się dokładnie na czas, żeby zobaczyć poprzez sklepienie liści nad głową ostatni promień słońca znikający za horyzontem, akurat tyle światła, by odnaleźć drogę powrotną poprzez gąszcz do toru i wejść na szynę. Tutaj było lepiej, jaśniej, dość światła dziennego, by widzieć drogę przez większą część ostatniej mili do miasta, zanim jasność ustąpiła miejsca ciemności, pośród rozproszonych światel przedmieścia i pierwszej spokojnej ulicy na peryferiach pod sztywnymi ramionami semaforu na skrzyżowaniu dróg i jedyną latarnią, gdzie jadący na rowerze chłopak Murzyn zdążył zobaczyć go stojącego na środku skrzyżowania i zahamować w porę. — Powiedz no, synu, gdzie tu mieszka pan Flem Snopes? — zapytał go.

Od czwartku wieczorem aż do tego czasu, co noc od wpół do dziesiątej do świtu następnego dnia, Flem Snopes miał straż przyboczną, choć nikt z białych ludzi oprócz żony strażnika, nie wyłączając samego Snopesa, nie wiedział o tym. Człowiek ten zwał się Luther Biglin, pochodził ze wsi i aż do wyboru ostatniego szeryfa z zawodu był trenerem psów, farmerem

i myśliwym. ktoś dostarczał zabijając zwierzyńce do sklepów.

Jego żona była siostrzenicą męża siostry ostatniego szeryfa.- Ephriama Bishopa, a jego matka — rodzoną siostrą miejscowego działacza politycznego, który żelazną ręką dzierżył rządy w tej części okręgu -tak jak Will Varner w Sadybie Francuza), gdzie wybrano Bishopa szeryfem. Tak więc Biglin sprawował obecnie funkcje klucznika w więzieniu pod rozkazami Bishopa. Było tu jednakże lekkie odchylenie od zwykłych reguł nepotyzmu. Podczas gdy urzędnicy niższych szczebli hierarchii w tej formie rządów najczęściej nie dawali z siebie nic na stanowiskach, o które nie zabiegali, tylko przyjęli je pod presją rodziny, by nie dopuścić członków przeciwnego stronnictwa politycznego, Biglin przynosił z sobą cały zapal, wierność i namiętne przywiązanie, a przede wszystkim dbałość o czystość i nietykalność pozycji swego krewniaka, uczucia, które na przykład ordynans Murata mógł żywić dla symboliki reprezentowanej przez łaskę swego pana.

Był on nie tylko uczciwy (nawet w' handlu zwierzyzną, sprzedając swoje kuropatwy, przepiórki i dzikie kaczkę, łamał tylko przepisy prawa, nigdy własne słowo)» ale także odważny. Po Pearl Harbour, chociaż brat jego matki mógł i z pewnością obmyśliłby jakiś sposób zwolnienia go od wojska, Biglin sam zgłosił się jako ochotnik do Korpusu Strzelców Morskich, odkrywając przy tej okazji, że według kryteriów wojskowych jest niemal ślepy na prawe oko. Sara tego dotychczas nie zauważyła. Raczej słuchał radia niż czytał, a przy strzelaniu (był jednym z najlepszych strzelców w okolicy, choć nie bez pewnej ekstrawagancji i marnotrawstwa prochu, gdyż strzelał lewą ręką. Zużył więcej kul i prochu niż ktokolwiek w okręgu, a w trzydziestym roku życia zniszczył już dwie pary luf)

ten defekt wzroku raczej mu pomógł, niż przeszkadzał, bo nie musiał się ćwiczyć w otwieraniu obojga oczu, aby widzieć koniec lufy i cel jednocześnie, ani przymykać prawego oka, żeby usunąć parasolkę. Toteż kiedy (nie przez ciekawość, lecz przez zwykłe pokrewieństwo biurokratyczne) dowiedział się — wcześniej nawet niż szeryf, bo on, Biglin, od razu w to uwierzył — że Mink Snopes wyszedł wreszcie z więzienia stanowego, pomyślał, że jego pogródki pod adresem kuzyna, nawet wypowiedziane przed czterdziestu laty, nie powinny być lekceważone, ku czemu zdawał się skłaniać jego przełożony.

A więc jego celem, jego zamiarem nadal było o- chronić i zachowywać nieskazitelność pozycji swego krewnego, co w tym wypadku oznaczało także ochronę czyjegoś życia i spokoju, w której on skromnie uczestniczył. Ale było jeszcze coś innego, choć

o tym wiedziała tylko jego żona. Nawet szeryf nie znał jego planu, jego kampanii. Powiedział o tym tylko swojej żonie: — Może w tym nic nie być, jak mówi Eef, może po prostu jeszcze jedno z przywidzeń prokuratora Stevensa. Ale przypuśćmy, że kuzyn Eef się myli, a prokurator ma rację: przypuśćmy... — Miał już tę wizję przed oczyma: ostatni ułamek sekundy, pan Snopes bezsilny w swoim łóżku, skazany na zagładę, ostatni, beznadziejny krzyk o pomoc, której wiedział, że u nikogo nie znajdzie, nóż (tasak, młotek, pogrzebacz czy jakiegokolwiek narzędzie zemsty wybierze morderca) już nad głową ofiary — i w tym momencie wyskakuje z ciemności on, Biglin, z latarką w jednej ręce i pistoletem w drugiej, podczas gdy wyraz szatańskiej nadziei i triumfu ustępuje miejsca zdumieniu w twarzy mordercy, który od jednej kuli pada u nóg swej niedoszłej ofiary. — No i pan Snopes zrobi z nas bogatych ludzi! Musi! Nie ma innego wyjścia.

sos

Ponieważ pan Snopes nie powinien o tym wiedzieć (szeryf wytłumaczy! mu, że w Ameryce nie można wolnemu człowiekowi zafundować niańki, jeśli sam tego nie zażąda albo przynajmniej świadomie się na to nie zgodzi), Biglin nie mógł się schować w jego sypialni, lecz musiał zająć najlepszą placówkę, jaką znajdzie w pobliżu okna, przez które najprędzej będzie mógł wejść, a przynajmniej widzieć, co się dzieje, i wycelować. Co oczywiście oznaczało, że będzie musiał czuwać całą noc. Był dobrym, sumiennym klucznikiem, więzienie utrzymywał w czystości, a jego więźniowie byli dobrze nakarmieni i dopilnowani; nie licząc drobnych posyłek i zleceń, jakie musiał wykonywać dla szeryfa. Tak więc jedynym w ciągu dwudziestu czterech godzin okresem, kiedy mógł się zdrzemnąć, była godzina między kolacją a ostatnim kategoriowym momentem, kiedy musiał się znajdować na stanowisku za oknem w sypialni Snopesa. Co wieczór kładł się więc do łóżka natychmiast po kolacji, podczas gdy jego żona szła do kina i budziła go zaraz po powrocie, około wpół do dziesiątej. Wtedy z latarką i pistoletem, zapakowanym w papier sandwichem, składanym krzesłem i swetrem dla ochrony przed chłodem wrześnieowym, który około północy zaczynał dawać się we znaki, trzymał straż, nieruchomy i milczący, pod płotem naprzeciwko okna, za którym, jak wiedziało całe Jefferson, Snopes spędzał całe swoje życie pozabankowe — dopóki wreszcie nie zgasło światło. Do tego czasu dwaj służący Murzyni dawno już odeszli. Wtedy ostrożnie przechodził przez trawnik, rozkładał krzesło pod oknem i siadał, siedząc tak nieruchomo, że bezpieczne psy, które włóczyły się w nocy po całym mieście, niemal wpadały na niego, zanim wyczuły, wywąchały, czy w jakikolwiek sposób doszły do wniosku, że on śpi, po czym ze zjeżonym grzbietem odwracały się i uciekały. Cze-
kał tak aż do pierwszych blasków jutrzeńki, po czym składał z powrotem krzesło, upewniał się, czy zgnieciony papier po zjedzonym sandwichu jest w jego kieszeni, i odchodził; jednakże począwszy już od niedzieli w nocy — gdyby Snopes nie spał, a jego córka nie była głucha jak pień, oboje mogliby od czasu do czasu usłyszeć jego chrapanie — to znaczy do momentu, kiedy nocny pies przechodzący tym razem przez trawnik, wyczuwszy czy wywąchawszy, czy w jakikolwiek sposób doszedłszy do wniosku, że strażnik jest pogrążony we śnie i unieszkodliwiony, dotknął zimnym nosem jego twarzy.

Mink nie wiedział o tym. Ale nawet gdyby wiedział, nie zrobiłoby mu to wielkiej różnicy. Byłby po prostu potraktował to wszystko — to znaczy Biglina, fakt, że Snopes jest strzeżony — jako jeszcze jeden objaw nieskończonej możliwości wynajdywania drobnych przeszkód ze strony wrogich sił prześladowających go przez całe życie. Toteż gdyby nawet wiedział, że Biglin jest już na czatach pod oknem pokoju, gdzie znajdował się teraz jego kuzyn (Nie śpieszył się, przeciwnie, kiedy tamten czarny chłopak na rowerze dał mu adres, pomyślał: „Jeszcze nawet trochę za wcześnie. Niech najpierw zjedzą kolację i niech tych dwoje Murzynów zjeździe z drogi¹⁾), nie zachowałby się inaczej. Nie krył się, nie czaił, po prostu był niewidzialny, niesłyszalny, nieuchronnie obcy, jak kojot czy młody wilk, nie schylał się, nie krył za płotem, jak to robił sam Biglin; siedząc tylko pod płotem na piętach — jako prawdziwy wieśniak mógł w tej pozycji wytrzymać przez całe godziny — przyglądał się całemu domowi, który znał już z opisu, z tych strzępów wydarzeń i wiadomości, które nieskończenie wolno docierały do Parchman i które musiał chwytając, przyswajając sobie od obcych ludzi, ukrywając jednakże przed nimi, jakie znaczenie ma dla niego to wszy-

stko, o co pyta. Patrzył na ten olbrzymi dom z kolumnami z czymś na kształt dumy, że właścicielem tego jest ktoś, kto się nazywa Snopes, bez najmniejszej odrobiny zazdrości: kiedy indziej, jutro może, choć sam aniby nie mógł, aniby naprawdę nie chciał być w tym domu przyjęty, powiedziałby z dumą komuś obcemu: „Mój kuzyn tu mieszka. To jego własny dom”.

Wyglądało to wszystko tak, jak sobie wyobrażał. Były oświetlone okna w pokoju narożnym, gdzie pewnie siedział teraz jego kuzyn (do tego czasu na pewno już zdążyli zjeść kolację, dał im mnóstwo czasu) z nogami opartymi o tę drewnianą listwę, którą, jak słyszał także w Parchman, inny kuzyn, Walt Snopes, nie znany mu, bo się za późno urodził, przybił w tym celu nad kominkiem. Światła były także w oknach pokoju z frontu, czego się nie spodziewał, wiedząc także o specjalnym salonie na górze, który urządziła dla siebie jego głucha córka. Ale na piętrze nie paliła się ani jedna lampa, więc najwidoczniej córka także była jeszcze na dole. A choć światła w kuchni świadczyły, że dwoje służących Murzynów także jeszcze nie odeszło, w przypływie nagłego impulsu podniósł się na nogi, nie czekając dłużej, aby podejść do okna i spojrzeć, czy już czas: on, który miał trzydzieści osiem lat na wyćwiczenie cierpliwości i powinien opanować ją w stopniu doskonałym. Bo gdyby czekał za długo, jego kuzyn mógłby już wejść do łóżka, może nawet zasnąć. A to byłoby nie do zniesienia, nie można do tego dopuścić. Musi mieć dla siebie ten moment, choćby trwał tylko sekundę, w którym powie: „Spójrz na mnie, Flem”, i Flem to robi. Ale powstrzymał się, mając za sobą trzydzieści osiem lat nauki czekania, i usiadł znowu na piętach, zluźniając palce wokół pistoletu, który miał za pazuchą w klapie kombinezonu; jej pokój był prawdopodobnie z drugiej strony

domu i stąd nie mógł widzieć światła w oknach, a światła w tym pokoju od frontu nic nie znaczyły, bo gdyby on był tak bogaty, jak jego kuzyn Flem, i miał taki piękny dom, to także zostawiałby światła na parterze.

Potem zgasły światła w kuchni. Teraz słyszał, jak służący i kucharka rozmawiają jeszcze zbliżając się i (nie wstrzymał nawet oddechu) mijając go w odległości jakichś dziesięciu stóp, po czym przechodzą przez furtkę w płocie, i nasłuchiwał oddalających się głosów, póki nie ucichły. Potem wstał, spokojnie, bez pośpiechu, nie kryjąc się, po prostu mały, bezbarwny, może zwyczajnie za mały, żeby go zauważyć, przeszedł przez trawnik pod okno i (musiał wspiąć się na palce, żeby to zrobić) zajrzał do pokoju, gdzie jego kuzyn siedział na obracanym krześle jak w banku czy w biurze, z nogami opartymi o kominek i w kapeluszu na głowie, tak jak Mink widział go przedtem w wyobraźni, niezbyt zmieniony, chociaż Mink nie widział go od trzydziestu ośmiu lat. Oczywiście wyglądał trochę inaczej w tym czarnym kapeluszu, o którym Mink słyszał w Parchman, ale krawat związany w muszkę mógł być tym samym, który nosił czterdzieści lat temu za ladą w sklepie Varnera; miał także inną koszulę, białą koszulę, jakie noszono w mieście, i ciemne miejskie spodnie, i wyczyszczone trzewiki miejskie zamiast chłopskich, ciężkich butów. Ale właściwie różnica była niewielka: nie czytał, siedział tylko z nogami opartymi o kominek, w kapeluszu na głowie, lekko i nieprzerwanie poruszając szczękami, jak gdyby żuł tytoń.

Chcąc się upewnić, zamierzał okrążyć dom, żeby zobaczyć oświetlone okna na piętrze z drugiej strony, i zaczął już iść, kiedy pomyślał, że równie dobrze może zajrzeć do drugiego oświetlonego pokoju, skoro już jest tak blisko, posunął się więc wzdłuż ścia

ny, nie mniej cichy niż cień i niewiele bardziej materialny, i wspiąwszy się znowu na palce zajął do drugiego okna. Zobaczył ją od razu i natychmiast poznał: na ścianach piętrzące się pod sufit książki, więcej książek, niż mógł sobie wyobrazić istniejących na tym świecie, kobieta siedząca pod lampą pośrodku pokoju i czytająca jedną z nich. w okularach w rogowej oprawie i z tym jedynym białym pasmem, które biegło pośród czarnych włosów przez środek głowy i o którym także słyszał w Parchman. Na sekundę opętała go dawna bezsilna furia — I tym razem omal go nie zniszczyła, unicestwiła; złość i furia, które ogarniały go, ilekroć pomyślał przez pierwsze dwa, trzy lata, od czasu gdy się dowiedział, że ona wróciła do Jefferson, jak się zdawało na stałe: „Przypuścimy, że ona wcale nie jest głucha: przypuścimy, że tylko oszukała wszystkich dla jakichś tam swoich własnych diabelskich zamiarów”, ponieważ to — ścisła prawda o tym, czy ona jest głucha, czy tylko udaje — było tym ruchem w grze, w którym musiał nie tylko polegać na kimś innym, ale na czymś tak kruchym i niesolidnym, jak wiadomość z drugiego czy trzeciego źródła. W końcu skłamał, podstępem dotarł do więziennego doktora, ale i wtedy nie posunął się ani

o krok, nie mając odwagi spytać o to, co chciał wiedzieć, czego musiał dowiedzieć się w jakikolwiek sposób: tylko to, czy nawet człowiek głuchy jak pień może odczuć drganie powietrza, jeśli dźwięk jest dość głośny lub dość bliski. — Jak na przykład... — powiedział Mink, zanim zdołał się zatrzymać. Ale za późno. Doktor dokończył za niego: — Tak jest. Jak na przykład wystrzał. Ale nawet gdybyś potrafił nam wmówić, że jesteś głuchy, w jaki sposób pomogłoby ci to stąd wyjść? — To prawda — odparł Mink. — Nie potrzebuję słyszeć tego bata, tylko go czuć.

Ale wszystko było w porządku. Był ten pokój, któ-

ry urządziła sobie na piętrze, a według wiadomości przenikających do Parchman (trzeba czasem wierzyć ludziom, czasem trzeba, po prostu trzeba) jego kuzyn spędzał cały czas u siebie, w tym ciemnym kącie na parterze na drugim końcu domu, który, jak mówiono, był jeszcze większy niż gmach więzienia. A potem zajął przez to okno i zobaczyć ją tutaj, nie na górze i na drugim końcu domu, gdzie powinna się była znajdować, gdzie mu w pewien sposób obiecano, że będzie, ale właśnie tu, w sąsiedztwie tego pokoju. W takim razie wszystko inne, w co wierzył i na czym polegał dotychczas, było także nic niewartym śmiechem, nie trzeba było nawet otwartych drzwi między dwoma pokojami, żeby niewątpliwie odczuła to, co doktor nazywał drganiem powietrza, bo nie była nawet głucha. Wszystko okazało się kłamstwem. Pomyślał spokojnie: „I została mi już tylko jedna kula, choćbym nawet miał czas użyć dwóch, zanim wejdzie ktoś z u- licy. Muszę znaleźć gdzieś kłodę drzewa albo kawałek żelaza” — bliski załamania się i upadku, zanim odzyskał równowagę na samej krawędzi przepaści, mrużąc, szepcząc do siebie: „Czekaj. Czyż ci nie mówiłem, nie powtarzałem stale, że Stary Pan nie żartuje. On tylko karze. Jasne, że ona jest głucha, czyż nie twierdzą tego wszyscy w całym Missisipi już od dziesięciu lat? Nie mówię o tym durniu doktorze z Parch- man ani tamtych innych łajdakach z więzienia, jedynych, jakich mogłem znaleźć, żeby się dowiedzieć, ale

O tym Murzynie wczoraj wieczorem, tym, co mi bezczelnie zarzucał kłamstwo, jak tylko wspomniałem, że ona nie jest głucha, tylko udaje i oszukuje ludzi. Murzyni wiedzą wszystko o białych ludziach, cóż dopiero o takich, jak ona, bo już mówią naokoło, że jest przyjaciółką Murzynów i w dodatku należy do komunistów, toteż wszyscy Murzyni z Yoknapatawpha

I pewnie nawet z Memphis i aż z Chicago wiedzą

prawdę o tyra, czy ona jest głucha, czy nie jest i w ogóle wszystko, czym ona jest czy nie jest. Pewnie, że jest głucha i siedzi obrócona plecami do drzwi, przez które ja muszę przejść i muszą też być boczne drzwi, tak że trzeba tylko je znaleźć i wejść do środka. I ruszył dalej, bez pośpiechu, nie chyłkiem, po prostu mały, lekkostopy i niewidzialny naokoło domu i po schodkach, między wysokimi kolumnami ganku, jak każdy inny gość czy interesant: otworzył drzwi, przeszedł spokojnie przez hall obok otwartych drzwi, za którymi siedziała kobieta, nie patrząc nawet w ich stronę, i do następnych drzwi i wyciągnął pistolet zza pazuchy. Myśląc pośpiesznie, trochę chaotycznie, jakby lekko dysząc: „Mara tylko jedną kulę, więc muszę wycelować w twarz, w głowę, nie mogę ryzykować celowaniem gdzieś indziej z jedną tylko kulą”, wszedł do pokoju, gdzie siedział jego kuzyn, i dał kilka kroków w jego stronę.

Nie potrzebował nawet powiedzieć: „Spójrz na mnie, Flem”. Kuzyn już patrzył na niego, odwróciwszy głowę ponad ramieniem. Poza tym nawet nie drgnął, tylko szczęki przestały żuć, zatrzymując się w półruchu. Potem poruszył się, pochylając się trochę naprzód w krzesło i powoli spuszczał nogi oparte o listwę. Krzesło zaczęło się obracać, w chwili kiedy Mink, w odległości mniej więcej pięciu stóp, stanął, podniósł w górę obręcz broń w kształcie ropuchy i koloru rdzy i odbezpieczył ją myśląc: „Musi go trafić w twarz”. Nie „ja muszę”, ale „musi” — i nacisnął spust, i raczej uczuł, niż usłyszał słaby, niewyraźny, niemal roztargniony trzask kurka. Teraz jego kuzyn, z nogami spuszczoneymi już na podłogę i krzesłem obróconym prawie na wprost niego, siedział nieruchomo, prawie obojętnie obserwując brudne, drżące, małe jak u dziecka ręce Minka, podczas gdy jedna z nich podnosiła kurek na tyle, żeby druga mogła przekręcić bębenek o jedno nacięcie wstecz, tak żeby kula weszła z powrotem pod kurek; znowu ten niewyraźny obraz, znak z przeszłości: nie przestroga, natręt nie powtórzenie, coś tak słabego, dobrze znanego i wciąż bez znaczenia, bo nawet przedtem nie było to dość mocne, żeby pozostać w pamięci. W tej samej chwili odtrącił to: „(Wszystko jest dobrze — pomyślał. — Tym razem pójdzie. Stary Pan nie drwi” i umocnił uchwyt obu dłoni na pistolecie i naciągnął kurek: jego kuzyn nie poruszył się teraz wcale, chociaż znowu zaczęły drgać lekko jego szczęki, jakby on także patrzył na niewyraźny punkcik światła na kurku, gdy ten uderzył powtórnie.

Huk rozległ się straszliwy, ale Mink w tej samej chwili już go nie słyszał. Ciałem jego kuzyna wstrząsał teraz dziwny, półstłumiony konwulsyjny zryw, który w następnym momencie miał je pociągnąć na podłogę, razem z krzesłem. Minkowi wydawało się, że huk wystrzału jest niczym, ale kiedy padało krzesło, pomyślał, że hałas obudzi całe Jefferson. Zawrócił. Jeszcze przez moment próbował sobie mówić, krzyknąć: „Stój! Stój! Musisz się upewnić, czy on nie żyje, bo inaczej wszystko zmarujesz”. Ale nie mógł; nie pamiętał, kiedy zauważył drugie drzwi w ścianie obok krzesła, ale były tam: dokąd prowadziły, nie miało znaczenia, byleby można było przez nie wyjść. Pobiegł do nich, szarpiąc klamką na wszystkie strony, nie przestając szarpać, nawet gdy zrozumiał, że są zamknięte na klucz; szarpał wciąż w zaślepieniu, nawet gdy odezwał się głos za jego plecami. Wtedy odwrócił się i zobaczył kobietę stojącą w drzwiach do hallu. Przez chwilę myślał: „A więc słyszała przez cały czas”, zanim zrozumiał, że nie musiała słyszeć, przyprowadziła ją tutaj ta sama siła, która mogła, przez samo wskazanie go palcem, zdmuchnąć go, wysadzić w powietrze z tego miejsca, gdzie stał. I nie

byłoby czasu odwieść kurka i wycelować, nawet gdyby miał drugi nabój, więc już obracając się rzucił, cisnął jej pistolet, niezdolny nawet nadążyć za tym myślą, bo w tej samej sekundzie wydało mu się, że ona ma już pistolet w ręce i wyciąga go ku niemu, mó- więc twardym głosem ludzi głuchych:

— Proszę to wziąć. Te drzwi to szafa w ścianie. Musi pan wrócić tędy, żeby wyjść.

Zatrzymaj wóz — powiedział Stevens. Ratliff zrobił to. Siedział przy kierownicy, chociaż to był samochód Stevensa. Skręcili z szosy na boczną drogę (sklep Varnera, odziarniarka, kuźnia, kościół, kilkanaście domów mieszkalnych i innych budynków, które składały się na osiedle, pogrążone już były w ciemności), a teraz przejechali i zostawili już za sobą resztę rozległej, żyznej doliny, gdzie stary Varner (miał już teraz ponad osiemdziesiątkę i włosy zdecydowanie siwe; dwa lata temu, po dwunastu latach wdowieństwa» ożenił się z dwudziestopięcioletnią dziewczyną, która w tym czasie była, jak opowiadano, zaręczona, a przynajmniej flirtowała z jego wnukami) dzierżawił lub miał hipoteczne prawa do wszystkich ziem, które nie stanowiły jego bezpośredniej własności. Teraz zbliżali się już do gór; małe, zniszczone ubogie farmy rozsiane pośród przeżartych erozją sfałdowań terenu, niby rozproszone wiatrem kawałki papieru. Droga od pewnego czasu nie była już nawet wybrukowana i za chwilę miała przestać być dostępna dla jakiegokolwiek pojazdu na kołach; w tej chwili w nieruchomym blasku reflektorów wyglądała jak jeszcze jedna szczelina pnąca się zygżakiem po popękany zboczu porośłym nędznymi, karłowatymi sosnami. Słońce przekroczyło równik, weszło teraz w znak Wagi; w tyra bezruchu i spokoju zatrzymanego motoru był jakiś

powiew jesieni po słonecznym pogodnym chłodzie długiej niedzieli, który także trwał niemal przez cały poniedziałek: kosmaty mur sosen i zwichrzonych, karłowatych dębów wyglądał jak krucha zaporą, chroniąca przeciw zimie, deszczom i chłodom nędzne, znużone pola czerwone jak od szaławii, sumaka i persy- monów; persymony, uginające się pod brzemieniem owoców, czekały już tylko szronu i poszczekiwania psów w pogoni za oposami.

— Z czego wnosisz, że go tam znajdziemy, jeżeli w ogóle sami zdołamy tam dotrzeć? — zapytał Stevens.

— A gdzie by mógł być? — powiedział Ratliff. — Dokąd mógłby się schronić? Wracać do Parchman po tylu trudnościach i wydatkach, jakie poniósł, żeby się stamtąd wydostać? Cóż mu zostało oprócz własnego domu?

— Ale nie ma już domu — powiedział Stevens. — Kiedy to było? Trzy lata temu, tego dnia, kiedy przejeżdżaliśmy tędy, szukaliśmy tego chłopaka, jakże on się nazywa?

— Turpin — podał Ratliff.

— Ten, co nie stawiał się na wezwanie do wojska, i przyjechaliśmy tu po niego. Już wtedy nie było żadnego domu, tylko goły budynek. Część dachu i to, co zostało ze ścian, powyżej wysokości, na której wygodnie było wyrwać deski na opał. Ta droga także była wtedy lepsza.

— Tak — potwierdził Ratliff. — Ludzie wyrównali ją trochę i wygracowali, ciągnąc te szczapy na rozpałkę.

— No więc teraz nie ma już nawet budynku.

— Pod nim jest piwnica — zauważył Ratliff.

— Jama w ziemi? — protestował Stevens. — Nora, jak dla zwierząt?

— On jest zmęczony — powiedział Ratliff. — Choc-

by nawet nie miał sześćdziesięciu trzech czy czterech lat. Żył w wielkim naprężeniu przez trzydzieści osiem lat, nie mówiąc już o tych ostatnich (dziś mamy czwartek, nie?) siedmiu dniach. A teraz to napięcie zelżało, nie ma już nic, żeby go podtrzymać. Wyobraź sobie, że spędziłbyś trzydzieści osiem lat w oczekiwaniu na coś, co masz zrobić, i że wreszcie tego dokonałeś. Niewiele by ci już po tym zostało. Toteż on nie potrzebuje już teraz nic więcej, tylko położyć się gdzieś spokojnie, w ciemnościach, na jakiś czas.

— Powinien był o tym pomyśleć w zeszły czwartek — powiedział Stevens. — Teraz już za późno, żeby to zrobić.

— Czy nie po to teraz już jesteśmy? — rzekł Ratliff.

— W porządku — odparł Stevens. — Jedź dalej.

Ratliff jednak zgasił gaz. Teraz istotnie mogli odczuć zmianę pory roku, jaka się dokonywała. Zostało jeszcze kilka ptaków, ale ciemności nocy nie wypełniało już suche, hałaśliwe brzęczenie owadów, tylko świerszcze cykały w gęstych żywopłotach i na ścierniskach, gdzie przedtem, w południe, skakały jak opętane polne koniki barwy kurzu. I teraz Stevens wiedział, co się szykuje, o czym będzie teraz mówił Ratliff.

— Myślisz, że ona naprawdę nie wiedziała, co ten przekłety, mały wąż zrobi w tej samej chwili, kiedy go wypuszczą? — spytał Ratliff.

— Jasne, że nie — powiedział Stevens za prędko, za późno. — Jedź dalej.

Ale Ratliff nie ruszył. Stevens zauważył, że trzyma ręce na kluczyku od stacyjki tak, żeby Stevens nie mógł sam uruchomić silnika. — Miała zdaje się zatrzymać się dziś wieczorem w Memphis. Z tym nowym eleganckim samochodem i tak dalej.

K 'y*

Stevens pamiętał wszystko. Trudność polegała na tym, by zapomnieć. Powiedziała mu to sama — albo tak mu się przynajmniej zdawało — tego ranka, kiedy mu podawała dane potrzebne do zredagowania aktu: że nie przyjmie także samochodu swego tak zwanego ojca, tylko zamówiła sobie nowy z Memphis, i mają go jej dostarczyć, tak żeby mogła odjechać zaraz po pogrzebie. Stevens mógłby przywieźć ten akt z sobą, do podpisu, kiedy przyjdzie do jej domu, żeby mogli się pożegnać, czy powiedzieć sobie to, co dla nich — dla niej i dla niego — może być pożegnaniem.

Był to wspaniały pogrzeb: wielki bankier i finansista nie tylko powalony w sile wieku (finansowego przynajmniej) kulą z pistoletu, ale w dodatku kulą wymierzoną nie w porę, bo zazwyczaj bankier umierający od kuli z pistoletu w swojej własnej sypialni

o godzinie dziewiątej wieczorem powinien by przedtem powiedzieć dobranoc inspektorowi banku stanowego czy federalnego (może obydwom). Zmarły nie miał także żadnych oficjalnych mocodawców wojskowych ani cywilnych, nie reprezentował żadnych kongregacji — tylko finanse. Nie miał bawełny ani bydła, nic z tego, co stanowiło fundamenty i teren ekspansji dla okręgu Yoknapatawpha i stanu Missisipi, należał wyłącznie do Pieniędzy. Był członkiem Kościoła Baptistów w Jefferson, to prawda, i świadczył

o tym zarówno odnowiony fronton, jak cały wygląd zewnętrzny budynku, ale nawet to nie było prawdziwą przynależnością ani aspiracją, sojuszem czy choćby tylko amnestią, lecz po prostu czasowym zawieszeniem broni między dwoma nie mogącymi się pogodzić językami.

A jednak na pogrzeb przyszło nie tylko całe miasto, ale wszyscy z okolicy. On, Stevens, członek tej samej kasty, siedział w pierwszym rzędzie na żądanie córki (siei) i obok niej samej: on, Linda i jej wuj.

Jody, łysy starzec, któremu do długiego szkieletu jego ojca natura dodała jeszcze sto funtów karku i brzucha, i — tak, Wallstreet Snopes, Wallstreet Panic Snopes, który nie tylko nigdy nie postępował, ale nawet nie wyglądał jak Snopes: wysoki, ciemnowłosy mężczyzna o niewiarogodnie niebieskich, młodzieńczych oczach koloru barwinka; zaczął jako chłopak na posyłki w sklepie korzennym przy bocznej ulicy, przeciągnął przez szkołę siebie i swego młodszego brata, Admirala Deweya, a zaraz potem otworzył największe przedsiębiorstwo hurtowe towarów korzennych w Jefferson, obsługujące całą okolicę; teraz przeniósł się z całą rodziną do Memphis, jako właściciel całego łańcucha sklepów korzennych, obejmującego połowę stanu Missisipi i sięgającego także do Arkansas i Tennessee. Wszyscy zwróceni twarzami do dyskretnie zakrytego dołu obok drugiego grobowca, gdzie nie jej mąż (który tylko obstalował go i zapłacił), tylko sam Stevens umieścił to wyzywające marmurowe kłamstwo, które okupiło wolność Lindy dziewiętnaście lat temu. Jemu też przypadało w udziale kłamstwo, jakiego ten grób także będzie wymagał. On i Linda rozmawiali o tym tego ranka.

— Nie. Nic — powiedziała.

— Tak — napisał.

— Nie — powiedziała. Podniósł tylko tabliczkę i trzymał napisane słowo przed jej oczyma. Nie mógł napisać „chodzi o ciebie samą”. Zresztą nie potrzebował tego pisać. — Masz rację — zgodziła się. — Będziesz musiał zająć się tym także.

Napisał: Oboje musimy.

— Nie — powiedziała. — Ty sam. Zawsze robiłeś wszystko dla mnie. Zawsze będziesz chciał wszystko robić. Teraz wiem, że nigdy naprawdę nie miałam nikogo prócz ciebie. Nigdy nawet naprawdę nie potrzebowałam nikogo prócz ciebie.

Siedząc tam, podczas gdy pastor baptysta pośpiesznie odprawiał nabożeństwo, Stevens przyglądał się otaczającym go twarzom ludzi z miasta i okolicy, obywateli reprezentujących miasto, bo miasto powinno być reprezentowane na tym pogrzebie: ci, którzy reprezentowali tylko siebie, bo pewnego dnia znajdą się tam, gdzie teraz leżał Flem Snopes, tak samo martwi i pozbawieni przyjaciół, i równie samotni; anonimowe, nieufne, a zarazem pełne nadziei twarze tych, którzy winni byli pieniądze jemu lub jego bankowi i jak tylu innych ludzi ufali, a nawet mogli wierzyć, że teraz, po jego śmierci, ich dług zagubi się w niepamięci albo po prostu nikt nie zażąda jego zwrotu, nikt go nie odbierze. Potem nagle zobaczył coś innego. Nie było ich wielu: rozróżnił tylko trzy twarze ze wsi, wyglądające nie inaczej niż pozostałe wiejskie twarze, nieufne, nawet kryjące się w tłumie, nim nagle wyłoniły się, ukazały w pełnym świetle, i wtedy poznał, kto to jest. Byli to Snopesowie: nie widział ich nigdy przedtem, ale nie mogło tu być pomyłki: nie byli obcy — po prostu identyczni, nie tyle w wyrazie twarzy, ile w postawie, w ruchu. Pomyślał nagle 7 uczuciem podobnym do zwykłej paniki, jakiej doznaje człowiek gwałtownie wyrwany ze snu: „Są jak wilki, co przyszły obejrzyć sidła, w które wpadł inny ogromny wilk, ich przywódca, główny wilk, szef wilków, jakby powiedział Ratliff. Przyszły zobaczyć, czy został jakiś strzep mięsa czy skóry, zaplątany jeszcze w te sidła”. Potem uroczystość dobiegła końca. Nie mógł już oglądać się za siebie i teraz pastor skończył odprawiać nabożeństwo, a grabarze dali sygnał do odejścia wybranym osobistościom, oplakującym zgon oficjalnie. A kiedy spojrział, mógł obejrzyć się znowu, tamtych twarzy już nie było. Zostawił Lindę na cmentarzu. To znaczy jej wuj miał odwieźć ją do domu, gdzie już czekał nowy samochód, który, jak go zawiadomiła, kazała sprowadzić z Memphis, aby zaraz po pogrzebie odjechać w nim do Nowego Jorku, prowadząc sama. Będzie prawdopodobnie gotowa do odjazdu i spakowana, kiedy on przyjdzie z aktem do podpisu.

Poszedł więc do kancelarii i zabrał zredagowany dokument — akt darowizny (z uświęconą zwyczajem prowizją w wysokości jednego dolara), zwracający dom i całą posiadłość rodzinie de Spainów. Zrobiła to wszystko sama, nie poinformowała go nawet w trakcie działania, a tym bardziej z góry. Nie mogła odnaleźć Manfreda, któremu Snopes odebrał ten dom razem z bankiem i resztką jego, Manfreda, dobrego imienia i godności w Jefferson, ale przynajmniej udało się jej odszukać pozostałych przy życiu jego krewnych — jedyną siostrę starego majora de Spain, ojca Manfreda, i jej jedyne dziecko: sędziwą, przykutą do łóżka damę, zamieszkałą w Los Angeles razem z sześćdziesięcioletnią niezamężną córką, emerytowaną dyrektorką szkoły na przedmieściu Los Angeles. Linda sama wpadła na ich trop, nie zasięgając nawet rady swego adwokata. Prawdziwa obelga: Samarytanin, filantrop, dobroczyńca zaczyna nie tylko odkrywać własną szlachetność, ale nawet obmyślać jej pole do działania, nie tylko nie szukając pomocy, ale nawet ignorując adwokatów, sekretarzy i doradców. Fakt sam w sobie znieważający, antyspołeczny, odejmujący ciastko tyłu ustom.

Dokumentom brakowało tylko jej podpisu: nie upłynęło jeszcze piętnaście minut, kiedy zatrzymał samochód przy chodniku przed jej domem, nie zauważywszy stojącej tam niewielkiej grupy ludzi — paru mężczyzn, kilku chłopców, jednego czy dwóch Murzynów — których dostrzegł tylko na tyle, by powiedzieli sobie: „Komisja lokalna, przyjmująca jej nowy samo-

chód", i wysiadł ze swoją teczką, a nawet skrzył w aleję, zaledwie przebiegając spojrzeniem grupę ludzi, dlatego że tam stali, kiedy nagle powiedział prędko, głosem słabym, jeszcze nie naprawdę zdumionym: — To Jaguar angielski. Zupełnie nowy. — I nawet szedł dalej, gdy doznał nagle takiego uczucia, jakiego doznaje człowiek idący po schodach, które nagle zaczynają wirować: człowiek idzie dalej, wspina się pod górę, porusza, zużywa energię, a jednak nie posuwa się ani o krok: wszystko tak nagle, tak gwałtownie, że człowiek jest tylko swoim własnym ciągiem powietrza, jego własny rozpęd przeniósł jego powłokę cielesną o cały krok naprzód przed niego samego. Pomyślał: „Nie ma na ziemi miejsca, z którego nowiuteńki Jaguar mógłby zostać dostarczony do Jefferson, Missisipi, w ciągu tego czasu, jeśli wczoraj w południe, a tym bardziej wieczorem, nie mogła go jeszcze zamówić przez telefon. Nie, nie — pomyślał, teraz już z rozpaczą. — To jest możliwe, mogli go mieć w sklepie, wystraszyć skądś w Memphis wczoraj wieczorem albo dziś rano. Ten rozchwiany wszechświat, którego nic nie podtrzymuje na nogach oprócz zbiegu okoliczności!" Ruszył dalej energicznym krokiem i zatrzymał się przed samochodem, myśląc: „A więc wiedziała, że odjedzie, już od zeszłego czwartku, nie wiedziała tylko dokładnie, aż do wtorku wieczorem, którego to będzie dnia". Był to nieskazitelnie nowy wóz; młody, całkiem przyzwoicie wyglądający agent firmy czy konwojent stał obok niego i w tej samej chwili wyszedł z frontowych drzwi służący, Murzyn, niosąc część jej bagażu.

— Dobry wieczór — powiedział Stevens. — Wspaniały wóz. Prosto z fabryki co?

— Tak — odparł młody człowiek. — Nie dotknął jeszcze ziemi, kiedy pani Kohl zatelefonowała po niego wczoraj.

Szczęście, że mieliście go pod ręką na zawołanie — zauważył Stevens.

— Och, mieliśmy go już od dziesiątego tego miesiąca. Kiedy go zamówiła, w lipcu, powiedziała nam tylko, że mamy go zatrzymać, jeśli nadejdzie, dopóki nie zażąda dostawy. Przypuszczam, że śmierć... jej ojca pokrzyżowała te plany.

— Takie rzeczy zawsze krzyżują jakieś plany — powiedział Stevens. — Zamówiła go w lipcu?

— Tak. Podobno nie znaleźli jeszcze nawet tego mordercy.

— Jeszcze nie — rzekł Stevens. — ■ Piękna maszyna. Sam bym chciał mieć taką. — Wszedł przez otwarte drzwi, po schodach, które znały jego stopy, do salonu, który także go znał. Stała pośrodku, patrząc, jak się przybliżał, ubrana już do drogi, w świeżo upranym, zniszczonym kombinezonie koloru khaki; jej twarz i usta były grubo wysmarowane kremem dla ochrony przed pędem wiatru. Na krześle leżał wyplamiony płaszcz burberry, torebka, grube rękawiczki i chustka na głowę. „Przynajmniej nie skłamałam przed tobą — powiedziała. — Mogłam go u- kryć w garażu aż do twego odejścia, ale nie zrobiłam tego". Nie wyraziła tego jednak słowami. Powiedziała:

— Pocałuj mnie, Gavin — podchodząc do niego, przebywając sama ten ostatni krok, który ich dzielił, biorąc go w ramiona energicznie i bez pośpiechu i przytulając jego usta do swoich, także stanowczo i zdecydowanie. Obejmował ją wpół, jego ręka wędrowała wzdłuż jej pleców, ku pośladkom, jak się to zdarzało przedtem od czasu do czasu, nie powstrzymana jej ręką — nigdy nie była zatrzymywana, nigdy nie miała być, wierność nie zagrożona niczym i bezpieczna, choćby nawet nie było nic między tą ręką

a ciałem kobiety. Dotykał jej tylko stwierdzając istnienie tego wszystkiego, nie z rozpaczą ani bólem, tylko z leciutkim smutkiem: podtrzymując tylko jej pośladki tak, jak się podtrzymuje w zagłębieniu dłoni niewinne, szczupłe pośladki dziecka. Ale nie teraz, nie tym razem. Tym razem była to groza. Myślał ze zgrozą: „Jak się to stało? «Mężczyzna, którego nieodparta siła przyciągania w oczach kobiet polega po prostu na tym, że znajdując się w ich obecności pozwalał im się przekonać, że zdolny jest dla nich do każdego poświęcenia». A to jest na odwrót, całkiem na odwrót, biedny głupiec nie tylko nie wiedział, gdzie jest pierwszy słupek, ale nawet nie wiedział, że gra w palanta. Nie potrzebujesz ich uwodzić, bo one już dawno przedtem ciebie wybrały, i to tylko dlatego, że wierzyły, że przez prosty akt wyboru od razu stałeś się nie tylko gotów i chętny, ale szalenie spragniony dokonania dla nich poświęcenia, skoro tylko wymyślicie jakieś poświęcenie warte zachodu". Pomyślał: „Teraz ona zrozumie, że nie może mi ufać, ale że tylko miała nadzieję, że może, także teraz ściskając mnie za ramiona, żeby mnie pociągnąć do siebie i przewrócić, choćby nie było łóżka...” — i mylił się całkowicie. Myślał: „Po co miałaby tracić czas, ufając mi, kiedy przez całe życie wiedziała, że wystarczy jej na mnie polegać”. Stała tylko, obejmując go i całując, dopóki nie poruszył się pierwszy, próbując uwolnić się z uścisku. Wtedy puściła go i patrzyła na jego twarz z głębi ciemnych, błękitnych oczu, ani skrytych, ani czułych, może nawet nie łagodnych.

— Jesteś cały umazany — powiedziała. — Musisz iść do łazienki. Masz rację — powiedziała. — Zawsze masz rację co do siebie i do mnie. — Jej oczy nie były tajemnicze, dość czujne, to prawda, ale nie tajemnicze; któregoś dnia miał sobie może przypomnieć, że nigdy nie były nawet prawdziwie tkliwe. — Kocham cię — powiedziała. — Nie miałeś wiele, prawda? Nie miałeś nic, absolutnie nic.

Wiedział dokładnie, co chciała przez to powiedzieć; najpierw jej matka, a potem ona. Obydwom ofiarował swoje przywiązanie i nie dostał w zamian nic oprócz tego przywileju, że go urzekano, czarowano, ogłupiano, jeśli ktoś chce. Ratliff na pewno powiedziałby „ogłupiano”. I ona wiedziała, że on o tym wie. To było (może) ich przekleństwo: oboje wiedzieli wszystko o sobie wzajemnie od razu. I nie przez uczciwość ani nie dlatego, że przez całe życie wiedziała o tym, że go kocha, pozwoliła mu odkryć tego nowego Jaguara i to, co on oznaczał w okolicznościach śmierci jej rzekomego ojca. To dlatego, że wiedziała, iż nie może ukryć przed nim faktu, że poleciła sprowadzić ten samochód z Nowego Jorku czy Londynu, czy skądkolwiek przyjechał, z chwilą gdy dowiedziała się na pewno, że on może uzyskać zwolnienie Minka.

We wszystkich sukniach miała kieszenie dokładnie odpowiadające rozmiarowi bloczka z kości słoniowej, razem z ołówkiem. Znał je wszystkie, kombinezon, także, sięgnął więc ręką i wyjął bloczek. Mógł napisać: „Mam wszystko. Ufałaś mi. Wolalaś raczej pozwolić mi odkryć, że zamordowałaś swego rzekomego ojca, niż mnie okłamać”. Mógł, może powinien był napisać: „Mam wszystko. Czyż nie zakończyłem mojej roli jako współnik w morderstwie?” Zamiast tego napisał: Mieliśmy wszystko,

— Nie — powiedziała.

Napisał: Tak.

— Nie — powiedziała.

Napisał: Tak drukowanymi literami, tym razem dość dużymi, by zakryć całą powierzchnię tabliczki, i starł to do czysta wierzchem dłoni i napisał: Weź z sobą kogoś kto słyszy. Zabijesz się.

Ledwie na to spojrzała, stojąc nie dość blisko, mógł-

by ktoś pomyśleć, żeby to przeczytać, potem znów zatopiła w nim spojrzenie swoich niebieskich oczu, czy były naprawdę łagodne, tklive, niewinne, czy nie — to nie miało znaczenia. Jej usta lekko uśmiechnięte, także były rozmazane, sam uśmiech był jak miękka plama, senna i rozmazana. — Nigdy nie kochałam nikogo prócz ciebie.

Napisał: Nie.

— Tak — powiedziała.

Znowu napisał: Nie i podczas gdy mówiła „Tak” pisał Nie. Nie. Nie — póki nie zapełnił całej tabliczki, i zmazał to, i napisał: Dokument. I stojąc obok niej przy kominku, nad półką, gdzie omawiali wszystkie sprawy wymagające porozumienia między nimi, rozpostarł dokument i odkręcił pióro, żeby podpisał, a kiedy złożył papier, wkładając go z powrotem do teczki, powiedziała: — To także. — Była to długa, zwyczajna koperta, zauważył ją przedtem na kominku. Biorąc ją do ręki, wyczuł przez papier gruby zwój banknotów. Za dużo ich było. Tysiąc dolarów zabije go w ciągu kilku tygodni, może dni, równie niewątpliwie, jak tysiąc kul. Wczoraj wieczorem miał ochotę jej powiedzieć: „Tysiąc dolarów jego także zabije. Czy będziesz wtedy zadowolona” — chociaż wczoraj wieczorem nie wiedział jeszcze, ile w tym jest prawdy. Powstrzymał się jednak. Sam się tym zajmie w swoim czasie.

— Czy wiesz, gdzie go można znaleźć?

Ratliit wie — napisał i starł to, napisał: Wyjdź na dwie minuty, ty też musisz umyć wargi — i stał, podczas gdy to czytała, a potem sama stała jeszcze chwilę z głową pochyloną nad kartką, jakby napisał kryptogram.

— Och — powiedziała — tak. Już pora. — Zawróciła i podeszła do drzwi, na progu zatrzymała się, odwróciła głowę i wtedy dopiero spojrzała na niego:

nie widział uśmiechu, nic, tylko oczy, które nawet z daleka nie były zupełnie czarne. Potem wyszła.

Miał już teczkę w rękach. Kapelusz leżał na stole. Włożył kopertę do kieszeni i wytarłszy usta chusteczką wyszedł, zabierając po drodze kapelusz. Zszedł ze schodów zwilżając chusteczkę śliną, żeby wytrzeć usta. W hallu pewnie jest lustro, ale na razie tak wystarczy, póki nie znajdzie się w swojej kancelarii. Oczywiście powinny być, są gdzieś boczne drzwi, ale może spotkać lokaja, a nawet kucharkę. Zresztą nie było żadnego prawa zakazującego przejścia przez trawnik przed domem prosto z drzwi frontowych, a potem przez boczną furtkę w aleję wjazdową, skąd mógł przejść na ulicę, nie musząc nawet spojrzeć drugi raz na nowy samochód. Ratliff, który przypadkiem znajdował się przed wejściem na schody do jego kancelarii, zapytał: — Gdzie twój samochód? Mniejsza

o to, przyprowadzę go. Tymczasem lepiej będzie, jeżeli wejdiesz na górę i umyjesz trochę twarz.

Zrobił to i zamknął na klucz w szufladzie poplamioną chusteczkę, usiadł przy biurku. Wkrótce potem usłyszał kroki Ratliffa na schodach. Ale Ratliff dobijał się tylko do zamkniętych na klucz drzwi. Oto znowu miał czas zająć się czymś, o czym marzył za lat młodzieńczych: przywróceniem Staremu Testamentowi jego pierwotnej dziewiczej formy. Tylko że teraz był już na to za stary. Najwidoczniej trzeba czegoś więcej niż cierpienie, żeby cierpieć aż do tego stopnia. Po jakimś czasie zadzwonił telefon.

— Już odjechał — odezwał się Ratliff. — Chciałbyś przyjść i zjeść ze mną kolację?

— Nie — odpowiedział.

— Chcesz, żebym zatelefonował do twojej żony, że jesteś u mnie?

— Do diabła, powiedziałem ci, że nie. — Potem dodał: — Dziękuję ci.

— Przyjdę do ciebie koło ósmej — powiedział jeszcze Ratliff.

Czekał przy zakręcie. Samochód, jego samochód, ruszył natychmiast, kiedy się w nim znalazł.

— Nie jestem bezpieczny — powiedział.

— Tak się zdaje — rzekł Ratliff. — Już wszystko skończone, to znaczy, gdy się przyzwyczajamy.

— Chcę powiedzieć, że ty nie jesteś bezpieczny. Nikt nie jest bezpieczny przy mnie. To ja jestem niebezpieczny. Popelniłem morderstwo.

— Och, to — powiedział Ratliff. — Już dawno doszedłem do wniosku- że jedyna rzecz, która cię może zabezpieczyć wobec innych, to ożenić się. Okazało się, że nie, ale teraz przynajmniej jesteś spokojny. Tak jak sam powiedziałeś przed chwilą, popełniłeś morderstwo. Do niczego więcej nikt już nie może cię nakłonić.

Byli teraz na szosie, miasto zostało, za nimi i mogli jechać prędzej, żeby przebyć te dwadzieścia mil do sklepu Varnera.

— Wiesz, kogo mi naprawdę żal w tej całej historii? Biglina. Nie słyszałeś prawdopodobnie o tym i nikt by o tym nie wiedział, gdyby nie pewna rozmowa w cztery oczy, coś jakby spowiedź między nim a Eefem. Zdaje się, że co noc, od zeszłego czwartku do wtorku, Luther trzymał straż pod oknem. Szedł tam, jak tylko mógł najwcześniej, to znaczy, jak tylko obudziła go pani Biglin po powrocie z kina; i nie opuszczał swego stanowiska aż do świtu. Rozumiesz: po całym dniu roboty w więzieniu i przy więźniach (a w dodatku musiał kręcić się w pobliżu biura szeryfa, na wypadek, gdyby ten go potrzebował) trzeba mu było trochę wypoczynku. Jedyna pora, kiedy mógł się przespać, to zaraz po kolacji, aż do czasu, kiedy wróciła z kina pani Biglin, która mu służyła jako

bu dzik, to znaczy gdzieś od siódmej do pół do dziesiątej albo dziesiątej, to zależało, jak długo trwał film.

I resztę nocy spędzał na stojąco albo siedząc na składanym krześle tuż pod oknem Flema, nie dla nagrody ani sławy, bo wiedziała o tym tylko pani Biglin, ale wyłącznie przez wierność wobec przysięgi złożonej Eefowi Bishop, że będzie bronił życia ludzkiego w Jefferson, choćby to nawet było życie Flema Snopesa. I z całych dwudziestu czterech godzin, jakie Mink miał do wyboru, musiał właśnie wybrać tę porę między siódmą a dziewiątą trzydzieści, żeby przystąpić do Flema z tym, co ten, kto mu to sprzedał, nazywał pistoletem. Całkiem tak, jak gdyby Mink to zrobił zwyczajnie na złość. Coś, co jak mówią, psu nie powinno się zdarzyć.

— Jedź — powiedział Stevens.

— No i tak — ciągnął Ratliff. — Widzimy, do czego to doprowadziło. Wszystkie te ruiny, licytacje, ta drapieżność i chciwość, te manewry, łagodne i ukryte, kiedy było można, i uderzające twardo, kiedy było trzeba, i ci wszyscy z nas, co chcieli go przycisnąć i próbowali, jak mogli, ale wychodzili ciężko przegrani, kiedy nie mogli. I to wszystko dostanie teraz stara pani przykuta do łóżka i jej córka, stara panna, emerytowana nauczycielka, chociaż obie mogłyby sobie żyć dalej spokojnie w tej słonecznej Kalifornii. Ale teraz muszą przyjechać aż do Missisipi i zamieszkać w tym białym ogromnym domu, jak dla słonia, i panna Alison będzie musiała wrócić do pracy i może nawet solidnie pokręcić głową, żeby to jakoś utrzymać, bo jakże może pozwolić, żeby krewni i przyjaciele, a tym bardziej obcy ludzie mówili, że dama urodzona i wychowana w Missisipi nie zgodziła się przyjąć w prezencie domu, nie tylko ofiarowanego całkiem za darmo, ale niegdyś należącego do niej samej, nie musząc nawet powiedzieć nikomu „dziękuję”

za to, że go jej zwrócił. Więc może jest w tym jakiś ukryty morał, jeżeli potrafisz go wyszukać.

— Nie ma żadnego morału — przerwał mu Stevens. — Po prostu ludzie postępują najlepiej, jak u- mieją.

— Biedacy — powiedział Ratliff.

— Biedacy — powtórzył Stevens. — Jedź już.

Tak więc około dziesiątej wieczorem siedział obok

Ratliffa, w samochodzie ze zgaszonymi światłami, na górzystej drodze, która już przestała być drogą, a wkrótce miała stać się nie do przebycia, gdy Ratliff odezwał się:

— Więc myślisz, że ona naprawdę nie wiedziała, co on zrobi, kiedy go wypuszczą?

— Tak, powiedziałem ci już. Jedź dalej.

— Mamy czas — stwierdził Ratliff. — On nigdzie nie wyjdzie. A teraz o tym, czego on użył jako pistoletu i zgubił czy wypuścił, biegnąc przez podwórze. Eef Bishop pozwolił mi to obejrzeć. Ten człowiek w Memphis miał słuszną. To nawet nie wyglądało jak pistolet. Wyglądało jak prastary żółw w skorupie z błota. To coś naładowane było dwoma nabojami, wystrzeloną łuską i jednym pełnym. Słonka na łusce była prawidłowo przebita, tylko że i ona, i pełny nabój miały słabe nacięcia tuż obok słonki, obydwie nacięcia zupełnie podobne i nawet w tym samym miejscu, tak że kiedy Eef wyjął pełny nabój, przekreślił mocno łuskę i podsunął ją pod kurek, który naciągnął i spuścił, i kiedy otworzyliśmy bębenek, na łusce było inne słabe nacięcie akurat obok słonki, jakby ta przedpotopowa iglica czasami trafiała w słonkę, a czasami nie trafiała.

Więc wygląda na to, że Mink albo wypróbował tamte dwa naboje przedtem i oba nie wypaliły, a mimo to poszedł tam, żeby zabić Flema spodziewając się, że ten ostatni wystrzeli tym razem, co się nie wydaje prawdopodobne; albo próbował wpakować tamte dwie kule w Flema i stracił obie i wtedy przekreśli bębenek wstecz, żeby spróbować jeszcze raz, bo nie miał już innego wyjścia, i tym razem nabój wystrzelił. W takim wypadku, jak myślisz, dlaczego Flem nie ruszył się z tego krzesła i pozwolił Min- kowi zmarnować dwie kule, zanim trzecia w końcu wypaliła i zabiła go?

— Nie wiem — odpowiedział szorstko Stevens. — Jedź dalej.

— Może on też miał dosyć — rzekł Ratliff. — Jak Eula. Może oboje chcieli tego samego. Biedaczysko.

— On był impotentem — powiedział Stevens.

— Co? — rzekł Ratliff.

— Impotentem. Kiedy znalazł się z kobietą w łóżku, wszystko, co mógł robić, to spać. Tak — powiedział Stevens. — Biedacy ci, którzy muszą zadawać tyle bólu i udręki. Jedź.

— Ale przypuścimy, że to nie tylko to — rzekł Ratliff. — Ty jako mały chłopak wychowałeś się w mieście i pewnie nigdy nie słyszałeś o zabawie w „Jabluszek”. Myśmy w to grali jako dzieci. Wybierałeś sobie drugiego chłopaka mniej więcej tego samego wzrostu co ty i podchodziłeś do niego z różgą czy kijem, czy twardym, zielonym jabłkiem albo kamieniem, zależnie od tego, ile chciałeś ryzykować, i pytałeś go: „Weźmiesz ode mnie jabłuszek?” I jeżeli się zgodził, stał spokojnie i nie ruszał się, a ty mogłeś mu jeden raz przyłożyć różgą albo kijem tak mocno, jak chciałeś, albo rzucić jeden raz jabłkiem czy kamieniem. A potem ty stałeś i nie ruszałeś się, a on brał tę samą różgę albo kij, albo jabłko, albo kamień i przykładał ci jeden raz albo w ciebie rzucał. Taka była reguła gry. No więc przypuścimy...

— Jedź — powiedział Stevens.

— Przypuścimy, że Flem grał w to, rozdawał swo-

'■%/ je jabłuszka zgodnie z regułą, więc nie mógł robić nic innego, tylko siedzieć spokojnie, bo prawdopodobnie przekonał się już wiele lat temu, kiedy ona wTÓciła tu znowu nawet z tej komunistycznej wojny, że już przegrał...

— Przeszła — rzekł Stevens. — Nie mów tego.

— ... i teraz była jej kolej dać mu jabłuszko, więc przypuścimy...

— Nie — rzekł Stevens. — Nie. — Ratliff jednak nie tylko był bliżej startera, ale trzymał na nim rękę.

— Ona wiedziała cały czas, co się stanie, kiedy on wyjdzie, i nie tylko ona, Flem także wiedział.

— Nie uwierzę w to — rzekł Stevens. — Nie uwierzę. Nie mogę w to uwierzyć. Czy nie rozumiesz, że nie mogę?

— To wskazuje jeszcze na coś innego — ciągnął Ratliff. — Musiała się więc także zdecydować, że jeżeli raz to zrobi, to musi być już raz na zawsze, i za późno będzie już zmieniać decyzję. Mogła poczekać jeszcze dwa lata i wtedy sam Pan Bóg na niebie nie zatrzymałby Minka w Parchman i nie przeszkodziłby mu go zabić, a ona oszczędziłaby sobie nie tylko fatygi i troski, ale także moralnej odpowiedzialności, chociaż ty twierdzisz, że moralność nie istnieje. Ale ona tak nie zrobiła. Więc zapytajmy się, dlaczego. Gdyby w niebie nie było ludzi, to nie byłoby niebo, i gdyby nie można było odnaleźć tam tych, których się znało tutaj, to nikt nie chciałby iść do nieba. I któregoś dnia jej matka mogła do niej powiedzieć: „Dlaczego mnie nie pomściłaś, mnie i tej miłości, którą nareszcie znalazłam, zamiast czekać na ślepo i z założonymi rękami, aż tak się stanie? Czyż nigdy nie znalazłaś twojej własnej miłości, żeby wiedzieć, co to jest?” Masz — wyjął niepokałanie czystą chusteczkę, własnoręcznie wypraną i wyprasowaną, jedną z tych, o których mówią, że nie tylko sam je pierze, ale także obrębia, i wetknął w ślepa rękę Stevensa. Potem włączył starter i zapalił światła. — Akurat zajedziemy na czas — powiedział.

Teraz droga nie była już nawet dwiema koleinami, tylko wąską szczeliną, zarosłą przez głogi, wciąż pnącą się w górę.

— Pójdę przodem — rzekł Ratliff. — Ty wyrosłeś w mieście. Ja nie widziałem na oczy żarówki elektrycznej, póki nie nauczyłem się obchodzić z brzytwą. — To tu — odezwał się po chwili. Był to pochyły dach, którego jeden kraniec zapadł się całkowicie. (Stevens nie rozpoznał domu, zgadzał się tylko, że to kiedyś mogło być domem), a nad nim sterczał jeden sękaty stary cedr. Potknął się prawie o coś, co niegdyś było płotem ogradzającym podwórze. Płot także zawalił się, bujnie zarosły różami, od dawna już zdziczałymi.

— Idź za mną — powiedział Ratliff. — Tu jest gdzieś stara studnia. Myślę, że potrafię ją odnaleźć. Powiniennem wziąć z sobą latarkę.

Teraz gdy schodzili w dół, do tego, co niegdyś było fundamentem ściany, czarna ziejąca jama otwarła się pod ich stopami, jak gdyby rozwalony dom czekał na nich z rozwartą paszczką. Ratliff stanął. — Nie widziałeś tego pistoletu — powiedział cicho. — Ja widziałem. Nie wyglądał jak pistolet za dziesięć dolarów. Wyglądał, jak jeden z pary pistoletów za dziewięć i pół za parę. Może ma jeszcze gdzieś przy sobie ten drugi — mówił, kiedy Stevens, nie przystając, wysunął się przed niego i namacał nogą stopień schodów. Wyjął z kieszeni złotą zapalniczkę z monogramem, zapalił i w słabym blasku chybocliwego płomyczka schodził dalej. Ratliff szedł teraz z tyłu, mówiąc: — Oczywiście. Teraz jest wolny. Nie będzie musiał zabijać już nikogo więcej do końca życia.

Weszli do dawnej piwnicy — nory, podziemnej jaskini, gdzie człowiek, którego szukali, pół kłęczał, pół siedział w kucki, na platformie ułożonej z pościąganych zewsząd desek, patrząc na nich i mrugając oczami jak dziecko, któremu przerwano odmawianie wieczornego pacierza. Kłęczał w swoim nowym kombinezonie, teraz już wyplamionym i brudnym, opuściwszy na kolana ręce złożone jak do modlitwy, mrugając oczyma, zapatrzonymi w maleńki płomyczek, który trzymał Stevens.

— Dobry wieczór — odezwał się.

— Nie może pan tu zostać — powiedział Stevens. — Jeżeli my wiedzieliśmy, gdzie pan jest, to do jutra rana szeryf także może się tego domyślić. Czy pan tego nie rozumie?

— Nie zostanę tu — powiedział. — Zatrzymałem się tylko, żeby wypocząć. Wkrótce zamierzam wyruszyć. Kto wy jesteście?

— Mniejsza o to — odparł Stevens, wyjmując kopertę z pieniędzmi. — Proszę to wziąć. — Było to znowu dwieście pięćdziesiąt dolarów. Pochodziły niewątpliwie z koperty zawierającej cały tysiąc. Stevens nie zadał sobie nawet trudu zastanowienia się co do sumy. Kłęzący człowiek patrzył na nią spokojnie.

— Zostawiłem te pieniądze w Parchman. Pozbyłem się ich, jeszcze zanim wyszedłem za bramę. Więc jakiś łajdak je ukradł?

— To nie te pieniądze — rzekł Stevens. — Tamte już zwrócono. To są nowe pieniądze, które ona przysłała panu dziś rano. To co innego.

— To znaczy, jeżeli je wezmę, nie muszę nic nikomu przyrzekać?

— Tak — rzekł Stevens — proszę je wziąć.

Zrobił to. — Mocno zobowiązany — powiedział. —

Tamtym razem mówili, że dostanę znowu dwieście pięćdziesiąt, jeżeli zaraz przejdę przez granicę Missisipi i nigdy nie wrócę. Myślę, że tym razem to już tak nie będzie.

— Owszem — powiedział Stevens. — Tym razem też. Za trzy miesiące niech mi pan da znać, gdzie pan jest, a wysłę panu znowu.

— Mocno zobowiązany — powiedział Mink. — Proszę to wysłać na nazwisko M. C. Snopes.

— Co? — zapytał Stevens.

— M. C. Snopes. To moje nazwisko: M. C.

— Chodźmy — przerwał mu Ratliff niemal brutalnie. — Wyjdźmy stąd. — Wziął go za ramię i w chwili, gdy Stevens się odwracał, Ratliff wziął od niego zapalniczkę. Trzymał płomyk w górze, podczas gdy Stevens znowu namacał ledwie wyczuwalne stopnie w ziemi i znaleźli się z powrotem na powietrzu, w bezksiężycowej ciemności, na wyniszczonych erozją polach, oczekujących zimy w pierwszym, lekkim podmuchu jesieni. Nad ich głowami w hierarchicznym porządku konstelacje wjeżdżały na pastwiska Zodiaku: Skorpion, Niedźwiedzica, Waga, za nimi chłodny Orion i Plejady; upadłe i bezdomne anioły podniosły lamentujący chór. Łagodnie, z kobiecą tkliwością Ratliff otworzył przed Stevenssem drzwiczki samochodu. ■ — Już dobrze się czujesz? — zapytał.

— Tak, mówiłem ci, przestań — powiedział Stevens.

Ratliff zamknął drzwiczki, okrążył samochód i wsiadł z drugiej strony; włączył starter i światła i ruszył — dwaj starzy ludzie, dobiegający sześćdziesiątki. — Nie wiem, czy ona ma już córkę, gdzieś w ukryciu, czy jeszcze nie. Ale jeżeli ma, to mam nadzieję, że nie przywiezie jej do Jefferson. Przeżyłeś już dwie Eule Varner i nie przypuszczam, żebyś przeżył trzecią.

Kiedy dwaj obcy zabrali światło i odeszli, nie położył się już z powrotem. Czuł się wypoczęty i lada

chwila miał nadejść czas, żeby na nowo ruszyć w drogę. Klęczał dalej na prowizorycznej platformie ze starych desek., które zebrał i przyciągnął tu, aby obronić się przed ziemią, w razie gdyby zmorzył go sen. Na szczęście człowiek, który ukradł mu dziesięć dolarów w zeszły czwartek, nie zabrał także agrałki, złożył więc banknoty tak, żeby się zmieściły do kieszonki w klapie kombinezonu i przypiął je agrałką. Tym razem wszystko będzie w porządku, banknoty tworzyły zwitek tak gruby, że nawet przez sen musiałyby poczuć, gdyby ktoś próbował je wyciągnąć.

Potem przyszedł czas, kiedy trzeba było ruszyć dalej. W pewnym sensie był z tego rad, odpoczywanie może człowieka zanużyć, wyczerpać, tak jak wszystko inne. Na zewnątrz ciemność i chłód zachęcały do marszu. Naokoło pustka. Nic oprócz starej ziemi. Ale przecież człowiek nie musi myśleć ciągle o ziemi, kiedy skończył już sześćdziesiąt trzy lata. W rzeczywistości ziemia nigdy nie pozwala mu zapomnieć, że jest tam i czeka na niego, ciągnie łagodnie, nie przynaglając go przy każdym kroku, mówiąc: „Chodź, połóż się, nie zrobię ci nic złego. Połóż się tylko”. Pomyślał: „Teraz jestem wolny. Mogę iść, dokąd zechcę”. Pójdzie więc teraz na zachód, bo tam ludzie szli zawsze. Ilekroć wybierali kierunek i przenosili się do nowego kraju, zawsze było to na zachód, jakby sam Stary Pan zaszczerpił to człowiekowi we krwi od chwili poczęcia go w łonie matki.

Bo teraz był wolny. Trochę dalej stąd, bliżej świtu, mógł się położyć, kiedykolwiek przyjdzie mu to na myśl. Więc gdy przyszło mu to na myśl, zrobił tak, układając wygodnie ramiona, nogi, plecy, czując już pierwsze leciutkie pociągnięcie, jakby ta chytra, stara ziemia chciała mu wmówić, że robi to tylko przez roztargnienie. Ale zobaczył w tym momencie właściwie gwiazdy i zorientował się, że leży niezupełnie prawidłowo, bo człowiek powinien być obrócony twarzą na wschód: iść trzeba na zachód, ale kiedy się leży, trzeba patrzeć na wschód. Poruszył się więc, zmienił trochę pozycję i teraz leżał już dobrze i był wolny, mógł sobie pozwolić na to ryzyko. Żeby okazać, do jakiego stopnia ośmiela się ryzykować, zamknął nawet oczy, dał jej wszelkie szanse, jakich mogła sobie życzyć. Potem, jak gdyby wierzyła, że on rzeczywiście śpi, ziemia zaczęła pracować trochę energiczniej, powolutku oczywiście, tak żeby nie zanadto mu przeszkadzać, po prostu trochę żywiej przyspieszając rytm. Bo człowiek musi nie tylko przez całe swoje życie, ale przez cały czas Człowieka na ziemi mieć się przed nią na baczności. Nawet wtedy, kiedy, jak mówią, żył w jaskiniach, wznosił nasypy z piasku, żeby trzymać się trochę dalej od niej, kiedy spał, a potem wymyślił drewniane podłogi dla własnej ochrony, budując piętro po piętrze, tak że w końcu leżał na wysokości stu, a nawet tysiąca jardów w powietrzu, byle się zabezpieczyć przed ziemią.

Ale mógł to zaryzykować, miał nawet ochotę dać jej uczucie, rzeczywiste szanse, żeby mu pokazała, dowiodła, co potrafi zrobić, jeżeli zechce spróbować.

I rzeczywiście, ledwie przyszło mu to na myśl, wydało mu się, że czuje, jak ten Mink Snopes, który tyle swego życia musiał poświęcić na niepotrzebne trudy i strapienia, zaczyna teraz pełznąć, płynąć lekko i spokojnie, jak sen. Prawie mógł to obserwować, przenikając, za maleńkimi źdźbłami trawy i drobnymi korzonkami, poprzez małe dziurki drażnione przez robaki, coraz dalej i dalej w głąb ziemi, pełnej ludzi, którzy mieli przedtem troski, ale już byli wolni, tak że teraz to ziemia musiała kłopotać się i troszczyć, przeżywać ich niepokoje, smutki i gwałtowne namiętności, nadzieje i lęki, sprawiedliwość i niesprawiedliwość, a sami ludzie byli teraz spokojni, wszyscy

razem pomieszani z sobą swobodnie i beztrosko, tak że nikt nie wiedział i nie dbał, kim jest i kim są inni: i on pośród nich, taki sam jak wszyscy, równy każdemu z nich, tak dobry jak każdy, tak dzielny jak każdy, bezimienny, nieodłączny od nich, pięknych i wspaniałych, dumnych i nieulekłych, unoszący się aż do samego szczytu pośród lśniących zjaw i marzeń, które są kamieniami milowymi długiej historii ludzkiej: Helena i biskupi, królowie i bezdomni aniołowie, i gniewne serafiny, pozbawione łaski.

Charlottesville, Wirginia 9 marca 1959